

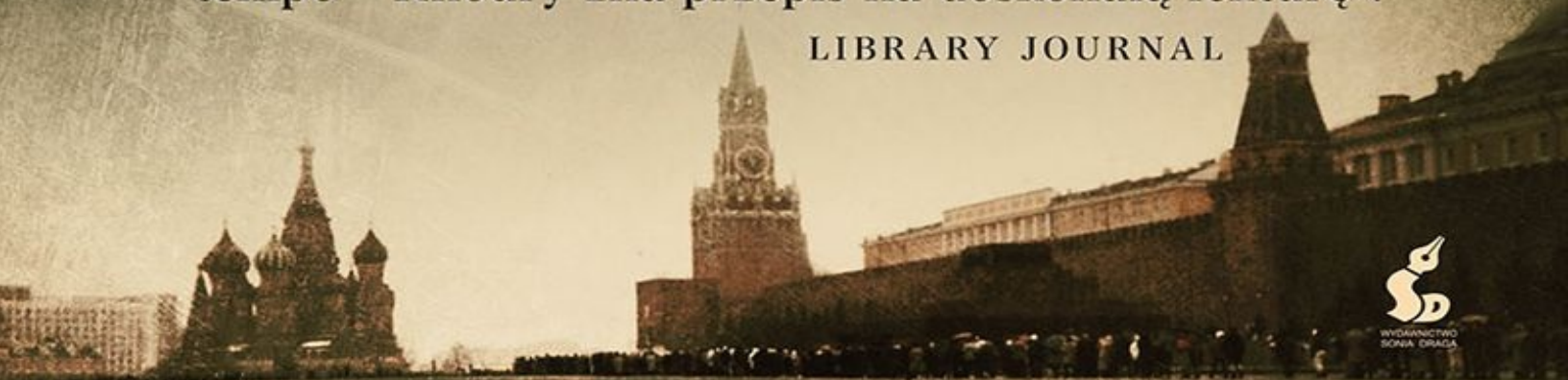
RAYMOND KHOURY

# CIEŃ RASPUTINA



„Współczesna sensacja, tajemnice historii i zawrotne tempo – Khoury zna przepis na doskonałą lekturę”.

LIBRARY JOURNAL



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

RAYMOND KHOURY

# CIEŃ RASPUTINA

Z języka angielskiego przełożył  
Jacek Mikołajczyk



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

*Mojej cudownej Mii – tęsknię za Tobą i życzę Ci,  
żeby Twoja nowa przygoda zaowocowała  
wieloma wspaniałymi dniami*

*Najbardziej transcendentalnym osiągnięciem człowieka byłby podbój jego własnego mózgu.*

SANTIAGO RAMÓN Y CAJAL (1852–1934),  
NEUROBIOLOG I LAUREAT NAGRODY NOBLA

## PROLOG

### URAL, IMPERIUM ROSYJSKIE ROK 1916

Od ścian kopalni miedzi odbił się przesywający uszy gwizd i Maksym Nikołajew poczuł dziwne uszczyplenie w czaszce.

Odłożył oskard, który trzymał w potężnych rękach, a kiedy ocierał czoło, ból nagle zelżał. Wziął głęboki wdech, wypełniając i tak już zniszczone płuca kolejną dawką toksycznego pyłu. Zresztą nie przejmował się tym, właściwie nawet już tego nie zauważał. W tej chwili myślał tylko o porannej przerwie; zbawiennej, zważywszy, że jego dzień pracy zaczął się o piątej.

Ostatnie echo gwizdu rozeszło się w powietrzu obok niego, ucichły też odgłosy oskardów i Maksym usłyszał w oddali szum rzeki Miass, której nurt przebiegał tuż przy wejściu do kopalni. Przypomniały mu się czasy, gdy był jeszcze chłopcem, a stryj zabierał go na pływanie do odludnego zakątka na obrzeżach Oziorska, z dala od gęstego, ohydneho dymu, który dwadzieścia cztery godziny na dobę buchał z zakładów hutniczych.

Pamiętał zapach sosen, tak wysokich, że wydawały się sięgać nieba. Tęsknił za spokojem, jaki tam zawsze panował.

Tęsknił za czystym niebem, a jeszcze bardziej za czystym powietrzem.

Z tunelu dobiegł czyjś donośny głos.

– Hej, Maka, zbieraj dupsko i chodź tutaj! Gramy o cnotę córki Piotra!

Maksym miał ochotę przewrócić oczami, częściowo z powodu zdrobnienia, którego nie cierpiał, a częściowo ogólnie pod adresem głupoty Wasilija, ale jako że ten krzepki sukinsyn obrażał się z byle powodu, Maksym uśmiechnął się tylko do grupy mężczyzn, zarzucił oskard na szerokie, umięśnione plecy i ruszył niespiesznie w stronę trzech pozostałych *mudaków*, którzy zajmowali już swoje zwykłe miejsca.

Usiadł obok nieszczęsnego Piotra, przystawiwszy swoje krzesło do ściany. Maksym tylko raz widział na własne oczy jego córkę, i choć faktycznie była uderzająco piękna, nie miał wątpliwości, że mogła liczyć na więcej i nigdy nie wybrałaby któregokolwiek z otaczających go żalonych nieudaczników, ryjących głęboko w bebeczach ziemi za bardziej niż nędzną dniówkę.

Maksym wyłowił niewielką piersiówkę – drobne wykroczenie – i pociągnął z niej potężny łyk. Wytarł usta brudnym rękawem.

– No dobra, zagrajmy – powiedział do Wasilija. W sumie dlaczego miał nie skorzystać z okazji, by wyciągnąć trochę forsy od tego napastliwego idioty.

Rozpoczął Stanisław, najbardziej żalony z całej czwórki, potem ciągnął Piotr, a za nim Maksym. Następnie przyszła kolej na Wasilija. Walnął pięścią w dopiero co odwróconą damę kier, od czego zachybotał się drewniany stół, przy którym siedzieli,

po czym odchylił się z knajackim uśmiechem wymalowanym na twarzy.

Maksym nawet nie drgnął. Myślami odpłynął gdzieś daleko. Znowu poczuł coś dziwnego w głowie; coś jak łaskotanie, gdzieś głęboko w mózgu. Z jakiegoś powodu zaczął roztrząsać, jak bardzo nienawidzi gry w oczko. Wszyscy udawali, że chodzi w niej o umiejętności, podczas gdy tak naprawdę sprowadzała się wyłącznie do szczęścia. Zdecydowanie wolał duraka, który stanowił jej przeciwieństwo: wydawało się, że wystarczał łut szczęścia, gdy tak naprawdę o wyniku decydowały umiejętności. Grał w duraka od dwudziestu siedmiu lat i jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się, by został na końcu z kartami. Pewnie dlatego ta pijawka Wasilij zawsze wymawiał się od gry z nim.

– No dalej, Maka! – przebił się nagle przez jego ponure myśli ochryply głos Wasilija. – Wyciągaj kartę, zanim wszyscy obrócimy się w kamień!

Maksym spojrzał na nich i zorientował się, że pierwsze dwie karty odwrócił zupełnie bezwiednie, nawet nie rzuciwszy na nie okiem.

Stanisław wyciągnął siódmkę trefl, co niespodziewanie wyeliminowało go z rozgrywki po zaledwie trzech kartach. Piotr odwrócił dwójkę pik, co zwiększało jego wynik do dziewiętnastu. Spojrzał nerwowo na Wasilija, który jednak siedział z kamienną twarzą. Sukinsyn prowadził. W dodatku był naprawdę paskudnym popaprańcem. Wasilij gestem kazał Maksymowi pospieszyć się, pewnie po to, by odwrócić trójkę i wygrać stertę monet leżących na środku stołu.

Maksym nie miał zamiaru dać mu wygrać. Nie tego dnia. Nie tu, nie tym razem. Gdy jednak miał już przewrócić kartę, poczuł nagle, że od tyłu czaszki pełnie mu w górę przeszywający ból. Nie trwało to dłużej niż pojedynczy oddech. Potrzęsnał głową, zamknął oczy i otworzył je znowu. Cokolwiek to było, ustąpiło.

Podjechał od spodu kartę, a potem popatrzył na Wasilija. Ta żyłasta menda szczyrzyła do niego zęby i nagle Maksym zdał sobie sprawę, że facet kantuje. Nie wiedział dlaczego, ale był tego całkowicie pewien.

Nie tylko oszukiwał, ale patrzył na niego jakby... jakby go nienawidził. A nawet więcej. Ział nienawiścią. Pogardzał nim.

Jakby chciał go zabić.

I wtedy Maksym zdał sobie sprawę, że nienawidzi Wasilija jeszcze bardziej. Poczuł wściekłe rwanie w żyłach na czaszce i zmusił się, by odwrócić kartę. Patrzył, jak Wasilij opuszcza wzrok i spogląda na nią. Piątka karo. Maksym również odpadł. Wasilij parsknął złośliwym śmiechem i odwrócił kartę. Czwórka kier. Za dużo. Wygrał.

– Do tatusia, *moi lubimyje* – powiedział zadowolony z siebie Wasilij, sięgając po wygraną. – Cztery kiery, wy frajery!

Maksym rzucił się, by złapać Wasilija za rękę, ale nie zdążył, bo nagle Stanisław odwrócił się od stolika, zgiał w pół i zwymiotował, oblewając zawartością żołądka

buty kanciarzy.

– Fuj! Stanisław, skurwysynu... – Wasilij odskoczył od womitującego, ale niespodziewanie jemu również twarz wykręcił grymas bólu. Spadł z drewnianej skrzyni, na której siedział, po czym ścisnąwszy oburącz głowę, kopnął w stolik, rozrzucając w powietrzu karty.

Piotr zerwał się na nogi, dysząc ciężko z oburzenia.

– Cztery?! Jakie cztery?! Nie widziałem czwórki, parszywy łgarzu!

Maksym przeniósł szybko wzrok na Stanisława, któremu oczy nabiegły krwią, tak jakby siła wymiotów wyssała mu ją z całej twarzy. Teraz już wiedział, wiedział na pewno, że i on oszukiwał. Wszyscy oszukiwali, wieprze jedne. Chcieli go oskubać – a potem pobić.

Wasilijowi nagle zachciało się chyba potwierdzić podejrzenia Maksyma, bo zaczął się śmiać. I nie był to zwyczajny śmiech; raczej demoniczny, gardłowy rechot, wprost przesączony pogardą, szyderstwem i – Maksym był już tego pewien – nienawiścią.

Spojrzał na niego, nie będąc w stanie oderwać nóg od podłoża kopalni; czując, że zalewa go pot, i nie wiedząc, co zrobić...

Patrzył, jak Wasilij zrobił krok w jego kierunku – naprawdę nie wyglądał najlepiej – ale nagle oszust otworzył szeroko oczy i stanął jak wryty.

Piotr właśnie wbił Wasilijowi w głowę oskard Maksyma.

Maksym odskoczył gwałtownie, gdy Wasilij padał u jego stóp na ziemię, a z jego czaszki wytryskiwała fontanna krwi. W tej samej chwili znowu poczuł ból głowy, ostrzejszy niż przedtem. W jednej sekundzie ogarnęło go przerażenie. Będzie następny. Bez cienia wątpliwości.

Zabiją go, chyba że on zabije ich pierwszy.

Nigdy w życiu nie był niczego tak pewien.

Z najróżniejszych zakamarków kopalni zaczęły dobiegać wściekłe wrzaski, tymczasem on rzucił się na Piotra, podbijając mu rękę, chwytając oskard i rozpaczliwie usiłując mu go wyrwać. W przytłumionym świetle pojedynczej latarni zobaczył Stanisława, który zdążył już się pozbierać i również zamierzał chwycić jego oskard. Świat zawirował i rozmazał się w niewyraźną plamę zaciśniętych pięści, krzyków oraz ciosów narzędziem i pięścią, aż wreszcie Maksym poczuł w dłoniach coś ciepłego, co aż prosiło, by ścisnąć to oburącz i nie wypuszczać, aż dłonie spotkają mu się gdzieś w pół drogi. Kiedy odzyskał wzrok, zobaczył przed sobą zakrwawioną, bezoką, siniejącą twarz biednego Piotra, któremu właśnie skreślił kark.

Nagle wszędzie wokół rozległy się wrzaski i odgłosy metalu, z chrzęstem rozłupującego ludzkie mięso i kości.

Maksym uśmiechnął się i nabrał powietrza w płuca. Nigdy jeszcze nie słyszał niczego równie pięknego. Nagle coś błysnęło mu w kącie oka.

Odchylił się i umknął toporowi, który świsnął mu przed szyją. Poczł na twarzy

podmucha powietrza. Dźgnął napastnika pięścią w żebro, a potem jeszcze raz. Coś chrupnęło. Stał za plecami jęczącego mężczyzny, zacisnął mu ramię na gardle – był to Popow, kierownik zmiany, który przez cały czas, gdy Maksym tam pracował, nigdy nawet nie podniósł na niego głosu – i zaczął go dusić.

Popow padł na ziemię jak worek buraków.

Maksym wyrwał martwemu mężczyźnie z dłoni topór i natychmiast wbił go w twarz Stanisława, który zamierzył się na niego oskardem i był już w pół drogi do jego piersi. Maksym próbował zrobić unik, ale nie zdążył i oskard wyrwał mu z boku kawał mięsa.

Stanisław zatoczył się i upadł na ziemię z toporem wystającym z twarzy.

Maksym uklęknął ciężko, a potem przewrócił się, obiema dłońmi przytrzymując rozerwane mięśnie, próbując zacisnąć z powrotem brzegi otwartej rany.

Leżał, wijąc się i skręcając z bólu, z dłońmi śliskimi od własnej krwi, a jego wzrok powędrował w stronę kopalnianego szybu. W ciemności ledwie dostrzegał sylwetki innych *mudaków* kotłujących się w tunelach, z furią okładających się nawzajem oskardami.

Patrzył na swoją ranę. Przez palce przeciekała mu krew, spływała na ziemię i mieszała się z tłustym brudem kopalnianego podłoża. Nie odrywał od niej wzroku. Wokół rozbrzmiewały agonalne okrzyki; minuty mijały jedna za drugą; jego umysł ogarniało otępienie, a strumień zdezorientowanych myśli płynął spiralnie niczym wir wodny – aż nagle powietrze gdzieś z tyłu zadrżało od huku potężnej eksplozji.

Ściany poruszyły się i opadł na niego deszcz pyłu oraz odprysków skał.

Po chwili rozległy się jeszcze trzy wybuchy, wyrrywając latarnie z podłoża i pogrążając i tak już czarne tunele w całkowitym mroku.

Przez chwilę wokół panowała śmiertelna cisza – a potem dobiegła skądś orzeźwiająca bryza oraz intensywny, narastający szum.

Szum, który zamienił się w ryk.

Maksym spróbował przebić się wzrokiem przez ciemność. Nawet nie zobaczył potężnej fali wody, która uderzyła w niego z siłą kowadła i porwała ze sobą. W tych ostatnich sekundach, kiedy był jeszcze przytomny, w ciągu tych paru krótkich chwil, zanim woda wypełniła mu płuca, a rwący prąd trzasnął nim o ścianę tunelu, przedśmiertne myśli Maksyma Nikołajewa uczepiły się czasów dzieciństwa; rozmarzył się, jak dobrze by było znaleźć się znowu w wodach rzeki jego młodości.

Stojąc u wylotu tunelu przy detonatorze, człowiek nauki słuchał, jak w górach powoli na powrót zalega cisza. Dygotał na całym ciele, lecz nie z zimna. Za to jego towarzysz był nienaturalnie spokojny i pogodny. Przez co naukowiec zaczął dygotać jeszcze mocniej.

Odbyli razem długą podróż z dalekiej samotni syberyjskiego monastynu aż do tego równie zapomnianego przez Boga miejsca. Podróż, która rozpoczęła się wiele lat temu obietnicą wielkich czynów, zaprowadziła ich jednak na te barbarzyńskie, przestępcze



tereny. Człowiek nauki nie do końca rozumiał, jak to się stało, że dotarli do punktu bez powrotu; jak to wszystko zdegenerowało się i przerodziło w masowe morderstwo. A kiedy patrzył na swojego towarzysza, ogarniał go lęk, że to dopiero początek.

– Co my narobiliśmy? – jęknął cicho, drżąc ze strachu nawet wtedy, gdy słowa te wymykały mu się spod warg.

Jego towarzysz odwrócił się do niego. Jak na człowieka o takiej władzy i wpływach, człowieka, który został bliskim przyjacielem i powiernikiem cara i carycy, był ubrany dosyć niezwykle. Stary zatłuszczony płaszcz, postrzępiony przy mankietach. Workowate spodnie, wiszące nisko z tyłu niczym noszone przez Turków szarawary. Brudne chłopskie buciory. No i ta dzika, zmierzwiona broda, te tłuste włosy z przedziałkiem na środku jak u kelnera w tawernie. Rzecz jasna człowiek nauki zdawał sobie sprawę, że to poza; starannie przemyślane przebranie. Wizerunek pieczołowicie wypracowany na potrzeby genialnego planu, którego człowiek nauki był wykonawcą i współautorem. Kostium, który miał wyrażać pokorę i skromność prawdziwego Bożego męża. Prosty strój, nieodciągający uwagi interlokutora od hipnotycznego, stalowoniebieskiego spojrzenia przywdzianego weń człeka.

Spojrzenie demona.

– Co narobiliśmy? – powtórzył jego towarzysz swoim osobliwym, prostym, niemal prostackim głosem. – Powiem ci, co narobiliśmy, przyjacielu. Ty i ja... Właśnie przynieśliśmy naszemu ludowi zbawienie.

Jak zawsze w jego towarzystwie, człowiek nauki poczuł, że ogarnia go paralizujące poczucie słabości. Mógł tylko stać w miejscu i kiwać głową. Lecz kiedy zaczął pojmować, co właśnie zrobili, po jego duszy rozlał się nagle dławiący mrok, a on sam wybiegł myślami w przyszłość, zastanawiając się, jakie to potworności czekają ich jeszcze; potworności, których nie był w stanie nawet sobie wyobrazić w tamtym ustronnym monasterze, gdzie po raz pierwszy zobaczył owego tajemniczego chłopca. Gdzie mężczyzna ów sprowadził go znaną krawędzi, zademonstrował mu siłę swego cudownego daru oraz opowiedział o swych wędrówkach po zapomnianych, ukrytych głęboko w kniei klasztorach oraz o tym, w co nauczył się w nich wierzyć. Gdzie mistyka jego przeszywającego wzroku po raz pierwszy objawiła mu wieść o nadejściu „prawdziwego cara”, sprawiedliwego władcy, zbawiciela ludu, który urodził się jako zwykły chłop. Zbawcy Świętej Rusi.

Przez krótką chwilę człowiek nauki zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła się wyswobodzić spod wpływu swego mistrza i umknąć przed szaleństwem, które bez wątpienia mieli rozpętać. Myśl ta wyparowała jednak z jego głowy tak szybko, jak się w niej pojawiła; stłumiona, zanim jeszcze zaczęła nabierać konkretniejszego kształtu.

O ile wiedział, nikt jeszcze niczego nie odmówił Grigorijowi Jefimowiczowi Rasputinowi.

I wiedział doskonale, był tego tak pewien, że aż przyprawiało go to o dreszcz, iż

Opatrzność nie obdarzyła go wystarczająco silną wolą, by to on miał być pierwszy.

## QUEENS, NOWY JORK CZASY WSPÓŁCZESNE

Nie smakowała mu wódka, już nie, a ostatni kieliszek wypalił mu gardło niczym kwas, co jednak nie powstrzymało go od zamówienia kolejnego.

Leo Sokołow miał za sobą parszywy dzień.

Paskudny dzień, który nastąpił po wielu parszywych dniach.

Oderwawszy na chwilę oczy od przymocowanego do ściany telewizora, gestem poprosił barmana o dolewkę, po czym wlepił z powrotem wzrok w ekran, w materiał nadawany na żywo z Moskwy. Narastała w nim gorycz, gdy patrzył, jak kamera robi zbliżenie na opuszczaną do grobu trumnę.

„Ostatni z nas” – lamentował w myślach. „Ostatni... i najlepszy”.

„Ostatni z rodziny, którą osobiście zniszczyłem”.

Ekran podzielił się na dwie części, by przekazać inny materiał, nadawany z placu Maneżowego, gdzie tysiące demonstrantów protestowało pod murami i wieżami Kremla. Pod samym nosem tych, którzy zamordowali tego dzielnego, szlachetnego – wspianego człowieka.

„Możecie sobie do woli krzyczeć i wrzeszczeć” – myślał, gotując się z wściekłości. „Co ich to obchodzi? To, co mu zrobili, zrobią znowu, i będą to robili każdemu, kto ośmieli się powiedzieć słowo przeciw nim. Nie obchodzi ich, ilu zabijają. Dla nich jesteśmy zwykłym...” Przypomniawszy sobie natchnione słowa mężczyzny.

„Jesteśmy zwykłym bydłem”.

Ogarnął go bezgraniczny smutek, bo na ekranie pojawiło się zbliżenie pogrążonej w żałobie wdowy, całej w czerni, która ze wszystkich sił starała się zachować resztki godności i patrzeć wyzywająco, mimo że wiedziała – Sokołow był tego pewien – iż wszelkie myśli o oporze zostaną jej szybko i bezlitośnie wybite z głowy.

Zacisnął palce wokół kieliszka.

W odróżnieniu od pozostałych liderów opozycji mężczyzna, którego szczątki właśnie grzebano, nie był egocentrykiem pożądanym władzy czy też znudzonym oligarchą chcącym dorzucić kolejne trofeum do swej pozłacanej kolekcji. Ilja Szyslenko nie był pełnym nostalgii komunistą, opętanym mesjanizmem ekologiem czy obłąkanym lewicowym radykałem. Był zwykłym, zaniepokojonym obywatelem; prawnikiem, który postanowił naprawić swój kraj. A jeśli nie naprawić, to uczynić choć odrobinę lepszym. Człowiekiem napędzanym przez chęć walki z tymi, którzy dzierżyli władzę; tymi, których publicznie nazwał partią łgarzy i złodziei – to określenie silnie zakorzeniło się w umysłach opozycjonistów walczących z rządem. Przekonanych, że należy walczyć z szalejącą w kraju korupcją i złodziejstwem; że trzeba pozbyć się tych, co ukradli kraj tym, których przez dziesięciolecia trzymali

w niewoli; tych, którzy rządili nim teraz za pomocą połączanego ostrza, a nie żelaznej pięści; tych, którzy rabowali jego ogromne bogactwa i upychali swoje miliardy w bankach Londynu i Zurychu. Ryzykującym własne życie, by obdarzyć swych współobywateli godnością i wolnością, jakimi cieszy się wielu ich sąsiadów w Europie i na całym świecie.

Jak dumny był Sokołow, gdy po raz pierwszy przeczytał o nim w gazecie. Widok tego charyzmatycznego młodzieńca fetowanego w kanałach informacyjnych tchnął nowe życie w jego zmęczone, sześćdziesięcioletnie płuca, podobnie jak lektura publikowanych w „New York Timesie” jego pełnych komplementów profili, słuchanie jego porywających przemówień na YouTube, oglądanie w telewizji, jak liczba uczestników organizowanych przez niego marszów protestacyjnych ciągle się zwiększa, aż wreszcie wydarzyło się coś zupełnie niebywałego, dziesiątki tysięcy wściekłych, doprowadzonych do ostateczności Rosjan w różnym wieku i o różnym statusie materialnym, dzielnie opierając się siarczystemu mrozowi i oddziałom policji, zaczęły gromadzić się na placu Bołotnym i w całej stolicy, by słuchać jego słów, wykrzykiwać wyrazy poparcia i żądać, by przestano ich wreszcie traktować jak bezmyślnych pańszczyźnianych chłopów.

Tak jakby samo słuchanie jego słów nie było wystarczająco upajającym uczuciem, jakby sam widok tłumów w ojczyźnie nie wystarczał, by przyspieszyć rytm bicia jego serca, jego entuzjizm dodatkowo zwiększało to, iż ten inspirujący tłumy lider, ten wyjątkowy i dzielny człowiek, ten wybawiciel, był ni mniej, ni więcej tylko synem rodzzonego brata Leo. Jego bratankiem i nie licząc jego samego, ostatnim żyjącym członkiem jego rodziny.

Rodziny, którą osobiście niemalże unicestwił.

Na ekranie telewizora pojawiło się nagranie ostatniego przemówienia jego bratanka i Sokołow poczuł nagle, że to dla niego zbyt wiele. Wpatrując się w powściągliwą mimikę młodego człowieka oraz emanującą z niego zaraźliwą energię, nie był w stanie nie myśleć o tym, jak nieszczęśnik musiał się zmienić po aresztowaniu; o potwornościach, jakie musiały go spotkać. Jak po wielekroć od chwili, kiedy dotarła do niego wiadomość o śmierci bratanka, nie mógł się powstrzymać i wyobrażał sobie, jak ten piękny, obiecujący młody człowiek zostaje wrzucony do ciemnej dziury w więzieniu Lefortowo, w mdłym, pomalowanym na ohydny musztardowy kolor budynku tuż za centrum Moskwy, w którym przetrzymywano więźniów politycznych jeszcze za cara. Znał doskonale jego paskudne dzieje; wiedział, jak umieszczonych tam dysydentów zmiękczano, karmiąc na siłę przez nozdrza. Wiedział o tamtejszych lochach i „celach wydobywczych” ze ścianami pomalowanymi na czarno i pojedynczymi dwudziestowatowymi żarówkami świecącymi dwadzieścia cztery godziny na dobę oraz o ciągłych, mogących przyprawić o obłęd, wibracjach rozchodzących się z sąsiedniego instytutu hydrodynamiki z taką siłą, że nie można było postawić na stole filiżanki, żeby

nie rozlała się jej zawartość. Wiedział również o ogromnej maszynie do mięsa, przez którą przepuszczano ciała ofiar, zanim splukano je do miejskiej kanalizacji. Więziony był tam Aleksander Sołżenicyn, a także jego imiennik, były agent KGB Litwinienko, któremu dokooptowano palącego jak smok współwięźnia i kapusia – drobny, choć doskonale przemyślany prezent od dawnych pracodawców pamiętających, że nie był w stanie wytrzymać papierosowego dymu – zanim za pomocą nafaszerowanej polonem herbaty zamordowano go w Londynie, dokąd uciekł po zwolnieniu z paki.

Bratanka Sokołowa nie zabito w aż tak wyrafinowany sposób. Lecz Sokołow zdawał sobie sprawę, że jego śmierć bez wątpienia była o wiele bardziej bolesna.

Bez wątpienia.

Zacisnął powieki, usiłując nie dopuścić do świadomości strasznych obrazów tego, co, jak przypuszczał, mu tam zrobili – na próżno, bo obrazy te uparcie wracały. Wiedział, do czego byli zdolni ci ludzie; wiedział doskonale, znał wszystkie makabryczne szczegóły; wiedział też, że nie oszczędzili jego bratankowi niczego, ponieważ decyzja została podjęta na samej górze, ponieważ musieli pozbyć się ciernia tkwiącego w ich boku, ponieważ chcieli dać przykład takim jak on.

Na ekranie pojawił się inny materiał, tym razem nadawany z miejsca położonego znacznie bliżej podupadłego baru w Astorii, w którym garbił się nad kieliszkiem Sokołow. Ludzie demonstrowali na Manhattanie, przed rosyjskim konsulatem. Były ich setki; machali transparentami, potrzęsali pięściami, przyozdabiali bramy przyległych budynków bukietami kwiatów i wieńcami – a wszystko to na oczach licznych nowojorczyków i istnej hordy reporterów.

Nastąpiło cięcie i ekran wypełnił widok kolejnych, podobnych demonstracji, odbywających się przed rosyjskimi ambasadami i konsulatami na całym świecie. Potem autorzy relacji wrócili na Manhattan.

Sokołow tępym wzrokiem wpatrywał się w telewizor. Po chwili uregulował rachunek i zataczając się, wyszedł z baru, mgliście tylko świadomy, gdzie się znajduje, ale całkowicie pewien, gdzie być w tej chwili powinien.

Jakimś cudem dotarł z Queens na Manhattan, a potem na Wschodnią Dziewięćdziesiątą Pierwszą Ulicę, gdzie potężny, hałaśliwy tłum napierał na policyjne bariery. W piersi wzbierał mu gniew, podsycany zapałem otaczających go ludzi, do których wkrótce dołączył, przepchnąwszy się w sam środek zbiegowiska, by wymachując w powietrzu pięścią, skandować donośnie ze wszystkimi: „*Łżecy, ubijcy!*” (Kłamcy, mordercy!) i: „*Pozor!*” (Hańba!).

Wkrótce stał już na czele tłumu, tuż przy barierze, która odgradzała zgromadzonych od bramy konsulatu. Śpiewano coraz głośniejsze, a pięści boksowały powietrze coraz energiczniej. Efekt w połączeniu z alkoholem krążącym w jego żyłach przypominał halucynacje. Jego umysł krążył przez chwilę po bezdrożach, by w końcu skupić się na niezwykle kuszącym obrazie; fantazji na temat zemsty, która przeniknęła go niczym

plomień. Rozpaliła go od środka, a Leo podsyczał ten ogień, pozwalając mu narastać, aż wreszcie obraz pochłonał go niczym piekielne ognie.

Jego znużony, zamglony wzrok wypatrzył dwóch mężczyzn stojących przy wejściu do konsulatu. Przyglądali się tłumowi, a po krótkiej wymianie zdań schronili się za drzwiami.

Sokołow nie mógł się powstrzymać.

– Właśnie tak! Uciekacie i chowacie się, bezbożne śwynie! – zawołał pod ich adresem. – Wasz czas się kończy, słyszycie? Wasz czas się kończy, was wszystkich, i zapłacicie nam! Zapłacicie za wszystko, co do kopiejki! – Zaczął walić miarowo pięścią w barierkę, a po policzkach ciurkiem płynęły mu łzy. – Myślicie, że z nami skończyliście? Myślicie, że skończyliście z Szyslenkami? Nie tak szybko, sukinsyny! Załatwimy was! Dorwiemy was! Jeszcze was dopadniemy!

Całą następną godzinę spędził, wydzierając się ile sił w zmęczonych płucach i bokując powietrze równie znużonymi, słabymi pięściami. W końcu wyczerpany, z pochyloną głową wyruszył w powrotną drogę. Dotarł do metra, a potem do mieszkania w Astorii, gdzie czekała na niego jego żona Dafne, zakochana w nim do nieprzytomności.

Nie zdawał sobie, rzecz jasna, sprawy; nie miał pojęcia, choć przecież powinien był wiedzieć – pewnie by się domyślił, gdyby nie ostatnie cztery kieliszki wódki – że oni też go obserwowali. Obserwowali i uważnie słuchali, jak zawsze, a zwłaszcza w czasach takich jak te, w trakcie zgromadzeń takich jak te, gdy tłum niepożądanych osób można zarejestrować na taśmie, przeanalizować i skatalogować, a wszelkiej maści krzykaczy dodać do wszystkich złowieszczych list. Kamery monitoringu zamontowane na murach i na dachu konsulatu pracowały pełną parą, podobnie jak mikrofony kierunkowe oraz, co gorsza, tajni agenci Federacji błakający się w tłumie, udający demonstrantów i naśladujący ich wściekłe okrzyki oraz gesty, uważnie przy tym przyglądający się otaczającym ich twarzom i wyłuskujący z tłumy tych, którzy zasługiwali na to, by przyjrzeć się im jeszcze bliżej.

Sokołow nie wiedział o tym, chociaż powinien był wiedzieć.

Trzy dni później przyszli po niego.

## FEDERAL PLAZA, MANHATTAN

Wiem, że nazywa się ich kretami, ale ten facet naprawdę skrył się pod ziemią. Albo zniknął jak duch.

Ścigałem go od paru miesięcy, od tamtego dnia w Parku Narodowym Sekwoi, który spędziłem w domku Hanka Corlissa. Dnia, w którym Corliss palnął sobie w łeb tuż po tym, jak powiedział mi, kto mu pomógł zrobić pranie mózgu mojemu synkowi Aleksowi.

Mojemu czteroletniemu synkowi.

Trzeba być wyjątkowo paskudnym przedstawicielem rodzaju ludzkiego, żeby się do czegoś takiego posunąć. Z Corlissa został tylko cień, przyznaję. Wrak człowieka. Przeszedł przez prawdziwe piekło, koszmar, kiedy jakieś pięć lat temu prowadził w południowej Kalifornii i w Meksyku operację DEA. Byłem tam wtedy, służąc w połączonych siłach FBI i DEA. Ścigaliśmy Raoula Navarra, barbarzyńskiego meksykańskiego barona narkotykowego znanego jako El Brujo – „Czarodziej” – i wszystko się raptem popieprzyło. Na mnie też odcisnęło to piętno, ale to, co zrobili tamtej nocy Corlissowi – nie można tego nazwać nawet barbarzyństwem.

Na obrzydliwy pomysł wykorzystania mojego syna wpadł Corliss, któremu z żądy zemsty pomieszało się w głowie. Zanim nafaszerowali biedaka kulami, zmusili go, by patrzył na śmierć własnej córki. To cud, że przeżył. Może to właśnie pragnienie zemsty dodało mu sił. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, zadaję sobie pytanie, czy sam nie zrobiłbym tego co on. Czy i mnie nie ogarnęłaby obsesja, gdyby spotkało mnie coś takiego. Mam nadzieję, że nie, ale kto wie? W czasach takich jak te bardzo łatwo jest zapomnieć, co to takiego rozsądek i moralność.

Tak czy inaczej Corliss zapłacił najwyższą cenę za swoje występki, ale zdeprawowany psychol, który wykonał za niego brudną robotę i namieszał mojemu synkowi w głowie – niejaki Reed Corrigan, agent CIA – ciągle był na wolności. Nawet jak na ich, szpiegów, standardy, gość był wyjątkowo pokreconym sadystą. I moim obowiązkiem jako agenta federalnego było zadbać o to, by jego zboczenie nikomu już nie zrujnowało życia. Mogłem to osiągnąć w najprostszy sposób, a mianowicie dusząc faceta gołymi rękami. Bardzo powoli.

Jasne, coś takiego nie bardzo mieści się w procedurach Biura.

Problem polegał jednak przede wszystkim na tym, że nie mogłem popaprańca znaleźć. Sprawy nie ułatwiał też fakt, że to nie mój poprzedni szef, Tom Janssen, siedział teraz w gabinecie na dwudziestym piątym piętrze Federal Plaza, gapiąc się na mnie zza biurka.

Na Janssena mógłbym liczyć.

Ten facet – Ron Gallo, nowy zastępca dyrektora biura terenowego FBI w Nowym

Jorku – no cóż, powiedzmy, że „czuły” przydomek Fiut, jakim podwładni obdarzali tego urzędnika, idealnie do niego pasował.

– Musisz odpuścić, Reilly – nalegał mój nowy szef. – Daj sobie spokój. Rób, co do ciebie należy.

– Mam robić, co do mnie należy? – odburknąłem. – Po tym, co się stało? – Udało mi się powstrzymać i nie wygarnąłem mu w twarz tego, co naprawdę chciałem. Dodałem więc tylko: – A ty co byś zrobił na moim miejscu?

Gallo teatralnie wciągnął powietrze w płuca, po czym obdarzywszy mnie pełnym desperacji spojrzeniem, powoli wypuścił je nosem.

– Daj sobie spokój. Dorwałś Navarra. Corliss nie żyje. Sprawa jest zamknięta. Tracisz tylko czas – swój i nasz. Jeżeli Agencja nie chce, żeby ktoś odszukał ich człowieka, to go nie znajdziesz. A zresztą, przypuśćmy nawet, że ci się uda – co wtedy? Jak mu udowodnisz, że brał w tym udział, skoro Corliss już nic nie powie?

Nie podobała mi się jego protekcyjna, wystudiowana mina, ale musiałem niechętnie przyznać, że Fiut miał rację. Nie dysponowałem prawie żadnymi dowodami. Jasne, Corliss przyznał się, że zlecił robotę Corriganowi. Ale Corliss faktycznie był martwy. Co oznaczało, że nawet jeśli uda mi się przełamać znowę milczenia CIA i położyć łapska na tym zboku, pod względem prawnym rzecz sprowadzi się do moich słów przeciw jego.

– Wracaj do roboty – usłyszałem polecenie. – Do tego, za co ci płacimy. Chyba nie narzekasz na nadmiar wolnego czasu, co?

Uderzyłem mocno dwoma palcami w blat jego biurka.

– Nie zostawię tak tego.

Mój szef wzruszył tylko ramionami.

– Jak tam chcesz. W sumie co mnie obchodzi, co robisz po godzinach.

Dokładnie tak, jak to określiłem: przydomek idealnie do niego pasował.

Wyszedłem z jego gabinetu mocno zdołowany. Była prawie jedenasta, a ja nie jadłem śniadania, postanowiłem więc łyknąć trochę powietrza i zagryźć smutki kanapką, i zapić kawą z mojej ulubionej restauracyjki na czterech kołach. Październikowy poranek był rześki, bezchmurny i na Dolnym Manhattanie odświeżająca bryza pogwizdywała w otaczających mnie betonowych wąwozach. Dziesięć minut później siedziałem na ławeczce przed ratuszem z roladką z bekonem i fontiną w jednej ręce, parującym kubkiem w drugiej oraz całym szeregiem pozostawionych bez odpowiedzi pytań w głowie.

Prawdę mówiąc, nie bardzo przejmowałem się komplikacjami natury prawnej. Najpierw musiałem go znaleźć, jego oraz psychiatrę lub psychiatrów, którzy namieszali Aleksowi w głowie. Nie chodziło tylko o sprawiedliwość i – przyznaję – zemstę. Chodziło o Aleksa.

Tego ranka jak co tydzień od powrotu z Kalifornii wraz z Tess zabraliśmy małego



do dziecięcego psychiatry. Lekarka, Stacey Ross, była naprawę dobra. Pomogła Kim, córce Tess, która przeżyła traumę kilka lat wcześniej, gdy miała zaledwie dziesięć lat. Znalazły się w samym środku krwawej strzelaniny w Met. Policjantowi stojącemu przed muzeum odrąbano mieczem głowę. To wtedy poznałem Tess, tego właśnie wieczoru, tuż po jatce. Pracując z Kim, Stacey dokonywała cudów. Teraz też ich potrzebowaliśmy, ale lekarka musiała najpierw wiedzieć, co tamci zrobili Aleksowi, żeby to porządnie odkręcić. Na razie wiedziała tyle co my – niczego przed nią nie ukrywałem – ale to nie wystarczało. Pod jej opieką Alex robił postępy, co dodawało nam otuchy. Ale koszmary i napady lęku ciągle go nawiedzały. Najgorsze jednak, że głupoty, które wtłoczyli mu do mózgu na mój temat – wmówili mu na przykład, że jego ojciec jest wyrachowanym zabójcą, zresztą nie ograniczyli się do tego – ciągle się w nim czaiły. Widziałem to czasem w jego oczach, kiedy na mnie patrzył. Wahanie, niepewność. Strach. Moje własne dziecko, syn, o którego istnieniu do niedawna nie miałem pojęcia, o którym dowiedziałem się zaledwie parę krótkich miesięcy temu, spoglądający na mnie w ten sposób, choćby przez sekundę, kiedy chętnie oddałbym za niego życie...

Za każdym razem myślałem, że umrę.

Musiałem znaleźć tych ludzi i wyciągnąć od nich, co mu dokładnie zrobili i jak sprawić, by o tym zapomnieli. Wiedziałem jednak, że to nie będzie łatwe, zwłaszcza bez pomocy kawalerii w postaci środków pozostających do dyspozycji Biura. W żadnej z potężnych baz danych, do których wrzucałem nazwisko Corrigan – publicznych, komercyjnych, kryminalnych czy rządowych – nie trafiłem na profil pasujący do popaprańca, którego szukałem. Właściwie figurowało w nich niewielu Reedów Corriganów, a tych, których system wynalazł, bez problemu udało mi się prześwietlić i wykreślić. Wszystkich z wyjątkiem jednego. Okazało się, że jednym z trzech dyrektorów korporacji o nazwie Devon Holdings jest właśnie niejaki Reed Corrigan. Jako adres firma podawała skrytkę pocztową w Middletown w stanie Delaware. Na tym właściwie kończyły się informacje. Wyśledziłem jednak, że na początku lat dziewięćdziesiątych korporacja wynajęła kilka samolotów typu Beechcraft King Air oraz niewielkiego learjeta. Kiedy przyjrzałem się jej bliżej, szybko stało się jasne, że dwaj pozostali menadżerowie, figurujący w rejestrze obok Corrigan, to także duchy, w dodatku dosyć nieporadnie sprokurowane – numery ubezpieczenia społecznego nadano im w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, dosyć późno jak na facetów, którzy już dwa lata później pełnili funkcje dyrektorów w firmie. Devon na kilometr czuć było lipną spółką. Po krótkim śledztwie krok po kroku dotarłem – cóż za niespodzianka! – do CIA.

Demaskowanie tego rodzaju fasadowych korporacji nie było dla mnie zbyt wielkim wyzwaniem. My też z nich korzystaliśmy, jak zresztą wszystkie agencje, włączając w to CIA. Służyły jako wygodne narzędzie budowania fałszywych tożsamości dla agentów

oraz równie użyteczna przykrywka dla tajnych operacji, takich jak czarterowanie i wynajmowanie samolotów w celu przewiezienia podejrzanych o terroryzm albo agentów, których trzeba było przerzucić przez granicę, z czym zresztą w tym konkretnym przypadku miałem przypuszczalnie do czynienia. Mój tajemniczy agent używał pewnie fałszywej tożsamości, pracując przy operacji, w której wykorzystano spółkę Devon, i wszystko wskazywało na to, że dawno temu porzucił przykrywkę, co, rzecz jasna, było standardową procedurą w wypadku ukończenia lub przerwania takiej czy innej misji.

Żadnego nazwiska. Żadnej twarzy.

Duch.

W ogóle mnie to nie dziwiło. Corliss wydusił z siebie to nazwisko bardzo niechętnie i nagle uzmysłowiłem sobie, że okazał się zawodowcem do samego końca; nie ujawnił prawdziwego nazwiska kumpla. Nie miał powodu, żeby go spalić, zwłaszcza że facet ruszył mu na ratunek. I choć ta fałszywka była dla mnie zaledwie ochłapem, to dla mojego ducha mogła się okazać o wiele bardziej treściwym ostrzeżeniem, że ktoś go szuka. Jak tylko zacząłem węszyć wokół Corrigan, gdzieś tam, w jakiejś serwerowni w piwnicy w Langley, bez wątpienia zapaliła się czerwona lampka i facet został zaalarmowany, dowiedział się o wszystkim – i o mnie. Musiałem więc teraz założyć, że ma nade mną przewagę: zdaje sobie sprawę, że go ścigam, podczas gdy ja nie wiem o nim nic a nic.

Wyrazy uznania dla Hanka Corlissa za pośmiertne pokazanie mi środkowego palca!

Zacząłem się zastanawiać, skąd Corliss mógł znać fałszywe nazwisko Corrigan i jak to się stało, że wykrztusił je z siebie pod presją, gdy dorwałem go w jego domku. Musiał je znać bardzo dobrze. Przyszło mi do głowy, że mógł faceta znać tylko pod tym imieniem. Jedno z dwojga: albo kojarzył go wyłącznie jako Reeda Corrigan, co oznaczało, że spotkali się w podejrzanych okolicznościach, gdy mój duch używał przykrywki i nie czuł potrzeby wyjawiania Corlissowi prawdziwego nazwiska; albo też – i wydawało się to bardziej prawdopodobne, zważywszy, że to Corrigan Corliss poprosił o pomoc w nieoficjalnej, brudnej sprawie – znał wprawdzie jego prawdziwą tożsamość, ale obaj pracowali ze sobą w ramach jakiejś misji, operacji specjalnej, która zbliżyła ich do siebie i w czasie której facet używał nazwiska Corrigan.

Tak czy inaczej potrzebowałem pomocy, by uzyskać dostęp do archiwum operacji CIA, do którego chłopacy wpuszczają obcych nader niechętnie, najczęściej dopiero przymuszeni przez komisje śledcze Kongresu, a i w tym wypadku nie dałbym złamanego grosza za szczerść ich intencji. Musiałem znaleźć sposób, żeby dorwać się do ich akt, a właściwie nie wiedziałem nawet, gdzie zacząć szukać, bo dysponowałem tylko tropem prowadzącym do Devon Holdings oraz jeszcze jednym drobiazgiem, o jakim wspomniał Corliss: że, jak to ujął, „w tamtych czasach” Corrigan pracował nad programem MK-ULTRA. Oczywiście coś mi się obilo o uszy na ten temat – jak

zresztą wszystkim. Jednak po Meksyku wiedziałem o nim o wiele więcej, a to, czego się dowiedziałem, wkurzyło mnie jeszcze bardziej.

MK-ULTRA było kryptonimem tajnego i całkowicie nielegalnego programu CIA z początku lat pięćdziesiątych. Chodziło o kontrolowanie umysłu. Wszystko opierało się na założeniu, że skoro komuchy robią to naszym jeńcom wojennym – coś w stylu *Przeżyliśmy wojnę* Johna Frankenheimera – to dlaczego my nie mielibyśmy tego robić im. Problem polegał na tym, że nie dysponując w okolicy Langley nadmiarem sowieckich czy chińskich jeńców, wspaniali i szlachetni naukowcy zatrudnieni w Biurze Wywiadu Naukowego Agencji postanowili poeksperymentować na tym, co znajdowało się pod ręką: amerykańskich i kanadyjskich ochotnikach. Sęk w tym, że nie do końca byli oni ochotnikami. Zwerbowano po prostu zwykłych cywili i żołnierzy, grupkę niczego niepodejrzewających pracowników rządowych, sporo pacjentów chorych psychicznie i trochę nieszczęsnych robotli – plus jakieś dziwki i kilku żółtków – którzy nie mieli pojęcia, co tak naprawdę z nimi wyczyniano.

W paru przypadkach lekarze i pielęgniarki aplikujący leki nie wiedzieli, dla kogo w rzeczywistości pracują. Tych kilku, których wypowiedzi przedostały się do opinii publicznej, twierdziło, że według ich przełożonych manipulacje snem, deprywacja sensoryczna, narkotyki, elektrowstrząsy, lobotomia, stosowanie implantów mózgowych oraz innych eksperymentalnych terapii, jakim poddawano pacjentów w pomieszczeniach nazywanych pieszczotliwie „klatkami” albo „pokoikami zombiaków” – wszystko to miało na celu wyłącznie dobro badanych.

Kilkoro tych niczego nieświadomych pacjentów popełniło później samobójstwo.

Przypuszczam, że znakomitości świata medycyny, które przeprowadzały owe eksperymenty, musiały zrobić sobie wagary akurat wtedy, kiedy wykładano przysięgę Hipokratesa. Albo też goście byli zbyt zafascynowani nazistowskimi gwiazdami nauki, które udało się nam przekabacić po wojnie w celu zainicjowania programu, by zadawać zbyt wiele pytań.

Wróg mojego wroga – może w ten sposób usprawiedliwiali to we własnym sumieniu. Ale mniejsza z tym. To już historia. A przynajmniej tak mi się wydawało. Do momentu, gdy zdałem sobie sprawę, że niektórzy z tych ludzi nadal brylują w towarzystwie, ponieważ nikt nigdy się nie pofatygował, żeby aresztować któregokolwiek z nich za to, co zrobili.

Któregokolwiek.

A był ich legion.

Program MK-ULTRA obejmował ponad sto pięćdziesiąt tajnych projektów prowadzonych na dziesiątkach uniwersytetów i innych instytucji naukowych w całym kraju. Jakby całe to bagno, do którego postanowiłem dać się wciągnąć, nie było wystarczająco mętne, sprawę jeszcze bardziej komplikował fakt, że akta MK-ULTRA zostały dawno temu zniszczone, na długo przedtem, zanim cyfrowe ślady czy

działalność WikiLeaks znacznie utrudniły całkowite wymazywanie materiałów. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku, kiedy dyrektor CIA Richard Helms polecił zniszczyć dokumentację całej sprawy, było to wykonalne. Ocalała tylko sterta teczek – z banalnego powodu: przechowywano je w niewłaściwym miejscu. Niedawno akta te zostały odtajnione i spędziłem sporo czasu na uważnym ich przeglądaniu. Nigdzie jednak nie trafiłem na ślad mojej nieuchwytej kanalii.

A skoro mowa o kanaliach, to coraz bardziej wydawało na to, że mimo wszystko zastosuję się do polecenia Galla, ponieważ właściwie nie bardzo wiedziałem, co robić. Oprócz włamania się do serwerowni CIA po to, by wisząc pod sufitem w błyszczącym czarnym kocim kostiumiku à la Tom Cruise, zhakować ich bazy danych, przychodził mi do głowy tylko jeden pomysł, tyle że niezbyt mądry, a nawet zupełnie głupi. I w dodatku nielegalny. Wpadłem na to parę tygodni wcześniej późno w nocy, po paru piwach, w chwili, gdy zżerał mnie gniew niełatwy do pokonania, ten właśnie, który ogarniał mnie zawsze na myśl o tym, co tamci zrobili.

Wpatrując się w park i w nieprzerwany strumień przechodniów, uśpionych poczuciem bezpieczeństwa i zajętych przyziemnymi sprawami, nagle zacząłem znów krążyć wokół tego myślni; zastanawiać się, czy tak naprawdę w ogóle mam jakiś wybór, czy właściwie nie podjąłem już decyzji; odkrywać w sobie niespodziewanie perwersyjną radość z analizowania, jak bym to rozegrał i w jaki sposób mógłbym uniknąć konsekwencji. W tym właśnie momencie z knucia sprytnej, choć wysoce nieroztropnej intrygi wyrwał mnie dźwięk komórki.

Aniołem stróżem okazał się mój partner Nick Aparo. Zapytał, gdzie jestem, i przekazał mi polecenie służbowe. Kazano nam natychmiast jechać do Queens. Ktoś w Astorii postanowił urządzić sobie bungee jumping z okna na piątym piętrze. Tyle że zapomniał o linie.

Wrzuciłem papierek po kanapce do kubła i ruszyłem z powrotem do biura.

Pomyślałem, że przyda mi się odrobina rozrywki.

### 3

– Jak poszło z Gallem?

Prowadził Aparo. Pędziliśmy jego białym dodge'em chargerem na sygnale. Zbliżaliśmy się drogą FDR do tunelu Midtown-Queens.

– Zły temat – odparłem, nie patrząc na partnera.

Wzruszył ramionami.

– Poważnie, Sean... Jak długo masz zamiar to ciągnąć?

– Że co? – wkurzyłem się. – Ty też?

– Tylko bez nerwów! – zaprotestował. – Jestem po twojej stronie. Całkowicie. Ale sam przyznasz, że stoimy trochę pod ścianą.

– Zawsze jest jakiś sposób.

– Jasne, że jest. Ja też jakoś w końcu poderwę tę z cynamonem jak melony z zajęć z cyclingu.

– Czekać, na co teraz chodzisz? Na cycling?

Poklepał się po brzuszysku.

– Stary, w dwa tygodnie zrzuciłem cztery kilo. Damy nie przepadają za sadełkiem.

Nic tak nie działa facetowi na figurę jak świeży rozwód.

– Dopiero teraz to odkryłeś?

– Daję tylko przykład – sprecyzował. – Laska pewnie wolałaby być porwana i sprzedana na targu niewolników w Sudanie, niż spędzić ze mną noc. Ale czy tylko dlatego mam się poddać? Jasne, że nie. Sposób zawsze się znajdzie. Poza tym obaj wiemy, jak bardzo jestem gotów się poniżyć w beznadziejnej walce o zaliczenie numerka. Sęk w tym, jak daleko ty chcesz się posunąć.

Sam zadawałem sobie to pytanie.

Wkrótce dotarliśmy do Astorii. Na miejscu panował chaos, czego zresztą można się było spodziewać. Choćbyśmy uważali nowojorczyków za nie wiem jak zblazowanych, choćby nie wiem jak zarzekali się, że widzieli już wszystko, śmierć na oczach tłumu ciągle gromadziła komplet na widowni.

A na scenie królowała pięciopiętrowa ceglana przedwojenna kamienica przy zadrzewionej uliczce odchodzącej od Trzydziestej Pierwszej. Teren został już odgrodzony, co natychmiast wywołało korki, w których kierowcy trąbili na siebie nawzajem i obrzucali się rozczarowująco mało pomysłowymi wyzwiskami. Aparo, wspomagając się błyskami koguta, jakimś cudem zdołał przebić się przez to kłębowisko i pomanewrowawszy wprawnie przy chodniku, zaparkował zaledwie kwartał dalej. Ruszyliśmy przed siebie, mijając kilka telewizyjnych wozów transmisyjnych oraz samochodów policji i machnąwszy odznakami, przedostaliśmy się za taśmę do miejsca, w którym nasza ofiara spotkała się z przeznaczeniem. Okazał się nim chodnik tuż przed budynkiem, którego fasada zadziwiała finezyjnie rzeźbionymi

szczegółami, szpecona za to zygzakami schodów pożarowych czy widocznymi tu i ówdzie pod oknami panelami klimatyzatorów.

Technicy rozbili nad ciałem sporych rozmiarów namiot, który miał zabezpieczyć dowody przed naruszeniem – przypadkowym bądź nie – oraz przed kaprysmi pogody, a jednocześnie zapewniał nam odrobinę prywatności. Sądząc z liczby osób wyglądających przez okna, czekało nas sporo roboty: przepytywanie sąsiadów, zbieranie fotek zrobionych komórką czy nagrań wideo. Mnóstwo przepytywania i zbierania, ponieważ jak wynikało z przekazanych nam wstępnych informacji, już pierwsi gliniarze, którzy dotarli na miejsce, ustalili szybko, że denat, zanim dał nura w stronę chodnika, wypadł przez zamknięte okno.

Samobójcy zwykle je wcześniej otwierają.

Na kolejne pytanie – po co wezwano nas do domniemanego morderstwa w Queens, które przecież podpadało pod miejscowy wydział zabójstw – szybko uzyskałem odpowiedź. Ofiarą był dyplomata.

Rosyjski dyplomata.

Podchodząc do kamienicy, spojrzałem w górę i zobaczyłem kilku facetów wychylających się z okien na ostatnim piętrze budynku, bezpośrednio nad namiotem. Domyśliłem się, że to właśnie miejscowi. Dziesięć do jednego, że nie są zachwyceni na nasz widok. Wszystko wskazywało też na to, że ofiara frunąc w stronę chodnika, jakimś cudem ominęła gałęzie drzew, co nie najlepiej wróżyło, jeśli chodzi o stan zwłok.

Weszliśmy z Aparo do namiotu. W środku zastaliśmy kilku techników zajętych robieniem zdjęć, pobieraniem próbek i innymi lamerskimi czynnościami, które zazwyczaj wykonują. Zapytałem o koronera. Był ciągle na miejscu, czekając na zielone światło, żeby zabrać ciało do swojego pozbawionego okien legowiska. Szybko wystąpił z szeregu jajogłowych. Nie znaleźmy się, podałem więc swoje personalia. On nazywał się Lucas Harding i miał podobnie irytująco swobodny sposób bycia jak wszyscy patolodzy na tej planecie.

Od razu zaprosił nas do swojego królestwa. Wsunęliśmy na buty papierowe kapcie, wciągnęliśmy na ręce obowiązkowe gumowe rękawice i ruszyliśmy za nim.

Widok nie należał do przyjemnych.

Co zresztą raczej nie dziwiło w przypadku ciała, które rozbiło się o betonowy chodnik, pokonawszy uprzednio dzielące je od niego pięć pięter.

Widziałem przedtem tylko jednego trupa, który spadł z podobnej wysokości, i chociaż w swoim życiu naprawdę napatrzyłem się na krew i flaki, akurat tego widoku nigdy nie zapomnę. Zazwyczaj nie zwracamy uwagi na niesłychaną kruchość naszego ciała, nic jednak nie jest w stanie uzmysłwić nam jej z większą brutalnością niż czyjeś zwłoki rozsmarowane w ten sposób na chodniku.

Chociaż czaszka była tak zmiażdżona, że przypominała zgniecioną przez jakiegoś

gigantycznego bachora plastelinową kulę, ciągle można było rozpoznać, że należała do białego dorosłego mężczyzny o ciemnych, krótko ściętych włosach, około trzydziestki i w niezłej formie – w każdym razie przed upadkiem. Miał na sobie ciemnoniebieski garnitur, podziurawiony w paru miejscach – poniżej lewego łokcia i obok prawego ramienia – przez potrzaskane kości, które przebiły się przez materiał. Jedna, całkiem spora, kałuża krwi zebrała się wokół głowy, druga na lewo od ciała, skąd spływała strużką po lekko pochyłym chodniku do szerokiej szczeliny w betonie. Najbardziej makabryczny widok stanowiła jednak szczeka. Wyglądało to tak, jakby wzięła na siebie bezpośrednie uderzenie i została wyszarpnięta ze stawów – zwisała z boku niczym przerośnięty pasek, który odzepił się od wojskowego hełmu.

Musieliśmy też omijać kawałki szkła rozrzucone wokół ciała.

Harding zauważył, że na nie zerkam.

– Owszem, szkło pasuje do tego, co czytamy z ciała – wyjaśnił. – Rozkład rąk sugeruje, że wyciągnął je, żeby zamortyzować upadek. To oczywiście bezcelowe, ale nie da się zwalczyć odruchu. Potwierdza jednak, że kiedy upadał, żył i był świadomy. Pozycja, w której wylądował, w relacji do krawędzi budynku również potwierdza przyjętą wersję. Samobójcy najczęściej skaczą prosto w dół. Nikt nie robi tego z entuzjazmem; nie przypomina to skoku z trampoliny. Zwykle wykonują tylko krok poza gzyms, ale gdyby tak było w tym przypadku, spodziewałbym się ciała kilkadziesiąt centymetrów bliżej budynku, a nie tam, gdzie je znaleźliśmy. Ten facet wyleciał z okna z impetem. Gdyby chodnik nie był tutaj tak szeroki, wylądowałby na czymś samochodzie.

– Udało się go zidentyfikować? – spytałem.

Harding potwierdził skinieniem głowy.

– Gliniarze, którzy byli tu pierwsi, znaleźli jego portfel. Niech pan zaczeka, mam tutaj dane. – Przerzucił do tyłu stronę w notatniku i znalazł właściwy wpis. – Nazywał się Fiodor Jakowlew. Mamy potwierdzenie jego tożsamości. Rosyjski konsulat przysłał przedstawiciela.

– Znał go osobiście?

– Znała – poprawił go Harding.

– Ustaliliście czas zgonu? – spytał Aparó.

– Tak, ósma dwadzieścia, plus minus dwie minuty – rzekł koroner. – Prawie że trafił w dwoje przechodniów. To oni zadzwonili na policję.

Zerknąłem na zegarek i domyśliłem się, do czego zmierza Aparó. Była prawie jedenasta. Nasz denat zginął jakieś dwie i pół godziny temu. Co oznaczało, że jeśli to było morderstwo – a w obecnej chwili wszystko na to wskazywało – to dotarliśmy na miejsce stanowczo zbyt późno, a zatem już na wstępie znaleźliśmy się na straconej pozycji.

Rozejrzałem się, po czym zadałem kluczowe w tego rodzaju sytuacji pytanie.

– Czy ktoś znalazł przy nim komórkę? Albo gdzieś obok?

Koroner wykrzywił usta w dziwnym grymasie.

– Nie, przynajmniej nigdzie przy nim. Nikt nam też niczego nie przekazał.

Niedobrze. Na szczęście mieliśmy swoje sposoby na to, żeby odzyskać zawartość jego telefonu. Wystarczyło zdobyć numer. Tylko czy Rosjanie go nam podadzą, co było raczej mało prawdopodobne, zważywszy, że gość był dyplomatą.

– Musimy mieć całkowitą pewność, że teren został dokładnie przeszukany i że nic mu nie wypadło.

– Każę jeszcze raz przeczesać okolicę.

Pożegnawszy się z koronerem, wyszliśmy z namiotu i ruszyliśmy w stronę kamienicy.

Kiedy wchodziliśmy do środka, zauważyłem, że przy frontowych drzwiach jest domofon, ale nie zamontowano tam kamery. Hol był podniszczony, za to wysprzątany. Na ścianie na prawo wisały skrzynki na listy, z których część opatrzone nazwiskami, a pozostałe jedynie numerami mieszkań. Naszym celem było 6E. Odpowiadająca mu skrzynka należała do tych drugich.

Wjechaliśmy rozklekotaną windą na ostatnie piętro. Gdy tylko wysiedliśmy, przywitał nas umundurowany policjant. Z korytarza drzwi prowadziły do trzech mieszkań; numer 6E widniał na tych najbardziej na lewo. Przypuszczałem, że najbliżsi sąsiedzi zostali już przepytani, choć biorąc pod uwagę porę dnia, niektórzy z nich mogli być w pracy.

Weszliśmy do mieszkania. Było ciemne i miało posmak zwietrzałej elegancji. Jak w wielu przedwojennych lokalach, zwracało w nim uwagę staroświeckie, gustowne wykończenie – parkiet, wysokie sufity, zwieńczone łukami drzwi, listwy w misternie rzeźbione korony... Próżno szukać czegoś takiego w nowszych budynkach. Wnętrze – ciemne drewno, kwiatowo-koronkowe wzorki z bogatymi zdobieniami – a nawet zapach natychmiast kazały człowiekowi cofnąć się pamięcią do dawnych dziejów. Mieszkańcy najwyraźniej wynajmowali je od wielu lat. Zdjęcie w ramach na stoliku w korytarzu idealnie korespondowało z aurą całości. Widniała na nim uśmiechnięta para, oboje pod siedemdziesiątkę, pozująca przed jakimś potężnym łukiem skalnym z rodzaju tych, które ogląda się w parkach narodowych na zachodzie. Mężczyznę z fotografii – niskim, o okrągłej twarzy i z rzadką kępką siwych włosów wokół łysego czubka głowy – z całą pewnością nie był denat z dołu. Na ścianie wisały trzy stare ikony: klasyczne wizerunki Marii i Dzieciątka Jezus na niezbyt dużych popękanych deskach.

Na stoliku, w miejscu, gdzie zazwyczaj trzyma się pocztę, leżał jakiś kobiecy magazyn. Zauważyłem nazwisko na przezroczywej foliowej kopercie – Dafne Sokołowa.

Korytarz prowadził do salonu, w którym trzech mężczyzn – dwóch w garniturach i jeden w mundurze – i kobieta stało i rozmawiało przy wychodzącym na ulicę oknie.



Od razu było widać, że w pokoju doszło do jakiejś szarpaniny; świadczyły o tym zniszczony szklany stolik, rozbity wazon i kwiaty rozrzucone na dywanie.

Przedstawivszy się krótko jako Neal Giordano i Dick Adams, mężczyźni w garniturach poinformowali nas, że są detektywami ze sto czternastego posterunku. Mundurowy nazywał się Andy Zombanakis i pracował w tym samym komisariacie. Cała trójka wyglądała na podminowanych, czemu nie należało się dziwić, zważywszy, że pewnie kazano im czekać na nas w mieszkaniu i przekazać nam śledztwo, które uważali za swoje. Zachowywali się tak, jakbyśmy z Aparo wtarabaniili im się na randkę. Co zresztą również można było łatwo zrozumieć, biorąc pod uwagę, z kim rozmawiali.

Kobieta, która wyglądała trochę jak z innej bajki, przedstawiła się jako Larisa Czołmiczewa. Reprezentowała rosyjski konsulat i była skończoną pięknoscią. Siedmiocentymetrowe szpilki zrównywały jej wzrost z moim, jej szczupłe ciało obfitowało we wszelkie właściwe krągłości, które nęcąco szczelnie wypełniały jej szyte na miarę granatową spódnicę i żakiet oraz białą koszulę, miała też najbardziej olśniewające usta i błękitne oczy, jakie widziałem w życiu, całość zaś wieńczyły perfekcyjnie uczesane jasnokasztanowe włosy, skłaniające się zresztą bardziej ku ognistej czerwieni niż statecznemu brązowi. Spojrzałem ukradkiem na mojego świeżo rozwiedzonego partnera i przed oczyma niemalże stanęły mi kosmate migawki, jakie z całą pewnością właśnie formowały się w jego lubieżnej wyobraźni. Zważywszy na sytuację, trudno się dziwić. W takim towarzystwie każdemu mężczyźnie zrobiłoby się miękko w kolanach.

Na szczęście mnie samemu udało się pozostać dżentelmenem.

– Przykro mi – powiedziałem. – Znała go pani?

– Właściwie nie bardzo – odparła. – Spotkaliśmy się parę razy na różnych oficjalnych przyjęciach, ale w pracy rzadko się widywaliśmy.

Mówiła z ledwie wyczuwalnym słowiańskim akcentem. Przez co jej głos wydawał się jeszcze bardziej seksowny.

Skup się!

– Kim był denat?

– Nazywał się Fiodor Jakowlew. Pracował jako trzeci sekretarz w naszym konsulacie. W Wydziale Spraw Morskich.

Wydział Spraw Morskich. Pierwsze słyszę.

– A pani? – zapytałem. – Mówiła pani, że nie widywaliście się w pracy.

Wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni żakietu wizytówkę i wręczyła mi ją. Przeczytałem na głos widniejące pod nazwiskiem stanowisko.

– Radca do Spraw Publicznych.

No cóż, przynajmniej nie „attaché”.

Pozwoliłem, by słowa wisiały przez chwilę w powietrzu, po czym podniosłem

wzrok znad wizytówki i spojrzeliśmy sobie w oczy. Uśmiechnąłem się leciutko, ale znacząco. Prawdopodobnie od razu domyśliła się, o co ją podejrzewam, ale najwyraźniej w ogóle nie zbiło jej to z tropu. Wiele razy tańczyłem już tego walca – z chińskimi, francuskimi czy izraelskimi „dyplomatami”. Jednak największymi mistrzami, prawdziwymi królami tego akurat parkietu bez wątpienia byli Rosjanie.

To tyle, jeśli chodzi o szpiegów.

Nawet jeśli mur berliński i Imperium Zła były już relikdami przeszłości, to ciągle bawiliśmy się w te same stare gierki.

Rosja nie nazywała się już Związkiem Radzieckim, herszci KGB i ich kamraci ze świata przestępczego nie władali teraz „narodem”, ale bezpośrednio zarządzili państwem, a komunizm leżał w płytkim grobie, na którym dzika i wypaczona tamtejsza wersja kapitalizmu tańczyła skoczną *kalinkę*. Nie oznaczało to jednak, że staliśmy się nagle przyjaciółmi. Choć nie było już między nami różnic ideologicznych, nienawidziliśmy się zupełnie tak samo jak dawniej i zarówno my, jak i oni marnowaliśmy mnóstwo czasu i środków na szpiegowanie się nawzajem.

My mieliśmy szpiegów tam, a oni tutaj. Głównie chodziło o tych wysyłanych przez Rosjan jak za starych dobrych czasów: niektórzy przybywali na placówkę pod „oficjalną przykrywką”, co oznaczało, że dostawali jakąś nudną robotę w ambasadzie lub konsulacie, zazwyczaj jako attaché albo radcy; inni, ci bardziej skłonni do brawury, pod przykrywkami „nieoficjalnymi”, jako „nielegalowie”, czyli osoby pozbawione rządowego parasola ochronnego, w wypadku zatrzymania niemogące się zasłonić immunitetem dyplomatycznym. Biorąc więc pod uwagę to, że za szpiegostwo groziły dosyć wysokie kary – na przykład kara śmierci – ci drudzy ryzykowali o wiele bardziej niż ci pierwsi.

Był jeszcze zupełnie nowy chów – „agenci penetrujący”, jak Anna Chapman i jej niewydarzona świta lalusiów, których kilka lat temu namierzaliśmy i wydaliliśmy z kraju. Media miały niezły ubaw, roztrzęsając, jakie to zagrożenie dla bezpieczeństwa naszego wspaniałego narodu mógł stanowić ten wypindrzonej rudzielec i grupka jego uzależnionych od Facebooka fanów. Prawda wyglądała jednak tak, że rosyjskim szpiegiem w naszych szeregach mogła być na przykład absolwentka Uniwersytetu Nowojorskiego, zaczynająca gdzieś karierę jako stażystka, następnie wplątująca się w romans z jakąś szyszką pracującą w jednej z branż interesujących Kreml – finansowej, przemysłowej, politycznej, telewizyjnej i tak dalej – i ostatecznie lądująca na wygodnej posadzie w którejś z ważnych instytucji, skąd byłaby w stanie wysłać do ojczyzny cenne poufne informacje.

Nie chodziło już o to, żeby pokonać przeciwnika militarnie. Wszystko kręciło się teraz wokół pieniędzy i uzyskania przewagi ekonomicznej. A jeżeli atak terrorystyczny czy wojna w innym kraju mogły przy okazji nas zdekoncentrować, osłabić lub doprowadzić do bankructwa jako społeczeństwo – to tym lepiej.

Mieliśmy na dole martwego trzeciego sekretarza i na górze panią radcę jako pomoc w śledztwie.

Faktycznie, jak w starych dobrych czasach. Tyle że gorzej.

Odwrociłem się i rozejrzałem po pokoju. Stała w nim sofa w kwiecisty wzorek,

dosyć zużyta, oraz dwa fotele po obu jej stronach. Naprzeciw zobaczyłem wielki stary telewizor, a wzdłuż bocznych ścian regały. Były zavalone książkami, pomiędzy którymi ukrywała się wieża stereo, również z poprzedniej epoki, podłączona do potężnych kolumn postawionych na najwyższych półkach. Umebłowanie uzupełniał rozbity szklany stolik, który zauważyłem już wcześniej. Ogromne okno wychodziło na ulicę. Z jego drewnianej ramy straszyły ostre kawałki szkła.

– No to na czym właściwie stoimy? – zapytałem policjantów, wskazawszy na otaczający nas bałagan. – Udało się już coś ustalić? Rozumiem, że to nie jest mieszkanie Jakowlewa?

– Nie – odparł Giordano, po czym wręczył mi oprawione w ramkę zdjęcie. Była na nim ta sama para co na fotografii w korytarzu, tyle że tym razem pozowała w jakimś słonecznym kraju. Pewnie wakacyjna fotka. – To Leonid Sokołow i jego żona Dafne. Mieszkają tutaj.

– Więc gdzie są teraz?

– Chyba widać, że ich nie ma, nie? – wtrącił się Adams.

Ton jego głosu był nieszczerze przyjazny. Z jednej strony miałem to gdzieś. Z drugiej jednak nie chciało mi się tracić czasu na szczeniące fochy w ramach sporu o jurysdykcję. Zbyt często oglądałem to w kiepskich filmach, żeby znosić to dodatkowo w realu.

– Sokołow uczy we Flushing High – dołączył do nas Giordano. – Dziś rano nie pojawił się w pracy.

– A jego żona?

– Jest pielęgniarką w Szpitalu Góra Synaj. Miała właśnie nocną zmianę, wyszła z pracy o siódmej.

– Po niej też ani śladu? – upewnił się Aparo.

Giordano pokręcił głową.

– Nie. Rozejrzeliśmy się po mieszkaniu. W łazience szczoteczki do zębów, w łóżku ktoś spał, okulary do czytania na nocnym stoliku. W szafie w korytarzu jest schowanych kilka walizek; dokładnie tam, gdzie należałoby się ich spodziewać. Nie wygląda na to, że zrobili sobie wycieczkę. W dodatku w tosterze są ciągle dwie kromki chleba.

To już było bardzo dziwne.

– Niespodziewana wizyta? Wtargnięcie? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Może.

Skinąłem głową i omijając resztki stolika na dywanie, podszedłem do okna. Spojrzałem w dół. Bezpośrednio pod nami stał namiot. Przeniosłem wzrok na drugą stronę ulicy. Miałem nadzieję, że wznosi się tam budynek podobny do tego, w którym przebywałem. Być może któryś z jego mieszkańców coś widział. Niestety, ciągnął się tam tylko rząd parterowych pawilonów ze sklepami. Sokołowowie i ich sąsiedzi mieli

wspaniałą widok. My nieco gorszy.

– Ktoś słyszał albo widział coś użytecznego? Sąsiedzi, przechodnie na ulicy?

– Wysłaliśmy mundurowych i detektywów, żeby wysondowali wszystkich w okolicy – poinformował Zombanakis – ale na razie nic to nie dało.

Spojrzałem na Larisę.

– Po co Jakowlew tutaj przyszedł? Co tu robił?

– Nie wiem. Rozmawiałam z pierwszym sekretarzem Wydziału Spraw Morskich, jego bezpośrednim przełożonym. Z tego, co wie, Jakowlew nie miał tutaj żadnych służbowych spraw do załatwienia.

– A czy znał Sokołowów?

– Nic nam o tym nie wiadomo – odparła. – Ale musimy porozmawiać z jego znajomymi.

– Był żonaty? – wtrącił się Aparo. – Może ma jakichś krewnych, z którymi powinniśmy pogadać?

– Był kawalerem – wyjaśniła. – A jego krewni są w Rosji.

– Dziewczyna? – nie ustępował mój partner. – Chłopak? Sponsor?

No tak, istny z niego król taktu. Dyskretnie zgromiłem go wzrokiem, na co on jak zwykle odpowiedział obłudnie zdziwionym spojrzeniem typu: „No co?”.

Larisa nawet nie drgnęła.

– W każdym razie nikim takim się nie chwalił – odparła beznamiętnym tonem. – Proszę posłuchać, wszystko to wydarzyło się zaledwie parę godzin temu i cały konsulat jest w szoku. Wkrótce uda nam się zdobyć więcej informacji. Proszę mi wierzyć, zależy nam na wyjaśnieniu tego co najmniej tak samo jak wam.

Skinąłem głową i jeszcze raz spojrzałem na fotografię. Leo i Dafne Sokołow. Sympatyczni starsi państwo, na oko zupełnie nieszkodliwi. Tacy, których każdy z nas życzyłby sobie mieć za sąsiadów. Tyle że najwyraźniej coś z nimi było nie tak. Co do tego nie miałem wątpliwości. Nie sądziłem jednak, by cokolwiek mogło wynikać z naciskania Larisy. Nawet gdyby coś wiedziała, i tak zatrzymałaby to dla siebie.

Mimo to postanowiłem zapytać; tak tylko, gwoli formalności:

– A Sokołowowie? Czy powinniśmy coś o nich wiedzieć? Mieli dzieci?

Nigdzie nie widziałem zdjęć dzieci albo wnuków.

– Wygląda na to, że nie, ale nie mamy pewności – odparł Giordano.

– Czy interesowaliście się nimi z jakiegoś powodu? – zapytałem Larisę.

– Nie. Zresztą trudno, żeby tak było. Jak pan pewnie zdaje sobie sprawę, w tym mieście żyją setki tysięcy Rosjan. Nie przyglądamy się im bardziej, niż to konieczne. A oni kontaktują się z nami tylko wtedy, gdy pojawia się jakiś problem.

– I jak rozumiem, tak właśnie było w wypadku Sokołowów, w każdym razie do dzisiejszego poranka.

Wzruszyła ramionami i potwierdziła skinieniem głowy.

– Na to wygląda.

– Czy był jakiś powód, dla którego ktoś chciałby na nich napaść? – spytałem.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– No cóż, mogło dojść tutaj do konfrontacji i jedno z Sokołowów ostatecznie wypchnęło Jakowlewa przez okno. Chociaż z tego, co widziałem, facet był w niezłej formie i trudno mi sobie wyobrazić, że Leo albo Dafne pokonali go w fizycznej walce.

– Chyba że któreś z nich miało czarny pas w karate, o czym nie wiemy – wtrącił swoje trzy grosze Aparo, raczej mało konstruktywnie.

– Jasne, zawsze istnieje taka możliwość – przyznałem tylko trochę sarkastycznym tonem.

– Mogli mu też podać narkotyki – dodał.

– Koroner powinien to ustalić, prawda? – zasugerowała Larisa.

– Owszem, otrzymamy pełen raport toksykologiczny na temat ofiary. Ale równie dobrze Sokołowowie mogli nie mieć z tym nic wspólnego. A może popadli w tarapaty i zwrócili się do Jakowlewa o pomoc? Może byli znajomymi, a on pojawił się tutaj w nieodpowiednim momencie, przeszkodził im w czymś i za to wypchnęli go z okna? – Odwróciłem się do policjantów. – Tak czy inaczej Jakowlew z całą pewnością przyszedł tutaj, wywiązała się bójka i ostatecznie on wylądował na chodniku, a oni zniknęli. Kluczem do sprawy są Sokołowowie, więc musimy ich odnaleźć. Czy co do tego wszyscy się zgadzamy?

– Faktycznie, mamy szczęście, że trafiliśmy na prawdziwych zawodowców – powiedział kwaśno Adams. – My nadajemy się tylko do brudnej roboty.

Zignorowałem jego uwagę.

– Czy był wystawiony za nimi list gończy? – zapytałem.

Wiem, że brzmi to trochę dziwnie. Nie samo określenie. Pomysł. List gończy wystawiony na parę sześćdziesięcioparolatków, którzy sprawiają wrażenie zupełnie nieszkodliwych obywateli? Im dłużej jednak o tym myślałem, tym większej nabierałem pewności, że wpadli w poważne tarapaty. Trzeba ich było znaleźć.

Tymczasem Adams zrobił teatralnie zmartwioną minę, tak jakby łamał sobie nad czymś głowę, po czym nagle rozpromienił się, jakby doznał olśnienia, i zawołał:

– Psiakość, dlaczego sami na to nie wpadliśmy? – Odwrócił się do swojego partnera i wskazał kciukiem na nas. – Patrz i się ucz. Ci federalni są niesamowici. Naprawdę szacun.

Wyraźnie próbował mnie sprowokować, żebym dostarczył mu pretekstu do zaognienia sytuacji. Sądząc ze zgnębioego wyrazu twarzy jego partnera, robił to nie po raz pierwszy. Nie miałem jednak zamiaru złapać się na tę przynętę. Za to Aparo, który stał trochę z boku, przeglądając zawartość półek, natychmiast się odwrócił, ale zgromiłem go wzrokiem, rozkazując niemo, żeby nie dał się wyprowadzić

z równowagi.

– W porządku – powiedziałem. – Zanim znajdziemy Sokołowów, musimy odpowiedzieć na więcej niż parę pytań. Zaczniemy od samego początku. W jaki sposób Jakowlew się tutaj dostał? Przyjechał samochodem, autobusem, metrem, a może taksówką? Czy ktoś go widział? Był sam? – Spojrzałem znacząco na detektywów. Nie zareagowali. – Czy ktoś oprócz niego był już wtedy w mieszkaniu, a jeżeli tak, to skąd się tu wziął? Poza tym co się stało z komórką Jakowlewa? Tutaj też jej nie znaleźliście, prawda?

Adams pokręcił głową.

– Na dole nie ma po niej śladu, a przecież musiał mieć telefon – wyjaśniłem. – Kto jeszcze był tutaj? Bo najwyraźniej ktoś był. Sokołowowie? Ktoś inny? Tak czy inaczej, kiedy i którędy wyszli? Czy w budynku jest tylne wejście, a może jeszcze jakieś? Czy ktoś ich widział? Czy mieli samochód, a jeżeli tak, to gdzie jest teraz? – Przerwałem, czekając, aż przetrawią ten strumień pytań. – Mamy więc przed sobą kupę roboty – dodałem po chwili, spojrzawszy na Adamsa – a wy albo przestajecie pajacować i poudawacie przez chwilę, że lubicie swoich kumpli z Federal Plaza, przez co wszyscy zrobimy coś pożytecznego, albo kończycie marnować nasz czas i zbieracie dupy w troki, a my zajmiemy się swoją robotą. Wybór należy do was. Ale zdecydуйте się szybko, tu i teraz.

Giordano spojrzał na Adamsa.

– Zostajemy – powiedział. – I cieszymy się, że możemy pomóc. Ale pod warunkiem, że będziecie nas informowali o wszystkim, czego się dowiecie. Obustronna współpraca.

– Jasna sprawa.

– A aresztowania dokonamy wspólnie – dodał.

– Żaden problem. Chociaż jeżeli wylądujemy nagle na drugim końcu świata, może to być trochę trudne.

Aparo zachichotał.

– W jego wypadku przeważnie tak to się właśnie kończy – powiedział, mając na myśli mnie.

Popatrzyłem na Adamsa, który wymienił spojrzenia z Giordanem.

Po chwili, zmarszczywszy brwi, skinął niechętnie głową.

– Dobra. Niech będzie.

– Słuchajcie – rozładował napięcie Aparo – czy to tutaj było już otwarte, kiedy weszliście?

Odwróciliśmy się wszyscy, żeby zobaczyć, o co mu chodzi.

Wskazywał na wieżę stereo. Podszedłem, żeby przyjrzeć się jej uważniej.

Składało się na nią kilka staroświeckich, czarnych, nieporęcznych modułów – wzmacniacz, tuner, magnetofon kasetowy i odtwarzacz CD. Magnetofon miał dwie

kieszenie, ale to odtwarzacz CD przyciągnął wzrok Aparo. Był to swego czasu nowoczesny model, w którym można było zmieścić aż pięć płyt na szufladzie wielkości płyty gramofonowej. Ta wysuwała się po wciśnięciu klawisza „Eject”, umożliwiając ułożenie kolejnych dysków we właściwych miejscach na obracającym się talerzu. Obecnie była właśnie wysunięta. Przyjrzałem się jej. Leżały na niej cztery płyty CD. Najdalsze miejsce – to, w którym znajduje się pierwsza płyta do odtwarzania po wciśnięciu „Play” – było puste.

Co było dosyć dziwne. Choć trudno stwierdzić, czy miało jakiegokolwiek znaczenie.

Aparo z kpiącym uśmiechem na ustach przyglądał się tytułom płyt.

– Nieźle. Sama klasyka i opera. A biorąc pod uwagę rozmiar tych głośników... Sąsiedzi muszą naszych starszków uwielbiać.

Spojrzeliliśmy wszyscy na niego zmęczonym wzrokiem.

Wzruszył ramionami.

– No co, tylko mówię.

– A co z dziennikarzami? – zapytał Giordano. – Czekają na oświadczenie.

Zastanawiałem się przez chwilę, po czym wręczyłem mu fotografię w ramce.

– Daj im to. Powiedz, że chcemy porozmawiać z Sokołowami, że tragedia wydarzyła się w ich mieszkaniu, ale że ich przy tym nie było. Dobierz tak słowa i ton głosu, żeby nikt nie pomyślał, że uważamy ich za podejrzanych. To musi być całkowicie jasne. Może nam się poszczęści i ktoś się z nami skontaktuje.

Giordano skinął głową.

– Zajmę się tym.

Przyjrzałem się jeszcze raz pokojowi.

Po pierwsze, rosyjski dyplomata został wyrzucony przez okno po dłuższej lub krótszej bójce; po drugie, zagięła para starszków.

Raczej nie warto ogłaszać pomarańczowego alarmu. A właściwie nawet beżowego.

Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie kręciła mnie ta sprawa. Chodziło w końcu o zwykłe morderstwo, czyli coś, co idealnie wpisywało się w obowiązki miejscowego wydziału zabójstw, przynajmniej na początkowym etapie śledztwa. Nawet taki wrzód na dupie jak Adams poradziłby sobie z nim bez większego problemu. Jedynym powodem, dla którego wezwano na miejsce Aparo i mnie, był rodzaj paszportu, jaki znaleziono przy truposzu. Tak jakbyśmy nie mieli na głowie poważniejszych problemów – zwłaszcza ja, który nie byłem w stanie przestać myśleć o moim szpiegu. Niestety, nie mogliśmy się od tego wymigać. Poza tym gdzieś w tyle głowy jakiś natrętny głosik powtarzał mi raz za razem, że Sokołowowie potrzebują pomocy. A życie nauczyło mnie, że nie można lekceważyć szóstego zmysłu.

Musieliśmy ich znaleźć. I to szybko.



## HRABSTWO DARE, KAROLINA PÓŁNOCNA

Telefon zadzwonił, gdy Gordon Roos wracał właśnie z przedpołudniowego spaceru po plaży. Uwielbiał wydmy Outer Banks. Bryza wiejąca bez przerwy od oceanu, powietrze o słonym smaku działające zbawiennie na jego zatoki, otwarty krajobraz ciągnący się aż po horyzont – odpowiadało mu to o wiele bardziej niż penthouse w Falls Church w Wirginii, w którym mieszkał, zanim odszedł z Firmy na emeryturę. Przebywał teraz wprawdzie trochę dalej od centrum wydarzeń, ale ciągle na tyle blisko, by wkroczyć do akcji, gdy szykowało się coś pikantnego.

Coś takiego jak to.

Sprawdził identyfikator rozmówcy na swojej komórce szyfrowanej 1024-bitowym kluczem RSA, choć właściwie zanim jeszcze zerknął na ekran, i tak wiedział, kto dzwoni. Niewiele osób dysponowało tym numerem, bo nie dosyć, że Gordon Roos był emerytowanym agentem CIA, to w dodatku w żadnym razie nie można go było nazwać człowiekiem towarzyskim. Kilku zmęczonych, wypróbowanych starych kumpli wystarczało mu aż nadto, gdy potrzebował towarzystwa. Czego zresztą należało się spodziewać po kimś, kto przez większość życia w ramach służby ojczyźnie prowadził pod przykrywką niebezpieczne operacje. Nie żeby tęsknił za rozrywkami. Gordon Roos nigdy nie miał cierpliwości do pogawędek o niczym i bankietów, w przeciwieństwie do swojej żony, która ostatecznie doszła do wniosku, że nie może bez nich żyć.

Odebrał, jak zwykle nie odzywając się ani słowem.

Jego rozmówca znał jednak jego obyczaje.

– Z naszymi rosyjskimi przyjaciółmi właśnie skontaktowało się dwóch bandziorów niańczących żonę Sokołowa – powiedział. – Jeden z nich czekał na ich człowieka przed mieszkaniem i nagle zobaczył, jak daje nura w powietrzu. Wpadł w panikę i odjechał. To wtedy ich powiadomili.

Roos nadal szedł przed siebie leniwym krokiem.

– Gdzie są teraz?

– Pilnują jej w jakiejś dziurze. W motelu w Queens, niedaleko lotniska Kennedy’ego. Należy do Rosjan. Ci z ambasady czekają na instrukcje z Moskwy, co robić w nowej sytuacji, kiedy w każdej chwili może się pojawić Sokołow. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Może czas najwyższy wkroczyć do akcji i ją od nich przejąć. Mielibyśmy przewagę nad Sokołowem.

Roos rozważał tę propozycję przez całe cztery sekundy.

– Nie. Zostawimy ją. Niech oni to rozegrają. Sokołow najwyraźniej nie stracił jeszcze do końca jaj. Dopóki mają jego żonę, możemy liczyć na to, że da się zwabić. Nawet jeżeli nie pojawi się w hotelu, to przynęta wypłoszy go z ukrycia. Lepiej nie kołyszmy dodatkowo łodzią, bo go przestraszymy. Musimy tylko być gotowi wkroczyć

do akcji od razu, kiedy się pojawi.

- W porządku. Zorganizuję ekipę.
- Nieoficjalnie, oczywiście.
- Jasne.
- Świetnie. O wszystkim mnie informuj. W dzień i w nocy.
- Załatwione, stary.

Roos się rozłączył.

Idąc w stronę swojego domu wyłaniającego się zza szarpanej wiatrem piaszczystej wydmy, cofnął się myślami do dawnych czasów, do momentu, kiedy wszystko to się zaczęło, wiele lat temu. Do pierwszej, nieoczekiwanej próby nawiązania kontaktu podjętej przez Rosjanina. Do ekscytacji, jaka wtedy wszystkich ogarnęła. Drobiazgowo opracowanego planu. Zielonego światła. Adrenaliny, której zastrzyk poczuł, uruchamiając operację.

Dreszczyku podniecenia na myśl o spotkaniu po raz pierwszy w życiu Rosjanina.

A potem kutas wbił mu sztylet w plecy.

Pieprzony Rusek. Przez niego jego obiecująco rozwijająca się kariera utknęła na długo w miejscu. Żeby tylko utknęła. O mało nie wyleciał z Agencji! Udało mu się jednak otrząsnąć z klęski i poniżenia. Wyprostował wszystko i zrehabilitował się, wieńcząc sukcesem parę innych ważnych projektów – a teraz nagle, ponad trzydzieści lat później, znowu siadali do tej samej partyjki.

Uśmiechnął się w duchu na myśl o tym, co mogły przynieść najbliższe dni. Być może, po tylu latach, koniec końców wyjdzie na swoje. Teraz, kiedy działał na własną rękę, dysponował o wiele większymi możliwościami. „Niezależny kontrahent”. Była to melodia przyszłości, która wieściła niewyobrażalne niegdyś perspektywy. A wystarczyło teraz po nie sięgnąć.

Sokołow może się okazać cenną zdobyczą. Zdobyczą, która po spieniężeniu zapewni mu o wiele bardziej satysfakcjonującą emeryturę. Za żadne skarby nie może dopuścić, by wymknęła mu się z rąk po raz drugi.

## LONDYN, ANGLIA

Mniej więcej w tym samym czasie sześć i pół tysiąca kilometrów dalej na wschód inny mężczyzna otrzymał mniej więcej te same informacje w podobnej rozmowie telefonicznej, tyle że jego rozmówca znajdował się jeszcze ponad dwa tysiące kilometrów dalej na wschód.

W Moskwie.

W Centrali, ściśle mówiąc.

Centralą nazywano obszerny betonowy budynek w kształcie krzyża, wzniesiony w samym środku ogromnego lasu na południowy zachód od miasta.

W Centrali mieściła się siedziba SWR, następczyni osławionego I Zarządu Głównego KGB. Oficjalnie do jej zadań należało zbieranie informacji wywiadowczych za granicą oraz kontrwywiad. Nieoficjalnie – wszelkie działania, które uznano za konieczne dla zabezpieczenia interesów Mateczki Rosji.

Wszelkie.

A gdy pojawiała się jakieś szczególnie trudne zadanie, jego wykonanie powierzano najczęściej komuś z supertajnego wydziału Zasłon, elitarnej jednostki wydzielonej ze Specnazu, rosyjskich sił specjalnych, której członkowie słynęli w branży ze sprawności fizycznej oraz opanowania technik militarnych i wywiadowczych.

A gdy Zasłon dostawał naprawdę nietypowe zlecenie, trafiało ono zwykle do Walentina Budanowa.

Wiedziało o tym bardzo niewiele osób. Z tego prostego powodu, że bardzo niewiele osób wiedziało, że Budanow w ogóle istnieje. Wiedza ta nie była zresztą nikomu do niczego potrzebna. Budanow pracował sam. W cieniu, z którego wyłaniał się tylko wtedy, gdy potrzebował kluczowych informacji albo wsparcia operacyjnego; zwykle w tym wypadku kontaktował się z którymś z wyższych urzędników ambasady albo innym agentem SWR, którzy otrzymywali wówczas polecenie, by dostarczyć mu wszystko, czego sobie zażyczy. A kiedy już się z owego cienia wyłaniał, to, oczywiście, nigdy jako Budanow. Podobnie jak inni agenci SWR podróżował, używając jednej z wielu fałszywych tożsamości. Mówił również płynnie w kilku językach – wyszło, że w siedmiu, kiedy ostatnio je policzył – potrafił też tak się maskować, by przemknąć niezauważenie przez wszelkie kontrole. A przy tych rzadkich okazjach, kiedy musiał wyjść z ukrycia, nigdy nie ujawniał się ani pod nazwiskiem Budanow, ani tym, którego w danym momencie używał.

Był zawsze Kościejem, a jego kryptonim wywoływał paniczny strach w każdym, kto go usłyszał. Zacerpnął go ze starej słowiańskiej baśni.

Kościej nieśmiertelny.

Kościej przebywał właśnie w Londynie. W ciągu ostatniej dekady spędził mnóstwo

czasu w brytyjskiej stolicy. To tam szukali bezpiecznego schronienia wrogowie Kremla. Tam też moskiewskie szyszki i ich kamraci lokowali swoje nielegalnie zdobyte zyski – miliardy inwestowali w fundusze hedgingowe, luksusowe rezydencje i papiery wartościowe. Chodziło o to, że w Londynie nie tylko fantastycznie się mieszało i imprezowało, ale dało się tam też bezpiecznie i skutecznie ukryć gigantyczne fortuny. Gdyby nagle stare przyjaźnie zaczęły szwankować, ich właściciele mieli tam być nieosiągalni dla tych, którzy w ojczyźnie pozostawali u złobu.

Nikt jednak nie był do końca nieosiągalny. Nawet w Londynie. A właściwie nigdzie. Zwłaszcza jeśli zlecenie otrzymał Kościej.

Przebywał w Londynie od sześciu dni, przygotowując się do zdjęcia analityka brytyjskiej Centrali Łączności Rządowej, jedenaście lat wcześniej pozyskanego przez Moskwę, który jednak, jak podejrzewała SWR, został przewerbowany przez angielskie służby wywiadowcze. Wtedy zadzwoniła jego kodowana komórka.

Generał kazał mu porzucić obecne zadanie i natychmiast lecieć do Nowego Jorku.

W e-mailu, w folderze roboczym Gmailowego konta założonego wyłącznie do tej operacji, znajdował się również zaszyfrowany plik.

Plik, który Kościej ściągnął i przeczytał natychmiast po zakończeniu rozmowy.

Plik, który wprowadził Kościeja w głębokie zdumienie.

Analityk otrzymał dar od losu. Mógł sobie pożyczyć jeszcze trochę.

Kościej musiał zdążyć na samolot.

Reszta dnia nie przyniosła żadnych sensacji. Ślęczeliśmy nad sprawą Jakowlewa, ale na razie niewiele udało nam się wskórać.

Wizyty w szkole, w której uczył Sokołow, oraz w szpitalu, gdzie pracowała jego żona, nie wzbogaciły nas o żadne tropy. Jeśli chodzi o tę pierwszą, to po prostu nie przyszedł do pracy, co już wiedzieliśmy. Dyrektor obiecał, że popyta pracowników, czy nie zauważyli ostatnio w zachowaniu Sokołowa czegoś podejrzanego, ale z tego, co się orientował, Rosjanin nie zmienił się ani na jotę: był sumienny, uprzejmy, lubiany przez uczniów, po prostu sympatyczny facet. Wszystko wskazywało na to, że nie miał rodziny, którą należałoby powiadomić albo którą moglibyśmy przesłuchać. Za to Dafne Sokołow miała siostrę – Renę. Kiedy dotarliśmy do Delphi Opticians, jej salonu optycznego przy Steinway, wiedziała już o wszystkim i łagodnie mówiąc, była bardzo zaniepokojona. Po rozwodzie wróciła do panińskiego nazwiska, Karakatsani. Zresztą nie musiała się nawet przedstawiać, bo natychmiast rozpoznaliśmy w niej Greczynkę z pochodzenia.

Spróbowaliśmy ją z Aparo jako tako uspokoić, wyjaśniając, że na razie nie zakładamy przestępstwa – małe kłamstewko, wiem – i zapewniając, że robimy wszystko, żeby znaleźć Sokołowów i sprowadzić ich z powrotem całych i zdrowych. W końcu doszła do siebie, dzięki czemu udało mi się zadać jej parę istotnych pytań.

– Powiedz mi, Reno, twoja siostra i Leo... Czy między nimi wszystko w porządku?

– Oczywiście – odparła gardłowym, głębokim głosem. – Dafne i Leo... Właściwie nigdy się nawet nie kłócili. Po prostu jak w bajce. On kocha ją nad życie, a ona jego. Są jak para nastolatków, co jest nawet trochę dziwne, zwłaszcza w dzisiejszych czasach i w ich wieku. – Wzruszyła rozbrajająco ramionami. – Szczęściarze, co?

– Jak długo są razem?

Przewróciła oczami.

– Od zawsze.

– To znaczy?

Rena zastanowiła się.

– Policzmy. Pobrali się – poszperała w pamięci – jakoś tak w osiemdziesiątym trzecim. Leo nie znał jeszcze miasta, właściwie dopiero co przyjechał. Mieszkał tutaj zaledwie od roku albo dwóch. Nie mówił zbyt dobrze po angielsku, i kiedy nam go przedstawiła, zareagowaliśmy jakoś tak: „To twój facet? Chyba żartujesz”. To znaczy, miły był z niego gość, ale pracował na zmywaku w egipskiej restauracji przy Atlantic Avenue. Moi rodzice, świeć Panie nad ich duszami, mieli większe aspiracje, jeśli chodzi o swoją córkę. Ja zresztą też. Chodziłam wtedy z E.F. Huttonem – nawet nie chcę o nim wspominać. A Leo... Parszywa robota, brak perspektyw i problem z piciem. A pił, wiercie mi, ostro. W rosyjskim stylu. Miał poważny problem. Chociaż

w ogóle nie był agresywny. Żadnych awantur. Po prostu nieszczęśliwy, to było widać jak na dłoni. Smutny, bardzo smutny. Ale trudno ciągle tym tłumaczyć to, że ktoś bez przerwy chodzi nawalony. I Dafne dobrze o tym wiedziała. Mimo to coś w nim dostrzegła i powiedziała: „Wiedziecie co? To on. Jest dobrym człowiekiem. Przekonacie się”. Najśmieszniejsze, że miała rację. – Rena przerwała i nagle spochmurniała. – Gdzie oni są? Co się dzieje? Czego mi nie mówicie?

– Sami niewiele wiemy, po prostu próbujemy ich odnaleźć – zapewniłem, zresztą zgodnie z prawdą. – Ale wróćmy jeszcze na chwilę do Leo. Więc pracował na zmywaku? Jak to się stało, że uczy teraz we Flushing High?

– Sama do końca nie jestem pewna. Z tego, co pamiętam, zaraz jak się poznaliśmy, pomyślałam, że jest naprawdę inteligentny. Nawet po pijaku. Na zmywak – zdecydowanie zbyt inteligentny. Od razu było widać. Ale naprawdę źle mówił po angielsku, poza tym był strasznie zamknięty w sobie. I wtedy uwolniła go od butelki, pobrali się, a wkrótce potem wywalono go z restauracji. Zdaje się, że kuzyn właściciela potrzebował roboty. Leo znalazł więc sobie fuchę woźnego w szkole. Dla nas wszystkich to był niezły obciach. Ale nagle zaczął dawać tu i tam prywatne lekcje, przez co zdobył trochę ekstrakasy. Bóg wie, jak mu się to udało. A potem wieści się rozeszły i dostawał coraz więcej zleceń, zdobył nauczycielskie kwalifikacje i wylądował na etacie nauczyciela. Od tego czasu niewiele się zmieniło.

Widziałem, że w głowie Aparo kiełkuje jakaś celna uwaga w stylu *Buntownika z wyboru*, postanowiłem ją więc uprzedzić, zadając kolejne pytanie.

– I żadnych większych kłótni? Nic, co by cię zaniepokoiło? Co tłumaczyłoby, że nagle ni stąd, ni zowąd postanowili rzucić wszystko i wyjechać?

Rena zmarszczyła czoło, próbując sobie cokolwiek przypomnieć.

– Raczej nie. To znaczy, no wiesz, zawsze wydawało mi się trochę dziwne, że nigdy nie poznaliśmy nikogo z rodziny Leo. Nigdy też o niej nie mówił. Dafne powiedziała, że wszyscy mieszkają w Rosji, a kiedyś przecież nie było e-maili i Skype’a. Tak czy inaczej Leo jest trochę małomówny. Typ samotnika. Co zresztą Dafne raczej nie przeszkadzało. W naszej rodzinie ona też była uważana za milczka. – Rena złagodniała, a na jej twarzy pojawił się słodko-gorzki uśmiech. – Ona była całym jego życiem.

Skinąłem głową i moje myśli znowu zaczęły krążyć wokół Sokołowów. Nie sądziłem, by Rena cokolwiek przede mną ukrywała, co oznaczało, że jeśli się w coś wpakowali, to nie wspomnieli jej o tym ani słowem. Należało zatem popytać gdzie indziej.

I wtedy powiedziała coś, co skojarzyło mi się mocno z moimi własnymi problemami.

– Chyba tylko raz ich związek przeszedł cięższą próbę. Chcieli mieć dziecko, ale im nie wychodziło. Byli wstrząśnięci, kiedy dowiedzieli się, że nie mogą ich mieć. Ale

z czasem ich smutek z tego powodu jakoś się rozwiązał. Uczniowie Leo zajęli miejsce dzieci.

Skinąłem głową, nie mówiąc nic. Tess i ja przeszliśmy przez to samo. Ten sam koszmar, dzięki czemu wiedziałem doskonale, jakie to może być trudne. Ostatecznie musieliśmy się zmierzyć z takim samym rozczarowaniem, które niemalże zmusiło nas do rozstania, i dopiero parę miesięcy temu spotkało nas to szczęście, że niespodziewanie pojawił się mój mały Alex i wypełnił tę pustkę. Wiedziałem dobrze, przez co przeszli Sokołowowie. W zupełności wyjaśniało to brak zdjęć dzieci w mieszkaniu.

– Naprawdę nic więcej nie przychodzi mi do głowy – dodała Rena. – Może jeszcze, że miał świra na punkcie Jankesów. Nie chciałbyś się znaleźć obok Leo w dniu, kiedy przegrają mecz. – Uśmiechnęła się ponownie, co jednak nie przesłoniło wyrazu niepokoju w jej oczach. – Wiem, o czym teraz myślicie. Kłopoty finansowe, przecież wszyscy je mamy w tych czasach. Może hazard. Przypuszczam, że w waszej robocie ciągle się z tym spotykacie. Ale w tym wypadku naprawdę nie chodzi o to. Nie w wypadku Leo. To przeuroczy mężczyzna i bardzo odpowiedzialny. Jak by to powiedzieć, przywiązany do wartości. Żyje w bajkowym świecie. Na przykład jeśli chodzi o Rosję – z całego serca kocha swoją ojczyznę. Niby wszyscy tak mamy, ale on nie stracił tej miłości nawet po tylu latach, nawet przy tej odległości. Wszystkie te nadzieje po upadku muru berlińskiego, obrócone potem w gruzy, wszyscy ci gangsterzy, złodzieje na świeczniku... Naprawdę go to smuciło. Fałszowanie wyborów... Obchodziło go to, rozumiecie? Na przykład sprawa tego aktywisty, który został zamordowany w zeszłym tygodniu, pamiętacie?

– Ilji Szyslenki? – zapytał Aparo.

Spojrzałem na niego z mieszaniną zdumienia i podziwu w oczach. W odpowiedzi mrugnął do mnie, że niby jest z siebie dumny.

– Właśnie. Leo był tym załamany. – Wzruszyła ze smutkiem ramionami. – Dafne mówiła mi, że poszedł nawet pod ich ambasadę i dołączył do demonstrantów. Twierdziła, że nigdy go takim nie widziała. Był naprawdę przybity. I wypił parę kieliszków wódki – według niej o jeden za dużo – czego przez ostatnie lata nie robił. Rozumiecie, o czym mówię? Całkowicie uczciwy człowiek. – Zamilkła, ale po chwili dodała: – Musicie ich znaleźć, proszę.

Wyszliśmy z salonu Reny, wiedząc niewiele więcej niż wtedy, gdy do niego wchodziliśmy. Pozostało nam wrócić do szkoły oraz szpitala i popytać wśród kolegów Leo i Dafne, czy nie przypominają sobie jeszcze jakichś szczegółów dotyczących zaginionej pary. Trzeba było też sprawdzić nagrania z monitoringu w szpitalu, upewnić się, że nikt podejrzany nie kręcił się wokół Dafne, zwłaszcza kiedy wychodziła z pracy. Oprócz tego warto było przejrzeć, co zarejestrowały kamery sklepowe i w bankomatach w pobliżu kamienicy, w której mieszkali Sokołowowie, oraz może

jeszcze zdjęcia i nagrania wideo z komórek przechodniów, świadków upadku Jakowlewa.

Nie wiedziałem, co jeszcze poza tym możemy zrobić. W każdym razie do momentu, kiedy pojawią się jakieś nowe informacje albo Sokołowowie postanowią się do nas zgłosić. Wróciliśmy więc z Aparo do Federal Plaza. Miałem jeszcze do odfajkowania parę drobiazgów w związku z innymi sprawami, nad którymi pracowałem, a potem chciałem pojechać wreszcie do domu i nadrobić stracony czas z Tess, Kim i Alekssem. No i jeszcze raz przemyśleć plan, któremu coraz trudniej było mi się oprzeć.



## LITTLE ITALY, MANHATTAN

Nie zdejmując nawet butów, Sokołow zarzucił nogi na skrzypiące łóżko, oparł się wygodnie i zamknął oczy. Spróbował uspokoić oddech, zaczekać, aż mu się wyrówna puls, nie mógł jednak przestać myśleć o tym, że jego życie, drugie życie, które budował przez dziesięciolecia i które tak bardzo pokochał, właśnie legło w gruzach.

Na ulicy celowo nie dopuszczał do świadomości refleksji na temat okoliczności swojej ucieczki oraz płynących z nich paralizujących konkluzji. Teraz, kiedy wreszcie pozostał sam i – jak miał nadzieję – był bezpieczny, przynajmniej przez jakiś czas, jego umysł wrócił natychmiast do wczesnych godzin porannych tego dnia, kiedy we własnym mieszkaniu doszedł do wniosku, że żona po prostu się spóźnia, bo do głowy mu nie przyszło, że może być w rękach tych złoczyńców.

„Mają Dafne”.

„Mają moją łapuszkę”.

Myśl o tym zmusiła go, by podniósł się z łóżka. Drżały mu wargi i dłonie. Rozejrzał się pełnym paniki wzrokiem po nędznym pokoju hotelowym. Widok idealnie korespondował z jego ponurym nastrojem i rozpaczą, jaka go ogarnęła. Popękane ściany, dwa słupy brudnego żółtawego światła przedzierające się od ulicznej latarni do pokoju przez zniszczone przez mole zasłony. Niemalże słyszał roztocze i karaluchy, pełzające i żerujące gdzieś w dole. Zamknął znowu oczy i spróbował sobie wyobrazić, że jest z powrotem w mieszkaniu w Astorii, słucha ulubionej muzyki z ukochaną Dafne skuloną tuż obok niego na kanapie, ale umysł nie posłuchał go i zmusił do brutalnej konfrontacji z rzeczywistością: w pełni do niego dotarło, że ukrywa się w taniej norze we włoskiej dzielnicy, że jego żona jest przetrzymywana jako zakładniczka i że on sam zabił człowieka.

*W korytarzu zabuczał dzwonek domofonu i Sokołow zerknął na zegarek. No jasne, to Dafne – któż inny mógłby to być o tak wczesnej porze? Pewnie się spóźniła, a klucze posiadała gdzieś na dnie torebki. Nie po raz pierwszy i nie ostatni.*

*– Wchodź, wchodź, łapuszko – powiedział, wpuszczając ją do środka. – Nastawię herbatę.*

*Zostawiwszy otwarte frontowe drzwi, poczłapał z powrotem do kuchni, nucąc pod nosem do rozbrzmiewającego z salonu koncertu Rachmaninowa. Do wyjścia do pracy zostało mu niewiele czasu. Nastawił czajnik i wrzucił do tosterka dwie kromki żytniego chleba, kiedy jednak czekał na odgłosy towarzyszące wchodzącej do mieszkania żonie, poczuł nagle gdzieś w trzewiach niepokój – a obce, zdecydowane kroki, których stukot dobiegł od strony drzwi, tylko potwierdziły jego złe przeczucia.*

*Zesztywniał z przerażenia. Wyszedł z kuchni na korytarz i stanął oko w oko z kimś zupełnie obcym. Sokołow natychmiast domyślił się, że to Rosjanin. I to nie*

zwykły Rosjanin. Agent rosyjskich służb specjalnych. Emitował to niemożliwe do pomylenia z czymkolwiek połączenie arogancji, rozgoryczenia i ledwie powstrzymanej agresji; Sokołow doskonale to znał.

Szczęśliwie nie miał z tym do czynienia od lat.

Znaleźli go.

A biorąc pod uwagę złowieszczą zbieżność w czasie, oznaczało to, że mają też Dafne.

Sokołowowi mało nie pękło serce. Koniec końców popełnił błąd, zaryzykował, tylko raz po tych wszystkich latach, i niemal natychmiast zapłaciła za to jego żona. To bardzo rosyjskie. Prawie tak jak niewzruszony wzrok wbity właśnie w niego.

– Dobroje utro, towarzyszu Szyslenko – przywitał go mężczyzna, nie kryjąc pełnej satysfakcji ironii. Wyciągnął z czarnego skórzanego płaszcza pistolet i wycelował go w pierś Sokołowa.

Ten, nie odrywając wzroku od lufy, cofnął się parę kroków, posłusznie wykonując polecenia sygnalizowane nieznacznymi ruchami w lewo i w prawo pistoletu w dłoniach mężczyzny, aż wreszcie znalazł się we własnym salonie.

– Serdecznie dziękujemy za wskazanie nam miejsca waszego pobytu, i to, najwyraźniej zgodnie z waszymi intencjami, w tak jednoznaczny sposób – powiedział po rosyjsku agent.

Sokołow stał obok wieży stereo.

– Gdzie moja żona? – zapytał, wyciągnąwszy jednocześnie dłoń i wcisnąwszy palcem klawisz odtwarzacza CD. Rachmaninow zamilkł.

Mężczyźnie skwaśniała mina.

– Dlaczego wyłączyliście? Koncert budował miły nostalgiczny nastrój dla naszego spotkania po latach.

– Co zrobiliście Dafne? – łamiącym się głosem zapytał ponownie Sokołow.

– Nic jej nie jest. I nic jej nie grozi, pod warunkiem, że będziecie współpracowali – powiedział agent, siadając w fotelu naprzeciw okna.

Gestem kazał Sokołowowi usiąść na drugim fotelu obok sofy, tuż przy ścianie zasłoniętej zawalonymi książkami regałami, na których stał również profesjonalny zestaw hi-fi oraz para kolumn, na oko dosyć drogich.

Były skierowane tak, że punkt zbiegu dźwięku znajdował się dokładnie tam, gdzie umieszczono bliższy okna fotel. Sokołow spędził wiele godzin, siedząc w nim, czytając „Timesa” i słuchając preludiów Skriabina lub baletów Czajkowskiego. Teraz zależało mu, żeby właśnie w nim siedział jego gość.

– Powinniśmy was obciążyć kosztami, jakie ponieśliśmy, szukając was przez te wszystkie lata zarówno tu, jak i w kraju. Ale mniejsza z tym. Jak tylko oddacie nam to, czego od was chcemy – co nam ukradliście – uwolnimy waszą żonę. Nie mogę jednak tego samego obiecać wam. To nie zależy ode mnie. – Mężczyzna podrapał się

lufą pistoletu w nieogolony policzek. – Czy ona w ogóle wie, kim jesteście?

Sokołow pokręcił głową.

– I bardzo dobrze. Zresztą tak właśnie podejrzewaliśmy. Jej los leży więc wyłącznie w waszych rękach – powiedział agent i nagle na jego twarzy pojawił się dziwny, pełen zmieszania wyraz, a na czoło wystąpiła strużka potu.

Gospodarz mieszkania patrzył nerwowo, jak jego nieproszony gość przekłada pistolet do lewej dłoni, a potem z powrotem, jednocześnie ściągając niezgrabnie płaszcz.

– Czemu tak u was gorąco? – zapytał. – I co to za hałas? – Pomasował sobie z irytacją ucho. – Brzmi, jakby przez ściany przewiercały się karaluchy.

Sokołow nachylił się. Spróbował się opanować i skupić na przeciwniku, co w jego sytuacji nie było łatwe. Wbił spojrzenie prosto w oczy mężczyzny.

– Nie przejmujcie się tarakanczykami. W końcu one się wami nie przejmują. Powiedzcie mi, towarzyszu, jak was zwą?

Mężczyzna zmarszczył czoło i wykrzywił niemiłosiernie twarz, tak jakby nadepnął nagle na gwóźdź. Przez chwilę wydawało się, że głowi się nad zadany mu prostym pytaniem.

– Fiodor Jakowlew – odpowiedział w końcu z nieobecny wzrokiem. – Trzeci sekretarz konsulatu rosyjskiego w Nowym Jorku.

Wyglądał na zagubionego i sam już chyba nie był do końca pewien, czy faktycznie pełni tę funkcję.

Sokołow, już całkowicie skupiony, nie odrywał wzroku od swojego prześladowcy. Wiedział doskonale, że jego życie zależy od tego, co teraz zrobi. Z każdym zdaniem mówił wolniej i niższym głosem, akcentując pozornie przypadkowe sylaby.

– Będą bardzo źli, jeżeli zobaczą broń. Odłóż pistolet na stolik – polecił agentowi.

– Kto? Kto będzie zły?

– Wiesz dobrze, kto będzie zły – mówił dalej Sokołow. – Wściekną się. Może więc udowodnij im, że nie miałeś na myśli nic złego i odłóż pistolet na stół. – Stuknął palcami w blat. – Na ten tutaj stół.

Jakowlew przez chwilę wpatrywał się w niego, po czym powoli odłożył pistolet na dzielący ich stolik. Sokołow nawet po niego nie sięgnął.

Po chwili Jakowlew poprawił się na fotelu i spróbował podnieść broń, tak jakby zdał sobie sprawę, że popełnił śmiertelny błąd.

– Nie! – warknął Sokołow.

Jakowlew cofnął gwałtownie rękę, niczym porażony prądem. Wyglądał jak dziecko, które ktoś trzepnął po paluchach.

Sokołow natychmiast wrócił do poprzedniej niskiej i arytmicznej intonacji.

– Pomyślą, że chciałeś ich skrzywdzić. Podejdz do okna i sprawdź, czy ciągle cię

obserwują.

Mężczyzna miał twarz zlaną potem. Wstał, zostawiając pistolet na szklanym stoliku, i w milczeniu podszedł do okna. Wyjrzał na zewnątrz i uważnie przyjrzał się każdemu fragmentowi okna.

Sokołow siedział nadal bez ruchu na fotelu.

– Widzisz ich?

– Tak.

– Więc już chyba rozumiesz, dlaczego muszę porozmawiać z moją żoną. Będzie się martwić. O nas obu.

Jakowlew skinął głową, po czym wyciągnął komórkę i wcisnął klawisz szybkiego wybierania.

I wtedy wydarzyła się katastrofa.

Dokładnie w tym momencie na zewnątrz przejechał na sygnale wóz strażacki. Ryk syreny wwiercił im się w uszy i zbliżał się coraz szybciej. Jakowlew zamrugał dwukrotnie, spojrzął na pustą dłoń, po czym nagle zlokalizował wzrokiem pistolet na szklanym stoliku. Zanim jednak zdążył odejść od okna, Sokołow wyskoczył z fotela i rzucił się na niego.

Przebiegł przez całe pomieszczenie i całym ciężarem ciała uderzył w zaskoczonego mężczyznę – jego ciało przebiło się przez szybę, nie złapało równowagi na parapecie i poszybowało całe pięć piętér w nowojorskim powietrzu w dół, w kierunku chodnika.

Sokołow usłyszał plaśnięcie i krzyki, ale nawet nie wyjrzał na zewnątrz. Serce waliło mu jak opętane, tak jakby chciało się uwolnić z piersi. Rozejrzał się zrozpaczonym wzrokiem po mieszkaniu, po czym zaczął działać. Podniósł komórkę Jakowlewa z dywanu, na który ten ją upuścił, i schował ją do kieszeni. Zabrał też pistolet Rosjanina. Następnie podszedł do regału i wcisnął klawisz „Eject” w odtwarzaczu CD. Czekał niecierpliwie, aż wysunie się taca. Wyciągnął szybko dysk, który znajdował się na pierwszej pozycji, i ukrył go w drugiej kieszeni.

Po sekundzie wybiegał już z mieszkania, zastanawiając się, czy zdoła się wydostać z budynku żywy i niezauważony przez nikogo.

Wzrok Sokołowa spoczął na cyfrach LED-owego zegara w stylu lat osiemdziesiątych, stojącego na nocnym stoliku, i natychmiast wrócił myślami do terażniejszości.

10.5- – przeczytał. Pewnie oznaczało to pięćdziesiąt ileś tam. Szkoda, że nie miał tabletek na sen. Niczego na świecie nie pragnął bardziej, niż położyć się i zasnąć. Chciał, by ta noc wypaliła się jak najszybciej, by koszmar rozplątał się w niebycie, by wstał nowy dzień i zmył to całe szaleństwo, kierując życie z powrotem na właściwy tor. Pragnął jak najdalej odwlec moment, w którym będzie musiał podjąć decyzję.

Niestety, wiedział, że w ten sposób nie rozwiąże problemu.

Nie odzyska żony.

Przez hałas dobiegający z zewnątrz przebiło się wycie syreny – „kolejnej pieprzonej syreny”. I chociaż Sokołow pasjonował się dźwiękami oraz tym, co niektórzy mogli mylnie uznać za hałas, nienawidził jałowej, przypadkowej kakofonii w rodzaju tej, która wwiercała się do pokoju hotelu przez źle zamocowane okno. Kiedy przyjechał do Ameryki, musiał się długo przyzwyczajać do bezustannego zgiełku charakterystycznego dla wielkich metropolii. W Moskwie, gdy wyjeżdżał, panowała śmiertelna cisza. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że wszystko się tam zmieniło. Najpierw na lepsze – a później na gorsze.

Pomasował sobie twarz i ponownie zerknął na nocny stolik.

Leżał na nim jego portfel, a w nim to, co mu zostało z tysiąca dolarów, które podjął wkrótce po tym, jak wymknął się tylnym wyjściem ze swojej kamienicy. Taki miał dzienny limit, a dobrze wiedział, że kwota ta nie wystarczy na długo, z kolei ponowne użycie karty wydawało mu się raczej złym pomysłem. Położył też tam, obok zegara, pistolet oraz komórkę, które zabrał swojemu nieproszonemu gościowi z Rosji. Musiał je schować – nie mógł się pozbyć obawy, że ktoś je w nocy ukradnie. Zauważył pilota od telewizora. Podniósł go, wetknął do środka wystającą baterię, umocował ją resztką poszarpanej taśmy, na której pozostało jeszcze trochę kleju, i włączył telewizor z lombardu, przymocowany bezsensownie do ściany.

Przerzucił kilka kanałów, aż wreszcie trafił na wiadomości z regionu.

Wkrótce podano najświeższe informacje na temat rosyjskiego dyplomaty, który zginął w Astorii w wyniku upadku z okna. Dziennikarz wyjaśnił, że policja ciągle szuka świadków i nikogo nie podejrzewa – i wtedy na ekranie pojawiła się twarz Sokołowa. Twarz jego i Dafne tuż obok. Nie przedstawiono ich całemu światu jako podejrzanych, ale jako lokatorów mieszkania, z którego wypadł mężczyzna.

W każdej końcówce nerwowej jego ciała rozdzwonił się sygnał alarmowy.

Zdawał sobie sprawę, że te sukinsyny nakarmiły Amerykanów tylko tym, co uznały za stosowne. Co oznaczało, że na boisku królują pacholki *siłowicy*, a nowojorska elita przygląda się z boku.

Cisnął z obrzydzeniem pilotem w telewizor, ale spudłował. Urządzenie rozpadło się na kawałki.

„Co robić?”

Nie mogę pójść na policję, myślał. Z mojego okna właśnie wyleciał rosyjski agent, na litość boską! Zresztą co niby miałbym im powiedzieć? „KGB” – nie, FSB, bo teraz tak ci gangsterzy nazywali samych siebie, choć byli to dokładnie ci sami ludzie, te same sadystyczne zbiry, nowa, błyszcząca, pozornie zdemokratyzowana wersja tej samej starej morderczej maszyny – „FSB porwało moją żonę?”

„Dlaczego miałoby to zrobić, panie Sokołow?” – zapytaliby gliniarze. I co niby miałyby im wtedy odpowiedzieć, co miałyby odpowiedzieć, żeby nie poskutkowało to

zupełnie innym rodzajem bólu zadany przez zupełnie inny rodzaj morderczej maszyny; bólu, który dotknąłby nie tylko jego, ale i Bóg wie ilu innych... A wszystko to w wyniku daremnej, nierozważnej próby ocalenia ukochanej. Bardziej niż nierozważnej. Żałośnie naiwnej, naprawdę, ponieważ wiedział doskonale, że wołanie o pomoc zakończyłoby się w tym wypadku totalną katastrofą. Wiedział, że Amerykanie również nie wypuściliby go z rąk. Nie zwróciliby mu wolności, dzięki której mógłby nadal niezauważenie żyć, nikomu nie szkodząc, żyć szczęśliwie aż do śmierci u boku swojej ukochanej Dafne. Wystarczyłoby, żeby się dowiedzieli, kim naprawdę jest. A już zwłaszcza gdyby dorwali w swoje łapska to, czego od niego chcieli.

Nagle uderzyła go pewna myśl.

„Jeżeli nie wiedzą, kim jestem naprawdę, to pewnie uważają mnie za mordercę”.

Poszukiwany. Zbieg, ścigany – nawet jeśli nie mówią jeszcze tego głośno.

Czyżby chcieli go zwabić, skłonić do tego, żeby sam do nich przyszedł?

„Może jednak wiedzą?”

Zaczął dygotać jeszcze mocniej.

Nie, nie może iść na policję.

Co nie pozostawiało mu zbyt wielu opcji. Właściwie żadnej. Był zdany tylko na siebie, wygnaniec z ojczyzny w pogrążającym się w mroku mieście, poszukiwany, jego zabrane z mieszkania zdjęcie z wakacji na Kostaryce migotało na ekranach wszystkich radiowozów w Nowym Jorku, policja chciała go przesłuchać w sprawie podejrzanej śmierci rosyjskiego urzędnika dyplomatycznego.

Zdany tylko na siebie.

Myśl ta krążyła wokół niego coraz ciaśniej, a miasto wydawało mu się mroczniejsze niż kiedykolwiek indziej.

Musiał wszystko wyprostować. Dla dobra Dafne. Musiał poruszyć niebo i ziemię, żeby ją ocalić. Nic innego się nie liczyło. Była światłością jego życia, jedynym podarunkiem od losu, jaki dostał w całym życiu. Życiu, którego tor wyznaczały poza tym fatalne, błędne decyzje.

Zastanawiał się, w jakim Dafne jest stanie. Jego wyobraźnia zbłądziła na pełne makabrycznych obrazów terytoria, a on spróbował ją powściągnąć. Poczł ucisk w gardle na myśl o tym, że jego żona właściwie nie ma nawet pojęcia, dlaczego ją porwano. Jest przestraszona, a raczej przerażona – choć z pewnością nie da swoim porwaczom satysfakcji i nie pokaże tego po sobie. Trzydzieści osiem lat jako pielęgniarka – w tym ostatnie jedenaście w Szpitalu Góra Synaj w Queens – sprawiło, że Dafne była twarda niczym komandos, choć Sokołow wiedział, że w głębi pozostała delikatną, słodką dziewczynką, którą poznał trzydzieści lat temu.

On też musiał być twardy.

Robił to już przedtem. Musiał poddać się znowu drzemającym w nim instynktom i sprawić, by niemożliwe stało się rzeczywistością.

Sam na siebie sprowadził to przekleństwo. Całe. Już na samym początku. Już w dniu, kiedy jako ciekawski czternastolatek dokonał brzemiennego w skutki odkrycia w domu swoich przodków.

Tamtego dnia uruchomił cały ten ciąg wydarzeń.

Ich dom nie był okazały. W takich w sowieckiej Rosji mieszkali chyba tylko członkowie Politbiura. Rodzina Sokołowa nie zaliczała się do nich. Wychował się w wiejskiej chacie na niewielkim skrawku ziemi w Karowie, dziesięć kilometrów od najbliższej wsi i sto pięćdziesiąt kilometrów na południe od Moskwy.

W niej zamieszkał i umarł jego dziadek. Sokołow znał doskonale historię swojej rodziny. A w każdym razie tak mu się aż do tamtego dnia wydawało.

Ojciec powiedział mu, że jego dziadek przybył tam wkrótce po rewolucji 1917 roku. Osiedlił się w wiosce po straszliwej podróży, jaką odbył z Petersburga przez spustoszony przez wojnę domową kraj. Zauroczył go idylliczny krajobraz pełen brzoźowych lasów, skarp oraz łąk łęgowych, które ciągnęły się wzdłuż brzegów krętej rzeki Oka. W lepszych czasach Karowo było majątkiem, na który składał się dwór, sześć wiosek i sporo dobrej ziemi. Ze strumienia doprowadzono tam pompą grawitacyjną wodę; młyn parowy mielił żyto, jęczmień i grykę; w gorzelnii pędziło się wódkę z ziemniaków. A potem teren przejęli bolszewicy. Właściciela wyrzucono, a jego majątek został przekształcony w kołchoz – kolektywne gospodarstwo wiejskie. W dworze urządzono ośrodek szkoleniowy dla nauczycieli, a po drugiej wojnie światowej zamieniono go na sierociniec dla tysięcy dzieci pozbawionych domów w wyniku działań wojennych. W chłopięcych czasach Sokołowa w walącym się dworze utworzono ośrodek wypoczynkowy dla robotników gigantycznej elektrowni turbinowej w Kałudze, jakieś czterdzieści kilometrów na zachód. Był już wtedy jedynie cieniem dawnej świetności.

Misza pracował w polu. Ożenił się z praczką, jeszcze niedawno pracującą w majątku dziedzica. Urodziło im się siedmioro dzieci, dzięki czemu zapewnili ojczyźnie silne ręce do uprawy ziemi i wyżywienia mas pracujących. Dwoje z nich zmarło w trakcie stalinowskiej wielkiej czystki, a resztę niemal do nogi wybiła druga wojna światowa. Na różnych polach bitew zginęło czterech wujów Sokołowa. Jego ojciec jednak przeżył i udało mu się wrócić bezpiecznie do Karowa, gdzie wkrótce poszedł w ślady rodziciela i zaczął pracować w polu. Po wojnie brakowało mężczyzn, mogli za to przebierać w pięknych kobietach jak w ulęgałkach. Ojciec Sokołowa ożenił się z Aliną, córką nauczyciela, która urodziła mu czworo dzieci, samych chłopców. Sokołow przyszedł na świat w 1951 roku jako najmłodszy z nich.

Jak to w Związku Radzieckim, życie w Karowie było ciężkie. Rodzice Sokołowa ciężko harowali, w zamian otrzymując głodową płacę. On również musiał pracować, podobnie jak jego bracia, i to od najmłodszych lat. Życie pod rządami Sowietów oferowało niewiele atrakcji, trudno też było znaleźć w czymkolwiek pociechę. Ziemia

była twarda i trudna w uprawie. W ogromnych, opalanych drewnem piecach niełatwo dało się podtrzymać ogień. Wodę do picia targano w wiadrach z odległej studni. Przybudówka obok chaty przez większość roku tonęła w głębokim po kostki błocie. Brakowało jedzenia, bo kolektywne gospodarstwa były mało wydajne i źle prowadzone. Wiejski sklep świecił pustkami. Głód zagryźć często można było tylko zmarzniętymi ziemniakami, burakami, kapustą i cebulą.

Nic dziwnego, że w tych trudnych warunkach Sokołow, kiedy tylko mógł, szukał ucieczki w świecie fantazji. Zwłaszcza jego matka była wyśmienitą gawędziarką, istną kopalnią wiedzy. Gdy jego ojciec upijał się każdego wieczoru przed snem, raczyła Sokołowa oraz jego braci niezliczonymi opowieściami i baśniami. Ponieważ w scentralizowanym marksistowsko-leninowskim systemie edukacyjnym, w ramach którego dorastał Sokołow, kolektyw był ważniejszy od jednostki, twórcza wyobraźnia nie spotykała się z przychylnym przyjęciem. Jego matka miała jednak na ten temat własne zdanie i celowo rozpalala jego fantazję, podsycala żarłoczną ciekawość świata. Wyobraźnia stała się dla niego rodzajem ucieczki od ciężkich warunków życia codziennego, zwłaszcza po przedwczesnej śmierci matki, która zmarła na gruźlicę, gdy miał dwanaście lat.

Pewnego dnia matka opowiedziała mu historię makabrycznego odkrycia w pałacu Jusupowa, dawnej siedzibie bogatej rosyjskiej rodziny i domu Feliksa Jusupowa, jednego z morderców Grigorija Rasputina. Odkrycie to miało miejsce tuż po rewolucji, kiedy bolszewicy przejęli władzę i wysłali Jusupowów, podobnie jak resztę arystokracji, przed plutony egzekucyjne lub do więzień, w których mieli gnić aż do śmierci. W mieszkaniu babki Feliksa, niegdyś uważanej za najpiękniejszą kobietę w Europie, znaleziono sekretną komnatę. Natrafiono w niej na trumnę zawierającą gnijące szczątki mężczyzny – jak się okazało, kochanka arystokratki, rewolucjonisty, którego ona ocaliła przed więzieniem. Ukrywała go w pałacu przez wiele lat, nawet po jego śmierci. Sokołow słyszał mnóstwo historii o tajemnych komnatach, pełnych skrzyń z klejnotami i innymi kosztownościami, które odkrywano po rewolucji w domach i pałacach należących do arystokratów; komnatach, które ci ostatni pośpiesznie maskowali przed ucieczką cienką warstwą pociągniętego farbą gipsu. Często zakradał się do starego dworu i szukał takich ukrytych pomieszczeń, marząc o tym, jak to będzie, gdy odnajdzie skarb.

Kiedy jednak w końcu na coś trafił, nie był to skarb; nie znalazł też tego w starym dworze.

W piwnicy wiejskiej chaty należącej do jego ojca odkrył niewielką ukrytą alkowę. Wszystko wskazywało na to, że od wielu lat nikt do niej nie zaglądał. Odnalazł ją przypadkiem, kiedy chował się przed braćmi, i początkowo w ogóle nie zrobiła na nim wrażenia: żadnego złota, srebra, nic z tych rzeczy. Leżały tam tylko trzy stare gnijące zeszyty oprawione w miękką skórę i związane razem kawałkiem sznurka.



Sokołow nie miał pojęcia, że to, co odnalazł, jest o wiele cenniejsze – i ważniejsze – niż nawet największa skrzynia kosztowności.

Nikommu nie pisnął ani słowa. Gdyby jego matka jeszcze żyła, z pewnością powiedziała by jej o znalezisku. Ale odeszła dawno temu, a jego ojciec, cyniczny pijak, nie był tego wart. Nie wspomniał też o niczym swoim braciom. W każdym razie zanim dowiedział się, co to takiego. Była to jego słodka tajemnica. Sokołow zdawał sobie przy tym sprawę, że to coś wyjątkowego: na drugiej stronie pierwszego zeszytu było wypisane złowrogie nazwisko, które znali w Rosji wszyscy.

Rasputin.

Zeszyty przeczytał z wypiekami na twarzy – jednym tchem.

– Hej...

Która to mogła być godzina? Trzecia, czwarta nad ranem? Tak czy inaczej, naprawdę późno. Leżałem w łóżku, a Tess spała obok mnie. Przynajmniej tak mi się wydawało. Głowę miała ciągle zagrzebaną w poduszce, a jej głos nie był głośniejszy od szeptu.

– Dlaczego jeszcze nie śpisz? – zapytała ciepłym, rozspanym głosem.

Nie odpowiedziałem. Nachyliłem się tylko, pocałowałem ją w ramię i wciągnąłem głęboko w nozdrza jej delikatny zapach.

Tess była moją oazą. Pracując w Biurze, jak pewnie przypuszczacie, parę razy znalazłem się w naprawdę nieprzyjemnych miejscach. Z przerażającą regularnością bywam też tam konfrontowany z tą częścią ludzkiej psychiki, z którą większość osób szczęśliwie ma do czynienia wyłącznie przed ekranem telewizora albo czytnikiem e-booków – a wierzcie mi, nawet w przybliżeniu nie przypomina to prawdziwego spotkania. Ale niezależnie od tego, jak bardzo utyłam się w pracy, powrót w ciepłe ramiona Tess natychmiast potrafi mnie wyleczyć. Jest moim antidotum, moją tarczą, portem, w którym chronię się, gdy wokół szaleje burza. Lecz tym razem mój umysł ciągle wirował wokół trąby powietrznej, co zwie się Corrigan.

– Coś cię gnębi? – zapytała.

Jeszcze raz delikatnie ją pocałowałem.

– Śpij.

Jęknęła równie łagodnie.

– Nie mogę. W każdym razie dopóki ty nie śpisz. – Podniosła się trochę i oparłszy się na łokciu, pozwoliła, by jasnożółte włosy zasłoniły jej połowę twarzy. – Myślisz o Aleksie?

Nie odpowiedziałem.

Westchnęła.

– Przecież radzi sobie coraz lepiej. Ale, jak mówi Stacey, to wymaga czasu.

Wzruszyłem ramionami.

– I to sporo, ponieważ ciągle nie mamy pojęcia, co mu zrobili. – Spojrzałem jej prosto w oczy. – Ma tylko jedno dzieciństwo. Nie możemy mu go w ten sposób rujnować.

– Wcale nie rujnujemy. Ma teraz ciebie. I mnie. I Kim. W szkole idzie mu całkiem nieźle. Poradzi sobie. – Sięgnęła i pogłaskała mnie po policzku. Nawet w panującym w pokoju półmroku widać było, że jej zielone oczy zaśniły nagle promiennym blaskiem. – Nie mogę patrzeć, jak się tak męczysz. I to co tydzień, tak jakby każda wizyta u Stacey sprawiała, że przeżywasz to wszystko na nowo. Nie mogłeś zrobić nic więcej.

Skinałem tylko głową.

Ciągle myślałem o moim planie – moim diabelskim planie odnalezienia Corrigana. Wzbogacał się o coraz to nowe szczegóły. Rozwijał się.

Co Tess natychmiast zauważyła.

Wiedziała doskonale, na jakich falach nadaje mój mózg. Przeżyliśmy razem naprawdę sporo od momentu, kiedy się spotkaliśmy; od tamtego wieczora w Met, który zamienił się w szaleńczy pościg przez całą kulę ziemską za sekretem templariuszy. I choć wiedziałem, że zrzuciła już z ramion romantyczny płaszcz archeologa, zamieniając go na o wiele spokojniejszy krój mantylki pisarki, niebezpieczeństwo nie było jej całkiem obce i zdawała sobie sprawę, do jakich ekstremalnych rozwiązań trzeba się czasem uciec w nieciekawych sytuacjach.

Dlatego właśnie podniosła się jeszcze trochę i spojrzała na mnie wzrokiem inkwizytora.

– Sean, co ty kombinujesz?

Jeżeli chciałem wprowadzić w życie mój plan, za nic w świecie nie mogłem wtajemniczyć Tess w jego szczegóły. Podobnie jak Aparo. W obu przypadkach nie miałem wyboru. Im mniej wiedzieli, tym bardziej byli kryci, zważywszy, że miałem zamiar złamać prawo.

Jeśli chodzi o Tess, to decyzję podjąłem bez wahania. Nie opowiadałem jej o swojej pracy, a ona bynajmniej się tego nie domagała. Jak zwykłem mawiać, nie pracuję w szkółce niedzielnej i nie czuję potrzeby przynoszenia wszystkich brudów do domu. I tak oboje aż za często mieliśmy już z nimi do czynienia. Jej pierwsze książki były właściwie oparte na faktach. Życzyłbym sobie, żeby kolejne powstawały wyłącznie w jej wyobraźni, choć znając ją oraz jej skłonność do wtykania ślicznego noska w śmierdzące sprawy, wiedziałem, że to złudne nadzieje.

Co do Aparo, rzecz miała się zupełnie inaczej. Nick był moim partnerem. Jeśli, a raczej kiedy dojdzie do sytuacji, w której będę potrzebował pomocy, to jego chciałbym mieć u swego boku. Ale na tym etapie, gdy nie było nawet pewne, czy plan w ogóle wypali, wolałem trzymać go w niewiedzy, tym samym chroniąc również jego. Wiedziałem jednak, że kiedy mu w końcu powiem – zakładając, że w ogóle w to wejdę – będzie miał na ten temat odmienne zdanie i wkurzy się jak jasna cholera, że nie zwierzyłem mu się ze wszystkiego już pierwszego dnia. Zresztą na jego miejscu zareagowałbym dokładnie tak samo.

– Nie ma się czym martwić – zapewniłem Tess.

Zmrużywszy powieki, przyglądała mi się przez chwilę uważnie.

– Dlaczego jakoś ci nie wierzę?

– Ponieważ masz nadaktywną wyobraźnię, która w dodatku zbacza zawsze na jakieś perwersyjne tory – podsumowałem i łagodnie poklepałem ją po czole. – Idź spać.

Nachyliła się nade mną, tak że jej twarz znalazła się zaledwie kilkanaście centymetrów od mojej, a ciało wtuliło się w moje.

– Za późno – szepnęła.

Poczułem ciepły dotyk jej skóry – za obopólną zgodą w naszym gospodarstwie domowym nocna bielizna była surowo zabroniona. Natychmiast ogarnęło mnie przyjemne i wciągające mrowienie, które zawsze uruchamia we mnie burzę endorfin.

– Raczej nie pomagasz mi zasnąć – mruknąłem.

– Nie miałam zamiaru – odparła, kładąc mi dłoń na piersi. – Prawdę powiedziawszy, wręcz przeciwnie.

Zachichotałem i przysunąłem się jeszcze bliżej, gdy nagle zobaczyłem coś kątem oka. A raczej kogoś. Stał w drzwiach sypialni.

Alex. Nie ruszał się, tuląc mocno w obu rękach pluszowego króliczka, którego kupiliśmy mu z Tess w San Diego.

Spojrzałem na żonę. Jej twarz natychmiast złagodniała i zakwitł na niej słodko-gorzki uśmiech.

– Cześć, słoneczko, co się stało? – zapytała.

Zawahał się na moment, a potem powiedział:

– Miałem zły sen.

Kolejny.

Widziałem wyraźnie nawet w ciemnościach, że drżą mu wargi. Widziałem niepokój w jego oczach, gdy na ułamek sekundy spojrzał w moją stronę. I znowu, jak tyle razy wcześniej, poczułem uścisk w sercu, jak gdyby ktoś potraktował je paralizatorem i upadło nagle na ziemię.

– Nie ma się czego bać, króliczku. – Spojrzała na mnie, a ja skinąłem głową. Włożyła szybko koszulę nocną, którą trzymała w szufladzie nocnego stolika, po czym zeskoczyła z łóżka i podeszła do Aleksa. Uklękła przy nim, spojrzała mu prosto w oczy, a po chwili przyciągnęła go do siebie i z całej siły przytuliła. – Chcesz, żebym spała z tobą?

Potwierdził skinieniem główki.

– W takim razie chodźmy do twojego łóżeczka.

Gdy patrzyłem, jak znikają w korytarzu, paliło mnie gdzieś w środku, jakby ktoś wlał mi do gardła żrący kwas. Ile jeszcze razy mamy przez to przechodzić? Jak długo Alex ma się tak męczyć?

Jeżeli miałem jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, to w tym momencie wyparowały.

Wprowadzę mój plan w życie.

Niezależnie od konsekwencji.

– Kto to nakręcił? – spytałem.

W słoneczny wtorek około jedenastej rano nachylaliśmy się we czterech nad biurkiem Aparo: Nick, ja oraz dwóch agentów przydzielonych nam do pomocy przy nowej sprawie. Kubert i Kanigher byli dziwną parą, bo wyglądali jak bliźniacy: ich identyczne fryzury prawie na zero, eleganckie okulary bez oprawki oraz manieryczny sposób bycia przywodziły mi na myśl Borgów ze *Star Treka*. Oglądaliśmy nagranie wideo na laptopie mojego partnera.

Ktoś o nicku Cuppycake12 sfilmował smartfonem wydarzenia przed kamienicą Sokołowów i wrzucił je w nocy na YouTube. I bardzo dobrze zrobił, ponieważ na razie nagrania i zdjęcia, które zebraliśmy w ramach śledztwa, nie wniosły niczego nowego do sprawy.

Wywiad środowiskowy na temat Leo i Dafne Sokołowów nie wzbogacił szczególnie naszej wiedzy. Wszystko wskazywało na to, że wiedli żywot zwykłych, szarych żuczków. Sąsiedzi opisywali ich jako bardzo sympatyczną parę i nie przypominali sobie żadnych kłopotów. Małżonkowie nigdy nie weszli w kontakt z prawem, nie mieli problemów finansowych. Żadnego punktu zaczepienia. Mieszkanie wynajmowali, ale nigdy nie spóźnili się z czynszem choćby o dzień. Ich historia kredytowa była w porządku. Z wyciągów bankowych również nie wynikało nic ciekawego, z wyjątkiem dużej wypłaty gotówki wczoraj rano. Pod każdym względem wydawali się przykładnymi obywatelami.

Przejrzeliśmy również nagrania z kamery zamontowanej przed szpitalem, ale nie trafiliśmy na nic podejrzanego ani obiecującego. Dafne wyszła jak co dzień z pracy i natychmiast ruszyła w stronę przystanku autobusowego. W jej mowie ciała nic nie wskazywało na stres czy chęć ukrycia czegokolwiek. Dotarliśmy też do nagrań z kilku kamer z bankomatów, ale i one nie przyniosły żadnego objawienia, podobnie jak rozmowy z gapiami sprzed kamienicy przeprowadzone przez Adamsa, Giordana i ich ludzi.

Filmik był jednak interesujący – i makabryczny. Makabryczny, ponieważ jego autor nie stronił od drastycznych scen. Zaczął kręcić materiał kilka sekund po upadku Jakowlewa. Pierwsze ujęcia były chaotyczne, rozrzucone – najwyraźniej filmowiec amator dopiero co włączył kamerę i popędził ulicą i chodnikiem w stronę miejsca wypadku.

Następnie obraz skupiał się na ciele denata. Można było usłyszeć pełne przerażenia krzyki przypadkowych przechodniów, jęki w rodzaju: „O mój Boże!”, „Czy on nie żyje?” albo: „Niech ktoś zadzwoni po karetkę!” – punktowane bezustannie rzucanymi przez zziąjanego Cuppycake12 komentarzami. A właściwie zziąjaną, bo sądząc z głosu, autorką była młoda kobieta. Po chwili wyprostowała się i zrobiła szeroką panoramę,

z szaleńczą, chaotyczną energią, charakterystyczną dla tego rodzaju nagrywanych na gorąco filmików, kręcąc ludzi skupionych wokół ciała i pożerających je wzrokiem – niektórzy odwracali się, nie mogąc znieść jego widoku.

– Tutaj. Patrzcie na to – rzekł Aparo, klikając w przycisk pauzy. – Patrzcie na tego faceta – dodał, pstrykając w ekran.

Chodziło mu o jedną z widocznych na nim postaci – dorosłego mężczyznę. Niewiele można było o nim powiedzieć, bo obraz był rozdygotany, a przez to ziarnisty. Facet wyłonił się zza pleców grupki osób stłoczonych wokół ciała.

– Uważajcie na niego – ostrzegł nas mój partner, po czym puścił z powrotem materiał.

Mężczyzna wyciągnął szyję ponad ramionami przechodniów z pierwszego rzędu. Stał tak przez chwilę, po czym popatrzył w górę, w kierunku mieszkania Sokołowów, z którego, co było zupełnie oczywiste, wypadło ciało. Następnie spojrzął znowu na denata, odwrócił się i zniknął za ścianą gapiów.

– Przez chwilę nie będzie go widać – wyjaśnił Aparo – ale patrzcie na to.

Cuppy najwyraźniej znużyła się makabrycznymi szczegółami i nabrała ochoty, żeby przyjrzeć się bliżej temu, co się wokół niej działo. Wyszła na ulicę i skierowała kamerę w górę, filmując przez moment budynek, po czym zrobiła zbliżenie na okno na piątym piętrze, w którym nawet z dołu wyraźnie było widać wybitą szybę. Dziewczyna miała dobre oko. Nagle zaskoczył ją samochód: zatrąbił głośno, przez co musiała odskoczyć i kamera gwałtownie oderwała się od okna, chaotycznie przesuwając się po okolicy, gdy Cuppy uciekała przed kołami wozu. Raczej jej się to nie spodobało, bo puściła pod adresem niecierpliwego kierowcy soczystą wiązanekę, zanim wróciła do poprzedniego zajęcia.

I wtedy właśnie sfilmowała coś, co przykuło uwagę Aparo.

W kadrze znalazł się znowu znany nam już mężczyzna. Obszedł zaparkowaną półterenówkę, wszedł do środka i odjechał. W pośpiechu, na pełnym gazie, o mało nie taranując innego przejeżdżającego właśnie samochodu. Tak jakby jak najszybciej chciał się stamtąd wynieść.

Co faktycznie zasługiwało na bardziej szczegółową analizę. Nie z powodu pośpiechu. To, co widział, mogło go przecież zszokować czy przerazić. Normalka. Właściwie byłaby to całkiem zdrowa reakcja. Zainteresowała nas jednak jego mowa ciała. Gość był skupiony, zachowywał się jak zawodowiec. Nie widać było po nim przerażenia. Sprawiał raczej wrażenie, jakby się czaił. Czego w żadnym razie nie można było określić mianem zdrowej reakcji.

– Nieźle – zarechotał Kubert. A może Kanigher. Ciągle ich myliłem. – Może gość to panusia. Może zeszczał się w gacie.

– Bardzo prawdopodobne – przyznałem. – Ale równie dobrze mógł czekać na Jakowlewa, a kiedy dyplomata wybrał drogę na skróty, mógł dojść do wniosku, że

lepiej stamtąd spadać.

– Jeżeli był z nim, to dlaczego nie pobiegł na górę dorwać delikwenta, który sprzątnął mu kumpla? Albo przynajmniej nie zadzwonił po gliny? – zapytał Kanigher.

– Może byli tam nieoficjalnie – podsunął odpowiedź Aparo.

Skinąłem głową.

– Może. Tak czy inaczej dowiemy się więcej, kiedy w laboratorium zrobią nam porządne zbliżenie twarzy tego gościa i jego tablicy rejestracyjnej. Musimy też spróbować go namierzyć na nagraniach z kamer monitorujących ruch. Może dowiemy się, dokąd pojechał?

– Zajmę się tym – zaoferował Aparo. – Ale posłuchajcie jeszcze tego. Chodzi o małżeństwo, które mieszka w 5c, bezpośrednio pod Sokołowami. Wygląda na to, że tamtego poranka ich pies ześwirował i ugryzł właściciela. Capnął go w przedramię i nie chciał puścić. Dokładnie o godzinie, w której Jankowicz...

– Jakowlew – poprawił go Kubert.

– ...postanowił poćwiczyć skoki z trampoliny.

– Słyszeli odgłosy walki? – spytałem.

– Nie – odparł. – Tylko stłumione uderzenie, tak jakby wazon spadł na podłogę, a potem krzyki od ulicy.

– A co zrobili z psem? – zainteresował się Kubert.

– Nic. Po chwili mu przeszło. Mają go od lat, nigdy nikogo nie ugryzł.

Kubert zrobił dobrze mi już znaną, tajemniczą, zadumaną minę, jakby miał nam właśnie objawić jedną z tajemnic wszechświata.

– Psy mają szósty zmysł. Mają moc...

– Wiedza człowieka na temat mechanizmów rządzących pracą ich umysłów jest co najwyżej powierzchowna – dodał Kanigher.

Zanim jednak obaj zaczęli na dobre improwizować kolejny odcinek *Zmierzchu*, ze zwierzętami w rolach głównych, postanowiłem opuścić ich towarzystwo.

Trzeba było zlecić laboratorium opracowanie naszego filmiku, poza tym miałem w planach posiadówkę z pewnym dużym facetem i wiedziałem jedno: czeka mnie potężna dawka syropu klonowego.

Jakieś sto kwartałów od Federal Plaza Larisa Czołmiczewa wyszła z gabinetu swojego szefa na drugim piętrze rosyjskiego konsulatu i zaczęła się zastanawiać nad kryzysową sytuacją, która spadła na nią trochę jak grom z jasnego nieba.

Kryzys kryzysem, ale uważała to również za swoją wielką szansę. Szansę na to, żeby się wyróżnić, a przecież po to właśnie wzięła tę robotę. Wydarzenia trochę ją jednak zaskoczyły. Nie miała się jak przygotować, przemyśleć sobie wszystkiego. Co oznaczało, że jeśli coś pójdzie nie tak, będzie zupełnie bezbronna. A w jej pracy mogło się to równać poważnemu uszczerbkowi na zdrowiu.

Co gorsza, jej przełożony w konsulacie, Oleg Wrabinek – oficjalnie wicekonsul,

nieoficjalnie szef placówki SWR w mieście – nie miał zamiaru w nic jej wtajemniczać. Odcięto ją całkowicie od tego, czym zajmował się on oraz Jakowlew, który właśnie zginął na służbie. Wysyłając ją do mieszkania Sokołowów, kazano jej tylko zaprzeczać, odpierać i raportować wszystko, co się tylko da. Po tym, co zobaczyła, postanowiła wyznaczyć sobie nowy priorytet: dostać się do kręgu osób zaufanych Wrabinka. Musiała wiedzieć, co jest grane, jeżeli miała się wyróżnić – nie wspominając już o uniknięciu uszczerbku na zdrowiu.

Jedno jednak wiedziała: Sokołow był kimś ważnym. Dla jej ludzi, dla Amerykanów. Rozpaczliwie próbowali go dorwać. Niestety, kiedy Larisa zapytała Wrabinka, kim właściwie jest poszukiwany, jej szef był raczej mało wylewny.

– Nie ma to obecnie żadnego znaczenia – powiedział tylko.

A kiedy go przycisnęła – delikatnie, z szacunkiem, tak jak należało – dodał:

– Dowiesz się więcej, jeżeli i kiedy okaże się to konieczne. Teraz nie jest.

W ten sposób Larisie przybył drugi priorytet: wywęszyć, kim jest Sokołow i dlaczego jest tak ważny. Musiała uzyskać dostęp do jego akt, tyle że bez wiedzy Wrabinka i kogokolwiek innego w konsulacie.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. No i groziło to kolejnym problemem na froncie zdrowotnym.

Poza tym był jeszcze ten agent FBI, Sean Reilly. Powiedziano jej, że ściga Sokołowa jak rottweiler i dzięki temu może się okazać użyteczny. Otrzymała więc polecenie, by zbliżyć się do niego i raportować centrali wszelkie postępy, jakie uda mu się poczynić. Ostrzeżono ją jednak, że facet ma intuicję. Kiedy go spotkała, okazało się zresztą, że znacznie odbiega od obrazu przeciwnika, jaki przed nią odmalowano. Coś w nim wyczuła. Uczciwość, przyzwoitość, co kompletnie ją zaskoczyło. I co było niebezpieczne.

Miała przecież rozkazy. Jej przełożeni wiedzieli, co robią, i nie bez powodu powierzyli jej to zadanie. Nie interesowało ich to, co w nim zobaczyła. Musiała się więc skupić na swojej misji i dowiedzieć wszystkiego, co trzeba.

W trakcie właśnie zakończonego spotkania Wrabinek znowu nie był wylewny. Nie wyciągnęła z niego żadnych nowych informacji na temat Sokołowa. Podzielił się z nią jednak łaskawie innego rodzaju wieściami, które jednak ani trochę nie dodały jej otuchy.

Powiedział, że centrala kogoś przysyła. Agentą specjalnego, który ma przylecieć na miejsce w celu definitywnego wyjaśnienia zaistniałej sytuacji.

Nie brzmiało to zbyt dobrze.

A zabrzmiało jeszcze gorzej, kiedy powiedział jej, że chodzi o Kościeja.

Nigdy go nie widziała. Zresztą prawie nikt go nie widział. Jej wiedza na jego temat była bardzo ogólna, lecz jednego Larisa mogła być pewna: jego pojawienie się znacznie podwyższało ryzyko, że dozna uszczerbku na zdrowiu.



Ona i wszyscy inni, których Kościej napotka na swojej drodze.

Wyszedłem z Federal Plaza i po godzinie byłem już w Newark w stanie New Jersey, a ściśle rzecz biorąc, siedziałem w przytulnym boksie naleśnikarni IHOP, ciągle nie mogąc wyjść ze zdumienia, że gigantyczny mężczyzna, który zajął miejsce naprzeciw mnie, był w stanie zmieścić swoje cielsko na podwójnym siedzeniu.

Nie wyglądał na najszcześliwszego, kiedy zobaczył mnie w swoim mieszkaniu – a dokładniej, mieszkaniu swojej matki – i gdy poprosiłem go o spotkanie. Ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, przypiekaliśmy mu z Aparo boki w zimnym pokoju przesłuchań. Dopiero kiedy zaprosiłem go, żebyśmy wyskoczyli na małe co nieco – w tym kontekście używam tego wyrażenia wyłącznie w metaforycznym znaczeniu – udało mi się nieco zmniejszyć jego niechęć. Tani chwyt, ale co tam, w końcu wierzę głęboko, że w miarę możliwości powinniśmy trzymać się łagodnych metod perswazji. Poza tym przecież w głębi duszy wszyscy lubimy naleśnikarnie.

Koszulka o rozmiarze XXXL z logiem Advanced Idea Mechanics napinała się na fałdach jego galaretowatego ciała, gdy podnosił menu i zaczynał pożerać je wzrokiem. Obiecałem, że stawiam, a kiedy zobaczyłem, jak macha na kelnerkę i zaczyna zamawiać, wiedziałem już, że ma zamiar wykorzystać to bezlitośnie. Gdzieś w połowie listy zorientowałem się, że sam pewnie powinienem o coś poprosić, choć zazwyczaj unikam bomb cholesterolowo-węglowodanowych w rodzaju stosu naleśników. Wtrąciłem się ze swoim omletem warzywnym, ale zaraz potem pozwoliłem mu wrócić do kompletowania amunicji, którą szykował prawdopodobnie w celu pobicia życiowego rekordu.

Kurt Jaegers miał trzydzieści dwa lata, ważył co najmniej sto sześćdziesiąt kilo i mieszkał z matką, rozwiedzioną psychoterapeutką, która pracowała w domu i specjalizowała się w uzależnieniach. Fajnie, co? Kurt był przy tym numerem siedem na liście cyberprzestępców FBI. Niedawno o mało nie wylądował w pudle, ale sędzia prowadzący jego rozprawę przypadkiem był w łagodnym nastroju. Czym, koniec końców, ani trochę nie byłem zawiedziony.

Kurt mnie fascynował. W marzeniach miał pewnie setki dziewcząt jak z kalendarza, jeździł rollsem i szpanował na egzotycznych plażach gigantycznym jachtem jak, nie przymierzając, Kim Dotcom. W rzeczywistości jego życiowe przyjemności sprowadzały się raczej do pornografii internetowej i przejażdżki poobijanym volvem matki, jeżeli udało mu się zwędzić kluczyki. Ale z jakiegoś powodu go lubiłem. Emanowała z niego wewnętrzna uczciwość, którą wbrew sobie podziwiałem. Zresztą w tym momencie było mi wszystko jedno, gdzie mieszka, co robi i jakie ma hobby. Potrzebowałem jego pomocy, dlatego postanowiłem grać rolę dobrego gliniarza.

– Powiedziałem, żebyś zamawiał, co chcesz, i nie wycofuję się z tego, ale widzę, że po pierwszych kilku rundach będę cię musiał zostawić samego.

– Jak dla mnie, luzik. – W końcu sfinalizował kilometrowe zamówienie i pozwolił kelnerce odejść. – Powinieneś spróbować nadziewanych francuskich tostów. Są niesamowite. Ale jak co, to musisz sobie domówić. Wziąłem dla siebie tylko dwa.

– Nie, dziękuję, Kurt. Ale miło z twojej strony.

Zrobił podejrzliwą minę.

– Czyli że jak... Chcesz mi załatwić darmową kartę wyjścia z więzienia? Serio?

– Coś w tym rodzaju. Pod warunkiem, że nie wpakujesz się w coś naprawdę paskudnego – coś, co zainteresowałoby NSA, NCIS czy, na przykład, NASA. Po prostu trzymaj się z dala od wszystkiego, co ma w nazwie „N” albo „S”, bo w takim wypadku nie będę ci mógł pomóc.

– Nie ma obawy – zachichotał. – Odkąd Bradley Manning zripował pół archiwum, JWICS zacisnęło się jak otwór kota. Nawet Anonymous spakował zabawki i dał se luz ze SIPRNetem. Wkurwianie tych cweli to teraz żadna podnieta. Ostatnio siedzę głównie na WoW.

Najwyraźniej miałem wypisane na twarzy, że nie władam językami obcymi.

– World of Warcraft, się znaczy. Nie znasz tego?

Wzruszyłem ramionami.

– Jestem neandertalczykiem, przecież wiesz.

Machnął tylko ręką.

– Trafiła mi się nawet niedawno niezła pandarenka. Nazywa się Chiaroscuro. No wiesz, bo jest czarno-biała. A ostatnio... Mam ochotę ją wydymać. Dobra, wiem, że to chore, bo to w końcu panda, nie? Można by to nazwać zoofilią albo jakoś tak...

– Dla mnie w porządku, po prostu wolę o tym nie myśleć. – I tak kręciło mi się już w głowie, a jedzenie jeszcze nawet nie wylądowało na stole. – Dobrze przynajmniej, że nie robisz niczego nielegalnego.

Kurt napił się kawy i wyszczerzył zęby.

– Tylko czasem, dla jaj. Na przykład dodaję matce parę rzeczy do wyciągu z karty kredytowej. W zeszłym tygodniu całą godzinę próbowała rozkminić, kiedy to niby kupiła w Paryżu seksowną bieliznę.

– No właśnie, przy takich duperelach jestem w stanie ci pomóc.

– Dobra, już czaję bazę. – Nagle w jego oczach pojawił się smutek. – Wiem, że tak naprawdę masz ze mnie niezłą bekę, ale... Dzięki, że nie rzucasz mi tego w twarz. Cenię takich ziomów.

Wzruszyłem ramionami.

– Daj spokój, Kurt. Każdy z nas spieprzył w życiu parę spraw. Nie uwierzysz, jakim głównym zdarzało mi się zajmować.

– Nie kuś, stary. Teraz będę musiał zhakować twój profil. – Uśmiechnął się, po czym roześmiał się nerwowo i zaczął ustawiać we właściwy sposób talerze, którymi kelnerka właśnie zastawiła nam stolik. – No dobra, o co chodzi? Coś mi się widzi, że

sprawa jest prywatna, bo inaczej znowu nasłabys na mnie brygadę antycyberterrorystyczną albo nie daj Boże – tu się wzdrygnął – jakieś inne robocopy z DC3.

Miał na myśli departament Defense Cyber Crime z siedzibą w Linthicum w stanie Maryland. Ci goście znali się na swojej robocie – i znali doskonale Kurta. Mieli własne wydziały kryminologiczny, kontrwywiadowczy oraz szkoleniowy i przez cały czas pozostawali w kontakcie z nami i innymi agencjami służb specjalnych. Poznałem się lepiej z nimi oraz z Kurtem, kiedy on włamał się do serwerowni ONZ.

Zjadłem kawałek omleta i postanowiłem przejść od razu do sedna.

– Chcę kogoś znaleźć. Kogoś, kto nie chce, żeby ktoś go znalazł.

Kurt otworzył szeroko oczy. Wyraźnie się zainteresował.

– A gdzie się chowa ten ktoś?

– W plikach przechowywanych w Langley.

Chłopak aż się zakrtusił francuskim tostem. Natychmiast podniósł obie dłonie w geście protestu.

– Jaja se robisz? Nic z tego. Weź sobie swoją kartę wykupu. Ja tam nie wchodzę.

– A ja cię nie mam zamiaru o to prosić, w każdym razie nie, żebyś tam wchodził osobiście – zapewniłem. – Wiem, że musisz być ostrożny, ja zresztą też. Problem polega na tym, że mam tylko przykrywkę pewnego koleś. I faktycznie, chodzi o sprawę osobistą. Nawet bardzo osobistą. – Wytrzymałem jego wzrok i po chwili dodałem: – Chcę cię tylko prosić, żebyś znalazł tam kogoś, kogo mógłbym przycisnąć. Kogoś, kto ma dostęp do tajnych informacji. Kto tam pracuje i komu mogę złożyć wizytę i – postanowiłem wyjaśnić mu to w jego własnym języku – przekonać go, że wyruszam na szlachetną misję.

Kurt uniósł znowu dłoń, kończąc jednocześnie wylizywać pierwszy talerz w ramach swojej klonowej odysei. Wreszcie udało mu się przełknąć.

– A co to za gra? Kogo właściwie szukasz? Co to za koleś?

– Taki sobie. Próbuję go namierzyć. DEA, „czarne operacje”, Meksyk, Ameryka Południowa. Dam głowę, że to nie wszystko. – Już wcześniej postanowiłem nie wspominać o MK-ULTRA. Niech przynajmniej jeden z nas sprawia pozory normalnego.

– Potrzebujesz kogoś z poziomem dostępu dwa, nie niższym niż dwa-ce. – Zastanawiał się przez chwilę. – Dysponuje nim na oko kilkuset pracowników CIA. Ze dwustu to analitycy.

– A ty znajdź mi takiego, który nie jest tak porządnym, uczciwym obywatelem, za jakiego chciałby lub chciałyby uchodzić.

Kurtowi usta rozszerzyły się w zadziwiająco chłopięcym uśmiechu.

– Sam mogę mieć z tego niezłą bekę. – Widziałem, że w myślach rozważa już różne scenariusze. – Mógłbym dostać się tam przez bazę danych pracowników rządowych.

Ubezpieczenia zdrowotne, może emerytury. Wybiorę sobie taki departament, który da nam najwięcej fanu. Porównam jego dane z taką jedną zhakowaną bazą poziomów dostępu, o której nie chcesz wiedzieć. To powinno wystarczyć. Dostaniemy imię delikwenta, nazwisko, płeć, wiek, adres, numer ubezpieczenia społecznego, ile przepracował na rządowej pensji, kartotekę medyczną, dentystyczną, info o funduszu emerytalnym, karach dyscyplinarnych, orientacji seksualnej...

– Kapuję! – przerwałem mu. Być może zrobiłem to trochę zbyt ostrym tonem, ale słuchając go, zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie posuwam się za daleko. W końcu miałem zamiar grzebać w życiu osobistym osób, które nigdy nic nie zrobiły ani mnie, ani Aleksowi.

– Nie pękaj, cieniasie! – zawołał Kurt, który najwyraźniej domyślił się, że mam skrupuły. – Po to są informacje, żeby je ujawniać.

– Chyba że chodzi o dane identyfikacyjne hakerów.

Parsknął śmiechem.

– Trafiony. Ale ja bym tam się nie przejmował takimi paradoksami. My w każdym razie nie wtrącamy się w sprawy suwerennych narodów ani nie monitorujemy każdego kroku obywateli ponoć żyjących w demokratycznym państwie.

Chciałem już odbić piłeczkę, ale raczej nie miałem czasu na debatę na tematy orwellowskie, zjadłem więc tylko kawałek omleta, odsunąłem od siebie talerz i popiłem sporym łykiem kawy.

Postawiłem kubek na blacie.

– Okej. Świetnie. Właśnie o to mi chodzi. A potem poszperaj jeszcze głębiej i znajdź mi coś, co nie pasuje do ślubnego obrazka. Cokolwiek, czego mógłbym użyć, żeby go przycisnąć.

– Masz jak w banku. Jak wynika z mojego niezbyt wprawdzie bogatego doświadczenia, im bardziej uczciwy się ktoś wydaje, tym więcej ma brudów w szafie. Ja to przynajmniej wyglądam na takiego, co ma w cholerę brudów w szafie.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Trafił w sedno, ale nie powstrzymało go to od zmiecenia zawartości kolejnego talerza z naleśnikami, tym razem z nadzieniem jagodowym.

Rzuciłem na stół studolarowy banknot i wstałem.

– Dzwon, jak coś już będziesz miał.

– Jasne. Użyję Skype'a przez VPN-a wykupionego na kartę kredytową przypadkowo wybranej Japonki. Może ty też chcesz?

– Nie, dzięki, po prostu zadzwoń. Mów krótko i nie wprost.

– Się rozumie, panie władzo. – Już miał wsadzić widelec w usta, gdy nagle zatrzymał go i spowaźniał. – Ktoś ci musiał wykręcić naprawdę paskudny numer. Ryzykujesz całą karierę. Na pewno nie chcesz po prostu położyć na to laski?

Pokręciłem głową.

– Zabawne, że wszyscy mi to mówią. Ale gdyby to było takie proste, już dawno dałbym sobie z tym spokój. W tym chyba jesteśmy podobni. Żaden z nas nie jest się w stanie powstrzymać.

Tym razem to on pokręcił głową, po czym uśmiechnąwszy się, zakleił sobie otwór gębowy wielkim kawałem przesiąkniętego syropem klonowym naleśnika.

– Jasne, ale ja to przynajmniej lubię – powiedział. Jeżeli dobrze zrozumiałem.

Kiedy wracałem do miasta, w moim telefonie wylądowały dwa zdjęcia – twarzy i tablic rejestracyjnych.

Tej pierwszej nie rozpoznałem, zgodnie zresztą z oczekiwaniem. Było to powiększenie fotografii faceta z filmiku na YouTube. W laboratorium właśnie przepuszczano je przez system rozpoznawania twarzy. Numer rejestracyjny jego samochodu również niewiele nam dał. Przyporządkowany był do rdzawoczerwonego forda escape'a, wypożyczonego jakiejś nowojorskiej firmie. W centrali właśnie próbowano znaleźć więcej informacji na jej temat, a w trzech stanach został ogłoszony alert w sprawie numerów wozu. Jako oficerów prowadzących podano Aparo, mnie oraz detektywów Adamsa i Giordana.

Przyszło mi do głowy, że może dobrze byłoby zapytać panią Czołmiczewą, czy rozpoznaje twarz z YouTube, ale postanowiłem zaczekać z telefonem do niej, aż zdobędziemy więcej danych, na przykład nazwisko albo informację o rosyjskich powiązaniach firmy, która wynajęła samochód.

Wróciłem myślami do spotkania z moim ulubionym hakerem. Poczułem z jednej strony ukłucie strachu, z drugiej satysfakcję, która dodawała mi energii. Zdawałem sobie sprawę, że równowaga między hakerami a kompleksem militarno-przemysłowym wkrótce zostanie silnie zachwiana na korzyść tego ostatniego. Szyfry nowej generacji, o których opowiadano nam niedawno na szkoleniu, miały sprawić, że włamanie do naszych systemów stanie się praktycznie niemożliwe. Co oznaczało, że dowcipnisiom w rodzaju Kurta trudno będzie zdobyć się na odwagę, by wdrzeć się tam, gdzie nikt ich nie zaprasza. Ale na razie każdy geek dysponujący nadmiarem wolnego czasu i nie przejmujący się prywatnością kogokolwiek poza własną ciągle był w stanie przebić się przez najlepsze nawet firewalle. Co w tym momencie w zupełności mi odpowiadało. Znalezienie nazwisk kilku analityków nie powinno stanowić dla niego problemu – na razie.

Jasne, wszystko to mogło mi w każdej chwili wybuchnąć w twarz. Ale czy taki drobiazg kiedykolwiek był w stanie mnie powstrzymać?

Sokołow stał w milczeniu obok żółtej taksówki i czekał.

Znajdował się przy Muzeum Wzornictwa Cooper-Hewitt na rogu Wschodniej Dziewięćdziesiątej Pierwszej i Piątej, jakieś trzysta metrów na północny zachód od rosyjskiego konsulatu. Ulica była pogrążona w monotonnej szarości, w głębokim cieniu rzucanym przez słońce zachodzące na wieczornym niebie. Widok na wejście do konsulatu przesłaniała kępa drzew, ale najważniejsze, że stał blisko. Na pierwszy rzut oka trudno było się domyślić, że zaledwie trzy dni temu na ulicy szalał tłum demonstrantów. I że to tam, po tych wszystkich latach, Sokołow był tak głupi, że zdemaskował się przed wrogiem, zdradził mu, kim naprawdę jest.

A raczej kim był.

Musiał wykonać jakiś ruch. I to szybko. Nie miał wyboru, przecież porwali Dafne. Musiał spróbować ją uwolnić, nie zważając na to, jak katastrofalne skutki mogłoby przynieść jego schwytanie. Wyszedł z hotelu o siódmej rano i zjadł śniadanie w taniej knajpce, w której wizyta nie mogła zbyt mocno uszczuplić jego bardziej niż skromnych rezerw finansowych. Następnie trzy kwartały dalej znalazł kawiarenkę internetową, gdzie spędził resztę poranka, szperając po sieci w poszukiwaniu informacji na temat rosyjskiego konsulatu i jego pracowników.

Wiedział aż za dobrze, że wiele tamtejszych stanowisk pracy było fikcyjnych – sprowadzały się do przykrywek dla właściwych obowiązków pracowników urzędu: gromadzenia informacji wywiadowczych, szpiegostwa przemysłowego, rekrutowania agentów oraz pełnego hipokryzji rozkoszowania się amerykańskim stylem życia przy jednoczesnym niewolniczym potakiwaniu za każdym razem, gdy Kreml wydawał kolejny edykt potępiający Stany Zjednoczone i zachodnie wtrącanie się w wewnętrzne sprawy Mateczki Rosji. Uważał za ironię losu fakt, że konsulat mieścił się w domu Johna Henry'ego Hammonda, jednej z najbardziej luksusowych prywatnych rezydencji, jakie kiedykolwiek wzniesiono na wyspie Manhattan. Willę wzniesiono na początku XX w. na zlecenie Emily Vanderbilt Sloane i jej męża jako prezent dla ich córki. Sąsiednia posiadłość, Burden House, została zbudowana dla jej siostry. Ich standard raczej w niewielkim stopniu odpowiadał ideałom proletariatu, ale w końcu władcy Rosji, dawni i obecni, nigdy nie mieli zamiaru żyć w podobnych warunkach, jakie narzucili swoim poddanym.

Wypatrzył na liście pracowników konsulatu nazwisko trzeciego sekretarza Fiodora Jakowlewa, czyli swojego gościa z poprzedniego dnia. Na jego widok przeszedł go zimny dreszcz. Szukał dalej, aż wreszcie zatrzymał się przy niejakim Lazarze Rogożynie, doradcy ds. polityczno-wojskowych, którego zapamiętał z broszury wydanej niedawno przez nowojorską organizację pozarządową, protestującą przeciw systematycznym atakom na gejów i zagranicznych robotników w Moskwie

przeprowadzanym przez organizację Nasi, prokremlowską współczesną wersję Hitlerjugend. Autorzy broszurki zachęcali, by każdy, kto czuje się oburzony tymi obrzydliwymi i coraz częstszymi praktykami w ojczyźnie, bombardował listami i e-mailami Rogożyna, którego organizacja zidentyfikowała jako współwłaściciela przynajmniej dwóch spółek wspierających finansowo akcje Naszych. Nowojorscy aktywiści byli nawet na tyle mili, że zamieścili zdjęcie rosyjskiego urzędnika.

Po lunchu Sokołow znalazł, choć z trudem, budkę telefoniczną i zadzwonił do konsulatu. Zmienionym, łagodnym głosem zapytał, czy może rozmawiać z Rogożynem. Usłyszał w odpowiedzi, że owszem. Kiedy go łączono, odłożył słuchawkę i ruszył przed siebie w poszukiwaniu sklepu z używaną odzieżą. Znalazłszy go, kupił ciężki granatowy płaszcz – od razu go włożył – luźny filcowy beret, który naciągnął głęboko na uszy, oraz wełniany szal, którym szczelnie owinął sobie szyję.

Następnie podjechał metrem na róg Pięćdziesiątej Dziewiątej i Piątej. Tam prawie przez godzinę przyglądał się twarzom i gestom taksówkarzy, zbierając się jednocześnie na odwagę, by wprowadzić w życie swój plan. W końcu, koło piątej, poczuł się na tyle pewny siebie i zdesperowany, że podszedł do wybranego przez siebie kierowcy. Był nim czarny mężczyzna w rastafariańskiej czapce, Jamajczyk, jak się po chwili okazało, zresztą zgodnie z przewidywaniami Rosjanina. Nazywał się Winston i był tak niefrasobliwy, że nawet nie zadrżała mu powieka, gdy Sokołow wytłumaczył mu, czego od niego chce. Problem polegał tylko na tym, że, jak wkrótce dowiedział się Rosjanin, Winston jeździł zawsze z otwartym oknem, niezależnie od pory roku. Wyjaśnił, że w ten sposób uniemożliwia bakteriom żerowanie wewnątrz wozu, co biorąc pod uwagę opłakany stan tego ostatniego, wydawało się akurat najmniej istotnym problemem. Tak czy inaczej, bez zadawania zbędnych pytań zgodził się zrobić to, o co poprosił go Sokołow.

Ruszyli, minęli konsulatu i zaparkowali przed muzeum.

Czekali.

A gdy czekali, Sokołow wrócił myślami do dnia, kiedy to wszystko się zaczęło. Do odkrycia, którego dokonał w piwnicy domu należącego do jego ojca. Do dziennika jego dziadka – dziennika, który miał odcisnąć piętno na całym jego życiu.

Dziś żałował, że w ogóle odważył się go otworzyć.



**DZIENNIK MISZY  
WIERCHOTURIE, URAL  
GRUDZIEŃ 1899**

Zmieniło się wszystko.

Mój pobyt tutaj, w tym miejscu, miał odtąd wyglądać zupełnie inaczej. Myślałem, że wiem, dlaczego się tutaj znalazłem. Przybyłem, by zostawić daleko za sobą dawne życie, by zastanowić się nad tym, co zrobiłem, oraz by wrócić na właściwą ścieżkę. Ale przyszłość, jaka mnie czeka, będzie zupełnie inna, niż sobie wyobrażałem. Tutaj, u progu nowego stulecia, widzę nagle jutrzeńkę nadchodzących burzliwych czasów; czasów, których bieg jest w tym momencie ciągle niezny, choć jedno wydaje się pewne: czekają nas wszystkich wielkie zmiany.

Zmiany, w których los każe mi odegrać główną rolę.

A wszystko to nadeszło zupełnie niespodziewanie. Nie na tym polegał mój plan. Zupełnie nie na tym. Dlatego właśnie wziąłem do ręki pióro i piszę ten dziennik, odcięty od świata tutaj, w monasterze Nikołajewskim, szesnastowiecznym klasztorze wznoszącym się na pagórku niedaleko miasteczka Wierchoturie w górach Ural. Bez wątpienia kiedyś o nim usłyszycie, bo słynie na całą Syberię swoimi relikwiami: kośćmi świętego Symeona, mistyka, który wędrował brzegami rzeki Tura i spędził większość życia, modląc się, łowiąc ryby i łątając łachy ubogich. Zmarł w 1642 roku w wieku zaledwie trzydziestu pięciu lat z powodu zbyt surowych postów; mówi się, że pięćdziesiąt lat po jego śmierci trumna pojawiła się na powierzchni ziemi, a ciało świętego było nienaruszone. Do grobu Symeona pielgrzymowali odtąd ci, którzy szukali uzdrowienia. Po dwustu pięćdziesięciu latach jego szczątki przeniesiono do nowego sanktuarium tutaj, w monasterze Nikołajewskim. Nadal przyciągają potrzebujących i wędrowców.

To właśnie z powodu świętego Symeona znalazłem się w tej złowieszczej sytuacji. Spotkałem bowiem niedawno człowieka, tutaj, w tym nieprzystępnym miejscu kontemplacji i modlitwy, człowieka, który również udał się do świętego Symeona, by prosić go o wskazanie drogi życia. Człowieka, który, jestem o tym głęboko przekonany, zainicjuje te wielkie zmiany.

Przybyłem tutaj w poszukiwaniu nowego celu, w poszukiwaniu ucieczki od mych własnych demonów. Muszę bowiem wyznać, że robiłem rzeczy, których się teraz bardzo wstydzę. Zgłębiłem tajemnice, które mnie przerażają, nieszczęsne zwieńczenie życia poświęconego nauce i zdobywaniu wiedzy – wiedzy, której, o czym wiem dopiero teraz, nie powinienem był zdobyć.

Uważałem się niegdyś za szczęśliwca, bo pozwolono mi dostąpić zaszczytu zdobycia wszechstronnego wykształcenia. Mój ojciec, nauczyciel w szkole, już kiedy

byłem dzieckiem, dostrzegł we mnie żarłoczny głód wiedzy. Już wtedy mój umysł z żarliwą ciekawością chciał zgłębiać cuda nauki i pamiętam, że z równą fascynacją błądziłem wzrokiem po gwiazdach na niebie, co po żyłach na mym nadgarstku. Lecz dopiero na uniwersytecie natura zaczęła odsłaniać przede mną swe największe sekrety. To tam również miałem szczęście – lub nieszczęście – zapoznać się z pracami Heinricha Wilhelma Dovego, wybitnego pruskiego fizyka. Byłoby to jednak nieuczciwe zrzucać na niego winę za moje odkrycia. Ponieważ to moja własna ciekawość wraz z samolubną pogardą dla naukowej przyzwoitości i ostrożności doprowadziła mnie aż tutaj, gdzie pokutuję, pragnąc zawrócić z błędnej ścieżki.

Początkowo nie do końca rozumiałem konsekwencje moich badań. Byłem po prostu zaintrygowany, podekscytowany rezultatami pierwszych eksperymentów. Nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że powinienem porzucić owe dociekania. Byłem zaślepiony, popychany przez niewidzialną dłoń, by dalej eksplorować tajemnice ukryte wewnątrz nas. Tajemnice, które należało zostawić w spokoju. Tajemnice, które mają w sobie potężny potencjał. I w ten właśnie sposób dotarłem tutaj, do tego odludnego, świętego miejsca, gdzie modłę się o wskazówki. Gdzie próbuję porzucić fałszywą drogę, diabelską naukę, która rzuciła na mnie urok, znaleźć bardziej szlachetny cel i poświęcić mu resztę życia.

Ów człowiek zmienił jednak to wszystko.

Jest niepiśmiennym chłopem przeciętnego wzrostu, kościstym i o nienaturalnie długich rękach. Ma ogromny, nieregularny nos, grube, zmysłowe wargi oraz zwichrzoną, skołtunioną brodę. Długie włosy z przedziałkiem pośrodku zaczesuje na czoło. Chodzi w podartych łachmanach i nigdy się nie myje. Jego skóra naznaczona jest trudami życia, widać narażona była na działanie palącego słońca i lodowatych wiatrów bez wątplenia podczas wielu lat spędzonych na wędrówce bezdrożami. Odkąd przybył tutaj dwa miesiące temu, trzymał się z dala od ludzi, spędzając większość czasu na cichej modlitwie i medytacji. Nie zwracałem na niego uwagi aż do dnia, kiedy spojrzał na mnie i zobaczyłem jego oczy.

Nie da się ich zignorować.

Kiedy tak łypią spod tych jego gęstych brwi, są szaro-niebieskie i porażająco hipnotyczne. Tryskają wprost życiem, początkowo łagodnie i kojąco, promieniując sennością i zamyśleniem. Nagle jednak w ułamku sekundy potrafią zapłonąć gniewem i żarliwością. Jego mowa jest również dziwna, właściwie nieskładna, usypiająca, trochę nawet prymitywna. Gdy tak wyrzuca z siebie nieprzerwany strumień komunałów, od razu widać, że brakuje mu wykształcenia. A mimo to, kiedy przemawia, efekt jego płomiennych słów, w połączeniu z przeszywającym wzrokiem emanującym z głęboko osadzonych oczu, jest po prostu magnetyczny.

Przez ostatnich kilka tygodni rozmawialiśmy godzinami.

Powiedział mi, że urodził się w Pokrowskiem, maleńkiej syberyjskiej wiosce na

brzegu rzeki Tura, w styczniu 1869 roku, trzydzieści lat temu. Przypadał wtedy dzień świętego Grzegorza, po którym otrzymał imię. Bo tak właśnie się nazywa. Grigorij Jefimowicz Rasputin.

Jego ojciec był furmanem i pracował na rzecznych barkach. Gdy nie mógł znaleźć pracy, uprawiał też swoje małe pole i łowił ryby. Grigorij pomagał mu i ciągle mieszkał w rodzinnym domu, z rodzicami, żoną i dwójką dzieci. Powiedział mi, że trzecie jest w drodze.

Wielki głód trawił tego młodego chłopca. Zwierzył mi się, że zmarnował większość swojego życia, wdając się w bójkę i tarzając w pijackiej rozpuście. Przyznał się do dzikich skłonności, zwierzęcej żądzy przemocy i kobiet. Muszę przyznać, że pomimo jego prymitywnego obycia w trudny do wyjaśnienia sposób emanuje z niego jakaś magnetyczna siła. Przypuszczam, że kobiety uznawały go za pociągającego i niełatwo im było mu się oprzeć. Opowiadał mi, że w Pokrowskiem kilka razy przyłapano go z dziewczkami i ciężko za to pobito. Jakoś mnie to nie zdziwiło.

„Chłopskie życie jest pozbawione celu” – tłumaczył mi już w trakcie jednej z naszych pierwszych rozmów. „Katorżnicza praca od świtu do zmroku, a pocieszeniem jest tylko pijaństwo i ciała kobiet. Nie takiego życia pragnąłem”.

W końcu, przyznał mi to otwarcie, uciekł się do przestępczej działalności, by znaleźć środki na sfinansowanie swoich lubieżnych zachcianek. Kradł drewno, konie, wozy z futrami. Przyłapano go i znowu pobito. Inni chłopcy szydzili z niego i wyzywali go. Przylgnęło do niego przezwisko „głupek Griszka”. Co ciekawe, zdradził mi, że w razach i poniżeniu odnalazł dziwną przyjemność. Kilka razy określił to „rozkoszą poniżenia”. I jakimś cudem pogrążony w tym obłędzie, rozpuście, upokorzeniu odkrył nagle, czego brakuje mu w życiu.

Zaczął szukać Boga.

Początki nie należały do łatwych. Pop w jego wiosce – z tego, co rozumiem, również niewykształcony – nie był w stanie dać mu duchowych wskazówek, których on od niego oczekiwał. Grigorij, nie znalazłszy odpowiedzi, których szukał, sfrustrowany tym, że kontemplacja nie przybliżyła go ani trochę do Boga, jeszcze bardziej pogrążył się w pijaństwie i rozwiązłości. I znowu parokrotnie go pobito. Postanowił odejść i gdzie indziej odnaleźć sens istnienia. Zacząć nowe życie jako tułacz szukający objawienia.

Przez wiele lat przemierzał rosyjską ziemię.

Zawędrował do Tiumentia i Tobolska, klasztorów położonych najbliżej jego wioski. Nie znalazł tam odpowiedzi na swoje pytania, ruszył więc dalej. Odwiedzał kolejne monastery, coraz dalej i dalej. Kolejne cerkwie, wioski, spotykał setki ludzi, modlił się z nimi. Cierpiał na bezsenność i wiele nocy nie spał. W swojej niekończącej się tułaczce wzdłuż krętych brzegów rzeki Tura odnalazł inspirację w otaczającej go wspaniałej naturze i zaczęły go nawiedzać mistyczne wizje.

„Pewnej nocy obudziłem się i zobaczyłem przed sobą Matkę Boską” – wspominał. „Płakała. Powiedziała, że płacze z powodu grzechów rodzaju ludzkiego, i prosiła mnie, żebym ruszył przed siebie i oczyścił lud z jego grzechów”.

Zainspirowany wizjami, wrócił do rodzinnej wioski i zaczął zwoływać ludzi na wspólne modły, ale mieszkańcy mu nie ufali. Znali go jako lubieżnego pijaka i naśmiewali się z niego.

„Tych, którzy poszukują zbawienia, uważa się powszechnie za zbójców” – powiedział mi, a w jego oczach rozjątrzyła się nieskrywana uraza. „Szydzą z nich. Lecz należy przetrwać to cierpienie. To część naszej podróży”.

Wyruszył więc dalej. To wtedy rzucił palenie i picie, przestał też jeść mięso i słodycze. Przewędrował tysiące wiorst, od syberyjskich tajg po cerkwie Kijowa, Petersburga i z powrotem, za cały majątek mając tylko tobołek zarzucony na ramię. Nocował w cerkwiach i monasterach albo u chłopów, którzy podziwiali jego pobożność i oferowali mu schronienie i jałmużnę. Starał się poznać i zrozumieć ludzi. W końcu zawędrował tutaj, do tego monasteru, gdzie dzięki relikwiom świętego Symeona miał nadzieję odnaleźć zbawienie i ulgę w cierpieniach zżerających jego duszę.

Przebywałem tam już wtedy od wielu miesięcy, sprowadzony do monasteru tym samym pragnieniem. Wyruszyłem do niego w poszukiwaniu zbawienia, którego jednak dotąd nie odnalazłem. Ciągłe nie mogłem się uwolnić od myśli, którą wpajano mi od najmłodszych lat: że Boga należy szukać w cudach nauki. Tej samej nauki, która przyniosła mi tak wiele cierpień.

Im dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej zdumiewał mnie ten człowiek.

Jak to możliwe, żeby ktoś tak się zmienił? Ze zdeklarowanego zbója i seryjnego cudzołożnika w oddanego swej misji *strannika* – pielgrzyma? Bo że wierzył szczerze, tego byłem całkowicie pewien. Opowiadał mi o Bogu, który pojawiał się w jego snach. Mówił o pragnieniu zrozumienia tajemnic życia, o nadziei zbliżenia się do Stwórcy. O tym, jak łaknie zbawienia.

Dokładnie tak jak ja.

Z nie do końca zrozumiałych powodów postanowiłem zwierzyć się temu człowiekowi, wbrew złożonej samemu sobie przysiędze, że nikt nigdy nie dowie się o moim odkryciu. Ku własnemu zdziwieniu opowiedziałem o wszystkim temu tajemniczemu tułaczowi. Nie mogłem oprzeć się jego woli, niosącej ze sobą obietnicę pocieszenia, wewnętrznej sile emanującej z jego oczu. A kiedy skończyłem, poczułem ogromną ulgę na myśl o tym, że odtąd ktoś będzie ze mną dzielił ten ciężar.

Moja opowieść zadowoliła również Rasputina, tyle że w zupełnie odmienny sposób.

Rozpaliła w nim wielki wewnętrzny ogień. Widziałem go w jego wzroku, który zapłonął jeszcze większym żarem niż przedtem. Gdy wybrzmiały moje ostatnie słowa,

przez długą, nieznośnie długą chwilę nic nie mówił i tylko wpatrywał się we mnie w milczeniu.

„Teraz wszystko jest już jasne” – powiedział w końcu.

„Niby co?” – zdziwiłem się.

„My, tutaj; ty i ja. Dlatego właśnie tu jesteśmy”. Sięgnął do mnie i ujął obie moje dłonie w swoje. „Tym powodem jest Bóg, Misza! Bóg zapragnął, abyśmy się spotkali. Dlatego właśnie sprowadził nas tutaj. Rozumiesz? Z jakiego innego powodu mielibyśmy być tutaj, być tutaj razem? Bo jesteśmy częścią Jego wielkiego planu”.

„Jakiego planu?” – spytałem w osłupieniu. Mój umysł nie był w stanie uwolnić się od jego władczego spojrzenia.

„Planu przyniesienia rosyjskiemu ludowi zbawienia. Planu, którego częścią jesteśmy ty i ja. Dlatego właśnie przysłał cię tutaj, żebyś mnie spotkał. Ponieważ to ty, Misza, pomożesz mi go wypełnić”.

„Chyba rzeczywiście zesłał mi go Bóg” – pomyślał Rasputin, przyglądając się Miszy.

*Nie był pewien, czy błyskotliwe odkrycie tego człowieka nauki przyniesie zbawienie rosyjskiemu ludowi. Wiedział jednak z całą pewnością, że przyniesie zbawienie jemu.*

*Wybawi go od żalosego, monotonnego życia, jakie wiódł do tej pory.*

*Pogratulował sobie z całego serca decyzji zatrzymania się w tym monasterze. Bo choć opowieść, którą poczęstował Miszę, częściowo opierała się na prawdzie – że przybył tam z powodu palącej jego trzewia potrzeby nadania swemu życiu nowego sensu – jego duchowa wyprawa pozwoliła mu również uniknąć więziennej celi i wyroku, jaki groził mu w Pokrowskiem. Potrzebował wiarygodnej wymówki, by opuścić rodzinną wioskę; czegoś, co sprawiłoby, że jego pobratymcy zawahają się, zanim go zatrzymają. Nagła przemiana w strannika była idealnym rozwiązaniem.*

*Im dłużej zaś myślał o Miszy i jego zdumiewającym odkryciu, tym większego nabierał przekonania, że jego decyzja, by zatrzymać się tutaj, w tym surowym klasztorze, sownie mu się opłaci.*

*Być może świętemu Symeonowi, roześmiał się w duchu, faktycznie uda się choć raz dokonać cudu.*

Ostry ryk klaksonu wyrwał Sokołowa ze snu na jawie.

Ciągle stał przy taksówce w pobliżu rosyjskiego konsulatu. Czekał.

Wydawało mu się, że wszystko zaplanował bardzo dokładnie. Ulica była jednokierunkowa, co oznaczało, że kiedy Rogożyn skończy dniówkę, będzie musiał minąć żółtą taksówkę i Sokołow ruszy jego śladem. Kiedy jednak tuż przed szóstą z konsulatu wyjechał pierwszy samochód, Rosjanin zdał sobie sprawę, że jednego czynnika nie uwzględnił: grafitowy mercedes klasy C, który wyjechawszy ze strzeżonej bramy i skręciwszy w Dziewięćdziesiątą Pierwszą Ulicę, minął po chwili jego pozycję, miał przyciemniane okna, przez które nie można było zajrzeć do środka.

Gdy skręcał w Piątą Aleję, Sokołow zaklął głośno i z całej siły trzasnął obiema dłońmi w dach taksówki.

– Joł, brachu, tylko bez demolki! – zaprotestował Winston.

– Przepraszam, przepraszam... Najmocniej przepraszam – zreflektował się Sokołow.

Jamajczyk wzruszył ramionami, odwrócił się i wrócił do łagodnego kołysania głową w rytm muzyki w słuchawkach.

Sokołow kipiał ze złości. „Kogo chciałeś oszukać, Leo? Nie jesteś już tym młodzieniaszkiem, który ich wtedy przechytrzył. Jesteś zwykłym zgorzkniałym starcem, który nie potrafi nawet trzymać gęby na kłódkę po paru wódkach. Właściwie typowy z ciebie Rosjanin. Żaden Amerykanin nie byłby takim idiotą”.

Zacisnął powieki, wziął głęboki wdech i rozmasował sobie dłońmi twarz.

„Co mam robić, do jasnej cholery?”

Mógł albo wycofać się do następnej taniej nory i spędzić kolejną noc na uzalaniu się nad sobą, albo poczekać w nadziei, że wyłączając konsula generalnego poruszającego się oflagowaną limuzyną, nie wszyscy jeżdżą takimi wozami. Mógł też po prostu wybrać losowo samochód, nie dbając, kto siedzi za jego kierownicą, i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Czyli właściwie nie miał wyboru.

Jeszcze raz odetchnął głęboko i zacisnął palce na pistolecie, który trzymał w kieszeni płaszcza. Czuł się obco z czymś takim w ręku. Prymitywna, wulgarna broń. Ale w tym momencie była bardzo użyteczna i cieszył się, że udało mu się ją zdobyć.

Czekał jeszcze chwilę. I wtedy uśmiechnęło się do niego szczęście.

Z konsulatu zaczęły wyjeżdżać kolejne samochody – tym razem zwykłe sedany, raczej drogie, ale z normalnymi szybami. Za kółkiem jedenastego, ciemnoszarego lexusa, który minął bramę dopiero niecałą godzinę później, siedział Rogożyn we własnej osobie.

Sokołow patrzył, jak przejeżdża obok, po czym wskoczył do taksówki.

– Ten wóz! – zawołał w podnieceniu do Winstona. – To ten wóz! Za nim!

Żółta taksówka ruszyła w ślad za lexusem.

Jamajczyk kilkakrotnie o mało go nie zgubił, ale za każdym razem udawało mu się wypatrzeć na horyzoncie lśniącego sedana. Kiedy dotarli na miejsce – do wysokiego apartamentowca przy Wschodniej Trzydziestej Szóstej – było już dobrze po siódmej i zapadał zmrok.

Lexus skręcił do podziemnego garażu i zniknął w środku. Roletowa brama powoli zaczęła za nim opadać.

Sokołow musiał działać szybko.

– Stój, wypuść mnie! – krzyknął do Jamajczyka.

Winston zahamował gwałtownie tuż przy bramie. Sokołow zdążył już wcześniej zerknąć na taksometr, który zatrzymał się na kwocie stu jedenastu dolarów, i wcisnąwszy przez szybę oddzielającą kierowcę od pasażera dwa banknoty studolarowe, wyskoczył z taksówki.

– Dziękuję, muszę lecieć! – zawołał, po czym popędził w stronę bramy.

Kiedy znalazł się przy niej, od podłogi garażu dzielił ją już tylko niecały metr. Sokołow bez wahania rzucił się na ziemię, uderzając mocno kolaniem o asfalt, i niczym ranny krab przecisnął się przez kurczącą się szybko szparę do środka.

Przez chwilę łapał oddech, leżąc na plecach, i nagle poczuł rwący ból w kolanie. Pomasował je szybko dłonią i postanowił zignorować. Podniósł się i wyprostował zdumiony, że tak łatwo mu poszło. Obrzuciwszy wzrokiem wnętrze garażu, pokuszył się w poszukiwaniu lexusa.

„Kto wie, może faktycznie mi się uda?” – pomyślał, dysząc ciężko i ciągnąc za sobą zeszywniałą nogę, jednocześnie jednak czując przypływ adrenaliny, która całkowicie wyparła paralizujący go do tej pory strach.

„Kto wie?”

Wraz z zachodem słońca także David Miller i Frank Mazzucchelli kończyli dniówkę. Jeszcze tylko dwadzieścia minut i wrócą na sto szósty komisariat, gdzie przesiądą się z białej patrolowej impali do prywatnych samochodów i ruszą do domów, by nazajutrz wszystko zacząć od nowa.

Taki przynajmniej mieli plan. Nie jakiś szczególnie oryginalny czy błyskotliwy, ale jego podstawową zaletą było to, że zwykle się sprawdzał.

Nagle jednak Mazzucchelli, który zajmował miejsce pasażera, zauważył tamtą półterenówkę. Rdzawoczerwonego ford escape'a, zaparkowanego przy tanim motelu w Howard Beach. Półterenówkę, w której sprawie rano ogłoszono alert. I plany na wieczór wzięły w łeb.

Pomyśleli, że przynajmniej nabiją sobie trochę nadgodzin. W sumie nie najgorsza perspektywa. W sumie dobrze się stało. Miller zwolnił, zawrócił i podjechał do motelu, żeby przyrzec się podejrzanemu wozowi.

Następnie połączyli się z centralą.



Sokołow schował się za kolumną i mocno ścisnął ukrytą w kieszeni broń. Rogożyn w tym czasie minął szklaną ścianę, wszedł do krótkiego korytarzyka i wcisnął klawisz ściągania windy.

Był tam, w zasięgu ręki – sam.

Całe ciało Sokołowa aż się zagotowało z podniecenia.

„Zrób to! Zrób! Już! Dorwij go! Zaprowadź w jakieś ustronne miejsce! Zmusz, żeby zadzwonił do swoich ludzi i kazał im uwolnić Dafne!”

Zacisnął palce wokół chwytu pistoletu i wyłonił się zza kolumny, ale nie zdążył zrobić nawet dwóch kroków, gdy usłyszał znajomy głos pojedynczego dzwonka i jego ofiara zniknęła we wnętrzu windy.

„Nie!”

Ile sił w nogach popędził w stronę korytarza – ale nie zdążył. Kiedy dotarł do drzwi, właśnie się zamknęły.

Czuł gwałtowne pulsowanie żył na skroniach, gdy zapalały się ukryte za rzymskimi cyframi z brązu kolejne żaróweczki, aż wreszcie zatrzymały się na szesnastym piętrze. Prawą dłoń, schowaną pod grubym płaszczem, zalewał mu pot, przez co chwyt pistoletu zrobił się mokry i śliski. Poluzował uścisk, wyjął rękę z kieszeni i wytarł ją o płaszcz, co jednak niewiele pomogło. Za bardzo się pocił.

Zawahał się przez moment, po czym drugą dłonią wcisnął kilka razy klawisz windy i przestępując nerwowo z nogi na nogę, czekał. Zdjął beret i szal, przesiąknięte potem. W końcu rozległ się przyciszony dzwonek i drzwi windy się otworzyły. Zawahał się znowu, po czym wszedł do środka. Drzwi zasunęły się za nim.

Wcisnął numer szesnaście. Ale winda nawet nie drgnęła. Spróbował jeszcze raz. Nadal nic. Nagle zauważył ponad przyciskami szczelinę na kartę zabezpieczającą. Naklejono nad nią wyraźną instrukcję: „Dostęp na wszystkie piętra powyżej poziomu P wymaga wprowadzenia karty zabezpieczającej”.

Poczuł jeszcze mocniejsze pulsowanie w czaszce.

Pozostawało mu tylko podjechać windą do recepcji na parterze i przesiąść się do którejś z głównych wind – żeby to zrobić, z pewnością będzie jednak musiał najpierw przemknąć się obok strażnika albo portiera. Nie miał wyboru. Wiedział, że nie da rady wejść schodami na szesnaste piętro, a nawet gdyby, to i tak drzwi do części mieszkalnej raczej nie dadzą się otworzyć od klatki schodowej.

Wcisnął „P” i stłumiwszy gorycz, którą poczuł nagle w gardle, czekał, aż zasuną się drzwi – i nagle usłyszał czyjś głos.

– Może pan przytrzymać windę?

Instynktownie wysunął rękę i zatrzymał zamykające się drzwi. Kiedy zniknęły w ścianie, wychylił się i zobaczył kobietę koło czterdziestki na wysokich obcasach,

w kusym kostiumie i z dwoma wielkimi papierowymi torbami z delikatesów w obu rękach, pędzącą w stronę korytarza.

– Dzięki! – wysapała pospiesznie, wchodząc do kabiny. – Może pan dwudzieste trzecie?

Sokołow zeszywniał. Próbował stłumić narastającą w nim gwałtowną chęć wybiegnięcia z windy. Kobieta patrzyła na niego, czekając, aż wciśnie guzik.

Czego przecież nie mógł zrobić. Nie miał karty zabezpieczającej.

– Oczywiście – bąknął i zaczął się klepać po płaszczu, jakby szukał portfela. Uśmiechnął się nieśmiało i pokornie, siląc się na uprzejmy ton starego imigranta. – Tylko znajdę kartę. Widzi pani, wybieram się właśnie do recepcji. Muszę porozmawiać z portierem, zanim wjadę na górę. Czeka na mnie przesyłka, a tu... – Przeszukiwał nadal płaszcz. – Gdzie się podziała ta karta?

Przyglądała mu się podejrzliwie, w końcu jednak zwyciężyło w niej zniecierpliwienie. Z obrażoną miną sięgnęła do torebki i wyciągnęła z portfela własną kartę.

– Tak będzie szybciej – powiedziała zirytowanym tonem, po czym wsunęła i wysunęła kartę, wcisnęła dwudziestkę trójkę i cofnęła się, wyraźnie niezadowolona z powodu zwłoki.

Winda szybko pokonała dwa poziomy, dotarła do parteru, gdzie zatrzymała się, zadzwoniwszy znowu dyskretnie. Drzwi się rozsunęły.

Sokołow musiał wyjść. Spojrzał w stronę recepcji. Podłoga wyłożona była marmurem, ściany ciemną boazerią, a z sufitu zwisał ogromny żyrandol, pod którym znajdował się rząd drzwi do głównych wind. Stanowisko portiera umiejscowiono dokładnie między nimi, by chronić je przed nieproszonymi gośćmi, a sam portier, krzepki mężczyzna o srogiej minie i zaczesanych do tyłu lśniących ciemnych włosach, tkwił na posterunku.

Sokołow spojrzał na kobietę. Przyglądała mu się niecierpliwie, najwyraźniej czekając, aż wyjdzie z windy. Uśmiechnął się nieśmiało, rozpaczliwie próbując coś wymyślić. Nie mógł dostać się do głównych wind, nie zahaczając o portiera, nie przychodził mu też do głowy żaden blef, dzięki któremu mógłby się przed nim wytłumaczyć. Z drugiej strony, w windzie również nie mógł zostać. Przecież powiedział już nieznaomej, że musi porozmawiać z portierem.

Musiał wyjść.

Kiedy już ruszył przed siebie i drzwi zaczęły się za nim zamykać, nagle zobaczył, że portier uśmiecha się szeroko i woła:

– Dobry wieczór, pani Greengrass!

W recepcji pojawił się najpierw maleńki, nienagannie uczesany terier, a za nim maleńka, nienagannie ubrana staruszka.

– Cześć, Diego! – przywitała się, podchodząc do kontuaru.

Sokołow zatrzymał się w pół kroku.

Odwrócił się na pięcie i wysunął rękę, w ostatniej chwili zatrzymując windę. Wszedł z powrotem do środka i uśmiechnął się przeproszająco do kobiety.

– Odbiorę przesyłkę później. Pani Greengrass... Potrafi plotkować z Diego całymi godzinami.

Kobiety jakoś to nie rozbawiło.

Skinął jej z zawstydzeniem głową, po czym sięgnął i wcisnął numer szesnaście.

Zaświecił się przycisk.

Gdy zasuwały się drzwi i winda ruszała w górę, poczuł spływającą po czole kroplę potu.

Udało się.

– Adams – burknął detektyw.

Było późno, padał z nóg. Marzył tylko o zimnym piwie i taborecie wsuniętym pod stopy.

– Melduje posterunkowy Frank Mazzucchelli ze sto szóstego. Czy to wy wystawiliście wezwanie na rdzawoczerwoną półterenówkę, forda escape'a? W związku ze śledztwem w sprawie zgonu w Astorii?

Adams się ożywił.

– Tak, a co?

– Właśnie na nią patrzę.

Detektyw zerwał się na nogi i machnął na partnera, jednocześnie wysłuchując reszty meldunku i spisując lokalizację.

– Zawiadomiliście już federalnych? – zapytał, zanim się rozłączył.

– Nie, zameldowaliśmy najpierw wam. Rodzina przede wszystkim, nie?

– Dzięki, Frank. Już jedziemy.

Adams odłożył słuchawkę i narzucił na ramiona kurtkę.

– Pamiętasz półterenówkę, którą federalni namierzyli pod mieszkaniem tych Ruskich? – zapytał partnera. – Parkuje pod motelem w Howard Beach.

– Jedziemy – rzekł Giordano, również sięgając po kurtkę. – Zadzwonimy do nich z wozu.

Adams zatrzymał się i rozłożywszy ręce, spojrzał na niego ze zdumieniem wymalowanym na twarzy.

– Żartujesz?

– Że co?

– Pieprzyć federalnych – powiedział. – Nasze podwórko, nasz radiowóz, nasza obroza. Zawiadomimy ich, jak już będzie po wszystkim.

Znajomy dyskretny dzwonek zasygnalizował, że dotarli na szesnaste piętro. Rozsunęły się drzwi.

Sokołow uprzejmie skinął głową kobiecie i wyszedł na korytarz. Spojrzała na niego podejrzliwie, ale na szczęście zasuwające się drzwi odcięły go od jej lodowatego wzroku.

Rozejrzał się. Korytarz, delikatnie oświetlony i elegancko wykończony tapetą przedstawiającą las smukłych drzew, prowadził w dwie strony. Dyskretnie oznaczenia wskazywały, że po lewej są mieszkania od A do C, a po prawej – od D do E.

Pięć mieszkań.

Sokołow zaklął w duchu i zmiął trzymany w lewej dłoni beret i szal. Nie miał pojęcia, gdzie mieszka Rogożyn.

Rozejrzał się w panice na lewo i na prawo, szukając jakiejś wskazówki; czegokolwiek, czego mógłby się chwycić. Zastanawiał się, czy nie zaczekać na kogoś, kogo mógłby zwyczajnie zapytać, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Mieszkańcy tego rodzaju budynków są zazwyczaj bardzo podejrzliwi. Sąsiedzi zaczęliby się zastanawiać, co tam w ogóle robi, skoro nie został zaproszony przez kogoś z nich, a skoro nie zna numeru mieszkania, to jasne przecież, że nie został. Rozważał kolejne opcje i doszedłszy w końcu do wniosku, że musi zrobić cokolwiek, ruszył po prostu w lewo i podszedł do pierwszego mieszkania.

Przełknął, spróbował zebrać się w sobie i zacisnąwszy palce prawej dłoni wokół schowanego w kieszeni pistoletu, prawą zadzwonił do drzwi.

Nikt nie otworzył, ze środka nie dobiegł żaden odgłos.

Sokołow wytarł spocone dłonie o koszulę i podszedł do drugiego mieszkania, zanim jednak wcisnął dzwonek, nachylił się i przycisnął ucho do drzwi, nasłuchując uważnie. Usłyszał stłumione dźwięki, zdaje się, że telewizora. Nagle za plecami zaskoczył go dzwonek windy. Oderwał się od drzwi i odwrócił gwałtownie na pięcie. W tej samej sekundzie dobiegło go zadane stanowczym głosem pytanie:

– Czy może mi pan wyjaśnić, kim pan jest i co pan tutaj robi?

Adams zwolnił i zatrzymał się tuż za zaparkowanym radiowozem. Czekają przy nim dwóch policjantów. Rdzawoczerwony escape stał tam, gdzie zameldowali – przed tanim motelem. Oprócz niego parkowały przed nim tylko dwa samochody, czemu w środku tygodnia o tej porze roku nie należało się dziwić. Hotelik był tak obskurny, że Adams zaczął się zastanawiać, kto o zdrowych zmysłach mógł się na niego zdecydować i jakie miał ku temu powody.

Musiało chodzić o jakieś naprawdę brudne sprawy. Albo ktoś chciał się przyczaić.

Detektywi przepytali szybko mundurowych. Mazzucchelli powiedział im, że zdążyli już zajrzeć do środka i zamienić słowo z recepcjonistą.

– Twierdzi, że samochód należy chyba do gościa z pokoju sto siedem – powiedział Mazzucchelli. – Podobno to Rosjanin. Zdaje się, że zatrzymuje się ich tutaj całkiem sporo. Tak czy inaczej facet zameldował się wcześniej rano. Był sam. Zapłacił za trzy noce. Recepcjonista od tamtej pory go nie widział. – Policjant uśmiechnął się znacząco do detektywów. – Naturalnie zapłacił gotówką.

– No co ty? – roześmiał się Adams, po czym uściśnął policjantowi dłoń. – Dzięki, panowie. Przejmujemy sprawę.

– Na pewno nie chcecie, żebyśmy tutaj zaczekali? – spytał Miller.

– Nie, damy sobie radę – odparł Adams. – Chodzi o rodzinną sprzeczkę. Nic wielkiego.

Miller nie wydawał się przekonany.

– W treści alertu był kontakt do FBI – zauważył. – Nieźle, jak na rodzinną sprzeczkę.

Adams mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Wszystko jest pod kontrolą. Jeszcze raz dzięki. Na razie.

Zachowywał się tak obcesowo, że Miller w końcu zrozumiał mało subtelną aluzję. Spojrzał niepewnie na Mazzucchellego. Ten wzruszył ramionami i skinął nieznacznie głową w stronę radiowozu.

– Okej, spadamy, do zobaczenia później.

Dwaj mężczyźni, którym przydzielono zadanie obserwowania motelu z samochodu, patrzyli, jak umundurowani policjanci wsiadają z powrotem do radiowozu i odjeżdżają.

Dwaj detektywi w cywilu stali przez moment, patrząc za odjeżdżającym wozem patrolowym, po czym ruszyli w stronę motelu.

– Co robimy? – zapytał pierwszy z mężczyzn. – Goście zrobią nam niezły burdel.

– Nie możemy im na to pozwolić – odparł jego kolega. – Rozkazy były wyraźne. Przynęta na Sokołowa ma zostać na miejscu.

Wymienili szybkie spojrzenia, a potem wysiedli z samochodu i skierowali kroki ku recepcji.

Adams właśnie pokazywał chuderławemu recepcjoniście odznakę, gdy nagle zobaczył, że frontowymi drzwiami wchodzi dwóch mężczyzn w szpanerskich garniturach.

W tym obskurnym miejscu wyglądali jak przybysze z innej planety, ale Adamsowi nie dane było zbyt długo się nad tym zastanawiać. Mieli okulary słoneczne, charakterystyczne wybrzuszenia pod kurtkami, zarozumiałe miny, a jeden z nich uniósł dłoń, tak jakby chciał kogoś powstrzymać.

„Pieprzeni federalni. Klonują ich czy co?” – pomyślał Adams.

– Panowie, prosimy na słówko – powiedział jeden z nich obcesowym tonem, kiwając na policjantów, żeby przeszli na stronę. Chodziło pewnie o to, żeby nie

podśluchał ich recepcjonista.

Adamsowi opadła szczęka.

– Słucham?

– Nazwijmy to przyjacielską interwencją – rzekł kosmita.

– Możesz powtórzyć? Kim wy właściwie jesteście?

– Obawiam się, że nie jesteśmy upoważnieni do udzielania tego rodzaju informacji

– przejął pałeczkę drugi Marsjanin. – Niech wam wystarczy wyjaśnienie, że utrudniacie nam prowadzenie operacji. Macie zaniechać dalszych działań, i to natychmiast. Chodzi o kwestie związane z bezpieczeństwem narodowym.

Adams spojrział rozbawionym wzrokiem na partnera, po czym wybuchnął śmiechem.

– Słyszałeś tego palanta? „Bezpieczeństwo narodowe”? – Odwrócił się do agenta.

– Z jakiej przylecieliście planety?

Jego uwaga jakoś nie rozbawiła mężczyzn w garniturach.

– Wyjdźcie stąd obaj i wracajcie do domu – rzekł pierwszy z agentów. – Nie będę tego dwa razy powtarzać. Uniemożliwiacie nam prowadzenie ważnej operacji.

Adams odstłonił połę kurtki, pokazując schowaną pod nią kaburę z pistoletem.

– Posłuchaj mnie: wypad stąd obaj albo ktoś tutaj faktycznie będzie potrzebował operacji, jeżeli kumasz, co mam na myśli.

Agent uśmiechnął się, po czym sięgnął pod kurtkę.

Adams wyciągnął pistolet, podniósł drugą dłoń, rozcapierzył palce i zawołał:

– Ręce na widoku! Już!

Mężczyzna szybko rozłożył szeroko ramiona i wyszczerzył się w niefrasobliwym uśmiechu.

– Tylko spokojnie, dobra? Chyba powinieneś z kimś porozmawiać. – Przerwał, po czym dodał z wyższością: – Z Langley.

Tym samym jeszcze bardziej wkurzył Adamsa.

„Najpierw FBI, a teraz CIA?”

– Koleś, gdybyś nie zauważył – warknął – to nie jesteśmy w Iraku, Iranie czy jakiejś innej dupie, do której powinno się ograniczać wasze węszenie. To nie wasza jurysdykcja!

Agent spojrział kwaśno na swojego partnera i miał już coś powiedzieć, gdy nagle wtrącił się Giordano.

– Panowie, o co tu właściwie chodzi? – spytał przyciszonym i pojednawczym tonem. – Co jest grane?

Zanim agent zdążył odpowiedzieć, otworzyły się gwałtownie frontowe drzwi.

Wszyscy czterej funkcjonariusze spojrzeli jak jeden mąż na wchodzącego mężczyznę.

Był sam. Wysoki, szczupły, dobrze zbudowany. Postrzępiona kozia bródka, dosyć

długie włosy z przedziałką pośrodku, szylkretowe okulary. Czarny jak smoła garnitur; czarne, błyszczące buty.

Na dłoni miał rękawiczkę. Tej, której nie trzymał za plecami.

Mężczyzna nie zwolnił, nie zatrzymał się ani na chwilę. Szedł miarowym krokiem w stronę zdumionej czwórki. Z kamienną twarzą, chłodny, spokojny, skupiony. Jakby jechał po torach. W pewnym momencie jednym eleganckim i szybkim jak błyskawica ruchem wyciągnął z za pleców drugą dłoń i skierował w ich stronę.

Tak jak pierwsza, była osłonięta czarną rękawiczką.

Tyle że w tej akurat trzymał pistolet.

Maszynowy. Z tłumikiem. I magazynkiem na dwadzieścia nabojów.

Szesnaście więcej, niż potrzebował.

Piętnaście, jeżeli doliczyć recepcjonistę.

Kościej nie lubił marnować kul.

Portier wyszedł z windy i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę Sokołowa. W lewej dłoni trzymał walkie-talkie, a prawą wyciągnął przed siebie, palcem wskazującym celując agresywnie w Rosjanina.

Sokołow zawahał się. Poczuł, że ogarnia go panika.

– Proszę pana?! – zawołał mężczyzna.

„Kobieta. Cholerne babsko z windy. To pewnie ona zadzwoniła na dół i mnie wyspała”.

Spojrzał ukradkiem na korytarz za swoimi plecami, ale przy drzwiach mieszkania w dalszej jego części nic się nie działo.

– Proszę pana! – zawołał portier, szarżując na niego.

Rosjanin wyciągnął pistolet, złapał go oburącz i wycelował w mężczyznę.

– Nie ruszaj się! Nie podchodź, bo będę strzelał!

Portier stanął jak wryty i uniósł obie ręce, rozpostarte dłonie kierując w obronnym geście w stronę napastnika.

– Tylko spokojnie, dobra? Tylko spokojnie.

Sokołow cofnął się o kolejny krok wzdłuż ściany. Rozbieganym wzrokiem rozejrzał się po korytarzu.

– Dmitrij Rogożyn z rosyjskiego konsulatu. Które to mieszkanie? Wiem, że mieszka na tym piętrze.

– Proszę się uspokoić...

– Które mieszkanie? – wrzasnął Sokołow, dźgnąwszy powietrze lufą pistoletu.

– Proszę pana, wezwałem już policję – rzekł portier i uniósł nieco krótkofalówkę.

– Nadaję na żywo. Słyszają, co mówimy, i będą tu za minutę albo dwie. Może więc lepiej niech pan się stąd wynosi, póki pan jeszcze może.

– Zamknij się i mów, które to mieszkanie! – warknął Rosjanin, czując, że wiruje mu w głowie od tego, co właśnie powiedział mężczyzna. Czyżby krótkofalówka naprawdę była połączona z policyjnym radiem? Czy rzeczywiście wezwał już gliniarzy?

Podbiegł do portiera i machnął gwałtownie pistoletem parę centymetrów od jego twarzy.

– Gdzie on jest?!

– Proszę pana, naprawdę radzę panu uciekać – nalegał spokojnym tonem mężczyzna, patrząc to na Sokołowa, to na pistolet.

Rosjanin oddychał z coraz większym trudem. Co właściwie chciał uzyskać? Przez chaos w jego głowie przebiła się myśl, że nawet gdyby wiedział, w którym mieszkaniu przebywa Rogożyn, to przecież ten nigdy mu nie otworzy. Sokołow mógł przestrzelić zamek. I co dalej? Policja przyjedzie, zanim zdąży wyciągnąć go z mieszkania i ostatecznie znajdzie się w patowej sytuacji. Będzie miał zakładnika, ale Dafne



pozostanie w ich rękach, a on sam wylądował w areszcie albo z kulą w głowie.

Spojrzał jeszcze raz na korytarz, po czym rzucił się przed siebie, omijając portiera i zmierzając w stronę wind. Jedna z nich czekała na piętrze z otwartymi, zablokowanymi drzwiami. Nie bardzo wiedział dlaczego, ale po chwili zauważył kluczyki tkwiące w panelu kontrolnym i domyślił się, że to portier zablokował je, wyruszając na rekonesans.

Przekreślił klucz, wyciągnął go i wcisnął guzik parteru.

Niecałe dwadzieścia sekund później pędził już Trzydziestą Szóstą z rękami w kieszeniach i beretem nasuniętym głęboko na oczy, starając się trzymać w cieniu budynków i mając nadzieję, że nikt go nie goni.

Kościej nawet się nie zawahał, nawet nie drgnął.

Cztery razy pociągnął za spust. Cztery strzały w głowę, jeden po drugim. Zajęło mu to niecałe cztery sekundy.

Nawet się nie zatrzymał, żeby spojrzeć na ciała. Nie było takiej potrzeby. Wiedział dokładnie, jakie szkody wyrządziły jego kule, zważywszy na to, gdzie je umieścił. Robił to wiele razy przedtem i nigdy nie było komplikacji.

Na tym jednak nie skończył.

Podszedł do recepcjonisty i przystawił przerażonemu mężczyźnie pistolet do głowy, dotykając jego czoła tłumikiem. Drugą rękę Kościej podniósł jednocześnie do ust, palec wskazujący kładąc na zaciśniętych wargach.

– Ćśś... – przykazał recepcjoniście. Następnie odsunął palec wskazujący od twarzy i pogroził nim mężczyźnie.

Ten pokiwał energicznie głową.

– Numer pokoju – zażądał Kościej.

Mężczyzna otworzył szeroko oczy, tak jakby nie był pewien.

– Numer pokoju – powtórzył Rosjanin.

– Dziewięć.

Kościej wynagrodził go trzecim okiem.

Obrzucił spojrzeniem recepcję i upewniwszy się, że nie zamontowano w niej kamer monitoringu, których zresztą w takim miejscu nie przewidywał, wyszedł.

Nie spodziewał się, że nadzieje się na funkcjonariuszy sił porządkowych. Zdziwiło go to. Ponieważ dotąd wszystko szło jak z płatka.

Lot liniami Virgin Atlantic z Heathrow.

Szybka odprawa graniczna na podstawie fałszywego chorwackiego paszportu.

Półterenówka chevy yukon zostawiona dla niego w niebieskim garażu w czwartym terminalu – nie z wypożyczalni, przez którą w czasach pobierania odcisków palców i fotografowania w punkcie imigracyjnym można byłoby namierzyć spreparowaną tożsamość, jakiej użył przy wjeździe do kraju.

Sprzęt czekający na niego spokojnie w bagażniku.

Adres, który wprowadził do telefonu Nexus.

Jak po maśle.

I nagle zauważył tych dwóch agentów. Od razu postanowił ich wyeliminować. Potem na miejscu pojawiło się dwóch krawężników i dwóch detektywów, co dodatkowo komplikowało sprawę. Na szczęście gliniarzy odprawiono, bo musiałyby zająć się również nimi.

Nieprzewidziane komplikacje – choć właściwie drobne. Wiedział, że zabicie tych gości zwiększy ryzyko i utrudni mu pracę. Amerykańscy funkcjonariusze sił porządkowych nie mają skrupułów, kiedy sprzątnie się któregoś z nich. Zastrzelenie czterech sprawi, że wpadną w szal. Kościej doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Nie przejmował się tym.

Wiedział wszak doskonale, że zanim skończy, będą mieli o wiele więcej powodów, żeby wpaść w szal.

Czym zresztą też się nie przejmował.

Dafne Sokołow siedziała skulona w kącie ciasnej łazienki i cała się trzęsła.

Ten dzień, zanim jeszcze się na dobre rozpoczął, zamienił się w koszmar. Nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że przydarzyło jej się coś takiego. Całą noc pracowała w Szpitalu Góra Synaj. Zmiana upłynęła bez większych komplikacji, wszyscy pacjenci pozostający pod jej opieką mieli się dobrze. Nad ranem odbiła kartę i wyszła, myśląc już o gorącej herbacie i toście z miodem tymiankowym, który zje wraz z Leo, zanim on wyjdzie do pracy. I nagle świat wokół ogarnęło jakieś szaleństwo.

Obcy – Rosjanin, jak się domyśliła – który dopadł ją, gdy szła na autobus, powiedział jej, że ma w kieszeni pistolet, kazał siedzieć cicho i robić, co jej każe, jeżeli chce jeszcze zobaczyć Leo żywego, a potem zmusił ją, żeby wsiadła do samochodu, który jechał tuż za nimi.

Nylonowe paski, którymi związano jej ręce.

Szerokie plastry, którymi zaklejono jej oczy.

Okulary przeciwsłoneczne – tak przypuszczała, sądząc z dotyku – którymi je następnie zakryto.

Jazda w nieznanym kierunku.

I w końcu porzucenie tutaj, w tej brudnej, pozbawionej okien łazience w jakimś hotelu, jak założyła, rozejrzawszy się, z rękami przywiązanymi za plecami do kłamry przymocowanej do rurki kaloryfera biegnącej u dołu ściany, z uwolnionymi litościwie oczami, ale zaklejonymi ustami, tym razem nie plastrem, lecz kawałkiem taśmy.

Spędziła tam cały dzień; dzień, który z każdą minutą napawał ją większym przerażeniem, zwłaszcza gdy jeden z jej porywaczy wrócił skądś, gdzie coś najwyraźniej poszło bardzo nie tak.

Był roztrzęsiony i spanikowany, plótł coś bez ładu i składu, próbując opowiedzieć swojemu partnerowi, co się wydarzyło.

Rozumiała z tego więcej, niż przypuszczali. Mieszkając tak długo z Leo, nauczyła się znacznie więcej niż paru słów po rosyjsku. A wnioski, do których doszła, przeraziły ją i skonsternowały jeszcze bardziej.

Wszystko wskazywało na to, że Rosjanin zabrał do ich mieszkania kogoś, kto stał wyżej od niego w hierarchii. Ten ktoś miał się spotkać z Leo. Już to ją zdziwiło.

„Co to może mieć wspólnego z Leo?”

Mieli zabrać Leo, ale tamten ważny Rosjanin – Jakowlew, takie padło nazwisko – nagle wypadł z okna – z ich okna! – i się zabił. Jej porywacze uważali, że zrobił to Leo.

„Wypchnięty? Przez mojego Leo?”

Rosjanin nie oszczędził swojemu pobratymcowi makabrycznie szczegółowego opisu trupa Jakowlewa, i choć jego widok wywołał u niego panikę, wydawało się, że jeszcze bardziej przeraża go to, jak na wieści zareaguje ich szef.

Ich szef, którego nazywali *Kuwałdą* – Młotem Kowalskim.

Rosjanin w końcu się uspokoił i zebrał na odwagę, żeby zadzwonić do szefa i poinformować go o wszystkim. Spotkała go surowa reprimenda – streścił ochrzan swojemu partnerowi, i to co do słowa. Kazano im czekać na dalsze instrukcje.

Czekali już wiele godzin. Przez ten czas niewiele ze sobą rozmawiali, a w każdym razie nie na tyle głośno, by Dafne usłyszała, o czym mówią, zwłaszcza że włączyli telewizor. Jedno było jasne. Obaj byli przerażeni tym, co może ich spotkać za to, że zawiedli. Ich strach udzielił się Dafne. Bała się jeszcze bardziej niż wcześniej, jeżeli to w ogóle było możliwe. To wszystko nie miało ni grama sensu. Żeby Leo wypchnął kogoś przez okno? Niemożliwe. I ci mężczyźni – już oni sami wydawali się przerażający, a ich szef, z tego co mówili, był jeszcze gorszy.

Dafne jeszcze nigdy nie była tak wyczerpana. Próbowała się uspokoić, ale nie przychodziło jej do głowy nic, co dawałoby jej jakąkolwiek nadzieję. Myślała tylko o tym, że pewnie już nigdy nie zobaczy Leo; martwiła się, czy wieść o jej losie do kogokolwiek dotrze; czy to już koniec.

Musiała coś zrobić, choć właściwie niewiele mogła. Ucieczka nie wchodziła w rachubę – jej ciemężyciele czekali po drugiej stronie drzwi, a ona sama była przywiązana do rurki kaloryfera. Jej umysł uchwycił się innej myśli – chciała zostawić jakąś wiadomość, jakoś opisać tym, którzy jej szukają, los, jaki ją spotkał. Musiała – nie mogła tak po prostu zniknąć bez śladu. Tylko jak to zrobić?

Nagle usłyszała stukanie do drzwi.

Zamarła – podobnie jak obaj mężczyźni. Czowała to, mimo oddzielających ją od nich drzwi. Dobięły ją stłumione szepty. Nikogo się nie spodziewali.

Nie wiedziała, co o tym myśleć – najpierw ogarnął ją strach; strach przed spotkaniem z ich szefem. Potem zakiełkowała w niej nadzieja. A może to oznacza coś dobrego? Czyżby znalazła ją policja? Zostanie uratowana?

Zacząła szarpać więzy; próbowała rozpaczliwie przynajmniej zerwać z ust taśmę, żeby krzyknąć, zawołać, że tu jest, więziona przez tych dwóch zbirów. Nic to jednak nie dało. Ręce miała ciasno związane za plecami. Nie mogła nimi nigdzie sięgnąć.

Uspokoiła się i zaczęła nasłuchiwać.

Usłyszała w pokoju jakiś ruch. Zdaje się, że jeden z Rosjan – ten, który był tam z Jakowlewem – podszedł do drzwi.

– Kto tam? – zapytał.

Nagle wybuchła kakofonia chaotycznych dźwięków.

Najpierw usłyszała trzask, jakby coś przebiło się przez drzwi.

Potem łupnięcie, głośne i głucho, jakby coś upadło na podłogę.

Potem nastąpił huk – straszliwy huk, jakby drzwi wyleciały z zawiasów.

Potem krótki krzyk, metaliczne szczęknięcie, kolejne łupnięcie.

A potem cisza.

Dafne gwałtownie przyspieszył puls. Została uratowana, była tego pewna! To policja albo FBI – bo kto inny? Przypuścili atak i unieszkodliwili porywaczy. Leo pewnie powiedział im, co się stało, a oni ją jakoś znaleźli. Nic jej nie będzie. Za chwilę zobaczy się z Leo i wszystko wróci do normy!

Nie odrywała wzroku od drzwi, walcząc ustami z taśmą, czując, jak serce wali jej w piersiach ze zniecierpliwienia, czekała na bohatera, który wejdzie, uwolni ją z więzów i zabierze z tego potwornego miejsca.

I rzeczywiście ktoś wszedł. Tyle że nie był to policjant.

Nie знаła tego mężczyzny. Był wysoki, szczupły, miał postrzępioną kosią bródkę i okulary.

A z jego twarzy wyczytała, że nie jest jej bohaterem.

Siedem ciał.

Siedem ciał i żadnych świadków – tylko hektolitry krwi i setki pytań.

Co do mnie, miałem tylko jedno.

Co, do jasnej cholery, robili tutaj ci detektywi?

Zbliżała się ósma. Jak tylko dotarło do mnie przez telefon info o strzelaninie i śmierci dwóch detektywów, których spotkaliśmy dzień wcześniej, natychmiast przyjechaliśmy z Aparo na miejsce. Plac przed motelem był oświetlony niczym wesołe miasteczko: radiowozy i nieoznakowane samochody chaotycznie otaczały budynek jakby przyciągane gigantycznym magnesem. Wozy transmisyjne ekip telewizyjnych utworzyły wokół nich zewnętrzny krąg. Ich anteny satelitarne sprawiały, że okolica przypominała miniaturową bazę nasłuchową projektu SETI. Roilo się tam od gliniarzy, techników i reporterów, wokół gromadzili się też mnożący się jak króliki gapie.

Skierowano mnie do szefa wydziału kryminalnego sto czternastego okręgu. Nazywał się Byrne, był wysokim Afroamerykaninem i, co w tej sytuacji zupełnie zrozumiałe, wyglądał na przybitego i wściekłego. Przedstawivszy się krótko, spytałem:

– Co tu się, do jasnej cholery, stało?

– Nie wiem, ale... to prawdziwa jatka – powiedział. – Pracuję w tym fachu od dwudziestu siedmiu lat. Bronx, Crown Heights. Moje oczy widziały niejedno. – Przerwał, a na jego twarzy wymalowało się zdumienie. – Ale czegoś takiego nigdy w życiu.

– To znaczy?

– Sam się przekonaj.

Lawirując w tłumie policjantów, wprowadził nas do niewielkiej, niskiej recepcji motelu. Na wykafelkowanej podłodze leżały tam cztery ciała, tak blisko siebie, że wydobywająca się z nich krew zlewała się w jedną kałużę. Pochylał się nad nimi istny rój techników. Rozpoznałem wśród martwych mężczyzn Adamsa i Giordana, pozostałych dwóch nie znałem. Szybko zrozumiałem, co Byrne miał na myśli. Każdy z nich miał w głowie pojedynczą ranę postrzałową. Dwóch w czołach, jeden w oku, a ostatni w górnej części policzka.

Cztery kule. Cztery trupy.

Niebywałe, biorąc pod uwagę fakt, że żaden z nich nie był nieruchomym celem. Dwaj z nich to gliniarze. Wyszkoleni funkcjonariusze policji. Mieli za sobą wiele lat treningu, wypracowane odruchy. Na sto procent musieli wykonać jakiś ruch. A mimo to leżeli tam ze spluwami w kaburach, niczym cele wywrotne na strzelnicy.

Przyjrzałem się dwóm pozostałym.

– Coś o nich wiemy? – zapytałem, wskazując na nich.

– Niewiele. Cywile, przynajmniej na to wygląda. Ale byli uzbrojeni.

Spojrzałem jeszcze raz. Faktycznie, pod ich marynarkami widać było schowane w kaburach pistolety. Profesjonalne armaty, których nie wyciągnęli, gdy wymagała tego chwila. Zastanowiłem się: garnitury, ukryta broń, spotkanie z detektywami z policji – logotyp agencji rządowej albo prywatnego kontrahenta mieli niemal wypisany na twarzach.

– Skąd oni wszyscy się tutaj wzięli? – spytałem.

– Dostali zgłoszenie na temat czerwonego forda escape’a.

Żołądek podskoczył mi do gardła.

– Chwila, tego z naszego alertu?

Byrne skinął głową.

– Radiowóz go wypatrzył. Funkcjonariusze zgłosili to centrali.

– I wezwali ich, zamiast nas.

Spojrzał na mnie znacząco.

– Chcieli, żeby to zostało w rodzinie. Wiesz, jak to jest.

Wiedziałem. I bez trudu wyobraziłem sobie, jak to Adams postanawia nie dzwonić do nas, stwierdziwszy, że dzięki temu to on i Giordano okryją się chwałą, na nich spłynie splendor. Zamiast tego dostali po kulce w łeb.

Kretyńskie, pomyślałem. Kretyńskie i małosłkowe. Ale się zdarza. Częściej, niż wam się wydaje.

Ciągle jednak nie wiedzieliśmy, co sprowadziło tutaj tych dwóch pozostałych. A zważywszy na procedury, jakich trzymają się kontraktorzy, raczej nie należało się spodziewać, że nagle pojawi się tutaj jakiś dobry duszek i nas oświeci.

Rozejrzałem się raz jeszcze po miejscu przestępstwa. Obecność piątej ofiary sygnalizowała wielka plama krwi na ścianie za stanowiskiem recepcjonisty. Zajrzałem za kontuar i zobaczyłem ciało. I znowu, pojedyncza kula w samym środku czoła.

Kolejna egzekucja.

Przyjrzałem się całemu pomieszczeniu. Nie zauważyłem w ścianach dziur po kulach. Wszystko wskazywało na to, że poza tymi, które ukatrupiły tych pięciu denatów, nie oddano tam ani jednego dodatkowego strzału. Próbowałem to sobie wyobrazić. Nawet biorąc pod uwagę czynnik zaskoczenia, nawet gdyby chodziło o snajpera, który zdjąłby ich tak, że nawet by go nie zauważyli, po pierwszym strzale pozostali musieli jakoś zareagować. Na pewno musieli. W końcu było ich czterech, wszyscy uzbrojeni. I nie mieli do czynienia ze snajperem. Nie zauważyłem rozbitego szkła, kule nie wbiły się pod kątem. Nie, jak przypuszczalnie wykażą specjaliści od balistyki, ten, kto ich wykończył, zwyczajnie wszedł do środka i po kolei strzelił do każdego z nich. Każdemu w twarz.

Co oznaczało, że morderców było więcej. Co najmniej dwóch. W najlepszym razie. Jeżeli byli doskonałymi strzelcami i wykorzystali czynnik zaskoczenia. Jednocześnie

wyciągnęli spluwy i najpierw zdjęli dwóch, a potem wycelowali i strzelili ponownie. Cztery trupy.

Wykonalne. Choć niełatwe.

– Dwóch strzelców? – zastanawiałem się na głos.

– Na to wygląda – potwierdził Aparo. – Może więcej.

Będzie z tego niezły burdel. Czuję w kościach, że w moim życiu pojawi się wkrótce wielu facetów w garniturach. W garniturach, beczelnych i niemiłych we współpracy.

– Zgłaszano nam siedem ofiar. Gdzie pozostałe dwie? – spytałem Byrne'a.

– Tędy.

Wyprowadził nas na zewnątrz, a potem pokazał drogę do pokoju numer dziewięć. Drzwi do niego ktoś wywalił kopniakiem, ale najpierw oddał strzał przez wizjer. Uczciwy znalazca kuli leżał na podłodze tuż za nimi. Pocisk przeszedł mu przez prawe oko, i choć poczynił znaczne szkody w twarzy, natychmiast rozpoznałem w denacie mężczyznę z filmiku wrzuconego na YouTube, naszego nieznanego obserwatora sprzed mieszkania Sokołowa.

W pokoju, przy łóżku, leżał kolejny martwy mężczyzna. I znowu wyglądało na to, że dostał pojedynczą kulę, tym razem w serce. Oprócz tego w pomieszczeniu nie zauważyłem żadnych szkód.

– Wiemy, kim są?

– Nie – odparł Byrne. – Ale wkrótce otrzymamy ich nazwiska i profile. Obaj są cali w tatuażach.

Nachyliłem się nad ciałami. Facet z brakującym okiem miał tatuaże na palcach i dłoni, widziałem też krawędź kolejnego u podstawy szyi. Gość przy łóżku wyglądał podobnie. Sądząc ze wzorów i tego, że napisy wykonano cyrylicą, mieliśmy do czynienia z rosyjskimi gangsterami. Tatuaże powinny nam wiele wyjaśnić, i to szybko. Rosyjscy bandyci mają zwyczaj dziarania sobie na ciele całych życiorysów. Wkrótce mieliśmy się dowiedzieć, gdzie siedzieli, do jakiego należeli gangu, jaką mieli rangę. Cudowna i urocza tradycja, bardzo ułatwiająca życie pracownikom agencji rządowych.

Rozejrzałem się po pokoju, próbując dociec, czy byli jego stałymi bywalcami, czy zjawiali się tu, kiedy tylko chcieli się przyczaić. W tej sprawie czekała nas rozmowa z menadżerem.

Ciągle nie do końca rozumiałem, co się tutaj wydarzyło. Pojawiają się jacyś strzelcy i likwidują dwóch detektywów, dwóch klonów na zewnątrz oraz tych dwóch tutaj. Po co? Żeby ich uciszyć? Co też takiego wiedzieli, że strzelcy woleli nie ryzykować, iż policjanci to z nich wyciągną? Jeden z nich był przed kamienicą Sokołowa. Przyjechał tam z Jakowlewem, czy miał go tylko pod obserwacją, podobnie jak Sokołowa?

Zbyt wiele pytań. Zbyt wiele niewiadomych.

Poszedłem sprawdzić łazienkę. Była bardzo skromna. Umywalka, lustro, toaleta, wanna z prysznicem. Kaloryfer starego typu, niewielkie okno, umiejscowione bardzo wysoko, białe kafelki na podłodze. Względnie przyzwoicie. Zasłona prysznicowa była czysta, mydło ciągle zapakowane, ręczniki nieużywane. Rosjanie najwyraźniej nie przebywali tu zbyt długo, co mnie zresztą nie zdziwiło. Nie sądzę, żeby mieli zamiar nocować w tym pokoju.

– Zero bagażu, co? – spytałem.

– Zgadza się.

Zaczynałem się wkurzać na samego siebie. My tu usiłowaliśmy poskładać w całość strzępy informacji, a obok rosła sterta ciał. W zamyśleniu stanąłem przed lustrem i przyglądałem się przez chwilę własnemu odbiciu, zachodząc w głowę, co zrobić, żeby rosnąć przestała, ale nagle odwróciłem się, bo coś przykuło moją uwagę. Jakiś błysk gdzieś pod kaloryferem.

Podszedłem do niego i się schyliłem. Faktycznie, coś tam było, coś niewielkiego i srebrnego. Ktoś coś tam wcisnął z boku. Wyjąłem pióro i podważałem nim tajemniczy przedmiot, aż w końcu spadł na podłogę.

Podniosłem go. Okazało się, że to zegarek. Tyle że nie taki zwykły, na pasku. Był to zegarek z dewizką, krótkim, pięciocentymetrowym łańcuszkiem.

Takie zegarki nosiły pielęgniarki.

– Popatrz, co znalazłem – zawołałem do Aparo.

Wszedł do łazienki. Podałem mu zegarek.

– Dafne Sokołow? – spytał.

– Być może. Była tutaj.

Zegarek natchnął mnie i w duchu zacząłem rozważać rozliczne scenariusze.

– Wygląda na to, że już wiemy, co tu robili strzelcy – rzekł Aparo. – Przyszli po nią.

– Albo po nich – myślałem na głos. – Mogła być tu przetrzymywana razem z Sokołowem.

– Albo trzymali ją tutaj, a to Sokołow przyszedł po nią.

– Nasz skromny nauczyciel miałby się zamienić w Terminatora? Raczej tego nie kupuję.

Aparo zacisnął usta, najwyraźniej zgadzając się ze mną.

– Może wynajął paru zbirów, żeby ją uwolnili?

– Może. – Zmarszczyłem brwi, czując narastającą frustrację. Nie podobało mi się to, w co coraz bardziej dawaliśmy się wciągnąć. – Na tym właśnie polega nasz problem. Nic nie wiemy o tym całym Sokołowie i coś mi się zdaje, że nie ruszymy z miejsca, dopóki to się nie zmieni.

Postanowiłem trochę się cofnąć i podsumować naszą wiedzę.

Jednooki bandyta stoi przed kamienicą Sokołowa, podczas gdy na górze,



w mieszkaniu, dochodzi do szamotaniny, która kończy się tym, że rosyjski dyplomata wylatuje przez okno i ląduje z rozbitym łbem na bruku. Byli tam razem – a jeżeli tak, to dlaczego nasz świętej pamięci dyplomata paradował po mieście z wytatuowanym ruskim gangsterem – czy też może nieszczęsny oprych obserwował dyplomate? Tego samego ranka znika żona Sokołowa. Cyklop ląduje z jeszcze jednym rosyjskim karkiem w motelu, w którym przetrzymują przynajmniej Dafne Sokołow, a może również samego Sokołowa. Niespodziewanie pojawiają się tutaj dwaj detektywi i dwaj goście w garniturach, i wszyscy kończą jako dywany w recepcji. Następnie zabójcy zdejmują rosyjskich bandziorów i wychodzą z Dafne, a może również z jej mężem.

Zbyt dużo domysłów.

Schyliłem się znowu, chcąc się przyjrzeć kaloryferowi od dołu i zastanawiając się, czy trzymano ją tutaj, a jeżeli tak, to czy przykuto ją właśnie do niego – ją i być może kogoś jeszcze. Wieszak na ręczniki należało raczej wykluczyć: stawilby opór co najwyżej dwulatкови. Podobnie rurka od prysznic. A może toaleta? Nie, to byłoby obrzydliwe i – co bardziej istotne – bardzo nieporęczne.

Nagle zobaczyłem coś jeszcze – w miejscu, w którym podłoga styka się ze ścianą, tuż ponad otaczającym ją rządkiem kafelków. Ktoś wydrapał coś w farbie.

Schyliłem się jeszcze niżej.

Cyrylica. Wyskrobane litery.

Spojrzałem znowu na zegarek. Był wyposażony w agrafkę, taką jak przy broszce. Bez problemu można nią było wydrapać parę liter.

– Coś tu jest – powiedziałem do Aparo. – Po rosyjsku.

Mój partner przykucnął, żeby przyjrzeć się napisowi.

– Potrafisz to przeczytać?

– Zaczekaj. – Wyjąłem smartfona, pacnąłem w apkę Google'a i uruchomiłem translatora. Wybrałem tłumaczenie z rosyjskiego na angielski, przełączyłem na rosyjską klawiaturę i wprowadziłem litery: Кувалда. Lektor przeczytał słowo, a potem przełożył je na angielski.

Powiedziałem Aparo.

Skinął głową, wyraźnie pod wrażeniem. Powtórzyłem jego gest. Obaj natychmiast zrozumieliśmy, co to oznacza. Dafne Sokołow faktycznie była tutaj przetrzymywana. I wiedzieliśmy już, do kogo powinniśmy się zwrócić z pytaniem, kto ją tutaj sprowadził i po co. Biuro od lat żywo interesowało się pewnym rosyjskim gangsterem. Nazywał się Jurij Mirmiński i był bezczelnym krętaczem. Miał też ksywkę. *Kuwałda*.

Młot Kowalski.

Leo Sokołow wrócił do swojego obskurnego pokoju hotelowego. Stanął przy zatłuszczonym oknie i wpatrzył się w hałaśliwą, zakorkowaną ulicę poniżej.

Był zły na siebie. O mały włos nie spieprzył wszystkiego swoim naprędce wprowadzonym w życie planem, co przecież w ogóle do niego nie pasowało. Sokołow nie był człowiekiem impulsywnym. Zazwyczaj musiał przemyśleć każdy szczegół, prawie nigdy się nie spieszył. Jeżeli już, to można mu było zarzucić zbyt dużą przeczność przy podejmowaniu decyzji. Tymczasem w obliczu kryzysu zeskoczył z trampoliny, nie upewniwszy się, czy w basenie jest woda.

Miał szczęście, że żył – i że był wolny. Cholerne szczęście. Wrócił myślami do swojej nieszczęsnej próby porwania Rogożyna i zdał sobie sprawę, jak niewiele dzieliło go od katastrofy. W szybie zamigotało mu widmowe odbicie własnej twarzy i nagle poczuł ukłucie wstydu i żalu. Ponownie zbeształ samego siebie. Nie mógł drugi raz popełnić takiego błędu. Za nic w świecie. Myślał, że uda mu się ograć ich bezczelnością jak wtedy, wiele lat temu, gdy przechytrzył swoich aniołów stróżów z CIA. Lecz teraz żył w zupełnie innym świecie i był zupełnie innym człowiekiem.

Drugi raz nie mógł sobie pozwolić na porażkę. Musiał wszystko rozegrać inaczej, lepiej.

Potrzebował pomocy. Nie był w stanie poradzić sobie sam. Już nie.

Przez ponad godzinę tkwił w bezruchu. Po prostu stał w miejscu, wbijając wzrok w ciemność przed sobą, obojętny na szum miasta za brudnym oknem.

Przypominał sobie. Myślał. Szukał inspiracji; kogoś, do kogo mógłby się zwrócić. Sprzymierzeńca.

I nagle w jego skołowanym umyśle pojawiło się nazwisko.

Nie chciał nikogo wciągać w chaos, jaki ogarnął nagle jego życie, ale jeśli pragnął jeszcze zobaczyć Dafne, to właściwie nie miał wyboru. A kto nadawałby się do tego lepiej niż ten, kto wbrew wszystkim radom Sokołowa nie miał zamiaru dać się nawrócić i postanowił wieść życie przestępcy?

Jonny.

Musiał znaleźć Jonny'ego.

Młot kowalski.

Kolejny cenny człowiek, którego powitaliśmy z otwartymi ramionami na naszej oferującej tyle możliwości ziemi tylko po to, by nas rozczarował – gorzko rozczarował.

Nie jestem pewien, czy kiedy go wpuszczaliśmy, należał do „zmęczonych, biednych, skulonych mas pragnących oddychać swobodnie”. Właściwie trudno mi sobie wyobrazić, żeby urzędnik, który niefrasobliwie podstemplował mu wizę, nie wiedział, z jakim zwyrodnialcem ma do czynienia. Mimo to wpuściliśmy go, a teraz, szesnaście lat później, tracimy czas i pieniądze, tropiąc jego brudne sprawy i głowiąc się nad tym, jak go wpakować do pudła – tym samym znów marnując czas i pieniądze – albo pozbyć się z kraju.

Stara śpiewka.

Jurij Mirmiński wjechał do Stanów Zjednoczonych na podstawie biznesowej wizy, w której stało czarne na białym, że jest przedstawicielem branży filmowej. Kiedy tylko po raz pierwszy posmakowaliśmy, do czego jest zdolny, odkryliśmy, że w rzeczywistości wyjechał z Moskwy, ponieważ zrobiło się tam dla niego zbyt gorąco z powodu brutalnych wojen mafijnych, jakie wybuchły po upadku Związku Radzieckiego. Nie muszę dodawać, że Mirmiński nigdy nie dotarł do Hollywood. Miał co robić w Nowym Jorku, gdzie prowadził jedną z najpotężniejszych organizacji spod znaku RPZ na Wschodnim Wybrzeżu.

Owszem, mamy na to nawet skrótowiec. RPZ. Rosyjska Przystępczość Zorganizowana.

Skutek uboczny upadku komunizmu.

Często zastanawiam się, czy nie byłoby dla nas lepiej, gdyby Imperium Zła nadal istniało.

Talentem nasz Młot niemalże dorównywał Lucky’emu Luciano. Był urodzonym organizatorem. Pozbierał do kupy rozproszone gangi rosyjskich zbirów i połączył je w prężną zbrodniczą korporację, na której czele sam stanął. Ujawnił w pełni swoje zdolności. Obecnie w strukturach jego gałęzi sołncewskiej mafii ponad dwustu uciśnionych imigrantów ciężko harowało w takich branżach, jak handel narkotykami czy wymuszenia rozbójnicze.

Pamiętam, że kiedy usłyszałem o nim po raz pierwszy, zastanawiałem się, skąd się wzięła jego ksywka. Szybko pożegnałem się z nadzieją, że zwyczajnie jest fanem Petera Gabriela. Może zresztą jest. W końcu kto w tamtych czasach nie był? Ale w wypadku tego akurat młota kowalskiego rzecz wyglądała inaczej. Na ów przydomek jego właściciel zasłużył sobie jeszcze w Rosji, przed przyjazdem do Stanów. Po upadku muru berlińskiego. Niedługo potem, jak wylądował na bezrobociu jako „dziewiątka” KGB, czyli były funkcjonariusz Dziewiątego Zarządu, przeszedłszy

przyspieszoną drogę od goryla ochraniającego najważniejsze kremlowskie szyszki do dobrze zapowiadającego się *bratoka* – mafijnego zbira niskiego szczebla. Jurij pewnego dnia wdał się w bójkę z jakimś lebiegą i uderzył go tak mocno, że facetowi wylały się flaki. Dosłownie. Biedak przeszedł operację i w sumie nawet nie za długo dumnie obnosił się ze swoimi szwami, no ale... Jeden cios.

Nie wiedziałem, jakie procedury obowiązują przy wyborze ksywki. Sam wybrałbym raczej coś w rodzaju Drago. Albo Popeye. Choć może ten drugi jest zbyt amerykański. Poza tym po *Francuskim łączniku* trochę nie wypadało. W każdym razie przedstawicielom mojej generacji.

Problem polegał na tym, że Mirmiński był kryty. Nigdy go nie spotkałem, ale Biuro przez ostatnie lata prowadziło parę spraw, w jakie był zaplątany. Ostatnia z nich dotyczyła kolosalnego przekrętu, w ramach którego Mirmiński i jego kamraci prowadzili dziesiątki szpitalików oraz lipnych agencji ubezpieczeniowych specjalizujących się w polisach samochodowych. Zarobili dziesiątki milionów dolarów na fikcyjnym leczeniu ofiar wypadków. Nigdy nie udało nam się nawet pogrozić mu palcem. Mirmiński był sprytnym *worem*, jak od nazwy ojca chrzestnego, *wora w zakonie*, nazywano bossów rosyjskiej mafii, i wiedział, jak działa nasz system. Zawsze potrafił zadbać o to, żeby nie być bezpośrednio wplątany w wyrafinowane wałki. Nie dało mu się nic udowodnić, zresztą podobnie jak większości, jeżeli nie wszystkim rosyjskim gangsterom, którzy wyjechali z ojczyzny, żeby paść się na poczuciu bezpieczeństwa i liberalnych procedurach obowiązujących na Zachodzie. Gwałcili i rabowali; oni imprezowali, a my tylko patrzyliśmy.

Można wpaść w depresję.

Tym razem jednak stracił dwóch swoich pachółków, co samo w sobie mogło już człowieka wprawić w dobry humor. Bez cienia wątpliwości był też wplątany w aferę, która doprowadziła do śmierci dwóch funkcjonariuszy nowojorskiej policji, dzięki czemu mogły i dla niego nadejść ciężkie czasy.

Może jego dni na naszym słonecznym wybrzeżu były policzone?

Postanowiłem nie podniecać się za bardzo, ale zrobić przy tym wszystko, co w mojej mocy, żeby dopaść sukinsyna.

– Złożmy Młotowi wizytę – zaproponowałem Aparo, kiedy włączaliśmy się do korka przy wjeździe na Most Brooklyński. – Przydałoby się trochę potrząsnąć jego złotą klatką.

Mój partner nie odpowiedział od razu. Spojrzałem na niego i zobaczyłem na jego ustach szelmowski uśmieszek.

– Co cię tak bawi?

Zrobił teatralnie zamyśloną minę, po czym powiedział:

– Jasne, zróbmy to. Ale moim zdaniem najpierw powinniśmy potrząsnąć inną klatką, zanim jej właścicielka dowie się ze szczegółami, co tu właśnie się wydarzyło.

Wiedziałem, do czego pije. Szczerze powiedziawszy, mnie również chodziło to po głowie. W końcu musieliśmy się dowiedzieć jak najwięcej na temat człowieka, który był kluczem do wszystkiego: Sokołowa. Nie zwlekając ani sekundy dłużej, zadzwoniłem więc do Larisy Czołmiczewej i powiedziałem jej, że musimy się spotkać – natychmiast.

– Za godzinę w J.G. Melon – rozłączywszy się, poinformowałem Aparo. A potem dodałem: – Nie zdążę cię zawieźć do biura. Mogę cię wyrzucić przy stacji metra przy York Street?

Opadła mu szczęka i dopiero po paru sekundach zorientował się, że żartuję, ale właśnie dla tych paru sekund – warto było.

Larisa odłożyła telefon, zastanawiała się przez chwilę, po czym wybrała inny numer.

Jej szef odebrał natychmiast.

– Właśnie dzwonił Reilly. Chce się spotkać.

– Bardzo dobrze – odparł. – Musimy jak najwięcej się dowiedzieć o tym, co się wydarzyło w motelu. Tak przy okazji, jakieś wieści?

– Nic, czego już nie wiedzielibyśmy. Kościej zdyął dwóch *bratków*, którzy pilnowali żony Sokołowa.

– Co oznacza, że teraz on ją ma – rzekł szef Larisy. – I że wykorzysta ją, żeby zwabić Sokołowa.

– Pewnie tak.

Mężczyzna milczał przez chwilę.

– Nie możemy dopuścić, żeby Sokołow wymknął nam się z rąk – powiedział po chwili. – Rozumiesz? Choćby nie wiem co. Nie wiem, jak mam to jeszcze bardziej podkreślić.

„Ale mimo to nic mi nie powiesz”. W Larisie aż krew się zagotowała. Wiedziała jednak, że nie ma po co pytać. Jasno jej dali do zrozumienia, że życiorys Sokołowa to nie jej sprawa. A na razie jej własne wysiłki, aby go zrekonstruować, spełzły na niczym.

– Rozumiem – powiedziała, nie dając po sobie poznać, że jest sfrustrowana.

– Zadzwoń po spotkaniu – rzekł jej szef. – I jeszcze jedno.

– Tak?

– Postaraj się, żeby cię polubił.

## KOREATOWN, MANHATTAN

Pociąg wtoczył się na Trzydziestą Czwartą Ulicę, zmuszając Sokołowa do otwarcia oczu i podniesienia się z miejsca.

Przez całą drogę myślał o uczynnym szesnastolatku, który doskonale się zapowiadał, gdy został jego uczniem, wykazując zapał zwłaszcza do nauk ścisłych. Rosjanin zrobił wszystko, żeby zachęcić chłopca do pracy i mu pomóc – od zostawiania z nim po szkole aż po pożyczanie mu prywatnych książek. Nagle jednak przeszedł przemianę – dosłownie z dnia na dzień. Jang Dzon-Hi – albo po prostu Jonny, bez „h” w środku, bo tak go nazywano w szkole – najpierw przestał odrabiać zadania domowe i zaczął notorycznie się spóźniać. Potem zniknął na całe dni, aż w końcu wyrzucono go ze szkoły po tym, jak znaleziono w jego plecaku pistolet.

Skąd się tam wziął, nie było do końca jasne. Dziwna sprawa.

Jonny konsekwentnie trzymał się swojej wersji. Powiedział, że znalazł pistolet w parku Clearview. Sprawa dodatkowo się skomplikowała, kiedy na beretcie kaliber 9 mm wykryto odciski palców, i to nie tylko Jonny’ego, i policja, której rutynowo zgłoszono sprawę, stwierdziła, że z broni tej dokonano trzech zabójstw. Gliniarze podejrzewali, że spluwa w rzeczywistości należała do starszego brata chłopca, Kima-Dzi, drobnego dilera pracującego na zlecenie jednego z koreańskich gangów. Ponieważ sam Jonny miał solidne alibi na wieczór, kiedy dokonano tamtych morderstw, policja nie mogła go przycisnąć.

Co jakiś czas Sokołow próbował przemówić chłopcu do rozumu, zawrócić go z błędnej ścieżki, wyciągnąć z autodestrukcyjnej czarnej dziury, która coraz mocniej go zasysała. Za każdym razem Jonny udawał, że słucha, po czym po prostu robił swoje. Sokołow zaryzykował nawet dla niego własną reputację. Poręczył za dzieciaka przed dyrektorem i gliniarzami, kiedy oskarżono go o handel narkotykami w szkole. Zapewniał wszystkich, którzy tylko chcieli słuchać, że Jonny nie jest taki jak jego brat. Że chce iść na studia i zostać inżynierem. Że jego samego łączy z Jonnym nic porozumienia. Potem, trzy lata temu, wybuchła afera z pistoletem i Sokołow nie mógł już chronić swego ulubieńca. I nawet nie chciał. Przez niego się ośmieszył. Ciągłe były zły na Jonny’ego za to, że ten tak z nim pogrywał, choć nadal do końca nie wiedział, czy chłopak przez cały czas robił go w konia, czy też rzeczywiście chciał pozostać po jasnej stronie mocy, ale zwyczajnie nie potrafił się oprzeć naciskom ze strony brata.

Co ciekawe, w tej chwili Sokołow liczył właśnie na tę jego skłonność do łgarstwa. Wiedział doskonale, że bardzo ryzykuje, próbując nawiązać kontakt z nieprzewidywalnym młodym człowiekiem, ale nie miał zbyt wielkiego wyboru. Był pewien, że gdy rozmawiali ostatnio, wyczuł w Jonnym cień skrupułów, wyrzutów sumienia z powodu tego, jak wymanewrował swojego nauczyciela i pozbawił go

wiarygodności w oczach szkolnej rady. Pracując w szkole, trzeba się było znać na ludziach, a Sokołow, który zawsze uważał się pod tym względem za eksperta, tym razem zawiódł na całej linii.

Wspiął się po schodach na Herald Square i ruszył Szóstą Aleją. Sklepy były puste, a Empire State Building górował nad nimi niczym gigantyczny wartownik. Wepchnął dłonie głębiej w kieszenie, czując natychmiast na jednej z nich zimną stal pistoletu. Trochę było mu wstyd, że odwiedzając po tych paru latach Jonny'ego, to on będzie miał przy sobie broń. „Takie czasy” – upomniał sam siebie i stłumił zakłopotanie, skręcając w Trzydziestą Trzecią w stronę centrum dzielnicy koreańskiej.

Po tym, jak policja zrobiła nalot na dom komunalny w Murray Hill, gdzie najczęściej można było spotkać braci, Kim-Dzi i Jonny spędzali coraz więcej czasu właśnie w Koreatown. W końcu zaczęli pracować w restauracji należącej do ich ciotki, Zielonym Smoku, która znajdowała się w samym jej centrum, między ulicami Trzydziestą Trzecią i Trzydziestą Drugą. Sokołowowi obito się o uszy, że Kim-Dzi awansował w hierarchii gangu, pociągając Jonny'ego za sobą. Reszty mógł się tylko domyślić. Zresztą za chwilę sam powinien się wszystkiego dowiedzieć.

Minął grupkę klientów, którzy wyskoczyli na zewnątrz na dymka, i wszedł do środka. Zdawał sobie sprawę, że ryzykuje, pojawiając się w restauracji bez zapowiedzi, ale jak próbował sobie wytłumaczyć po drodze, naprawdę nie miał wyboru. Poza tym nieważne, czy był zbiegiem czy nie, liczył na to, że krewni Jonny'ego nie wezwą od razu glin. Nie po tym wszystkim, co Sokołow zrobił dla chłopca.

Lokal był duży i tętnił życiem. Mimo że zbliżała się druga nad ranem, w Zielonym Smoku prawie wszystkie miejsca były zajęte. Koreański pop, wylewający się z głośników, oraz gwar niezliczonych rozmów walczyły w sali o prymat z hałasem sprzątanym stolików i talerzy z potrawami lądujących przed klientami. Wśród gości zdecydowanie przeważali Koreańczycy, choć przy stoliku pod oknem siedziała grupka młodych turystów, wyraźnie zachwyconych atmosferą i kuchnią.

Sokołow podszedł do hostessy, drobnej kobiety przed trzydziestką, ubranej w białą jedwabną sukienkę, ozdobioną zielonym smokiem, który wyglądał, jakby chciał się owinać wokół jej piersi.

– Czy zastałem Janga Dżona-Hi?

Na twarzy kobiety nie drgnął nawet pojedynczy mięsień.

– Jestem jego nauczycielem. A właściwie byłem – wyjaśnił. – Uczyłem go przedmiotów ścisłych. We Flushing High.

Brwi kobiety uniosły się nieznacznie, niemal niedostrzegalnie.

– Muszę z nim porozmawiać – nie ustępował. – Proszę mu powiedzieć... Proszę mu powiedzieć, że przyszedł do niego pan Soko. I że chce się z nim zobaczyć. Proszę mu powiedzieć... – Zawahał się. – Proszę mu powiedzieć, że widziałem, jak Kim-Dzi coś mu dawał. Zrozumie.

Hostessa przyglądała mu się przez chwilę, a potem przywołała gestem kelnerkę, kazała jej zająć swoje miejsce i zniknęła w wahadłowych drzwiach prowadzących do kuchni.

Sokołow patrzył, jak odchodzi, a następnie odwrócił się i usiadł przy pustym stoliku w głębi sali. Był zastawiony na wpół zjedzonymi daniami, wymazanymi sosem talerzami, butelkami po Hite. Nie oglądając się na hostesę, zdjął płaszcz i powiesił go na oparciu krzesła. Potem zabrał z sąsiedniego stolika menu i zaczął je studiować.

Rozejrzał się po obszernej, zatłoczonej sali.

Nie zauważył ich, kiedy wchodził, ponieważ siedzieli w boksie. Dwóch młodych facetów w skórzanych kurtkach i kamizelkach narzuconych na koszulki Uniqló wyglądało na gangsterów z Kkangpae. Jednemu z nich wystawał nawet z kamizelki chwyt pistoletu. Sokołow odwrócił od nich wzrok, w sam raz, by zobaczyć w wahadłowych drzwiach wracającą hostesę. Pokiwała na niego palcem, każąc iść za sobą. Włożył pospiesznie płaszcz i ruszył za nią na zaplecze. Zauważył, że gangsterzy odprowadzają go wzrokiem.

Przez wahadłowe drzwi wprowadziła go do kuchni, w której panował ogłuszający hałas i pozorny chaos, wzmagany przez biegających we wszystkich kierunkach pracowników. Hostessa, nawet nie zwalniając, ruszyła przez środek pomieszczenia. Wszyscy rozstępowali się przed nią, niczym morskie fale przed Mojżeszem. Sokołowowi nie poszło tak łatwo i dosłownie o włos uniknął zderzenia z kelnerką niosącą dwa ogromne talerze z żeberkami. Niestety, zawadził o stos pustych talerzy stojących na skraju lady, i kiedy opuszczał kuchnię, ścigał go stek koreańskich wyzwisk.

Hostessa weszła do wąskiego korytarza z dwójgim drzwi: jedno do wyjścia pożarowego, drugie do schodów na piętro. Nie spojrzawszy nawet za siebie, ruszyła na górę. Sokołow próbował ją dogonić, ale już na półpiętrze dostał zadyszki. Kiedy dotarł na ostatnie piętro – trzecie ponad poziomem restauracji – czekała tam na niego obok metalowych drzwi. Patrzyła obojętnie, jak Rosjanin zbliża się do niej, po czym odwróciła się i zapukała. Po kilku sekundach drzwi się otworzyły. Sokołowa zaatakowała chmura dymu. Do środka wpuścił ich młody Koreańczyk z zielonymi pasemkami we włosach, dymiącym papierosem w dłoni i przenikliwym spojrzeniem utkwionym w Sokołowie.

Rosjanin wszedł, nadal podążając za hostesą.

W zadymionym, ciemnym pomieszczeniu na wysłużonej skórzanej sofie leżał Jang Dżon-Hi. Buty w kowbojkach opierał na szklanym stoliku, na którym Sokołow rozpoznał charakterystyczny zestaw: kokaina, żyletka, wylizane przed chwilą lustro, pistolet, kilka telefonów komórkowych i otwarty srebrny MacBook. Jonny wyglądał dokładnie tak, jak zapamiętał go jego nauczyciel: gęste, czarne, długie włosy, których niesforne kosmyki opadały na obojętne, zimne oczy. Był również bardzo szczupły, choć



Sokołow wiedział, że jego zwoje sprężystych mięśni tylko czekają, by w razie potrzeby wkroczyć do akcji. Miał na sobie krótką skórzaną kurtkę z logiem Armaniego oraz sprane czarne dżinsy.

Naprzeciw sofy stała druga, bliźniacza i podobnie wysłużona. Chłopak z zielonymi pasemkami podszedł do niej i usiadł. Ścianę z boku zajmowała duża plazma, przed którą na podłodze leżały Xbox oraz inne konsole i gry.

Hostessa i chłopcy zamienili parę słów, po czym dziewczyna, ledwie zaszczywszy Sokołowa spojrzeniem, wyszła, zamykając za sobą drzwi i zostawiając go ze swoimi kumplami.

Rosjanin, ciągle stojąc, wskazał na pistolet.

– Przypuszczam, że należy do ciebie.

Dym bardzo mu przeszkadzał, ale robił, co mógł, żeby tego po sobie nie pokazać.

– W tym sensie, że obecnie go używam – rzekł Jonny, po czym wskazał Sokołowowi miejsce naprzeciw siebie.

Rosjanin usiadł obok chłopca z zielonymi pasemkami, uważając, by nie potrącić niskiego stolika.

– Mam nadzieję, że nie przeciw mnie.

– To się okaże. – Chłopak wziął potężnego sztacha, po czym strząsnął z poły kurtki resztki białego proszku. Powoli wydmuchnął nosem dym, spojrzał śmiertelnie poważnym wzrokiem na Sokołowa i powiedział rzeczowo: – Nigdy nie wchodzimy w drogę Rosjanom.

Sokołow skinął głową, a w jego otoczonych zmarszczkami oczach zamigotał bolesny półśmiech. Jonny był tak pojętny, jak zapamiętał. Wskazał na telewizor.

– Oglądałeś wiadomości?

Chłopak skinął głową.

– Niedobrze to wygląda, panie Soko. Gdybym miał strzelać, rzekłbym, że to pan wypchnął tego Ruskiego przez okno. Ale w sumie, co ja tam wiem. – Uśmiechnął się do niego znacząco, ale samozadowolenie szybko zniknęło z jego twarzy, wyparte nagle niezbyt starannie skrywanym niepokojem. – Co pan tam mówił na dole? Naprawdę widział pan, jak Kim-Dzi coś mi dawał?

Sokołow wytrzymał jego wzrok.

– Oczywiście, że nie. Ale faktycznie coś ci dał. Obaj to wiemy.

– Nie – zaprzeczył przenikliwym szeptem Jonny, siadając nagle prosto i wbijając niedopałek w przesypaną się popielniczkę. – To ja ich zabiłem. Kim-Dzi załatwił mi tylko przez ciotkę alibi. A wszystko dlatego, że nie zdążyłem wyrzucić tego gnata. A teraz niech mi pan spojrzysz w oczy! – W jego głosie zabrzmiały jednocześnie duma i żal. – Szefuńcio jest w Miami, a to my prowadzimy interes.

Niedbałym ruchem ręki powiódł po pokoju.

Sokołow poczuł, że zaraz zemdleje od dymu i wysiłku, jaki kosztowało go

zachowanie spokoju. Uświadomił sobie, że serce wali mu w piersi jak oszalałe. Zamknął oczy, przechylił lekko głowę do tyłu i zrobił kilka płytkich wdechów.

Jonny nic nie mówił.

Rosjanin otworzył oczy.

– Porwali mi żonę.

Chłopiec spojrzał na niego zdumionym wzrokiem.

– Że co?

– Dafne. Porwali ją.

Jonny westchnął i powoli pokręcił głową.

– Niedobrze, panie Soko. Co pan narozrabiał?

Sokołow nienawidził siebie za to, co miał zaraz powiedzieć, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Jeżeli nie zapłacę, zabiją ją – burknął. – Jestem im winien pieniądze. Trzysta tysięcy.

Jonny uderzył otwartą dłońią w stolik.

– *Byung-shin-a*. Co pan sobie myślał?

– Sam nie wiem. Proszę... Potrzebuję twojej pomocy. Nie chcę, żeby cierpiała z powodu popełnionego przeze mnie głupiego błędu.

– *Gaesaezzi dul jokka ra kuh hae!* – wyrzucił chrapliwym głosem Jonny. – Żeby porywać starszą kobietę! Pieprzone zwierzęta! – Złapał żyłkę i zaczął sobie przygotowywać świeżą kreskę. – Dostyc mam tych *hule jasik* Ruskich! Wszędzie się kręcą! Zachowują się, jakby to było centrum Moskwy! – Pokręcił głową. – Kto ją zgarnął?

– Nie jestem pewien. Mam numer telefonu. Nic więcej.

Jonny nachylił się kilka centymetrów nad koką i zrolował dolarowy banknot.

– Pewnie nie ma pan forsy?

– Nie, ale...

– Nieważne – przerwał, po czym wciągnął nosem kreskę.

Zakłopotany Sokołow patrzył, jak Jonny odchyła się z zamkniętymi oczami.

– Niech im pan powie, że pan ma pieniądze – powiedział po chwili.

Rosjanin nie był w stanie ukryć zaskoczenia.

– Co?!

– Niech im pan powie, że pan ma tę cholerną forszę. – Nie patrząc na Sokołowa, Jonny pokręcił głową. – Wiedział pan, że pomogę. Dlatego pan przyszedł.

– Nie byłem pewien.

– Zna się pan na ludziach.

Wciągnął kolejną kreskę, wytarł nos i wbił w Sokołowa twardy wzrok.

– Gdzie się pan zatrzymał?

– W hoteliku. W śródmieściu.

– Jest tam bezpiecznie?

Rosjanin wzruszył ramionami.

– Zostanie pan tutaj – powiedział swojemu nauczycielowi Koreańczyk. – Na dole mamy parę pokoi. Będzie tam pan bezpieczny. Moja kuzynka Aj-Cza zaprowadzi pana i dostarczy wszystko, czego pan potrzebuje.

Spojrzał na chłopca z zielonymi pasemkami i kiwnął głową w stronę drzwi.

Młodzieniec wstał i je otworzył. Aj-Cza czekała w korytarzu. Bez słowa weszła do środka. Jonny mówił do niej przez chwilę. Dziewczyna w milczeniu skinęła głową, po czym gestem kazała Sokołowowi iść za nią.

Rosjanin odwrócił się do Jonny'ego.

– A co z Kim-Dzi? Nie musisz z nim porozmawiać?

– Kim-Dzi? Wypadł z obiegu. Jego dziewczyna spodziewa się bliźniąt. Dwoch dziewczynek. Spełnienie marzeń, co?

Parsknął drwiącym śmiechem.

Sokołow skinął głową i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim, odcinając go od gorzkiego rechotu Jonny'ego.

„Każdy z nas sam sobie wybiera los” – pomyślał Sokołow.

Jonny wybrał ścieżkę przemocy.

On sam próbował wybrać pokój.

Ale mu nie wyszło.

Larisa zaproponowała spotkanie w restauracji J.G. Melon na rogu Siedemdziesiątej Czwartej i Trzeciej, w pobliżu kamienicy, w której mieszkała. Uwielbiałem tę dzielnicę, a ponieważ ona już wcześniej jadła, a ja i mój nieśmiały partner od śniadania nie mieliśmy nic w ustach, zajęliśmy stolik i zamówiliśmy dla siebie po burgerze ze szwajcarskim serem oraz po coli i sałatce.

– Będziesz grzeczny? – spytałem.

Aparo wyszczerzył zęby.

– A dlaczego pytasz?

Przez chwilę miał zamyślony wyraz twarzy, a potem uniósł nieco rękę, przechylił głowę na bok i zaczął dyszeć.

Postanowiłem w duchu rozejrzeć się za czymś, czego mógłbym mu dosypać do posiłku i co chociaż trochę zmniejszyłoby jego poziom testosteronu.

Właśnie kończyliśmy burgery, gdy nasza Rosjanka weszła do środka. Wstałem, pochwyciłem jej spojrzenie i pomachałem jej. Podeszła do naszego stolika, podała nam rękę jak przed spotkaniem biznesowym i obdarzywszy nas uprzejmym: „Miło panów znowu widzieć”, zawiesiła na mnie wzrok o sekundę dłużej, niż było to absolutnie konieczne.

Przeszła od razu do rzeczy.

– Co się stało? Mówił pan, że to pilne.

– Oglądała pani wiadomości?

Skinęła głową i nagle zrobiła zdziwioną minę, tak jakby właśnie skojarzyła, o czym mówię.

– Strzelanina w Brooklynie?

– Owszem. Dwie z ofiar pochodziły z Rosji.

– O mój Boże, chyba nie...

– Nie, to nie byli Sokołowowie. Po prostu dwaj gangsterzy. Nie ustaliliśmy jeszcze ich nazwisk, ale sądzimy, że pracowali dla Jurija Mirmińskiego. Wie pani, o kim mówię?

– Oczywiście – odparła raczej mało szczęśliwym tonem.

Do stolika podeszła kelnerka. Larisa zawahała się, po czym zamówiła Krwawą Mary. Aparo i ja zostaliśmy przy coli.

Mój partner odblokował telefon, znalazł w galerii zdjęcie i pokazał je Rosjance.

– Zna pani tego faceta?

Spojrzała na wyświetlacz i pokręciła głową.

– Nie. A powinnam?

Gestem kazał jej zaczekać chwilę i znalazł drugie zdjęcie.

– To była fotka sprzed strzelaniny. A tę zrobiliśmy po.

Podał jej telefon. Wzdrygnęła się – leciutko. Aparo pokazał jej dwa zdjęcia martwego rosyjskiego bandziora: jedno wycięte z filmiku nakręconego przed kamienicą Sokołowa, a drugie z kulką w czole.

Larisa spojrzała lodowatym wzrokiem na mojego partnera.

– Skończył pan?

– Przepraszam, ale zastanawiałem się tylko, co ma wspólnego pani nieżyjący kolega z pracy z notorycznym *bratkiem* – rzekł Aparo.

– A coś ma? – zapytała z udawaną niewinnością, po czym spojrzała na mnie. – To po to mnie pan tutaj sprowadził? Miał pan nadzieję, że doznam szoku i powiem panu coś, czego nie powinnam? Wyśpiewam nasze słodkie tajemnice?

Uśmiechnąłem się, wziąłem głęboki wdech i przechyliłem ponad stolikiem.

– Pani Lariso, mamy tutaj siedem trupów. Osiem, wliczając Jakowlewa. W tym mieście to nie przelewki. Do czegoś takiego nie podchodzimy niefrasobliwie. Zrobi się niezła afera. Gazety jeszcze się na dobre nie zabrały za Jakowlewa, ale w chwili, kiedy rozejdzie się wieść, że ci dwaj z motelu to *bratki*... – Spojrzałem na nią znacząco. – Może pani sobie wyobrazić nagłówki. Oraz wrzawę, jaka się rozpęta wokół pani i pani konsulatu.

Zmarszczyła brwi.

– Jedno wiem: nie będzie fajnie – kontynuowałem. – A zważywszy na skalę zeszlotygodniowych protestów oraz to, co się dzieje w Moskwie, przypuszczam, że raczej chcielibyście uniknąć teraz rozgłosu.

– Więc czego pan ode mnie chce?

– Chodzi o Sokołowa.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Dlaczego pan sądzi, że oba te wydarzenia mają ze sobą związek? Strzelanina i wypadek Jakowlewa?

– Bez żartów – wtrącił Aparo, unosząc telefon. – Niech pani spojrzy na zdjęcie „sprzed”. Zrobiono je przed mieszkaniem Sokołowa sekundę po tym, jak pani kumpel dał nura przez okno.

Zawiesiła na nas wzrok, tak jakby zastanawiała się, jak dużo może powiedzieć.

– W co się wplątał Sokołow? – naciskałem dalej.

– Nie wiem.

Nie bardzo chciało mi się jej wierzyć, ale nie miałem pewności, czy ze mną pogrywa. Przyglądałem jej się przez sekundę, a potem uśmiechnąłem się nieznacznie. Nie był to jednak życzliwy uśmiech. Oznaczał raczej: „Wiem, że musisz kontynuować tę grę, i wiem, że wiesz, że ja wiem”.

– Proszę posłuchać, nie mam pojęcia, co tu jest grane, ale cokolwiek by to było, wszystkie tropy wiodą do Sokołowa. Od niego zaczęła się cała afera. Możemy więc albo zaczekać, aż rozkręci się na całego i wymknie spod kontroli, a wtedy wy

będziecie próbowali ograniczyć szkody, odpowiadając na zarzuty połowy blogerów po obu stronach Atlantyku i walcząc z teoriami spiskowymi... Albo będziemy współpracować i spróbujemy wspólnie posprzątać ten bałagan, zanim będzie za późno. W tym drugim wypadku musimy jednak być ze sobą szczerzy. Musi mi pani powiedzieć, o co chodzi z Sokołowem i dlaczego wszyscy ci ludzie się nim interesują. Muszę się dowiedzieć, co pani „trzeci sekretarz Wydziału Spraw Morskich” – owszem, nakreśliłem palcami w powietrzu cudzysłów – robił w jego mieszkaniu.

Obdarzyła nas obu pełnym rozbawienia uśmiechem, zaczekała, aż kelnerka postawi na stoliku jej Krwawą Mary i odejdzie, a potem nachyliła się w naszą stronę.

– „Trzeci sekretarz”? – zapytała, również stawiając w powietrzu cudzysłów. – Powinnam się obrazić?

Aparo rozłożył dłonie.

– Bez żartów. „Spraw Morskich”? „Trzeci sekretarz”? Mamy tyle wspólnych morskich spraw, że do ich obsługi potrzebujemy więcej niż dwóch dyplomatów?

– Mamy mnóstwo skomplikowanych wspólnych morskich spraw. Prawa do połowów, eksploracja Arktyki, porozumienia graniczne – to wszystko kwestie sporne. Jakowlew miał pełne ręce roboty.

– A mimo to – wszedłem jej w słowo – z jakiegoś powodu pierwszym punktem jego grafiku na poniedziałek rano była wizyta w mieszkaniu Sokołowa i skok z okna na ulicę. Jak sądzę, niewiele ma to wspólnego z problemem malejącego pogłowia tuńczyków.

Przyjrzała mi się z zainteresowaniem.

– No dobra – powiedziałem koncyliacyjnym tonem. – Wiem, że o paru sprawach nie może pani ze mną rozmawiać. My też mamy swoje tajemnice. Ale powtarzam pani, że to wszystko z waszego punktu widzenia zamieni się w piarowską klęskę. Jeżeli chcecie w to wchodzić, proszę bardzo. Ale jeżeli wolelibyście zapobiec katastrofie, oddalić ją, to musicie nam pomóc. Poza tym nawet dla was lepiej byłoby, żebyśmy skupili się wyłącznie na bandytach, a nie zarzucali sieci w całym mieście. – Spojrzałem na nią znacząco. – Nigdy nie wiadomo, co może w nie wpaść.

Napiła się drinka, a potem odchyliła się na krzesło i przez chwilę, przekrzywiwszy lekko głowę, przyglądała nam się uważnie. Po paru długich sekundach westchnęła ze złością.

– Fakty są takie, że nic nie mamy na Sokołowa. Nic a nic. Co samo w sobie jest dosyć dziwne. – Przerwała na chwilę, po czym dodała: – Co wiecie na jego temat? Ustaliliście, skąd przyjechał?

Przypomniałem sobie, co mówiła na ten temat siostra Dafne.

– Ożenił się w osiemdziesiątym trzecim. Zdaje się, że przebywał wtedy w Stanach od niedawna. Co najwyżej od kilku lat.

Skinęła głową, tak jakby potwierdzało to jej własne domysły.

– Skoro więc przyjechał do Ameryki w osiemdziesiątym pierwszym albo drugim, to należy przede wszystkim zapytać, skąd dokładnie i jak się tutaj dostał.

– Jego szwagierka mówiła, że przyjechał z Rosji – rzekł Aparo.

– Dlatego właśnie pytam. Ponieważ w tamtych czasach nie dało się ot tak, po prostu wyjechać ze Związku Radzieckiego. Za komuny było to zabronione. Udawało się to tylko dysydemtom albo dezenterom, którzy zdołali jakoś uciec i którym na miejscu przeznaczenia przyznano azyl polityczny. Mamy ich dokładne listy. Wiemy, kim są, ale Sokołowa nie ma wśród nich. Z kolei w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku, po tym, jak Kuzniecowa i jego banda syjonistów próbowali porwać samolot i uciec z kraju, Breżniew pozwolił wyjechać części Żydów – ale tylko im i tylko do Izraela. Oczywiście wielu z nich nie zostało w Izraelu. Potraktowali go jak kraj tranzytowy i ostatecznie wylądowali tutaj, w Nowym Jorku.

Wiedziałem o tym i pamiętałem, że ze strony członków Politbiura nie było to zresztą humanitarne posunięcie, zwłaszcza że jego konsekwencje miały spaść na nas. Owa fala exodusu nie ograniczyła się do niewinnych, prześladowanych Żydów. KGB po cichu uwolniło jednocześnie z gułagów tysiące zatwardziały kryminalistów, którzy akurat byli Żydami, i pozwoliło im wyjechać. Jednym szybkim ruchem, który przypuszczalnie wywołał wiele radości na Kremlu, służby zrzuciły ich na kark niczego niepodjęzawającemu światu – zdając sobie sprawę, że większość wyląduje ostatecznie tutaj. Nie mieliśmy pojęcia, którzy z przyjmowanych przez nas imigrantów przebywali w więzieniu i za co, ponieważ Rosjanie nigdy nie dzielili się z nami swoimi dokumentami dotyczącymi spraw kryminalnych. Ciągłe zresztą tego nie robią. Fidel Castro, wierny naśladowca swych radzieckich mentorów, wykręcił nam parę lat później podobny numer, kiedy podczas tzw. Mariel boatlift opróżnił kubańskie więzienia i wyekspediował ich lokatorów w naszą stronę, co znacząco wpłynęło na poziom przestępczości na południu Florydy.

– Polityka ta nie zmieniła się aż do osiemdziesiątego piątego roku – kontynuowała Larisa – kiedy Gorbaczow rozluźnił kontrolę nad krajem i otworzył granice. Tymczasem według was Sokołowa przyjechał tutaj koło osiemdziesiątego, przed wprowadzeniem przez Gorbiego zmian, a ja nie przypominam sobie z mieszkania Sokołowa mezuzy czy czegoś w tym rodzaju. Wiemy może, czy jest Żydem?

– Nie mam pojęcia – przyznałem. – Jego żona jest Greczynką. A w ich korytarzu wiszą ikony.

– Chrześcijańskie – sprecyzowała znaczącym tonem.

– Owszem.

– Co wyjaśnia do pewnego stopnia to, że nie figuruje na żadnej z naszych list. Skoro jednak nie uciekł i nie wyjechał z falą żydowskiej emigracji, to jak udało mu się wydostać ze Związku Radzieckiego w czasach, kiedy było to właściwie niemożliwe?

Rozważałem przez chwilę jej słowa i doszedłem do wniosku, że czeka nas

mnóstwo pracy przy prześwietlaniu Sokołowa.

Zakładając, że to jego prawdziwe nazwisko.

– W porządku, przyjrzymy się temu.

Skinęła głową, po czym nagle jakby sobie o czymś przypomniała.

– Chciałam was prosić o pomoc w jeszcze jednej sprawie. Nie mamy dostępu do raportu koronera z oględzin zwłok Jakowlewa. Możecie go nam dać do wglądu?

Nie widziałem przeciwwskazań. Spojrzałem na Aparo, a on wzruszył tylko ramionami.

– Jasne.

– Trafiliście na coś ciekawego? Był pod wpływem narkotyków?

Uśmiechnąłem się. Typowe pytania „radcy do spraw publicznych”.

– Nic, co odbiegałoby od normy – powiedziałem. – Był czysty.

– Prześwietlcie Sokołowa. Ja też poszperam w jego sprawie. Ale zawrzyjmy umowę. Jeżeli mamy wyciszyć całą tę aferę i zakończyć ją szybko i zgodnie z wolą obu stron, powinniśmy pracować razem. Nawet jeśli, jak pan to ujął, o pewnych rzeczach nie możemy rozmawiać. Musimy ogłosić zawieszenie broni. Być ze sobą szczerzy. Przekazywać sobie informacje. – Nachyliła się i zawiesiła na mnie wzrok. – Jeżeli coś ma z tego wyjść, musimy współpracować – ściślej, niż zazwyczaj uchodzi to za akceptowalne.

Nie byłem pewien, czy sobie z nami pogrywa; czy obserwowanie efektu, jaki wywiera na mężczyznach, przynosi jej po prostu osobistą satysfakcję, czy raczej jest to świadoma taktyka, mająca rozwiązać języki napalonym. Tak czy inaczej była przerażająco skuteczna. Rzecz jasna, na mnie to nie działało. Ale puls Aparo pewnie wyraźnie przyspieszył.

– Okej – elokwentnie podsumowałem rozmowę. Mimo mętliku, jaki miałem w głowie, jedno stawało się dla mnie z każdą sekundą coraz bardziej jasne: wszystkie tropy faktycznie prowadziły do Sokołowa.

W najoczywistszy sposób próbowali go dorwać.

Co oznaczało, że my musieliśmy go znaleźć pierwsi.

Larisa patrzyła przez chwilę, jak Reilly i Aparo odjeżdżają, po czym ruszyła w stronę domu, wyciągając po drodze telefon.

– I jak, na jakim są etapie w sprawie Sokołowa? – zapytał jej szef.

– Nic nie wiemy.

– Pomogłaś im jakoś?

– Rzuciłam im kość. Naprowadziłam na właściwy trop.

– Świetnie – pochwalił ją. – Trzymaj się tego. I spróbuj się zbliżyć do Reilly’ego.

Wykorzystamy wszelkie dostępne środki, żeby wytropić Sokołowa. Ale jeżeli FBI znajdzie go szybciej, to musimy mieć pewność, że wystarczy nam czasu, żeby dorwać go przed nimi.



– Będę was informowała na bieżąco – obiecała i się rozłączyła.

Skręciła w Siedemdziesiątą Ósmą. Czuła się trochę pusta w środku. Dostała właśnie najważniejsze zlecenie w całej swojej dotychczasowej karierze, ale to, że nie wiedziała wszystkiego, zaczynało ją naprawdę drażnić. Nie zgłaszała się do tej roboty po to, żeby grać rolę pionka w cudzej grze, i nie podobało jej się, że ktoś nią manipuluje, nie ujawniając, o co tak naprawdę chodzi w sprawie. Jej praca wymagała zdolności analitycznych, nic więc dziwnego, że natychmiast zadała sobie pytanie, dlaczego tyle przed nią ukrywają. Odpowiedź była oczywista – i tylko wzmogła jej ciekawość. Pewnie uważają, że gdyby знаła prawdę, mogłoby to wpłynąć na jej decyzje.

Musiała się dowiedzieć, kim właściwie jest Sokołow. Ale biorąc pod uwagę to, że ze wszystkich stron blokowano jej dostęp do informacji, pozostawało tylko mieć nadzieję, że Reilly faktycznie jest tak dobry, jak sądzą.

Na razie nie miała wyboru: musiała grać w nie swoją grę.

Dafne Sokołow wzdrygnęła się, czując tuż obok siebie mężczyznę. Leżała na twardej, zimnej podłodze z dłońmi związanymi na plecach i przykutymi do jakiejś rurki, czyli w takiej samej pozycji jak w hotelu. Tyle że więził ją już ktoś inny.

Ktoś, kto przerażał ją o wiele bardziej.

Słyszała, jak likwiduje strzałem z pistoletu jej porywaczy. Nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia, o czym przekonała się, gdy po chwili zerwał jej z oczu plastry. W jego zachowaniu wyczuła chłód, niemal nieludzką, sztywną bezwzględność, która ją głęboko zaniepokoiła. Pozwolił jej również zobaczyć swoją twarz, co też nie najlepiej wróżyło – nie chodziło o samą twarz, ale o to, że właśnie zabił dwóch ludzi i najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że to widziała i w razie czego mogła go zidentyfikować. To, że się tym nie martwił, ją akurat bardzo martwiło. Nie była ekspertem w dziedzinie przestępczości, ale jedno wiedziała na pewno: mordercy zwykle nie zostawiają świadków.

Poczuła, że mężczyzna nachyla się, usłyszała odgłos jego gniotących się ubrań. Wyczuła, że wyciąga ku niej rękę. Nagle ściągnął kominiarkę, którą wcześniej włożył jej na głowę. Po chwili wzrok Dafne przyzwyczaił się do światła i zobaczyła wyraźnie jego twarz.

Wyglądał tak samo, tyle że z bliska mogła stwierdzić, że jego broda jest sztuczna, a okulary zbyt płaskie, by były czymś więcej niż tylko rekwizytem. Próbowwała pocieszyć się tym, że ukrył pod przebraniem swoje prawdziwe oblicze, trzymała się przez chwilę nadziei, że może wcale nie zamierza jej zabić, ale była to krótkotrwała nadzieja. W rysach jego twarzy, niczym wyrzeźbionych w lodzie, nie dostrzegła nawet cienia litości.

Stał niepokojąco blisko i przyglądał się jej.

Ona również rozejrzała się po pomieszczeniu, w którym ją przetrzymywał. Znajdowała się w pustym, pozbawionym okien pokoju przypominającym nieużywane przez dłuższy czas magazyny w budynkach przemysłowych. Na podłodze nie było dywanu – leżała na zimnym, gołym betonie. Nagle zauważyła coś obok porywacza: niewielką kosmetyczkę – z tych, jakich używa się w podróży.

Nie wiedziała dlaczego, ale widok ten jeszcze bardziej ją przeraził.

Porywacz milczał uparcie. Po chwili zebrała się na odwagę i otworzyła usta.

– Gdzie jestem? – spytała, próbując zapanować nad drżeniem warg. – Czego ode mnie chcesz?

Wpatrywał się w nią w milczeniu, aż nagle jego wzrok padł na kosmetyczkę. Mężczyzna otworzył ją. Sięgnął do środka i wyciągnął dwie niewielkie plastikowe ampułki. Przypominały te, których używa się do zakraplania oczu, z odrywanymi szyjkami.

– Muszę ci zadać kilka pytań – powiedział, ułamując szyjkę jednej z ampulek, którą następnie przytrzymał przed jej oczami. – Dzięki temu chętniej na nie odpowiesz. Nie radzę ci się opierać. Nic ci nie będzie, po prostu staniesz się po nich... bardziej skłonna do współpracy. Ułatw życie sobie i mnie i nawet nie próbuj walczyć. W ten czy inny sposób zawsze uzyskuję odpowiedzi na interesujące mnie pytania.

Była zbyt przerażona, żeby się odezwać.

On jednak wcale na to nie czekał. Sięgnął po prostu, położył dłoń na jej podbródku, przechylił głowę do tyłu, przycisnął ją do ściany i przytrzymał.

– Nie walcz – powtórzył łagodnie. – Wprowadzę ci krople do oczu i za chwilę będziemy to mieli za sobą.

Zaczęła się trząść – dziko, w niekontrolowany sposób. Ale nie walczyła z nim. Byłoby to bezcelowe. Oddychała tylko głęboko i starała się stłumić strach, gdy sięgnął i z wprawą kogoś, kto robił to nie po raz pierwszy, przechylił jej głowę i ustawił pod właściwym kątem. Następnie kciukiem i palcem wskazującym szeroko rozwarł jej lewe oko, przytrzymując powiekę.

Wwierciwszy w nią wzrok, podniósł ampulkę z przezroczystym płynem i przez parę przeraźliwie ciągnących się sekund przytrzymał nad nią. Następnie przechylił ją i ścisnął, przelewając zawartość do oka porwanej kobiety.

Dafne chciała zamrunąć, ale dopóki mężczyzna nie skończył, nie mogła.

Odchylił się, przyglądając się jej z ciekawością, jakby była szczurem laboratoryjnym. Przerazenie i dezorientacja, które rysowały się na jej twarzy, wyraźnie go bawiły.

– No widzisz? – pocieszył ją. – Nie było tak źle, co?

Powtórzył procedurę, przelewając zawartość ampulki do prawego oka Dafne. Następnie schował puste pojemniki do kosmetyczki i wstał.

– Zaczekajmy kilka minut, aż zaczną działać – powiedział. – A potem sobie pogadamy.

Przesłuchanie nie trwało długo.

Na krople o kodzie SP-117 – „SP” oznaczało *specjalnej podgotowki* – składał się koktajl barbituranów, alkaloidów oraz innych substancji psychoaktywnych. Były bardzo skuteczne. Świat – a w szczególności Dwunasty Departament Zarządu „S” KGB – przeszedł długą drogę od czasów, gdy w celu rozwiązania języka przesłuchiwanym używano podawanego dożylnie alkoholu. Problem polegał bowiem na tym, że choć tak zwane serum prawdy faktycznie pozytywnie wpływało na rozmowność obiektu, miało poważny minus: trudno było rozróżnić, która część bełkotu przesłuchiwanego jest prawdą, a która fikcją. A przecież wiarygodność uzyskiwanych dzięki narkotykowi zeznań miała kluczowe znaczenie. Dlatego właśnie SP-117 był tak wyjątkowy. Powściągał wyobraźnię obiektu i sprawiał, że skupiał się on wyłącznie na tym, co uważał za niepodważalne fakty.

Niestety, fakty podane przez Dafne Sokołow okazały się bezwartościowe.

Małżonek nic jej nie powiedział. Nic nie wiedziała o jego przeszłości, o jego pracy.

Czego zresztą należało się spodziewać. Kościej to przewidział. Mimo to nadal mogła mu się przydać. Sokołow był człowiekiem bardzo zaradnym i najwyraźniej z całego serca kochał żonę. Kościej wiedział, że zrobi wszystko, żeby ją uratować. Pozostawało kwestią czasu, kiedy stanie w drzwiach.

Rozłożył fotel i rozsiadł się wygodnie, analizując w myślach scenariusze, w jakie mogły się ułożyć wypadki w najbliższych dniach. Celował w tej dyscyplinie. Jego umiejętności jeszcze nigdy go nie zawiodły. Cała jego kariera sprowadzała się do pasma sukcesów, od samego początku. Tyle że parę rzeczy się zmieniło. Stał się zgorzkniały, a życie pozbawiło go złudzeń. Kiedy tak siedział po ciemku w pustym magazynie, zastanawiał się nad tym, czy misja, którą właśnie wykonywał, doprowadzi go do nowego początku.

Powtórnych narodzin nieśmiertelnego.

Wychował się w patriotycznej, komunistycznej rodzinie w Mińsku. KGB zwerbowało go, gdy pracował z ojcem w fabryce części do wojskowych helikopterów. Ukończył akademię wywiadu, w której wyróżniał się zwłaszcza w strzelectwie i sztukach walki, a na pierwszą misję wyruszył do Ankary, włamał się do ambasady brytyjskiej i założył w niej podsłuch. Był szczerze zaangażowany w swoją pracę. Prowadził zuchwałe kampanie dezinformacyjne wymierzone w CIA, identyfikował i likwidował przywódców czeczeńskich buntowników, siał ziarna oporu wobec Zachodu w krajach takich jak Afganistan czy Sudan. Sześć lat po studiach uzyskał stopień majora; pięć lat później – podpułkownika.

I wtedy wszystko się zmieniło.

Po upadku Związku Radzieckiego wszystko, czego miał bronić jako wyszkolony agent, nagle zniknęło. Zmieniła się jego rola. Nie pomagał już w rozprzestrzenianiu komunizmu i w walce z Ameryką w ramach gry o globalną dominację. Nie chodziło już o przemykanie rakiet na Kubę, uzbrajanie krajów arabskich czy wspieranie południowoamerykańskich powstańców. Ideologia przestała mieć znaczenie.

Zamiast niej zaczęły się liczyć pieniądze.

Wszystkich wokół niego zalało tsunami chciwości i korupcji. I kiedy Kościej przebywał w terenie, broniąc wartości wpojonych mu przez ojca oraz jego mentorów w akademii, walcząc w brudnej wojnie przeciw kapitalizmowi i dekadencji na Zachodzie, ci sami mentorzy opuścili nagle tonący okręt. Jego przełożeni w KGB, nawet ci twardogłowi, jak generał, porzucili natychmiast wartości, na jakich opierał się Związek Radziecki, i z zawstydzającą pasją rzucili się w pogoń za bogactwem. Co do jednego skupili się na wypychaniu sobie kieszeni i bezwstydnym, bezwzględny rabunku – a do zrabowania było całkiem sporo.

Kościej, który zawsze był idealnym żołnierzem, uparcie i naiwnie trzymał się wartości, w końcu jednak i on odkrył, że żyje w świecie, który już nie istnieje. Z każdym kolejnym rokiem był bardziej rozczarowany i cyniczny. Nadal odczuwał dumę ze świadomości, że w tym, co robił, jest absolutnie najlepszy – dlatego właśnie go potrzebowali, dlatego go rozpieszczali i dopieszczali. Zmieniło się jednak wiele. Wiedział już, że go wykorzystują. Był zwykłym egzekutorem, szeregowym żołnierzem walczącym w globalnej bitwie, w której chodziło wyłącznie o chciwość, wysyłanym do boju po to, by zapewnić przełożonym wygodne życie i zabezpieczyć ich konta bankowe. Jego misje sprowadzały się do kontrolowania pól naftowych oraz gazociągów, do siania zamętu na Bliskim Wschodzie w celu windowania cen ropy, stanowiącej główne źródło dochodu Rosji – ale jego znaczna część lądowała w rękach tych, którzy gwałcą jego kraj. Zlecano mu uciszanie dysydentów lub załatwianie potencjalnie kłopotliwych spraw czy to w Moskwie, czy w Gruzji lub Londynie, dzięki czemu jego przełożeni mogli pozostawać przy władzy i nadal cieszyć się swoim świeżo zdobytym bogactwem.

Rozczarowanie narastało w Kościeju długo i powoli. W trakcie wykonywania rozmaitych zadań na całym świecie zbyt mocno był skoncentrowany na tym, by nie dać się zabić, żeby zauważyć, co się dzieje w ojczyźnie, w domu. Jednak w efekcie rozczarowanie to zakorzeniło się w nim bardzo głęboko, a z każdym dniem jego gorycz narastała. Zamieniając się w coś więcej.

Wykonując obowiązki, czuł się coraz bardziej zbrukany.

Czuł się wykorzystywany.

Musiał się zmienić. Zaadaptować. Zaakceptować nową rzeczywistość i ustawić na nowo priorytety w swoim życiu.

A im dłużej nad tym myślał, tym bardziej upewniał się, że to Sokołow odegra najważniejszą rolę w jego ponownych narodzinach.

Musiał tylko dorwać go pierwszy.

Spałem bardzo źle.

Często tak mam, kiedy w trakcie śledztwa walczę ze zbyt wieloma niewiadomymi; gdy mój umysł błądzi w wielu kierunkach. Wstałem więc wcześniej niż zazwyczaj, zrobiłem sobie szybko kawę i żeby nikogo nie budzić, wziąłem prysznic w łazience w piwnicy. Wróciłem na górę i zacząłem się ubierać, gdy obudziła się Tess.

– Która godzina? – mruknęła zaspanym głosem.

– Ćśś... – uspokoilem ją, podchodząc cicho do łóżka i całując ją w ramię. – Jest bardzo wcześnie. Śpij spokojnie.

Przyjrzała mi się spod opadających powiek.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Śpij dalej. Zadzwonię do ciebie z biura.

Wyszedłem z sypialni i zakradłem się na palcach na górę, żeby zajrzeć do dzieci. Wsunąłem głowę do pokoju Kim. Miała mocny sen, a sądząc z rozrzuconych wokół łóżka laptopa, iPada i komórki, czatowała z kimś do późna i potrzeba było co najmniej trzęsienia ziemi – albo Tess, fachowo przystępującej do czwartej rundy porannego rytuału wybudzania córki – żeby ją z niego wyrwać. Poszedłem korytarzem do pokoju Aleksa i zajrzałem do środka. On również spał głęboko, zwinięty w kłębek pod prześcieradłem i przytulony mocno do misia, tak jakby ten miał go obronić przed światem. Miałem ochotę podejść bliżej i go pocałować, ale wiedziałem, że to nie najlepszy pomysł. Nie chciałem go budzić, zwłaszcza że mógłby się wystraszyć, widząc mnie nagle w pogrążonym w ciemności pokoju. To było naprawdę okropne – mój własny syn, a ja się boję, że ogarnie go przerażenie, gdy musnę jego policzek w jego własnym łóżeczku.

Reed Corrigan odpowie za to, pomyślałem. Już ja tego dopilnuję.

Wskoczyłem do samochodu i ruszyłem prawie pustymi ulicami w stronę Federal Plaza, licząc na to, że będę miał czas i dobrze się przygotuję do spotkania z Młotem.

Powitało mnie sporo nowych wiadomości, dobrych i złych.

Udało się zidentyfikować obu martwych Rosjan i faktycznie okazało się, że należeli do organizacji Młota. Wystarczało to w zupełności, żeby wcielić w życie nasz plan. Zadzwoniłem do biura prokuratora i umówiłem się na spotkanie, a potem do sędziego. Wybrałem takiego, który powinien spojrzeć przychylnie na to, co mieliśmy zamiar zrobić. Musieliśmy się teraz zająć papierkową robotą i jak najszybciej wszystko przygotować do spotkania z *worem*.

Złe wieści dotyczyły dwóch gości w garniturach, którzy zginęli z Adamsem i Giordanem.

Nie mieli przy sobie dowodów tożsamości, ale zdjęliśmy im odciski palców. Problem polegał na tym, że należały do dwóch naszych żołnierzy, którzy zginęli w Iraku

w 2005 roku.

Co było bardzo niepokojące, i to z kilku powodów.

Nie jest przecież łatwo podmienić czyjeś odciski palców w bazach danych, nawet w epoce, kiedy wszystko magazynuje się na serwerach, do których można uzyskać dostęp zdalnie. Trzeba wiedzieć, gdzie szukać, włamać się do baz wymagających autoryzacji i przedrzeć przez kilka firewalli niełatwych do sforsowania nawet dla takich czarodziei jak mój nowy kumpel Kurt. W dodatku goście mieli przy sobie glocki i rozmawiali z dwoma detektywami, którzy również zginęli – a wszystko to w trakcie prowadzonego właśnie śledztwa. Wszystko razem oznaczało, że dzieje się coś naprawdę paskudnego, a uczestnicy całej rozgrywki nie do końca wiedzą, w co się wpakowali.

Obiecałem sobie, że dopóki nie posprzątam tego bałaganu, częściej niż zwykle będę spoglądał przez ramię.

Siedziałem właśnie przy biurku i przeglądałem najnowsze wpisy na temat Mirmińskiego w bazie Krajowego Centrum Informacji Kryminalnych, gdy zajrzał do mnie Aparo. Miał wystraszoną minę, co zdarzało mu się raczej rzadko.

– Przyszły wyniki analizy balistycznej pocisków z motelu – powiedział, podając mi wydruki. – Dobrze, że siedzisz.

– A co? – ożywiłem się.

– Ta sama spluwa – wyjaśnił.

To było niemożliwe.

– Jak to, ta sama spluwa?

– Zwyczajnie. Wszystkie siedem ofiar zabito z jednej broni. – Wpatrywał się we mnie, tak jakby sam nie mógł w to uwierzyć. – Sprzątnął ich wszystkich jeden strzelec, Sean! W pojedynkę!

Zamarłem. Jeden strzelec?

Zamknąwszy oczy, zacząłem sobie przypominać to, co widziałem dzień wcześniej i wyobrazić, jak to się mogło rozegrać, gdy nagle zadzwoniła komórka. Zerknąłem na ekranik. Nieznany nadawca. Już miałem zignorować połączenie, ale nagle przypomniałem sobie o moim hakerze i jego upodobaniu do chwytów rodem z powieści płaszcz i szpada. Podniosłem palec wskazujący, gestem prosząc Aparo, żeby zaczekał, i odebrałem.

– Mów, szybko – powiedziałem.

– Znalazłem coś – rzekł Kurt zniekształconym przez Skype'a głosem.

– Świetnie, ale nie mogę rozmawiać. Oddzwonię do ciebie.

– Nie da się. Z tego numeru nie mogę odbierać, tylko dzwonić. Zadzwonię jeszcze raz. Może być za pół godziny?

– Może być.

Rozłączyłem się i stłumiwszy niecierpliwość, skupiłem się z powrotem na Aparo.

Na szczęście był tak pochłonięty raportem z analizy balistycznej, że nawet nie zapytał, kto dzwonił.

– Ten gość... strzelec... – wróciłem do tematu – musi być naprawdę dobry.

– Zgadza się – potwierdził i zachmurzył się jeszcze mocniej. – Lepiej nośmy odtąd kamizelki.

Wzruszyłem ramionami.

– Po co? Nie sądzę, żeby facet miał problem z trafieniem na przykład między oczy.

– No to mnie pocieszyles. – Aparo powoli pokręcił głową. – A co, jeżeli to Sokołow?

Zamyśliłem się. Ktokolwiek to był, raczej nie cieszyła mnie perspektywa spotkania z koleśm.

O umówionej porze wyszedłem przed budynek. Telefon zadzwonił natychmiast.

– Możesz teraz rozmawiać? – spytał Kurt.

Pogłos w słuchawce był bardzo irytujący.

– Trochę głośniej, okej? – poprosiłem. – Straszne zakłócenia.

Jakość głosu nagle się polepszyła.

– Prawie żuję już mikrofon, więc głośniej się nie da. Mnie też miło cię słyszeć.

– Mówiłeś, że coś znalazłeś?

– Mało powiedziane! – obwieścił dumnie. – Od wczoraj nie robię nic innego. Uwzględniłem wszystkie kryteria. Zestawiłem ze sobą kilka baz danych, w tym Centralny System Naboru i Kwalifikacji Departamentu Obrony i aktualizowaną na bieżąco bazę osób z dostępem do poufnych informacji. Krótko mówiąc, mam siedem nazwisk. Wszyscy z odpowiednimi certyfikatami dostępu. Wszyscy z ostrzeżeniami dyscyplinarnymi. Wszyscy przez całe życie w Firmie. Dwóch zaliczyło wewnętrzny program walki z uzależnieniem alkoholowym i są czyści. Jak na razie. Jeden odbywa właśnie kurs w Londynie: „Chiny a globalne bezpieczeństwo: paradoksy kapitalizmu”. Brzmi intrygująco. Jeszcze inny ma na koncie wypadek z ofiarą śmiertelną i jeździ teraz na wózku, więc podejrzewam, że raczej nie chcesz się z nim zabawić. Znalazłem też trzech z naganą z ostrzeżeniem w aktach w sprawie o molestowanie seksualne. Pomyślałem, że to obiecujące. Jednego z nich polubiłem szczególnie. Nazywa się Stan Kirby.

– Powiedz mi o nim coś więcej.

Kurta najwyraźniej podjarało moje zlecenie.

– Powyżej pięćdziesiątki. Przystojniaczek z niego, chociaż wiesz, ja nie z tych. Starzy, dyplomaci średniego szczebla, wysłali go do college’u Vassar. Młodzieńczy bunt przejawiał się u niego tym, że jak go skończył, to dał się zaraz zrekrutować do CIA. Od tamtego czasu u nich pracuje – w listopadzie jego staż dobił do dwudziestu czterech lat – i jest teraz starszym analitykiem wywiadowczym z dostępem na poziomie dwa-be. Ma pełen socjal i jak tak dalej pójdzie, to przejdzie na emeryturę z najkorzystniejszym



pakiem, jaki daje Agencja.

Nie mogłem uwierzyć, że ktoś taki jak Kurt jest w stanie tak szybko dokopać się do tych wszystkich informacji.

– A w czym jest haczyk?

– Od siedmiu miesięcy w prawie każdy czwartek wybiera po pracy pieniądze z tego samego bankomatu. Koło siódmej. Trzysta dolców.

– Może lubi mieć gotówkę przez weekend?

– Możliwe, ale na tym nie koniec. Pracuje w Langley, ma dom w Arlington, a korzysta z bankomatu w Georgetown. Mija dom i jedzie aż do Georgetown, żeby wyjąć kasę, a potem zawraca i jedzie z powrotem do domu? Raczej mało prawdopodobne.

– Może wydaje pieniądze w jakiejś tamtejszej instytucji?

– Też tak pomyślałem. Tyle że raczej nie obstawiałbym ochronki dla bezdomnych. Moim zdaniem nasz chłoptaş lubi rozrabiać. No i jest jeszcze niespodzianka. W ten sam dzień... O tej samej porze... Jego żona ma lekcje jogi. Od siódmej do dziewiątej.

Teraz faktycznie zaczęło to wyglądać obiecująco.

– Okej, spróbuj się dowiedzieć, co robi z tą gotówką.

– Się robi, panie władzo! Zadzwoń, jak na coś trafię.

Nagle coś mi przyszło do głowy.

– Zaczekaj, mówiłeś, że chodzi o czwartki, tak?

– Między środą a piątkiem.

Czwartek. Czyli jutro. Z tonu głosu Kurta wywnioskowałem, że myśli o tym samym co ja.

– Jestem na tropie – zapewnił mnie. – Lepiej, żebyś miał telefon pod ręką.

Rozłączył się.

Lokal Mirmińskiego nazywał się *Atmosphère*, pisane z francuska, z akcentem, i wymawiane jako „atmos-fer”, czyli tak jak należało w wypadku szanującego się night clubu z górnej półki w Meatpacking District.

Był najnowszym przedsięwzięciem Młota, flagowym okrętem jego kwitnącego imperium, co przekładało się na ogromną powierzchnię. Nawet w ciągu dnia, kiedy nie łupała w nim muzyka, nie falowały spocone ciała i nie oślepiały światła, bez problemu można było sobie wyobrazić, co się w nim dzieje o bardziej gorącej porze. Na klub składała się platanina luksusowo urządzonych korytarzy i sal wyłożonych czarnym aksamitem i chromem, lśniących kryształami od Swarovskiego, oraz ścian z mętnego szkła, wyglądających jak z filmu science fiction. Wnętrza były urządzone niewyobrażalnie krzykliwie, ale przy tym zadziwiająco gustownie. Zresztą nic dziwnego, zważywszy na klientelę, w jaką celował Mirmiński: wożących się astonami martinami europejskich rekinów świata biznesu i miejscowych upalonych szyszek, których rachunki mogły sięgać tysięcy dolarów za noc, oraz ich świty w postaci

modelek i klonów Kate Middleton.

Dwóch neandertalczyków w czarnych garniturach i ciemnych koszulach zaprowadziło nas do Mirmińskiego siedzącego za obitą skórą ławą w towarzystwie trzech współpracowników. Sądząc z ich spłoszonych spojrzeń, raczej nie omawiali właśnie wieczornej listy numerów dla DJ-a. Gdy Mirmiński nas zobaczył, nie wyglądał na uszczęśliwionego. Jego towarzysze podjęli mądrą decyzję i natychmiast opuścili salę.

Młot był potężniejszym mężczyzną, niż wskazywały na to zdjęcia z jego akt. Najwyraźniej na wiele sposobów korzystał z rozkoszy dostatniej egzystencji zaoferowanej mu przez Amerykę. Witając nas i zapraszając, żebyśmy usiedli, łypał na nas chytrym wzrokiem, bardziej gadzim niż ludzkim.

Uniósł w naszym kierunku szklaneczkę.

– Mogę panom zaproponować po drinku? Wiem, że nigdy nie pijecie na służbie, ale tym razem naprawdę powinniście zrobić wyjątek. Ten jest naprawdę wyjątkowy. Nazywamy go „Zielona Chwilka”. To co, po maluchu?

Uśmiechnąłem się.

– Z przyjemnością, Jurij. Wygląda na zarabistego. Problem polega na tym, że jeżeli teraz damy się skusić, to gdzie właściwie wyznaczymy granicę? Kanapeczki z kawiozem? A może któraś z twoich przemiłych pań? Szczypta amfy? Działeczka koki?

Mirmiński odwzajemnił uśmiech, ale w tak wymuszony, zimny sposób, że było całkowicie jasne, iż ma to niewiele wspólnego z tym, co tak naprawdę buzuje za tymi cwanyimi szparkami.

– Po prostu powiedz, czego ci potrzeba, przyjacielu, a resztę zostaw mnie.

– Wiesz co? Tania ze mnie panienska. Nie potrzebuję szampana ani kawioru. – Wyciągnąłem z wewnętrznej kieszeni zdjęcia jego dwóch martwych fagasów, położyłem je na stole i uderzyłem w nie dwoma palcami. – Będę w zupełności usatysfakcjonowany, jeżeli tylko mi powiesz, co ci goście robili wczoraj w motelu w Howard Beach i co jest między tobą a Leo Sokołowem.

Mówiąc to, przyglądałem się uważnie jego twarzy, chociaż właściwie nie spodziewałem się czegokolwiek z niej wyczytać. Mirmiński niczego nie dał po sobie poznać. W końcu był zawodowcem. Na widok martwych mężczyzn nawet nie drgnął. Zrobił najpierw skupioną, a potem zmieszaną minę.

– Przykro mi, agencie...

– Reilly – odpowiedziałem.

– ...Reilly, ale nie znam tych ludzi. A powinienem?

Spojrzałem na niego z powątpiewaniem.

– Raczej tak, Jurij. Byli cali wytatuowani. Jak bydło, któremu wypalono piętno, w dodatku prowadzące prosto do twojego rancza.

Młot roześmiał się i jego oczy zupełnie zniknęły.

– Mojego rancza? Podoba mi się. Może nazwę tak następny klub? Zabawna nazwa. Hołd dla wspaniałej amerykańskiej tradycji. – Na jego twarzy wymalowała się pełna pokory skrucha. – Może faktycznie pracowali w którymś z moich lokali. Problem polega na tym, że zatrudniam mnóstwo ludzi. Kelnerów, bramkarzy itepe. Może przyłapaliśmy ich na podkradaniu z kasy albo czymś jeszcze gorszym? Tak czy inaczej, nawet jeżeli faktycznie pracowali w jednym z moich licznych zakładów, to z całą pewnością zostali wywaleni jako osoby – szukał przez chwilę słowa – niepożądane.

Uśmiechnął się zadowolony z siebie, tak jakby oznaczało to koniec sprawy.

– A Sokołow? – spytałem.

Pokręcił głową.

– To bardzo popularne rosyjskie nazwisko, agencie Reilly. Jak Smith albo Jones. A z moją pamięcią ostatnio coraz gorzej.

– Powiem ci coś, Jurij. Umów się lepiej z zielarką i niech ci przepisze jakieś leki na twoje zaniki pamięci. Bo jak dorwiemy ci się do odbytu i oskarżymy o współudział w morderstwie dwóch detektywów z wydziału zabójstw, to będziesz musiał zmobilizować wszystkie moce tego szamba, które nazywasz swoim mózgiem. Ponieważ w tym kraju to akurat przestępstwo nigdy się nie przedawnia. Akta tej sprawy nie zostaną zamknięte, dopóki nie dopadniemy gnoja, który to zrobił. – Zamilkłem, czekając, aż to do niego dotrze, a potem nagle się rozluźniłem. – Straciłeś tam dwóch ludzi, Jurij. My też. Więc jeżeli nie uśmiecha ci się perspektywa agentów federalnych łażących za tobą krok w krok dwadzieścia cztery godziny na dobę, to radzę ci współpracować z nami i pomóc nam dopaść odpowiedzialnego za to typa.

Spojrzałem na niego znacząco, tak jakbym spodziewał się za chwilę odpowiedzi

Mirmiński zmarszczył brwi, zastanawiając się nad moimi słowami. Nagle na jego twarzy wykwitł znowu uśmiech perwersyjnego wujcia.

– Jeżeli tylko usłyszę o czymś, co mogłoby wam pomóc w wyjaśnieniu sprawy, to na pewno się z wami skontaktuję, agencie Reilly. Ma pan moje słowo.

Skoro już przekazaliśmy wiadomość, nie było sensu siedzieć tam ani sekundy dłużej. Ruszyliśmy za naszymi naszpikowanymi sterydami przewodnikami w stronę światła dziennego.

Minęliśmy furgonetkę, w której mieścił się jeden z naszych mobilnych posterunków – wystawiliśmy je na podstawie zezwolenia wydanego rano przez sędziego – i wsiedliśmy do samochodu.

Mirmiński, miałem nadzieję, wkrótce powinien się przekonać, że nawet na swoich włościach nie może cieszyć się taką prywatnością, jakiej by sobie życzył.

W niewielkiej sypialni mieszkania nad Zielonym Smokiem Sokołow siedział na skrzypiącym łóżku i wpatrywał się w telefon, który zabrał Jakowlewowi po tym, jak wypchnął go przez okno.

Przez całą noc przewracał się z boku na bok i zasnął dopiero tuż przed świtem. Odwykł od późnego kładzenia się spać. Od przyjazdu do Stanów Zjednoczonych właściwie mu się to nie zdarzało. Dostosowali się do siebie z Dafne, czego nie zakłóciło nawet to, że ostatnio zaczęła pracować na zmiany. Ich rozkłady dnia uzupełniały się nawzajem, co było bardzo wygodne. W każdym razie do momentu, gdy jego przeszłość wdarła się do terażniejszości z subtelnością osiemnastokołowca.

Nie mógł przestać myśleć o Dafne, zastanawiać się, gdzie jest i czy nic jej się nie stało. Pewnie była przerażona. Zamknął oczy i wyobraził ją sobie, przywołał w myślach obrazy ze szczęśliwych czasów, zanim rozpętało się to szaleństwo. Przypomniał sobie ciepły uśmiech, jakim reagowała, gdy nazywał ją *łapuszką*; przypomniał sobie dzień, kiedy pozwolił sobie na to po raz pierwszy, ten cudowny dzień wiele lat temu, gdy spacerowali tamtego rzeńskiego wieczoru po plaży w Rockaway, gdy wyjaśnił jej, co to znaczy, a ona, rozczulona tym pieśczośliwym określeniem, przytuliła się do niego i po raz pierwszy się pocałowali.

Zastanawiał się, czy stare dobre czasy w ogóle mają szansę wrócić. Nawet jeśli ją uratuje – czy ich życie będzie choć odrobinę przypominało tamto dawne? Czy też raczej mur oddzielający go od przeszłości został definitywnie zburzony i będą zmuszeni wkroczyć na nowy teren, rozpocząć nowe życie po tym, jak Dafne dowie się, co skrywał przed nią przez te wszystkie lata.

Perspektywa ta zasmuciła go jeszcze bardziej.

Wyparł z głowy ponure myśli i skupił się na czekającym go zadaniu. Ciągle ścisnął w dłoni telefon. Ustalił już, że ostatnie połączenie z niego wykonano do rosyjskiego konsulatu. Co nie było niczym zaskakującym, zważywszy że Jakowlew tam pracował. I od tego właśnie miejsca musiał zacząć Sokołow, chociaż na razie ciągle nie odważył się zadzwonić. Nie chciał się z nimi kontaktować, dopóki nie będzie całkowicie gotowy. Jak tylko oddalił się na bezpieczny dystans od swojego mieszkania i zatrzymał, by złapać oddech, usunął z aparatu kartę SIM i baterię. Wiedział, że w dzisiejszych czasach ustalenie czyjejś lokalizacji za pomocą telefonu komórkowego jest względnie łatwe. Jako inżynier i naukowiec fascynował się komórkami właściwie od momentu wprowadzenia ich na rynek. Stał się nawet ekspertem w dziedzinie technologii komórkowej, co zachęciło go do powrotu do dawnych badań, w których osiągnął wyniki, jakie jeszcze dekadę lub dwie temu zakwalifikowano by do sfery science fiction.

Nie mógł się powstrzymać przed ich kontynuowaniem, mimo że wiedział, iż

sprowadzą na niego tylko kłopoty.

Dziwnym zrzędzeniem losu te same badania mogły mu teraz bardzo pomóc w uratowaniu Dafne – i siebie.

Umieściwszy w aparacie kartę SIM i baterię, włączył go i natychmiast pacnął ikonkę wyboru numeru. W głośniczku czterokrotnie zabrzmiał sygnał, po czym ktoś odebrał rozmowę.

I nie powiedział nic.

Sokołow przycisnął telefon do ucha i również się nie odzywał. Po drugiej stronie linii słyszał czyjś oddech.

Przypuszczał, że osoba, która odebrała telefon, była bardzo zdziwiona, widząc na ekraniku nazwisko martwego kolegi. Pewnie doszła do wniosku, że są tylko dwie możliwości: albo dzwoni jakiś gliniarz prowadzący śledztwo w sprawie śmierci Jakowlewa, albo Sokołow.

Po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach w telefonie zabrzmiał beznamienny męski głos.

– *Da?*

Sokołow poczuł, że coś ściska go w gardle.

– *Eto ja, Szyslenko* – powiedział.

W słuchawce zaległa cisza.

Domyślił się, że mężczyzna po drugiej stronie linii pewnie nie jest sam i właśnie zaczyna nagrywać rozmowę oraz lokalizować rozmówcę.

– *Prodołzat'* – powiedział w końcu. Kontynuuj.

Sokołowowi serce o mało nie wyskoczyło z piersi.

– *Macie moją żonę* – oznajmił po rosyjsku. – *I wiem, czego chcecie. Oto co zrobimy. Punktualnie o ósmej zadzwonię jeszcze raz i powiem wam, gdzie i kiedy dokonamy wymiany. Nie mam zamiaru dyskutować.*

Rozłączył się i szybko wyciągnął z telefonu baterię i kartę SIM.

Wpatrzył się w swoje rozdygotane ręce.

„Co ty, u diabła, wyprawiasz?”

Kilka razy wciągnął głęboko powietrze w płuca, próbując się uspokoić. Zaczęła go boleć głowa.

„To, co musisz”.

Przez kilka minut siedział nieruchomo na łóżku, analizując w myślach swój plan i próbując przewidzieć rozwój wypadków. Następnie stłumił wątpliwości i wstał.

Ubrał się, pozbierał swój skromny dobytek i wyszedł z pokoju.

Musiał załatwić kilka spraw.

– *Właśnie dzwonił. Powiedział, że o ósmej zadzwoni znowu. Chce odzyskać żonę.*

Kościej wysłuchał relacji Olega Wrabinka, rosyjskiego wicekonsula i oficera SWR w mieście, z krótkiej rozmowy z Sokołowem.

– Dobra – rzekł, kiedy funkcjonariusz skończył. – Zadzwoń do mnie, jak odezwie się znowu.

Rozłączywszy się, spojrzął w kierunku niewielkiego biura, w którym przetrzymywał Dafne. Bardzo dobrze. Sokołow jest odważny. Oferuje wymianę. Chce się ujawnić.

Kościejowi w zupełności to wystarczało.

Potrzebował jednak wsparcia. Na wszelki wypadek. Nie żałował sprzątnięcia dwóch *bratków* w motelu, mimo że oznaczało to dodatkowe komplikacje. Nie mógł ich zostawić przy życiu. Po pierwsze, byli niechlujni. Jakowlew spieprzył sprawę, a oni zostali zdemaskowani. Najlepszym dowodem było to, jak szybko znaleźli ich Amerykanie. I chociaż każdy *bratok* musiał przestrzegać świętej zasady milczenia niczym katolik przykazań kościelnych, Kościej tym razem nie mógł na nich polegać. Musiał dopilnować, żeby milczenie to było permanentne, na co znał tylko jeden niezawodny sposób.

Pozostawienie *bratków* przy życiu narażałoby go zresztą nie tylko na zdemaskowanie, ale również na o wiele poważniejsze ryzyko, na którego zneutralizowaniu zależało mu jeszcze bardziej: nie był pewien, ile wiedzą. W końcu przez parę godzin pilnowali żony Sokołowa. Kościej nie wiedział wtedy jeszcze, jak dużo powiedział jej mąż ani co ona im powiedziała. A zważywszy na wysokość stawki, na to, co potencjalnie mogło z tego wyniknąć, Kościej naprawdę nie życzył sobie, żeby po okolicy kręcił się ktokolwiek, kto wiedział zbyt dużo, zwłaszcza takie dwie niekompetentne łajzy.

Z prośbą o zorganizowanie paru łebków mógł się zwrócić do kilku pośredników, ale z perwersyjną satysfakcją postanowił, że wróci do pierwotnego źródła. Otwierało to wiele ciekawych możliwości.

Wybrał numer, który przekazał mu Wrabinek, i z każdą sekundą coraz bardziej zadowolony z siebie, zadzwonił do *wora*, którego wszyscy nazywali Młotem.

Aparo i ja siedzieliśmy w laboratorium audiowizualnym z Timem Joukowskim z naszej terenowej grupy wywiadowczej, a jednocześnie naszym dyżurnym specem od spraw rosyjskich, mówiącym płynnie w języku Czechowa. Ekipa podsłuchująca w furgonetce zaparkowanej przed klubem Mirmińskiego wysyłała do centrali materiał audio, a Joukowski odsłuchiwał rozmowy oznaczone przez naszych agentów w terenie jako interesujące. Właśnie pilnie po nas zadzwonił, ponieważ jedna z nich w szczególności zwróciła jego uwagę.

Mirmiński rozmawiał z jakimś innym Rosjaninem – pochodzenia łotewskiego, jak stwierdził Joukowski, który był ekspertem w dziedzinie akcentów i dialektów. Puścił nam nagranie, zatrzymując je po każdym ważniejszym zdaniu, i tłumaczył na bieżąco.

Tajemniczy rozmówca przedstawił się jako Afanasjew.

– Wiemy coś o tym kolesiu? – zapytałem, zakładając jednak, że nazwisko jest fałszywe.

– Niewiele, z wyjątkiem tego, że tak właśnie nazywał się jeden z bardzo płodnych bajkopisarzy. Taki rosyjski Grimm – powiedział Joukowski.

– Jestem pod wrażeniem – skomentował Aparo.

Nasz ekspert zachichotał.

– To nie ja, to Wikipedia. W dzisiejszych czasach nie ma już erudytów.

Rozmówca używający takiego pseudonimu. Wyglądało to obiecująco. W najgorszym razie facet miał poczucie humoru.

Które wyparowało natychmiast po tym, jak mężczyzna się przedstawił.

Mówił właściwie otwarcie. Użył niewielu słów. Powiedział Mirmińskiemu, że potrzebuje pomocy przy przenoszeniu ciężkich mebli. Jeszcze tego samego wieczoru. Czterech tragarzy.

Młot odmówił opryskliwie, dodając z niezadowoleniem, że „przy tym zleceniu stracił już dwóch tragarzy”, i pytając, czy rozmówca nie wie przypadkiem, co im się przydarzyło. Wtedy mężczyzna zrobił coś nieoczekiwanego. Powiedział Mirmińskiemu: „Nie dzwonię w tej sprawie. Masz mi po prostu załatwić czterech tragarzy na dziś wieczór”. Tak po prostu. Chłodno. Otwarcie. Bez podnoszenia głosu, choć wyraźnie można było w nim wyczuć groźbę. Wyczułem ją, nawet nie znając rosyjskiego. A sądząc z wyrazu twarzy Joukowsky’ego, raczej się nie myliłem.

Młot zareagował w jeszcze bardziej nieoczekiwany sposób. Przez chwilę nie mówił nic, a potem zrezygnowanym, pokornym tonem powiedział zwyczajnie: „Okej, żaden problem. Będziesz ich miał”.

Rozmówca dodał, że jeszcze zadzwoni i poda miejsce oraz czas, po czym się rozłączył.

Byliśmy w szoku.

- Małomówny koleś – skwitował Joukowski.
- Faktycznie, ale... skuteczny – dodałem.
- Czy ten facio właśnie zamienił Mirmińskiego w swoją kurewkę? – spytał Aparo.
- To znaczy, co to właściwie miało być? Kto rozmawia w ten sposób z *worem*?
- Są tylko dwie możliwości – wyjaśnił Joukowski. – Albo był to ktoś stojący o wiele wyżej niż Młot w hierarchii organizacji...
- Po tej stronie oceanu nie ma nikogo wyżej, zgadza się? – wtrącił Aparo.
- Joukowski pokręcił głową.
- Raczej nie. Kilku bossów może mieć porównywalną pozycję. Ale nikt nie jest wyżej od niego.
- A opcja numer dwa? – zapytałem, właściwie znając już odpowiedź.
- Opcja numer dwa – kontynuował nasz ekspert – oznacza, że facet ma za sobą takie wsparcie, że Mirmiński, jak zresztą każdy inny Rosjanin, może tylko potulnie pokiwać łbem, odmeldować się i zrobić, co mu kazano, niezależnie od tego, jak jest potężny, bogaty czy ustosunkowany. Komuś takiemu w żadnym wypadku się nie odmawia.

Co oznaczało kogoś, za kim stały chłopaki z Moskwy.

Kogoś wykonującego polecenia Kremla.

Jeżeli mieliśmy do czynienia z opcją numer dwa, to moje mało znaczące śledztwo w sprawie zabójstwa na dzielni mogło się jeszcze bardziej skomplikować.

Wyszliśmy z laboratorium, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. Technicy mieli przepuścić nagranie przez bazę śladów głosowych, ale wątpiłem, czy to coś pomoże. Nie sądziłem, że ten akurat facet da się tak szybko zidentyfikować. Kimkolwiek był, wyczułem na kilometr nowego gracza w mieście. Co oznaczało, że musiałem jeszcze raz przyjrzeć się wydarzeniom w motelu.

– Chodzi ci po głowie to samo co mnie? – spytał Aparo, jakby czytał mi w myślach.

– Do gry weszło dwóch nowych zawodników. Mistrz olimpijski w strzelectwie i Iwan Groźny.

– Dwóch nowych zawodników? – powtórzył pełnym powątpiewania tonem.

– Albo tylko jeden – powiedziałem, kończąc myśl.

– Właśnie. Ale jeżeli to ten sam facet co w motelu, to dlaczego zabił tych dwóch wydziaranych?

– Ponieważ nawalili – pozwoliłem sobie na spekulację. – Nie byli w stanie zgarnąć sześćdziesięcioletniego nauczyciela z liceum, jeden z nich zginął na oczach połowy Nowego Jorku, a potem skorzystali z samochodu, który naprowadził nas na ich kryjówkę. Z tego, co wiemy o tym gościu, nie jest to po prostu kolejny wredny sukinsyn, ale raczej niewiarygodnie skuteczny sukinsyn. A tacy jak on nie tolerują partaczy.



– Grubo – zauważył Aparo.

– Trzeba przyznać, że facet ma wyniki. Co pewnie oznacza, że to w jego rękach znajduje się teraz żona Sokołowa. – Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że to ten sam facet. – Pytanie tylko, czy Młot wiedział, że facet, który do niego dzwoni i żąda czterech jego ludzi, wcześniej już sprzątnął dwóch.

– Jeżeli tak, jeżeli choćby to podejrzewał... Święci pańscy, Młoteczek musi się w środku aż gotować z wściekłości.

– Co chyba możemy wykorzystać – skwitowałem. – Tak czy inaczej, jeżeli to ten sam facet co w motelu, to jakiegokolwiek ma plany na wieczór, dotyczą one Sokołowa. A zatem również jego żony.

– Myślisz, że chce zorganizować wymianę?

– Możliwe. W każdym razie lepiej się na to przygotujmy. Musimy się dowiedzieć, gdzie i kiedy do niej dojdzie. Ty, ja, Kubert i Kanigher oraz oddział SWAT-u – wszyscy mają czekać w gotowości. Skończmy z tym, zanim ostatecznie wymknie nam się spod kontroli.

– Właściwie szkoda, że zamieszani są w to Sokołowowie. Moglibyśmy po prostu siedzieć na tyłkach i pozwolić tym karkom wyróżnić się nawzajem. Mielibyśmy święty spokój – stwierdził Aparo. – Gdybyś zapomniał, gostek jest niezłym strzelcem.

– Racja – potwierdziłem ponuro. – Lepiej faktycznie włożmy kamizelki.

W zaniedbanym parku przemysłowym za Webster Avenue w Bronksie Sokołow stał przed magazynem i się rozglądał.

Wokół panowała cisza. Nikogo nie było. Zresztą rzadko ktoś tam zaglądał. Do tego typu miejsc przyjeżdża się tylko po to, żeby tanio wydzierzawić powierzchnię magazynową, czy to na samochód, czy raczej – i częściej – graty, o których się następnie zapomina. Nie ma potrzeby odwiedzać ich zbyt często. Kiedy Sokołow wynajmował ten magazyn po raz pierwszy – zapłacił gotówką, podobnie jak za każdym razem później – nie był jeszcze takim śmietnikiem jak teraz. Jego właściciel przez ostatnie dwanaście lat specjalnie się o niego nie troszczył. Co najwyżej liznął farbą tu i tam, nie przejmując się nawet tym, by zeszlifować poprzednią warstwę czy załatać szczeliny. Sokołowowi jednak jak najbardziej to odpowiadało. Potrzebował miejsca cichego, dyskretnego i taniego. Takiego, do którego mógłby zaglądać i majstrować w nim, nie zwracając niczyjej uwagi i nie wywołując zbyt wielu pytań.

Rozejrzał się jeszcze raz, upewniając się, że wokół nie ma nikogo, po czym otworzył dwie wielgachne kłódki i odsunął w górę żaluzjowe aluminiowe drzwi. Wszedł do środka, zasunął drzwi, a następnie zapalił światło.

Biała furgonetka stała, rzecz jasna, tam, gdzie ją zostawił: ford econoline z chłodnią – okazały panel kryjący agregat zamocowano na dachu. Samochód miał ponad dwadzieścia lat i był zbyt wysłużony, żeby ktokolwiek chciał go podwędzić. Co również bardzo odpowiadało Sokołowowi. Najgorsze, co mogłoby mu się przydarzyć, to żeby ktoś ukradł dzieło jego życia, owoc wieloletnich studiów i badań.

Obsesji, która nie opuszczała go, odkąd skończył czternaście lat.

Jako czternastolatek nie mógł przestać myśleć o dziennikach dziadka.

Przeczytał je kilka razy. Historia zapisana na sfatygowanych stronach była niezwykła i rozpaliała jego wyobraźnię.

A także przerażała go.

Przerażała go do tego stopnia, że nikim się z nią nie podzielił. Nie miał zamiaru zwierzać się ojcu, który po zachodzie słońca rzadko bywał trzeźwy. Zastanawiał się długo i usilnie, czy opowiedzieć o wszystkim braciom, na przykład Pawłowi, trzeciemu z czwórki chłopców, z którym czuł szczególną więź. Zdecydował jednak, że nie. Choć historia dziadka go przerażała, jednocześnie był nią zafascynowany. A w świecie, w którym posiadało się bardzo niewiele – a czasem nic – dobrze było mieć coś wyjątkowego; coś, czego nikt inny nie miał i o czym nie wiedział. Coś, co mógł nazwać swoim własnym.

Im częściej czytał dziennik, tym usilniej pragnął zrozumieć, o czym pisał jego autor i jak to funkcjonowało. Ale dziadek Sokołowa był bardzo tajemniczy. O istocie swojego sekretu wspominał tak rzadko i enigmatycznie, że właściwie niewiele

wyjaśniał. Sokołow wiedział doskonale, skąd brała się ta dyskrecja. Jego dziadek Misza nie chciał, żeby świat usłyszał o jego odkryciu. Nie chciał, by ktokolwiek inny dokonał tego co on. Wspominał o tym kilkakrotnie: miał wyrzuty sumienia, był przerażony, pragnął pogrzebać swój sekret na zawsze. I prawie mu się udało. Sokołow trafił na dziennik właściwie przypadkiem, a ostrzeżenia dziadka tylko pobudziły jego ciekawość.

Sekret stał się jego obsesją. Zbiegło się to z tym, że w wieku czternastu lat Leo Sokołow miał właśnie skończyć obowiązkową siedmioletnią edukację na poziomie podstawowym. Podobnie jak w przypadku jego kolegów, wybór chłopca ograniczało państwo. Mógł zacząć pracować, iść do szkoły zawodowej przygotowującej do fizycznej pracy albo spróbować dostać się do technikum – wyspecjalizowanej szkoły średniej. Wbrew woli ojca wybrał tę ostatnią możliwość. Wiedział, że nie będzie łatwo, zważywszy na to, że mieszkał na odludziu, ale był zdeterminowany i walczył uparcie, aż w końcu udało mu się dostać do technikum w Tule, mieście oddalonym o dwadzieścia pięć kilometrów od wioski, w której się urodził.

W szkole rzucił się w wir nauki. Wykazywał się ogromną dociekliwością i głodem wiedzy, czym wywarł pozytywne wrażenie na nauczycielach. Przejawiał nieposkromiony apetyt na wiedzę z zakresu fizyki i biologii. A w scentralizowanym państwowym systemie szkolnictwa, nastawionym na zaspokajanie potrzeb gospodarki planowej, nic nie umykało uwadze partii. Inteligencja i głód wiedzy Sokołowa wkrótce przykuły uwagę regionalnego komitetu edukacyjnego. W Związku Radzieckim nauki inżynierskie miały uprzywilejowany status, a w systemie szkolnictwa zawodowego szczególny nacisk kładziono na takie dziedziny, jak technologie kosmiczne i wojskowe. Sokołowowi wkrótce zaproponowano miejsce na Uniwersytecie Leningradzkim.

W trakcie studiów ukradkiem starał się zebrać wszelkie dostępne informacje na temat Rasputina, zwłaszcza z okresu pobytu mnicha w Petersburgu, kiedy stał się bliskim powiernikiem cara i carycy. Ponieważ z tamtych czasów ocalało niewiele pisemnych źródeł, a te, które przetrwały, były mocno zaprawione propagandą i ideologią, Sokołow podróżował też po kraju, próbując dokopać się do prawdy.

Zaczął od Państwowego Archiwum Historycznego w Leningradzie, gdzie przeglądał dokumenty Nadzwyczajnej Komisji Śledczej do spraw Nielegalnych Działań Ministerstw i Funkcjonariuszy Carskiego Reżimu, powołanej w 1917 roku, po obaleniu cara. Interesowały go w szczególności ustalenia Sekcji Trzynastej, zajmującej się analizą działań „ciemnych mocy”, jak w policyjnym żargonie określano Rasputina, carycę oraz krąg ich bliskich współpracowników, którzy według powszechnego przekonania kontrolowali cara.

Śledczy komisji przesłuchali wszystkich członków ścisłego grona powierników cara, z których większość gniła w tym czasie w więzieniu. Sokołow czytał również meldunki oficerów, którzy odwiedzili Tobolsk, gdzie Rasputin spędził młodość,

i przesłuchali pamiętających go wieśniaków. Śledztwo zostało przeprowadzone bardzo starannie, ale Sokołow zdawał sobie sprawę, że raporty i protokoły nie są do końca wiarygodne; sporządzono je w ramach politycznego polowania na czarownicę, którego celem było zdyskredytowanie mnicha i usprawiedliwienie powstania przeciwko caratowi.

Mimo wszystko niektóre z meldunków okazały się przydatne. Sokołow odnalazł zeznania mnichów z zapomnianych syberyjskich klasztorów, do których Rasputin dotarł w trakcie swoich tajemniczych wędrówek i gdzie rozpoczęła się jego transformacja. Trafił na wzmianki o monasterze w Wierchoturii, gdzie mnicha spotkał jego dziadek, ale choć przeszukał źródła bardzo dokładnie w poszukiwaniu jakichkolwiek informacji na temat Miszy, niczego takiego nie znalazł.

Najwyraźniej Rasputin przyjaźń z nim utrzymywał w tajemnicy.

W archiwum komisji znajdował się również niepublikowany dziennik Rasputina, ale Sokołow wiedział, że nie powinien się nim zbyt podniecać. Słynny mistyk był przecież praktycznie niepiśmienny i należało założyć, że te „podyktowane” przez niego wspomnienia są fałszywką – sporządzoną przez dramaturga i autora powieści science fiction Aleksieja Tołstoja, którego zamiarem było dalsze dyskredytowanie carskiego reżimu i promowanie bolszewików.

Ślęczał nad raportami tajnych agentów, którym powierzono zadanie obserwowania Rasputina, ale sfrustrowany odkrył, że są bardzo niekompletne. Stwierdził, że znaczna część meldunków spłonęła w pożarze, który wybuchł w siedzibie carskiej bezpieki w czasie rewolucji lutowej, dwa miesiące po tym, jak Rasputin został zamordowany. Sporo akt zostało też zniszczonych przez funkcjonariuszy, którzy zbratali się z mnichem i po upadku cara rzucili się, by zatrzeć ślady po swojej z nim znajomości. I znowu, nigdzie nie wspomniano o jego dziadku. Sokołow wiedział dzięki dziennikowi, że Misza i Rasputin współpracowali ze sobą bardzo blisko, ale mnichowi udało się zmylić swoich aniołów stróżów pod tym względem – co najprawdopodobniej przodkowi Sokołowa ocaliło życie.

Nigdzie nie było ani słowa o Miszy.

Sokołow przeglądał również zeznania Badmajewa, tajemniczego *emcziego* – tybetańskiego uzdrowiciela – który pracował dla dworu. Był przyjacielem Rasputina, kolejnym szamanem krążącym w orbicie współpracowników carycy. Sokołow miał nadzieję, że znajdzie tam coś interesującego, ale znowu się rozczarował.

W końcu poddał się i skupił na tym, co wychodziło mu najlepiej: na nauce. Postanowił odtworzyć rezultaty badań dziadka, bazując na różnego rodzaju wskazówkach – pozostawionych być może przez nieuwagę, a być może przez próżność autora – którymi usiany był rozwlekły i szczegółowy tekst.

Miało mu to zająć wiele długich lat.

**DZIENNIK MISZY  
PETERSBURG  
WRZESIEŃ 1909**

Dokonał tego.

A raczej – dokonaliśmy tego. Razem.

Rasputin – albo ojciec Grigorij, jak nazywali go jego wyznawcy, choć przecież nie był kapłanem – jest teraz nieodłącznym przyjacielem carycy. Uzdrowicielem, przewodnikiem duchowym i doradcą, bez którego nie potrafi się obejść. W dodatku sam car, jej oddany i kochający małżonek, ceni obecność mojego mistrza podobnie jak ona.

W Sankt Petersburgu nie mówi się o niczym innym. Sprawa stała się sensacją dyskutowaną na salonach i w herbaciarniach. Prymitywny, prawie niepiśmienny syberyjski chłop, niepotrafiący porządnie sklecić zdania, bazgrzący jak kura pazurem, a w dodatku lubieżnik, jest regularnym gościem we wspaniałym cesarskim pałacu w Carskim Siole.

Nazywa teraz carycę i cara „mamą” i „papa” – matką i ojcem ziemi rosyjskiej. Oni z kolei mówią o nim serdecznie jako o „swoim przyjacielem”.

O mnie, rzecz jasna, nie wiedzą. Nikt nie wie. Tego życzy sobie mój mistrz, a ja ufam jego osądowi, zresztą nie tylko w tej sprawie. Pomimo prostoty zachowania jest naprawdę mądrym człowiekiem. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że jest najmądrzejszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek stąpał po tym łez padole. Wiem, że to śmiała teza, ale podpisuję się pod nią z pełnym przekonaniem.

Celem naszej podróży, która zaczęła się wiele lat temu w tamtym odległym monasterze, od samego początku była stolica. Sankt Petersburg. Musieliśmy przebyć długą drogę, na której czekało nas wiele niewygód, ale było to konieczne, abyśmy mogli stworzyć podstawy pod nasze przedsięwzięcie. Dlatego właśnie się tutaj znaleźliśmy.

Żeby ocalić imperium.

Zanim spotkałem Rasputina, nie byłem świadomy niepokojów, które wstrząsały naszą ukochaną Mateczką Rosją. Wiodłem zbyt zaściankowy żywot, byłem zbyt skoncentrowany na badaniach, by zauważyć zmiany dokonujące się poza moim laboratorium. To w czasie długich dysput, jakie toczyliśmy w klasztorze w Wierchoturii, mój mistrz otworzył mi oczy na to, czego był świadkiem w trakcie swych podróży, i opowiedział mi o tych potężnych niepokojach, które wymagają naszej uwagi.

Chłopi, uciskani i poniewierani, są dziś wyczerpani i cyniczni. W wyniku pogarszających się warunków bytowych stracili wiarę w carską rodzinę, która z kolei

wyduje się zamknięta w swym własnym świecie. Nasza nowa caryca, pochodząca z Niemiec Aleksandra Heska, jest dumna, surowa i dominująca. Młody car Mikołaj to z kolei człowiek drobnej postury, obdarzony słabą wolą i lękliwy, podporządkowany obdarzonej silną osobowością żonie. Nawet nie mieszkają w stolicy, preferując pałace w Carskim Siole, oddalonym o dwadzieścia pięć wiorst na południe od Petersburga. Aby się tam dostać, osoba, która dostąpiła zaszczytu i udzielono jej audiencji, musi odbyć męczącą podróż powozem lub automobilem. Wydają się oderwani od problemów, z którymi boryka się cały kraj, i obojętni na gniew, jaki odczuwa lud i prawie cały naród. Pamiętam swój szok i poczucie niesmaku z powodu tego, co się stało, gdy car wstąpił wreszcie na tron. Świeżo poślubiona cesarska para wydała wielką ucztę pod gołym niebem, która miała uświetnić koronację; intencją było wyciągnięcie pomocnej dłoni do biednych poprzez zaoferowanie im w ten wspaniały dzień darmowego posiłku. Nikt jednak nie przewidział, że pojawi się kilkaset tysięcy zgębionych dusz. W chaosie, który się rozpełtał, kilkaset biednych chłopów zostało zdeptanych na śmierć. Car i jego młoda żona nie uznali za stosowne odwołać wielkiego balu, który odbył się tego samego wieczoru. Wozy ciągle zwoziły martwych, gdy dwór wznosił toasty za zdrowie carskiej pary i tańczył do białego rana.

Jeszcze gorzej na kondycję naszego wielkiego narodu wpłynęło to, że lud stracił wiarę w Cerkiew. Częściowo było to zresztą winą jej samej. Roztaczając wokół siebie atmosferę przepychu i skupiając się na kwestiach doktrynalnych, straciła kontakt z ludem. Kontakt, którego znaczenie Grigorij rozumiał lepiej niż ktokolwiek inny.

„Mistycyzm i prorocтва to prawdziwa istota chrześcijaństwa. Mają one ogromne znaczenie dla ludu” – wyjaśnił mi w trakcie jednej z naszych długich dysput w monasterze. „Ale cerkiewni dostojnicy i kapłani o tym zapomnieli”.

Mistrz powiedział mi o dniach, które spędził w pogańskich świątyniach, ukrytych głęboko w syberyjskich kniejach. W tych „cerkwiach ludu”, jak je nazywał, nauczył się wiele od mądrych starców. To tam zgłębił sztukę uzdrawiania za pomocą eliksirów i modlitwy. To tam po raz pierwszy usłyszał też prorocтво o upadku dynastii Romanowów i nadejściu krwawej rewolucji.

„Trzeba zbawić monarchię” – mówił mi ojciec Grigorij. „Wysłannicy diabła są wszędzie, nawet w gabinetach ministrów, i knują spiski, by obalić cara i wiarę prawosławną. Musimy ich przechytrzyć, by wybawić lud od niego samego. Dlatego właśnie Bóg zesłał na ciebie natchnienie, żebyś zaprojektował i zbudował swoją maszynę. Będziemy jej potrzebowali, by pokonać potężne moce antychrysta, które przysięgły się przeciwko nam”.

Mój mistrz rozumie tego typu sprawy z niespotykaną przenikliwością, a ja z radością będę mu towarzyszył w tej świętej misji.

Naszą podróż rozpoczęliśmy od prowincji, z dala od stolicy. Musieliśmy się oprzeć na pracy, którą ojciec Grigorij wykonał już na własną rękę, i wzmocnić jego

reputację jako proroka i uzdrowiciela. Napisałem: wzmocnić, ponieważ nawet bez mojej pomocy człowiek ten był prorokiem i uzdrowicielem. To Bóg obdarzył go taką mocą.

Chodziliśmy od wioski do wioski, od monasteru do monasteru. Towarzyszyłem mu jako skromny, lojalny wyznawca. Szybko odkryłem, że ojciec Grigorij z zadziwiającą przenikliwością rozumie ludzi. Jest bystrym i nieomylnym sędzią charakterów. Przez te wszystkie lata, zanim się poznaliśmy, które spędził na wędrówce po rosyjskiej ziemi, na modlitwach i rozmowach z niezliczoną rzeszą ludzi, stał się prawdziwą krynicyą mądrości. Nawet bez pomocy mojego wynalazku niesamowity instynkt i hipnotyczne spojrzenie pozwalają mu odgadywać ukryte pragnienia i obawy tych, których spotyka na swej drodze. Jego uwadze nie umykają nawet najdrobniejsze niuanse.

Oczywiście dzięki mojemu urzędzeniu mógł poznać wszystkie ich sekrety. Sekrety, które wykorzystywał w zbożnym celu, zamieniając je w objawienia zadziwiające łatwowiernych i przesądnych widzów.

Przy kilku okazjach, musząc się zmierzyć z tępym oporem i cynizmem, ojciec Grigorij dochodził do wniosku, że potrzebna jest interwencja, która silniej zapadnie wątpiącym w pamięć. Pamiętam jeden z takich incydentów. Był środek zimy, znaleźliśmy się w wiosce nieopodal Kazania. Poprosiliśmy o posiłek i schronienie, ale grubiańsko nam odmówiono. Miejscowego popa, prostaka, którego imienia nawet nie znałem za warte zapamiętania, nie wzruszyła obietnica ojca Grigorija, że dostąpi duchowego oświecenia. Tylko dzięki uprzejmości opornego kowala mogliśmy przenocować w niewielkiej stodole, podczas gdy na zewnątrz padał śnieg. Następnego dnia tamtejsi wieśniacy nie byli ani odrobinę bardziej przystępni, i następnego również. Ojciec Grigorij rozgniewał się i zapalał chęcią odpłacenia im za nieprzychylnie przyjęcie.

„Posłuchaj, Misza” – powiedział do mnie tamtej nocy. „Jakaś zgubna mara trzyma tych chłopów w swym uścisku. Widziałem już coś takiego wcześniej i obawiam się, że moje słowa nie wystarczą, żeby ich przekonać. Jeżeli chcemy ich zbawić, musimy się uciec do podstępów”.

Wysłuchałem uważnie planu, który mi zarysował, po czym kiwnąłem potakująco głową.

Następnego nocy było naprawdę mroźnie. O wyznaczonej porze schowałem się w cieniu, a ojciec Grigorij zaczął biegać po wiosce w samej koszuli, drąc się niczym szaleniem.

„Żałujcie za grzechy!” – krzyczał. „Żałujcie za grzechy, zanim nadejdzie nieszczęście!”

Przez cały dzień ostrzegał wieśniaków przed katastrofą. Patrzyli zszokowani, jak przystaje na skraju wioski i upada nieprzytomny na ziemię.

Kiedy po kilku godzinach się obudził, zdążyło już spłonąć pół wioski.

Nie muszę dodawać, że chłopci ci zostali jego gorącymi wyznawcami. Nawet nie podejrzewali, że to ja stałem za pożarem.

Głosząc prorocтва, uzdrawiając i czyniąc pomniejszych cuda, przemierzaliśmy przez wiele miesięcy Rosję, a nasza sława rosła. Kilkakrotnie wracaliśmy do wioski Pokrowskie, do jego domu. Poznałem jego rodziców, żonę, dzieci. Rozgłos wokół niego sprawił im ogromną satysfakcję i zrobił na nich wrażenie. Usłyszałem wiele historii, jak to jako młodzieniec wpatrywał się w niebo i zadawał wnikliwe pytania na temat życia. Dowiedziałem się również, że jego talent objawił się bardzo wcześnie: że jako dziecko wskazał złodzieja, który ukradł sąsiadowi konia; że przewidział śmierć pewnego chłopca; że wyleczył konia, który okulał.

Pozostało jednak ciągle wielu wątpiących i podejrzliwych. I kiedy po raz trzeci odwiedziliśmy Pokrowskie, już na nas czekali.

Rada Teologiczna Tobolska wysłała do wioski biskupa, który jeszcze przed naszym przybyciem zdążył przepytać miejscowego popa. W tym czasie mój mistrz cieszył się z towarzystwa dwóch lub trzech wędrujących razem z nim kobiet, pielgrzymujących jak on w poszukiwaniu oświecenia. Jako skromny uczeń podążałem za nimi. Kiedy odwiedzaliśmy jego wioskę, ojciec Grigorij zazwyczaj spotykał się ze swymi uczennicami w prowizorycznej kaplicy w piwnicy, wydrążonej pod stajnią obok domu mojego mistrza. Czytali fragmenty Ewangelii, a potem on wyjaśniał wpatrzonym w niego akolitkom ukryte znaczenie słów Pana.

Ojciec Arkadiusz, opryskliwy mężczyzna wysłany jako inkwizytor, oraz towarzyszący mu równie ponury policjant oskarżyli mojego mistrza, że wstąpił w szeregi chłystów, heretyckiej sekty, oraz że szerzy ich fałszywe prawdy w swojej „arce”, jak najwyraźniej chłystowie nazywali własne gminy. Nie wiedziałem zbyt wiele o chłystach. Obiło mi się jedynie o uszy, że ich doktryna jest zakazana i że łączy w sobie elementy prawosławia z pogańskimi. Wyznawcy, najczęściej biedacy żyjący poza miastami, spotykali się w tajnych kaplicach, urządzanych często gdzieś głęboko w lesie, z dala od oczu ciekawskich. Przez lata wielu przywódców sekty stracono, a jej wyznawców – wygnano. Oskarżenie było więc bardzo niebezpieczne.

Ojciec Grigorij i ja szybko zorganizowaliśmy kontratak.

Schowałem się w stajni i w jednym z boksów zamontowałem moje urządzenie. O umówionej porze mistrz zaprosił biskupa i policjanta, by spotkali się z nim w kaplicy.

Jak tylko zeszli do piwnicy, zatkałem sobie uszy kulkami z wosku, połączyłem przewody i włączyłem urządzenie.

Słyszałem ich. Początkowo rozmawiali bardzo serdecznie. Potem ton ich głosów się zmienił. Gdy mój mistrz starał się wybadać demony, które opętały biskupa i policjanta, mówił coraz donośniej, a oni zaczęli się jąkać i zacinać ze zmieszania. Po każdej wymianie zdań głos ojca Grigorija narastał, aż wreszcie, pod koniec rozmowy,



jego słowa spadły na nich jak pioruny.

Wieśniacy oraz rodzina ojca Grigorija czekali niecierpliwie, aż cała trójka wyjdzie ze stajni. Inkwizytor wyglądał na wstrząśniętego i zdruzgotanego. Miejscowy pop, ten sam, który wezwał inkwizytora, natychmiast do niego podbiegł i poprosił o werdykt.

„Nie widzę tutaj herezji” – ogłosił biskup. „Ten człowiek prawidłowo rozumie Pismo. Baczcie na jego słowa”.

Policjant z kolei odwrócił się do swojego mistrza, pochylił głowę i powiedział: „Wybacz mi, ojcze, moje winy”.

Ojciec Grigorij podał mu dłoń. Policjant ją ucałował.

Byliśmy gotowi do podróży do stolicy.

W Petersburgu pojawiliśmy się w 1904 roku. Był to bardzo burzliwy okres. Imperium wplątało się w wojnę z Japonią, niepopularną wojnę, którą w następnym roku miało przegrać. Ludzie byli głodni i źli. Mówiło się ciągle o rewolucji, a kilka tygodni po naszym przybyciu, w styczniu 1905 roku, marsz protestujących robotników zamienił się w krwawą masakrę, ponieważ carskie wojska otworzyły do nich ogień. Przez parę następnych miesięcy co rusz wybuchały kolejne zbrojne bunty, aż w końcu car, by ułagodzić naród, ustąpił pod naciskiem i podpisał konstytucję ograniczającą jego władzę.

Ale w tej całej wrzawie rodzinę cesarską czekały nie tylko złe wieści. Kilka miesięcy przed naszym pojawieniem się w stolicy caryca, która wcześniej urodziła cztery dziewczynki, wreszcie wydała na świat długo oczekiwanego dziedzica.

Młody carewicz miał odegrać kluczową rolę w naszym przedsięwzięciu.

Kiedy dotarliśmy do Petersburga, poprzedzała nas już sława Rasputina jako proroka i wybitnie utalentowanego uzdrowiciela. Uzbrojony w list polecający od opata, którego oczarował w Kazaniu, mój mistrz wkrótce uzyskał audiencję u biskupa Sergiusza, rektora Petersburskiego Seminarium Teologicznego.

Udało mi się ustawić moje urządzenie pod oknem pokoju w kaplicy pod wezwaniem św. Aleksandra Newskiego, gdzie mistrz spotkał się z hierarchą. Dzięki temu żarliwe słowa ojca Grigorija zrobiły na biskupie wielkie wrażenie. Wkrótce przedstawił go innym księżętom Świętego Synodu i mój mistrz mógł już rozpocząć wędrówkę po korytarzach władzy. Biskup Teofan, grubiański, ziejący antysemityzmem mnich Iliodor, wreszcie Hermogen, biskup Saratowa, marzący o przywróceniu patriarchatu, któremu naturalnie miałyby przewodzić – wszyscy oni zostali jego przyjaciółmi. Rosyjscy arystokraci zaczęli szukać u niego duchowego przewodnictwa i prosić o uzdrowienie. W kręgach elity rozeszła się plotka o tym, jak to pewien prymitywny chłop przejawia przenikliwość graniczącą z jasnowidztwem oraz mądrość, która niesie pocieszenie zgnębionym.

Rzecz jasna, nikt nie wiedział, co pomaga mu w zaglądaniu w dusze ludzkie i wyciąganiu z człowieka najgłębiej skrywanych tajemnic.

Wkrótce wśród wielbicieli Rasputina znaleźli się również członkowie kręgów najbliższych carowi i carycy. Byliśmy na najlepszej drodze do pałacu i do spotkania z cesarską rodziną. I właśnie wtedy, dzięki jednej z powiernic imperatorowej, do mojego mistrza po raz pierwszy dotarły plotki na temat tego, co miało się okazać kluczowe w procesie wywierania wpływu na cesarskich małżonków.

Udało mu się dostać do luksusowego domu Łochtinów. Olga Łochtina, uderzająco piękna żona wysokiego urzędnika rządowego, prowadząca jeden z najmodniejszych salonów w Sankt Petersburgu, prawie że zakochała się w ojcu Grigoriju. Nadszła mu publicznie, wychwalała go przed przyjaciółmi z socjety, a w jej domu mógł wysłuchiwać wszystkich najważniejszych plotek z miasta.

„Carewicz jest chory” – oznajmił mi pewnego dnia w czasie jednego z naszych tajnych spotkań, z dala od jego świąty. „W każdej chwili może umrzeć. To ściśle strzeżona tajemnica. A także niesamowita okazja”.

Wiadomość wywołała u mnie głębokie zdumienie. Następca tronu – długo oczekiwany następca tronu – jedyny dziedzic korony, miałby być ciężko chory?

„Na co choruje?” – zapytałem.

„Chłopiec cierpi na hemofilię” – poinformował mnie ojciec Grigorij, który planowane manipulacje miał już wypisane na twarzy. „Ma zbyt delikatne żyły, żeby utrzymać w nich krew. Nawet najniewinniejszy upadek albo najłżejsza rana może sprawić, że wykrwawi się na śmierć”. Przerwał, zbierając myśli, po czym spojrzał na mnie, ściągnąwszy skupione rysy twarzy. „Caryca obwinia za to siebie. Zrobi wszystko, żeby go uratować”. W jego oczach pojawił się lodowaty błysk. „Wszystko”.

Mój duchowy mentor przekazał mi, czego dokładnie dowiedział się na temat imperatorowej od Olgi Łochtiny. Caryca była znana z religijności. Jak się okazało, należała też do gorących wyznawczyń mistycyzmu. Zanim urodziła syna, rozpaczliwie wyczekiwała boskiej interwencji, dzięki której mogłaby wydać na świat następcę tronu. W czasie gdy jej zagniewani i biedujący poddani odwracali się od religii, ona coraz bardziej rzucała się w jej objęcia, otaczając się ikonami i świętymi relikwiami oraz rozglądając się za cudotwórcami. Ku konsternacji i ucieście stołecznego towarzystwa oraz cesarskiego dworu, przedstawiano jej kolejnych „Bożych mężów”, starców obdarzonych przez Boga, jak wierzyła, szczególnym darem. Jeden po drugim zawodzili, ponieważ ciągle nie mogła urodzić syna. Mimo to wydając na świat kolejne córki – w sumie cztery – caryca nadal wierzyła żarliwie, że Bóg wysłucha jej modlitw i ześle jej świętego posłańca.

„Ostatnim z tych »cudotwórców« był francuski mag, monsieur Philippe, jak go nazywano” – mówił ojciec Grigorij. „Powiedział carycy, że potrafi rozmawiać z martwymi, i twierdził, że żyje w otchłani pomiędzy naszym światem a duchowym, a ona mu wierzyła. Zapewniał, że potrafi wyleczyć wszystkie choroby, nawet syfilis. No i oczywiście, przeniknąwszy do jej kręgów – Olga słyszała nawet, że dzielił łoże

z królewskimi małżonkami – przysięgał, że dzięki niemu zajdzie znowu w ciążę i urodzi syna”.

„Przecież zaszła” – zauważyłem.

„Nie” – zaprzeczył mój mistrz. „Faktycznie zaszła w ciążę pod wpływem monsieur Philippe’a, ale była to ciąża urojona, co tylko dowodzi jego zdolności przekonywania oraz jej łatwości. Na długo przed poczęciem carewicza został wygnany z powrotem do Francji. A wiesz, jakie były jego pożegnalne słowa? Powiedział carycy, że on sam wkrótce umrze, ale wróci do niej »w postaci innego«. Imperatorowa czeka więc teraz na kolejnego Bożego posłańca”.

„Przecież ma Teofana. O Iliodorze, Hermogenie i ojcu Joachimie nie wspominając” – zauważyłem, mając na myśli dostojników Cerkwi.

„To nie to samo” – rzekł ojciec Grigorij. „Są tylko nudnymi prawosławnymi popami. Caryca czeka na prawdziwego mistyka, co więcej, wierzy, że ten *stariiec* nie przyjdzie ze stolicy, ale powstanie z ludu w jakiejś dalekiej wiosce, że będzie to prawdziwy Rosjanin, który kocha Boga, Cerkiew oraz boską dynastię Romanowów”. Pokiwał uroczyście głową. „Ja będę tym posłańcem, Misza. Uratuję carewicza, a wraz z nim monarchię”.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić bardziej szlachetnego i pobożnego zastosowania dla mojego wynalazku.

Święty Symeon zaprawdę prowadził nas za rękę.

Niezachwiana wiara mojego mentora, jego wewnętrzny żar oraz promieniująca z niego siła pozwoliły mu stać się wybitnym uzdrowicielem, ale tym razem musieliśmy naprawdę dać z siebie wszystko. Chodziło o życie dziecka, i to nie byle jakiego. Chłopiec był następcą tronu. Porażka mogła położyć haniebny kres naszej krucjacie.

W październiku 1906 roku dzięki orędownictwu Olgi Łochtiny oraz innych dworzan ojciec Grigorij wreszcie dostąpił zaszczytu audiencji u cesarskiej pary. Tym razem nie mogłem mu towarzyszyć. Nie mogłem nawet ustawić się w pobliżu. Oczywiście przewidzieliśmy taką sytuację i od dawna pracowałem ciężko nad drugim urządzeniem, które mistrz mógłby zabrać ze sobą. Udało mi się skonstruować mniejszą wersję, mieszczącą się w nisko zawieszonym kieszeni, wszytej od środka w jego płaszcz. Przez oba rękawy tego ostatniego poprowadziłem druty, które dociągnąłem do dwóch przewodników ukrytych w jego mankietach. Urządzenie było zasilane baterią czterech niewielkich „suchych ogniw”, takich jak te, które kilkanaście lat wcześniej Gassner zaprezentował na Wystawie Światowej w Paryżu. Zobaczyłem je po raz pierwszy w laboratorium Akiby Horowitza, który oczywiście później jako Conrad Hubert zdobył sławę i fortunę w Ameryce dzięki swoim przenośnym latarkom. Aparacik, który miał ze sobą zabrać ojciec Grigorij, rzecz jasna był o wiele słabszy niż pierwsza wersja urządzenia, nastawiony tylko na jeden tryb i mógł skutecznie zadziałać jedynie na kogoś, kto znajdował się w bezpośredniej bliskości mojego mistrza.

Mieliśmy nadzieję, że to wystarczy. I z Bożą pomocą – wystarczyło.

Obserwowałem z niepokojem zza pobliskiego rogu, jak jeden z lokajów cara, szczupły mężczyzna w królewskiej liberii i płaskim kapeluszu ozdobionym długimi czerwonymi i żółtymi strusimi piórami, podjeżdża, żeby zabrać mojego mistrza z rezydencji Łochtyny. Ojciec Grigorij wyszedł ubrany w przygotowany przeze mnie płaszcz, trzymając w ręku prezent, który starannie wybraliśmy. Automobil z płóciennym dachem zniknął w chmurze dymu, a ja mogłem tylko czekać niecierpliwie, aż wróci i zrelacjonuje wizytę.

Pałac Aleksandryjski, opowiadał mi mój mistrz, był przewspaniały. Nigdy nie widział czegoś równie pięknego. Już same pokoje recepcyjne były ogromne, z podłogami wyłożonymi całymi akrami najszlachetniejszych marmurów, roświetlone oszłamiającymi żyrandolami. Komnaty zastawiono przepysznymi, połączanymi meblami, ściany obwieszono pięknymi obrazami, a sufity przystrojono wyrafinowanymi gzymsami. W jednej z owych sal czekali car z carycą.

Audiencja u pary cesarskiej trwała dłużej, niż przewidywano – ponad godzinę. Natychmiast wyczuł ich nerwowość. Zaczął od przekazania podarunku: ikony świętego Symeona, cudotwórcy z monasteru w Wierchoturii, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem mistrza. Zdumiał mnie, wyznawszy, że nie skorzystał wtedy z mojego aparaciku, jeszcze nie. Postanowił zaufać własnej przenikliwości, mocy przenikania w głąb ludzkiej duszy, którą doskonalił przez lata.

Cesarska para, jak opowiadał, była urzeczona jego słowami. Zwłaszcza caryca wydawała się niecierpliwie wyczekiwać cudu. Mówił im o grzechu dumy i przepowiadał wielką przyszłość dynastii.

„Szkoda, że nie widziałeś zachwyty w oczach carycy, kiedy powiedziałem jej, że powinni z mężem splunąć na wszystkie swoje obawy i po prostu rządzić, tak jak chce tego Bóg” – opowiadał.

I wtedy właśnie ojciec Grigorij zapytał, czy może zobaczyć dziecko. Nie opierali się.

Zaprowadzono go do dziecięcego skrzydła, gdzie zastał pielęgniarki zajmujące się dzieckiem, a potem zobaczył samego dziedzica tronu. Carewicz, który miał wtedy zaledwie dwa lata, był chory i zwijał się z bólu. Nie mógł zasnąć.

„Od jak dawna jest w tym stanie?” – spytał ojciec Grigorij.

„Od pięciu dni” – odparła caryca, a wyraz wystudiowanego majestatu na jej twarzy zastąpił ból.

„Co mówią lekarze?”

Pokręciła głową.

„Że nie są w stanie nic zrobić. Jest w rękach Boga”.

„Wasza Wysokość ma rację” – rzekł mój mistrz. „Jest teraz w rękach Boga. Ale nic mu nie będzie. O tym mogę zapewnić Waszą Wysokość”.

Nie pytając o zgodę, ojciec Grigorij podszedł do kołyski, nachylił się i zaczął odmawiać modlitwy. W pomieszczeniu zaległa cisza. Modlił się żarliwie, jak zawsze w tego typu sytuacjach, aż na jego twarzy pojawił się pot, a jego członki zaczęły dygotać. Po kilkunastu minutach sięgnął i położył dłonie na skroniach chłopca. Para cesarska patrzyła w zdumieniu, jak ich syn uspokaja się, a potem zasypia.

Następnego ranka madame Łochtina odebrała telefon z Carskiego Sioła. Następca tronu obudził się, nawet nie płacząc. Wydawał się zdrowy jak ryba.

Święty Symeon uśmiechał się do nas z zaświatów. Próbowałem zrozumieć, co się stało – czy to tylko uzdrawiająca moc mojego mistrza, czy też cudowi pomógł nieco mój wynalazek? Ostatecznie doszedłem do wniosku, że zadziałało i to, i to. Ojciec Grigorij bez wątpienia posiadał magiczne moce, ale w wypadku carewicza również uspokajający efekt dudnienia różnicowego zgodnie z zamierzeniem spowolnił chłopcu puls, umożliwiając krwi zakrzepnięcie. Ta nieoczekiwana kombinacja stała się odtąd cudownym lekarstwem dla cierpiącego księcia – aż do końca jego krótkiego żywota – oraz nadała mojemu mistrzowi status pozostającego pod opieką cesarskiej pary nietykalnego Bożego męża.

W ciągu następnych kilku miesięcy mój mistrz stał się bliskim przyjacielem i powiernikiem cesarskiej pary. Szczególnie serdeczne stosunki łączą go teraz z carycą, która zmaga się z wieloma lękami i cierpi na chroniczną migrenę. Pocieszające słowa ojca Grigorija na temat świetlanej przyszłości, jaka czeka ją w tym życiu i następnym, uśmierzają jej bóle. W momentach kryzysu nakłania ją do zwierzania mu się z najbardziej skrywanych pragnień i obaw, dzięki czemu wie o niej wszystko. Kiedy z kolei carycy wraca świadomość, powtarza jej usłyszane wcześniej sekrety, prezentując je jako własne proroctwa. Następnie tak manipuluje wydarzeniami, żeby te przepowiednie się spełniały.

Wzywają go za każdym razem, kiedy książę jest chory, a mojemu mistrzowi zawsze udaje się przywrócić mu zdrowie. Są święcie przekonani, że ich syn tylko dzięki niemu utrzymuje się przy życiu, co zresztą niewiele odbiega od prawdy. Udało mu się nawet przekonać cesarską parę, że ich własny los, los ich dynastii, również zależy od niego oraz od jego modlitw.

Nie mogą sobie wyobrazić życia bez niego.

Oczywiście mamy wielu krytyków. Złe języki ciągle powtarzają na salonach obrzydliwe plotki na temat tego prymitywnego chłopca oraz jego podejrzanego wpływu na cesarską parę. Bierze się to, rzecz jasna, głównie z zazdrości o jego zwiększające się wpływy. Ale chodzi też o kobiety.

Kobiety zaczynają stanowić problem. Martwię się, że spowodują nasz upadek i nie pozwolą dokończyć świętej misji, w której mam zaszczyt uczestniczyć.

Nigdy nie zapomnę momentu, kiedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z powagi sytuacji. Zdarzyło się to pewnego późnego poranka, kiedy przyszedłem do mojego

mistrza na herbatę do mieszkania Łochtinów. W pokoju był parawan, za którym stało jego łóżko. Kiedy wszedłem, usłyszałem jakieś głośne plaśnięcia oraz jęki, a potem sam głos ojca Grigorija, krzyzącego:

„Kim jestem? Powiedz mi, kim jestem!”

„Jesteś Bogiem!” – odparła pokornie jakaś kobieta. „Jesteś Chrystusem, a ja jestem twoją owieczką!”

Okrzyżłem parawan i moim oczom ukazała się porażająca scena. Madame Łochtina, ubrana w luźną, białą sukienkę ekstrawagancko przyozdobioną wstążkami, klęczała przed moim nagim mistrzem. Uczepiła się jego wyprężonej męskości, a on okładał ją niemiłosiernie.

„Co robisz?” – krzyknąłem, biegnąc na pomoc. „Bijesz kobietę!”

Odepchnął mnie na bok, nie przestając jej bić.

„Nie wtrącaj się! Ta dziwka nie chce mnie zostawić w spokoju! Chce grzechu! Trzeba ją oczyścić!”

Wszedłem głęboko zszokowany.

Spotyka się z wieloma kobietami. Księżne i żony najważniejszych oficjeli otwarcie mu nadskakują i całują go w rękę. Bezustannie mu towarzyszą, czy to w mieszkaniu, które zajmuje teraz w Sankt Petersburgu, czy w czasie podróży do Wierchoturia lub do Pokrowskiego, gdzie zbudował niedawno nowy dom. Towarzyszą mu nawet do bani. A to jeszcze nie wszystko. Oprócz spędzania czasu z wielkimi damami wynajmuje też prostytutki. Zabiera je do hoteli albo do łaźni. Z tego, co wiem, zdarzało się nawet, że kupował ich kilka w ciągu jednego dnia.

Wielu wygłasza oskarżenia otwarcie, kwestionuje jego moralność, twierdzi, że jest łajdakiem i „wilkiem w owczej skórze”, a nawet uważa za opętanego.

Kiedy zapytałem go o to, wzruszył tylko ramionami.

„Nie wierz temu, co mówią ludzie, Misza” – powiedział. „Oni niczego nie rozumieją”.

„Ja też nie” – wyznałem, bojąc się tego, co za chwilę usłyszę.

Spojrzał na mnie swoimi głęboko osadzonymi oczami.

„Grzech jest częścią życia” – wyjaśnił po chwili. „Nie możemy go ignorować. Bóg stworzył go w jakimś celu”.

„Myślałem, że grzech to dzieło szatana” – zauważyłem nieco zbity z tropu.

„Grzech to zło konieczne, Misza. Nie ma prawdziwego życia, nie ma radości bez głębokiej skruchy, a jak moglibyśmy odczuwać szczerą skruchę bez grzechu? Rozumiesz? Bez grzechu nie możemy zbliżyć się do Boga i to Duch Święty powierzył mi ten obowiązek. Pomagam owym kobietom pozbyć się demona lubieżności i dumy, który zamieszkuje w ich duszach”.

Wtedy wreszcie zrozumiałem. Ojciec Grigorij grzech wypiera grzechem. Prymitywny chłop bierze na siebie grzechy tych nieszczęśnych kobiet,

wspaniałomyślnie trzyma się i upadła, by dać im oczyszczenie i zbawienie. Kobiety te wiedzą, że muszą zważać na ostrzeżenia swojego mistrza i nic nie mówić swoim spowiednikom, których on uważa za prostaczków. Ostrzega je, że to by ich tylko skołowało, a co gorsza naraziłoby na śmiertelny grzech, jakim byłoby potępienie działania Ducha Świętego.

„Każdy z nas musi nieść swój własny krzyż” – mawiał – „a to właśnie jest mój. Nie zwracaj więc uwagi na te podłe języki. Nieczyści zawsze będą potępiać cnotliwych. Odpowiedzą za to przed Bogiem. On jeden wszystko widzi. On jeden rozumie”.

Mój mistrz faktycznie jak nikt inny pojmuje ścieżki, jakimi kroczy Pan.

Jest Bożym wysłannikiem. Imperium i para cesarska mają szczęście, że ten „błogosławiony mąż” jest ich protektorem.

„Owszem, monarchia nas potrzebuje” – pomyślał Rasputin, wychodząc od Miszy. „Trzeba ocalić cesarskich małżonków, jeżeli mają pozostać moimi protektorami oraz przepustką do władzy i bogactwa”.

Wrócił myślami do czasów, które go ukształtowały, kiedy w Pokrowskiem był tylko przedwcześnie rozwiniętym, niecierpliwym młodzieńcem. Dyszał z zazdrości i oburzenia za każdym razem, gdy bogaci arystokraci śmigali gdzieś obok w swoich okazałych powozach w drodze do dalekiego monasteru, gdzie w ramach frywolnej zachcianki zachciało im się oczyścić duszę. Słyszał o luksusie panującym w wielkich miastach; o samochodach, hucznych przyjęciach i bogatym życiu dworu. Gniew ten jątrzył się w nim, kiedy opuścił rodzinną wioskę, w czasie jego wędrówek, i nie osłabł ani na jotę do dnia, gdy dotarły do niego plotki o problemach carycy oraz o jej przesądności. Była bardziej religijna i naiwna niż wszyscy inni razem wzięci, bardziej nawet niż nieszczęsne, zgnębione dusze ciągnące do grobu świętego Symeona i nacierające się tamtejszą brudną ziemią w nadziei, że wyleczy ich z różnorodnych dolegliwości.

Taka naiwność aż prosiła się, żeby ją wykorzystać. A dzięki wiedzy nabytej po dziesiątkach tysięcy rozmów z ludźmi napotkanymi w trakcie licznych wędrówek był mistrzem manipulacji.

Jedno z doświadczeń naznaczyło go na całe życie – pobyt u chłystów w niedostępnej syberyjskiej dżungli. Nigdy nie zapomni tamtego pierwszego obrządku, w którym uczestniczyli członkowie sekty zmartwychwstałych „Chrystusów”, uważający, że skrucha jest bezcelowa, jeśli nie dotyczy wielkiego grzechu, zwykle przybierającego postać cudzołóstwa. Pieśni, tańce, szaleńcze wirowanie, a wszystko zmierzające do rytuału „radowania się” – dzikiej orgii, w czasie której, jak twierdzili, zstępuje na nich Duch Święty. Niewyobrażalne.

Co za pomysł, podziwiał ich w duchu. Radowanie się poprzez grupowe grzeszenie. Abstynencja poprzez orgie. Oczyszczenie duszy poprzez swobodną kopulację. Nieokiełznana rozpusta, która zgodnie z ich przekonaniem, pozwala

*każdemu mężczyźnie zamienić się w Chrystusa, a kobiecie w Matkę Boską.*

*Było to tak pokręcone i genialne, że nic dziwnego, iż Cerkiew prawosławna postanowiła to zdusić w zarodku. Ale ruch przetrwał w najmroczniejszych zakątkach imperium, w „arkach”, pomiędzy którymi łączność zapewniali tajni posłańcy – „latający aniołowie” albo serafini przemierzający rosyjską ziemię.*

*Na jakiś czas Rasputin stał się takim serafinem. A dzięki pomocy Miszy miał zamiar przeszczepić obrządki tajnej sekty z głębokich lasów Syberii, a właściwie własną wariację na ich temat, do Sankt Petersburga, pomiędzy najlepsze towarzystwo, zarazić nimi wytworne, niczego niepodejrzewające tamtejsze kobiety.*

*Żaden niepiśmienny chłop w Pokrowskiem nie mógł nawet zamarzyć o takim życiu.*



Sokołow odblokował i otworzył tylne drzwi furgonetki.

W środku była prawie pusta, leżało w niej tylko duże metalowe pudło rozmiarów małej lodówki, przyśrubowane do podłogi wozu tuż za ścianką oddzielającą przestrzeń ładunkową od kabiny. Jego zamknięcie wzmacniał pręt z dużą kłódką. Sprawdził ją. Zdaje się, że nikt przy niej nie majstrował, podobnie jak przy reszcie sprzętu.

Zatrzasnął drzwi, otworzył klapę silnika i podłączył akumulator. Następnie wspiął się do środka i przekręcił kluczyk. Motor zaskoczył – pracował o wiele lepiej, niż wyglądał. Sokołow zawsze starannie konserwował swój sprzęt. Kilka razy nacisnął delikatnie pedał gazu, rozgrzewając silnik, a potem wysiadł, otworzył żaluzjowe drzwi, wyjechał samochodem z magazynu i zamknął go z powrotem.

Po kilku minutach jechał już w stronę mostu Triboro. Jego myśli krążyły wokół rozmowy telefonicznej, która wkrótce go czekała. Kości zostały rzucone, ale nadal nie był pewien, czy wie, co robi.

Tuż przed ósmą zaparkował furgonetkę w alejce za Zielonym Smokiem. Dzięki zamocowanemu na dachu panelowi agregatu chłodniczego wyglądała jak zwykły samochód dostawczy, których całkiem sporo stało na tyłach ciągnących się przy ulicy restauracji.

Jonny obrzucił furgonetkę ironicznym spojrzeniem, zapalił papierosa i zapytał:

– Co to za wóz rzeźniczy?

Sokołow wzruszył ramionami.

– Był tani. Musimy jechać.

Chłopak wskoczył do środka i zajął zewnętrzne siedzenie dwumiejscowego fotela obok kierowcy.

Sokołow, spojrzawszy niechętnie na papierosa w jego ręku, ruszył przed siebie i po chwili skręcił w Trzydziestą Drugą Ulicę.

Jonny rozejrzał się po kabinie. Ścianka oddzielająca ją od przestrzeni ładunkowej miała wbudowane drzwiczki, które przypominały Koreańczykowi drzwi do kibla w samolotach. Wycięto w nich również niewielkie okno, jakieś dwadzieścia pięć na dwadzieścia pięć centymetrów. Poza tym w środku było jak w każdej innej szoferce starej furgonetki, tyle że na desce rozdzielczej widniał niezbyt duży panel z kilkoma przełącznikami, trochę niepasujący do reszty wyposażenia.

Jonny rozsiadł się, wyciągnął pistolet i zaczął sprawdzać, czy dobrze działa.

– Mam nadzieję, że nikt mnie w tym coś nie zobaczy. Ucierpiałaby na tym moja reputacja. I to bardzo.

Mówiąc to, uśmiechnął się, ale wyraźnie nie żartował.

– Mnie chodzi tylko o to, żeby nic się nie stało mojej łapuszce – powiedział Sokołow, zerknąwszy na broń. – Pamiętaj: trzeba zrobić wszystko, żeby wyciągnąć ją

z tego cało. Rozumiesz? Tylko ona się liczy.

– Nic jej nie będzie – uspokoił go Jonny. Po chwili dodał: – *Łapuszka*. Zawsze ją pan tak nazywa. Co to znaczy?

– Coś w rodzaju... „Kochanie”. To takie nasze powiedzonko.

Chłopak pokiwał głową.

– Cool, podoba mi się. Fajnie brzmi.

Sokołow przez chwilę nic nie mówił.

– Wiesz, że nie mam pieniędzy – odezwał się po chwili. – Zapłaciłbym im, gdybym miał. Jedno wiem na pewno: nie oddadzą jej za darmo. I mogą chcieć mnie.

Jonny wzruszył ramionami.

– Pan się nie martwi, jakoś to załatwimy.

– Ale gdyby do tego doszło, nie mam nic przeciwko.

– Nic panu nie będzie, panie Soko. Dobrze znam doki. Często załatwiamy tam interesy. Znajdziemy się na otwartej przestrzeni, więc będziemy mogli kontrolować sytuację. Milutko tam i cichutko, z dala od oczu ciekawskich.

– Na moją głowę, to dogodniejsze dla nich niż dla nas.

Sokołow przez chwilę wpatrywał się przed siebie, wyraźnie zagubiony w myślach. W końcu zmrużył oczy, a zmarszczki na jego twarzy jeszcze się pogłębiły.

– Mam tylko nadzieję, że te *ubliudki* jej nie skrzywdziły – powiedział, a właściwie burknął pod nosem. – Bo jeżeli tak, to będziesz mnie musiał powstrzymać.

Jonny roześmiał się.

– No, teraz to rozumiem, panie psorze. Ale niech pan się nie martwi, do niczego takiego nie dojdzie. Zobaczysz pan. Jonny wszystkim się zajmie.

– Mam nadzieję. – Sokołow znowu przez chwilę milczał, a potem odwrócił się i spojrzał na dawnego ucznia. – Dziękuję. Za to, co dla mnie robisz. Nie miałem się do kogo zwrócić.

Jonny początkowo nie odpowiedział. Siedział tylko i popalał papierosa. W końcu wyrzucił niedopałek za okno i popatrzył na Sokołowa.

– I dobrze pan zrobił, przychodząc do mnie. Jak już panu mówiłem, zna się pan na ludziach. – Przerwał, zmierzył Rosjanina wzrokiem i w końcu postanowił mówić dalej.

– Chciałem iść na studia. Tak jak pan mówił. Naprawdę chciałem. Ale potem pewnego dnia Kim-Dzi ukradł miejscowym Jamajczykom trzy kilo heroiny, a oni wydali na niego wyrok. Dwa razy prawie że go zabili. I Kim-Dzi nie mógł nic zrobić. Nie mógł zadzwonić po gliny. Czuł się też zbyt upokorzony, żeby powiedzieć swojemu szefowi. Po prostu czekał, aż go zdejmą. A to przecież mój starszy brat, nie? Patrzyłem, jak czeka na śmierć. Nie mogłem tak siedzieć z założonymi rękami i nic nie robić. Co to, to nie. Chodziło o Kima-Dzi. Więc się tym zająłem. Załatwiłem ich pierwszy. Ale od tego momentu nie mogłem już się wycofać. Byłem w branży. Na dobre.

Sokołow powoli pokiwał głową.

Koreańczyk wbił wzrok w ciemność.

– Tylko niech mi pan nie mówi, że nigdy nie jest za późno na zmianę, dobra? Jest za późno, a ja mam już dosyć takiego pieprzenia.

– Nie powiem – obiecał Sokołow. – Zwłaszcza dzisiaj.

Jonny wzruszył ramionami i zachichotał cicho.

– W sumie racja, dzisiaj by nie wypadało.

Wokół było przerażająco ciemno i cicho. Zaparkowaliśmy z Aparo tuż za wozem SWAT-u, stojącym jakieś pięćset metrów od wjazdu na teren opuszczonej stoczni. Kubert i Kanigher zatrzymali się za nami.

Zerknąłem na zegarek. Za piętnaście dziewiąta.

Kwadrans do gwizdka.

Wysiedliśmy i podeszliśmy do dowódcy drużyny SWAT-u. Dołączyli do nas Kubert i Kanigher. Byliśmy w Red Hook w południowym Brooklynie, niemal naprzeciw Wyspy Gubernatora. Lokalizację i koordynaty GPS przesłano Młotowi SMS-em, który przechwyciliśmy. Nie dali nam zbyt wiele czasu, ale wyglądało na to, że jesteśmy gotowi.

Miejsce było ponure i odludne: gnijące doki, stare ceglane magazyny o przerdzewiałych dachach, chwiejące się druciane ogrodzenie, porzucone osiemnastokółowce, walające się kontenery. Aż się dziwiłem, że po ziemi nie toczą się biegacze pustynne. Przypominało to jakieś postapokaliptyczne pustkowie.

Dowódca drużyny SWAT-u był nowy. Pracowałem już z większością z nich, ale tego akurat nie znałem. Nie najlepiej, ale w sumie zawsze musi być ten pierwszy raz. Mignąłem mu legitymacją i przedstawiliśmy się sobie nawzajem. Nazywał się Infantino. Uścisnęliśmy sobie ręce i przeszliśmy do omawiania sytuacji w terenie oraz szczegółów operacji.

Wskazał na ekran laptopa. Obraz był ziarnisty, zielonkawy – pochodził z kamery noktowizyjnej, która nadawała na żywo z miejsca akcji, gdzie umieściło ją dwóch gości z rekonesansu. Zobaczyliśmy na nim wielką półterenówkę, obok której stało po obu stronach dwóch facetów. Byli uzbrojeni.

– Mamy do czynienia z czterema gośćmi – wyjaśnił Infantino. – Dwóch stoi, czekając na to, co się stanie. Mają MAK-i.

Nie była to dobra wiadomość. Pistolety maszynowe w rodzaju MAC-10 albo MAC-11 wypływają w ciągu sekundy do dwudziestu naboju. Nie są najlepsze w bezpośrednim starciu, ale jeśli posługuje się nimi ktoś, kto potrafi panować nad emocjami, mogą być bardzo niebezpieczne.

– Dwóch siedzi w wozie – kontynuował. – Słuchają nagrania *Bigger and Blacker* Chrisa Rocka. Tak głośno, jakby byli głusi.

Nie wiedziałem, co gorsze – to, że gangsterzy słuchają telewizyjnego komika, czy że dowódca drużyny SWAT-u potrafi odróżnić jeden jego program od drugiego.

– Super. Pozostaje mieć nadzieję, że nie tylko gust mają do dupy.

– Oni wszyscy uwielbiają to gówno – rzekł Infantino. – To i Wu-Tang. Uczą się na tym angielskiego.

– I brawury – dodał Aparo. – Szkoda, że nie słuchają Justina Biebera.

Funkcjonariusze SWAT-u i agenci spojrzeli na niego z takim niesmakiem, że postanowiłem szybko przejść do szczegółów dotyczących ukształtowania terenu. Był płaski i otwarty, ograniczony z jednej strony wodą i starymi frachtowcami, a po drugiej stosami kontenerów. Kiedy już mieliśmy to z głowy, postukałem palcami w zdjęcie Sokołowów, które przekazaliśmy Infantino, i przypomniałem:

– Jeżeli pojawi się Sokołow albo jego żona, to ich bezpieczeństwo jest absolutnym priorytetem. Mają z tego wyjść cali i zdrowi.

Infantino wyregulował zamontowany na kasku zestaw noktowizyjny.

– Nie martw się. Ale wiesz, jak to czasem bywa, zwłaszcza z tymi ruskimi żulikami. Strzelają, to i my strzelamy.

Stuknąłem ponownie palcem w zdjęcie.

– Dla nas liczą się tylko staruszkowie. Mam gdzieś mafiosów i innych bandytów. Za to tych dwoje chcę mieć żywych.

– Jasne – odparł Infantino.

Jeden z jego ludzi podał nam zestawy radiowe. Wsunęliśmy sobie słuchawki do uszu i potwierdziliśmy ustawienia z technikami siedzącymi w furgonetce SWAT-u. W końcu nasza czwórka rozeszła się, żeby zająć miejsca. Kubert i Kanigher poszli na prawo, a my na lewo.

Wyznaczyliśmy sobie pozycję obok biurowca przy otwartej bramie. Nie było tam ani ochrony, ani gliniarzy czy wynajętych strażników. Nie jeździły samochody. Wydawało się, że znaleźliśmy się w wymarłym miasteczku. Nietrudno się było domyślić, dlaczego wybrali to miejsce.

Spojrzałem w stronę stoczni i zobaczyłem półterenówkę oraz dwóch uzbrojonych *bratków*. Słyszałem nawet stłumione śmiechy dobiegające z wnętrza samochodu. Najwyraźniej chłopaki nieszczególnie przejmowały się tym, co miało się wydarzyć. Co uznałem za dobry omen.

Przykucnęliśmy obaj i czekaliśmy, aż zjawi się reszta imprezowiczów.

Sokołow zwolnił, mijając ogromne zbiorniki na ropę i pusty parking. Nagle zobaczył, że zza stosu kontenerów po drugiej stronie stoczni wyłania się ciemny cadillac escalade. Półterenówka podjechała kawałek i stanęła w miejscu.

Wcisnął hamulec i również się zatrzymał. Od placyku, na który wtoczył się escalade, dzieliło go jakieś sto metrów.

Cadillac błysnął trzykrotnie światłami.

Sokołow, tak jak to ustalili wcześniej, odpowiedział takim samym sygnałem. Nie gasząc motoru, odwrócił się do Jonny'ego.

– Posłuchaj mnie. Nie gaś silnika. I weź to. Będziesz ich potrzebował.

Sięgnął pod siedzenie i wyjął dwie pary przemysłowych ochraniaczy na uszy, takich samych jak te, które noszą robotnicy obsługujący młoty pneumatyczne, tyle że wzmocnione kilkoma dodatkowymi warstwami siatki i innego materiału.

Jonny spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Chyba pan żartuje.

– Jak tylko Dafne będzie bezpieczna – poinstruował go Rosjanin – nałóż je i każ jej zrobić to samo. – Następnie wskazał na jedną z metalowych dźwigiemek na niewielkim panelu przykręconym do deski rozdzielczej – A potem przestaw ten przełącznik.

Koreańczyk zrobił jeszcze głupszą minę.

– Po co? Co to jest?

Sokołow zawahał się.

– Ma odciągnąć uwagę – wyjaśnił.

– Że niby jak syrena?

Rosjanin pokręcił głową.

– Niezupełnie. Ale ma potężne działanie i da nam przewagę. Posłuchaj, zaufaj mi. Po prostu przestaw przełącznik, ale najpierw upewnij się, że macie na uszach ochraniacze. I ty, i Dafne. Nie zapomnij.

Przyjrzał się Koreańczykowi, szukając na jego twarzy potwierdzenia, że dzieciak zrobi to, co mu kazano. Jonny przez chwilę przyglądał się z pogardą ochraniaczom, w końcu jednak wzruszył obojętnie ramionami i pokiwał głową. Sokołow również kiwnął głową, po czym wyciągnął z kieszeni kilka niewielkich zatyczek do uszu. Przyglądał się im przez krótką chwilę, a następnie jedną z nich wsunął sobie do lewego ucha, a drugą schował z powrotem do kieszeni. Jonny spojrzał na niego pytająco, ale Rosjanin zignorował go i zerknął na zegarek.

Była punktualnie dziewiąta.

Zanim Jonny zdążył jeszcze o coś zapytać, Sokołow wysiadł z furgonetki. Stał na skraju placyku, wpatrując się w ciemną półterenówkę w dali, drapieźną i błyszczącą – niczym rekin, który wbrew prawom natury czeka w bezruchu na ofiarę.

Poczuł, że ze zdenerwowania skręcają mu się jelita i jeżą włoski na skórze.

Po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach kierowca cadillaca w końcu powoli otworzył drzwi i wysiadł. Na głowie miał bejsbolówkę i ciemne okulary. Twarz porastał mu co najmniej tygodniowy zarost. Kołnierz kurtki postawił tak wysoko, że przesłaniał mu połowę głowy. Nie dało się zobaczyć jego oblicza, zwłaszcza że po kilku krokach stanął tuż przed samochodem i zalało go oślepiające światło reflektorów.

Jonny również otworzył drzwi i zręcznie wyskoczył z furgonetki, jednym gładkim ruchem wsuwając pistolet za pasek spodni. Stanął tuż przy samochodzie.

Z tylnego siedzenia escalade'a wysiadło dwóch potężnych drabów. Stanęli po bokach wozu. Ten od strony pasażera nagle kogoś z niego wyciągnął. Była to kobieta. Na głowę narzucono jej czarny kaptur. Osłonek złapał ją za ramię i zaprowadził do brodacza.

Mężczyzna zdjął jej kaptur.

Sokołow osłonił dłonią oczy i przyjrzał się kobiecie.

Była to Dafne. Bez cienia wątpliwości.

Puls przyspieszył mu niebezpiecznie.

– Łapuszka – szepnął.

Zobaczył, że jego żona ma związane z przodu ręce.

Pomimo odległości Dafne udało się pochwycić spojrzenie Leo. Nagle jakby zatrzymał się czas. Pomiędzy mężem a żoną przeskoczyło coś tak intensywnego, że nawet brodaty Rosjanin chyba to odczuł, choć pewnie doświadczał tego jak gość z innej planety – takiej, na której emocje oficjalnie są zakazane, a ci, którzy je odczuwają, umierają, zanim zdążą osiągnąć wiek dojrzały.

Sokołow przełknął; chciał zwilżyć usta. Wargi miał tak suche, że bał się, iż nie będzie w stanie mówić. Ale spróbował.

– Niech idzie w moim kierunku! – zawołał do Rosjanina.

Mężczyzna w bejsbolówce stał bez ruchu.

– Ona idzie w moim kierunku, a ja w twoim! – krzyknął Sokołow.

Brodacz skinął głową i machnął ręką w geście pełnym pogardy.

Sokołow odwrócił się do Jonny'ego.

– Pamiętaj, co ci mówiłem – powiedział. – Moja łapuszka. Tylko ona się liczy.

Koreańczyk pokiwał głową.

Rosjanin pochwycił jego spojrzenie, po czym odwrócił się i pewnym krokiem ruszył w stronę cadillaca. Zatrzymał się po jakichś dziesięciu metrach.

Brodacz stał przez moment, po czym pchnął Dafne do przodu. Zaczęła iść w stronę męża – najpierw powoli, a potem przyspieszyła kroku.

Gdy to zrobiła, Sokołowowi z radości podskoczyło serce – a potem zamarło, bo zobaczył, że mężczyzna wyciąga pistolet.

Brodacz wysunął ramię i mierzył prosto w plecy Dafne.

Niemal słyszałem, jak zegar w mojej głowie odlicza kolejne sekundy, ale na froncie nadal nic się nie zmieniało.

Czekaliśmy w pełnej gotowości. Obstawiliśmy teren wokół stoczni. Było tak jasno, że noktowizory okazały się niepotrzebne, pewnie ku srogiemu rozczarowaniu dowódcy drużyny SWAT-u. Widzieliśmy doskonale Rosjan. Ale coś było nie tak. Czułem to.

Ciągle stali tam sami, czekając.

Minęła dziewiąta, mijały kolejne minuty.

I nadal brakowało paru imprezowiczów.

Dwóm Rosjanom, którzy stali na czatach, też się to chyba nie podobało, bo wyraźnie zaczęli się denerwować. Spoglądali to na zegarki, to na siebie nawzajem. Na placu było cicho jak makiem zasiał. Goście w półterenówce wyłączyli już nagranie programu komediowego.

I nikt się nie pojawiał.

Spojrzałem na Aparo i pochwyciłem jego wzrok. Wzruszył ramionami w geście: „Co jest, do kurki nędzy...?”

Coraz mocniej czułem, że coś pominęliśmy.

Odkąd dotarliśmy na miejsce, nie wydarzyło się nic godnego odnotowania i rezydujący w mojej głowie mały irytujący panikarz coraz głośniejszym powtarzał, że gdzieś popełniliśmy błąd. Prześledziłem w myślach, co doprowadziło nas do tego miejsca. Dwóch martwych *bratków* w hotelu. Napis wydrapany przez Dafne. Spotkanie z Młotem. Podśluch. Rozmowa z prośbą o wsparcie – a raczej polecenie służbowe.

Jeżeli ten, kto za tym wszystkim stoi, jest sprytny – a zaczynało wyglądać, że jest – to mógł założyć, że zidentyfikujemy martwych *bratków* i dzięki nim dotrzemy do bossa gangu. Co oznaczało, że skoncentrujemy wzrok i słuch na Młocie. Co z kolei oznaczało, że mógł nas nakarmić dowolną podpuchą, jaka przyszła mu do głowy. I wysłać nas w kosmos.

Przynęta z zamianą.

Daliśmy się wkłęcić.

Sokołow zamarł na widok pistoletu w ręku brodacza, w dodatku wycelowanego w plecy Dafne.

Ale mężczyzna nie strzelił.

Zawołał za to po rosyjsku:

– Tylko bez żadnych numerów! Idź prosto przed siebie!

Sokołow zdołał jakoś zmusić nogi do współpracy. Choć paraliżował go strach, ruszył dalej, stopniowo przyspieszając kroku.

Spotkali się z Dafne w pół drogi i oboje stanęli w miejscu. Wyciągnął ręce i przytulił ją mocno, a ona na krótką chwilę schowała głowę w jego ramieniu. Pogłaskał ją, zanurzając nos w jej włosach, znajdując pocieszenie w znajomym zapachu i ciepłe. Po chwili oderwała się od niego i spojrzała mu w oczy wzrokiem tak udęczonym, tak pełnym bólu i nieznośnych pytań, że Sokołow poczuł, jak krew odpływa mu z głowy.

– Leo...? – wyszeptała.

Wziął jej twarz w obie dłonie.

– Wszystko będzie dobrze, *łapuszka*. Idź tylko przed siebie i rób, co ci powie Jonny.

Zobaczył, jak ukradkiem spogląda na drugą stronę placu, gdzie przy furgonetce stał Koreańczyk, i dezorientacja wypisana na jej twarzy jeszcze się pogłębiła.

– Jonny – przypomniał jej. – Pamiętasz? Ten ze szkoły.

Przez chwilę patrzyła na niego niepewnie, w końcu jednak skinęła z wahaniem głową.

– Tak, ale...

Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

– Idź już. Proszę.

W oczach wezbrały jej łzy, ale skinęła ponownie głową, cofnęła się o parę kroków, a potem odwróciła się i poszła w stronę Jonny'ego.

– Kocham cię! – zawołał za nią.

Poczuł, że serce wypełnia mu jakaś lodowata, posepna fala, bo nagle z absolutną jasnością zdał sobie sprawę, że już nigdy nie dotknie swojej żony. Próbował się pocieszyć myślą, że przynajmniej zobaczył ją po raz ostatni. Przynajmniej zdążył się pożegnać.

Ciągle nie ruszał się z miejsca.

– Do mnie, dziadzie! – warknął Rosjanin.

Sokołow zgromił go wzrokiem. Mężczyzna beznamiętnie kiwnął na niego wolną ręką, w drugiej nadal trzymając wycelowany w Dafne pistolet.

Sokołow sięgnął do kieszeni, wyszarpnął broń Jakowlewa i przycisnął jej lufę do



podbródka.

– Jeżeli nie odjedzie stąd żywa, palnę sobie w łeb! – zawołał. – Słyszysz? Jeżeli nie odjedzie stąd cała i zdrowa, nigdy nie dostaniesz tego, na czym ci tak zależy!

Usta Kościeja rozciągnęły się w czymś w rodzaju uśmiechu.

Jasne, że w myśl jego pierwotnego planu nikt nie miał opuścić tego placu żywy, rzecz jasna poza naukowcem i nim samym. Jasne też, że staruszek wiedział o tym doskonale. Ten cały Sokołow – a raczej Szyslenko, bo tak się dawniej nazywał – był przecież tak sprytny, że wiele lat temu zdołał przechytrzyć najlepszych zawodowców swojego pokolenia, i to po obu stronach żelaznej kurtyny.

Myśl ta wywołała w głowie Kościeja inną, równie interesującą.

„Czy Sokołow faktycznie to skonstruował? A jeżeli tak, to czy zabrał to ze sobą? Czy może tego użyć? Tutaj, na otwartym terenie?”

Pokręcił głową.

„Możliwe”, pomyślał. Kościej wiedział, że bardzo niewiele rzeczy jest zupełnie niemożliwych, a w przypadku tych, które rzeczywiście takie są, wynika to raczej z praw fizyki niż z ludzkiej woli.

„Możliwe, ale mało prawdopodobne”.

Nie, to, czego szukał Kościej, było ciągle zamknięte w fałdach genialnego mózgu tego zdrajcy. A żeby ów cenny organ mógł mu później wyjawić swoje sekrety, Kościej musiał zadbać, żeby wyszedł ze starcia bez szwanku.

Otworzył zapraszająco ramiona, przesuwając tym samym pistolet i przestając celować w plecy Dafne.

– Idź przed siebie! – rozkazał Sokołowowi. – Idź przed siebie, a nic jej nie będzie.

Daliśmy się wkręcić.

Spiknęli nas z tymi jełopami, podczas gdy prawdziwe spotkanie odbywało się w innym miejscu. W tym samym momencie. A my tu tkwimy jak debile.

Pewnie że bym się poczuł jeszcze bardziej jak wyruchana panienka, ktoś w moim uchu wymienił nazwisko Mirmińskiego.

– Co z tym Mirmińskim? – syknąłem do mikrofonu.

– Mówi Grell – zameldował się jeden z agentów. – Jesteśmy ciągle w klubie, ale sukinsyn nas wyrolował i uciekł. Pewnie mają tu gdzieś jeszcze jedno wyjście, którego nie obstawiliśmy.

– Fantastycznie! – skomentowałem, gotując się ze złości. – Po prostu fantastycznie! – Jeszcze go z Aparo dopadniemy. Gdzieś na osobności. I wydymamy na wszelkie sposoby.

– To się nie dzieje naprawdę – pokręcił głową Aparo.

– Bandziory pewnie zadzwoniły do Mirmińskiego i powiedziały mu, że stoją z palcami w dupie, a ten, kto miał się pojawić, jakoś nie przejawia ku temu ochoty – podsumowałem sytuację. – Młot pokapował się, że jest spalony, i postanowił się

przyciąć, aż sobie to wszystko jakoś poukłada i przegrupuje siły.

– Pamiętasz, jak tamten koleś wystraszył naszego Młoteczka? Ostatnie, na co ma teraz ochotę, to żebyśmy go przycisnęli i spróbowali z niego wyciągnąć, kim jest jego tajemniczy rozmówca. To byłby dla niego wyrok śmierci, bez względu na to, czyby nam coś powiedział czy nie.

Aparo miał rację. Bardziej martwiło mnie jednak to, że prawdziwe spotkanie prawdopodobnie odbywa się w innym miejscu, a nas tam nie ma. W tym momencie nie pozostawało nam nic innego, niż zatrzymać tych czterech z cadillaca za nielegalne posiadanie broni maszynowej i zobaczyć, czy uda nam się coś z nich wycisnąć.

– Nikogo nie ma – powiedziałem do mikrofonu. – Zgarniamy tych pajaców i kończymy akcję.

Infantino wydał rozkaz i wszyscy wkroczyliśmy do akcji.

Kubert i Kanigher, w kurtkach z wielkimi literami na plecach, przekradli się z wyciągniętą bronią wokół kontenerów.

Pochyliwszy się, wychynałem zza niewielkiego biurowego budynku i pobiegłem na drugą flankę, zajmując korzystniejszą pozycję z widokiem na Rosjan. Aparo trzymał się blisko mnie.

Najbliżej półterenówki był Kubert, jakieś trzydzieści metrów.

Schował się za kontenerem. Spojrzał przez ramię, upewniając się, że wszyscy zajęli stanowiska. Kanigher kiwnął mu głową, zrobiłem to samo.

Wychylił się z kryjówki i wyciągnął odznakę.

– FBI! – wrzasnął. – Rzucić broń! Ręce na głowę!

Dwóch byczków przy samochodzie zeszytniało i cofnęło się o krok, rozglądając się na lewo i prawo i ściskając mocniej spluwy.

– Rzucać broń! Już! – zawołał Kubert.

Cofnęli się jeszcze o krok, a potem nagle obaj jakby się odprężyli. Rozłożyli ręce, trzymając je z dala od ciał i nie celując już w nas z pistoletów.

I wtedy Kubert popełnił błąd.

Wychylił się jeszcze trochę i odsłonił się, przekonany, że Rosjanie się poddają. Nagle od strony cadillaca rozległa się salwa i grad kul poleciał w stronę Kuberta.

Jakieś pięć kilometrów na południowy zachód od miejsca, w którym znajdował się Reilly, w starych dokach naprzeciw alei przy parku Owl's Head, Dafne dotarła do Jonny'ego. Stał obok furgonetki z pistoletem w ręku. Rzuciła mu się w ramiona.

– Chodźmy do środka, pani Soko – powiedział, prowadząc ją ku drzwiom od strony pasażera.

Trzymała się go kurczowo i nagle zaczęła płakać. Jakimś cudem udało jej się do niego doczłapać, ale kiedy była już bezpieczna, nagle wybuchł cały nagromadzony w niej ból, wyczerpanie i strach. Jonny musiał ją podtrzymywać, jednocześnie dzierżąc mocno w dłoni pistolet.

– Już dobrze – powiedział. – Wszystko będzie dobrze.

Kiedy prowadził ją w stronę otwartych drzwi furgonetki, kątem oka dostrzegł ochraniacze na uszy. Uśmiechnął się.

Sokołow odwrócił się i zobaczył, że Dafne jest już z Jonnym.

Prawie że dotarł do półterenówki. Z bliska jej reflektory oślepiały go jeszcze mocniej; atakowały jego oczy, podświetlając jednocześnie od tyłu sylwetki mężczyzny w bejsbolówce i jego zbirów.

Udało mu się niepostrzeżenie umieścić drugą zatyczkę w dłoni. Wsunął ją teraz do ucha i przycisnął mocno. Niestety, nie mogła mu zapewnić pełnej ochrony. Zdawał sobie z tego sprawę. Powinna jednak złagodzić efekt, dając mu niewielką przewagę nad tymi, którzy w ogóle nie zabezpieczą uszu.

Powoli szedł przed siebie, czekając, aż się zacznie. Aż Jonny przestawi dźwignię. Aż karta się odwróci. Zanim jednak dotarł do cadillaca, brodacz błyskawicznie zrobił dwa kroki w jego stronę, wyrwał mu pistolet z dłoni i wymierzył potężny cios w policzek.

Sokołow zatoczył się i poczuł, jak od uderzenia uginają się pod nim kolana. Zanim upadł, napastnik złapał go za kurtkę i cisnął nim w stronę otwartych drzwi samochodu.

Przez zamglone, oszołomione oczy Sokołow zobaczył jeszcze, że mężczyzna wsuwa sobie pistolet Jakowlewa za pasek i podnosi drugą dłoń, dając sygnał towarzyszącym mu bandytom.

Widząc to, stojący obok niego *bratok* sięgnął do samochodu i wyciągnął przerażająco wielki karabin maszynowy. A nie był to zwykły karabin maszynowy. Pod lufą miał doczepiony ogromny cylinder, przypominający dużą czarną latarkę. Sokołow rozpoznał granatnik.

Krzyknął cicho, patrząc, jak mężczyzna celuje w Jonny'ego i naciska spust.

Kubert natychmiast padł na ziemię. Wyglądało to tak, jakby coś wyrwało mu kawał mięsa z lewej łydki. Ułamek sekundy później pozostali Rosjanie i funkcjonariusze ze SWAT-u dołączyli do kanonady i wokół rozpętało się piekło.

Na moich oczach jeden z dwóch karków stojących przy samochodzie niemal od razu został ścięty. Drugi ostrzeliwał się, próbując wsiąść z powrotem do półterenówki, z której obu stron również błyskały czerwone płomienie. Wychyliłem się i zacząłem strzelać, osłaniając Kanighera, który rzucił się na otwartą przestrzeń, żeby pomóc rannemu partnerowi. Dobiegł do niego i odciągnął go w bezpieczne miejsce. Pociski uderzały w metalowy kontener obok nich.

Podeszliśmy bliżej, strzelając we wszystko, co się ruszało. Światła cadillaca obudziły się i usłyszałem ryk jego silnika.

Zwijali się.

Wielka półterenówka cofnęła po łuku w prawo; strzelec, który ciągle był na zewnątrz, próbował wskoczyć do ruszającego wozu. Biegł obok cadillaca, jedną ręką strzelając z biodra, a drugą usiłując złapać się czegoś w środku, ale zanim zdążył się podciągnąć, w klatce piersiowej utkwiała mu kula wystrzelona przez jednego z naszych snajperów, unieruchamiając go na dobre. Jego ciało odpadło od wozu, ale ręka zaplątała się w pas bezpieczeństwa.

Półterenówka pędziła nadal tyłem w stronę przeciwległego krańca placu, ciągnąc po ziemi *bratka*, aż w końcu kierowca obrócił gwałtownie wóz o sto osiemdziesiąt stopni, przez co ciało uwolniło się z pętli i potoczyło po ziemi. Samochód zniknął mi z oczu, ale nagle zobaczyłem jego rozbłyskujące na czerwono światła stopu – najwyraźniej Rosjanie napotkali ogień członków SWAT-u obstawiających tę część terenu. Półterenówka znowu cofnęła, zawróciła i jej jaskrawobiałe przednie światła ruszyły prosto w moją stronę.

Rosjanin na siedzeniu pasażera otworzył okno i omiatał ogniem karabinowym okolicę, celując w biuro i bramę – czyli we mnie. Dałem nura, szukając osłony, i nagle zobaczyłem, że przez przednią szybę przebija się kula jednego z naszych i trafia w pasażera. Snajper nie mógł jednak ze swojej pozycji dosięgnąć kierowcy, inni zresztą też.

Musieliśmy mieć jednego z tych bandytów żywego. Na razie już trzech było martwych.

Długo się nie zastanawiając, wyskoczyłem z kryjówki i zagroziłem półterenówce drogę.

Jonny nawet na sekundę nie odrywał oczu od brodatego Rosjanina. Kiedy zobaczył, że ten rzuca się na Sokołowa, do maleńkiego, połączonego przez bluetooth zestawu słuchawkowego, który zakrywała jego czupryna, burknął tylko jedno słowo:

– Już!

Sekundę później zobaczył, że ogolony facet wyciąga broń i celuje – i nagle w nocnym powietrzu huknął strzał, po którym głowa mężczyzny eksplodowała tak, jakby w ogóle nie miała w środku czaszki, jakby była tylko wypełnionym mózgową miazgą balonem, który właśnie został przekłuty. W tym samym momencie coś okrągłego wyskoczyło z jego broni i wybuchło, trafiając w kontener na lewo od Jonny’ego.

Zanim zasypały ich odłamki, Koreańczyk zdołał pchnąć głowę Dafne w dół. Rozejrzał się i zobaczył strzelca leżącego na ziemi. Wokół rozległy się kolejne strzały.

– Szybko – powiedział do Dafne, popychając ją w stronę furgonetki. – I nałóż to – dodał, wskazując na ochraniacze na uszy.

Kościej odwrócił się gwałtownie i zobaczył, że stojący obok niego strzelec pada na ziemię, a co gorsza brakuje mu tylnej połowy głowy. Przesunął wzrokiem po placu, jednocześnie wyrywając broń z paska i obracając Sokołowa tak, by znalazł się przed nim, twarzą do furgonetki, jako tarcza osłaniająca go przed nadlatującymi kulami.

– *Ukrywaj się, snajper!* – warknął do drugiego *bratka*.

Wokół zaczęły świstać kule, wbijając się w maskę i kratownicę cadillaca, a jedna z nich przebiła oponę. *Bratok* odpowiedział paroma seriami ze swojego MP-5, zasypując kulami połowę placu.

– Dafne! Nie! – wrzasnął Sokołow.

– Co ty, zabrałeś ze sobą armię, suko? – wydyszał Kościej swojemu jeńcowi do ucha po rosyjsku. – Zobaczymy, czy są tacy dobrzy, jak im się wydaje.

Pchnął Sokołowa w stronę samochodu, a potem jedną ręką objąwszy go za kark, drugą sięgnął po pistolet MP-5.

– *My dołżny ich awtomobil, speszitie ich* – zawołał do goryla po drugiej stronie unieruchomionego cadillaca. *Potrzebujemy ich samochodu, wygoń ich.*

I zasłaniając się Sokołowem, ruszył w stronę furgonetki, strzelając raz za razem w kierunku Dafne i Jonny’ego, a jednocześnie rozglądając się w poszukiwaniu stanowiska snajpera.

Jonny wpychał właśnie Dafne do furgonetki, gdy nagle kilka kul wbiło się w przednią szybę, przedziurawiając ją i rysując na niej pajęczyny pęknięć, a następnie roztrzaskując zagłówek kilka centymetrów od głowy kobiety.

Dafne wrzasnęła, a Jonny wyciągnął ją z powrotem, odwrócił się szybko i uniósł pistolet.

To, co zobaczył, przeraziło go. Rosjanie posuwali się w ich stronę po pustym parkingu, a jeden z nich, ten brodaty, popychał przed sobą Sokołowa.

– Co robisz? – wydyszał do zestawu słuchawkowego. – Zdejmuj ich!

Na prawo od niego rozległy się trzy strzały i jeden z Rosjan padł ciężko na ziemię. Drugi jednak ciągle się zbliżał, i to szybko, przeładowując broń i nadal używając Sokołowa jako tarczy.

Jonny wepchnął Dafne do furgonetki, a potem sam wszedł do środka. Gdy próbował się dostać na siedzenie pasażera, w przedniej szybie utkwiała kolejna kula. Ogarnięty paniką, stracił z oczu ochroniacze na uszy, zresztą w tym momencie myślał już tylko o tym, jak się stamtąd wydostać.

– Na ziemię! – polecił kobiecie, usiłując złapać oddech. Wychylił się z okna i wycelował w zbliżającego się Rosjanina, ale bał się strzelać, żeby nie trafić Sokołowa.

– Co z Leo?! – zawołała Dafne. – Nie możemy go zostawić!

– Nie mamy wyjścia! Zabiją nas! Zabiją nas wszystkich! – odkrzyknął, zapuszczając motor.

– Jeżeli nie dasz rady go zdjąć, wycofaj się! – wrzasnął, przenosząc wzrok na szczyt zbiornika na ropę. Faktycznie, jego kumpel Jachin nie mógł stamtąd dosięgnąć Rosjanina. Jonny wiedział, że jeśli ucieknie, to zostawi przyjaciela na pastwę tamtego, który wciąż się zbliżał, strzelając od czasu do czasu, niczym cyborg z filmu science fiction, któremu wydano tylko jedno polecenie.

Ale nie miał wyboru. Sokołow wyraził się jasno.

„Trzeba zrobić wszystko, żeby wyciągnąć ją z tego cała”.

Wrzucił wsteczny i wcisnął gaz.

Wielka półterenówka pędziła prosto na mnie.

Mocno wbiłem stopy w podłogę, wycelowałem i opróżniłem magazynek prosto w przednie koło, po czym rzuciłem się na ziemię i potoczyłem na bok, umykając przed samochodem.

Chyba udało mi się trafić w oponę, ponieważ wóz gwałtownie skręcił i walnął w słup zabezpieczający jednego z ogromnych żurawi. Patrzyłem, jak przewraca się na bok, po czym uderza w innego żurawia. Nie towarzyszyła temu kula ognia, a tylko smród kordytu i spalonej gumy oraz dziwny, trudny do zdefiniowania zapach, który potrafi roztoczyć w powietrzu tylko śmierć.

Echo szybko wybrzmiało i wokół zapanowała cisza.

Kilku funkcjonariuszy SWAT-u podbiegło do unieruchomionego cadillaca, celując w to, co z niego zostało. Wstałem, otrzepałem się i ruszyłem w tym samym kierunku. Dotarli na miejsce przede mną, a po chwili jeden z nich odwrócił się do mnie i powiedział:

– Żyje.

Skinąłem głową, po czym rozejrzałem się po placu. Kubert ciągle był na ziemi, ale już siedział i ciągnął jedną ręką pasek, który Kanigher zawiązał mu tuż nad kolanem. Pozostali członkowie drużyny SWAT-u stali przy ciele strzelca, którego zdjął Kanigher. Nie wyglądało na to, że facet kiedykolwiek się podniesie. Podobnie zresztą jak *bratok*, którego przez kilkaset metrów ciągnął za sobą samochód. Kończyny wystawały mu z korpusu jak odnóża pająka na jakimś urwanym w połowie roboty

rysunku.

Aparo szedł w moją stronę, kręcąc głową. Czekał mnie kolejny wykład na temat mojej impulsywnej natury oraz tego, do czego mnie ona doprowadzi.

Niech sobie gada. Myślałem już o czymś innym.

Zastanawiałem się, gdzie są teraz Sokołow i jego żona; co się z nimi stało.

Myślałem też o sukinsynie, który z taką łatwością nas wykiwał, ograł do tego stopnia, że nie mieliśmy nawet pojęcia, kim jest, czego chce ani jakie będzie jego następne posunięcie.

Widząc, że furgonetka odjeżdża, Kościej pchnął Sokołowa mocniej, ale wiedział już, że jest na straconej pozycji. Musiał załatwić snajpera i nie mógł tracić kul na unieruchomienie samochodu. Poza tym przecież miał to, po co przyszedł. Sokołow nigdzie się nie wybierał.

Trzymając ciągle przed sobą naukowca i osłaniając się nim przed snajperem, schował się za stosem kontenerów. Musiał złapać oddech. Krył się w ciemności, z dala od światła. Utrudniało to zadanie snajperowi, chyba że miał noktowizor. Pchnął Sokołowa na ziemię, pokiwał mu groźnie palcem, po czym sam kucnął. Odłożył MP-5 i wyciągnął zwykły samopowtarzalny pistolet. Przeładował, dał sobie jakieś dwie sekundy na to, żeby uspokoić umysł, po czym wtoczył się na otwarty teren, ściskając broń w obu dłoniach.

Przesunął wzrokiem po ogromnych zbiornikach na ropę, omiatając jednocześnie lufą ich wierzchołki w poszukiwaniu choćby najdrobniejszej wskazówki.

Po chwili coś zauważył. Nierówny kształt, który wyraźnie wyrastał ponad gładką poza tym konstrukcję, zdecydowanie do niej nie pasował.

Utkwił w nim wzrok i szybko posłał w jego kierunku sześć pozostałych naboí. Włożył nowy magazynek, jeszcze zanim ostatnia łuska spadła na ziemię, okazało się jednak, że niepotrzebnie się spieszył, bo bryła jęknęła nagle, drgnęła, a potem niewyraźna sylwetka przetoczyła się na bok i spadła ze zbiornika jakieś trzydzieści metrów w dół, odbiła się od metalowego szczebla i z głuchym łomotem wylądowała na asfalcie.

Kościej zaczekał chwilę, upewniając się, że nic mu już nie grozi, po czym wstał i pociągnął za sobą Sokołowa. Rozejrzał się, a jego wzrok, jeżeli to w ogóle możliwe, stał się jeszcze bardziej ponury. Cadillac miał przebitą oponę, a zatem był na dobre wyłączony z akcji, a oni znajdowali się na pustkowiu. Co czyniło go bezbronnym.

Kościej nienawidził być bezbronnym.

Popędził Sokołowa przez plac w stronę miejsca, w którym upadł snajper. Wiedział, że facet musi być martwy, jeśli nawet nie w wyniku postrzału, to już na pewno po takim upadku. I faktycznie, był. Leżał na brzuchu z bezładnie rozrzuconymi członkami, a jego głowa zamieniła się w lepłą od krwi miazgę z włosami i jakimiś zielonymi pasemkami. Kościej przewrócił go stopą na plecy, chcąc mu się lepiej

przyjrzeć. Okazało się, że to Azjata – najprawdopodobniej Koreańczyk – w dodatku młody, dobrze poniżej trzydziestki. Połowę czaszki miał wgniecioną, a jego twarz pokrywały zakrwawione włosy. W piersi tkwiły mu co najmniej trzy kule.

Kościej spojrzał na Sokołowa, który gapił się z przerażeniem na trupa.

– Przyjaciel? – zapytał.

Sokołow pokręcił głową.

– Nie. Przyjaciel przyjaciela.

Kościej pokiwał głową, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Po chwili przeszukał kieszenie snajpera i znalazł jakieś klucze.

Wśród nich były kluczyki do samochodu. Do toyoty.

Rozejrzał się. Na ziemi, kilka metrów dalej, leżał karabin snajpera. Rozpoznał daktę T-76 longbow. Solidna broń. Podniósł ją, przejrzał pobieżnie, a potem spojrzał na Sokołowa.

– *Dawajcie* – rozkazał. Idziemy.

Zostawili ciało snajpera i ruszyli w stronę wyjazdu z placu – tam, gdzie przed momentem zniknęła furgonetka. Za ostatnim zbiornikiem na ropę znaleźli jasnożółtą toyotę suprę.

– Czas wracać do domu, towarzyszu Szyslenko – powiedział Kościej do Sokołowa, gestem każąc mu wsiadać. – Bardzo się tam za wami stęsknili.



Gdy wielkie zbiorniki zniknęły w ciemnościach, Jonny zerknął w boczne lustro. Nikogo w nim nie zauważył.

Żadnego walniętego Ruska. Ale Jachina też nie. Co nie wróżyło najlepiej.

Jeżeli jego kumpel przeżył, powinien już jechać za nim. Ulice były pogrążone w mroku i opustoszałe, i Jonny nawet z daleka dostrzegłby światła jego wozu. Ale nie widział żadnych świateł, a komórka Jachina nie odpowiadała.

Miał nadzieję, że jego kumpel żyje, że zadzwoni za chwilę, żeby go poinformować, że sprzątnął Ruska i wiezie właśnie ze sobą Sokołowa.

Po raz piąty w ciągu minuty spojrzął na ekran komórki. Ciągłe był ciemny. Jonny w głębi duszy wiedział już, że nie ma co czekać na ten telefon.

Chciał wrócić natychmiast, żeby pomóc Jachinowi. Ale nie mógł tego zrobić. Ze względu na Dafne.

Serce zalała mu fala wściekłości i żądy rewanżu. Trzymał nogę na gazie, wyciskając ze starej furgonetki, ile tylko się dało, i żałując, że nie siedzi w swoim podrasowanym mitsubishi. Nie miał pojęcia, dlaczego w ogóle zgodził się skorzystać ze starego gruchota należącego do jego nauczyciela. Nie mógł się doczekać, aż wysadzi gdzieś Dafne i się go pozbędzie. A nawet lepiej. Ciśnie go do zgniatarki albo podpali grata.

Dafne siedziała obok niego, ściskając go tak mocno za ramię, że zaczęło go boleć. Delikatnie odgiął jej palce i spojrzął na nią. Płakała, ale dzielnie próbowała stłumić wstrząsający ją szloch.

Uścisnął łagodnie jej dłoń i prowadził dalej w ciszy, nie wiedząc, co powiedzieć, choć czuł, że chyba jednak powinien się odezwać. Potrzebowała tego.

– Uratujemy go – odezwał się w końcu. – Coś wymyślę i go uratujemy. To jeszcze nie koniec.

Dafne wciągnęła głęboko w płuca powietrze, próbując odzyskać nad sobą kontrolę, ale ciągle dygotała na całym ciele.

– Potrzebują go żywego, pani Soko. W innym wypadku zabiliby go na miejscu.

Skinęła głową, patrząc przed siebie. Nagle się wyprostowała.

– Co tu się właściwie dzieje, Jonny? O co w tym wszystkim chodzi?

– Nie jestem pewien. Naprawdę.

Ciągle wyglądała na przerażoną.

– Musimy... Musimy iść na policję.

Sam walczył z tą myślą. Choć na samo brzmienie tego słowa robiło mu się niedobrze, zdawał sobie sprawę, że o porwaniu Sokołowa należy powiadomić gliny. Wiedział, że to, co wydarzyło się tej nocy, to zupełnie nie jego liga, a żyje wyłącznie dlatego, że udało mu się szybko zwać. Nie miał jednak pojęcia, co jest grane, kim są

Rosjanie i co mają do Sokołowa. Ktoś musiał powiadomić gliny.

Ale nie on.

Nie był przyzwyczajony do tego, by w tak niewielkim stopniu kontrolować swoje życie, i to uczucie bynajmniej nie przypadło mu do gustu. Ale nie chciał niepokoić Dafne.

Sięgnął po fajki, zapalił jedną i zaciągnął się mocno. Zaproponował papierosa Dafne, ale odmówiła.

– Wie pani może, kto panią porwał? – zapytał.

– Teraz czy przedtem?

Jonny nic z tego nie rozumiał.

– Co ma pani na myśli?

– Mężczyźni, którzy porwali mnie sprzed szpitala, byli Rosjanami. Pracowali dla kogoś, kogo nazywali *Kuwałdą*, czyli Młotem Kowalskim. Mówi ci to coś?

Koreańczyk potwierdził skinieniem głowy.

– Jasne. Gość jest z ruskiej mafii. Szycha.

W jej oczach zapłonął strach.

– Mafia? Ale... jak to? W co wpakował się mój Leo?

Jonny spojrzał na nią niepewnym wzrokiem.

– A ten mężczyzna, którego przed chwilą widziałeś... – powiedziała. – Ten, który mnie tutaj przywiózł... Przyjechał do motelu, w którym mnie przetrzymywali, zastrzelił ich i zabrał mnie ze sobą.

– I nie wie pani, kim jest ani czego chce od pana Soko?

– Nie – odparła Dafne. – Nie mam pojęcia. To wszystko... jakieś szaleństwo.

Jonny zmarszczył brwi.

– Wyrzucę panią pod posterunkiem obok szkoły, dobra? Ale niech im pani nic o mnie nie mówi. Nie chcę, żeby im pani wspominała o mnie ani słowem. I tak im się nie przydam. Powiedziałem pani wszystko, co wiem. Próbowałem tylko pomóc wam obojgu wyjść z tego cało.

Otarła policzki rękawem.

– Za co jestem ci wdzięczna – rzekła. – Bardzo. Nic im nie powiem, skoro sobie tego nie życzysz.

Jonny zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

– Czy potrzebuje pani tej furgonetki? Wolałbym ją zatrzymać na jakiś czas. Upewnij się, że nie zostaną na niej odciski palców i tak dalej. Nie ma pani nic przeciwko?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– A dlaczego miałabym mieć? Jest twoja.

– Właśnie, że nie. Należy do pana Soko.

Kobieta wydawała się autentycznie zdumiona.

– Do Leo?

– Nie wiedziała pani?

– Nie. Pierwszy raz widzę ją na oczy. – Odwróciła się, spojrzała na ściankę z wąskimi drzwiczkami, a potem pochwyciła znowu wzrok Jonny'ego. – Po co Leo furgonetka? Nie potrzebuje furgonetki.

– Nie wiem – odparł Koreańczyk. – I dlaczego nic pani o niej nie powiedział?

Dafne spochmurniała i znowu zaczęła płakać. Postanowił już jej nie naciskać. Było jasne jak słońce, że w cokolwiek wpakował się Sokołow, jego żona nie miała o tym bladego pojęcia.

– Zawiozę panią na posterunek – rzekł.

Nie odpowiedziała.

W swoim mieszkaniu przy Wschodniej Siedemdziesiątej Ósmej Larisa czekała właśnie na wieści, gdy zadzwonił telefon.

Podniosła go szybko, zerknęła na ekranik i odebrała.

– Słyszałaś już? – spytał bez zbędnych wstępów mężczyzna.

– A powinnam?

– Była strzelanina w Brooklynie. Nie żyje kilku *bratków*. Jeden jest w szpitalu. Oberwał też agent FBI.

Zmroziło ją z niepokoju.

– Reilly?

– Nie. Jakiś inny.

– A co z Sokołowem? – spytała.

– Zniknął. Zabrali go.

W głowie błysnęło jej jednocześnie kilka możliwości.

– Nie jest dobrze – powiedział mężczyzna. – A nawet gorzej. To pierdolona katastrofa! Musisz się dowiedzieć, gdzie jest.

– O niczym mnie nie informują – odparła. – Tylko o tym, co absolutnie niezbędnym. A po tym, co się stało w poniedziałek, nie mogę bardziej dążyć.

– Musisz. Ponieważ wygląda na to, że możemy go stracić. Na zawsze. Musisz znaleźć sposób. Dowiedzieć się, gdzie jest. Zrób wszystko, żeby go znaleźć. Za wszelką cenę. Nie żartuję: za wszelką cenę. Rozumiemy się?

– Tak.

Rozłączywszy się, wbijała przez chwilę wzrok w komórkę i w milczeniu rozważała, jaki powinna teraz wykonać ruch.

Wszystko to bardzo jej się nie podobało.

Od wielu lat balansowała na linii ponad śmiertelnie niebezpiecznym terenem. A teraz wyglądało na to, że szefostwo kazało jej zeskoczyć.

Siedem trupów w motelu. Trzy trupy, jeden bandyta mocno poturbowany oraz agent z odstrzelonym kawałkiem nogi na tym zapomnianym przez Boga i ludzi pustkowiu.

Co noc nowy bajzel. Robiła się z tego właściwie rutyna. Koszmar.

Na miejscu było już kilku sanitariuszy. Zajęli się Kubertem, stabilizując go i szykując do przeniesienia do karetki. Stałem obok paru innych, którzy opatrywali kierowcę półterenówki. Tej samej, w której szczęśliwie udało mi się przestrzelić oponę. Był cały we krwi i siniakach. Wyglądał, jakby przed chwilą zmierzył się z transformerem.

– Muszę z nim pogadać – powiedziałam brunetce, która chyba szefowała pozostałym.

– I pewnie pan pogada – odparła zwięźle, nie przestając go opatrywać. – Tyle że nie teraz.

– A kiedy? – nie ustępowałem.

– Wygląda na gościa w nastroju na rozmowę?

Musiałem przyznać, że ma rację.

Zostawiłem ich i rozejrzałem się po okolicy. Klęska, kompletna katastrofa. Ktoś wciągnął nas w tę strzelankę rodem z marnych westernów, a prawdziwe spotkanie prawdopodobnie odbyło się gdzie indziej. A jego rezultaty stanowiły dla nas całkowitą zagadkę. Zastanawiałem się, czy znajdziemy tam kolejne ciała i czy każde z nich będzie miało foremną dziurkę w środku czoła.

Podchodziłem właśnie do Kuberta, gdy odezwał się mój telefon. Dzwonił niejaki O'Neill ze sto czternastego posterunku. Tego samego, w którym pracowali Adams i Giordano.

– Zapraszam do nas – powiedział O'Neill. – Właśnie odwiedziła nas pewna pani, z którą chyba będziesz chciał porozmawiać. Nazywa się Dafne Sokołow.

Tuż po dziesiątej O'Neill i drugi detektyw zaprowadzili Aparo i mnie do pokoju przesłuchań, w którym siedziała Dafne Sokołow.

Natychmiast rozpoznałem kobietę z oprawionego w ramki zdjęcia z wakacji, które znaleźliśmy w tamtym mieszkaniu, tyle że z jej twarzy wyparowały wszelkie oznaki szczęścia. Gdy tak siedziała zgarbiona na niewygodnym krześle, obejmując dłońmi kubek parującej kawy, wyglądała na przerażoną, zmęczoną i starszą o kilka lat. Ale nie była nieśmiała. Zanim jeszcze zdążyłem się jej przedstawić, powiedziała:

– Mają mojego męża. Mają Leo. Musicie go znaleźć.

Zapewniłem ją, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, i spróbowałem trochę uspokoić, ale zignorowała mnie i natychmiast przeszła do swojej opowieści. Mówiła gorączkowo, ale precyzyjnie. W sumie trudno się dziwić: była przyzwyczajona do sytuacji na krawędzi życia i śmierci, co prawda nie takich, w których bohaterem jest jej mąż, za którego wyszła już trzydzieści lat temu. Słuchaliśmy więc uważnie, gdy opowiadała nam, jak została porwana w drodze z pracy do domu, związana w motelu, przejęta przez innego Rosjanina, zabrana w miejsce, którego nie potrafiła zidentyfikować, jak zasłonięto jej oczy i zamknięto w bagażniku, wreszcie jak zawieziono ją do doków, gdzie tamci zabrali Leo tuż przedtem, zanim rozpętała się strzelanina.

W tym miejscu jej przerwałem.

– Gdzie to było? W jakich dokach?

– Nie jestem pewna. Jak mówiłam, zasłonięto mi oczy. – Przerwała, próbując się skoncentrować, i po chwili dodała: – Niedaleko Prospect Avenue. Pamiętam, że tamtędy wracaliśmy.

– Czy może pani powiedzieć coś więcej? – naciskałem. – Co jeszcze pani pamięta? Zastanawiała się przez chwilę.

– Były tam wielkie zbiorniki na ropę. Wie pan, takie jak w rafineriach.

– Przy Gowanus Bay, tuż przed Ikea, jest stary magazyn paliw – zauważył O'Neill. – W tej okolicy to jedyne tego typu miejsce.

Aż się zagotowałem w środku. To zaledwie parę kilometrów od miejsca, do którego nas zwabił. Sukinsyn nawet nie wysłał nas na drugi koniec miasta. Był tak pewny siebie, że ściągnął nas do tej samej dzielnicy. Wysłał nam wiadomość, że ma nad nami pełną kontrolę. Bawił się nami.

– Wyślijmy tam paru ludzi – powiedziałem O'Neillowi, zdając sobie sprawę, że pewnie i tak jest już za późno. Spojrzałem ponownie na Dafne. Na razie jej opowieść pokrywała się z tym, co ustaliliśmy. Wyglądało na to, że jest przypadkową ofiarą w całej tej aferze. Kiwnąłem ze współczuciem głową i poprosiłem: – Czy może nam pani powiedzieć, co się stało później?

Kościej jeszcze raz się rozejrzył, upewniając się, że nikt ich nie śledzi, po czym otworzył drzwi do magazynu i wrócił po Sokołowa.

Internet bardzo ułatwił wszystkim życie. Tacy jak on nie muszą już polegać na miejscowych pośrednikach, żeby znaleźć dobrą kryjówkę. Dzięki stronom w rodzaju Craigslist można dziś bez problemu znaleźć i wynająć dowolne pomieszczenie, i to z dnia na dzień. Kościej zrobił to natychmiast po tym, jak dowiedział się, że ma jechać do Nowego Jorku. Samodzielna rezerwacja bezpiecznych domów była zresztą o wiele bezpieczniejsza, bo nikt poza nim nie znał ich lokalizacji.

Z hoteli nie mógł za bardzo korzystać. Kręciło się po nich zbyt wiele osób. Wolał nie ryzykować przypadkowych spotkań z innymi gośćmi i obsługą. Zwłaszcza że czasem nosił przy sobie broń albo musiał przemycić jednego lub kilku zakładników. Bardzo dobrą opcją były domy na przedmieściach. Im bardziej odludna okolica, tym lepiej. Albo biura gdzieś na parterze w nie najlepszej dzielnicy biurowej. Były prawie idealne, ponieważ w nocy nikt się tam nie pojawiał, a to wtedy głównie Kościej pracował. Tym razem znalazł podupadły magazyn w dzielnicy Jamaica w Queens. Czynsz płatny za miesiąc z góry, prawie żadnych pytań. Prąd, łazienka z bieżącą wodą, na tyle dużo miejsca, że w środku można zaparkować samochód. Teraz, w nocy, panowała tam cisza jak makiem zasiał, a w okolicy poza nim i jego gościem nie było nikogo.

Krzykliwy krążownik szos snajpera porzucił w tym samym miejscu, w którym zostawił yukona, zanim ludzie Młota odebrali go swoim escalade'em po drodze do stoczni. W magazynie czekał na niego czarny chevy, zaparkowany maską w stronę bramy. Za nim, w biurze, leżał na podłodze Sokołow. Miał skrępowane nadgarstki – nylonowe paski były przewleczone przez kotwę mocującą do ściany kaloryfer.

Kościej podszedł do półterenówki i otworzył klapę bagażnika. Wyjął torbę podróżną i postawił ją na ziemi, przy ścianie. Wyciągnął z niej kosmetyczkę oraz kolejne nylonowe paski, po czym wszedł do biura i przykucnął, wpatrując się w jeńca.

Sokołow obrzucił go pełnym pogardy wzrokiem.

– To tutaj była Dafne? – spytał po rosyjsku. – To tutaj ją przywiozłeś?

Kościej, kładąc kosmetyczkę na podłodze, powoli skinął głową.

– Owszem. Ale zatroszczyłem się, żeby nie wiedziała, gdzie ją przywiozłem. Więc na twoim miejscu nie czepiałbym się raczej nadziei, że wkrótce zjawi się tutaj kawaleria.

Przez sekundę przyglądał się Sokołowowi i ścianie w pobliżu. Doszedłszy do wniosku, że naukowiec pewnie nie będzie tak uległy jak jego żona, postanowił zastosować inną metodę. Sięgnął za głowę nauczyciela i przyczepił jeden z nylonowych pasków do kaloryfera. Potem podniósł następny i bez ostrzeżenia lewą ręką złapał Sokołowa za podbródek i przygwoździł jego głowę do kaloryfera, tak że ten nie mógł nią nawet poruszyć.

– Powiedzcie mi coś, towarzyszu Szyslenko – rzekł Kościej, spokojnie przekładając drugi pasek przez ten przytwierdzony do kaloryfera, a potem wokół szyi Sokołowa. – Zafascynowały mnie wasze akta, kiedy je czytałem. To, co udało się wam osiągnąć... jest niewiarygodne. – Zapiął pasek i go zacisnął, niemal dusząc Sokołowa. – O lata świetlne wyprzedziliście innych, którzy pracowali nad tym samym. Ale potem bardzo nas rozczarowaliście. – Puścił podbródek Sokołowa. Nauczyciel wpatrywał się w niego przerażonym wzrokiem, nie mogąc ruszyć głową. – Ile to lat minęło? Ponad trzydzieści... Wiele się mogło wydarzyć w tym czasie. Cholernie wiele. Zwłaszcza przy tym całym postępie technicznym. Mam rację?

Sokołow milczał, na jego czole pojawiły się kropelki potu.

Kościej uśmiechnął się. Widział, że w jego ofercie narasta strach. Nauczyciel patrzył szeroko otwartymi oczami, jak jego oprawca otwiera kosmetyczkę, wyciąga z niej kilka małych plastikowych ampułek i podnosi je w górę, sprawdzając ich zawartość.

– A teraz macie mi powiedzieć, co robiliście przez te wszystkie lata. Czy zapomnieliście o dawnym życiu i rewolucyjnej pracy, jaką wykonywaliście dla Ojczyzny, i zamieniliście się w nudnego przedstawiciela amerykańskiej klasy średniej? A może nie udało się wam stłumić naukowej pasji?

Oderwał czubek jednej ampułki. Resztę schował z powrotem do kosmetyczki.

– Szczerze mówiąc, byłbym autentycznie zdumiony, gdyby udało się wam o tym wszystkim zapomnieć. Tak błyskotliwemu naukowcowi jak wy... Trudno było raczej wepchnąć dzina z powrotem do butelki, co?

Pochylił się nad więźniem, po czym lewą ręką ponownie przyspilił głowę nauczyciela do kaloryfera. Otwartą dłoń z rozcapierzonymi palcami położył na twarzy Sokołowa. Pociągnął policzki w dół, rozwierając szeroko jego oczy, po czym najpierw w jedno, a potem w drugie wkropił ciecz z ampułki.

Puste pojemniki schował do kosmetyczki.

– Pewnie spodoba się wam próbka tego, co wynaleźli wasi byli koledzy z Zarządu „S”, towarzyszu. – Przerwał, a po chwili dodał: – Departament Dwunasty. – Zaczekał, aż Sokołow zrozumie i wzmianka o tajnej grupie KGB powołanej do badań nad bronią biologiczną wzbudzi w nim jeszcze większy strach. – Oczywiście ich wynalazek nie jest tak wyrefinowany jak wasz. Ale sprawdza się wyśmienicie.

Podniósł kosmetyczkę, wstał i wyszedł z biura.

– Zaczekajmy kilka minut, aż zacznie działać – rzucił na odchodnym. – A kiedy już będziecie gotowi, macie mi opowiedzieć o wszystkim, co robiliście przez te lata.

Wyglądało na to, że znajdziemy tam kolejne ciała. Według Dafne, co najmniej dwa. Może więcej.

Może nawet jej męża, choć z tego, co mówiła, mężczyźnie, który go porwał, bardzo zależało, żeby mieć go żywego.

Na tym etapie ja też chciałem go dorwać. Nie Sokołowa. Tego drugiego Rosjanina; tego, który porwał Sokołowa. Ale nie zależało mi aż tak, żeby był żywy. Chociaż muszę przyznać, że w pewien perwersyjny sposób ta perspektywa niemalże mnie podniecała. Byłem zaintrygowany. Ciekawiło mnie, kim jest, dlaczego to robi i dla kogo. Chciałem spojrzeć mu w oczy – pewnie najbardziej niesamowite i bezwzględne, jakie zobaczę w życiu. Chciałem zamienić z nim parę słów i dowiedzieć się, jak pracuje jego umysł. A potem dopiero go przymknąć. Wiedziałem jednak, że to nie będzie takie proste. Nie miałem co do tego żadnych złudzeń. Na razie nie popełnił ani jednego błędu.

Przez chwilę liczyłem na to, że pomoże nam jego opis podany przez Dafne, ale się rozczarowałem. Powiedziała nam wszystko, ale nie na wiele się to zdało. Facet, którego widziała w motelu, miał kocią bródkę, okulary i długie włosy z przedziałkiem pośrodku. Kiedy zobaczyła go ponownie w starym magazynie paliw, był brodaty, miał czarne okulary i bejsbolówkę naciągniętą na oczy. Podała nam jego wzrost i budowę ciała, sprowadziliśmy więc grafika, który miał spróbować naszkicować coś bardziej konkretnego, ale raczej nie spodziewałem się, że wyjdzie z tego realistyczny portret, a bardzo by nam się teraz przydał.

Przez cały czas Dafne starała się nie wymieniać nazwiska osoby, która przywiozła ją na komisariat. Nazywała ją: „tym facetem” albo „kolegą Leo”. Obserwując ją, domyśliłem się jednak, że wie więcej, niż mówi. Nietrudno było zresztą odgadnąć, dlaczego tak niechętnie wypowiada się na temat swojego wybawiciela.

– Posłuchaj, Dafne. Z tego, co mówisz, wynika, że przede wszystkim powinniśmy porozmawiać z tym facetem, który przyjechał z Leo do doków. Leo zabrał go tam nie bez powodu. Razem chcieli cię uratować. Co oznacza, że mu ufał. A skoro mu ufał, to mógł mu powiedzieć, co tu jest właściwie grane. Więc jeżeli mamy mieć choć cień szansy na to, żeby go znaleźć, to również musimy to wiedzieć. Ponieważ na razie nie wiemy nic; nie mamy też właściwie żadnych tropów. Leo jest gdzieś przez kogoś przetrzymywany, a my możemy tylko czekać i liczyć na to, że coś się wydarzy. Ale w ten sposób nie rozwiązuje się spraw.

Zmarszczyła brwi, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, nagle jednak się zawahała.

– Powiedziałam wam wszystko, co wiedziałam – rzekła. – Przyjaciel Leo też nic nie wie. Mówił mi.

– Na pewno coś wie – upierałem się. – Czasem nawet drobiazg może spowodować przełom. Do tego właśnie się nas szkoli. Na tym polega nasza praca. Tymczasem z każdą minutą zwiększa się ryzyko, że Leo nie wyjdzie z tego cało. – Przyglądałem się jej przez chwilę, ale ciągle nie była przekonana. – Z tego, co mi mówiłaś, kimkolwiek jest, pojawił się tam, żeby cię bronić. Dla mnie jak najbardziej w porządku. Mam gdzieś to, że sprzątnął jednego z nich. To nie jego szukam, rozumiesz? Chcę tylko uratować twojego męża i przyskrzynieć faceta, który go porwał. Nic więcej.

Uciekła niepewnie wzrokiem, spoglądała na twarze innych osób obecnych



w pokoju, a potem popatrzyła znowu na mnie i kiwnęła głową.

– Ma na imię Jonny. To znaczy, tak do niego wszyscy mówią. W rzeczywistości nazywa się Jang Dżon-Hi. Jest Koreańczykiem. – Przerwała, po czym dodała: – Leo kiedyś go uczył. We Flushing High. Zanim chłopak zszedł na złą drogę.

Poprosiłem, żeby powiedziała nam o nim coś więcej. Kiedy to zrobiła, stało się jasne, że Jonny musi mieć u nas kartotekę. Poprosiłem O’Neilla, żeby ją wydobył.

– A co z jego kolegą? – spytałem Dafne. – Z tym, który was osłaniał?

Pokręciła głową.

– Nie znałam go.

– Gdzie możemy znaleźć Jonny’ego? – dopytywałem się. – Gdzie teraz jest?

– Nie mam pojęcia. Nie mówił mi, co ma zamiar zrobić. – Nagle jej twarz złagodniała. – Obiecujcie, że nie będziecie dla niego zbyt surowi. Próbował mi tylko pomóc.

– W ogóle się tym nie przejmuj – uspokoilem ją, a potem spojrzałem na O’Neilla. – Ma furgonetkę. Musimy puścić w eter jej dane. – Odwróciłem się z powrotem do Dafne. – Nie pamięta pani może numeru rejestracyjnego furgonetki Leo?

– Nie – odparła skonsternowanym i lekko poirytowanym tonem. – Godzinę temu nie wiedziałam nawet, że mój mąż ma furgonetkę.

Kartoteka Jonny'ego znalazła się bardzo szybko.

Wyglądało na to, że chłopak z prędkością światła wspiął się na sam szczyt hierarchii swojego gangu i obecnie jest jego szefem. Jako miejsce zamieszkania podany był adres rodziców w Murray Hill, ale według akt większość czasu spędzał w Zielonym Smoku, restauracji swojej ciotki, gdzie jego kuzynka, Aj-Cza, była hostessą. Do ciotki Jonny'ego należały również trzy mieszkania nad restauracją. Sama zajmowała jedno z nich. W kartotece zapisano, że chłopaka łatwiej zastać tam niż w domu. Trafiliśmy też na informację, że w trakcie trwającego ponad trzy lata śledztwa nikomu z gangu Jonny'ego nie przypisano żadnego przestępstwa ani udziału w handlu narkotykami. Podczas gdy Rosjanie lojalność *bratków* zapewniali sobie poprzez strach i zastraszenie, Koreańczycy polegali na silnych więziach rodzinnych, których zerwanie było niemal niemożliwe.

Kiedy skręcałem w Trzydziestą Trzecią Ulicę, odezwała się komórka Aparo – rozbrzmiała melodia ze starego serialu *Dragnet*. Byłem z niego dumny. Odebrał telefon, przedstawił się, przez dłuższą chwilę słuchał, burknął kilkukrotnie: „Aha”, po czym zakończył lakonicznym: „Jasne”.

– W dokach mamy trzy trupy – poinformował mnie. – Dwóch Rosjan. Jeden Koreańczyk. Karki wytatuowane od stóp do głów i koreański dzieciak, na razie niezidentyfikowany. Sprawdzają właśnie jego odciski. Znaleźli też tyle łusek, co na przeciętnym polu bitwy: dziesięciomilimetrowe, prawdopodobnie z MP-5, trzystatrzdziestkiósemki, czyli z broni snajperskiej, i kilka dziewięciomilimetrowych.

– O Jezu... Wygląda na to, że Jonny z kumplem postawili się Iwanowi Groźnemu i jego zbirom. – Zrobiło to na mnie wrażenie, choć było raczej mało rozsądne. – Coś jeszcze?

– Escalade. Uziemiony. Przebite przednie koło.

Dobił mnie. Gość zrobił nas w konia za pomocą takiej samej półterenówki.

– Musimy się dowiedzieć, jak Iwanowi udało się stamtąd wydostać.

– Może użył wozu zastrzelonego snajpera?

– Być może. Wysłali tatuaże do Joukowsky'ego?

– Tak.

Zaparkowaliśmy naprzeciw Zielonego Smoka, ale nie wysiedliśmy z samochodu.

Aparo spojrział na mnie. Zauważył, że coś nie daje mi spokoju.

– Wyrzuć to z siebie. Jestem głodny.

– Chodzi o furgonetkę. Wiem, że to głupie, ale... to w ogóle nie ma sensu. Sokołow trzyma ją w tajemnicy przed żoną. Potem jedzie nią do doków. Czegoś tu nie rozumiem.

– Wyparłem tę myśl z głowy. – Nie znalazła się może?

– Kanigher ściąga nagrania z okolicznych kamer przemysłowych i drogowych.

Może uda nam się trafić na jakiś ślad.

Nie było wyjścia: musieliśmy czekać.

– Okej. Chodźmy na małe *kimchi*, zanim zemdlejesz.

Wysiedliśmy, minęliśmy grupkę palaczy przed restauracją i weszliśmy do środka.

Wnętrze było zaskakująco obszerne. Jedna podłużna sala z wysokim sufitem, niezbyt jasno oświetlona i misternie udekorowana. Miała klimat starej, autentycznej koreańskiej restauracji, bez niepotrzebnych wtętów w stylu fusion. Nawet o tak późnej porze panował w niej ożywiony ruch: biesiadnicy tłoczyli się wokół niewielkich stolików, a istna armia kelnerów i kelnerek nawigowała wąskimi przejściami, roznosząc ogromne talerze z jedzeniem. Klientami byli w większości Azjaci, starzy i młodzi, i wszyscy wydawali się zadowoleni.

Nie minęło więcej niż kilka sekund, kiedy wyrosła przed nami młoda Koreanka w jedwabnej sukience z nadrukiem w kształcie zielonego smoka. Rozłożyła ręce i uśmiechnęła się zachęcająco.

Również się uśmiechnąłem, a Aparo błysnął odznaką.

Natychmiast zrzęda jej mina.

– Mieliśmy już inspekcję – powiedziała, odciągając mnie dyskretnie na bok. – Dostaliśmy ocenę B. Tylko siedemnaście punktów.

Aparo wyszczerzył zęby.

– W tej chwili, złotko, zjadłbym tutaj nawet, gdybyście dostali D minus.

– Jesteś Aj-Cza? – spytałem.

Zdziwiła się; kiwnęła głową.

– Chcielibyśmy rozmawiać z Jonnym.

Kiedy wymawiałem to imię, na jej twarzy nie drgnął nawet pojedynczy mięsień.

– Nie ma go. Spróbujcie łapać go w domu.

Aparo pokiwał głową.

– Spróbujemy.

Wskazałem na wnętrze restauracji, w stronę kuchni.

– Ale skoro już tutaj jesteśmy, to chcielibyśmy też uciąć sobie pogawędkę z pani matką. Jest w domu?

Aj-Cza zatrzepotała rzęsami, patrząc na Aparo.

– Jest pan głodny, tak? Na co ma pan ochotę? Może *kalbi*? Serwujemy *son-sol-lo*. Dziś podajemy wieprzowinę i amura. Rybka przylatuje do nas aż z Seulu.

Ponieważ mój partner z wyraźnym trudem koncentrował myśli na śledztwie, postanowiłem przejąć pałeczkę.

– Nie zajmiemy jej zbyt wiele czasu.

Ominąłem dziewczynę i ruszyłem w kierunku kuchni.

Aparo uśmiechnął się do Aj-Czy, wzruszył ramionami i poszedł za mną.

– Dobra, dobra, zaczekajcie! – zawołała za nami hostessa.

Zaprowadziła nas przez wahadłowe drzwi do kuchni, w której chmara kucharzy i kelnerów przerzucała talerze, wrzaskiem przekazując sobie zamówienia. Przedarliśmy się w lewo, gdzie zauważyłem drzwi prowadzące na pogrążoną w ciemnościach klatkę schodową.

– Trzecie piętro – rzuciła Aj-Cza.

Ruszyliśmy w górę.

Aparo powiedział to pierwszy.

– Jonny jest tutaj – burknął. – I to niekoniecznie na drugim piętrze.

– Ale trzeba jej przyznać, że potrafi zachować twarz pokerzystki.

Zachichotał.

– Tak długo, aż się nie odezwie.

Twarcz faktycznie nawet jej nie drgnęła, ale kiedy Aj-Cza kłamała, jej głos natychmiast tracił całą barwę. Jonny tam był i pewnie wiedział już, że do niego idziemy. Szybki telefon od hostessy wystarczył.

Gdy dotarliśmy na pierwsze piętro, Aparo zdążył już się zasapać. Nie zważając na to, co nam przed chwilą powiedziano, postanowiliśmy zajrzeć do pierwszego mieszkania. Podkradliśmy się do drzwi i obaj wyciągnęliśmy broń. Woleliśmy nie ryzykować – pamiętaliśmy doskonale, że idziemy w odwiedziny do gangstera raptusa, który zaledwie parę godzin wcześniej wziął udział w czymś w rodzaju bitwy. Nie miało znaczenia, że przypadkiem walczył po właściwej stronie.

Aparo zerknął na mnie, sprawdzając, czy jestem gotowy, po czym zapukał.

Po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich żwawa Koreanka pod pięćdziesiątkę. Ubrana była w prostą ciemnoniebieską tunikę i kremowe spodnie, a włosy miała przyszyżone na krótko. Z jej twarzy można było wyczytać, że sporo już w życiu widziała i że jest gotowa na drugie tyle.

– Dobry wieczór, pani Jang. Agent specjalny Sean Reilly, a to agent specjalny Nick Aparo. Chcielibyśmy porozmawiać z pani siostrzeńcem Jonnym.

– Poszedł już do łóżka. Ciężko dzisiaj pracował – powiedziała, a potem, niczym na autopilocie, dodała szybko: – To bardzo dobry chłopak. Nigdy nie sprawiał kłopotów.

– Proszę go obudzić – polecił krótko Aparo.

Pani Jang wzrokiem dyrektorki szkoły spojrzała na nasze wyciągnięte spluwy, po czym cofnęła się do krótkiego korytarzyka i powiedziała coś po koreańsku przez drzwi na jego końcu.

Po chwili dobiegło zza nich teatralne ziewnięcie. Aparo pochwycił mój wzrok i obaj schowaliśmy broń.

Czekając na Jonny'ego, rozglądaliśmy się po mieszkaniu, w którym zwracały uwagę przede wszystkim bardzo drogi telewizor plazmowy 3D oraz sporych rozmiarów posążek Buddy.

W końcu w pokoju pojawił się wysoki, szczupły, czarnowłosy młodzieniec. Ubrany

był w szare spodnie dresowe i biały T-shirt, włosy miał w nieładzie. Nawet jeśli tak naprawdę wcale nie wyciągnęliśmy go z łóżka, to zadał sobie sporo trudu, żeby wyglądać na zasnętego. Powiedział coś szybko do ciotki – natychmiast zniknęła – a potem swobodnym gestem przeczesał włosy i opadł na fotel, szerokim łukiem zakładając nogę na nogę.

Zrobiliśmy to samo, rezygnując tylko z machania kończynami.

– To...

Jonny przerwał mi, zanim zdążyłem nas przedstawić.

– Agent specjalny Aparo, a pan to agent specjalny Reilly, jesteście z FBI, a ja nie mam pojęcia, czemu zawdzięczam waszą wizytę.

Postanowiłem zacząć licytację.

– Wiemy, że byłeś w dokach. Dafne Sokołow nam powiedziała.

Spojrzał na nas ze zdumieniem i rozbawieniem.

– Mogła tam być z którymkolwiek z nas. Wszyscy wyglądamy tak samo, no nie? Przypuszczam, że nie macie mnie na kamerze, bo już rozmawialibyśmy na komisariacie.

– Dlaczego miałyby kłamać? – zdziwił się Aparo.

– Nie twierdzę, że kłamie. Sugeruję tylko, że się pomyliła. W wypadku traumy łatwo o coś takiego.

Spojrzał na ciotkę, która bezszelestnie weszła znowu do pokoju. Trzymała w dłoniach tacę, na której stały dzbanuszek z herbatą, filiżanki oraz talerzyk z koreańskimi ciasteczkami.

– Przez cały wieczór nie ruszałem się z mieszkania. Oglądaliśmy z ciotunią powtórkę *CSI: Kryminalne zagadki Las Vegas*. – Przerwał, po czym dodał ironicznym tonem: – Ten odcinek, w którym ktoś zabił prostytutkę.

Uśmiechnąłem się, doceniając jego dowcip. Nie mogłem mu odmówić poczucia humoru, chociaż jego arogancja zaczynała mnie wkurzać.

Pani Jang nalegała, żebyśmy poczęstowali się zieloną herbatą i kleistymi bułeczkami. Kiedy już każdy z nas dzierżył filiżankę i talerzyk – Aparo ciągle łypał chciwie na bułeczki – postanowiłem przejść do rzeczy. Zanim jednak zdążyłem się odezwać, pani Jang wtrąciła:

– Jonny naprawdę przez cały wieczór był ze mną. Grissom zawsze potrafi dopaść zabójcę. Był też u nas sąsiad. Graliśmy w trójkę w madżonga. Mogą go panowie zapytać.

– Czy w madżonga nie gra się przypadkiem w czwórkę? – zainteresował się Aparo.

Młody Koreańczyk uśmiechnął się.

– A nie mówiłem, że według was wszyscy Azjaci są tacy sami? W naszego, koreańskiego madżonga gra się w trójkę. Według starych reguł, ale z mniejszą liczbą graczy. Chińczycy kręcą na to nosem, ale my, Koreańczycy, jesteśmy pragmatykami. Po co czekać na czwartego, skoro można zagrać we trzech?

Pani Jang i jej siostrzeniec wymienili uśmiechy, a potem Jonny wbił zęby w kleistą bułeczkę.

Przeżuwał niespiesznie, najwyraźniej demonstrując nam, że nie boi się ani mnie, ani FBI. Aparo wgapił się w swój telefon.

W końcu Jonny przełknął.

Nie mogłem podważyć jego alibi. Młody gangster miał na poparcie swoich słów nie tylko kłamstwa ciotki, ale pewnie i ich sąsiada. Miłość i strach – trudno o lepszą mieszankę.

Odstawiłem talerzyk.

– Jonny, nie mam żadnego interesu w tym, żeby kwestionować twoje alibi. Z tego, co się orientuję, pomogłeś tylko przyjacielowi i jego żonie. Dafne wyszła z tego cała i zdrowa, najprawdopodobniej dzięki tobie. – Skosztowałem bułeczki. Smakowała jak wata cukrowa. – Możemy trochę „pogdybać”?

Jonny ledwie dostrzegalnie skinął głową, a jego ciotka natychmiast wstała i wyszła z mieszkania, cicho zamykając za sobą drzwi.

Koreańczyk wskazał na stojący na środku pokoju lakierowany stolik.

– Wyciągnijcie telefony i połóżcie je na stole, a „pogdybamy” sobie tak długo, jak będziecie chcieli.

Aparo natychmiast spełnił jego prośbę, wykorzystując okazję, by drugą ręką sięgnąć po kolejną bułeczkę. Jonny podniósł jego komórkę i wyjął z niej baterię.

Powściągając rozdrażnienie – nie lubię, kiedy ktoś mówi mi, co mam robić – również wyciągnąłem komórkę, zsunąłem obudowę i wyciągnąłem baterię. Z własnej inicjatywy zdjąłem też kurtkę i zademonstrowałem, że nie mam na sobie podsłuchu. Usiadłszy z powrotem, spróbowałem pochwycić wzrok Jonny’ego, ale miał irytujący zwyczaj uciekania oczami, kiedy tylko udało mi się w nie spojrzeć – pewnie nauczył się tej sztuczki podczas licznych przesłuchań na policji, które zdążył w swym krótkim życiu zaliczyć.

– A zatem, gdyby nie było cię tutaj i gdybyś nie oglądał cały wieczór naciąganych filmów, gdyby za to naszła cię ochota pomóc komuś, na kim ci w najoczywistszy sposób zależy, to co mogło się wydarzyć?

– Sokołow mógł mi powiedzieć, że ma hazardowe długi, co byłoby jedną wielką bzdurą. Gość pewnie nigdy w życiu nawet nie grał w karty. W każdym razie nie na pieniądze.

Aparo przełknął bułeczkę.

– Masz jakiś pomysł, o co mogło chodzić tak naprawdę?

– O co mogłoby chodzić? – zapytał z uśmiechem.

– Przestań się zgrywać, Jonny – przycisnąłem go. – Próbujemy uratować mu życie.

Choć nadal unikał kontaktu wzrokowego, nagle dostrzegłem na jego twarzy wahanie, tak jakby próbował zdecydować, czy jakaś informacja jest istotna, czy nie.

– Nie mam pojęcia. Ale powiedział, że umarłby za swoją żonę.

Nachyliłem się.

– Sokołow to powiedział?

– Powiedział, że w zamian za Dafne zaoferuje siebie. Chciał tylko, żeby była bezpieczna.

– Kiedy to powiedział?

– Wczoraj wieczorem, kiedy do mnie przyszedł.

– Wspominał, gdzie się zatrzymał?

– W jakimś hotelu w mieście. Ale ostatnią noc spędził tutaj. Wyglądał, jakby przeszedł przez piekło. Wyszedł stąd, żeby przywieźć tę kretyńską furgonetkę.

Zamyśliłem się.

– Opowiedz mi o tej furgonetce.

– Była dziwna, to na pewno. Uparł się, żeby nią jechać do doków. Ni cholery tego nie rozumiem. To najgorszy gruchot, jaki można sobie wyobrazić. Ale się uparł. Powiedział, że zamontował w nim jakąś syrenę, która niby miała nam pomóc. Jest tak głośna, że kazał mi nałożyć ochraniacze na uszy. Takie, jakie noszą budowlańcy. Miał ich tam ze dwie pary, a sam zabrał ze sobą zatyczki do uszu, starał się, żeby Rosjanin ich nie zauważył.

– Syrena?

– Tak się domyślam. Nie użył tego słowa.

– Pamiętasz może, dokąd pojechał po furgonetkę?

– Nie.

– A gdzie ona jest teraz? – wtrącił Aparo.

– Jak już podrzuciłem panią Sokołow pod komisariat, pojechałem na wybrzeże i porzuciłem ją tam. Chyba gdzieś w pobliżu wyspy Randalla. Było późno i nie patrzyłem na mapę. – Wzruszył ramionami. – Po tych paru godzinach pewnie stoi już na ceglach.

Aparo odstawił filiżankę i talerzyk. Spojrzał na Jonny'ego.

– Nie zapytałeś nas o Jachina Kima.

Twarz Jonny'ego stężała. Wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć.

Mój partner wybawił go z kłopotu.

– Twój przyjaciel nie żyje. – Wskazał na swój telefon. – Właśnie zidentyfikowano ciało po odciskach palców. – Przerwał, wpatrując się w Koreańczyka. – W sumie niezły kwas. Właściwie zginął przez ciebie.

Naprawdę był mistrzem transformacji. W ułamek sekundy z głodnego gliniarza zamienił się w hardego inkwizytora? Nic dziwnego, że doczekał się reakcji.

Jonny zerwał się i przewrócił stół, rozrzucając po podłodze części naszych komórek. Zaraz jednak zamarł, odzyskując nad sobą kontrolę.

– Nie miałem pojęcia, co się, do kurwy nędzy, dzieje – powiedział stłumionym

głosem. – Może i Sokołow wygląda na kochanego staruszka, ale to zwykły łgarz. On akurat wie bardzo dobrze, co jest grane. Po prostu nikomu nic nie mówi. Chociaż w tej chwili może właśnie mówi. Lepiej go znajdźcie, zanim ten skurwysyn potnie go na kawałki.

Wstałem i spokojnie pozbierałem części mojej komórki. Aparo poszedł w moje ślady.

– Opowiedz nam o nim. O Rosjaninie.

Jonny streścił nam przebieg wypadków. Nie powiedział zbyt wiele na temat wyglądu Rosjanina, ale kiedy opisywał jego ruchy, poczułem, że ciarki przechodzą mi po plecach. Koreańczyk zdecydowanie nie zaliczał się do żółtodziobów i sporo w życiu przeszedł, a mimo to widać było wyraźnie, że na samą myśl o Rosjaninie robi mu się zimno.

Nie mieliśmy tam nic więcej do roboty. Wstaliśmy. Zanim ruszyliśmy w stronę drzwi, odwróciłem się do Jonny'ego. Uprzedził mnie jednak.

– Nigdzie się nie wybieram – powiedział. – Zresztą po co miałbym wyjeżdżać? W końcu mnie tam nie było.

– Właśnie – odparłem i obaj z Aparo wyszliśmy.

Siedziałem w samochodzie, czekając na Aparo, który odbierał jedzenie na wynos. Moje myśli krążyły wokół jednego obrazu: Rosjanina nacierającego z Sokołowem w charakterze tarczy i strzelającego raz za razem z pistoletu.

W razie czego facet nawet się nie zawaha i będzie walczył do końca, nawet jeśli wynik będzie przesądzony.

Aparo podszedł do samochodu z brązową papierową torbą w ręku i wszedł do środka.

– Nasi już są? – spytał.

Czekaliśmy na dwa nieoznakowane wozy grupy obserwacyjnej FBI. Jeden miał obstawić przednie, a drugi tylne wyjście z restauracji. Wolałem mieć odtąd Jonny'ego na oku. To nasz jedyny trop. W dodatku był wściekły i pewnie się zastanawiał, jak by się zemścić. Czego wolałbym uniknąć. W mieście mogło zabraknąć worków na ciała.

– Będą za pięć minut – powiedziałem.

Aparo pokiwał głową i zaproponował mi koreańskie pierożki. Przyjąłem je z wdzięcznością. Jak to mówią: nigdy nie przepuść okazji, żeby sobie podjąć w robocie.

Kiedy wgryzałem się w pierożka, obok przejechała dosyć nijaka furgonetka, przypominając mi o dziwnym posunięciu Sokołowa. Zastanawiałem się, do czego taki spryciarz jak on potrzebował tego rodzaju wozu. Musieliśmy odtworzyć po kolei jego ruchy. Postanowiłem sprawdzić później w wydziale komunikacji tę furgonetkę. Może dowiemy się, gdzie ją trzymał.



Jonny zaczekał parę minut, upewnił się, że agenci sobie poszli, po czym wbiegł do sypialni i się przebrał.

W salonie czekała na niego ciotka. Spojrzała surowo na chłopca.

– Zostań tutaj – powiedziała. – Policja to jedno, ale FBI? Nie potrzebujemy takich kłopotów.

Jonny położył jej uspokajająco dłoń na ramieniu.

– Nie martw się, ciociu. Idę tylko zaczerpnąć świeżego powietrza. Muszę pomyśleć. Poza tym, jeżeli tutaj zostanę, Aj-Cza zadreczy mnie pytaniami na temat Jachina. Znowu.

Nie do końca kłamał. Nie miał pojęcia, jak powiedzieć kuzynce, że jej chłopak – narzeczony, jak go nazywała – nie żyje.

Pomknął schodami na górę, pokonując po dwa stopnie naraz, i otworzył drzwi do swojego mieszkania. Okrążył szklany stolik, skrzywił się, spojrzawszy na sofę, która przypominała mu o tym, jak Sokołow przyszedł do Zielonego Smoka, po czym wbiegł do sypialni. Przerzucił zawartość skrytki, szukając sigy kaliber 9 mm. Sprawdził magazynek, wetknął pistolet za pasek na plecach, otworzył okno i wspiął się na schody pożarowe.

Przypuszczał, że agenci kazali obstawić wyjścia na dole, starał się więc nie robić hałasu. Wszedł na górę budynku, przeszedł po dachach dwóch domów, a schodami pożarowymi trzeciego zszedł na ulicę. Stał przed frontowymi drzwiami i rozejrzał się, sprawdzając, czy ktoś go nie obserwuje, po czym zagłębił się w mrok.

Nawet o tak późnej porze na ulicach było na tyle dużo ludzi, że za bardzo się nie wyróżniał. Skręcił za rogiem i ruszył w stronę oddalonego o parę przecznic lądowiska dla helikopterów przy rzece. Znał tamtejszych strażników; miał z nimi sukcesywnie odnawianą umowę, w myśl której w zamian za kilka stówek od czasu do czasu zapewniali mu dyskrecję i w razie potrzeby wymazywali nagrania kamer monitoringu. Potrzebował dzisiaj jednego z motocykli, które u nich trzymał. Po drodze myślał o tym, że jego ciotka chyba ma rację. Interesy szły świetnie. Jego pozycja w gangu była solidna. Ostatnie, czego potrzebował, to zbyt dużo szumu wokół siebie. I po co właściwie? Dla tego starego gruchota? Zupełnie bez sensu! Z drugiej strony, Jonny zawsze słuchał swojego instynktu, a ten podpowiadał mu, że w tym akurat starym gruchocie kryje się znacznie więcej, niż można z pozoru sądzić. Upór Sokołowa, jego wymijające odpowiedzi, hardcore'owa natura sukinsyna, który go zgarnął, zdumienie Dafne, gdy usłyszała o furgonetce, te dziwne ochraniacze na uszy – wszystko to układało się w jakąś całość.

Nie wiedział tylko jaką.

Wystarczyło to jednak, żeby nabrał ochoty, by odzyskać tę cholerną chłodnię

i zabrać ją w ustronne miejsce, gdzie mógłby się jej spokojnie przyjrzeć. W razie potrzeby mógł ją nawet rozłożyć na części. Na szczęście okłamał federalnych, mówiąc, że porzucił furgonetkę. A właściwie nie miało to nic wspólnego ze szczęściem – taką już miał naturę.

Ta właśnie jego natura coraz donośniej domagała się krwi.

Kościej oniemiał.

Krople do oczu wypełniły swoje zadanie. Tak jak tylekroć przedtem.

Sokołow powiedział mu wszystko. A było tego o wiele więcej niż w krótkiej notatce od generała, którą Kościej czytał.

Siedząc teraz i patrząc na naukowca, czuł, że ogarnia go euforia. Mężczyzna naprzeciw niego był autentycznym geniuszem. Nie w takim znaczeniu, w jakim dzisiaj używa się tego określenia. Kościej tego nienawdził. Ostatnio zdecydowanie zbyt hojnie się nim szafuje, zwłaszcza na Zachodzie. Każdy jest tu geniuszem, podczas gdy, jeśli spojrzeć na to zdroworoządkowo, większość z nich nawet butów nie powinna czyścić tym prawdziwym. Ale Sokołow z całą pewnością był geniuszem. A myśl o jego osiągnięciach sprawiała, że Kościejowi wirowało w głowie.

Inspirująca była też jego pomysłowość.

Dostrzegął w tym ogromny potencjał. Możliwości, które należało wykorzystać. Całe mnóstwo. Zabrać Sokołowa z powrotem do Rosji, do jego przełożonych, zgodnie z celem misji – to chyba nie był najlepszy pomysł.

Potrzebował czasu do namysłu. Żeby wszystko zaplanować. Ustalić strategię. Zdawał sobie sprawę, że trafiła mu się okazja, na którą czekał. Szansa, by wyrównać rachunki. By wszystko naprostować. By dowalić dwulicowym towarzyszom tak, że popamiętają.

Sokołow dostarczył mu czegoś wyjątkowego, za pomocą czego pewni ludzie mogą wiele osiągnąć. Ludzie, którzy będą gotowi wynagrodzić go bardzo, bardzo hojnie. Ludzie, których Kościej znał i z którymi robił już interesy.

A najlepsze było to, że obecnie nikt nawet nie wie, czym Kościej dysponuje. Sokołow starannie strzegł swoich tajemnic. Nawet jego żona o niczym nie miała pojęcia. Amerykanie nie wiedzieli nic a nic. A generał i paru wybrańców w centrali i w Pierwszym Zarządzie, którzy znali prace Sokołowa, byli za nim daleko w tyle. O całe dziesięciolecia. Już to, co naukowiec osiągnął wtedy, zapierało dech w piersiach. A to, czego dokonał od tego czasu, było po prostu zdumiewające. Kościej napawał się niewiedzą swoich przełożonych. Jego pogarda do nich tylko wzrosła, kiedy wyobraził sobie ich tam, w Moskwie, w centrali, zadowolonych z siebie, zarozumiałych, przeżartych korupcją, a przy tym niemających bladego pojęcia o tym, co właśnie odkrył.

Co oznaczało, że ma wolną rękę. Wolną rękę, by z żołnierza piechoty stać się szyczą.

Zanim jednak cokolwiek zrobi, musi się zająć pewnym dosyć poważnym problemem.

Sokołowowi opadały powieki – pacjenci poddani działaniu SP-117 po przesłuchaniu wpadają w długi głęboki sen. Zanim pozwoli mu odpłynąć, musi wyciągnąć z niego pewną informację.

Złapał mocno Sokołowa za podbródek, zmuszając go do skupienia się.

– Opowiedz mi jeszcze – rozkazał – o tym całym „Jonnym”. Mów, gdzie go mogę znaleźć.

Jonny skręcił swoim kawasaki z Crocheron w Sto Sześćdziesiątą Dziewiątą Ulicę i zwolnił, jak tylko się dało. Okrążył niespiesznie cały kwartał, rozglądając się na prawo i lewo za glinami, ale nikogo nie zauważył.

Furgonetka stała tam, gdzie ją zostawił – zaparkowana w alejce za trójpasmową podmiejską ulicą, z tylną tablicą przystawioną do muru, a przednią zasłoniętą kontenerem na śmieci, który tam przepchnął. Nie miał zamiaru tarabanić się przez most albo tunel gruchotem z pękniętą szybą, w dodatku podziurawionym kulami. Domyślał się, że nawet jeśli numery furgonetki nie zostały przesłane do wszystkich jednostek policji jeszcze przed jego rozmową z federalnymi, to teraz z całą pewnością gliny nadrobiły już zaległości.

Musiał gdzieś ją ukryć, i to szybko.

Wsiadł do środka i zapuścił silnik.

Początkowo miał zamiar znaleźć jakąś kryjówkę w labiryncie dróg dojazdowych, tam, gdzie Cross Island i Grand Central Parkway zbiegają się z Alley Pond Park, ale ostatecznie zmienił zdanie. Wprawdzie ryk samochodów zagłuszyłby syrenę – czy też inne cholerstwo, jakie wpadło mu w ręce – ale z drugiej strony roiło się tam od ulicznych kamer i na pewno by go zarejestrowały.

Przyszło mu do głowy coś lepszego. Jego gang dysponował magazynem przy Powells Cove Boulevard, niedaleko East River. W tym kwartale w ogóle nie było domów mieszkalnych, po jednej stronie znajdował się magazyn drzewny, a po drugiej – zakład utylizacji odpadków, oba o tej porze puste. Wiedział też, że od strony tego pierwszego w ogóle nie ma kamer wycelowanych w cieśninę Long Island.

Ruszył przed siebie. Ulice były prawie puste i na miejsce dotarł w mgnieniu oka.

Zaparkowawszy przy pokrytym graffiti magazynie, spojrział w kierunku wody. Jeżeli syrena jest naprawdę głośna, to przypadkowy przechodzień weźmie ją za róg mgłowy przepływającej łodzi. A już z całą pewnością nikt, dopóki nie stanąłby zaraz obok, nie skojarzyłby z nią poobijanej białej furgonetki z panelem agregatu chłodniczego na dachu. Zresztą i tak wokół nie było nikogo.

Przez dłuższą chwilę spoglądał na przycisk, aż w końcu pomyślał: raz kozie śmierć, nałożył na uszy ochroniacze i przestawił przełącznik.

Nic.

Żadnej syreny, żadnego dźwięku.

Cisza jak makiem zasiał.

Zdjął ochroniacze.

Ciągle nic.

Przełączył z powrotem do pozycji „off” i pokręcił głową.

Zaczynało mu w niej lekko huczeć. Zresztą nic dziwnego, zważywszy, ile się

wydarzyło, odkąd dwa dni wcześniej wpadł do niego z wizytą Sokołow. Jego przyjaciel, niemalże brat, chłopak kuzynki, nie żył, a on był na celowniku federalnych. A przecież teraz, kiedy jego brat wycofał się z biznesu, a szef przebywał w Miami, Jonny nawet interesy miał prowadzić tylko na pół gwizdka, żeby niepotrzebnie nie zwracać na siebie i gang uwagi.

Przygotował sobie parę kresek i wciągnął je jedną po drugiej. Odkąd zajmował tak znaczącą pozycję w łańcuchu dostaw, przynajmniej miał zapewniony dostęp do wysokiej jakości towaru i z tego akurat przywileju nie wahał się korzystać.

Parę razy wciągnął głęboko w płuca powietrze, czekając, aż po pierwszym uderzeniu prochów jego serce wróci do normalnego rytmu.

To wszystko było jakieś śmieszne. Przecież przełącznik musiał coś spowodować. Cokolwiek!

Kluczyk tkwił w stacyjce, więc raczej nie chodziło o brak zasilania.

Nagle zdał sobie sprawę, że nawet nie przyjrzał się uważnie ładowni samochodu. Był tak zajęty – najpierw Sokołowem, a potem jego żoną – że nie otworzył tylnych drzwi, żeby wszystko lepiej sprawdzić.

Czas najwyższy naprawić ten błąd.

Przelazł przez fotel, otworzył wąskie drzwi w kabinie i przecisnął się do ładowni.

Było tam czysto i schludnie. Wnętrze wyłożono białym i twardym plastikiem, jak lodówkę. Zobaczył duże metalowe pudło, przyśrubowane do podłogi, i cztery mniejsze czarne skrzynki przymocowane przy ścianie po drugiej stronie, również na stałe. Wyglądały jak stare komputery PC, tyle że wcale nie były stare, a na każdym z nich znajdowały się niewielkie panele z czerwonymi i zielonymi lampkami LED-owymi oraz cyfrowymi wyświetlaczami. Wszystko razem było połączone grubym, lecz starannie ułożonym zwojem kabli. Kolejne przewody biegły wnętrzem furgonetki w stronę panelu chłodni, a inne znikwały w podstawie ścianki działowej za kierowcą.

Duże pudło było zabezpieczone prętem oraz wielką kłódką, do której jednak nie pasował żaden z kluczyków furgonetki.

Jonny wysiadł i rozejrzał się za czymś, czym mógłby sforsować kłódkę.

Nie trwało to długo. Jakies pięć metrów dalej leżał na ziemi pręt zbrojeniowy, pewnie wyrzucony przez kogoś z zakładu utylizacji odpadków.

Zaniósł go do furgonetki i podważył nim kłódkę. Za trzecią próbą, przy akompaniamencie głośnych i siarczystych koreańskich przekleństw, ustąpiła.

Skrzynia była wypełniona wyglądającymi groźnie elektronicznymi urządzeniami. Przypominało to jakieś megastereo zmagistrowane przez pana złotą rączkę. Jonny spoglądał ciekawie na metalowy stojak pokryty szczelnie tarczami, miernikami i gniazdkami, pomiędzy którymi biegły dziesiątki przewodów. Do niego przymocowany był laptop.

Jonny nie miał pojęcia, do czego mogłyby służyć te wszystkie urządzenia.

Cokolwiek to było, musiało być skomplikowane.

Przez kilka minut gapił się skołowany na zawartość skrzyń, aż w końcu postanowił sprowadzić eksperta.

Wyjął komórkę, wybrał numer i zaczekał.

Po chwili w słuchawce odezwał się zaspány głos.

– Szin! – przywitał się Jonny. – Rusz dupsko! Chcę cię zaraz widzieć w dziupli. Muszę ci coś pokazać.

Wróciłem na Federal Plaza. Byłem na skraju załamania. Niezbyt przyjemne uczucie, zwłaszcza że dopadło mnie o pierwszej nad ranem, kiedy siedziałem ciągle w biurze, zamiast wkurzać Tess inkryminowanym mi chrapaniem.

Z jednej strony wydawało się, że rozgrywkę mamy za sobą i że przegraliśmy. Nasz tajemniczy Rosjanin – którego nazywaliśmy już wszyscy Iwanem – miał Sokołowa i rozplątał się w mroku. Może było już po zabawie? Jak się zdawało, Iwanowi chodziło przecież przede wszystkim o niego. Dostał, czego chciał, mógł więc zniknąć na dobre. Ale nawet jeśli, to pozostawało mnóstwo pytań bez odpowiedzi. Nie wiem dlaczego, ale nie mogłem pozbyć się wrażenia, że to dopiero cisza przed burzą.

Jak się domyślicie, roboty mieliśmy po łokcie. Trzy incydenty i w sumie jedenaście zabójstw w ciągu niecałych siedemdziesięciu dwóch godzin – nikt nie mógł liczyć tej nocy na powrót do domu. Zadzwoiłem tylko szybko do Tess, żeby jej powiedzieć, że nie wiem, kiedy wrócę, i żeby się nie martwiła. To ostatnie było, rzecz jasna, trochę bezcelowe. Po paru spędzonych wspólnie latach wiedziała już, co mam na myśli: pracujemy nad czymś naprawdę paskudnym i masz wszelkie powody, żeby się martwić. Ale co innego mogłem powiedzieć?

Z różnych stron napływały kolejne informacje. Udało się nam potwierdzić, że wszyscy martwi Rosjanie, cała piątka, podobnie zresztą jak ten w szpitalu, należeli do gangu Mirmińskiego. Młot stracił siedmiu ludzi, a kolejny był pod nadzorem, na dobre wyłączony z akcji. Podśluchaliśmy parę rozmów, w których go o tym informowano, ale zamiast wpaść w szal, przyjął wszystko z dziwnym spokojem. Pasowało to do równie trudnego do wyjaśnienia szacunku, jakim darzył Iwana.

Chciałem się dowiedzieć, jak to możliwe, że nie zauważyliśmy tych dwóch ostatnich *bratków* – tych, którzy osłaniali właściwe spotkanie Iwana. Przecież objęliśmy ścisłą obserwacją wszystkich zbirów Młota, a mimo to Iwanowi udało się jakoś z nim skontaktować i załatwić sobie eskortę. Nasi spece od obserwacji przeglądali wszystkie nagrania wideo, audio oraz informacje z klubu Mirmińskiego, próbując ustalić, jak sukinsyn zdołał nas obejść. Koniec końców wątpiłem jednak, czy nas to do czegokolwiek doprowadzi. Kluczem do rozwiązania zagadki był, rzecz jasna, Sokołow. Tymczasem otrzymaliśmy kolejny intrygujący strzęp informacji, który jeszcze bardziej zaciemnił nam jej obraz.

Prześwietlenie Leo Sokołowa – a raczej Lwa Sokołowa, bo według naszego miejscowego guru Joukowsky'ego tak brzmiało jego prawdziwe, rosyjskie imię – niewiele nam dało. Odciski palców okazały się czyste. Wywiad środowiskowy potwierdził, że Sokołow prowadził nudne, mieszczańskie życie. Nagle jednak trafiliśmy na prawdziwy cymes: znaleźliśmy drugiego Lwa Nikołajewicza Sokołowa, urodzonego tego samego dnia co nasz Leo, w 1952 roku, który jednak zmarł w wieku

dziewiętnastu lat. Co należało uznać za niespotykany zbieg okoliczności. Albo, i moja sprawdzona w bojach intuicja detektywa podpowiadała, że to bardziej prawdopodobne, Leo – nasz Leo – tak naprawdę wcale nie był Leo Sokołowem. Po prostu wszedł jakoś w posiadanie aktu urodzenia Lwa i wykorzystał go, by zdobyć numer ubezpieczenia społecznego i na jego podstawie stworzyć fałszywą tożsamość.

Co stawiało nad wszystkim, co ustaliliśmy poprzednio, potężny znak zapytania.

Leo Sokołow tak naprawdę wcale nie był Leo Sokołowem.

Piętnaście minut po tym, jak włamał się do metalowego pudła, Jonny był już w dziupli przy Cross Island Parkway. Zastał tam Szina; opierał się o podwójne drzwi i palił ręcznie skręconego papierosa. Miał na sobie postrzępiony stary dres i wyblakłe tenisówki, a kaptur naciągnął tak głęboko na głowę, że niemal całkowicie przesłaniał mu twarz.

Gdy zobaczył, że furgonetka skręca na parking, uderzył trzykrotnie otwartą dłoń w wielkie metalowe drzwi. Otworzyły się przy akompaniamencie skrzypienia metalu o beton i Jonny wjechał do obszernej hali w środku. Szin wszedł za nim i drzwi natychmiast się zamknęły.

Dziupla działała dwadzieścia cztery godziny na dobę. W tej chwili czterech fachmanów pracowało nad porsche panamerą i bentleyem continentalem, przerabiając je przed wyekspediowaniem do Moskwy czy Bejrutu, gdzie miały wylądować w garażach nowych właścicieli, którym niespecjalnie przeszkadzało to, że ich świeżo zakupione wozy zostały ukradzione na innym kontynencie.

Jonny wyskoczył z szoferki. Widząc go, jeden z mechaników wskazał na furgonetkę kluczem.

– Hej, Jonny, niezła fura! Mam ci w niej zamontować pięćsetsiedemdziesiątkidwójki i nitro? Czy może wystarczy naprawić ośmiościeżkowy magnetofon? – Ryknął śmiechem, podobnie jak jego kumple.

Jonny nawet się nie uśmiechnął.

– Jachin nie żyje. Sprzątnął go jakiś ruski skurwiel.

Śmiech natychmiast zamarł im na ustach.

Bon, potężny bandzior, robiący w ekipie za bossa, wytarł poplamione ropą dłonie o szmatkę i podszedł do Jonny'ego.

– Nielekka sprawa – skomentował, przebiegając palcem wzdłuż jednej z dziur po kulach w przedniej szybie. – Co robimy?

– Coś na pewno. Ale jeszcze nie wiem co. A teraz muszę rozkminić jedną rzecz.

Zza furgonetki wyłonił się Szin, prowokując złośliwy uśmieszek Bona.

– Z tym czymś?

Miał na myśli Szina.

– Właśnie – potwierdził Jonny. – Wracajcie do roboty. Nie mam czasu. – Nagle przypomniał sobie o motocyklu. Wyciągnął kluczyki i rzucił je Bonowi. – Niech ktoś



przywiezie mi moją kawkę. Jest na Sto Sześćdziesiątej Dziewiątej. W alejce przy pralni automatycznej.

Bon splunął, wzruszył ramionami i wrócił do bentleya.

– Żaden problem.

Szin podszedł do Jonny'ego i opuścił kaptur, odsłaniając języka oraz kościstą, wychudłą twarz.

Jonny o mało nie podskoczył.

– Człowieku, coś ty ze sobą zrobił? Wyglądasz jak pieprzony kościotrup!

– Stary, żyję na talonach żywnościowych. Swoim pierdolonym doktoratem nie mogę sobie nawet podetrzeć tyłka. – Pokręcił żałośnie głową. – Karmię mnie zawsze tym samym psim gównem, że mam zbyt wysokie kwalifikacje. Nie znalazłem roboty. Nie mogę nawet uczyć w szkole. Nic. A dlaczego? Bo mam zbyt wysokie kwalifikacje. Przejebane, nie?

Wyglądało na to, że za chwilę się rozpłacze.

– Czemu nie kłamiesz? – zdziwił się Jonny. – Nie możesz tak żyć.

– Chodzi o Nikki, ona...

Jonny oszczędził upokorzenia kumpłowi z klasy i nie ciągnął go za język. Zresztą nie chciał słuchać o tym, jak ta suka trzyma go pod pantoflem.

– Zawsze możesz wrócić do mnie – powiedział. – Temu nowemu koleśowi skanowanie i kodowanie pilotów do kluczyków zajmuje dwa razy więcej czasu niż tobie, a i tak potem połowa z nich nie działa.

– Obiecałem Nikki.

– Daję dobrą kasę.

– Może powinienem wrócić? Nie wiem. – Nie wyglądał na przekonanego. Kiwnął głową w stronę furgonetki. – Ile to jest warte?

Jonny zmrużył oczy.

– Powiem ci, jak ty mi powiesz.

Gestem kazał Szinowi podejść za sobą do tylnych drzwi wozu. W środku otworzył metalowe pudło i cofnął się, siadając na obudowie koła. Szin wszedł do ładowni i przyjrzał się urządzeniu.

Przez chwilę wpatrywał się w nie w milczeniu, aż w końcu zagwizdał i się odwrócił.

– *Mmuh-ya yi-gae*, Jonny? Skąd to wytrzasnąłeś? Ze strefy pięćdziesiąt jeden?

Kto to, do ciężkiej cholery, jest?

Nie miałem pojęcia.

Nikt z nas nie miał.

Czyżby był śpiochem? Jeżeli tak, to jak dużo nabroił przez te wszystkie lata? A może przed czymś uciekał? Jeżeli tak, to przed czym albo przed kim? I dlaczego całe to piekło rozpętało się właśnie teraz, trzydzieści lat po tym, jak podszył się pod Sokołowa?

W tamtych czasach nie tak znowu trudno było zniknąć bez śladu. Świat nie był tak skomputeryzowany, nie mieliśmy takich elektronicznych baz danych jak dzisiaj. Każdy bez większego problemu mógł załatwić sobie prawo jazdy, numer ubezpieczenia społecznego i konto w banku; wystarczyło albo nakłonić lekarza do podpisania fałszywego aktu urodzenia, albo, i tak chyba postąpił Sokołow, podszyć się pod kogoś mniej więcej w tym samym wieku, kto umarł.

Nie wiedzieliśmy, kim jest. Nie wiedzieliśmy, skąd pochodzi. Nie wiedzieliśmy, dlaczego jest cenny; tak cenny, że ktoś inny nie wahał się zabić z jego powodu tylu ludzi. Stała za tym tajemnica, której nie byliśmy w stanie zgłębić. Dawne sekrety, które ożyły – nagle i gwałtownie. A najbardziej frustrujące było to, że mogło być po wszystkim, zanim na dobre się zaczęło. Całkiem prawdopodobne, że skoro Iwan dorwał Sokołowa, to właśnie usłyszeliśmy o nim po raz ostatni i już nigdy się nie dowiemy, o co właściwie chodziło.

Bardzo irytujące uczucie.

Irytowało mnie to, że tyle pytań pozostaje bez odpowiedzi, nie tylko tych dotyczących Sokołowa, ale i Iwana. Wiedzieliśmy, że nasz strzelec albo jest wykwalifikowanym zabójcą działającym na zlecenie mafii, albo agentem jakiegoś państwa. Miałem nadzieję, że mamy do czynienia z tym pierwszym. Bo jeżeli nie, i jeżeli to jeszcze nie koniec, to wszystko mogło się bardzo skomplikować, i to na gruncie politycznym. Rosyjski agent strzelający jak do kaczek do swoich amerykańskich kolegów po fachu, w dodatku na naszej ziemi – to coś więcej niż wykroczenie. Tak czy inaczej, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Sokołowie, musieliśmy zwrócić się o pomoc do innych agencji: CIA i ICE, na początek. Poza odciskami, które zdjeliśmy w jego mieszkaniu, nie mieliśmy jednak zbyt wiele. Ale może to wystarczy. Jeżeli chodziło o jakąś tajną operację z czasów sowieckich, to mogli coś wiedzieć. Pytanie tylko, czy podzielią się z nami swoją wiedzą.

Był jeszcze problem uroczej pani Czołmiczewej. Jeżeli Iwan jest ich człowiekiem, to pewnie w tej chwili, po tym, jak zgarnęli Sokołowa, bierze właśnie udział w prywatnym przyjęciu w konsulacie dla uczczenia zwyciężonej sukcesem operacji. Byłem przekonany, że Rosjanie wiedzą, kim on jest – nie miałem tylko pojęcia, jak

dużo wie Larisa.

Musiałem też jeszcze raz porozmawiać z Dafne, chociaż coś mi podpowiadało, że cała ta afera jest dla niej taką samą niespodzianką jak dla nas.

Stanąłem przy szklanej ścianie naszego biura na dwudziestym drugim piętrze i spoglądając na wspaniałe budynki sądu po drugiej stronie Foley Square, wróciłem myślami do samego początku tej całej afery i zacząłem się zastanawiać, jak to w ogóle możliwe, że nauczyciel z liceum okazuje się motorem awantury, w której liczba trupów osiągnęła już dwucyfrowy wynik. I dlaczego cichy, skromny sześćdziesięciolatek powierzył życie swojej żony młodemu koreańskiemu gangsterowi, postrachowi Nowego Jorku? Dlaczego uparł się, żeby na misję ratunkową wybrać się swoją starą furgonetką?

Przez burzę myśli, która wypełniła mi czaszkę, nagle przebił się głos Kanighera.

– Rzuć na to okiem – powiedział, podchodząc do mnie ze stertą kartek w dłoni.

Były to wydruki z kamer drogowych. Na ziarnistych zdjęciach widać było przejeżdżającą furgonetkę.

– Odtworzyliśmy mniej więcej trasę Sokołowa. Wychodzi na to, że z restauracji do doków dostał się albo przez Most Brooklyński, albo przez tunel Battery. Lokalizacje i czas przejazdu się zgadzają, a na mój łeb na fotelu pasażera siedzi nie kto inny, tylko Jonny.

Przyjrzałem się zdjęciu. Bez wątpienia patrzyłem na naszego Koreańczyka. Zauważyłem na dachu panel.

– Jesteś pewien? Przecież to chłodnia.

– Wiem.

Znowu popatrzyłem na wydruk i zaczęło mnie gnębić poczucie, że coś mi umyka.

– Po co mu chłodnia?

– Kto wie? Może była tania? Zwłaszcza jeśli chłodziarka nie działa. W sumie wozik raczej nie wyjechał przed chwilą z salonu, nie?

Ciągle się nad tym głowiłem, gdy podszedł do nas Aparo.

– Dzwoniły chłopaki z policji, których wysłaliśmy na poszukiwanie furgonetki – oznajmił. – Nie mogą jej znaleźć.

– Przecież Jonny powiedział, że zostawił ją tam... Ile? Parę godzin temu?

– Jeżeli zostawił – zauważył mój partner.

Faktycznie, nie trzymało się to kupy. Podobnie zresztą jak wszystko, co dotyczyło furgonetki. Zdaje się też, że Jonny nie był tak chętny do współpracy, jak początkowo się nam wydawało. W każdym razie coś z tą chłodnią jest nie tak. Wszyscy kłamali na jej temat. Co samo w sobie było intrygujące. Niewiele, jak na początek, ale nie miałem ochoty spędzić reszty nocy na zadawaniu sobie w myślach w kółko tych samych pytań.

– Wyślij dane tej furgonetki do wszystkich wozów. To absolutny priorytet – poleciłem Kanigherowi, oddając mu wydruki. Potem zdjąłem z wieszaka kurtkę

i odwróciłem się do Aparo. – Nie masz może ochoty na *kimchi*?

Jonny'emu zakręciło się w głowie.

Szin właśnie skończył przydługawy wykład na temat technologii mikrofalowej oraz matematycznych podstaw działania sieci komórkowych, ale Jonny nadal nie miał bladego pojęcia, o czym on właściwie mówi.

– Czy możesz mi wyjaśnić po ludzku, co to właściwie jest? – poprosił błagalnym tonem. – Za chwilę łeb mi pęknie.

Szin przewrócił oczami.

– Wygląda na to, że ktoś, kto ma dziwne hobby i mnóstwo wolnego czasu, rozebrał maszt telefonii komórkowej, pozbierał jego najbardziej seksowne części i za ich pomocą zamienił tę furgonetkę w mobilny przekaźnik mikrofal. Do tego właśnie służy panel agregatu na dachu. Maskuje bęben.

Jonny zmarszczył brwi.

– A co to potrafi?

– Nie mam pojęcia. Ale raczej wątpię, że chodzi o nielimitowany dostęp do 4G. Choć w sumie to by nie był zły pomysł. – Shin również wyglądał na skołowanego. – Naprawdę nie wiem. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. – Wskazał na jedno z elektronicznych urządzeń zamontowanych w metalowym pudle, przypominające equalizer profesjonalnej wieży stereo. – Ma wbudowany oryginalnie zaprojektowany modulator. Coś, dzięki czemu można regulować fale o ułamki stopnia. Jest podłączony do laptopa, za pomocą którego pewnie się nim steruje. A całość napędza silnik samochodu, który działa jak generator prądu. Dlatego ci powiedział, żebyś nie gasił wozu. To cholerstwo musi zresztą sporo palić.

Jonny rozłożył pytająco dłonie.

– I tyle? Posłuchaj, mam gdzieś te twoje techniczne bzdety. Chcę tylko wiedzieć, co to potrafi. Zaczynam podejrzewać, że do Mensy wkręciłeś się psim śwędem!

– Nie, ale ten facet to jakiś megamózg! Drugi Sergey Brin!

– Zabawne, że o nim wspomniałeś – roześmiał się Jonny – bo gość, który to zmajstrował, też jest Rosjaninem.

Postanowił nie zarzucać Szina informacjami. Ostatnim, czego gość potrzebował, była dodatkowa dawka stresu.

– A co z ochraniaczami na uszy? – zapytał tylko.

Szin zastanawiał się przez chwilę.

– Mówiłeś, że według faceta to coś dałoby ci przewagę w kryzysowej sytuacji. Ochraniacze na uszy funkcjonują pewnie jako zapora przeciw temu.

– Ale przeciw czemu? Kiedy to włączyłem, nic nie usłyszałem! Zresztą jak je zdjąłem, też nie.

– Niekoniecznie musiałeś cokolwiek usłyszeć. Fale mogły być krótkie, poniżej

spektrum słyszalności. Jak gwizdek na psa. Ochroniacze pewnie miały osłonić twoje ucho środkowe przed oscylacją wywoływaną przez falę. – Szin zastanowił się. – Ostatnio używa się czegoś takiego do kontrolowania reakcji tłumy. Broń soniczna. Emituje głośny hałas, który jest jednak bardzo skoncentrowany, jak wiązka światła. Czegoś w tym guście użyli w Waco. A w zeszłym roku rozstawili takie urządzenia wokół stadionów olimpijskich w Londynie. Myślę, że to ten rodzaj broni, tyle że oparty na innej technologii. A jaki jest dokładnie efekt jej użycia... Trudno powiedzieć. Na pewno nie chodzi o nic przyjemnego.

– Jak bardzo może to być paskudne?

– Weźmy maszty telefonii komórkowej, takie jak ten, który zdemontował ten koleś. Działają na zasadzie przekaźników mikrofal. Podobnie jak kuchenki. Kuchenki mikrofalowe gotują jedzenie za pomocą promieniowania mikrofalowego. Gdyby podkręcić mocno telefon komórkowy, mógłby to samo zrobić ci z mózgiem. Dlatego właśnie ciągle się je bada: sprawdza, czy gotują nam komórki mózgowe i wywołują raka. Nie kupuję tego, ale wszystko zależy od częstotliwości fal – i jak dużą mają moc.

Jonny poczuł narastające podniecenie.

– Myślisz, że można tym usmażyć komuś mózg?

– Całkiem możliwe.

Obok przechadzał się Bon, łypiąc pogardliwie na Szina. Ten robił, co mógł, żeby ignorować gapiącą się na niego kupę mięśni, i nie odrywał wzroku od kumpla z klasy.

– A co z laptopem? – zapytał Jonny.

– Pewnie służy do sterowania i programowania panelu, ale nie mogę się do niego dostać. Jest zabezpieczony hasłem. Przypuszczam, że kiedy spada napięcie, przełącza się w tryb uśpienia, a uruchamia z powrotem, gdy pstryknie się przełącznikiem na desce rozdzielczej.

– Spróbuj: „Dafne” – zaproponował Jonny.

– Dlaczego „Dafne”?

– Po prostu spróbuj.

Szin wpisał hasło, ale pokręcił głową.

– Nic z tego.

Jonny zmarszczył brwi. Frustrowało go, że jest tak blisko czegoś, w czym wyczuwał ogromny potencjał. Nagle przypomniał sobie słowo, które Sokołow wypowiadał przy nim co najmniej kilka razy.

– Spróbuj: „Łapuszka”.

Shin uniósł brwi.

– Poważnie?

– Spróbuj.

– Jak to się pisze?

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć? Tak jak się słyszy.

Szin wziął się do roboty. Wprowadził parę liter i wcisnął „Enter”. Znowu pudło. Spróbował ponownie, zmieniając nieco pisownię.

Ekran nagle ożył.

Twarz chłopaka rozciągnęła się w uśmiechu od ucha do ucha.

– *Bil-eomeog-eul!* – Niech to szlag! – Weszliśmy.

Na ekranie pojawił się wirtualny syntezytor. Składało się na niego parę rzędów kontrolki, cyfrowych liczników oraz kilka przycisków podpisanych cyrylicą.

Jonny patrzył cierpliwie, jak baczny wzrok Szina błąka się pomiędzy ekranem, elektronicznym panelem i przewodami. W końcu młody naukowiec spojrział na swojego kumpla.

– Przypuszczam, że przypisał różne częstotliwości poszczególnym przyciskom, tak jak się to robi w wieży stereo albo radio samochodowym. Pierwsza jest ustawiona jako domyślna. To na nią było nastawione urządzenie, kiedy próbowałeś je włączyć. Ale trudno powiedzieć, jaki wywołuje efekt albo do czego służy.

Jonny przez długą chwilę zastanawiał się nad czymś w milczeniu.

– Wypróbujmy je.

– Niby teraz? – zaprotestował Szin.

– A kiedy?

– Nie wiemy, co powoduje.

– Właśnie – potwierdził Jonny. – Nie widzę innego sposobu, żeby się o tym przekonać. – Spojrzął na Bona. – Pisziesz się na to?

Bon wyszczerzył radośnie uzębienie.

– Jasne!

Jonny wskazał na furgonetkę.

– To lepiej zmień jej tablice. Te są spalone.

Mechanik ochoczo zabrał się do pracy. Jonny pochwycił wzrok Szina.

– Będzie fajnie. Jedź z nami.

Szin zawahał się.

– Słyszałeś, co mówiłem o mikrofalach?

– Każdziuteńkie słowo.

Na jego twarzy pojawiła się konsternacja.

– Pojedziemy do Brighton Beach – powiedział Jonny. – Wypróbujemy to na Ruskich. Zobaczymy, co też jeden z nich takiego zmajstrował.

Szin cofnął się o kilka kroków od furgonetki.

– To nie dla mnie, stary – rzekł, kiwając palcem jak wycieraczką. – Nie ma mowy. Zostaję tutaj.

Jonny podszedł do niego.

– Daj spokój. Możesz mi się tam przydać. Poza tym co takiego ważnego robisz, kurwa, dzisiaj, ty i twój doktorat? Wolisz wrócić do domu, żeby się gapić na swój

oprawiony w ramki dyplom i czekać, na jaki to nowy, pomysłowy sposób Nikki nazwie cię frajerem?

Objął ramieniem chudzielca i zaprowadził go do furgonetki.

– Jedziemy, stary. Gdzie twoja dociekliwość naukowca? Tylko ty, ja i Pulgasari – powiedział, wskazując na Bona, którego bardzo lubił nazywać imieniem koreańskiego potwora, krewnego Godzilli. – Usmażmy paru ruskich skurwieli. Co ty na to?

Szin zawahał się, a potem pokiwał w końcu głową. Nagle jednak coś sobie przypomniał.

– A ochraniacze? – spytał Jonny’ego. – Mówiłeś, że są tylko dwa komplety.

– Zgadza się.

– No ale jedzie nas trzech. Może faktycznie lepiej zostanę?

Jonny przez chwilę się zastanawiał, a potem zarechotał.

– Włożymy je ty i ja. Zobaczymy, co tam upichcisz dla Pulgasariego. Na niego to i tak nie zadziała. Debil nie ma mózgu.

Kościej zwolnił, w ramach rekonesansu przejeżdżając pierwszy raz obok restauracji. Przyglądał się wejściu i najbliższej okolicy, z prędkością i precyzją wielopunktowego autofokusu wychwytyjąc interesujące go punkty.

Przed podwójnymi drzwiami Zielonego Smoka stał niewielki tłum podzielony na kilka grup. Wiedział, że azjatycka społeczność to nałogowi palacze, i po drodze wszędzie mijał ich gromadki przed barami i restauracjami. Bliżej drzwi zauważył samotnego ochroniarza, który gapił się leniwie na chodnik. Czarna skórzana kamizela nałożona na czarny T-shirt dosyć nieskutecznie maskowała błyszczącą rękojeść broni i pasek kabury. Kościej zwrócił też uwagę na mężczyznę w samochodzie w odległości dwóch miejsc parkingowych od wejścia do restauracji, wyraźnie przyglądającego się lokalowi. Bez wątpienia był to gliniarz albo agent federalny. Rosjanin założył, że od tyłu, przy wejściu służbowym, czekał jeszcze jeden.

Doszedł do wniosku, że nie musi przejeżdżać tamtędy drugi raz.

Zawrócił, wybrał najlepsze pod względem strategicznym miejsce i zaparkował yukona. Potem wysiadł, okrążył cały kwartał i ruszył w stronę restauracji. Szedł powoli, obliczając, ile czasu potrzebuje.

Na tę okazję zmienił wygląd. Wybrał gładką, metroseksualną kombinację zaczesanych na żelu do tyłu włosów, džinsów, czarnego golfa, beżowej sztruksowej kurtki i modnych okularów w czarnych oprawkach. Mógł uchodzić za architekta albo grafika, tyle że architekt albo grafik nie trzymałby w rękawie noża o stałej główki.

Wyciągnął komórkę i udając, że dzwoni, zatrzymał się, czekając, aż podejdzie do niego właściwy obiekt. Nie musiał długo zwlekać. Wkrótce minęło go troje Azjatów, dwóch facetów i dziewczyna, którzy niczego nieświadomi szli sobie razem, rozmawiając i śmiejąc się głośno.

Zmierzali w stronę restauracji.



I nikt nie szedł za nimi.

Nikt niczego nie mógł zauważyć.

Ciągle udając, że rozmawia przez komórkę, Kościej ustawił się za nimi.

Szli przed siebie, nie zwalniając tempa. Dzielił go od nich zaledwie metr albo półtora.

Wybrał jednego z mężczyzn; tego bliżej witryny sklepu.

Obliczył wszystko tak, że dogonił ich w momencie, kiedy znajdowali się pięć metrów od Zielonego Smoka i zaledwie dwa, trzy metry od pierwszych palaczy.

Opuścił nóż do nadgarstka, a potem do dłoni.

I uderzył z prędkością światła.

Jego ręka wystrzeliła nienaturalnie szybko; trwało to zaledwie nanosekundę i ponaddziewięciocentymetrowa klinga, pokryta ciemną antyodblaskową powłoką, perfekcyjnie wycelowana, utkwiała w boku mężczyzny poniżej klatki piersiowej – pchnięcie było czyste, głębokie, a nóż znalazł się w rękawie napastnika, zanim jeszcze ofiara zdążyła wrzasnąć.

A wrzasnął młody Azjata głośno i przeraźliwie, po czym upadł jak szmaciana lalka na ziemię.

Przyjaciele rzucili mu się na pomoc. Wił się na chodniku, jęcząc głośno, a na jego twarzy malowały się ból i szok. Całą trójkę ogarnęła panika. Krzyczeli coś histerycznie po koreańsku i angielsku, rozpaczliwie próbując ustalić, jak poważna jest rana. Nagłe zamieszanie sprawiło, że palacze przed restauracją jak na komendę drgnęli i ruszyli zaintrygowani w stronę leżącego mężczyzny.

To samo zrobił ochroniarz, który rozejrzawszy się szybko po ulicy, opuścił swoje stanowisko i poszedł sprawdzić, co się dzieje.

Kościej miarowym krokiem szedł przed siebie.

Przyciskając ciągle komórkę do ucha, wykorzystał zamieszanie, przemknął obok palaczy oraz bramkarza i mijając dwoje wychodzących klientów, wszedł do restauracji.

Pędziliśmy na złamanie karku chargerem Aparo w stronę Szóstej Alei, gdy nagle zadzwonił mój telefon. Zerknąłem na ekranik. „Numer prywatny”. Odebrałem, usłyszałem jej głos i zmarszczyłem brwi. Nie spodziewałem się od niej telefonu o tej porze. Ani w ogóle na tym etapie rozgrywki.

– Pani Czołmiczewa – powiedziałem. – Nie może pani spać?

Aparo rozpromienił się i błysnął chłopięcym, sugestywnym uśmiechem.

– Słyszałam o jakiejś awanturze w Brooklynie – rzekła. – Kolejni martwi Rosjanie?

– Ma pani dobre źródła – skomentowałem nie bez sarkazmu.

Nawet się nie zawahała.

– A co, myśli pan, że tylko wy trzymacie rękę na pulsie Mirmińskiego?

No proszę, pełen profesjonalizm.

Nie podobało mi się jednak, że ktoś sobie ze mną pogrywa, w dodatku w tym momencie naprawdę nie byłem w najlepszym nastroju. Postanowiłem więc trochę nią potrząsnąć.

– Nie, w żadnym razie. Ale dziwię się, że pani dzwoni.

Udało mi się ją zaskoczyć.

– Dlaczego?

– Proszę pani, naprawdę może pani sobie już dać spokój z tą szopką. Macie, czego chcieliście. Misja skończona. A może dzwoni pani, żeby się napawać triumfem?

Aparo odwrócił się do mnie gwałtownie, otworzył szeroko oczy i ułożył usta w nieme, zdumione: „Co?!”.

Musiała złapać oddech.

– Nie jestem pewna, czy wiem, o czym pan mówi – powiedziała lekko podminowanym tonem.

– Bez żartów. Wszystkie te bzdury, że niby mamy pracować razem. Po prostu wyciągnęła pani ze mnie informacje na temat Sokołowa. No dobra, już go macie. Czego jeszcze ode mnie chcecie, poza tym, żebym puścił farbę i zdradził wam, jak tam nasze postępy w pościgu za waszym kolesiem? Bo to jeszcze nie koniec, zgadza się? Dobrze wiecie, że nie odpuścimy i go dorwiemy. Jego i wszystkich jego współników.

Byłem zmęczony, wściekły i chciałem ją sprowokować, ale dobrze wiedziałem, że mogę jej skoczyć. Nawet jeśli brała w tym udział, to przecież ona i jej kumple byli chronieni immunitetem dyplomatycznym. Bardzo trudno byłoby dobrać się im do tyłków, o ile w ogóle dało się to zrobić. A nawet gdybyśmy zgarnęli całą paczkę, to i tak wymienilibyśmy ich za któregoś z naszych, a w ojczyźnie fetowano by skubanych jak cheerleaderki.

– Rozumiem, dlaczego pan tak mówi – powiedziała. – Ale jest pan w błędzie. Właściwie dzwoniłam z propozycją, żebyśmy wspólnie przycisnęli Mirmińskiego. Przekonali się, czy jest powiązany ze strzelcem. Może nawet wykorzystali go jako przynętę. Ale skoro jesteśmy po przeciwnych stronach barykady, to może nie jest to najlepszy pomysł. Tak czy inaczej, proszę to sobie przemyśleć, i jeżeli chce pan o tym porozmawiać, niech pan zadzwoni rano.

Rozłączyła się.

Przez chwilę wpatrywałem się ze zdumieniem w telefon. Potem zerknąłem na Aparo. Patrzył na mnie tak, jakbym potrzebował kaftana.

– Trochę musisz popracować nad techniką flirtu – rzekł.

Ciągle się zastanawiałem, po co właściwie dzwoniła. Jedno z najważniejszych pytań sprowadzało się do tego, czy Iwan miał wsparcie Kremla: czy przybył tutaj z oficjalną misją, odwalić brudną robotę, czy też raczej był wolnym strzelcem na usługach jakiegoś mafiosa. Jeżeli to pierwsze, to konsulat – a zatem i Larisa – mieli już

Sokołowa. Czyniłoby to ich również współodpowiedzialnymi za zabójstwo kilku funkcjonariuszy amerykańskich sił porządkowych. W jej tonie głosu coś jednak mi się nie zgadzało. Wyczułem, że jest autentycznie zbita z tropu. Co w ogóle nie miało sensu, chyba że ona i Iwan nie grali w jednej drużynie. Co by z kolei oznaczało, że gość działa niezależnie. Że pracuje na zlecenie kogoś innego; kogoś, kogo nie znamy.

Nie byłem pewien, który scenariusz bardziej mi odpowiada.

Z zamyślenia wyrwał mnie motyw muzyczny z serialu *Dragnet*. Aparo odebrał telefon, słuchał przez chwilę, a potem spojrzął na mnie i wcisnął gaz do dechy.

– Coś się dzieje przed restauracją.

Kościej omiół wzrokiem wewnątrz tętniącej życiem restauracji niczym laserem, a jego wyszkolone oko szybko zatrzymało się na drobnej, zgrabnej postaci w sukience z zielonym smokiem, którą opisał mu wcześniej Sokołow.

Aj-Cza. Kuzynka Jonny'ego.

Szła właśnie w stronę zaplecza.

Gładko, niespiesznie i dyskretnie przemknął obok stolików. Wiedział, jak nie zwracać na siebie uwagi, jak pozostać niezauważonym nawet w tak zatłoczonym miejscu. Dogonił Aj-Czę, gdy wchodziła do kuchni. Zanim choćby wyczuła jego obecność, przycisnął jej nóż do pleców, a drugą ręką złapał ją mocno za ramię.

– Uśmiechaj się i ani słowa, w przeciwnym razie zginie wiele osób, a ty pierwsza. Zrozumiano?

Aj-Cza zamarła, a potem nerwowo pokiwała głową.

Kościej pchnął ją do przodu, kierując w stronę schodów. Mimo że miażdżył jej rękę w żelaznym uścisku, zachował swobodną postawę, uśmiechnął się nawet do niej i do mijającego ich kelnera.

– Idziemy do Jonny'ego – warknął cicho do jej ucha.

Ponownie skinęła głową, tym razem z większym już opanowaniem. Minawszy kolejnego kelnera, dotarli najpierw do drzwi, a potem do schodów.

– Szybko – syknął.

Zaprowadziła go na samą górę i zapukała do metalowych drzwi. Nikt nie odpowiedział. Spojrzała na Kościeja, który zaraz zastukał sam, naśladując jej sygnał.

Ciągle nic.

Przycisnął jej do szyi ostrze ze wzmocnionego włókna szklanego.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem – wyjąkała. – Pewnie wyszedł.

Naparł nożem jeszcze mocniej, przyglądając się uważnie dziewczynie – sprawdzając, czy mówi prawdę.

– Zapukaj głośniej!

– To jego mieszkanie! – wykrztusiła. – Jeżeli go nie ma, to musiał gdzieś wyjść!

Dygotała zbyt mocno, żeby kłamać.

– Masz w komórce jego numer? – zapytał.

Aj-Cza pokiwała głową.

– W porządku. Idziemy. – Pchnął ją w kierunku schodów. – I miejmy nadzieję, że mu na tobie zależy.

Jonny cieszył się, że zabrał ze sobą Bona.

Właśnie kogoś takiego potrzebował w trakcie wypadu do Brighton Beach. Kogoś, kto nie zadaje pytań i robi, co mu się każe. Prawie zawsze. Poza tym gość był przydatny

w razie bitki i potrafił imprezować. Odkąd Szin zamienił kolumbijskie prochy na pudry brązujące – kolejny członek ekipy usidlony przez dziewczynę – nie było z niego pożytku. Jonny prawie że słyszał, jak kolo dzwoni nerwowo zębami na siedzeniu przy oknie od strony pasażera. Ale kujon przynajmniej na coś się tej nocy przydał. Jeżeli furgonetka okaże się użyteczna, to może będzie coś warta. Albo nawet ją zatrzyma. Każe Szinowi na spokojnie rozebrać ją na kawałki, żeby pokapował się, jak działa ten cały mechanizm.

Najpierw jednak chciał zobaczyć, co się stanie, jeżeli w otoczeniu tłumu przełączy pstryczek.

Jechali Van Wyck, a potem Belt i Shore, trzydzieści kilometrów do Brighton Beach pokonując w niecałe pół godziny. Ocean doprowadziła ich niemal do morza, aż w końcu zjechali z niej na Brighton Beach Avenue.

Jonny znał dobrze Młota. Mirmiński miał reputację brutalnego i chciwego bandyty. Umowy z *Kuwałdą* były zawsze cokolwiek jednostronne – honorował je albo łamał w zależności od kaprysu, bez cienia wstydu czy obawy przed odwetem. Wprawdzie ostatecznie Dafne wylądowała nie u jego ludzi – a może zresztą chodziło o jakąś grę o władzę wśród zbirów Mirmińskiego – to ten tłusty skurwysyn ją porwał i najwyraźniej siedział w tym aż po białka swoich kaprawych oczu. Cokolwiek robiła ta furgonetka – jeżeli w ogóle coś robiła – to pieprzony burak i jego cwele zasłużyli sobie na to jak nikt inny.

To właśnie Bon przypomniał Jonny'emu o pierwszym barze-restauracji Mirmińskiego, Lolicie, który mieścił się w budynku na samym końcu jednej z uliczek na południe od Brighton Beach Avenue. Atmosphere była obecnie modnym lokalem. Oblegali ją zawsze paparazzi, a Jonny'emu wcale nie zależało na tym, by niechący przypalić mózg jakiejś gwiazdce Knicksów albo jego dziewczynie, gwiazdce reality show, zwłaszcza że był zagorzałym fanem. Lolita to coś zupełnie innego. Jej klientela składała się raczej ze śmierdzących napakowanych dresów oraz podstarzałych ufarbowanych na platynowy blond blachar, które zresztą przy Brighton Beach Avenue mogły znaleźć co najwyżej bryki miejscowych *bratków*.

Zaparkowali niemalże naprzeciw lokalu, który nawet w środku tygodnia wypełniali imprezowicze. Przez wielkie okna po obu stronach wejścia widać było ścisk przy barze i wokół stolików. Równie gęsty tłum stał na zewnątrz. Wszyscy palili papierosy i co rusz wybuchali śmiechem. Jakiś niski, żylasty Uzbek – z wyglądu – w czarnej skórzanej kurtce, czarnych dżinsach i białych skórzanych butach bawił do łez palaczy – przypuszczalnie dowcipami, które wywołałyby rumieniec na policzkach Louisa C.K. Wysoka czarnowłosa kobieta, chwiejąc się na wysokich niczym szczudła obcasach, machała to w prawo, to w lewo warkoczami, desperacko próbując przyciągnąć wzrok młodego kolesia w białym T-shircie i modnie wyblakłych niebieskich dżinsach, który jednak wyraźnie bardziej zainteresowany był talentem komediowym kurdupla. Reszta

towarzystwa wyglądała na uzależnionych od siłowni karków i podrzędnych mafijnych łepków – takich, którzy nigdy nie wyszli poza alfonsowanie, przyjmowanie zakładów czy dealerkę na dzielni.

Jonny zaczekał, aż Szin przepchnie się najpierw między siedzeniami do wąskich drzwiczek, a potem przez nie do ładowni furgonetki. Po chwili dołączył do niego z ochraniaczami na uszy nałożonymi już na szyję. Przednie drzwi samochodu zostawił otwarte, żeby mieć widok na restaurację.

– Wskakuj za kierownicę – powiedział Bonowi. – W razie gdyby trzeba było szybko spadać.

Bon zrobił, co mu kazano, potem zaś wcisnął sobie do uszu parę zatyczek, a na głowę nałożył kask ochronny. Szinowi na szybko udało się skombinować tylko tyle.

– Gotowy, Pulgasari? – zapytał mięśniaka Jonny.

Jego kumpel zawsze się uśmiechał, gdy go tak nazywano. Uwielbiał, kiedy porównywano go do gigantycznej bestii pożerającej metal w niesławnym północnokoreańskim filmie. Trzasnął się mocno obiema rękami po kasku, pokiwał radośnie głową i pokazał Jonny’emu uniesione kciuki. Jego boss na widok tych wygłupów nie mógł powstrzymać śmiechu. Nałożył ochraniacze. Bon wyciągnął z kieszeni bojówek małe puzderko i przygotował parę kresek.

Jonny pomyślał, że ta furgonetka to faktycznie idealna przykrywka. Kto by zwracał uwagę na chłodnię, stojącą w pobliżu sklepu czy restauracji?

Bon wciągnął parę kresek, a resztę przekazał Jonny’emu, który bez zbędnego grymaszenia zapodał je sobie prosto do nosa.

– Gotowi? – zapytał Szina.

Ten, wyraźnie roztrzęsiony, pokiwał głową i również nałożył ochraniacze.

Jonny poklepał Bona po kasku i zawołał:

– Dajemy, *oppa Brooklyn-style!*

Zaczął naśladować taneczne ruchy gangnam style Psy’ego.

Bon teatralnie odliczył na palcach, niczym producent telewizyjny, i pstryknął przełącznik.

Jonny, ciągle podrygujący do wyimaginowanego rytmu, i pozostali wbili wzrok w restaurację.

Nic się jednak nie wydarzyło.

Odczekali dziesięć, piętnaście sekund. Dalej nic. Jonny odwrócił się do Szina i gestem zapytał go: „Co jest grane?”. Ten skrzywił się, odpowiadając, że nie ma pojęcia. Jonny wskazał na laptop i powiedział niemo: „Spróbuj innego ustawienia”.

Szin podświetlił na ekranie laptopa inny guzik i kliknął.

Ciągle nic.

W każdym razie przez pierwsze dziesięć sekund.

Bo potem się zaczęło.

Kiedy parkowaliśmy, zobaczyłem niewielki tłum zgromadzony przed restauracją.

Wysiedliśmy i podeszliśmy do Jaffee, młodego agenta z grupy obserwacyjnej, który wezwał nas przed chwilą.

– Karetka jest już w drodze – powiedział.

– Co z nim? – spytałem.

– Mocno krwawi. Ma głęboką ranę w boku – wyjaśnił, wskazując na lewą część własnego ciała. – Szedł ze znajomymi i nagle upadł. Gdyby to nie było zupełnie absurdałne, powiedziałbym, że ktoś pchnął go nożem.

Zmiałem pod nosem przekleństwo i puściłem się biegiem do drzwi restauracji, wyszarpując broń i mając nadzieję, że się nie spóźniliśmy.

– W środku! – zawołałem. Aparo natychmiast ruszył za mną. – To nasz koleś! Jest tutaj!

Wpadliśmy do restauracji z jedną myślą kołącą w głowach.

„Spóźniliśmy się. Cholernie się spóźniliśmy”.

Zatrzymaliśmy się przy drzwiach.

– Dzwon do Gainesa! – poleciłem Jaffee. Chodziło mi o jego partnera z grupy obserwacyjnej, który w alejce pilnował służbowego wejścia do Zielonego Smoka. – Upewnij się, że obstawia tyły. I powiedz mu, żeby uważał!

Kiedy Jaffee dzwonił, rozejrzałem się po ogromnej sali. Mimo późnej pory ciągle było w niej tłoczno. Chcąc uniknąć paniki, trzymałem pistolet przy ciele, opuściwszy lufę wzdłuż uda, żeby był jak najmniej widoczny. Mimo to kilku siedzących najbliżej klientów zobaczyło go i natychmiast cofnęło się z przerażeniem. Podniosłem rękę i ułożyłem dłoń pionowo, usiłując ich uspokoić, a jednocześnie przygotowując się na nadchodzący atak.

– Jest na stanowisku. Nikogo nie ma – powiedział Jaffee.

Skinąłem głową. Ponieważ w tłumie niełatwo było kogokolwiek wypatrzeć, ruszyłem przez wąskie przejście, kierując się w stronę wahadłowych drzwi prowadzących do kuchni i na schody. Aparo i Jaffee trzymali się z tyłu.

Przechodziłem właśnie przez drzwi, gdy nagle zobaczyłem, że nadchodzą od strony schodów: Aj-Cza ze skupioną, nieruchomą twarzą, a tuż obok niej gustownie ubrany facet w okularach i z wyżełowanymi włosami. Nie wyglądała, jakby się dobrze bawiła, czego przyczyną mogło być na przykład to, że ścisnął ją mocno za rękę.

Oboje jednocześnie pochwycili mój wzrok.

Następne sekundy pamiętam jak przez mgłę.

To był czysty surrealizm, choć wszystko zaczęło się zupełnie normalnie.

Przez pierwszą minutę po tym, jak Bon pstryknął przełącznik, nie działo się właściwie nic ciekawego, tyle że Uzbek złapał się za głowę, jakby nagle dostał migreny, a wysoka kobieta o mało nie wywróciła się i nie wpadła w ramiona młodszego faceta.

Na ten widok Bon wybuchnął histerycznym śmiechem, ale Jonny wiedział z doświadczenia, że jego akurat dosyć łatwo rozbawić.

Spróbował wytłumaczyć sobie jakoś to, co przed chwilą zobaczył.

– Co tam się, do cholery, dzieje? – krzyknął do Szina.

– Nie wiem – usłyszał w odpowiedzi. – Chyba mieszamy im we łbach.

Zafascynowany Jonny obserwował, jak tłum nagle nieruchomieje i zdezorientowany, porusza się jak w letargu. Niektórzy siadali na ziemi i wpatrywali się przed siebie, inni rozglądali się, jakby nie mieli pojęcia, gdzie są. Jonny zastanowił się, czy Sokołowowi poprzedniego dnia mogło zależeć na wywołaniu poczucia dezorientacji u porywaczy jego żony, i chociaż obrazek był bardzo interesujący,



doszedł do wniosku, że raczej chodziło wtedy o coś więcej. Jeszcze przez chwilę patrzył, jak tłum wierci się niecierpliwie, a potem spojrzął na Szina.

– Spróbuj czegoś innego! – zawołał.

Shin włączył drugie ustawienie.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem stojący przed Lolitą ludzie jeden po drugim zaczęli się łapać za brzuchy i skręcać z bólu. Jonny patrzył jak urzeczony na kobietę, wymiotującą sucho niczym kot, który usiłuje wykrztusić kłębek kłaków. To dopiero było dziwne. Po dłuższej chwili oderwał się od niesamowitego widoku i podniecony krzyknął do Szina:

– Następne!

Szin zmienił ustawienie.

I wtedy zaczęło się robić naprawdę ciekawie.

Tłumowi przed restauracją szybko przeszły dolegliwości. Ludzie prostowali się i rozmawiali ze sobą z ożywieniem, najwyraźniej zdumieni tym, co się przed chwilą stało. I nagle między młodym gościem w podartych džinsach a żyłastym Uzbekiem wybuchła kłótnia. Ten pierwszy wbił drugiemu palec w pierś, a tamten go odepchnął – i wtedy facet w džinsach zamachnął się i z całej siły uderzył żyłastego Uzbeka prawym sierpowym w głowę.

Obok nich ciemnowłosa kobieta rzuciła się na agresora, wbijając mu wyostrzone paznokcie prosto w twarz i dokładając potężnym kopniakiem w krocze.

Wkrótce zaczęły wybuchać kolejne bójki, a po chwili wszyscy bili się ze wszystkimi. Łysy alfons w średnim wieku zgasił papierosa na plecach wysokiej kobiety, której paznokcie ciągle tkwiły w twarzy tamtego młodego kolesia. W tym samym momencie wielki, naszprycowany sterydami bandzior pięścią jak łopata walnął stojącego obok wytatuowanego faceta w brzuch.

Jonny był już jedną nogą w szoferce, z której miał zdecydowanie lepszy widok. Obecne ustawienie bardzo mu się podobało. Na fotelu obok rozanielony Bon klaskał z uciechy w obie dłonie i zanosił się śmiechem, podczas gdy z tyłu Szin z przerażeniem na twarzy obserwował w milczeniu całą scenę przez otwarte drzwi.

Wytatuowany kark błyskawicznie wyciągnął nóż i wbił go atakującemu go drągalowi w nerkę. Tymczasem młody koleś zdołał zrzucić z siebie kobietę i kopnął ją z furią między nogi. Upadła na ziemię, krzycząc tak głośno, że jej wrzask usłyszał przez ochraniacze – choć ledwo, ledwo – nawet Jonny.

Jej krzyki ucichły, gdy wylądował na niej długowłosy facet, który wypadł przez okno. Z głębokiej rany na jego twarzy tryskała krew.

Jonny nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Uniosłem szybko pistolet i zawołałem tak głośno, jak tylko potrafiłem:

– Na ziemię wszyscy!

Iwan był równie szybki. Wyciągnął broń, zanim jeszcze zdążyłem wypowiedzieć

drugie z tych słów. Ręka wystrzeliła mu, jakby była zamocowana na sprężynie, i natychmiast wycelował w nas z taką precyzją, że w żadnym razie nie mógł spudłować.

Problem polegał na tym, że ja nie mogłem strzelać. Przecież miał Aj-Czę. A on o tym wiedział. Ponieważ ja z kolei wiedziałem, że on nie ma w zwyczaju tracić czasu na gadki szmatki, rzuciłem się natychmiast w prawo, jednocześnie ostrzegając wszystkich krzykiem. Znalazłem się za ladą dokładnie w momencie, gdy pierwsza kula świsnęła obok i wbiła się w plecy obładowanego talerzami kelnera, który właśnie zatrzymał się, żeby mnie przepuścić. Usłyszałem brzęk tłukących się o drzwi naczyń, a potem pełne przerażenia krzyki z wnętrza restauracji. W panelu, za którym przykucnąłem, natychmiast utkwily dwie kolejne kule.

Pracownicy kuchni w panice rzucili się szukać schronienia, a strzelec błyskawicznie przeszedł do kolejnych celów. Miseczki i talerze z trzaskiem spadały na podłogę. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Jaffee, uciekając przed Rosjaninem, oberwał w ramię tuż przy nasadzie szyi. Nigdzie nie widziałem Aparo, ale zaraz usłyszałem jego głos:

– Wszyscy na ziemię! – zawołał, a potem dodał: – Sean, nic ci nie jest?

– Ciągle cały! – odkrzyknąłem, ściskając oburącz broń. Oddychałem gwałtownie, zastanawiając się, czy wysunąć głowę zza lady i zaryzykować, że Iwan, zgodnie ze swoimi artystycznymi preferencjami, wyrzeźbi mi w głowie trzecie oko.

– Jaffee oberwał! – zawołał Aparo.

– Widziałem! – wrzasnąłem w odpowiedzi, przekrzykując spanikowanych klientów wybiegających z restauracji.

– Dzwonię po pomoc!

Potrzebowaliśmy natychmiast karetki, za to wsparcie niewiele by nam dało. Iwan był szybki i wiedziałem, że zaraz będzie po sprawie. Tymczasem tkwiłem jak kołek na swoim stanowisku. Nie było sensu wychylać się i strzelać – i tak nie mogłem ryzykować trafienia Aj-Czy, pozwoliłbym więc Iwanowi przetestować moją niekuloodporną kamizelkę.

Usłyszałem hałas dobiegający od strony, gdzie widziałem wcześniej Iwana i Aj-Czę, i postanowiłem mimo wszystko wyrzeć zza lady. Strzelec ciągnął szybko Koreankę w kierunku wyjścia. Złożyłem się do strzału, rozpaczliwie szukając na Iwanie choćby kilku centymetrów kwadratowych – na głowie, ramionach, rękach – w które mógłbym bezpiecznie trafić, osłabiając przewagę, jaką miał nad nami, ale był zbyt ostrożny, żeby umożliwić mi nawet coś takiego. Po zaledwie trzech sekundach skierował wzrok w moją stronę, zobaczył mnie, wycelował i zasypał ladę istnym gradem kul, które wbiły się w nią zaledwie sekundę po tym, jak się schowałem.

Słyszałem dudnienie w uszach i dyszałem ciężko. Zobaczyłem Aparo, który przyczaił się za inną ladą i opatrywał Jaffee. Na jego twarzy malowała się frustracja

podobna do mojej. Gestem zapytałem go o agenta, a on pokiwał pocieszająco głową. Nagle hałas po drugiej stronie kuchni zaczął narastać; zacisnąłem zęby i odwróciłem się całym ciałem, ściskając kurczowo pistolet.

Iwan był już przy tylnych drzwiach, nadal zasłaniał się Aj-Czą. Zobaczywszy mnie, posłał w moim kierunku jeszcze kilka kul, po czym zniknął w przejściu, ciągnąc dziewczynę za sobą.

Zerwałem się i ruszyłem za nim. Pochylony, uważając na leżące na podłodze garnki i resztki jedzenia, prawie że przefrunąłem przejściem między kuchennymi meblami, przy których kulili się przerażeni pracownicy. Niemal stanęło mi serce, kiedy tuż przedtem, zanim dotarłem do drzwi, usłyszałem dwa strzały. Wypadłem na zewnątrz w samą porę, żeby zobaczyć, jak Iwan odjeżdża alejką sedanem Gainesa z Aj-Czą na fotelu pasażera.

Przed kubłem ozdobionym wielkim zielonym smokiem leżał nieruchomo agent. W czole miał niewielką czarną dziurę.

– Dzwon do niego – rozkazał Aj-Czy Kościej.

Sprawdzając co chwilę wsteczne lusterko yukona, jechał w bliżej nieokreślonym kierunku. Niecałe trzy przecznice od restauracji szybko zmienił samochód, porzucając wóz FBI i zmuszając dziewczynę, żeby wsiadła do półterenówki, którą tam wcześniej zostawił. Ryzykował trochę, ale się opłaciło. Radiowozy i samochody federalnych miały wbudowane lokalizatory, a kiedy tylko miał wybór, Kościej starał się unikać komplikacji.

Nie miał pojęcia, gdzie w tej chwili jest Jonny, ale w myślach planował już kolejne posunięcia, zastanawiając się nad miejscem, w którym mógłby rozegrać to, co zaplanował. Gdy Aj-Cza wyciągała iPhone'a i dzwoniła do chłopaka, zdążył już wybrać kilka opcji.

Wszystko to było tak zdumiewające, że Jonny ledwie wierzył, że dzieje się naprawdę.

Przed Lolitą rozpełtała się wściekła jatka. Potężny bandzior, nie zważając na tkwiący w jego boku nóż, zamieniał wytatuowanemu karkowi twarz w krwawą miazgę. Zaczął właśnie walić tyłem jego głowy w chodnik.

Z okna po prawej wyleciał stolik, a za nim dwóch młodych mężczyzn, tłukących się nawzajem rozbitymi butelkami.

Długowłosego facet z trudem podniósł się z ziemi, tylko po to, by za chwilę powalił go znowu Uzbek. Obaj turlali się po podłodze – kopiać, gryząc, wierzgając.

Wysoka kobieta zdjęła buty, wstała i zasypała głowę łysego alfonsa gradem ciosów. Facet zresztą i tak wyglądał już jak kulka lodów waniliowych oblana sosem truskawkowym. Nagle z baru wytoczyła się kobieta w minispódniczce i tanim futerku. Ni stąd, ni zowąd wyciągnęła z torebki damski pistolet i strzeliła młodemu kolesiovi z bliska prosto w brzuch.

Bona ogarnęła ekstaza – przejawiająca się w podekscytowaniu, które dotąd dopadało go wyłącznie podczas oglądania po raz setny trylogii zemsty Park Chanwooka. Śmiał się histerycznie i walił pięściami w kierownicę.

Jonny patrzył jak urzeczony, ale nie z powodu krwi i przemocy. Myślał już o tym wszystkim, czego może dokonać za pomocą technologii, która wpadła mu w ręce. Nagle zauważył, że Bon usiłuje zdemolować kierownicę – chłopak naprawdę się wczuwał, co trochę zaniepokoiło jego bossa.

– Hej! – zawołał do niego, klepiąc go po kasku.

Bon odwrócił się. Twarz miał tak wściekle wykrzywioną, że Jonny wystraszył się nie na żarty, natychmiast zapominając o fantazjach na temat budowy imperium. Nie zauważył przez to również, że jego leżący w kabinie na podłodze smartfon Samsunga pulsuje na niebiesko jak oszalały.

- Nie odbiera – powiedziała Aj-Cza piskliwym z przerażenia głosem.
- Spróbuj jeszcze raz – warknął Kościej. Jego oczy ziały żądzą mordy. Dziewczyna skinęła w napięciu głową i po raz drugi pacnęła w ikonkę.

Kiedy patrzyłem na zamęt wywołany w Zielonym Smoku przez strzelaninę, w głowie kłębiło mi się milion pytań.

Sanitariusze byli już na miejscu i zajmowali się Jaffee – powinien wyjść z tego bez szwanku. Z kolei Gaines był martwy, zanim jeszcze upadł na ziemię. Podobnie kelner. Niektórzy z klientów odnieśli rany w wyniku szalonej ucieczki z lokalu, ale nikt nie ucierpiał poważnie. No i, oczywiście, zniknęła Aj-Cza, co sprawiło, że jej ciotka i kilku krewnych pracujących w restauracji odchodziło od zmysłów ze strachu.

Próbowałem odciąć się od hałasu i skupić na tym, co się właśnie wydarzyło, a właściwie dlaczego się wydarzyło. Nie spodziewałem się tam naszego strzelca. Miał Sokołowa. Po co więc przyjechał? Dlaczego o tak późnej porze, czy to było aż tak pilne? Czego jeszcze chciał, do jasnej cholery?

Nie było innego wytłumaczenia: przyjechał po Jonny'ego. Ale Jonny nie należał do głównych bohaterów tej afery. Pomógł tylko Sokołowowi. Nie był też dla kolesia zagrożeniem, w sensie, że mógłby go zidentyfikować. A nie posądzałem naszego Iwana o małostkowość, nie chodziło więc też o zemstę. No i zabrał Aj-Czę. Po co, jeśli nie po to, żeby wykorzystać ją przeciw Jonny'emu?

Czyżby Sokołow przekazał Jonny'emu coś, co miało mu zapewnić bezpieczeństwo? Czyżby tego szukał Iwan?

Nagle zrozumiałem.

Furgonetka.

Jonny skłamał, mówiąc, że ją porzucił. Potem, jak tylko skończyliśmy przesłuchanie, wyszedł. A teraz to.

Musiało chodzić o furgonetkę. Sokołow musiał w niej coś ukryć.

Złapałem telefon i zadzwoniłem do Kanighera.

– Wyślij jeszcze raz alert w sprawie furgonetki. Najwyższy priorytet. W trzech stanach. To jej szuka nasz strzelec. Musimy ją znaleźć, zanim to zrobi ten skurwiel.

Przez ochraniacze na uszach Jonny'ego przebił się łoskot serii z broni maszynowej, odrywając jego umysł od złośliwie roześmianej gęby Bona i każąc mu spojrzeć znowu na przecznicę Brighton Beach Avenue.

Na chodniku co najmniej kilkadziesiąt osób brało udział w zajadłej, chaotycznej bitwie na śmierć i życie – czy to jeden na jednego, czy też w bójce barowej w stylu Grand Theft Auto. W środku było nie lepiej.

Jonny'emu bardzo podobało się widowisko, zwłaszcza że jego neurony ciągle były podrażnione kokainą, ale Bon zrobił się zbyt nerwowy. Poza tym pozostawało kwestią czasu, kiedy pojawią się gliny, i najmądrzej było wcześniej zmyć się stamtąd. Nie mógł jednak oderwać wzroku od przedstawienia.

Spojrzał na ulicę z przodu, a potem w lusterka furgonetki, szukając w nich wymownego błysku wirujących świateł, gdy nagle kątem oka zobaczył innego rodzaju błękitne błyski – w środku wozu.

To jego telefon rzucał się jak opętany.

Ekranik pokazywał, kto dzwoni: AJ-CZA.

Jonny wpatrzył się w komórkę, zastanawiając się, czy odebrać. Rozmowa z pewnością przepłószylaaby jego euforię. Poczł dreszcz, wyobrażając sobie, w jakiej sprawie Aj-Cza pewnie dzwoni w środku nocy: chodziło o Jachina. Może już wie. Może ktoś jej powiedział. A jeśli tak, to zważywszy na więź, jaka łączyła ją z jego kumplem, od niedawna świętej pamięci, domyślał się, w jakim jest stanie.

Zawahał się, a potem postanowił nie odbierać.

Z ciężkim sercem patrzył, jak smartfon drga – jego dźwięk tłumiły ochraniacze na uszy – jak w pogrążonej w mroku kabinie furgonetki zapala się na niebiesko i gaśnie, gdy nagle Bon podskoczył jak opętany, odwrócił się i zaczął walić wielkimi pięściami w ściankę za sobą niczym zwierzę w klatce w ataku furii.

Jonny wzdrygnął się i zawołał do Szina:

– Wyłącz to!

Chłopak przełączył urządzenie na pierwszy tryb; ten, który nie wywoływał żadnego widocznego efektu. Jonny złapał telefon. W tym samym momencie za rogiem błysnęły wirujące światła radiowozu.

– Zbieramy się stąd! – warknął Jonny do Bona.

Potężny chłopak spojrzł na niego oszołomionym wzrokiem.

– Pulgarasi, musimy spadać!

Bon gapił się jeszcze przez sekundę, po czym usiadł, wrzucił bieg i wcisnął gaz do dechy.

Jonny spojrzł przez ramię i zobaczył, jak radiowóz podjeżdża do restauracji. Odetchnął z ulgą i w końcu przyłożył telefon do ucha.

– Cześć, Aj-Cza.

Ale to nie była Aj-Cza.

Słyszał już kiedyś ten głos – w dokach, tamtego wieczoru, kiedy był tam z Sokołowem.

– Gdzie jesteś, Jonny?

Policjanci Kaluta i Talaoc zatrzymali się przy chodniku naprzeciw Lolity i wyskoczyli z radiowozu. Kaluta zamarł na widok przerażających scen, jakie rozgrywały się przed restauracją.

Nigdy jeszcze nie był świadkiem czegoś takiego.

Ludzie okładali się pięściami albo zamierzali na siebie nożami lub rozbitymi butelkami, a na chodniku leżało ponad drugie tyle trupów lub konających. Wystrojeni na imprezę na mieście mężczyźni i kobiety wili się żałośnie z bólu na ziemi albo próbowali odkuśtykać gdzieś na bok, w postrzępionych ubraniach i z wypisanym na twarzy niemym przerażeniem, wymieszanym z niedowierzaniem. Wszędzie, na wszystkich była krew, tak jakby ktoś zainscenizował tam scenę z filmu z zombie.

– Co robimy? – spytał Kaluta partnera, wyciągając broń.

Talaoc nie odpowiedział od razu. Kiedy biegli w stronę restauracji, coś nagle przyciągnęło jego wzrok. Zaparkowana obok furgonetka ruszyła na pełnym gazie przed siebie i natychmiast skręciła w boczną uliczkę. Była biała, a na dachu miała zamontowany panel agregatu chłodniczego. Przed chwilą dokładnie taka sama wyświetliła się na ekranie komputera radiowozu z informacją o alercie i najwyższym priorytecie.

Talaoc podniósł mikrofon nadajnika radiowego i wcisnął guzik rozmowy. W tym samym momencie z piskiem hamulców pod restauracją zatrzymały się dwa kolejne radiowozy.

– Niech tylko włos jej z głowy sp...

– Zamknij, kurwa, ryj i słuchaj! – syknął Rosjanin. – Nie chodzi mi o nią. Dostaniesz ją z powrotem w jednym kawałku. W zamian za furgonetkę

Jonny'emu zaschło w ustach.

Rosjanin nie zostawił mu czasu do namysłu.

– Wiem, że ją masz. Jeżeli chcesz, żeby dziewczyna przeżyła, to nawet nie próbuj ściemniać. Bo inaczej będzie umierała bardzo długo i boleśnie. A potem przyjdę po ciebie.

Słowa Rosjanina, koka, emocje, jakie towarzyszyły mu przez całą tę pieprzoną noc – Jonny poczuł, że mózg mu się wypala. Ledwo był w stanie myśleć. Jasne, pod wpływem pierwszego impulsu chciał za wszelką cenę zatrzymać furgonetkę. Ale sukinsyn mówił o Aj-Czy. Aj-Czy, jedynej córce jego ciotki. Jego Aj-Czy.

Nie mógł skłamać.

– Siedzę właśnie w tej pierdolonej furgonetce.

– Gdzie jesteś?

– W Brooklynie.

Rosjanin milczał przez chwilę.

– Jedź do Prospect Parku – odezwał się w końcu. – Wiesz, gdzie to jest?

– Wiem, ty skurwysynie, jasne, że wiem.

– Bardzo dobrze. Jak dotrzesz na miejsce, to wjedź od strony Ocean Avenue. Jest tam droga dojazdowa do lodowiska. Spotkamy się na parkingu.

Rozłączył się.

Jonny zaklął, zacisnął powieki, próbując rozjaśnić sobie choć trochę w głowie, po czym kazał Bonowi zmienić kierunek jazdy.

Biegłem już w stronę wyjścia, a Aparo deptał mi po piętach.

– Połącz mnie z radiowozem! – zawołałem, kiedy znaleźliśmy się na chodniku. – Niech śledzą furgonetkę! Nie możemy jej zgubić!

Kilka sekund później oddalaliśmy się już od zamienionego w rzeźnię Zielonego Smoka. Dyspozytor połączył mnie z policjantami.

– Kto mówi? – zapytałem, przełączając jednocześnie radio na tryb głośnomówiący.

– Posterunkowy Mike Talaoc, sześćdziesiąty komisariat. Jest ze mną posterunkowy Kaluta.

– Reilly i Aparo, FBI. Macie furgonetkę?

– Jesteśmy dwie przecznice za nią – powiedział Talaoc. – Właśnie skręciła w Neptune.

Aparo, wiedząc już, dokąd zmierzamy, wcisnął mocniej pedał gazu.

– Okej, trzymajcie się z tyłu, ale nie zgubcie ich – poleciłem. – Jeźdźcie za nimi tak, żeby was nie zauważyli. Dzwonię po wsparcie. Furgonetkę będzie próbował przejąć nasz strzelec i chcę tam być, kiedy to zrobi.

Młot rozkoszował się właśnie szklaneczką wódki Iordanov z limitowanej edycji, gdy zadzwoniła jego komórka.

– *Czort woz' mi!* – zaklął, nie mając nikogo szczególnego na myśli, i odebrał.

Mirmiński nie cierpiał, kiedy ktoś mu przerywał przy takich okazjach; gdy świętował zwieńczenie większego wysiłku. Doszedł do wniosku, że po tym, co wycierpiał przez egzekutora z SWR – Afanasjewa, czy jak mu tam było – oraz po tym, jak przetrwał nawałnicę w postaci nalotu FBI, zasłużył sobie na szklanekę wódki za pięć tysięcy dolarów za butelkę. Szczerze mówiąc, nie dostrzegał różnicy między tym, co pił, a zwykłą rosyjską wódką, ale w jego świecie wizerunek był bardzo ważny. Więc nawet jeśli nie był w stanie docenić jej smaku, doceniał przynajmniej jej... cenę.

Troska o wizerunek kazała mu również źle znosić to, że ktoś mógł go uznać za czyjś pachołka, zwłaszcza jeśli tym kimś były gliny albo FBI.

– To coś ważnego, szefie.

– Dawaj – jęknął poirytowany.

Po kilku szczęknięciach rozmowa została przełączona do niego na komórkę. Bezpieczną komórkę, ponieważ osobiście niecałe trzy godziny wcześniej odpakował ją z pudełka.



– Mówi Ditko. Mamy kłopoty.

Mirmińskiemu nastrój zmienił się z ponurego na podły. Ditko pracował w obyczajówce w sześćdziesiątym komisariacie w Brooklynie. Od siedmiu lat był na liście płac Młota, pomagał jemu i jego ludziom bezproblemowo prowadzić Lolitę.

– Linie mamy rozgrzane do czerwoności. W Lolicie była jakaś większa chryja. Nie jest dobrze, Jurij. Są ofiary śmiertelne. Właśnie tam jadę.

W Mirmińskim aż krew się zagotowała; spróbował się uspokoić. W jego knajpie dosyć często zdarzały się burdy. Raz czy dwa doszło i do zgonów. Lolita jakoś sobie z tym zawsze radziła, więc i teraz będzie dobrze. Już prawnicy Mirmińskiego o to zadbają.

– Tylko tyle? – warknął.

– Nie słuchasz mnie, Jurij. Naprawdę nie jest dobrze. Musisz przyjechać i sam to zobaczyć. To zresztą nie wszystko. Do akcji wkroczyli federalni.

Na wieść o tym Mirmiński aż usiadł.

– Federalni? Po co?

– Nie jestem pewien. W eter poszedł meldunek na temat białej furgonetki, która była na miejscu. Jakaś chłodnia czy coś w tym guście. Federalni dali na nią zgłoszenie, najwyższy priorytet. – Ditko stukał przez chwilę w klawiaturę komputera i w słuchawce zaległa cisza. – Czy dokładnie taka sama nie uczestniczyła przypadkiem w strzelaniu w parku Owl’s Head? Tam, gdzie sprzątnęli ci paru ludzi?

Młot był wściekły.

– A dwóch kolejnych straciłem w Red Hook. Wszystko przez tę samą bladź!

Mirmiński mniej więcej wiedział, co się wydarzyło w dokach. Miał swoich ludzi również w innych komisariatach w całym mieście. Zdecydowanie wyglądało to na trop prowadzący w stronę sukinsyna, który kosztował go sześciu ludzi i zwałił mu na kark federalnych.

Zastanawiał się, dlaczego nikt z baru do niego nie zadzwonił. Nie był to dobry znak.

– Gdzie jest ta cała furgonetka? – spytał.

– Mogę się dowiedzieć. Śledzi ją nasz radiowóz, ale federalni zabronili ją na razie przechwytywać.

Mirmiński miał już plan i czuł się jak ryba w wodzie.

– Dowiedz się, gdzie jest. Zadzwoń do mnie bezpośrednio z namierami. Petr da ci numer.

Rozłączywszy się, wychylił resztę Iordanova, po czym otworzył szufladę i wyciągnął z niej swoje cacko: desert eagle’a action express, kaliber .50. Z obu stron robionej na zamówienie broni był wytłoczony złoty młot kowalski.

Miał już dosyć bycia popychadłem. Dupków, którzy niszczą mu majątek, a jego żołnierzy traktują tak, jakby brał ich z taśmy produkcyjnej.

„Dlaczego Lolita?”

Miał sentyment do tego lokalu. Był jego pierwszym. To z niego wyrosło jego imperium. Prowadził go narzeczony jego bratanicy.

„A co, jeżeli chłopak jest już trupem?”

Zadzwoił do Stefana na komórkę. Natychmiast włączyła się poczta głosowa.

Spróbował połączyć się z barem. Nikt nie odebrał.

To przesądziło sprawę.

Byli w Ameryce, a nie w Rosji!

To nie *Służba Wnieszniej Razwiedki* dyktowała tutaj warunki!

Dosyć tego!

Jest *Kuwałdą!* Młotem Kowalskim!

Najwyższy czas pokazać tym *jebanatom pidorasom*, czym zasłużył sobie na ten przydomek.

Gdy zjeżdżali z Brightwater w lewo, prosto w prowadzącą na północ Coney Island Avenue, furgonetką zarzuciło. Bon zignorował znak stopu, a potem przejechał przez dwa skrzyżowania na czerwonym. Na szczęście o tej porze prawie nie było ruchu, więc właściwie nic nie ryzykował.

Jonny na siedzeniu obok wystawił głowę przez okno i spojrzał do tyłu, sprawdzając, czy nikt ich nie śledzi.

– *Jen jang* – zaklął. Niech to szlag! Wsunął głowę z powrotem do wozu. – Gliny za nami jadą. Nie da się więcej wycisnąć z tego grata?

Żrenice miał wielkości ćwierćdolarówek. W jego żyłach krążył zabójczy koktajl adrenaliny i endorfin.

Bon wcisnął gaz do dechy i furgonetka gwałtownie przyspieszyła, przejeżdżając na kolejnym czerwonym świetle. Jednak tym razem uciekła ze skrzyżowania na ułamek przed tym, zanim z poprzecznej ulicy wjechał na nie sznur samochodów.

Chłopak natychmiast skręcił w prawo, a potem w lewo.

Jonny wyjrzał przez okno. Odczekał, aż skręca jeszcze kilka razy, i dopiero wtedy usiadł z powrotem i wziął głęboki wdech.

– Chyba ich zgubiliśmy – powiedział do Bona, po czym poklepał go trzykrotnie po ramieniu. – Dobra robota, Pulgasari.

Wbił wzrok przed siebie. Minęła druga nad ranem i ulice były zupełnie puste. Próbował powściągnąć emocje i skupić się na tym, jak dojechać do lodowiska, ale w głowie dzwoniło mu ciągle, że tym razem posunął się za daleko. Zdawał sobie sprawę, że ani za pomocą ściemy, ani manipulacji, ani uroku osobistego nie wykpi się ze spirali przemocy, w którą dał się wciągnąć.

Aj-Cza nigdy nie chciała być częścią tego świata, ale odkąd zakochała się w Jachinie – a to Jonny ich sobie przedstawił – pozostawało kwestią czasu, kiedy to całe bagno wciągnie również ją.

Nagle poczuł, że zalewa go jednocześnie wściekłość i fala dojmującego smutku. Po raz pierwszy w życiu zaczął się zastanawiać, czy jego brat i Szin nie podjęli właściwej decyzji.

Kościej minął już Most Manhattański i zmierzał Flatbush Avenue w stronę Prospect Parku.

W dużych miastach czuł się jak ryba w wodzie. Większość czasu między jedną misją a drugą spędzał w odosobnieniu, ostatnio głównie w willi, którą wynajmował w maleńkiej wiosce Mougins na Riwierze Francuskiej. Zwykle za jedyne towarzystwo służyło mu szyfrowane satelitarne łącze internetowe. Mądrze wykorzystywał dany mu czas – przygotowywał się, eksplorował, układał użyteczne listy, w tym wykazy dyskretnych miejsc, gdzie mógł się zatrzymać albo zorganizować spotkanie. Mimo że

miał do dyspozycji cały aparat rosyjskich służb wywiadowczych, wolał pracować w pojedynkę, tak by nikt – nawet jego bezpośredni przełożeni – nie wiedzieli nic oprócz tego, co sami mu przekazywali. Tak było bezpieczniej – dla niego i dla nich.

Dawno temu znalazł ten parking obok lodowiska, idealną lokalizację na spotkanie z dala od wścibskich oczu, w tak zatłoczonym mieście jak Nowy Jork niemalże rarytas. Podczas gdy większość terenu metropolii objęto monitoringiem, w Prospect Parku kamery były rozmieszczone w dużych odstępach, a Kościej wiedział dokładnie, w jakim kierunku są wycelowane.

Z siedzenia obok dobiegł go bolesny jęk. Aj-Cza walczyła z plastikowym paskiem, którym miała skrępowane nadgarstki, ale udało jej się tylko zedrzeć sobie skórę. Na fotel poniżej poleła się strużka krwi.

Żaden problem. Ten wóz i tak miał wkrótce zniknąć z tego świata.

Podobnie jak jego pasażerka.

Żując zaciekle gumę niczym trener oglądający finały, Młot usiadł na wygodnej tylnej kanapie mercedesa GL450 i jeszcze raz sprawdził swojego desert eagle'a. Półterenówka zanurzyła się w mrok.

Prowadził jego asystent Petr – szczupły mężczyzna w szytym na miarę garniturze, kowbojkach i z jasną czupryną, która nie do końca zasłaniała paskudną bliznę, biegnącą horyzontalnie przez twarz. W samochodzie jechało też dwóch niemal identycznych zbirów. W przeciwieństwie do niżej usytuowanych w hierarchii *bratków* żaden z nich nie był wytatuowany. Stanowili osobistą świtę Mirmińskiego. Wszyscy jej żołnierze należeli kiedyś do Specnazu, a część była weteranami brutalnych najazdów, w jakich ich oddziały specjalizowały się w Czeczenii. Wszyscy zarabiali u niego przez tydzień więcej niż w służbie Rosji przez rok.

Odezwała się komórka Mirmińskiego.

Dzwonił Ditko.

– Prospect Park – przekazał mu lokalizację. – Parking przy lodowisku.

Młot chrząknął.

– Informuj mnie na bieżąco.

Rozłączył się.

Dopilnuje, żeby gliniarz zarobił ekstra za fatygę. Mirmiński zawsze wynagradzał tych, którzy mu pomagali. Dlatego właśnie zrobił tak oszałamiającą karierę. Wierzył święcie w stare powiedzonko: *knut i prianik* – bat i piernik. Tyle że jego bat miał kolce.

Powiedział Petrowi, dokąd ma jechać, po czym przesunął palcami po swojej kunsztownie zdobionej armacie, czując, że coraz bardziej zaczyna się niecierpliwic.

Aparo skręcił w lewo, a ja przez radio połączyłem się z policjantami.

– Ciągłe ich macie?

Po chwili odpowiedział mi przez trzaski głos Talaoca.

– Mamy. Zgubiliśmy ich na chwilę, ale potem złapaliśmy znowu. Jesteśmy na Ocean, nadal kierujemy się na północ.

Spojrzałem na Aparo i w myślach przywołałem mapę miasta.

– Dokąd jedziemy? – spytał.

– Iwan pewnie wyznaczył im jakieś miejsce, gdzie dokonają wymiany. Aj-Cza za furgonetkę. Gdzieś, gdzie jest cicho. Ale o tej porze to może być gdziekolwiek.

Podniosłem mikrofon radia do ust.

– Dobra, trzymajcie się z tyłu, ale nie zgubcie ich znowu. Będziemy za dziesięć minut. Wsparcie jest już w drodze. Uważajcie, bo wygląda na to, że furgonetka jedzie na spotkanie z naszym strzelcem. Może dojść do wymiany zakładniczki. Facet jest uzbrojony i ekstremalnie niebezpieczny.

Talaoc milczał przez chwilę, po czym zameldował:

– Przyjąłem.

Kiedy odkładałem mikrofon, Aparo pokręcił głową.

– Chyba mamy szczęście, że jeszcze żyjemy.

Skrzywiłem się i wpatrzyłem w ciemność. Przynajmniej wreszcie zobaczyłem twarz naszego strzelca i mniej więcej wiedziałem, z kim mamy do czynienia. To, że znałem teraz jego rysy, było dla mnie bardzo ważne. Pomogło mi go zdemistyfikować, zamienić z mitycznej bestii w zwykłego kolejnego psychopatę, którego kręci zabijanie ludzi. Ale wyczułem coś jeszcze.

– Moim zdaniem to nasza ostatnia szansa, żeby go złapać – powiedziałem. – Jeżeli dorwie w swoje łapska furgonetkę, zniknie. I tyle go będziemy widzieli.

– W takim razie postarajmy się go złapać – rzekł Aparo.

– Właśnie.

Nie dodałem nic więcej.

Kościej wjechał na parking.

Z wyjątkiem pasa żywopłotu przy wejściu na lodowisko, teren był otoczony przez drzewa. Nawet nie było przez nie widać jeziora Prospect Park, którego wody zaczynały się w odległości zaledwie kilkuset metrów na południowy zachód od wybetonowanego opustoszałego placu.

Zatrzymał yukona na samym środku parkingu i zgasił silnik. Wokół panowała martwa cisza, sporadycznie zakłócana przez wołanie gęsi.

Po krótkiej chwili zobaczył furgonetkę. Wjechała na parking i zaczęła się powoli zbliżać do półterenówki. W środku dostrzegł dwie osoby. Stała jakieś pięćdziesiąt metrów od niego, ale kierowca nie zgasił motoru.

Wysiadło z niej dwóch mężczyzn. W szczuplejszym Rosjanin rozpoznał Jonny'ego, którego pamiętał z doków. Drugi miał co najmniej metr osiemdziesiąt, a zbudowany był jak mistrz pchnięcia kulą. Kościej założył, że Koreańczyk nie miał czasu ściągnąć nikogo więcej do pomocy, ale mimo to wysiadając z samochodu i wyciągając z niego Aj-Czę, obserwował uważnie okolicę.

Pistolet wycelował w głowę dziewczyny.

Poczuł znajome podniecenie; podniecenie, które ogarniało go zawsze, gdy finalizował trudne zadanie. Podniecenie na myśl o zwycięstwie.

Za kilka minut furgonetka i jej zawartość będą należały do niego – będzie dysponował technologią, o której mogły tylko zamarzyć CIA, armia amerykańska, czy nawet cały aparat państwowy byłego Związku Radzieckiego. Otwierało to przed nim nieograniczone możliwości, z których nie omieszka skorzystać.

„Nieśmiertelny” odciśnie swoje piętno na niczego niepodważającym, bezbronnym świecie.

Jonny wyczuł, że ręka Bona wędruje w stronę beretty 9 mm, którą miał wetkniętą za pasek za plecami. Położył osiłkowi dłoń na ramieniu, zanim ten zdążył wyciągnąć broń.

– Zaczekaj, aż Aj-Cza będzie z nami – powiedział cicho. – I nie wierz w nic, co powie ten koleś. Widziałem go w akcji.

– Jest sam – szepnął Bon. – Możemy go sprzątnąć.

Jonny uniósł obie ręce i kiwnął swojemu towarzyszowi głową, żeby poszedł w jego ślady. Wypuściwszy ze świstem powietrze przez zęby, Bon zrobił, co mu kazano.

Koreańczyk podszedł kilka kroków do Kościeja.

– Jak to załatwimy?

– Bardzo prosto – oświadczył Rosjanin. – Furgonetka ma być moja. Zamieniamy się wozami. I nawet nie myśl o tym, żeby wcisnąć tamten guzik.

Jonny zeszytniał. Tak jak przypuszczał, sukinsyn wiedział, jakie możliwości

drzemią w starym gruchocie.

Biedny pan Soko. Zastanawiał się, czy genialny wariatuńcio nadal żyje.

Podszedł jeszcze bliżej.

– A co z Aj-Czą?

Kaluta zgasił w radiowozie światła i dotoczył się do niskiego murku, prowadzącego wzdłuż drogi dojazdowej na parking.

Obaj z Talaokiem wysiedli. Pochylili się, ściszyli radia, wyciągnęli broń i podkradli się bliżej parkingu.

Zatrzymali się tuż przy murku i przyjrzeni widocznemu między drzewami rozległemu placowi.

– Reilly! – niemalże szepnął do nadajnika Talaoc. – Są na parkingu przy lodowisku. I furgonetka, i półterenówka. Gdzie jesteście?

Aparo skręcił gwałtownie kierownicą i pomknęliśmy w stronę parku. Nie miałem stuprocentowej pewności, ale wydawało mi się, że krótki fragment przejechaliśmy na dwóch kołach.

– W parku. Widzicie ich?

– Dwóch facetów przy furgonetce – powiedział Talaoc. – Azjaci. Jeden bardzo duży. Przy półterenówce facet i dziewczyna.

– To zakładniczka – wyjaśniłem. – Zostańcie na miejscu i...

– Podejdźcie tu obaj – rozkazał Kościej. – Wypuszczę ją, jak się spotkamy. Ale najpierw drągał ma odłożyć broń.

Jonny spojrzał na Bona.

Ten nawet nie drgnął. Nie miał zamiaru pozbywać się sploty.

Rosjanin nie zastanawiał się nawet przez chwilę.

Jak gdyby nigdy nic opuścił pistolet i pociągnął za spust, robiąc Aj-Czy dziurę w stopie.

– O kurwa, postrzelił ją! – rozległ się w głośniku głos Talaoca. – Gość z terenówki właśnie strzelił dziewczynie w stopę!

Spojrzałem na Aparo.

– Gaz do dechy!

Aj-Cza krzyknęła tak głośno, że jej wrzask przedarł się nawet przez taśmę zaklejającą jej usta i rozbrzmiał w całym parku. Ugięły się pod nią nogi, ale Kościej trzymał ją mocno za rękę i nie pozwolił upaść.

– Nie będę powtarzał! – zawołał.

Jonny poczuł kwaśny smak w gardle.

Zdawał sobie sprawę, że niezależnie od tego, co zrobią, Rosjanin zabije ich wszystkich. I że jeśli chcą opuścić park żywi, to muszą przejąć inicjatywę. Domyślał się, że Bon zareaguje na prowokację przeciwnika – zwłaszcza że był nabuzowany koką – co pozostawiało mu ułamek sekundy na to, żeby samemu zadziałać.

Wielki Koreańczyk zdołał wyszarpnąć broń. Jonny zrobił to samo i natychmiast strzelił w kierunku Rosjanina. Obaj się jednak spóźnili. Głowa Bona odskoczyła do tyłu, a on sam padł na ziemię, z dziurą w samym środku czoła. Jonny spudłował.

Kościej wypuścił dziewczynę i posłał w kierunku szukającego osłony Koreańczyka dwa pociski. Pierwszy zawadził o skraj jego głowy, raniąc go boleśnie w ucho. Drugi utkwił mu w plecach. Jonny zachwiał się. Spróbował utrzymać równowagę, odwrócić się, unieść pistolet i wystrzelić jeszcze raz, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Upadł twarzą do przodu i wyrznął szczęką o beton.

Przez chwilę czuł się tak, jakby wokół zapanowała mroźna zima. Widział leżącą na ziemi Aj-Czę i Rosjanina, który podchodził do niej, żeby ją dobić. Potem wszystko przesłoniła ciemność.

Pomknęliśmy na przełaj między drzewami w stronę radiowozu i parkingu. Po paru sekundach pojawiły się przed nami sylwetki furgonetki i półterenówki.

– Gazu, gazu! – ponaglałem Aparo, który stopą niemal przebił podłogę wozu na wylot.

Prawie zrównaliśmy się z radiowozem, gdy nagle w ciemnościach zamigotały błyski strzałów i na moich oczach jedna ludzka sylwetka padła na ziemię, a druga zaczęła uciekać.

– Dalej! – zawołałem, gdy podskakując na wertepach, minęliśmy radiowóz i wjechaliśmy na parking, zmierzając w stronę obu samochodów i samotnej postaci, kroczącej w stronę niewyraźnej bryły na ziemi, widocznej kilka metrów dalej.

– Zabije ją! Celuj w niego! – krzyknąłem, jednocześnie wyszarpując i przeładowując pistolet. Zresztą nawet nie musiałem tego mówić. Aparo wpadł na ten sam pomysł i nie zdejmując nogi z gazu, skierował wóz w stronę celu.

Błyskawicznie zbliżyliśmy się do napastnika. Iwan odwrócił się i zaczął do nas strzelać.

Obaj ześlizgnęliśmy się z siedzeń dokładnie w momencie, gdy kule wbiły się w przednią szybę. Głowa Aparo ledwo wystawała nad kierownicę, a ja skuliłem się



poniżej deski rozdzielczej, po czym wysunąłem przez okno pistolet i spróbowałem złożyć się do strzału. Sekundę przedtem, zanim w niego wjechaliśmy, Iwan próbował uskoczyć w bok. Uderzył najpierw w maskę samochodu, potem w szybę, a następnie odbił się od dachu i wyrznął o beton. Aparo wcisnął gwałtownie hamulec, zatrzymując wóz tuż obok półterenówki Rosjanina.

Spojrzałem szybko na partnera.

– Jesteś cały?

– Tak, kurwa – potwierdził, otwierając już drzwi i wyciągając pistolet.

Obaj wyskoczyliśmy z samochodu, celując w strzelca.

Sukinsyn nawet nie zemdlał. Ruszał się, próbował się podnieść, wstać. Wyglądał nie gorzej niż gimnastyk, który właśnie opadł na matę po tym, jak zrobił parę akrobacji na koźle.

– Chryste Panie! – zdumiał się Aparo. – To jakiś pierdolony Terminator!

Podbiegłem do Rosjanina i kopniakiem ściałem go z nóg. Zakręcił się wokół własnej osi i upadł na asfalt.

– Nie ruszaj się! – zawołałem. – Ręce na widoku!

Przycisnąłem kolano do jego pleców i wgniotłem go w ziemię. Wyszarpnąłem zza paska jego spodni nóż w pochwie, a z kabury na kostce glocka 26. Wszystko odrzuciłem daleko za siebie.

– Mamy cię, towarzyszu – powiedziałem, przyciskając mu pistolet do karku.

Odwrócił się, spojrzał na mnie i obdarzył najłżejszym, najbardziej lodowatym uśmiechem, jaki widziałem w życiu. Nie odezwał się ani słowem.

– Sprawdź dziewczynę – rzucił Aparo.

Ruszył w jej stronę. Zamierzałem skuć Iwana, gdy nagle usłyszałem ostrzegawczy głos partnera.

– Mamy towarzystwo.

Podniosłem wzrok. Nie mylił się.

Pomiędzy drzewami prosto w naszą stronę jechała czarna półterenówka.

Podniosłem Iwana, nie odrywając wzroku od ciemnego mercedesa, który wjechał na parking i się zatrzymał.

Wysiadło z niego czterech mężczyzn.

Jednym z nich był Mirmiński. Towarzyszyli mu wysoki blondyn z ciemną blizną szpecącą policzek oraz dwóch krótko obciętych żołnierzy. Trzej ostatni uzbrojeni byli w pistolety maszynowe.

Rozstawili się wokół nas, Mirmiński w samym środku, na wprost mnie i Aparo. Dzieliło nas od niego jakieś dwadzieścia metrów.

– Co ty właściwie wyprawiasz? – zapytałem go, celując moim browningiem w jego czoło.

Mój partner również miał spluwę w rękę.

– Pozbawiam cię bólu głowy – odparł, łypiąc z wściekłością na Iwana. – Obaj odłóżcie gnaty. Nic wam nie zrobimy. Poza tym mamy przewagę liczebną.

– Nas wcale przez niego głowy nie boją. Przeciwnie, jesteśmy do niego bardzo przywiązani. Mam więc dla was propozycję: zabierzcie swoje zabawki, wskakujcie do waszego pedalskiego autka i precz nam z oczu, a my zajmiemy się spokojnie dziewczyną – powiedziałem, wskazując na Aj-Czę, która ciągle leżała w tym samym miejscu, gdzie upadła. – Jak będziecie mieli szczęście i okażą wam łaskę, to zapomnę o tym wszystkim. Tak czy inaczej, jedno jest pewne: temu dupkowi nie ujdzie to na sucho.

Młot uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Myślisz, że przyjechaliśmy mu pomóc?

W jego postawie nie wychwytiłem wcześniej pewnego niuansu, z czego zdałem sobie sprawę dopiero teraz. Mirmiński łaknął krwi.

– Jest nasz, Jurij.

– Czyli że niby co? – spytał. – Czyżbyś się nie domyślał? – kontynuował, nie dając mi nawet szansy na reakcję. – Wyląduję w wygodnym pokoiku, gdzie paru koleś w garniturach zada mu mnóstwo pytań, a biorąc pod uwagę to, kim jest i co wie, zawrą z nim w końcu ugodę. I albo odeślą do Moskwy, gdzie będzie żył jak król, albo załatwią mu przytulne mieszkanie w Miami Beach i tłuste konto gdzieś na Kajmanach. Będzie musiał tylko pogadać z tobą i twoimi kumplami z Langley na parę fascynujących tematów, dzięki czemu odniesiecie złudne wrażenie, że macie przewagę w tej bezsensownej grze, w którą się wszyscy bawicie.

– Nie wywinie się z tego – powtórzyłem z naciskiem.

– Daj spokój. Przecież nie jesteś taki głupi, Reilly. Wiesz, jak to działa.

Musiałem przyznać, że pewnie ma rację. Aż się coś we mnie skręcało na myśl, że sprawy mogą się potoczyć właśnie tak, jak to opisał. Budziło to we mnie wstręt,

zwłaszcza teraz, w środku nocy, na tym opustoszałym parkingu, bo przecież wiedziałem dokładnie, co sukinsyn ma na sumieniu. Ale z drugiej strony nie ufałem Mirmińskiemu, a poza tym właściwie nie mogłem nic zrobić, chyba że osobiście wpakowałbym świrusowi kulę w łeb.

– Nie zmienia to faktu, że idzie z nami – odpowiedziałem spokojnie.

Mirmiński mierzył mnie przez chwilę wzrokiem, a potem zrobił skwaszoną minę, tak jakby naprawdę był rozczarowany. Odwrócił się do blondasa z blizną na buźce i przechylił głowę, mruczając coś, czego nie rozumiałem. Jego asystent beznamyślnie przesunął pistolet, którym celował we mnie, i strzelił kilka razy w przednie koło samochodu Aparo, zamieniając fragment opony w postrzępione wstążki. Potem się obrócił i powtórzył czynność, tym razem unieruchamiając półterenówkę Iwana.

Młot mówił serio.

Obdarzył mnie smętnym uśmiechem i skomentował:

– Widzę, że nigdzie się nie wybieracie.

Jego żołnierze ciągle trzymali nas na muszkach, podczas gdy blondyn podszedł do furgonetki, najwyraźniej chcąc do niej również strzelić.

Uniosłem pistolet i wycelowałem w głowę Mirmińskiego.

– W takim razie bierzemy waszą brykę – powiedziałem. – Odsuń się.

Blondyn stanął jak wryty i się odwrócił. Mirmiński podniósł ręce.

– A jak nie, to co? Zastrzelisz mnie? Nieuzbrojonego cywila? Wszystkich nas rozwalicie? Daj spokój. Nie bądź głupi. Oddaj nam cwela i wracaj do domu. Pozwól nam zrobić z nim to, co ty byś chciał zrobić, a nie możesz.

Znaleźliśmy się w patowej sytuacji. Właściwie bez wyjścia.

Nagle odezwał się sam Iwan.

Syknął coś po rosyjsku do Mirmińskiego, i choć nie rozumiałem ani słowa, zabrzmiało to groźnie i nieprzyjemnie. Gangster odgryzł się, bynajmniej nie przestraszony.

Przez myśl przeszło mi, że może faktycznie powinienem zostawić Młotowi Iwana i wracać do domu. Ale przecież nie mogłem.

– Jurij, zastanów się, co robisz. Zamienimy ci życie w piekło.

Mirmiński uśmiechnął się.

– Tak jakby ostatni tydzień był dla mnie jedną wielką imprezą. Poza tym mam naprawdę drogich prawników, którzy w dodatku warci są każdego centa, jaki im płacę.

– Jego uśmiech zamienił się w groźną, naprawdę groźną minę. – Okej, dosyć tego. Co robimy?

Sytuacja kryzysowa.

Przyjrzałem się im po kolei, a potem przeniosłem wzrok na Iwana. Stał nieruchomo z twarzą bez wyrazu.

Aparo spojrział na mnie. Zналиśmy się na tyle dobrze, że czytaliśmy sobie

w myślach. Najlepiej było blefować jeszcze przez chwilę, poczekać na wsparcie i zgarnąć ich wszystkich. W pobliżu czaiło się dwóch gliniarzy, którzy pewnie nie mieli pojęcia, co się dzieje, i deliberowali, czy i kiedy wkroczyć do akcji. Wsparcie powinno dotrzeć lada moment. Nie chciałem jednak prowokować strzelaniny, zanim pojawią się nasi i zdobędziemy zdecydowaną przewagę. Nie chciałem, żeby z powodu tej kanalii ktokolwiek jeszcze zginął.

Mirmiński chyba czytał mi w myślach. Kiwnął głową blondasowi, a ten podszedł do mnie. Spojrzał wyniośle na Iwana, którego ciągle trzymałem przy sobie. Zaledwie jednak stanął obok nas, gdy nagle w nocnym powietrzu rozległy się trzy strzały.

Nie miałem pojęcia, w co trafiły dwa pociski, ale trzeci dosięgnął pleców blondasa – upadł na ziemię, ciągnąc za sobą Iwana.

Wszyscy spojrzeliśmy w stronę, z której jak się wydawało, dobiegł odgłos wystrzałów, i jednocześnie dostrzegliśmy jakieś sto metrów dalej niewyraźny kształt – ktoś klęczał, ściskając oburącz pistolet.

Jonny.

Na wpół żywy, chwiał się, ledwo utrzymując równowagę.

Następna minuta trwała zaledwie parę sekund.

Jeden z żołnierzy Mirmińskiego ściał dwiema seriami młodego Koreańczyka. W tym samym momencie na parking wpadł radiowóz.

Aparo i ja rzuciliśmy się na ziemię. Mój partner przetoczył się po asfalcie i zdjął bliźszego ze zbirów Mirmińskiego.

Gliniarze wyskoczyli ze spluwami w rękach z samochodu, krzykiem każąc drugiemu strzelcowi położyć się na ziemi. Zignorował ich rozkazy i poczęstował ich serią, trafiając jednego w ramię. Obaj rzucili się na ziemię, szukając schronienia za swoim wozem i odpowiadając ogniem.

Spojrzałem na miejsce, w którym jeszcze sekundę wcześniej leżał Iwan, ale już go tam nie było.

Strzeliłem parokrotnie do drugiego bandyty, który dał nura za mercedesa. Spudłowałem. Wychylił się w tej samej sekundzie i opróżnił magazynek, celując najpierw we mnie, a potem w radiowóz – podziurawił jak sito maskownicę i rozwalił reflektory.

Ciągle uziemiony za samochodem Aparo, usłyszałem, że ktoś zapala silnik furgonetki. Wyjrzałem i zobaczyłem, że wóz właśnie skacze do przodu.

Iwan. To musiał być Iwan.

Mirmiński odwrócił się i posłał parę kul w stronę furgonetki, ale żadna z nich nie trafiła w kierowcę. Ponieważ ostatni z jego żołnierzy ciągle trzymał nas w szachu, zasypując co rusz pociskami, mogłem tylko patrzeć, jak wielki samochód przyspiesza, pędząc prosto w stronę Młota.

Wbił się w niego na pełnej prędkości i niczym odkurzacz wciągnął go pod koła. Po

dziesięciu metrach ciało oderwało się i tył furgonetki podskoczył na nim, wydając nieprzyjemny chlupot.

Wycelowałem w tylne koła i opróżniłem w ich kierunku magazynek, ale nic to nie dało, bo furgonetka dotarła do skraju parkingu i wkrótce zniknęła między drzewami.

Nie mogłem mu pozwolić tak po prostu uciec, ale ciągle powstrzymywał nas czwarty strzelec.

– Gońcie furgonetkę, będziemy was osłaniać! – zawołałem do gliniarzy.

Krzyknawszy na cały głos: „Teraz!”, obaj z Aparo podnieśliśmy się i opróżniliśmy magazynki, celując w półterenówkę – niestety, niemal natychmiast usłyszeliśmy odgłos krztuszącego się motoru radiowozu.

Najwyraźniej oberwał o parę razy za dużo.

– Wezwijcie wsparcie! – wrzasnąłem w bezsilnej wściekłości. – Odetnijcie park!

Potem odwróciłem się w stronę strzelca, który ciągle chował się za mercedesem. Za wszelką cenę chciałem przejąć półterenówkę. Z tego, co widziałem, nie była uszkodzona i mogłem nią ruszyć w pościg za furgonetką.

– Gra skończona! – zawołałem. – Już po wszystkim. Rozumiesz? Rzuć broń i wyjdź z podniesionymi rękami.

Odczekał pełną minutę, zanim to zrobił. Minutę, która ciągnęła się w nieskończoność. Ponieważ kiedy w końcu odrzucił splotkę i wyszedł z dłońmi uniesionymi wysoko w górę, równie dobrze mogłem ścigać wiatr w polu.

Zgubiliśmy go.

Znowu.

W dodatku tym razem pozwoliliśmy mu zabrać to, po co przyjechał.

Kościej sprawdził okolice magazynu, upewnił się, że wokół panuje cisza, a potem zamknął drzwi na klucz.

Głęboko zamyślony przeszedł przez halę, zmierzając w stronę biura.

Zdawał sobie sprawę, że w trakcie wyprawy po furgonetkę omal nie stracił wszystkiego, ale świadomość ta nie niepokoiła go zbyt. Nazywał to ryzykiem zawodowym. Z czymś takim trzeba się było liczyć, zwłaszcza przy tego rodzaju zadaniach, kiedy nie da się uniknąć pewnych niewiadomych i należy błyskawicznie podejmować decyzje, bez namysłu i szczegółowego planu. Ale właśnie dzięki temu stał się legendą: improwizował lepiej niż inni i jakimś cudem zawsze wychodził z opresji obronną ręką. Tej nocy po raz kolejny miał okazję przetestować tę umiejętność, a poważna próba jego talentów kosztowała go zaledwie parę siniaków. Wyciągnął z tego doświadczenia lekcję, dodał do swojego bogatego katalogu i zapamiętał – w przyszłości z pewnością z niej skorzysta. Co jednak najważniejsze, miał wszystko, czego potrzebował: Sokołowa – Szyslenkę – i furgonetkę.

Spojrzał na swojego więźnia. Leżał ciągle skuty na podłodze i spał. Kościej naszprycował go środkiem SP-117 i wiedział, że naukowiec nie obudzi się prędko, choć proces ten można było ewentualnie przyspieszyć za pomocą soli trzeźwiących. Na razie nie spieszył się z tym. Wprawdzie nie miał zbyt wiele czasu – w pościg za nim zaangażowano zbyt wiele sił – ale zanim obudzi Sokołowa, musi jeszcze załatwić nowy wóz.

Nie miał już półterenówki, a jazda furgonetką wiązała się ze zbyt dużym ryzykiem.

Musiał też pomyśleć. Miał już plan, który opracował w głowie zaraz po tym, kiedy zrozumiał, z czym ma do czynienia, i który po przesłuchaniu Sokołowa domagał się tym pilniejszej realizacji.

Trzeba go było jednak dopracować, przeanalizować każdy jego element, upewnić się, że wszystko pójdzie jak z płatka.

Zbliżało się ważne wydarzenie. Szybko, może nawet zbyt szybko. Wyróżniało się z listy ważnych amerykańskich wydarzeń, których przebieg pilnie śledziła centrala. Nadzwyczaj interesujących wydarzeń. Wprawdzie zostało mu do niego bardzo niewiele czasu – zaledwie dzień – ale za to idealnie nadawało się do tego, co zaplanował. Nie mógł przepuścić tak wyśmienitej okazji. Poza tym i tak już zabawił za długo na terytorium wroga i jeżeli nie chciał, żeby zacisnęła się wokół niego pętla, musiał działać szybko.

Należało się teraz skontaktować z głównymi zawodnikami – sponsorami i jeleniami – których wszystkich znał albo o których wiedział, że dysponują środkami i mają apetyt na to, co im podsunie. Następnie wprowadzi plan w życie i wstrząśnie światem tak, że ten popamięta na zawsze. Potem wycofa się na z góry upatrzoną pozycję, gdzie zaczeka

na kolejną okazję, żeby uderzyć; kolejną okazję, żeby naprężyć wyposażone w nowe możliwości mięśnie i wspiąć się jeszcze wyżej na podium historii.

Czas nie mógł być lepszy. Podobnie jak bywalcy korytarzy władzy w Moskwie, uważnie obserwował wydarzenia, które ostatnio wstrząsnęły światem arabskim. W kolejnych krajach ludzie powstawali przeciwko swym ciemnościom. Obalano dyktatorów, konfiskowano im zdobyte nielegalnie majątki i pałace, a ich zbirów stawiano przed sądami albo wieszano na latarniach. W uciskanych krajach świata widoczna stała się nowa postawa, desperacji i pragnienia wolności oraz ukarania winnych, a towarzyszący jej niepokój był mocno odczuwalny na Kremlu. Demonstranci w Moskwie nagle protestowali głośniejsze i odważniejsze i panowało przekonanie, że „arabska wiosna” dotrze również do jego ojczyzny. Gdyby tak się stało, ludziom władzy wyrwano by dywanik spod stóp. Pozbawiłoby to też Kościeja okazji wykrojenia dla siebie kawałka torciku – owianej grozą sławy i bogactwa, których pożądał i które, jak święcie wierzył, po latach służby należały mu się jak psu kość.

No cóż, pomyślał, może w końcu nadszedł jego czas. Może zacznie wykrawać sobie kawałek torciku tu i teraz, w Ameryce, a nie na jakimś polu naftowym albo gazowym na Syberii.

Myśl o tym, żeby uderzyć w Amerykę, dodatkowo osładzała tę perspektywę. Bo wbrew wszystkiemu Kościej ciągle w głębi duszy był patriotą. Dumnym, niewzruszonym patriotą. A Amerykanie zbyt ostentacyjnie obnosili się z samozadowoleniem z powodu odniesionego przez nich sukcesu. Owszem, upadek starej politycznej ideologii jego ojczyzny był nieunikniony. Owszem, jego przełożeni okazali się bardziej chciwi i drapieżni niż najgorsi korporacyjni rabusie z Wall Street. Ale Amerykanów należało upokorzyć. Na świecie zostało tylko jedno supermocarstwo, a sposób, w jaki korzystało ze swojej potęgi, cała ta arogancja i poczucie bezkarności, naprawdę drażnił Kościeja. Trzeba ich rzucić na kolana i Kościej rozkoszował się samą myślą, jaka infamia spadnie na śmiałka, który tego dokona.

Rozmarzony położył się na betonowej podłodze w kącie biura.

Przeanalizowawszy jeszcze raz w głowie cały plan od samego początku aż do końca, w końcu się poddał i zapadł w sen.

Szin, skulony w ładowni furgonetki, bał się nawet oddychać.

Zamarł, przytulony do ścianki działowej w rogu za siedzeniami dla pasażerów. Złany potem, zamienił się w słuch i starał się zajmować jak najmniej przestrzeni.

Nie był pewien, co się wydarzyło w Prospect Parku. Kiedy się zatrzymali, ciągle siedział w ładowni i ogarnięty przerażeniem, postanowił tam pozostać. Przez okienko w drzwiach do kabiny zobaczył Aj-Czę i Rosjanina, którzy stali po drugiej stronie parkingu, a potem, że facet strzelił jej w stopę i że zabił Bona. To mu wystarczyło – rzucił się na podłogę i tam już pozostał. Zanim się zorientował, wokół wybuchła strzelanina i nie wiadomo kiedy furgonetka ruszyła przed siebie – a właściwie nie tyle

ruszyła, co pofrunęła, wbijając się w jakąś przeszkodę i podskakując na niej, a potem biorąc kilka ostrych zakrętów, przy których musiał się złapać metalowej skrzyni, żeby się nie zabić. W końcu zwolniła trochę i jej kierowca utrzymywał stałą prędkość.

Szin postanowił wtedy zaryzykować. Ledwo wychyliwszy się ze swojej kryjówki, zajrzał pod ostrym kątem do kabiny, chcąc sprawdzić, kto prowadzi. Kiedy zobaczył, że za kierownicą siedzi Rosjanin, który zastrzelił Aj-Czę, Bona i prawdopodobnie również Jonny'ego, o mało nie dostał zawału.

Skulił się z powrotem w kącie, dygocząc i pocąc się niczym w febrze. Jego umysł ogarnęła panika. Zastanawiał się, czy nie otworzyć tylnych drzwi i nie wyskoczyć w biegu, ale nie potrafił się do tego zmusić. Pozostał w tym żalosnym stanie do momentu, kiedy w końcu furgonetka zwolniła, zatrzymała się w jakimś rozbrzmiewającym echem miejscu i jej kierowca zgasił motor.

Szin jeszcze nigdy w życiu nie był tak przerażony. Czekał bezradnie, wbijając wzrok w tylne drzwi i spodziewając się, że zaraz się otworzą, że pojawi się w nich Rosjanin, który spojrzy na niego zdumionym wzrokiem, a potem wyciągnie na zewnątrz, zastrzeli i porzuci jego ciało w jakimś rowie.

Przez kilkadziesiąt sekund serce waliło mu jak młotem, czuł dudnienie w uszach, ale drzwi pozostały zamknięte i Rosjanin się w nich nie pojawił.

Szin usłyszał tylko kroki, najpierw oddalające się od furgonetki, a potem powracające i znów oddalające się, ale w przeciwnym kierunku. Później zaległa cisza.

Cisza jak makiem zasiał.

Czekał, znieruchomiąły niczym figura woskowa. Czekał. Czekał godzinę, a może i dłużej, aż w końcu, nie usłyszawszy przez tak długi czas żadnego dźwięku, postanowił zaryzykować.

Zachowując najwyższą ostrożność, otworzył drzwiczki do kabiny i wyjrzał na zewnątrz. Furgonetka stała w jakimś garażu. Przesączało się skądś do niego słabe światło, w którym zauważył ścianę z przodu, ale lampy we wnętrzu hali były zgaszone.

Przezołgał się na fotel pasażera, a potem powoli, bardzo powoli, chwycił klamkę, pociągnął, wywołując przyciszone szczęknięcie, i uchylił drzwi. Zaczekał. Nic nie zakłócało ciszy. Otworzył drzwi mocniej i się rozejrzał.

Znajdował się w jakiejś hali, czymś w rodzaju magazynu. Pustej, niemal pozbawionej sprzętów.

Wysunął się i ostrożnie postawił stopy na podłodze, a potem przytknął drzwi, nie zatrząskując ich.

Przytulił się do ściany i na palcach podszedł do przedniej części hali, w której przez okna pod dachem przesączało się do środka światło księżyca.

Obok żaluzjowej głównej bramy były tam niewielkie drzwi. Nacisnął klamkę.

Zamknięte na klucz.

Zakląwszy w duchu, cofnął się i zajrzał do pierwszego zakamarka, jaki dostrzegł po



lewej stronie. Było to niewielkie pomieszczenie, również puste.

O mało nie podskoczył z radości, zobaczywszy w rogu niewielkie otwierane okno, którego parapet był jakieś dwa i pół metra powyżej poziomu gruntu.

Chwilę później, skulony, oddalał się biegiem od magazynu, wbrew wszystkiemu mając nadzieję, że to nie jeden z tych okrutnych żartów, które uwielbia płać człowiekowi los; że nie wyląduje ostatecznie w tym samym miejscu, z którego uciekł, to znaczy w rękach Rosjanina i z perspektywą potwornego bólu i rychłej śmierci.

Zaczynałem tracić nadzieję.

Od poniedziałku rano, odkąd weszliśmy do mieszkania Sokołowa, zajmowaliśmy się wyłącznie tą sprawą, i teraz oto, trzy dni później, po zaledwie dwóch godzinach błogosławionego snu i bizantyjskiej rozpuście w postaci prysznic, siedziałem znowu bladym świtem w Federal Plaza. W normalnych okolicznościach nie biadoliłbym z tego powodu, ale po strzelaninach w dokach, w restauracji i w Prospect Parku ciało zaczynało odmawiać mi posłuszeństwa.

Były też dobre wieści: wszystko wskazywało na to, że Aj-Cza wyjdzie z tego bez szwanku. Że jej stopa zagoi się szybko, i chociaż spędzi sporo czasu z terapeutą, ćwicząc na nowo ścięgna i mięśnie, to przynajmniej ma ten czas.

Oprócz tego – katastrofa na całej linii.

Atak nastąpił ze wszystkich stron: z biura gubernatora, z biura burmistrza i z biura komendanta policji, a wszystko to docierało do mnie za pośrednictwem mojego szanownego szefa. Sporą część dniówki spędziliśmy w jego biurze: Aparo, ja, oczywiście sam Fiut, Kanigher, kilku współpracowników nowojorskiej policji oraz paru prawników Biura. Po obowiązkowym ochrzanie za to, że dopuściliśmy do ogólnej rzezi i w dodatku pozwoliliśmy uciec Iwanowi, Gallo zażądał szczegółowego sprawozdania z wydarzeń, jakie miały miejsce od naszego ostatniego spotkania – czyli zaledwie od wczorajszego poranka, kiedy omawialiśmy strzelaninę w motelu z poprzedniego wieczora. Nie było mi łatwo siedzieć tam i patrzeć, jak mój szef, zmarszczywszy groźnie brwi i zasznurowawszy usta, co niby miało mu dodać autorytetu, kwestionuje i krytykuje każde z naszych posunięć, zwłaszcza w moim obecnym stanie, ale postanowiłem przejść przez to wszystko bez szemrania i natychmiast zabrać się z powrotem do roboty, dzięki czemu może uda nam się dowiedzieć, co tu jest właściwie grane.

Przez cały czas gnębiło mnie bowiem jedno pytanie: Co, do jasnej cholery, wydarzyło się w rosyjskiej restauracji w Brighton Beach?

Nikt nie potrafił tego wyjaśnić.

Nie minęło wprawdzie zbyt wiele czasu, ale pojawiło się już sporo wątpliwości, poruszonych zwłaszcza przez media, które rzuciły się na temat. Doliczyliśmy się dziewięciu ofiar śmiertelnych. Ponad czterdzieści osób wylądowało w szpitalu, kilkoro z nich w stanie krytycznym. Mężczyźni, kobiety; młodzi, starzy. Prasa i nasi ludzie opisywali awanturę w barze jako niewyjaśniony incydent, którego uczestnikami byli w większości Rosjanie. Krążyły teorie na temat porachunków mafijnych. Ale według mnie nie miało to zupełnie sensu. Nigdy nie słyszałem o czymś takim, zwłaszcza że w jatce brało udział tak wiele kobiet i że nie chodziło o żadną imprezę sportową w rodzaju meczu bokserskiego czy wydarzenie polityczne takie jak marsz

protestacyjny. Nic nie tłumaczyło takiego wybuchu brutalnej przemocy. Wydawało się to czystym szaleństwem.

Z rozmów, jakie na miejscu incydentu zdążyli już przeprowadzić policjanci, wynikało, że sami jego uczestnicy właściwie nie byli pewni, co się stało. Nie mieli pojęcia, dlaczego robili to, co robili – co, rzecz jasna, stanowiło zupełnie zrozumiałą linię obrony, choć z drugiej strony w tym przypadku zeznania były zbyt konsekwentne i jednomyślne jak na cyniczną próbę wymigania się od odpowiedzialności. Kilka osób wspominało o szale, o tym, że coś się w nich nagle zagotowało, że poczuły agresję, której nie są w stanie wyjaśnić. Że były jak w transie albo pod działaniem narkotyków. I to właśnie nie dawało mi spokoju.

Na miejscu była też, rzecz jasna, furgonetka.

Furgonetka, którą Sokołow ukrywał, na temat której kłamał; do której tak desperacko chciał się dorwać Iwan.

O jedenastej jechaliśmy już z Aparo jego chargerem w stronę parku przemysłowego w Bronksie, w pobliżu Webster Avenue. Według danych wydziału komunikacji to tam była zarejestrowana furgonetka Sokołowa. Może na miejscu dowiemy się czegoś więcej?

– O co chodzi z tą furgonetką? – zapytałem, wpatrując się w jej zdjęcie z wydruku z kamery ulicznej, które trzymałem w ręku. – Co takiego zamontował w niej Sokołow?

– Może gość jest jak Goldfinger i poskładał sobie wóz ze złota? – zasugerował Aparo, wjeżdżając na drogę FDR. – A może w środku są narkotyki? Albo – dodał podekscytowany, dla podkreślenia wagi swoich słów podniósłszy palec wskazujący wysoko w górę – skonstruował jakiś zupełnie nowy rodzaj silnika, napędzanego supertaniami alternatywnym paliwem i nasz tajemniczy automobil jest jego tajnym prototypem? – Przerwał, ale po chwili, niezrażony moim lekceważącym spojrzeniem, kontynuował: – Poważnie mówię. Facio jest trochę takim rąbniętym profesorkiem, co nie? Może zmajstrował coś w tym guście. Rusczy chcą to ukryć przed światem, bo to by negatywnie wpłynęło na ich interesy jako eksportera ropy. My tego chcemy. Wszyscy tego chcą.

Spojrzał na mnie tak, jakby w jego teorii naprawdę tkwiło ziarno prawdy.

Nie słuchałem go już jednak, ponieważ w głowie pojawiła mi się nagle równie dziwna, szalona myśl.

Patrzyłem na zdjęcie furgonetki. Moją uwagę przyciągnął panel agregatu chłodniczego zamontowany na dachu.

Zacząłem się zastanawiać, do czego służy. Do czego właściwie służą chłodnie?

Do przechowywania mięsa. Lodów.

Bakterii.

Wirusów.

Moje myśli krążyły wokół tego tematu. I nagle przestały mi się wydawać dziwne

i szalone. Nagle zaczęło się z nich wyłaniać logiczne wyjaśnienie tego, co się przez ostatnie dni wydarzyło.

Aparo zauważył, że na coś wpadłem.

– Znowu masz tę minę – powiedział.

Byłem zbyt skoncentrowany, żeby się odgryźć.

– Daj spokój, Sherlocku – popędził mnie. – Proszę wersję dla niewtajemniczonych.

– Popatrz na to. – Ciągłe zadumany, wskazałem palcem panel na zdjęciu. – A co, jeżeli to wcale nie jest agregatem chłodniczym, ale czymś przeciwnym?

– Piecykiem?

– Nie. Dyfuzorem. Czymś, co nie tyle wciąga powietrze, żeby je ochłodzić, co je wydychuje. A może zresztą nie chodzi wcale o czyste powietrze? Może o coś zupełnie innego?

Aparo ciągle nie łapał i zrobił poirytowaną minę.

– Na przykład?

– Na przykład gaz bojowy?

Larisa Czółmiczewa wzięła głęboki wdech, wyprostowała się i weszła do gabinetu Olega Wrabinka. Zamknęła za sobą drzwi.

– Musimy pogadać – oświadczyła.

Gestem kazał jej usiąść. Zrobiła to, nie odrywając od niego wzroku.

– FBI i biuro burmistrza coraz bardziej naciskają na mnie w sprawie tego, co się dzieje od śmierci Jakowlewa.

Wrabinek przyglądał się jej bez słowa.

– Oleg, co się dzieje? Od poniedziałku nic mi nie mówisz, ale sprawy wymknęły się spod kontroli i już sama nie wiem, jak mam z nimi gadać. Wszystkie te ofiary, strzelaniny... Co jest grane? Mamy go jeszcze?

Jej szef zachmurzył się.

– Chyba tak – powiedział po dłuższej chwili.

– „Chyba”? Według FBI jeszcze wczoraj o dziesiątej wieczorem był z nami.

Wrabinek zmarszczył czoło, wyraźnie zmartwiony.

– Chyba tak – powtórzył opryskliwie. – Całkowitej pewności nie mam, a to z tego prostego powodu, że od dwudziestu czterech godzin się nie kontaktowałem.

– Słucham?

– Miał mi dać znać, kiedy już zgarnie Sokołowa, żebym zorganizował ich przerzut.

– Brak kontaktu ze strony agenta dało się wytłumaczyć tylko w jeden sposób, ale widać było, że Wrabinek wzdraga się na samą myśl o tym. – Nie mam pojęcia, gdzie jest. – Zastanawiał się przez chwilę, a potem zapytał: – A może Amerykanie sobie z nami pogrywają? Myślisz, że go złapali?

Larisa zamyśliła się, ale po chwili pokręciła głową.

– Nie sądzę. Co by na tym zyskali? Poza tym Reilly był chyba autentycznie

sfrustrowany i wściekły. Ma na koncie całą serię porażek. – Przerwała, po czym dodała: – A ty nie próbowałeś się z nim skontaktować?

– Próbowałem. Ale nie odbiera. – Wrabinek wstał i podszedł do niskiego barku stojącego obok wielkiego okna wychodzącego na ogród. – Jeśli chodzi o Kościeja, to cały problem polega na tym, że sam sobie jest szefem. Działa niezależnie i nie melduje się nikomu poza samym generałem. Nic mu nie mogę kazać.

– Więc co robimy?

Otworzył wbudowaną w barenkę lodówkę, wyjął butelkę oszronionej wódki i nalał sobie szklaneczkę. Wychylił ją i skrzywił się, czując palenie w gardle.

– To, co do tej pory – powiedział. – Mirmiński nie żyje. Jeżeli Kościej znalazł Sokołowa, to nie sądzę, żebyśmy musieli się jeszcze czymkolwiek przejmować. Właściwie jest już po sprawie.

Larisa skinęła głową i wyszła na korytarz. Kiedy zmierzała do swojego biura, w głowie kołatała jej niepokojąca myśl.

O Kościeju mówiło się, że pracuje sam, według własnych reguł. Co oznaczało, że być może sam zajął się przetrzutem więźnia. A jeżeli tak, to nie uda jej się wypełnić zadania.

Czego skutki, jak ostrzegął ją jej kontakt, mogą być katastrofalne.

– Gaz bojowy? – zdziwił się Aparo. – Serio?

Krążyłem myślami wokół tego pomysłu.

– Zastanów się tylko. Sokołow, czy jak się tam naprawdę nazywa, jest naukowcem. Rosyjskim naukowcem. Wiemy, że jest błyskotliwy. Być może wymyślił coś, co wywołuje u ludzi agresję. Coś, co się rozpyła w powietrzu i co uruchamia ich najbardziej pierwotne instynkty. Coś, co chce ukryć przed światem.

– Gaz wywołujący u ludzi agresję? – powtórzył Aparo. Nie wyglądał na przekonanego. – I ty masz czelność mówić to z kamienną twarzą, obaliwszy uprzednio moją teorię na temat alternatywnego paliwa?

– Nie wiem, czy chodzi o gaz czy jakiś spray, ale może to rodzaj narkotyku? – kontynuowałem uparcie. – Takiego, który da się rozpylić. Przypominałoby to bierne palenie. I działało na mózg jak trawka. Może to coś w tym rodzaju? Przeciwiństwo prozacu. Zamiast cię uspokajać, wzbudza w tobie gwałtowny gniew. Gniew i paranoję. Rzucasz się na przeciwnika przy najdrobniejszej prowokacji. Wszystko wydaje ci się zagrożeniem.

Poczułem przypływ energii. Im dłużej o tym myślałem, tym mniej wydawało mi się to dziwaczne. Teoria z gazem bojowym wyjaśniała dosyć racjonalnie, dlaczego tłum w Lolicie w ciągu paru minut najpierw zamienił się z beztrojskich imprezowiczów w łaknących krwi dzikusów, a potem w zdezorientowanych swoim działaniem zwykłych ludzi.

– Musimy przeprowadzić na klientach Lolity testy toksykologiczne – powiedziałem. Aparo spoważniał.

– Zaczekaj, coś mi tu nie pasuje. Pamiętasz doki?

– Tak, dlaczego?

– Kiedy Sokołow wybierał się z Jonnym po Dafne, stawał na głowie, żeby pojechać tam furgonetką. Po co taszczył ją aż tam, skoro nie wymienił jej na żonę? Przecież pewnie na tym polegała umowa, nie?

– Może faktycznie taki był plan – zgodziłem się. – Może Iwan chciał dostać furgonetkę, ale coś poszło nie tak i zamiast niej zgarnął Sokołowa?

Coś mi się w tym wszystkim nie zgadzało, ale nadal sądziłem, że teoria z dyfuzorem i gazem bojowym zasługuje na uwagę.

– No i dlaczego pod Lolitą gaz nie zadziałał na Jonny’ego i jego kumpla? – dodał Aparo. – Założyli maski?

– Być może – odparłem. Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, a potem spytałem: – A co ty o tym myślisz?

– Nie żebym przedkładał twoją teorię nad moją błyskotliwą hipotezę o alternatywnym paliwie, ale coś w tym jest. A jeżeli masz rację, to niech to szlag,

lepiej szybko znajdziemy tę furgonetkę.

– I jego też. W końcu to on ją zaprojektował.

Aparo skinął głową i gwałtownie przyspieszył.

– Przekonajmy się, co też ciekawego znajdziemy w garażu.

Dwadzieścia minut później skręciliśmy do niszczonego parku przemysłowego i zatrzymaliśmy się obok niewielkiego budynku biurowego, tuż za zardzewiałą bramą. Nikogo tam nie było. Wsiadliśmy z powrotem do samochodu, ruszyliśmy dalej i wkrótce znaleźliśmy komórkę, pod którą zarejestrowana była furgonetka Sokołowa. Nie jestem pewien, czego się właściwie spodziewałem, ale na pewno czegoś więcej niż takiego magazynku.

Musieliśmy rozwalić dwie kłódki, co okazało się niełatwe, ale wykonalne – Aparo wyprzedził mnie o całe trzydzieści sekund. Podnieśliśmy na parę centymetrów żaluzjową bramę. Mój partner przytrzymał ją, a ja przykucnąłem i sprawdziłem, czy nie ma tam niespodzianek w rodzaju bomby pułapki. Raczej zresztą się jej tam nie spodziewałem i faktycznie, nie dostrzegłem niczego podejrzanego.

Otworzyliśmy drzwi do końca.

Garaż był pusty. Przyzwoitych rozmiarów, bez problemu mógł pomieścić furgonetkę, wokół której zostałyby nawet jeszcze sporo miejsca, około metra po obu stronach. Zapaliłem światło. W środku panował idealny porządek i było nieskazitelnie czysto. Żadnych plam po ropie na betonowej podłodze, gratów czy gnijących od lat resztek. Wzdłuż lewej ściany na całej długości ciągnęła się na wysokości ramienia półka. Stały na niej kartonowe pudła.

Zdjęliśmy je, otworzyliśmy i zajrzeliśmy do środka.

Były wypełnione najrozmaitszymi częściami elektronicznymi. Druty, kable, zrolowane miedziane arkusze o różnej grubości, pudełka z miniaturowymi obwodami i złączami oraz parę kwadratowych metalowych tubek o różnej długości i szerokości – po części pustych, po części wypełnionych jakimś materiałem przewodzącym prąd. Znaleźliśmy też coś w rodzaju starych jubilerskich szkieł powiększających.

Z pewnością nie były to części samochodowe. Nie miałem pojęcia, do czego mogły służyć, ale bardzo chciałem się dowiedzieć. Zrobiłem kilka zdjęć komórką i wysłałem naszym analitykom komputerowym. Może nie byli wybitnymi ekspertami w tej dziedzinie, ale wiedziałem, że interesują się nie tylko cyfrowymi danymi, i nawet jeśli się nie zorientują, co to takiego, to już zdecydowanie będą wiedzieli, kogo zapytać.

Miałem bardzo złe przeczucia co do tego, czego się od nich dowiemy.

Wysyłałem właśnie ostatnie zdjęcie, kiedy ktoś do mnie zadzwonił z nieznanego numeru. Domyśliłem się, że to mój miłośnik naleśników, któremu powierzyłem prywatną, nie do końca legalną misję.

– Daj mi minutę – powiedziałem do Aparo i wyszedłem z garażu.

– *Konnichiwa!* – przywitał się Kurt. – Lepiej usiądź, szefuńciu. Bo mam wieści. –

Zrobił teatralną pauzę, a potem ogłosił z dumą: – Cel namierzony.

– Zamieniam się w słuch – powiedziałem beznamiętnym tonem, nie chcąc go za bardzo zachęcać.

Ale mój prywatny haker był podekscytowany i bez mojej zachęty.

– Włamałem się do kamery monitoringu w bankomacie i zobaczyłem, jak nasz lowelas wypłaca w zeszłym tygodniu gotówkę. Zanim odszedł, rozejrzał się, tak jakby chciał się upewnić, że nikt go nie śledzi.

– Może bał się, że ktoś go obrabuje?

– Może. Ale nie. Bo to jeszcze nie wszystko. Znalazłem jego kartę kredytową, która rozliczana jest w stu procentach elektronicznie. Zestawienia operacji i wszystkie inne informacje przychodzą do niego wyłącznie e-mailem. W dodatku nie trafiają na jego osobiste Gmailowe konto. Przejrzałem zestawienia z ostatnich trzech miesięcy i raczej mi to nie pasuje do żonatego faceta z dwójką dzieci. Sporo tam pozornie niewinnych operacji dokonywanych wielokrotnie w tych samych punktach, ale jeżeli trochę poszperać, to znajdziemy wśród nich, na przykład, zakupy w sklepie z damską bielizną o nazwie Sylene, w sklepie z czekoladkami Cocova czy w kwiaciarni Złota Lilia. Wszystkie znajdują się w okolicy Waszyngtonu. Znalazłem też pojedynczą transakcję na ponad trzysta dolarów w jakimś L'Escapade. Okazało się, że to luksusowy sex-shop przy U-Street. Ogólnie – cztery i pół gwiazdki.

– Może po prostu kocha żonę? Może spotykają się z dala od domu, żeby mieć czas tylko dla siebie? Albo uprawiają jakieś pikantne gierki z fałszywymi tożsamościami?

Parsknął śmiechem.

– Mówisz tak z własnego doświadczenia?

– Ostrożnie, Kurt – ostrzegłem go poważnym tonem. – Aż tak dobrze się nie znamy.

Zamilkł i wyczułem, że w jego ciele w różnych miejscach rozbrzmiewają dzwonki alarmowe.

– Żartuję – uspokoilem go. – Mów dalej.

– No wiesz, ma jeszcze jedną kartę kredytową – wspólną z żoną. W zeszłym miesiącu płacił nią za różne rzeczy i usługi. Naprawa samochodu, hydraulik, aparat na zęby dla syna, lekcje jazdy konnej dla córki. Osobiście wolę mojego w stu procentach cyfrowego mamuta. Mniejsze ryzyko fizycznych uszkodzeń.

– Skup się, Kurt.

– Jasne, sorki. Chodzi mi o to, że gdyby wszystko było cacy, to używałby właśnie tej karty. Ale tego nie robi. Korzysta z niej, ponieważ jego żona nie ma do niej wglądu. Mam też dobre wieści. Zabukował nią sobie hotel na dziś wieczór.

Poczułem mrowienie na całym ciele.

– Czwartkowe wypłaty.

– Właśnie. A w ciągu ostatnich paru miesięcy trzy razy dostawał dyscyplinarne upomnienia za spóźnienie się w piątek do pracy. Znasz kogoś, kto spóźnia się do



roboty, żeby pobaraszkować dłużej z żoną?

Nie miałem zamiaru spierać się na ten temat z kimś, kogo głębokie poglądy na temat życia małżeńskiego ukształtowały się, kiedy mieszkał pod jednym dachem z matką.

– Wygląda na to, że zarezerwował hotel kartą, ale zapłacił za pokój gotówką.

– A sama autoryzacja rezerwacji to zupełnie czysta sprawa. Nie pojawia się na wyciągach. A wiesz, co jest najciekawsze?

– Umieram z ciekawości.

– Hotel znajduje się obok bankomatu, z którego on korzysta.

Kurt rzeczywiście mi pomógł, i to monstrualnie – gra słów zamierzona.

– Więc umówił się z nią na dziś wieczór?

– Założę się, że tak. Pamiętasz? Jego żona ma lekcje jogi. Od siódmej do dziewiątej. A tymczasem mąż robi dobry użytek ze środka nawilżającego o smaku bananowym, sto dolców za tubkę. – Zachichotał. – A podobno to agenci terenowi mają fajną robotę.

Wyglądało to bardzo obiecująco.

– Okej. Wyślij mi dane hotelu i zdjęcie Kirby'ego.

– Zrobione. Przyjrzę się też jego alibi. Będziesz miał więcej argumentów.

– Świetnie.

– Ma szczęście, że udało mu się dzisiaj zabukować pokój. W mieście są prawdziwe tłumy.

Ciekawe.

– Dlaczego?

– Bankiet Stowarzyszenia Korespondentów przy Białym Domu. To już dziś wieczorem. Ostatnio prawie że przebija Oscary. Wielka biba.

Wystraszyłem się, że mogę mieć problem z zarezerwowaniem lotu do miasta.

– Okej. O której zazwyczaj gość pojawia się w hotelu?

– Przejrzałem rejestr kart hotelowych. Kirby meldował się tam w zeszłym tygodniu i trzy tygodnie temu. Zawsze między siódmą czterdzieści pięć a ósmą.

Zerknąłem na zegarek. Zbliżało się południe. Trudne – ale wykonalne. Nie powinno być problemu.

– Dobra robota, stary – pochwaliłem Kurta. – Byłbyś całkiem niezłym gliną.

Zachichotał.

– Z tym cielskiem? Raczej nie sądzę. A teraz muszę kończyć, bo jestem umówiony na pięciosobową sesję w Halo. *Sayonara!*

Rozłączył się, a ja zacząłem analizować w myślach, czy przy tym, co się właśnie wokół działo, uda mi się niepostrzeżenie wymknąć do Waszyngtonu i wrócić, oraz czy to, że ktoś zdradza żonę, daje mi moralne prawo do szantażowania go.

Nagle przypomniałem sobie, co te potwory zrobiły Aleksowi, i wszelkie wątpliwości wyparowały.

– Wszystko w porządku? – spytał Aparo, przyglądając mi się uważnie.

– W jak najlepszym – odparłem.

Będę go musiał poprosić o pomoc, ale na razie nie chciałem o tym wspominać. Wydarzenia gnały w takim tempie, że w każdej chwili moje plany mogły wziąć w łeb.

Mimo to miałem nadzieję, że uda mi się za parę godzin spotkać z naszym lubieżnym wędrowniczkiem.

Kościej nie potrzebował soli trzeźwiących. Kiedy późnym porankiem wrócił z wyprawy na zakupy, Sokołow był już przytomny.

Wyglądał okropnie. Czego należało się spodziewać. Przeszedł przez piekło, a w dodatku od wielu godzin nic nie jadł ani nie pił.

Na to przynajmniej Kościej miał lekarstwo. Przywiózł zakupy – jedzenie, picie – oraz wszystko, co jego zdaniem mogło się im przydać.

Wypożyczył też samochód. W tak niewielkiej odległości od lotniska nie musiał zbyt długo szukać oddziału jednej z dużych agencji. Kiedy już go znalazł, mógł w jego ofercie przebierać jak w ulegąłkach. Korzystając z greckiego paszportu i odpowiadającej mu karty kredytowej – z powodu chaosu, jaki wybuchł w Grecji, państwo to stało się ulubionym krajem wszystkich tych, którzy poszukiwali fałszywej tożsamości – wynajął czarnego chevy suburbana z przyciemnianymi szybami i niewielkim przebiegiem, niewiele ponad półtora tysiąca kilometrów. Był pewien, że półterenówka się nada. A to, że ten model uwielbiały również agencje rządowe, było tylko dodatkowym atutem i mogło się okazać przydatne.

Zerwał Sokołowowi taśmę z ust i uwolnił jego przytwierdzone do kaloryfera ręce, a potem skrupował je z powrotem, tyle że z przodu, tak żeby mógł jeść i pić. Gestem wskazał na kanapki, banany i wielką butelkę wody, którą postawił na podłodze obok naukowca.

– Jedz. Pij. Mamy robotę.

Sokołow przyjrzał mu się niepewnie, a potem zrobił, co mu kazano.

– Dafne – zapytał, napiwszy się wody. – Nic jej nie jest? Na pewno?

– Nic a nic. Pewnie przebywa w tej chwili na posterunku. Dla bezpieczeństwa. Mówiłem ci, nie chodziło mi o nią.

Naukowiec pokiwał ze smutkiem głową.

– Jeżeli zabierasz mnie z powrotem do Rosji... To czy będę mógł do niej zadzwonić? Powiem jej tylko... dlaczego.

Kościej przytaknął w zamyśleniu.

– Ale nie wszystko naraz. Współpracuj. Rób, co ci każe. A wtedy zobaczymy.

Zaczekał, aż Sokołow skończy ogromną kanapkę, a następnie przeszedł do rzeczy.

– Musimy wymontować to z furgonetki – rzekł. – Mam półterenówkę z dużym bagażnikiem. Masz to tam zainstalować. Jak długo to potrwa?

Naukowiec zmarszczył brwi.

– Proszę, towarzyszu – zirytował się Kościej. – Mów prawdę i nie utrudniaj życia sobie i Dafne. Im prędzej się z tym uporamy, tym szybciej przejdziemy do następnego punktu harmonogramu.

Sokołow pokręcił z rezygnacją głową.

– Muszę to rozkręcić.

– Chcę, żeby działało – uświadomił mu agent. – Nie rozbieramy tego na części. Naukowiec wyglądał na bardzo zdziwionego. Jego twarz wykrzywił niepokój.

– Chcesz tego użyć?

Kościej spojrział na niego; jego twarz była równie pozbawiona emocji, jak kawał marmuru.

– Po prostu rób, co ci każę. Dla dobra Dafne.

Naukowiec przez chwilę wytrzymał jego wzrok, aż w końcu się poddał.

– To trochę potrwa. – Przerwał, zamyśliwszy się, po czym dodał: – Potrzebuję narzędzi. Muszę to zamontować na nowo.

– Przywiozłem wszystko, czego możesz potrzebować. W razie czego załatwię, co trzeba. Z tego, co widziałem, jest podłączone do samochodu tylko po to, żeby czerpać prąd z jego napędu, zgadza się?

– Tak.

– W takim razie możesz to wymontować i zamontować gdziekolwiek. Byleby było źródło energii.

Sokołow skinął głową.

– Jest zasilane czterema ogniwami paliwowymi umieszczonymi z tyłu. Ładują się, kiedy silnik pracuje. Są bardzo ciężkie.

– Żaden problem.

Zadał naukowcowi jeszcze kilka pytań. Na temat ustawień urządzenia. Jego zasięgu. Tego, czy emitowany przez nie sygnał przenika przez ściany. Okna. Grube na trzy cale kulo odporne szkło.

Odpowiedzi bardzo go usatysfakcjonowały.

– Kończ kanapkę – polecił po chwili. – Bierzmy się do roboty.

Następnie zostawił Sokołowa, żeby odbyć pierwszą rozmowę telefoniczną – tę, która miała zainicjować całą operację.

Patrząc, jak jego prześladowca odchodzi, Sokołow jeszcze bardziej podupadał na duchu.

Sukinsyn nie zawaha się tego użyć. Pograżony w błogiej nieświadomości świat wkrótce pozna potęgę tej pozornie niewinnej broni. Ucierpi na tym wielu niewinnych ludzi. Konsekwencje będą przerażające – Sokołow bał się nawet myśleć o potencjalnych zastosowaniach swojego urządzenia, inni jednak nie będą mieli żadnych skrupułów. Zawsze tak jest. Zawsze znajdują się tacy, którzy ochoczo popuszczą wodze fantazji, pozwolą się jej zaprowadzić w najciemniejsze zakamarki ludzkiej duszy; którzy nawet nie będą oczekiwali gratyfikacji za zadawanie innym bólu na nowe, wymyślne sposoby.

Nic już nie będzie takie samo, a to wszystko z jego powodu.

Zastanawiał się, czy nie odmówić swojemu oprawcy, ale ten zapewne zmusiłby go

do uległości torturami. Bez cienia wątpliwości. Sokołow nie miał co do tego złudzeń. A on raczej nie był na tyle silny, żeby to wytrzymać. I koniec końców i tak zrobiłby, co mu kazano.

Wrócił myślami do najbardziej ponurej chwili w życiu swojego dziadka. Jego sprowadzony na manowce intelekt wywołał tyle szkód, a Sokołow zastanawiał się teraz, czy on nie spowoduje ich jeszcze więcej. Kiedy i dla niego nadeszła chwila próby, zaczął nawet rozważać samobójstwo, choć nie bardzo wiedział, w jaki sposób miałby je popełnić. Ale nawet jeśli, to szybko przegonił tę myśl. Rosjanin i tak już miał urządzenie. Dżin wydostał się z butelki.

Co najważniejsze, była jeszcze Dafne.

Musiał walczyć dalej. Zmierzyć się z tym.

Dla Dafne.

**DZIENNIK MISZY  
PIOTROGRÓD  
WRZESIEŃ 1916**

Sprawy wymykają się spod kontroli i obawiam się najgorszego.

A przecież wszystko wyglądało tak obiecująco.

Chłopski mistyk z dalekiej Syberii był porządnie umocowany na dworze jako niezastąpiony uzdrowiciel, cudotwórca i podpora cesarskiej pary. Miał wpływ na praktycznie wszystkie najważniejsze decyzje. Caryca była i jest jego potężną obrończynią i opiekunką. Przez ostatnie kilka lat wszystkich, którzy ośmielali się występować przeciw niemu, szybko usuwano ze stanowisk i neutralizowano.

Teraz jednak wiele się zmieniło.

Nie ma już madame Łochtiny. Parę lat temu nieboraczkę wygnał mąż – po tym, jak dowiedział się o jej skandalicznych romansach z moim mistrzem. Pozbawił ją absolutnie wszystkiego. Słyszałem, że ta dawna piękność, niegdyś uważana za podporę najlepszego petersburskiego towarzystwa, błąka się teraz po rosyjskich bezdrożach niczym uciekiniarka ze szpitala wariatów, błagając o jałmużnę, ubrana w brudną białą suknię i z głową opasaną strzepem materiału, na którym ledwo można odczytać słowo: „Alleluja!”.

Nie brakuje jej jednak następczyń. Rasputin mieszka obecnie w nowym, wygodnym i obszernym lokum przy ulicy Gorochowskoj. Nie musi już zabierać swoich arystokratycznych piękności czy prostytutek do łaźni albo lichych hotelików i nadal baraszkuje z całą koterią swych towarzyszek, przez co szkaluje się go coraz głośniej i gwałtowniej.

Awansował z obiektu szeptanych ukradkiem plotek na bohatera pogardliwych filipik drukowanych w prasie niemal codziennie. Gazety dostały na jego punkcie obsesji. Dopiero zatonięcie „Titanica” zdołało odwrócić od niego uwagę – na chwilę. Dziennikarskie hieny fascynują się opowieściami o jego lubieżnych wyczynach i rozpustnych orgiach. Mówi się nawet o gwałcie; o tym, że w pałacu cesarskim przymusił do uległości jedną z pielęgniarek następcy tronu.

Przedstawiciele szlachty i burżuazji są wściekli. Ślepa wiara i bezgraniczne oddanie carycy i jej ubóstwiającego ją męża Rasputinowi sprawiły, że ludzie stracili resztki szacunku dla cesarskiej pary. Krążą nawet plotki – fałszywe, mam nadzieję – że mój mistrz sypia z samą carycą.

Ku memu rozżaleniu Rasputin nic sobie z tego wszystkiego nie robi. Podczas gdy ja haruję jak wół, żeby udoskonalić moje urządzenie i zbadać jego możliwości, on spędza czas na uwodzeniu Cyganek i ucztowaniu z nimi. Bezwstydnie paraduje ze swymi kobietami i obnosi się z lubieżnością, a car i caryca nie dopuszczają do siebie żadnych

głosów krytyki i blokują każde śledztwo, które mogłoby doprowadzić do potwierdzenia tego, co uważają za nic więcej jak tylko podłe kłamstwa i niczym nieuzasadnione pogłoski.

Potępia się również Rasputina za to, że wtyka nos w sprawy publiczne. A robi to zupełnie otwarcie, posuwając się nawet do podpowiadania kandydatur na najwyższe stanowiska rządowe oraz w Świętym Synodzie.

Problematyczny jest też jego kategoriyczny sprzeciw wobec wojny.

Ujawnił się po raz pierwszy, kiedy cesarz Austro-Węgier, przy wsparciu swych niemieckich protektorów, postanowił zaanektować Bośnię i Hercegowinę. Rosyjska szlachta i burżuazja wybuchły świętym oburzeniem i zażądały, by bronić słowiańskich braci i wypowiedzieć agresorom wojnę. Wzywała do tego również prasa oraz wojskowi, pragnący zmyć z siebie hańbę klęski w wojnie rosyjsko-japońskiej. Także sam car, wyedukowany w szkole wojskowej i próbujący przypodobać się narodowi, był entuzjastą tego rozwiązania.

Jednakże caryca była przeciw. Dobrze pamiętała krwawą rewolucję, jaka wybuchła po przegranej z Japonią. Była też pół-Niemką – cesarz Wilhelm II to jej wuj – i jako taka znajdowała się w niewygodnym położeniu.

Rasputin wyciągnął do niej pomocną dłoń. Był całym sercem przeciw wojnie. Jako mężowi Bożemu nie wypadało mu nie przedkładać nad nią pokoju, a jako cudotwórca carycy nie mógł nie zwieńczyć swej misji sukcesem.

Rozmawiał parokrotnie z carem, ostrzegając go przed klęskami i rewolucją. Car posłuchał i się wycofał. Zrezygnowano z wojny.

Rzecz jasna, byłem tym zachwycony. Triumf Rasputina uznałem za prawdziwie szlachetny, wspaniały czyn. Inni byli jednak mniej zadowoleni. W korytarzach władzy i na salonach, w całym Petersburgu wszystkich ogarnęła wściekłość, że niewykształcony i zdegenerowany chłop zablokował sprawiedliwą wojnę i doprowadził do upokorzenia wielkiego rosyjskiego narodu. Podniosły się potężne głosy przeciw Rasputinowi – najpierw pierwszego ministra, Stołypina, a potem hierarchów Cerkwi prawosławnej – Teofana, Hermogena, Iliodora.

Stołypin, rozsierzony wpływem, jaki Rasputin miał na cesarską parę, rozpętał przeciw niemu bezwzględna kampanię. Przemawiał w Dumie. Nakłonił gazety, żeby drukowały złośliwe artykuły na temat jego skandalicznego zachowania. Kazał go śledzić agentom Ochrony, przez co coraz trudniej było nam się spotykać. Szpiegdy nadali Rasputinowi kobiece imiona: Pani Zima, Gołębica, Sowa, Ptaszyna i tak dalej. Często podrzucali również zdobyte przez siebie informacje tropiącym mego mistrza dziennikarzom.

Martwiło mnie to wszystko niezmiernie, ale sam Rasputin był niewiarygodnie niefrasobliwy.

„Nie przejmuj się, Misza” – pocieszał mnie. „Wkrótce będziemy go mieli z głowy”.

„Ale to premier!” – protestowałem.

„Owszem” – zgodził się Rasputin, a w jego głosie zabrzmiała niebywała pewność siebie. „I właśnie dlatego car mnie wysłucha, kiedy mu powiem, że ten człowiek skupił w swym ręku zbyt wiele władzy”.

I tak się właśnie stało; dokładnie tak, jak powiedział! Car, człowiek o słabym charakterze, uwierzył mnichowi. Wieści na temat premiera nadszarpnęły jego poczucie własnej wartości. Kiedy Stołypin przyszedł do niego, uzbrojony w grube dossier na temat Rasputina i zażądał, by wygnać mojego mistrza, car nie przyjął wyników śledztwa do wiadomości i wyjaśnił premierowi, że jego szpiedzy mają zbyt proste umysły, by zrozumieć to, co udało im się podpatrzeć. Prawdziwe motywy Rasputina, powiedział politykowi, pozostawały poza zasięgiem ich pojmowania. A potem wrzucił dossier do kominka.

Oddelegowanie Stołypina na Kaukaz nie doszło do skutku. W miesiąc po burzliwym spotkaniu z carem został zamordowany w kijowskiej operze przez znanego socjalistę radykała. Krążyły plotki, że Rasputin przyłożył do tego rękę. Jeszcze rok wcześniej powiedziałbym, że to podłe oszczerstwo. Dziś nie jestem tego już taki pewien. Co do dwóch rzeczy nie mam natomiast wątpliwości: w dniu zabójstwa Rasputin przebywał w Kijowie, a car osobiście zablokował śledztwo w sprawie morderstwa swojego premiera.

Śmierć Stołypina i plotki o udziale Rasputina w jego zabójstwie tylko pogorszyły sprawę. Atakowano go odtąd ze wszystkich stron, aż wreszcie doszło do tego, do czego dojść musiało – do rękoczynów.

Wydarzyło się to w bezksiężycową noc szesnastego grudnia. Rasputin opowiadał mi później, że jego przyjaciel, mnich Iliodor, którego poznał zaraz po przybyciu do Sankt Petersburga, zabrał go na spotkanie do jarosławskiego monasteru z biskupem Hermogenem i grupką jego przyjaciół.

Od momentu, kiedy postawił stopę w klasztorze, wszystko szło nie tak.

Opowiadał mi, że jak tylko weszli do środka i zdjęli płaszcze, jeden z gości, publicysta Rodionow, zaczął z niego publicznie szydzić.

„Popatrzcie na skromne szaty tego *stariECA!*” – zadrwił. „Ile jest warte to futro? Dwa, dwa i pół tysiąca rubli? A ta czapa? Przynajmniej z czterysta!”

„Prawdziwe świadectwo wyrzeczenia” – odpowiedział Hermogen, po czym zaprowadził ich do klasztornej komnaty recepcyjnej.

Rasputin, niewzruszony tymi otwartymi kpinami, zajął miejsce. Hermogen prawie natychmiast rozpoczął tyradę.

„Ty bezbożny śmieciu!” – wykrzyknął pod jego adresem. „Zhańbiłeś setki kobiet i przyprawiłeś rogi ich mężom! Sypiasz z carycą! Nawet nie próbuj temu zaprzeczać! Wiemy, że tak jest!”

Pozostali szybko do niego dołączyli, dźgając go brutalnie paluchami w pierś



i wrzeszcząc:

„Jesteś sługą szatana, prostaku! Jesteś antychrystem!”

Rasputin zamarł w swoim fotelu, zaskoczony i zszokowany tym nieoczekiwanym wybuchem. Nagle biskup złapał go za włosy i zaczął brutalnie okładać po twarzy.

„W imię Boga, zabraniam ci odtąd dotykać kobiet!” – warknął mu prosto w oczy. „I zabraniam ci widywać się z carem i carycą! Rozumiesz mnie, łajdaku? Zabraniam!” Nadal bił pięściami Rasputina, który był zbyt przerażony, żeby próbować się bronić. „Władza cara jest święta i Cerkiew nie będzie siedzieć z założonymi rękami, patrząc, jak ją plugawisz! Masz się nawet nie zbliżać do pałacu, rozumiesz? Nigdy!”

Hermogen puścił zakrwawionego Rasputina i skinął głową Rodionowowi. Ten wyciągnął z pochwy szablę. Przystawił ją mojemu mistrzowi do szyi i zmusił go, by przysiągł na wielki brązowy krzyż, którym raz po raz bił go po głowie, że jego noga już nigdy nie postanie w pałacu.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczyłem go tak pobitego i posiniaczonego. Nigdy jeszcze nie widziałem go do tego stopnia wstrząśniętego – i tak rozjuszonego. Był siny z wściekłości! Nie widywał się z nikim, dopóki nie zagoiły mu się rany, ale podyktował mi telegram, który wysłałem do cesarskiego pałacu.

Car i caryca wpadli we wściekłość. Biskup nie tylko groził odebraniem życia ich najlepszemu przyjacielowi, ale jeszcze obraził carycę, oskarżając ją o cudzołóstwo.

Hermogen i Iliodor zostali wygnani z Sankt Petersburga, lecz kategorycznie odmówili wyjazdu. Car nie chciał usuwać ich ze stolicy siłą, ponieważ obawiał się, że w ten sposób zamieni ich w męczenników. Nadal więc jątrzyli przeciw Rasputinowi. Ze wszystkich stron narastała presja. Potrzebowaliśmy cudu.

I Rasputin, po raz kolejny dowodząc swego lisiego sprytu, zorganizował cud.

Miało to miejsce jesienią, kiedy książę znowu zachorował.

Cesarska rodzina przebywała na wakacjach w swoim majątku łowieckim w Spale, w Polsce. Książę poślizgnął się w łazience i uderzył w udo. Spowodowało to krwotok wewnętrzny, który rozprzestrzenił się na krocze i wywołał posocznicę.

Doszło do wtórnego krwotoku i młody książę był w naprawdę poważnym stanie. Lekarze poddali się i kazali carycy przygotować się na najgorsze. Para cesarska szalała ze strachu i z rozpacz. A tym razem Rasputina nie było pod ręką. Przebywał w swoim domu w Pokrowskiem; zbyt daleko, by osobiście stawić się u carewicza.

W Spale byłem za to ja. Z moim urządzeniem. Czekałem.

Liczyliśmy się z taką ewentualnością i wszystko dokładnie zaplanowaliśmy. Rasputin przygotował mnie najlepiej, jak potrafił, ale ciągle pozostawało wiele niewiadomych. To, co robiliśmy, napawało mnie śmiertelnym przerażeniem. Ryzykowaliśmy życie młodego następcy tronu.

– Nic mu nie będzie – zapewniał Rasputin, wbijając we mnie swój niesamowity wzrok, tak by jego słowa wyrwały się w mojej świadomości. – Sam się o to

zatroszczysz.

Byłem zbyt zdenerwowany, żeby zaprotestować; żeby powiedzieć, że boję się również o siebie. Miałem w końcu śledzić cesarską parę, i to w jej własnym majątku!

Rasputin był już kiedyś w zameczku, towarzysząc cesarskiej parze na jednym z polowań, i znał go bardzo dobrze. Prymitywną kreską naszkicował mi plan całego terenu i wskazał lokalizację pokoju dziecięcego. Znajdował się na parterze i był wyposażony w ogromne okno, dzięki czemu idealnie nadawał się do tego, co obmyśliliśmy.

Przyjechałem do Spały pociągiem, w ślad za cesarską rodziną. Na miejscu zaprzyjaźniłem się z urzędnikiem na poczcie obsługującym telegraf, a następnego ranka zagłębiłem się o świcie w las, żeby zaznajomić się z tym, co mogło mnie tam czekać, gdybym faktycznie musiał działać. Rzec nie należała do prostych. Moje urządzenie było dosyć toporne i trudne w transporcie, zwłaszcza gdybym musiał je taszczyć przez gęsty, dziki las. W puszczy grasowały żubry i dziki, a ja raczej nie byłem typem miłośnika przygód. Przynajmniej do dnia, kiedy spotkałem Rasputina. Ten dzień zmienił bowiem wszystko.

Tak czy inaczej, gdyby w trakcie pobytu w Spale coś się przydarzyło carewiczowi, byłaby to dla nas doskonała okazja. I kiedy caryca faktycznie wysłała pilny telegram do Rasputina, błagając go, by ratował jej syna, byłem gotów.

Następnego ranka znowu poszedłem do lasu. Tym razem miałem ze sobą moją maszynę. Udało mi się niepostrzeżenie zakraść aż pod zameczek i ukryć dobrze w krzakach. Ustawiłem urządzenie i skierowałem w stronę sypialni carewicza. Kiedy tylko zobaczyłem posłańca pędzącego z torbą pocztową, włączyłem maszynę.

Rasputin odesłał z Pokrowskiego telegram. Napisał do carycy: „Bóg wysłuchał Twych modłów. Chłopiec nie umrze. Każ tylko doktorom odstąpić od niego”.

Spędziłem w krzakach trzy dni. Otulała mnie upiorna cisza, bo uszy zabezpieczyłem woskowymi zatyczkami. Przeżyłem na skromnych zapasach, które zabrałem ze sobą. Drżałem z lęku przed krążącą wokół dziką zwierzyną i miałem nadzieję, że nie wypatrzą mnie strażnicy i że moja maszyna okaże się równie skuteczna jak wtedy, gdy jej działanie wzmacniały przyrodzone znachorskie zdolności Rasputina.

Początkowo słyszałem bolesne jęki chłopca i jego krzyki: „Mamo, pomóż mi!”.

Ale po kilku godzinach przestał płakać.

Ku osłupieniu lekarzy carewicz wkrótce wyzdrowiał. I przeżył. Dokładnie tak, jak przewidział to Rasputin.

Wyleczył następcę tronu – i to na odległość!

Nikt nie mógł zignorować takiego cudu.

Od tej pory Rasputin naprawdę był nietykalny.

Rasputin mógł odtąd robić, co mu się żywnie podobało, żadna krytyka nie mogła mu zaszkodzić. Paradował po mieście w skórzanych butach, przepysznym płaszczu

podbitym futrem oraz drogich jedwabnych koszulach haftowanych osobiście przez carycę. Urządzał hulanki ze swoimi akolitkami, pięknymi arystokratkami i prostytutkami, i otwarcie, w imieniu cara i carycy, zajmował się sprawami państwowymi. Akilina, jego sekretarka, odbierała sterty pieniędzy od różnego rodzaju dostawców, którzy rzucili się na niego, prosząc o użycie wpływów i przekonanie cesarskiej pary do tego czy tamtego. Zyskałem teraz nieograniczone środki finansowe i spokój ducha, dzięki czemu mogłem kontynuować pracę oraz ulepszać swoje urządzenie. Wynająłem nowe laboratorium i szybko posuwałem się do przodu. Mój mentor, Heinrich Wilhelm Dove, odkrywca magii, której moce obecnie poznawałem, byłby ze mnie dumny.

Nadszedł i minął hucznie obchodzony rok jubileuszowy trzechsetlecia panowania dynastii Romanowów. A potem jedno za drugim znowu zaczęły na nas spadać nieszczęścia.

Właśnie odkryłem, jak gigantyczny potencjał miało spotęgowanie efektu działania mojego urządzenia dzięki użyciu przetwornika piezoelektrycznego i dynamy. To było naprawdę przerażające – i wtedy właśnie w nieodległym czasie doszło do dwóch niezależnych, katastrofalnych w skutkach wydarzeń, dwóch zamachów, których konsekwencje miały odczuć miliony ludzi, bowiem w ich wyniku na nowo rozrysowano mapę całego kontynentu.

Pewnej czerwcowej niedzieli 1914 roku młody Serb zamordował arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, następcę tronu Austro-Węgier. Wielka wojna wydawała się nieunikniona. Tak jak przedtem, parli do niej car, wojskowi, stara arystokracja i młodzi przedstawiciele burżuazji. Jak przedtem, caryca była przeciw. Rasputin ponownie interweniował i wysłał carowi pilne pismo, ale tym razem złowieszcze proroctwa Boskiego posłańca zostały przez Mikołaja zignorowane. Co gorsza car, wkroczywszy zdecydowanym krokiem na wojenną ścieżkę, odmówił Rasputinowi spotkania i kazał mu wrócić do jego wioski „w celu uspokojenia nastrojów społecznych”, jak to ujął.

I to właśnie tam, w Pokrowskiem, pewnego dnia zaatakowała go nożem szalona kobieta.

Oczywiście nie było mnie przy tym. Musiałem zostać w Sankt Petersburgu, na wypadek gdyby carewicz znowu zachorował i potrzebował pomocy.

„Wracałem właśnie z kościoła, kiedy podeszła do mnie żebraczka z oszpeconą twarzą i poprosiła o datek” – opowiadał mi później. „Sięgnąłem do kieszeni, żeby rzucić jej monetę, a wtedy ta diaboliczna wysunęła przez rozcięcie w koszuli nóż i dźgnęła mnie w brzuch, krzycząc: »Giń, antychryście, giń!«. Odepchnąłem ją i zacząłem biec, nie do końca jeszcze zdając sobie sprawę z tego, co mi zrobiła. Ścigała mnie, ciągle wymachując nożem i wrzeszcząc jak jakiś kozacki żołdak. Kiedy poczułem, że słabnę, postanowiłem się odwrócić i stanąć do walki. Zauważyłem gruby drewniany kij,

podniosłem go i zacząłem ją nim okładać, aż w końcu pojawiło się kilku wieśniaków i ją odciągnęli”.

Okazało się, że była to prostytutka, której twarz oszpecił syfilis. Niczego nie żałowała, a nawet uważała, że to był jej święty obowiązek. Twierdziła, że postanowiła go zabić, ponieważ jest fałszywym prorokiem i sługą szatana. Rasputin przypuszczał, że nasłał ją jeden z jego największych wrogów, mnich Iliodor, i muszę przyznać, że tym razem się z nim zgadzałem. Tak czy inaczej, jej czyn miał konsekwencje równie tragiczne i brzemiennie w skutki, jak zamach w Sarajewie. Ostrze tej kobiety pohamowało jedynego człowieka w całej Rosji, który mógł powstrzymać nasz wielki naród od przystąpienia do tej barbarzyńskiej wojny.

Od najbliższego lekarza dzieliło go sześć godzin konnej jazdy. Rasputin przez wiele dni balansował na skraju życia i śmierci. A kiedy wreszcie wydobrzył, po paru tygodniach opieki, nie był już tym samym człowiekiem.

Car ignorował telegramy wysyłane przez Rasputina ze szpitalnego łóża, w których ten zaklinał go, by nie dał się wciągnąć w wojnę. W ostatnim z nich mój mistrz ostrzegął imperatora przed „bezbrzeżnym morzem łez”, konkludując, że „świat utonie w krwawej łaźni”. Mikołaj nie słuchał. Rosja przystąpiła do wojny; wojny, której teatr miał objąć cały kontynent – i nie tylko.

Rasputin bardzo się zmienił. Od zamachu gnębiły go chroniczne bóle, które zalewał potężną ilością alkoholu – i raczej nie winem czy szampanem, ale wódką, istnym morzem wódki. Zdegenerował się do końca i bezwstydnie przyjmował łapówki od wszelkiej maści podejrzanych dostawców, w których imieniu interweniował później w rządzie. W raportach śledzący go agenci nazywali go teraz „ciemnymi mocami”. Gdy tylko wróciły mu siły, ze zdwojoną pasją rzucił się w dziką rozpustę, którą zaczął łączyć z pijackimi orgiami i wybuchami agresji. Imperium coraz mocniej pogrążało się w wojnie, a on tonął razem z nim.

Ponieważ wszyscy wokół wyrażali swój zachwyt z powodu rozlewu krwi, nie mógł otwarcie występować przeciw wojnie. Car wyjechał na front dowodzić kampanią, a caryca, która została w pałacu, potrzebowała, by podnosił ją na duchu pełnymi pocieszenia prorocत्वami. W całym Piotrogradzie – bo takie miano nadano Sankt Petersburgowi, ponieważ dawna nazwa nagle wydała się zbyt niemiecka – ze zdwojoną mocą podniosły się protesty przeciw Rasputinowi. Obawiał się o własne życie, dręczyły go też wątpliwości i rozczarowanie.

I właśnie wtedy popełniłem swój największy błąd.

Powiedziałem mu o postępie w mojej pracy. O tym, jak bardzo zwiększyłem moc mojego urzędu i rozszerzyłem jego zasięg.

„Pokaż mi, do czego jest zdolne” – rzekł, a w jego głęboko osadzonych oczach błysnęła dzika nienawiść.

Nie byłem w stanie mu odmówić.

Kiedy piszę te słowa po powrocie z Uralu, gdzie przeżyłem najkoszmarniejsze dni w całym moim życiu, nie wiem jeszcze, co powinienem uczynić.

Słowa Rasputina, te, które wstrząsnęły mną do głębi, gdy staliśmy w pobliżu tej nieszczęsnej kopalni i rozważaliśmy skutki naszego strasznego czynu – ciągle nie dają mi spokoju.

„Jak?” – zapytałem go wtedy, o ile pamiętam. „Jak potworna zbrodnia, którą właśnie popełniliśmy, ma przynieść naszemu ludowi zbawienie?”

„Nie słuchają mnie już” – odparł gardłowym tonem, ale tak, że rozumiałem każde słowo. „Chcą wojny. Chcą krwawej łaźni. Sądzą, że to sprawiedliwa ścieżka, na którą wzywa ich wola Boża. Tak?... Jeżeli chcą wojny, to im ją dam. Pokażę im prawdziwą chwałę barbarzyństwa. Pojedziemy na front, ty i ja. Zbliżymy się do linii wroga, zajmiemy pozycje i będziemy patrzeć, jak na moją komendę zaczną się wyrzynać. A kiedy ci głupcy to zobaczą, kiedy przekonają się, jak jestem potężny... Wrogowie będą mnie błagali o litość, a car, żeby mnie udobruchać, da mi wszystko, czego zapragnę”. Uśmiechnął się i jego magnetyczny wzrok spoczął na mnie. „Odda mi nawet tron”.

Myśli wirują mi w głowie.

„Świat utonie w krwawej łaźni” – napisał do cara, ostrzegając go przed wojną. I to on chce zatopić świat we krwi.

Obawiam się, że mój mistrz zboczył z właściwej ścieżki. Oddał się we władanie strasliwych duchowych pokus. Czystość jego duszy, której wymagały prorocstwa i umiejętność uzdrawiania, zamieniła się w niebezpieczny dar, który złożył właśnie antychrystowi.

Musiałem coś zrobić, żeby go powstrzymać. Żeby uratować Rosję.

Musiałem coś zrobić, żeby uratować jego duszę.

Przez całe popołudnie walczyły we mnie sprzeczne emocje i miotalem się jak zwierzę w klatce.

Byłem przekonany, że moja teoria na temat furgonetki to właściwy trop i należy nim podążać. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że dzięki Kurtowi miałem ogromną szansę odnalezienia Corrigan, większą niż kiedykolwiek w ostatnich miesiącach, i wiedziałem, że taka okazja może się nie powtórzyć.

Musiałem manewrować, działając na dwa fronty, przynajmniej przez parę godzin.

Odwiedziliśmy Aj-Czę w szpitalu i zadaliśmy jej parę pytań, a potem wróciliśmy do Federal Plaza, gdzie udaliśmy się na wideokonferencję z – cóż za ironia – analitykiem z CIA.

Udało im się dopasować ślad głosowy Iwana, który wysłaliśmy im oraz NSA. Niestety, nie wiedzieli, kim jest. Nie mieli też jego nazwiska ani zdjęcia. Ale trochę nam o nim opowiedzieli. Po pierwsze, udało im się podsłuchać jego głos już wcześniej, i to przy paru okazjach. Najpierw w czasie rozmowy, jaką przeprowadził w Dubaju tuż przed zniknięciem ukraińskiego biznesmena, który cieszył się coraz większym szacunkiem wśród opozycjonistów, walczących ze wspieranym przez Kreml reżimem w Kijowie. Po raz drugi nagrano go w Marbelli, na kilka dni przed utonięciem tam ważnego rosyjskiego bankowca.

Iwan sporo podróżował.

Po drugie, chociaż CIA nie dysponowała jego nazwiskiem, to znała jego przydomek. „Kościej”. Od postaci z rosyjskiej baśni. Znany również jako „Kościej nieśmiertelny”.

Fantastycznie.

Oczywiście był przez nich poszukiwany. Podobnie jak przez kilka innych agencji rządowych na świecie. Oprócz tego nie potrafili powiedzieć o nim zbyt wiele, a i to, co nam przekazali, nie wzbogacało specjalnie jego profilu. Kto jak kto, ale my nie potrzebowaliśmy dodatkowych dowodów, że biegle opanował swój fach i że jest bezwzględny mordercą.

Kurt wysłał mi też info z lipnej skrzynki na Yahoo, którą założył. Tak jak go prosiłem, podał adres hotelu i załączył zdjęcie Kirby’ego. Widniał na nim facet, którego określiłbym jako wcielenie średniego szczebla urzędnika w średnim wieku, wiodącego przeciętny żywot średnio zamożnego Amerykanina. Tyle tylko, że pracował w nieco mniej przeciętnym zawodzie niż jego bracia w nijakości. Zdziwił mnie niemal całkowity brak zmarszczek na jego twarzy oraz gęsta czupryna, co biorąc pod uwagę jego wiek – pięćdziesiąt parę lat – było nie lada osiągnięciem. Może te potajemne randki działały na niego odmładzająco?

Zerknąłem na zegarek, zajrzałem do Internetu i sprawdziłem loty. O siedemnastej

piętnaście z JFK odlatywał samolot do Waszyngtonu – miał wylądować o osiemnastej czterdzieści. Jeżeli się nie spóźni, powinienem zdążyć złapać taksówkę do Georgetown i być na tam, kiedy Kirby i jego wybranka dotrą na miejsce swojej sekretnej schadzki przy M Street. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że było go stać na opłacanie czterech nocy miesięcznie w tak modnym hotelu. Może o to też powinienem go zapytać?

O szesnastej trzydzieści doszedłem do wniosku, że muszę wreszcie coś postanowić. Podejmowałem ogromne ryzyko. Mój krok był wysoce nieodpowiedzialny. Kościej być może ciągle przebywał w okolicy z Sokołowem i furgonetką. Ogłosiliśmy alert w sprawie nauczyciela i samochodu. Ale poza tym właściwie nie mieliśmy czego się ucześcić, zresztą nie sądziłem, że po raz kolejny pozwoli nam wypróbować nasze kamizelki kuloodporne. Larisa zasugerowała, żebyśmy wspólnie przycisnęli Mirmińskiego, ale Młot opuścił już ten padół łez, a nie przychodził mi do głowy żaden nowy trop, cokolwiek, czym moglibyśmy się zająć, poza czekaniem w pełnej gotowości nadziei, że coś się wydarzy.

Z drugiej strony miałem wreszcie okazję wziąć na celownik Corrigan. Nie mogłem jej zmarnować. Trudno było liczyć, że za tydzień los znowu się do mnie uśmiechnie albo że uda nam się zamknąć sprawę Kościeja. Musiałem wykorzystać swoją szansę, postawić wszystko na jedną kartę i spróbować znaleźć gościa. Musiałem to zrobić dla Aleksa, nawet jeśli ryzykowałem utratę pracy, a nawet – całkiem możliwe – że mnie zamkną w więzieniu.

Poza tym nie będzie mnie tylko przez pięć albo sześć godzin.

Trudna decyzja, ale postanowiłem podjąć wyzwanie.

Co oznaczało, że musiałem porozmawiać z partnerem.

– Posłuchaj, czy możesz mnie kryć? – spytałem go, zamknąwszy drzwi w pustej sali konferencyjnej. – Muszę zniknąć na parę godzin.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

– Gdzie i po co?

– Nie mogę powiedzieć.

Parsknął śmiechem.

– Nie możesz powiedzieć mnie?

– Nie mogę.

Przyglądał mi się przez chwilę z osobliwym wyrazem twarzy, a potem nagle zmrużył podejrzliwie oczy.

– Umówiłeś się z tą ruską lasencją?

– Jasne, że nie.

Skrzywił się z udawaną irytacją.

– Tak też myślałem. – Nagle spoważniał. – Co się dzieje, Sean?

– Naprawdę nie mogę ci powiedzieć.

Wyraźnie zaczynałem mu działać na nerwy.

– Hej, stary, nie zapominaj, z kim właśnie, kurwa, rozmawiasz.

– Nie mogę. Nie teraz.

– Nie teraz? To kiedy?

Musiałem jechać.

– Wkrótce. Posłuchaj, tak będzie lepiej. Dla twojego dobra.

Tym razem naprawdę się wkurzył.

– Dajesz mi prawną możliwość zaprzeczenia? Serio? Od kiedy to przejmuję się takim gównem?

– Chodzi tylko o dzisiejszy wieczór – nalegałem. – Załatwię wszystko sam. Jeżeli coś z tego wyniknie, dowiesz się o tym pierwszy.

Zbliżałem się już do drzwi, kiedy spytał:

– Chodzi o Aleksa?

Zatrzymałem się. Nie bez powodu byliśmy partnerami od dziesięciu lat.

– Muszę lecieć. Jakby co, dzwoń do mnie.

– Przynajmniej powiedz mi, dokąd się wybierasz.

Trzymałem już rękę na klamce.

– Do Waszyngtonu – powiedziałem.

– Kurwa! – zaklął pod nosem. Wyszedłem.

Nadszedł czas na przerwę. Co ważniejsze, zbliżała się pora umówionej wcześniej rozmowy telefonicznej.

Kościej zaprowadził Sokołowa na jego miejsce na podłodze i przywiązał do kaloryfera. Rozmontowywanie sprzętu w furgonetce nieźle im szło, ale ciągle czekało ich sporo roboty.

Kiedy pracowali, kazał naukowcowi komentować na bieżąco poszczególne czynności, wyjaśniać, do czego służy dana część i jak działa. Szybko zrozumiał, jak pomysłowy jest wynalazek Sokołowa. Kazał mu też zainstalować urządzenie w dwóch osobnych stelażach zamiast w jednym. Dzięki temu – bez konieczności ponownego rozmontowywania – łatwiej było je przenieść do innego samochodu albo zapakować do skrzyń.

Zostawił Sokołowa, wyszedł na zewnątrz, stanął obok samochodów i wybrał numer.

Jego saudyjski kontakt jak zwykle odebrał natychmiast.

– Jaką masz dla mnie odpowiedź? – spytał po arabsku Kościej.

– Odpowiedź brzmi: tak – odparł mężczyzna – pod warunkiem, że zagwarantujesz nam, że nic z tego nie trafi do nas z powrotem pod drzwi. Możesz to zagwarantować?

– Po mojej stronie nic nie wycieknie, ponieważ tylko ja jestem w to zaangażowany. Ale nie mogę wykluczyć przecieków po waszej.

– Po naszej stronie jest bezpiecznie.

– W takim razie żaden problem. Co z moją przesyłką?



– Powinna dotrzeć w ciągu godziny. Drugą połowę otrzymasz po wykonaniu zadania, tak jak proponowałeś.

Kościej uśmiechnął się. Perspektywa otrzymania stu milionów dolarów u każdego wywołałaby taką reakcję.

– Tylko bez opóźnień.

– Będzie na czas – zapewnił mężczyzna. – Życzę szczęścia.

Rosjanin rozłączył się. Szczęście – skrzywił się, słysząc to słowo. Szczęściu trzeba pomagać.

Był pewien, że Saudyjczycy to kupią. Rzecz jasna, nie chodziło o rząd. Wiedział z doświadczenia, że wchodzenie w interesy z rządami to strata czasu. To niewiarygodni partnerzy. Proces podejmowania decyzji jest w ich wypadku powolny i zawiły. Obejmuje całe miesiące dyskusji i konsultacji. Trzeba brać pod uwagę presję zagranicy. A ostateczne decyzje podejmowane przez komitety rzadko zapadają jednomyślnie, co oznacza, że zawsze są jacyś niezadowoleni, a niezadowoleni z definicji oznaczają problemy. Nie wspominając już o przeciekach. Które, zważywszy, jak służalczo Saudyjczycy zachowują się w stosunku do Amerykanów, byłyby nieuniknione.

Na szczęście są jeszcze na tej planecie ludzie, którzy lepiej nadają się na partnerów, gdy trzeba przedsięwziąć działania wymagające zdecydowanych kroków. Miliarderzy równie bogaci i politycznie motywowani jak rządy. Oligarchowie, szejkwie naftowi, magnaci medialni, całe mnóstwo biznesmenów, którzy odnieśli gigantyczny sukces i mają bardzo radykalne poglądy na temat świata, w jakim przyszło im żyć. Obrzydliwie bogaci megalomani, dysponujący środkami, by przejąć inicjatywę i ukształtować świat według własnej wizji, czy to poprzez kampanie reklamowe i piarowskie, dzięki którym można zmienić wynik wyborów, czy dostarczając siłom opozycyjnym broń, czy też finansując całe prywatne armie najemników, zdolne obalić taki czy inny reżim. Bin Laden był z nich wszystkich najbardziej znany, ale jest jeszcze wielu innych, występujących w najróżniejszych przebraniach. A Kościej miał bezpośredni dostęp do paru takich graczy w różnych zakątkach globu; graczy, którym na razie nie udało się jeszcze osiągnąć wyznaczonych sobie celów; graczy, których można było skusić właściwie dobraną ofertą. Taką, jaką Kościej przedstawił swojemu saudyjskiemu kontaktowi.

Ofertą, która oznaczała potężne kłopoty dla arcywroga Saudyjczyków – Iranu – i jednocześnie dawała Kościejowi ogromną satysfakcję, ponieważ miażdżący cios zostanie wymierzony w Amerykanów, których tak nienawidził.

Musiał teraz odbyć kolejną rozmowę telefoniczną.

I przedstawić kolejną ofertę.

Tym razem libańskiemu handlarzowi samochodami z Bejrutu. Człowiekowi, który miał dostęp do bezpośredniego i bezpiecznego łącza do przywódców Hezbollahu,

którzy z kolei mieli dostęp do bezpośredniego i bezpiecznego łącza do Teheranu.

Człowiek ten mógł przedstawić jego ofertę najbardziej radykalnym przedstawicielom tamtejszych elit władzy.

Kościej rozpoczął właśnie najbardziej skomplikowaną rozgrywkę w całym swoim życiu. W tym celu musiał tę akurat rozmowę przeprowadzić w inny sposób.

Na przykład, musiał zmienić ustawienia w telefonie.

Tę rozmowę musieli usłyszeć właściwi ludzie.

Wyłączył zaawansowane szyfrowanie, dzięki czemu jego rozmowa z handlarzem samochodami mogła zostać zarejestrowana i rozszyfrowana przez programy nasłuchowe działające w ramach Echelonu, projektu NSA. Nie było to zbyt proste, ale wykonalne. Należało tylko uaktywnić serwerownię w Fort Meade za pomocą kilku słów-kluczy. Następnie dodał warstwę zniekształceń, zmieniając zakres częstotliwości swojego głosu, tak aby nie pasował do żadnych próbek, którymi mogli dysponować Amerykanie albo ktoś inny.

Upewnił się również, że włączył w komórce tryb nagrywania rozmowy. Na wszelki wypadek, gdyby łańcuch dowodowy, jaki w myśl jego planu miał obciążyć Hezbollah i jego irańskich sponsorów, nie wystarczył. Czasem więcej znaczy lepiej. Zwłaszcza jeśli ma się zamiar zwalić na obcy rząd odpowiedzialność za krwawy zamach terrorystyczny.

Jeszcze raz sprawdził w telefonie wszystkie ustawienia. A potem zadzwonił.

Szin od wielu godzin prawie się nie ruszał.

Siedział skulony na ławce w parku Astoria; głodny, spragniony, przerażony, mrużąc pod nosem i gapiąc się na wszystkich podejrzliwie. Dzieci i miłośnicy zdrowego trybu życia, biegający po ścieżce, beztroscy amatorzy tenisa na korcie, szachiści i menele. Byli zagrożeniem.

Po wczorajszej nocy wszyscy byli zagrożeniem.

Po wczorajszej nocy cały świat się zmienił.

Ciągle jeszcze nie poukładał sobie w głowie tego, co na własne oczy widział w Brighton Beach. Pomimo swojej rozległej wiedzy, pomimo że posiadał chłonny i analityczny umysł, ciągle nie mógł tego zrozumieć. A strzelanina była jeszcze gorsza. Patrzenie na śmierć przyjaciół. I świadomość, że wszystkie siły zła na tym świecie sprzysięgły się, by posiadać to coś, i zrobią wszystko, żeby położyć na tym łapska.

Nie miał pojęcia, jak to możliwe, że ciągle żyje. Trudno to było wytłumaczyć czy zracjonalizować. Jonny i Bon nie żyli, a przecież byli zawodowcami. Emanowali uliczną pewnością siebie, której nigdy nie miał; to oni byli cool, to im wszystko uchodziło na sucho. Tymczasem ich już nie było, a on ciągle żył.

Co miał zrobić z tym całym swoim życiem, to już zupełnie inna kwestia.

Nie odważył się wrócić do domu, do Nikki. Jasne, pewnie się o niego zamartwia. Chociaż z drugiej strony, przypuszczał, że raczej jest wściekła niż zaniepokojona. I tak

była już na niego epicko wkurzona za to, że ot tak, poszedł spotkać się z Jonnym w środku nocy. Powiedziała mu, że nic dobrego nie może z tego wyniknąć. Jonny oznaczał wyłącznie kłopoty, oboje przecież zgadzali się co do tego, w dodatku Szin jej obiecał. Obiecał, że porzuci życie, które nie było dla niego, z czego zresztą doskonale zdawał sobie sprawę.

I co? Miała rację; jasne, że miała. Nie byłby w stanie spojrzeć jej w oczy. Nie teraz. Nie w tym momencie. W dodatku nie wiedział, kto mógł tam na niego czekać, obserwować jego mieszkanie, rzucić się na niego.

Wszystkie potęgi świata sprzysięgły się, by posiadać to coś, upomniał sam siebie.

Nie odważył się też pójść do dziupli. Po co miałby spotykać się z tamtymi? Pewnie wiedzieli już, że Jonny i Bon nie żyją, zważywszy więc, jak bardzo nim pogardzali, czego nigdy nawet nie próbowali ukrywać, nie było sensu tam chodzić. Mogli nawet podejrzewać go, że sprzedawał przyjaciół! Nie, dziupla nie była właściwym adresem. Poza tym, jeżeli jacyś zbroje faktycznie chcieli go znaleźć, to pewnie czekali właśnie tam.

Musiał przycisnąć się, zaczekać, aż cała ta afera nieco przycichnie – jeżeli kiedyś przycichnie. Obserwować z boku przebieg wydarzeń i mieć nadzieję, że w którymś momencie będzie mógł wrócić do swojego raczej mało fascynującego życia, tak jakby tamtej nocy w ogóle nie było.

Coś jednak nie dawało mu ciągle spokoju. Tamten facet. Skurwysyn, który zastrzelił Jonny'ego i Aj-Czę.

Szin wiedział, gdzie on jest. W każdym razie, gdzie był jeszcze poprzedniej nocy. Wszystko wskazywało na to, że to jego kryjówka, jego bezpieczny dom. Jego legowisko. I być może nikt poza Szinem nie dysponował tą wiedzą.

Wiedzą, która mogła doprowadzić do jego schwytania.

Zastanawiał się nad tym przez cały dzień i w końcu podjął decyzję. Chciał zgłosić się na policję, ale jednocześnie wolał nie wplątywać się w to wszystko jeszcze bardziej. Anonimowy cynk – coś takiego wydawało się bezpieczną opcją. Ale obecnie, przy tej całej wyrafinowanej technologii szpiegowskiej, niczego nie można było już być pewnym, a ostatnie, czego sobie życzył, to żeby dowiedzieli się, kim jest, i go znaleźli.

Lepiej trzymać gębę na kłódkę, zdecydował w duchu.

Wtedy przed oczami stanęła mu roześmiana twarz Aj-Czy; Aj-Czy, która podobała mu się już wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy jako dwunastolatek; Aj-Czy, która nigdy nie zwracała na niego uwagi, ale o której ciągle fantazjował. I nagle nie był już pewien, czy chce trzymać gębę na kłódkę.

Wylądowałem na lotnisku im. Ronalda Reagana i niecałe dziesięć minut później siedziałem już w taksówce.

Jak tylko poderwaliśmy się z pasa startowego w Nowym Jorku, Iwan, Kościej, czy jak mu tam było, natychmiast wyparował mi z głowy i skupiłem się wyłącznie na Corriganie. Nie wiedziałem, czy plan wykorzystania Kirby'ego się powiedzie. A nawet jeśli, to i tak drogę do celu blokowało mi jeszcze sporo przeszkód. Coś mi jednak mówiło, że znalazłem się bliżej niego niż kiedykolwiek od chwili, gdy Corliss palnął sobie w łeb.

Wyciągnąłem telefon i przejrzałem materiały, które wysłał mi Kurt. Kiedy na horyzoncie pojawił się pomnik Waszyngtona, on sam zadzwonił.

– *Konnichiwa*, czwarteczek równa się pokereczek!

Niezupełnie mnie to obchodziło.

– Zatem życzę szczęścia.

– Nie, człowieku, nie chodzi o mnie. On gra w pokera. Naprawdę myślisz, że ja gram w pokera? Nawet wersja online jest dla frajerów. Po co pracować wirtualne pieniądze przez blackjacka, skoro można dokupić za nie sprawności swojemu Czarnemu Rycerzowi?

Z trudem się opanowałem, powtórzywszy sobie raz jeszcze, że teraz pracuję dla mnie.

– Więc chodzi o alibi Kirby'ego?

– Tak myślę. W trzy czwartki z ostatnich piętnastu zapłacił wspólną kartą za cygara. W piąty kupił skrzynkę piwa.

– Że niby jego kolej?

– Właśnie. Czterech gości pije coś, czego się nie da pić, i pali szlugi, których się nie da palić.

Zerknąłem na zegarek. Mieściłem się w czasie.

– A co z jego towarzyszką? Ustaliłeś coś?

– Tajemnicza kobitka. W hotelu nie ma tylu kamer, żeby śledzić gości, jak przechodzą z jednego pokoju do drugiego, a nagrania przechowują tylko przez tydzień. Kirby przyjechał tydzień temu sam. Tak samo wyjechał. Pilnuje się.

Zastanawiałem się przez chwilę nad jego słowami.

– W porządku. Nie ruszaj się z miejsca. Spróbuję pożyczyć jej portfel albo torebkę, tak jak ustaliliśmy.

– Jasna sprawa. Nigdzie się nie wybieram. W każdym razie fizycznie zostaję w Newark. – Roześmiał się jak uczeń. – Tak przy okazji, jeszcze jedno. Gość ma gust. Laska nosi rozmiar trzydzieści sześć E i stringi rozmiar średni. Wymarzona kombinacja pod warunkiem, że to nie silikon.

Powinienem go poznać z Aparo. Mieliby niezły ubaw. Nie jestem jednak pewien, czy mieszkanki Nowego Jorku wybaczyłyby mi to kiedykolwiek.

Mój telefon zasygnalizował drugą rozmowę przychodzącą.

Federal Plaza.

Dobrze, że to nie komórka Aparo, ale i tak się ostro zaniepokoiłem.

– Co ja bym zrobił bez tej informacji – skomentowałem ironicznie. – A teraz wracaj do swojej ślicznej Pandaren. *Sayonara!*

Przełączyłem rozmowy i od razu mi ulżyło. Dzwonił Wrightson z działu analiz komputerowych. Z jego głosu wyczułem, że nie chodzi o nic pilnego.

– Przyjrzałem się tym twoim fotkom – powiedział. Chodziło mu o zdjęcia części elektronicznych, które zrobiłem w garażu Sokołowa. – Nie wygląda to na żadną broń, czego się pewnie obawiałeś. Właściwie wszystko wskazuje na to, że gość jest amatorem technologii mikrofalowych, tyle że jak na amatora, to podejrzanie zna się na rzeczy. Ma tam linie paskowe, rezonatory wnękowe i dielektryczne, tranzystory, diody niskonapięciowe.

Równie dobrze mógł mówić po chińsku.

– Do czego się ich używa?

– Jak mówiłem, majstruje przy urządzeniach do transmisji mikrofal. Takich jak obwody elektryczne w masztach telefonii komórkowych, tyle że niektóre z nich mogą być bardziej wyspecjalizowane.

Nijak miało się to do tego, co mi chodziło po głowie.

– Myślałem, że maszty telefonii komórkowej są duże.

– Właśnie, że niespecjalnie. Są wysokie, ale tylko dlatego, że pomagają to uzyskać lepszą transmisję. Same komponenty nie zajmują zbyt wiele miejsca.

Nie wiem, skąd mi się wzięła ta myśl, ale spytałem:

– A zmieściłyby się w ładowni furgonetki?

– Bez problemu. Urządzenia pracujące w oparciu o technologię mikrofalową są z zasady niewielkie, ponieważ same fale są w tym wypadku krótkie, i dotyczy to wszystkiego, od nadajnika Wi-Fi po satelity. W technologii mikrofalowej nie używa się standardowych zespołów obwodów elektronicznych o parametrach skupionych. Korzysta się z obwodów o parametrach rozproszonych, które są generalnie bardzo małe.

Skupiłem się na furgonetce. Ciągle nie miałem pojęcia, po co Sokołow miałby w niej montować takie urządzenia.

– Coś jeszcze przychodzi ci do głowy?

– Nie jestem pewien na sto procent – rzekł – ale wygląda na to, że gość próbuje zwiększyć zasięg i siłę penetracji sygnału za pomocą zwielokrotnionych zespołów rezonatorów.

– O jakim zasięgu mówimy?

– Zależy od mocy i rozkładu rezonatorów. Gdybyś mi kazał zgadywać, powiedziałbym, że od dziesięciu do tysiąca metrów.

Miałem nadzieję, że czegoś się dowiem. Tymczasem wszystko to miało coraz mniej sensu.

– Przykro mi, że nie mogłem bardziej pomóc – podsumował Wrightson. – Daj mi znać, jak znajdziesz to cacko. Z przyjemnością przekonałbym się, do czego jest zdolne.

Ja również o tym marzyłem.

Nie było korków i wkrótce minąłem Potomac, zmierzając w stronę Georgetown.

Sądząc z otaczającego mnie krajobrazu, nigdy nie powiedziałbym, że opuszczam Wirginię i wjeżdżam do stolicy kraju. Pola po obu stronach rzeki i niskie budynki przypominały mi zawsze bardziej jakieś miasteczko na Środkowym Zachodzie niż metropolię, w której miał siedzibę rząd. Poprosiłem kierowcę, żeby wysadził mnie na rogu M Street i Thomas Jefferson – ostatnie kilkaset metrów postanowiłem pokonać pieszo. Chciałem się dowiedzieć jeszcze przed spotkaniem z Kirbym, z kim się widuje, musiałem więc być już na miejscu, kiedy dotrze tam jego kochanka. Nie powinienem też za bardzo rzucać się w oczy. Ponieważ nie miałem przy sobie ani iPada, ani Kindle'a, nie było wyjścia i musiałem zastosować vintage'ową metodę „na gazetę” – klasyczne rozwiązanie szpiegowskie. Zakupiwszy w automacie egzemplarz „Washington Timesa”, minąłem kwartał, jaki dzielił mnie od hotelu.

Około dziewiętnastej czterdzieści wszedłem do środka i szybko się rozejrzałem. Wnętrze było urządzone z dyskretną, konwencjonalną elegancją. Pluszowe aksamitne sofy. Drewniane i chromowane wykończenia. Świeże kwiaty, na oko warte kilkaset dolarów. I ciemność. Wszędzie ciemność. Wnętrze hotelu aż krzyczało: „Dzieciom wstęp wzbroniony!”. Pewnie właśnie dlatego Kirby i jego towarzyszka wybrali je na miejsce swoich schadzek.

Przy wejściu zauważyłem niewielką niszę dla portiera. Kilkoro gości właśnie egzaminowało go ze znajomości lokalnej topografii. Po drugiej stronie holu zamiast tradycyjnych recepcji stały dwa oddzielne biurka z dosuniętymi głębokimi fotelami. Zapewniało to bardzo osobisty kontakt. Biurko po prawej było puste. Przy tym po lewej siedział odpicowany jak na mszę recepcjonista i wpisywał coś na klawiaturze komputera.

Usiadłem w skórzanym fotelu, z którego miałem doskonały widok na wejście do hotelu. Liczyłem na to, że Kirby'emu nic nie zakłóci cotygodniowej rutyny. Otwarłem gazetę i przybrałem swobodną postawę kogoś, kto czeka na spotkanie z jednym z hotelowych gości.

Po jakichś dziesięciu minutach wszedł Kirby.

Minąwszy mnie, podszedł prosto do recepcji. W ręku miał niewielką torebkę ze sklepu Biagio. Widać jego pani naprawdę lubiła czekoladki.

Zameldował się szybko i zanim zdążyłem złożyć gazetę, szedł już w kierunku

windy.

Jak tylko zasunęły się jej drzwi, podszedłem do biurka recepcjonisty. Wokół nie było innych gości. W niektórych sytuacjach należy się posłużyć odznaką FBI, w innych – martwym prezydentem. Ta, w której obecnie się znajdowałem, zdecydowanie wymagała tego drugiego. Wyciągnąłem stówkę i przesunąłem ją po blacie.

– Stan Kirby. Właśnie wszedł. W którym jest pokoju?

Recepcjonista spojrział na banknot cokolwiek wyniosłym wzrokiem.

– Proszę pana, nie mogę...

– Jasne, że możesz – przerwałem mu, wyciągając drugą stówkę. Oba banknoty zrolowałem dyskretnie na biurku.

Popatrzył na mnie niepewnie.

– Prywatny detektyw?

– Coś w tym rodzaju.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem poprawił wypiełgnowanym palcem nieskazitelnie przystrzyżoną brew i rzekł:

– Facet co tydzień płaci mi pięćdziesiątkę za dyskrecję. Jak się zsumuje, wychodzi całkiem przyzwoita kwota. Przebija pan?

Nachyliłem się.

– Coś ci powiem. To źródelko właśnie wyszło. Na twoim miejscu wziąłbym więc, co ci dają, i zaczekał, aż pojawi się nowa okazja na łatwą kasę.

Recepcjonista rozważył moje słowa. Czyżby był to ostatni czwartek Kirby'ego? Najwyraźniej wiedziałem o romansie. Bo o co innego mogło mi chodzić?

Sięgnął i niechętnie zabrał gotówkę.

– Czterysta czternaście – burknął.

Obdarzyłem go promiennym uśmiechem.

– Doskonały wybór.

Wyglądał na przybitego. Zaczął przesuwać z kąta w kąt papiery na biurku.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedziałem.

Uniósł nieco dłoń.

– Kobieta?

Znowu się uśmiechnąłem.

Otworzył dłoń i spojrział na nią znacząco.

Wyciągnąłem kolejną stówkę i położyłem, gdzie trzeba.

– Długie czarne włosy. Boskie ciało. Rozpozna pan.

Skinąłem głową.

– Dziękuję.

Wracałem właśnie do swojego fotela, gdy do środka weszła uderzająco piękna kobieta o ciemnych włosach. Ubrana była w krótką spódniczkę, a na nogach miała dziesięciocentymetrowe szpilki. Ruszyła prosto ku windom.

Niewprawne oko wzięłoby ją za luksusową prostytutkę, ale wszystko było w niej trochę zbyt doskonałe i przemyślane. Ta kobieta nie wyglądała tak, bo jej zapłacono, naprawdę zależało jej na wrażeniu, jakie wywrze.

Wiedziałem już, że to nie żona Kirby'ego, ponieważ na niektórych z jego zdjęć, które Kurt ściągnął z Facebooka, widniała również pani Kirby. Żeby się upewnić, obejrzałem je raz jeszcze w telefonie. To zdecydowanie nie była ona. Nagle jednak coś mnie tknęło, coś sobie przypomniałem i postanowiłem przewinąć parę fotek. I faktycznie, tajemnicza piękność była na jednej z nich – razem z żoną Kirby'ego. Stały obok siebie, obie wystrojone i obie roześmiane. Były przyjaciółkami.

Zadzwoiłem do Kurta.



Kurt oddzwonił prawie natychmiast. Z podniecenia nie mógł złapać tchu.

– Chyba mnie ozłocisz, szefuńciu!

– Mów!

– To jego szwagierka. Inès Alcalde. Jego żona, Sofia Kirby, jest z domu Alcalde. Inès jest trzy lata młodsza, samotna, prowadzi nieźle prosperującą agencję nieruchomości. Nie ma dzieci i chyba nie może mieć. To jak film tygodnia! Bardzo mi się nie podoba.

– Zhakowałaś jej kartotekę medyczną?

– Pudło. Znowu Facebook. Serio, przez Zuckerberga wszyscy wylądujemy na bezrobociu.

Dobre. Bardzo dobre!

– Okej, dzięki. Resztę załatwię sam. Zarobiłeś na swoją kartę wyjścia z więzienia. Tylko nie korzystaj z niej zbyt szybko.

– *Sayonara!*

Miałem więcej niż trzeba, żeby usidlić Kirby'ego. Co jednak jeszcze wcale nie oznaczało, że zgodzi się na moje warunki.

Wjechałem windą na czwarty poziom, znalazłem pokój numer czterysta czternaście i zapukałem.

Dopiero po kilku sekundach usłyszałem stłumione „Tak?” Kirby'ego, który podszedł do zamkniętych drzwi.

– Pan Kirby? Ochrona hotelowa.

Zawahał się, ale po chwili uchylił drzwi. Był w szlafroku.

– O co chodzi? – spytał mocno poirytowanym tonem.

Doszedłem do wniosku, że nie ma co owijać w bawełnę.

– Czy twoja żona będzie zachwycona, kiedy się dowie, że posuwasz jej siostrę?

Krew odbiegła mu z twarzy szybciej niż na jakimkolwiek filmie z wampirami, jaki widziałem w życiu.

Skinąłem pocieszająco głową.

– Wszystko w porządku, Stan. Będzie dobrze. Przecież nie musi się dowiedzieć. Ale musisz mi poświęcić parę minut. Może więc wrzucisz jakiś ciuch, powiesz Inès, że zaraz wracasz, i zejdziesz ze mną do baru? Biorąc pod uwagę to, gdzie pracujesz, na pewno zrozumie. Co tam, jeżeli to dobrze rozegrasz, może ją to nawet jeszcze mocniej podkreśli.

Na wszelki wypadek, gdyby nie zrozumiał, puściłem do niego porozumiewawczo oko.

Kirby chyba faktycznie nie jarzył, o czym mówię. Właściwie trudno się było dziwić: właśnie został przyłapany na tym, jak popełnia życiowy błąd. Normalne, że

w głowie mu się ździebko pozacinało.

Podszedłem do niego.

– Weź głęboki wdech, Stan – powiedziałem półgłosem. – Proponuję ci wyjście z sytuacji i nie będzie się to wiązało ani z pieniędzmi, ani z zadawaniem bólu, ani ze zdradą kraju. Jeżeli masz ochotę, możesz nawet dalej ruchać śliczną Inès, choć ja osobiście raczej bym ci tego nie polecał.

Zajęło to chwilę, ale wreszcie załapał. Wydawało się, że odzyskał nad sobą kontrolę.

– Daj mi sekundę – rzekł.

Usiedliśmy w boksie w barze, w którym było jeszcze ciemniej niż w pozostałej części hotelu.

Zamówiłem colę. Kirby poprosił o podwójną whisky, co w jego sytuacji było zupełnie zrozumiałe.

– Kim ty, kurwa, jesteś? – spytał, nerwowo obracając iPhone’em na blacie stołu.

– Nie ma to w tej chwili żadnego znaczenia. Postaraj się tylko, żebyśmy rozstali się w zgodzie, a wszystko to bardzo szybko się skończy.

Kelner przyniósł napoje. Kirby zostawił telefon i jednym łykiem opróżnił szklanę, a następnie odstawił ją z hukiem.

– Czego chcesz?

– Chcę, żebyś kogoś znalazł.

– Kogoś znalazł? – Przyjrzał mi się uważnie, a potem spytał: – Jesteś z FBI?

Zignorowałem jego pytanie.

– Powtórzę: nie ma to żadnego znaczenia. Muszę po prostu dopasować prawdziwe nazwisko do przykrywki. Chodzi o Firmę.

Zrozumiał natychmiast i ze zdumienia otworzył szeroko oczy.

– O kogoś z Firmy?

– Tak.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

– Mówiłeś, że to nic z tych rzeczy.

– Bo nie jest. To sprawa osobista. A jeżeli będziesz ostrożny, to nikt nigdy się o niczym nie dowie.

– To jest, kurwa, szantaż! Zaraportuję to i wylądujesz w pudle!

Poczułem skurcz w żołądku, tak jakbym bardzo szybko zjechał wagonikiem kolejki górskiej z najwyższego punktu do najniższego. Nie mogłem się już jednak wycofać.

– Jasne. Proszę bardzo. Powiedz im wszystko. Ale wtedy ty też pójdziesz na dno i szybko się dowiesz, jak to jest przegrać w sądzie bitwę o prawa do opieki nad dziećmi, wylądować z perspektywą długich dziesięciu lat alimentów, a potem próbować poderwać jakiegokolwiek paszteta w barze dla singli, któremu nie będzie przeszkadzało, że ciągniesz go do jakiejś zapchlonej jednopokojowej nory i nie

wręczasz czekoladek ani kwiatów, a to z tego prostego powodu, że cię nie stać, bo bulisz za aparat na zęby swojego syna i lekcje jazdy konnej córki. Nie będzie mowy nawet o nowej koszuli, a co dopiero o prezencikach dla nowej tak zwanej laseczki. Co ty na to?

Czekałem, aż wszystko to do niego dotrze. Poszło raczej szybko.

– Kutas z ciebie – burknął.

– Taka sytuacja, kolego. Nie jestem z siebie szczególnie dumny. Ale nawet się nie łudź, że nie dotrzymam słowa.

Spojrzał na mnie, szukając na mojej twarzy choćby cienia nadziei. Ale byłem jak sfinks. W końcu, po kilku kolejnych bolesnych sekundach, poddał się.

– O kogo chodzi?

Docierałem właśnie do punktu, z którego nie będzie już odwrotu. Podając Kirby'emu nazwisko, ryzykowałem, że wróci do Langley i ogłosi alarm, czego konsekwencje dla mnie i mojej rodziny były trudne do przewidzenia. Ale nie mogłem odpuścić. Nie w momencie, kiedy tylko krok dzielił mnie od tego, żeby złapać Corrigan'a za jaja i wyciągnąć go za nie z mroku na światło dzienne.

– Corrigan. Reed Corrigan. To przykrywka. Tyle mogę ci o nim powiedzieć. To nie wszystko, ale gdybyś wiedział więcej, mógłbyś się do niego uprzedzić, podaję ci więc tylko nazwisko.

Przyglądał mi się przez chwilę, a potem spytał:

– Co facet zrobił?

– Mówiłem ci, że to sprawa osobista. Ale o jednym mogę cię zapewnić. To skurwysyn. Większy niż ty. Utrzymanie w tajemnicy jego prawdziwego nazwiska nie jest warte tego, żebyś tracił wszystko, na co pracowałeś przez dwadzieścia lat. Powinieneś też bez problemu załatwić sprawę tak, żeby nikt się nie połapał. I będzie po wszystkim. Masz moje słowo. Podaj mi jego nazwisko – prawdziwe nazwisko – i nigdy już o mnie nie usłyszysz.

– A co, jeżeli nie dam rady?

– Wtedy wszystko jest możliwe. Najlepiej byłoby więc dla ciebie, gdybyś znalazł sposób, ponieważ ja naprawdę chcę go dorwać. Im szybciej to zrobisz, tym prędzej zniknę z twojego życia.

– Do kiedy mam czas?

– Zaczekam wspaniałomyślnie do rana.

Kirby skrzywił się boleśnie, a potem pokręcił głową.

– Przez jedno czy dwa „r”?

Kościej ponownie przerwał Sokołowowi pracę, zamknął go w biurze i wyszedł, żeby zadzwonić.

Libański handlarz samochodami odebrał już po pierwszym sygnale.

– Czy twoi ludzie podjęli decyzję? – spytał po arabsku Kościej.

– Są zainteresowani – odparł mężczyzna – ale nerwowi. Obawiają się odwetu.

„Typowe” – pomyślał Rosjanin. „Mocni w gębie, a jaja jak orzeszki”. Mimo to wiedział, że jest już blisko sfinalizowania umowy. Musiał tylko przycisnąć ich mocno i w bardziej przekonujący sposób.

– Powiedz im, że czy coś zrobią, czy nie, odwet i tak ich spotka. Wiesz równie dobrze jak ja, że Amerykanie i Izraelczycy chcą ich zniszczyć. To tylko kwestia czasu. Nie pozwolą im zatrzymać reaktorów i wirówek. Nigdy nie wpuszczą ich do swojego ekskluzywnego klubu. Ale jeżeli to zrobimy – Kościej położył szczególny nacisk na słowo „zrobimy”, chcąc zaprezentować się jako jeden ze spiskowców – to uderzymy pierwsi. I będziemy dysponowali czymś, dzięki czemu dwa razy zastanowią się, zanim odpowiedzą. Zaatakowanie ich w ten sposób to najlepsza obrona. A po Stuxnecie i Flame – kontynuował, nawiązując do wyrafinowanych amerykańsko-izraelskich cyberataków na irańskie sieci komputerowe, które storpedowały nadzorowane przez Teheran programy wzbogacania uranu – nie umknie ich uwadze również ironia, z jaką będzie się wiązało zastosowanie naszej metody. Nawet jeśli nic nam nie będą w stanie udowodnić.

– A od kiedy to ich powstrzymuje przed odwetem? – zapytał ponuro mężczyzna.

– Mamy niewiele czasu na działanie. Do rana muszę otrzymać odpowiedź.

– Powiadomię ich – obiecał handlarz. – Jutro wszystkiego się dowiesz.

Kościej zakończył połączenie i przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w telefon. Wiedział, że trudno będzie im się oprzeć. Przedstawił im możliwość zaatakowania Wielkiego Szatana w sposób, o którym wcześniej nawet nie marzyli. A przecież nie powiedział im nawet całej prawdy.

Nie powiedział im, kto jest prawdziwym obiektem ataku. Nigdy by się na to nie zgodzili. Baliby się. Ale jeżeli przyjmą jego propozycję – a tego się właśnie spodziewał – to rozmowa, którą przed chwilą zakończyli, w zupełności wystarczy, żeby zrzucić na nich winę za to, co tak naprawdę planował. Trudno im będzie dowieść swej niewinności, przyznając jednocześnie, że zgodzili się sfinansować inny atak terrorystyczny na amerykańskiej ziemi.

Wszystko było gotowe. Problem stanowił tylko czas. Musiał działać szybko. Wiedział, że presja będzie narastała; że teraz, kiedy Amerykanie wiedzą już, czym dysponuje, pętla wokół jego szyi z każdą godziną będzie się zacieśniała. A im dłużej będzie zwlekał, tym trudniej będzie mu zniknąć.

Skinął głową, a potem poszedł po Sokołowa. Muszą skończyć to, co zaczęli.

Od drugiej transzy – stu milionów dolarów – od nowej twarzy i nowego początku dzieliły go już tylko godziny.

Jakimś cudem czwartkowy wieczór nadszedł i minął bez potrzeby wzywania kolejnego konwoju lodówek koronera.

Wróciłem o czasie z Waszyngtonu, a po drodze do domu zadzwoniłem do Aparo. Potwierdził, że w czasie mojej nieobecności nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Wypytywał mnie, jak mi poszła wycieczka i kiedy wreszcie mu powiem, jak to ujął, „co to za gówno, w jakie się wpakowałem”. Obiecałem wyjaśnić mu wszystko rano. Pojechałem do Mamaroneck, do domu, gdzie udało mi się wreszcie spędzić parę godzin z Tess, zanim zasnęła, zostawiając mnie z myślami na temat, hm... Gówna, w jakie się wpakowałem.

Tuż przed piątą nad ranem obudził się Alex. Znowu przyśnił mu się koszmar. Tym razem wbiegł do nas do sypialni, kierując się prosto do łóżka od strony Tess. I znowu krew mnie zalała, że nie mogę mu w żaden sposób pomóc. Znowu musiałem powściągnąć ojcowski instynkt w obawie, że z powodu tego, co ci popaprańcy zasiali mi w głowie, tylko pogorszę sprawę. Nienawidziłem tego uczucia. Gorąco, głęboko, namiętnie – nienawidziłem.

Tess zdawała sobie z tego sprawę. Nie musiałem nic mówić. Już nie. Wyczuwała to w moim oddechu.

– Zajmę się nim – powiedziała, nachyliwszy się i pocałowała mnie delikatnie.

Nie odpowiedziałem. Kiwnąłem tylko głową i wgapiłem się w sufit.

Resztę nocy – całe dwie godziny – spędziłem, roztrząsając w myślach wydarzenia minionego dnia. Było to zupełnie bezcelowe ćwiczenie umysłowe, bo przecież robiłem to już dwa albo trzy razy i naprawdę nic więcej nie mogłem wymyślić. Tess została w łóżku z Alekssem. Tylko ona potrafiła go uspokoić. Miałem szczęście, że pojawiła się w moim życiu.

O wpół do ósmej siedzieliśmy już w czwórkę w kuchni i pałaszowaliśmy naleśniki – miałem nadzieję, że nieco bardziej elegancko niż Kurt w IHOP – zasypane istną górą malin i jagód.

Alex zachowywał się, jak gdyby nigdy nic; jakby zupełnie już zapomniał o nocnych koszmarach.

Spojrzałem na niego, robiąc teatralnie zamyśloną minę.

– Te naleśniki są naprawdę niezłe – powiedziałem. – Naprawdę, całkiem niezłe – powtórzyłem, naśladując głos Larry’ego Davida, co zwykle wywoływało u Aleksa stłumiony chichot. – Może to nawet najlepsze naleśniki na świecie? Ale wiesz co?

– No co? – spytał.

– Musimy się co do tego upewnić. Musimy mieć absolutną pewność. Co oznacza, że powinniśmy spróbować naleśników, jak się to mówi, naprawdę zaręczasz. Pewnie okaże się, że to nuda. Miejsce, w którym je serwują, jest bardzo daleko.

Właściwie trzeba tam lecieć samolotem. Ale chyba powinniśmy. Myślę, że powinniśmy urządzać naleśnikowe zawody, zanim nagrodzimy Tess mistrzowskim tytułem. Co ty na to? Pisziesz się?

Spojrzał na mnie z zaciekawionym wzrokiem, który następnie przeniósł na Tess, tak jakby nie był do końca pewien, czy nie stroję sobie z niego żartów. Sęk w tym, że i ona nie miała pojęcia, o co mi chodzi. Pochwyciłem na moment wzrok Kim. Popatrzyła na mnie znacząco i leciutko kiwnęła głową.

– Wiem, że będzie z tym strasznie dużo zachodu. Ale zrobmy to dla Tess, dobra? Nawet jeśli będziemy musieli poświęcić cały weekend. Może znajdziemy tam coś do roboty? – Przeniosłem wzrok na Tess. – Może nie będzie tam tak źle, co?

Rozłożyła bezradnie ręce i ściągnęła usta.

– O czym ty właściwie mówisz?

– No wiesz. O tych naleśnikach, o których wszyscy ciągle trąbią. Tych z Disney World.

Spojrzałem niewinnie na Aleksa, na którego twarzyczce wymalował się czysty zachwył. I nagle, na tę krótką chwilę, świat znowu stał się piękny.

Jakąś godzinę później byłem już w Federal Plaza. Siedziałem jak na szpilkach, z jednej strony frustrując się brakiem postępów w sprawie Kościeja, z drugiej niecierpliwie czekając na wiadomość od mojego ulubionego libertyna.

Jeśli chodzi o Kościeja, to znaleźliśmy się w ślepym zaułku. Mogliśmy tylko czekać, czy wyniknie coś z alertu, jaki wydaliśmy w sprawie furgonetki, monitorować dalej rozmowy oraz mieć nadzieję, że NSA przechwyci cokolwiek, co dałoby nam pojęcie o jego najnowszych posunięciach. Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego miał oko na wszystkie lotniska, porty i przejścia graniczne, bo zakładaliśmy, że Kościej będzie próbował wydostać się z matni, wywieźć z kraju Sokołowa i furgonetkę. A nawet jeśli nie całą, to przynajmniej to, co Sokołow w niej umieścił. Żyliśmy jednak w dużym kraju, z którego przy odrobinie wyobraźni nie tak trudno było kogoś lub coś przesznułować.

O dziesiątej doszedłem do wniosku, że muszę zażyć świeżego powietrza i napić się porządnej kawy. Z kolei Aparo nie mógł się doczekać, aż wszystko mu opowiem. Wyszliśmy więc z budynku, zatrzymaliśmy się przy mojej ulubionej budce z jedzeniem, a potem usiedliśmy na ławeczce naprzeciw African Burial Ground.

Aparo nie przyjął tego najlepiej.

– Jezu, Sean! – jęknął, gdy ciśnienie opadło mu już na tyle, że mógł coś z siebie wydusić. – Możesz wylądować za to w pudle!

Wzruszyłem ramionami.

– Wiem. Ale w sumie, co mi tam. Nawet jeśli wszystko się aż tak pochrzani, to przynajmniej dowiem się w końcu prawdy.

– To mrzonki i wiesz o tym równie dobrze jak ja. Wyciszą sprawę, ogłaszając, że

dotyczy bezpieczeństwa narodowego, a ty wylądujesz za kratkami, zanim zdążysz powiedzieć „be”.

– A jak niby mam go znaleźć? Masz lepszy pomysł?

Aparo zgromił mnie wzrokiem, a potem powoli pokręcił głową.

– Miejmy nadzieję, że ten cały Kirby jest przywiązany do żony. Chociaż z tego, co mówisz, to raczej bym tego nie obstawiał.

Zastanawiałem się nad tym, co powiedział, gdy nagle usłyszałem gdzieś obok obco brzmiący sygnał komórki. Dopiero po kilku sekundach zorientowałem się, że to telefon na kartę pre-paid, który kupiłem tuż przed wylotem do Waszyngtonu specjalnie po to, żeby podać Kirby’emu numer nie do wyśledzenia.

Kiedy człowiek wystarczająco długo pracuje w policji, w końcu nauczy się paru sztuczek od kryminalistów, których przez całe życie ściga. Ta akurat była bardzo prosta, ale przydatna w moim niełatwym położeniu.

– To on – powiedziałem, otwierając cienki plastikowy aparat z klapką. W każdym razie miałem nadzieję, że to on, a nie jakiś inny funkcjonariusz CIA, który próbuje wywęszyć, kim jestem, zanim ich kawaleria wkroczy do akcji.

– Zdajesz sobie sprawę, że to, o co prosisz, nie jest takie proste? – spytał Kirby. Mówił przyciszonym i wyraźnie poirytowanym tonem, czemu zresztą nie należało się dziwić.

– Gdyby było, nie potrzebowałbym ciebie, nie? Zdobyłeś nazwisko?

– Reed Corrigan pojawia się w aktach trzech spraw – powiedział. – Wszystkie trzy są tajne, ale udało mi się do nich dostać, nie uruchamiając alarmu. Dwie są zamknięte, jedna otwarta.

Ścisnąłem telefon tak mocno, że o mało go nie zgmiotłem.

– Nazwisko, Kirby. Jak się nazywa?

– Nie mam do tego dostępu. Te akta są ocenzone. Nie dostanę się do oryginałów bez autoryzacji, a gdybym o nią poprosił, to musiałbym wyjaśnić, do czego są mi potrzebne. Zresztą i tak nie byłoby w nich nazwiska, a tylko kryptonim.

Z wściekłości zagotowała się we mnie krew.

– Nie tak się umawialiśmy – syknąłem.

– Co za „umawialiśmy”? – warknął Kirby. – To ty się umawiałeś. Jakoś nie przypominam sobie, żebyś był otwarty na negocjacje. Tak czy inaczej, nic więcej nie mogę zrobić. W każdym razie przy moim poziomie dostępu. Gdybym jutro awansował, to może dałbym radę. Ale na twoim miejscu nie liczyłbym na to.

Słumiłem poczucie frustracji, które znowu mnie ogarnęło.

– Wyślij mi te akta.

– Nie mogę! – oburzył się Kirby. – Nie mogę ich stąd zabrać i nie mogę zostawiać elektronicznego śladu. E-mail zostałby przechwycony, zanim jeszcze wyszedłby poza nasze serwery.

– To je załaduj na pendrive’a – zasugerowałem groźnie.

– Jak wyżej – odparł. – Każda próba kopiowania natychmiast jest wyłapywana przez system. Myślisz, że pracuję w Dunder Mifflin?

Nadal byłem wściekły. Wszystkie te starania, ryzyko, jakie wzięłem na siebie – na nic? Nie miałem pojęcia dlaczego, ale bardzo chciałem dorwać się do tych akt. Nawet jeśli, o czym zapewniał Kirby, nie znajdę w nich prawdziwego nazwiska Corrigan.

– Te akta... Masz je na papierze czy na ekranie?

– Na ekranie. Wszystkie starsze dokumenty zostały zeskanowane.

– Masz przy sobie telefon? Zrób zdjęcia ekranu. I wyślij je do mnie.

– To obszerne akta.

– Nie potrzebuję wszystkich odnośników – powiedziałem. – Wyślij mi tylko formularze z raportami.

Wypuścił głośno nosem powietrze.

– A potem jesteście kwita, tak?

Również wypuściłem głośno powietrze.

– Tak. Jesteście kwita. Ale masz mi je wysłać natychmiast.

– Dobra – zgodził się niechętnie. – A tak przy okazji, wspominałem już, że kutas z ciebie?

Rozłączyłem się, nie zaszczyciwszy go odpowiedzią.

„Nie mogę tak żyć bez końca” – pomyślał Szin.

Spędził tam już ponad dwadzieścia cztery godziny. Trzymał się najbliższych okolic ławki, patrząc, jak życie zamiera, a potem rozpoczyna się na nowo. Żywił się resztkami, które znajdował w śmietnikach w parku.

„Pieprzony doktorat!” – lamentował. „To chyba jakiś dowcip”.

W pewnym momencie zaczęło mu wirować w głowie; był słaby i zmęczony. Umysł płatał mu figle. Najpierw przed oczami stanął mu obraz mężczyzn w garniturach i ciemnych okularach wyciągających Nikki z jej mieszkania i robiących jej najgorsze rzeczy. Po chwili zobaczył ją, jak sący szampana i śmieje się w luksusowej, napełnionej gorącą wodą wannie, w której kąpie się z jakimś bogatym, przystojnym facetem.

Musiał położyć kres temu koszmarowi. Jeżeli miał tak żyć, to równie dobrze mógł umrzeć.

Postanowił zadzwonić. Anonimowo. Powiedzieć gliniarzom, gdzie przebywa ten ruski skurwiel. Kto wie? Jeżeli go dopadną, to może wszystko się wreszcie skończy? Może nie będzie się już musiał niczego bać?

Zrobi to dla siebie. Dla Nikki. Dla Jonny’ego i dla Aj-Czy.

Podniósł się i poczłapał szukać budki telefonicznej.

Kościej stał przy drzwiach magazynu, obserwując, jak po drugiej stronie parku przemysłowego miasto budzi się do życia. Miał przed sobą wielki dzień. Długi.



I trudny.

Był gotów. Prawie całą noc planował uderzenie. Ustalił wszystko krok po kroku, określił ramy czasowe, wykorzystał źródła dostępne online, żeby zbadać teren i jego okolice. Zadanie nie było łatwe, zwłaszcza że musiał się spieszyć, ale wykonalne. A okazja zbyt dobra, żeby ją przepuścić. Poza tym był przyzwyczajony do działania pod presją, a szybkie podejmowanie decyzji i planowanie na bieżąco zmniejszało ryzyko przecieku i wykluczało wprowadzanie w ostatniej chwili korekty.

Miał też znaczną przewagę pod względem taktycznym.

Zerknąwszy na zegarek, zadzwonił.

Libański handlarz samochodami powiedział mu, że jego szefowie w Teheranie w to wchodzi. Kościej nie spodziewał się niczego innego.

Potwierdził ustalenia, poprosił mężczyznę, żeby podziękował swoim szefom za zaufanie, jakim go obdarzyli, a potem się rozłączył.

Spojrzał na półterenówkę. Była gotowa. Ale najpierw musiał ją wypróbować. Upewnić się, że Sokołow niczego nie wykombinował.

Później już nic go nie powstrzyma.

Kirby zasypał moją komórkę plikami jpg. Mnóstwem plików jpg.

Siedziałem już przy biurku. Wysłałem zdjęcia na moje prywatne konto Gmailowe i zacząłem je przeglądać na laptopie.

Akta pierwszej sprawy, choć mocno ocenzurowane, były bardzo interesujące. Nadano im kod zadaniowy Operacja BRAMKARZ i oznaczono jako ISZ – Informacje Specjalnego Znaczenia. Dotyczyły przesłuchania i zabójstwa bułgarskiego psychiatry, który torturował więźniów w Salwadorze. Z tego, co wyczytałem między wierszami oraz fragmentami zaczernionymi grubym markerem, wynikało, że Corrigan pracował jako agent terenowy dla Biura Informacji Naukowej CIA. W Salwadorze działał pod przykrywką pracownika bostońskiego Instytutu Nauk Inżynieryjnych, w rzeczywistości założonego przez CIA. Ponieważ doskonale pamiętałem, dlaczego Corliss się z nim skontaktował, w ogóle mnie to nie zdziwiło.

Oprócz informacji o dwóch instytucjach, którym postanowiłem przyjrzeć się w przyszłości bliżej, w aktach właściwie nie było wiele. Ocenzurowano je zbyt dokładnie, żebym był w stanie domyślić się na ich podstawie, kim jest „Reed Corrigan”. Zresztą nawet się tego nie spodziewałem. Nie bez przyczyny w CIA używa się kryptonimów.

Z tego właśnie powodu do lektury akt drugiej sprawy przystępowałem bez większej nadziei.

Opatrzono ją kodem zadaniowym, który wydał mi się mocno ironiczny: Operacja ŚPIĄCA KRÓLEWNA. Sprawa miała również klauzulę ISZ, a akta mocno ocenzurowano, jeszcze bardziej niż poprzednie. Z tego, co zrozumiałem, chodziło o rosyjskiego naukowca, kryptonim JERYCHO, który zdołał nawiązać kontakt z naszymi ludźmi w Helsinkach, gdzie uczestniczył w konferencji zorganizowanej przez KGB. Twierdził, że pracuje przy supertajnym programie badań nad bronią psychotroniczną.

Przerwałem lekturę. Natknąłem się już gdzieś na ten termin. Otworzyłem okienko wyszukiwarki, wrzuciłem go do niej i po chwili wiedziałem już, że ukuli go Rosjanie – nazwali nim nową generację broni.

Broni oddziałującej poprzez kontrolę umysłu.

Wyprostowałem się.

W raporcie określono JERYCHA jako neurofizjologa i wyjaśniono, że uwiarygodnił swoje twierdzenia, ujawniając wiele szczegółów na temat struktury organizacyjnej Zarządu „S” KGB oraz działającego w jego ramach Departamentu Działań Informacyjno-Psychologicznych. Niestety, treści dotyczące technologii, nad którą pracował, zostały starannie zaczernione. Z tego, co udało mi się wyczytać, wynikało, że miało to coś wspólnego z jakąś „stymulacją” oraz dotyczyło spraw

o „kluczowym znaczeniu dla bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych”.

Znowu przerwałem, wróciłem do wyszukiwarki i do poprzedniego wyniku dorzuciłem słowo „stymulacja”. Pojawiło się w wielu kontekstach, ale jedno z trafień sprawiło, że aż podskoczyłem i poczułem zimny dreszcz.

Stymulacja fal mózgowych.

Przerzuciłem kilka artykułów, w których wyjaśniano, o co w tym chodzi. Okazało się, że to metoda służąca modyfikacji stanu mózgu poddanej „stymulacji” osoby za pomocą zewnętrznych bodźców. Ogólnie rzecz biorąc, sprowadzało się to do tego, żeby nakłonić ludzi, by odczuwali coś lub zachowywali się w określony sposób, za pomocą impulsów słuchowych, migoczących świateł, fal elektromagnetycznych albo innych bodźców „stymulujących” ich mózgi.

Szumiało mi w głowie, gdy czytałem całą historię tego projektu – o tym, że naukowa koncepcja stymulowania albo synchronizacji fal mózgowych pojawiła się już w dwusetnym roku po Chrystusie, kiedy Ptolemeusz jako pierwszy dostrzegł efekty działania migającego światła słonecznego, przepuszczonego przez wirujące koło; że ludzkość od wielu stuleci wykorzystywała techniki stymulacji sensorycznej; że przełom nastąpił w latach trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku, kiedy rozwój technologii, zwłaszcza wynalazek elektroencefalografii w 1924 roku, umożliwił pomiary stymulacji fal mózgowych. To spowodowało gwałtowny rozwój tej dziedziny badań; studiowano na przykład rezultaty bezpośredniego stymulowania mózgu pewnymi częstotliwościami za pomocą impulsów elektrycznych.

Poszperałem jeszcze głębiej.

Dowiedziałem się, że stymulować mózg można nie tylko za pomocą bodźców słuchowych i wizualnych, ale także dzięki zjawisku zwanemu „częstotliwościową reakcją mózgu”. Jeżeli mózg ludzki potraktować impulsem o częstotliwości nie większej i nie mniejszej niż zakres fal mózgowych, to zasadnicza częstotliwość fal mózgowych przesunie się w stronę częstotliwości impulsu. Najbardziej znanym efektem ubocznym stymulacji jest wywoływanie przez światło stroboskopowe o częstotliwości „alfa” padaczki fotogennej.

Później, na początku lat sześćdziesiątych, w samym środku zimnej wojny, neurobiolog Allan H. Frey odkrył tzw. mikrofalowy efekt słuchowy, którego podstawą jest słyszalne klikanie wywoływane przez impulsy o częstotliwościach mikrofalowych. W latach pięćdziesiątych znacznie poszerzyły swoje zasięgi radary i piloci zaczęli narzekać na klikanie w uszach, kiedy wlatywali na ścieżkę promieniowania mikrofalowego, które stanowiło podstawę pracy radarów. Frey odkrył, że kliknięcia te wywoływane są bezpośrednio w głowie człowieka – ludzie przebywający w pobliżu w ogóle ich nie słyszą. Badania wykazały, że przyczyną tego zjawiska jest termalna ekspansja fragmentów ucha ludzkiego wokół ślimaka, występująca nawet przy niskiej mocy sygnału. Naukowcy doszli do wniosku, że przy odpowiednich częstotliwościach

kliknięcia te mogą powodować stymulację mózgu.

Panuje przekonanie, że od lat pięćdziesiątych ambasada amerykańska w Moskwie przez parę dekad była bombardowana mikrofalami w celu namieszania w głowach jej pracowników, wywołania u nich poczucia dezorientacji, a nawet uszczerbku na zdrowiu. Podobno wielu jej urzędników zmarło z tego powodu zaledwie kilka lat po powrocie do kraju, choć przypuszczam, że jak to zwykle bywa w tego rodzaju przypadkach, prawda została głęboko pogrzebana w dawno temu zniszczonych dokumentach albo w grobach tych, którzy naprawdę wiedzieli, co się stało, lub też samych ofiar.

W kilku artykułach natrafiłem na nazwisko Delgado, naukowca z Yale. Wprowadzał on elektrody do mózgow zwierząt i ludzi w celu wysyłania w stronę konkretnych obszarów specyficznych impulsów elektromagnetycznych. W ramach niesławnego eksperymentu podłączył do urządzenia byka, a potem na oczach kilku swoich kolegów wszedł do jego zagrody uzbrojony wyłącznie w pilota. Pstryknął przełącznik i byk dostał furii, a potem, gdy zwierzę rzuciło się na niego, wcisnął inny guzik i bestia stanęła jak wryta, nagle potulna niczym baranek. Delgado twierdził podobno, że skoro osiągnął ten efekt za pomocą elektrod wprowadzonych do mózgu, to jest tylko kwestią czasu, kiedy będzie mógł go uzyskać z zewnątrz – za pomocą precyzyjnego pola elektromagnetycznego.

Jakby tego nie było dosyć, w kolejnym artykule przeczytałem, że znany mi już mikrofalowy efekt słuchowy można wywoływać za pomocą krótszych fal elektromagnetycznego spektrum. Wychodzi na to, że im krótsza fala, tym więcej energii i informacji może przenieść. Autor artykułu opisywał, dlaczego impulsy mikrofalowe ze współczesnych masztów telefonii komórkowej teoretycznie mogłyby wywołać ów efekt. Zmiany behawioralne prawdopodobnie wynikają z reakcji chemicznych w mózgu. Zewnętrzny bodziec powoduje uwolnienie się inicjujących je substancji, czego rezultatem mogą być wzmocnione zdalnie reakcje emocjonalne i intelektualne, takie jak spokój, zaufanie, pożądanie czy agresja. Kluczem do osiągnięcia tego rodzaju efektu jest dokładne określenie właściwej kombinacji częstotliwości, kształtu fali oraz natężenia mocy w celu uzyskania takiej, a nie innej reakcji. Jak do tej pory, nikomu to się jeszcze nie udało.

Mikrofale. Technologia komórkowa. Zdalne sterowanie zachowaniem człowieka. Agresja.

Krwawa łaźnia w Brighton Beach. Części, które znaleźliśmy w garażu Sokołowa.

MK-ULTRA.

Resztę artykułu pochłoniłem w mgnieniu oka, a kiedy dotarłem do końcowego fragmentu, serce podskoczyło mi do gardła:

„Uważa się, że w ramach rosyjskich i amerykańskich programów budowy broni psychologicznej prowadzi się intensywne badania nad sonicznymi,

elektromagnetycznymi i mikrofalowymi zakresami długości fal oraz częstotliwościami, które mogą wpływać na zachowanie człowieka, oraz nad możliwością wykorzystania stymulacji mózgowej zarówno w celu kontrolowania własnych obywateli, jak i użycia jej jako zaawansowanej broni. Prawdopodobnie Rosjanie znacznie wyprzedzają pod tym względem naukowców amerykańskich. Zjawisko stymulacji fal mózgowych badają również niezależni specjaliści, którzy otwarcie przyznają, że poprzez aktywowanie u badanych przez siebie osób ekstremalnej paranoi oraz drapieżnego instynktu przeżycia teoretycznie mogą być w stanie nakłonić je do popełniania brutalnych czynów lub nawet zabijania na masową skalę”.

Poczułem ucisk w żołądku.

Wróciłem do akt i przeczytałem datę, jaką opatrzone pierwszy raport.

29 listopada 1981.

Nie mogłem oderwać wzroku od tych cyfr i liter. Zlały mi się przed oczami, wywołując w moim mózgu istną płataninę kombinacji i implikacji.

Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Akta dotyczyły Sokołowa.

To Leo Sokołow był JERYCHEM.

A zamieszany w to był Corrigan.

Jerychem był Sokołow.

Wszystko zaczęło się układać w logiczną całość.

Sokołow pracuje w Rosji nad zaawansowaną technologią stymulacji mózgowej. I ma osiągnięcia. Z jakiegoś powodu postanawia dać nogę. Może nie chce, żeby szefowie z KGB wykorzystali rezultaty jego badań? Może nie życzy sobie, żeby technologia manipulacji mózgiem trafiła w łapska najbardziej bezwzględnych tyranów w dziejach?

Albo w ogóle w czyjekolwiek łapska.

Bo jak się okazuje, nam też pod tym względem nie ufa.

Wkrótce po tym, jak ląduje na amerykańskiej ziemi, wymyka się swoim aniołom stróżom z CIA. Agenci, którzy przemycili go pod nosem KGB z Europy, zabierają go do hotelu w Wirginii. Jakimś cudem udaje mu się przeszmyglować silny środek odurzający. W sumie nie potrzebuje nawet do tego cudu. Wystarczy niewielka torebka z proszkiem. Wsypuje go dwóm agentom do kakao, a kiedy się budzą, jego już nie ma.

Znika bez śladu. Koniec akt.

Tyle że teraz już wiemy, co było dalej.

Przyczają się, pracuje grubo poniżej kwalifikacji, zdobywa fałszywą tożsamość i rodzi się na nowo jako Leo Sokołow. Żeni się z Dafne. Dostaje posadę nauczyciela we Flushing High. Żyje długo i szczęśliwie. Tyle że do czasu. W dodatku nie potrafi zapanować nad swoim dociekliwym umysłem. Konstruuje coś i czymkolwiek to jest, umieszcza to w furgonetce. Dlaczego to robi – mógł mieć tysiąc powodów. Tak czy inaczej nikomu nie wspomina o tym ani słowem. W dodatku, jak się przekonaliśmy, to coś działa – należało się zresztą zastanowić, czy sam tego kiedyś nie przetestował. Musiał to zrobić. Zapisalem sobie w pamięci, żeby w wolnej chwili to sprawdzić.

Nagle, po tych wszystkich latach, Rosjanom udaje się jakoś trafić na jego ślad.

Pochyliłem się nad kolejnym zestawem jpg-ów, dostarczonym mi łaskawie przez Kirby'ego.

Dwaj agenci, którzy przeszmyglowali go z Europy i zgubili w Wirginii, ukrywali się pod kryptonimami: Reed Corrigan i Frank Fullerton.

Co wywołało w moim umyśle kolejną serię pytań.

Trzydzieści lat temu Corrigan przydzielono do sprawy Sokołowa. A teraz powierzono ją z kolei mnie.

Nie potrzebowałem bodźców elektromagnetycznych ani żadnych innych, żeby ogarnęła mnie paranoja. Zbieg okoliczności? A może to Corrigan załatwił mi przydział do sprawy związanej z morderstwem w mieszkaniu Sokołowa? A jeżeli tak, to po co?

Czyżby Corrigan nadal pracował nad Rosjaninem?

Czyżby ciągle próbował wytropić faceta, który wymknął mu się z rąk, ściągnął mu

na głowę lawinę kłopotów i upokorzył go przed całą Firmą?

Czyżby bawił się ze mną? Czyżby robił to od samego początku? A jeżeli tak, to po co?

Kirby powiedział, że ta sprawa jest otwarta. Musiałem sprawdzić, czy w najnowszych, uzupełnianych na bieżąco aktach nie ma żadnej wzmianki na temat obecnych działań Corrigana.

Pierwsza nowa notka wylądowała w nich zaledwie tydzień temu, parę dni przed tym, zanim zostaliśmy z Aparo wysłani do mieszkania Sokołowa. Była oznaczona jako: „DW: DDNiT” – co rozszyfrowałem jako: do wiadomości dyrektora Departamentu Nauki i Technologii – a w jej treści stało czarno na białym, że Rosjanie odkryli obecną tożsamość JERYCHA i miejsce jego pobytu. Okazało się, że wziął udział w proteście przed rosyjskim konsulem na Manhattanie, gdzie zachowywał się w bardzo agresywny sposób. Zorientowali się, kim jest naprawdę, i wytropili go, ale nazwisko, pod jakim teraz występował, było ściśle strzeżoną tajemnicą i osobie, która sporządziła notatkę, nie udało się go ustalić.

W drugiej notatce pojawiła się informacja, że Moskwa zleciła zadanie sprowadzenia JERYCHA Fiodorowi Jakowlewowi, doświadczonemu agentowi SWR, pracującemu w Nowym Jorku.

Przejrzałem raporty, próbując dociec, kto jest ich autorem. Najwyraźniej pisała je osoba dysponująca niezłym doświadczeniem w rosyjskim konsulacie. Informacje mogły pochodzić z podsłuchu, ale nieraz już widywałem tego typu meldunki i wiedziałem, że sporządza się je według zupełnie innego wzorca. Znajdują się w nich różnego rodzaju odnośniki, których w tych akurat notatkach brakowało. Autor mógł też mieć kreta pracującego w konsulacie. Ale w takim razie spodziewałbym się, że ten ostatni zostanie w którymś momencie podany jako źródło informacji. Trzecia możliwość zakładała, że meldunki pisze sam kret. Co oznaczało, że CIA ma w konsulacie agenta – podwójnego agenta.

Serce zabiło mi szybciej, gdy sprawdzałem, kto podpisywał raporty, ale nigdzie nie znalazłem wzmianki o Corriganie. W nagłówku jako ich autora wymieniono jakiegoś Grimwooda, bez imienia, który raportował FF – Frankowi Fullertonowi, partnerowi Corrigana w czasach, gdy sknocił sprawę Sokołowa. „Grimwood” – pewnie był to kolejny kryptonim, co tylko potwierdzało moją hipotezę z kretem. Przeszedłem do następnego zdjęcia i stwierdziłem, że w aktach jest jeszcze całkiem sporo nowszych notatek. Pierwsza miała pięć dni i opisywano w niej śmierć Jakowlewa w wyniku upadku z okna w mieszkaniu JERYCHA.

W następnej znalazłem swoje nazwisko.

No, może nie nazwisko, ale inicjały. Jej treść brzmiała: „FBI wyznaczyło do śledztwa w sprawie śmierci FJ (czyli Fiodora Jakowlewa) AS SR/NA (agentów specjalnych – mnie oraz NA, czyli Nicka Aparo).

A potem trafiłem na coś bardzo dziwnego.

W notatce napisano: „Na miejscu wydarzenia ślady fizycznej walki, z których jednak nie wynika, jak JERYCHO zdołał pokonać FJ. FJ raczej nie wypiłby niczego podejrzanego. SR dostarczy raport toksykologiczny”.

SR dostarczy raport toksykologiczny?

Nie wiem, ile jeszcze szoków był w stanie wytrzymać mój układ nerwowy.

Grimwood musiał tam być. W mieszkaniu Sokołowa. W tym samym czasie, kiedy cztery dni temu pojawiliśmy się w nim z Aparo. Notatkę napisał ktoś, kto na własne oczy oglądał mieszkanie. Ktoś, kto wiedział, że dostarczy raport koronera. Wróciłem myślami do tamtego dnia, usiłując sobie przypomnieć, kto mnie o to pytał. A potem do dnia, kiedy ktoś ponownie poruszył tę kwestię – w czasie kolacji w J.G. Melon.

Wiedziałem, kim jest ten cały Grimwood.

A może raczej – ta cała.

Kościej siedział w suburbanie z zapalonym silnikiem i obserwował, jak na boisku koszykówki młodzi ludzie toczą ze sobą śmiertelny bój.

Oczywiście niczego nie słyszał. Masywne ochraniacze na uszy skutecznie tłumiły wszystkie wrzaski i stęknienia, co dodawało tej dzikiej jatce jakiegoś upiornego i jeszcze bardziej nierealnego zabarwienia.

Widział w życiu i robił niejedno, i nie tak łatwo było zrobić na nim wrażenie, a co dopiero mu zaimponować, tym razem jednak tak się stało. W jednej chwili byli grupką zwykłych dzieciaków z sąsiedztwa, niektórzy w koszulkach, inni bez, ćwiczących bloki i kozły, spoconych i pełnych zapału, wyzywających się w grze. I nagle Kościej włączył urządzenie i zaczął bawić się laptopem.

Przy pierwszym ustawieniu wyglądało to tak, jakby ktoś rozpylił w powietrzu środek odurzający. Zwolnili; stali się o ciężali. Niektórzy usiedli, inni położyli się na szorstkim betonie. Niektórzy chodzili bez celu z osłupiałymi minami. Wszyscy wydawali się zagubieni i zdezorientowani.

Drugi tryb był atrakcyjniejszy wizualnie. Zaczęli więc się z bólu i wymiotować, ściskając się za brzuchy.

Potem włączył tryb trzeci i chłopcy w momencie rzucili się na siebie z pięściami, okładając się, kopiąc i ciskając w siebie wszystkim, co tylko wpadło im w ręce.

Stało się to tak szybko, a walka była tak zawzięta i dzika, jak gdyby młodzieńcy nagle stanęli oko w oko ze śmiercią, jak gdyby jedyną szansą ocalenia było dla nich to, że wszyscy inni wokół padną trupem.

Nagle przez jego ochraniacze przebił się jakiś łomot. Kościej odwrócił się i zobaczył przy oknie szalejącego nastolatka o dzikich oczach i z zakrwawionym nosem, który walił pięścią w szybę, usiłując rozbić szkło i dorwać się wrogowi do gardła.

Czas było kończyć eksperyment.



Sięgnął do leżącego na siedzeniu obok otwartego laptopa i wcisnął jeden z klawiszy. Dzieciak uderzył jeszcze parę razy w szybę, a potem nagle rozluźnił pięści i z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy wpatrzył się w Kościeja.

Rosjanin zadowolony, że wszystko poszło jak po maśle, wrzucił bieg i odjechał z piskiem opon. Nie miał czasu do stracenia. Musiał zabrać Sokołowa i wyruszyć w drogę.

Historia czekała.

Musiałem mieć absolutną pewność.

Podniosłem telefon z biurka i zadzwoniłem do Larisy.

– Agent Reilly? – spytała mocno zdziwionym tonem.

– Musimy pogadać.

Zawahała się.

– Jasne, ale... mówi pan tak, jakby to było pilne. Co się stało?

– Może pani do mnie przyjechać? – spytałem tylko.

– Oczywiście. Dokąd i o której?

Pół godziny później zszedłem na dół. Przywitałem się i zabrałem ją na Foley Square po drugiej stronie ulicy, naprzeciw schodów budynku stanowego sądu najwyższego.

Przeszedłem od razu do rzeczy.

– Wiem wszystko o JERYCHU i wiem, kim pani jest. Widziałem pani raporty w aktach jego sprawy. Pogrywa pani sobie ze mną, pytanie tylko po co? Tylko po to, żeby go wytropić? Mogła mi pani powiedzieć. Sprawa wyglądałaby inaczej, gdybym wiedział, z kim mamy do czynienia i jak ważny jest Sokołow.

Spojrzała na mnie z wyrazem totalnej konsternacji na twarzy.

– Chyba nie... Zgubiłam się.

Była naprawdę niezła, ale nie miałem ochoty tracić czasu.

– Okej, wie pani co? – Wyciągnąłem komórkę. – Zadzwonimy do konsulatu. Zapytam pani szefa, co o tym sądzi. Zobaczymy, czy moja teoria, że jest pani podwójną agentką CIA, trzyma się według niego kupy. Co pani na to?

Ciągle patrzyła na mnie jak na świra, ale w jej rysach coś się zmieniło. Na jej perfekcyjnej twarzy pojawiło się kilka zmarszczek świadczących o zaniepokojeniu.

Przytrzymałem przez chwilę telefon, spoglądając na nią pytającym wzrokiem. W końcu zacząłem wybierać numer.

– No dobra.

Wpatrywała się we mnie przez sekundę albo dwie – a potem rzuciła się na moją komórkę.

– Nie bądź durniem! – warknęła.

Przytrzymałem niewinnie telefon.

– Słucham?

– Wyłącz go, do jasnej cholery! – zawołała. – To nie żarty.

Opuściłem komórkę.

– Nigdy nie twierdziłem, że to żarty. To wy lubicie gierki. – Schowałem telefon do kieszeni. – No dobra, mów, co tu jest grane.

Spojrzała na mnie z wściekłością.

– A jak myślisz? Próbujemy znaleźć Szyslenkę, zanim go odeślą do Moskwy.

Wreszcie zaczęła mówić z sensem.

– Tak brzmi jego prawdziwe nazwisko?

Niechętnie skinęła głową.

– Owszem. Kirył. Kirył Szyslenko.

– A ty pracujesz dla nas?

Ponownie przytaknęła.

– Podaj kryptonim. – Musiałem mieć pewność. – Grim...

– ...wood – dokończyła znaczącym tonem.

W żaden sposób nie mogła poznać tego kryptonimu. Faktycznie pracowała dla nas. Rzecz jasna, nie wiedziałem, komu dokładnie podlega, czemu zresztą w wypadku podwójnych agentów nie należało się dziwić. Ale była na liście płac agencji i z całą pewnością nie chciała, żeby jej rosyjscy szefowie coś wyniuchali.

– Jak się dowiedziałeś? – spytała. – Skąd wiesz o JERYCHU?

– Poufne źródło – uciałem. – Dlaczego nie powiedzieliście mi już na samym początku?

– Muszę ci wyjaśnić, co mi robi SWR, jeżeli się dowiedzą?

Nie musiała.

– Nie mogę ryzykować, że ktoś zdemaskuje moją przykrywkę – kontynuowała. – To pilnie strzeżona tajemnica, nawet w Firmie.

To akurat rozumiałem.

– Ale jak to się stało? Dlaczego przeszłaś na naszą stronę?

Wzruszyła ramionami.

– Od początku taki miałam plan. Nigdy nie kupowałam ich kłamstw.

– Co masz na myśli?

Zadumała się, a rysy jej twarzy nagle jakby stwardniały.

– Urodziłam się w rodzinie dyplomaty. Mój ojciec pracował też dla KGB i był damskim bokserem. Wyżywał się i na mnie, i na mojej matce. Ale żyliśmy dostatnio. Należeliśmy do uprzywilejowanej klasy, mieliśmy parę niezłych domów, szoferów oraz tyle jedzenia, ile tylko zapragnęliśmy. Jako dyplomata często wyjeżdżał za granicę i mieszkał w różnych krajach i miastach. Bejrut, Rzym, Londyn. A ja razem z nim, dzięki czemu wiedziałam, jaki tak naprawdę jest Zachód, i nie wierzyłam w kłamstwa, którymi karmiła nas radziecka maszyna propagandowa, kiedy byłam mała. Szybko zniechęciłam się do wszystkiego, co reprezentował mój ojciec i jemu podobni.

Przerwała, obserwując moją reakcję i najwyraźniej walcząc ze sobą, czy opowiedzieć mi całą resztę.

– Potem, po zburzeniu muru berlińskiego – kontynuowała – było tylko gorzej. Tutaj, na Zachodzie, obowiązuje mit, że upadek komunizmu był dziełem ludowej rewolucji. Nic bardziej mylnego. To znaczy, jasne, rewolucja wybuchła, ale ludzie, którzy jej

dokonali, nie mieli pojęcia, kto tak naprawdę pociąga za sznurki i w ogóle ją umożliwił. Cała zmiana została zaplanowana i przeprowadzona od środka. Zainscenizowana przez KGB.

– Twierdzisz, że to KGB pomogło obalić komunizm?

– Nie tylko pomogło. Po prostu obaliło.

– Dlaczego?

– Bo jego szefowie nie mieli wyjścia. I chcieli się wzbogacić. Posłuchaj, ostatni facet, który rządził Związkiem Radzieckim, był z KGB. A nasz obecny dożywotni prezydent? Również oficer KGB. Nic ci to nie mówi? Jak sądzisz, kim są obecni najbogatsi Rosjanie? Ci sami ludzie byli na świączniku przed upadkiem muru. Dlatego właśnie z taką łatwością wydrenowali zasoby naturalne naszego kraju i wypompowali z niego forszę, która stała się zaczątkiem ich wielkich fortun. Ponieważ im, w tym mojemu ojcu, jako jedynym pozwolono obserwować bezpośrednio to, co działo się poza granicami ojczyzny. Mogli podróżować, czytać zagraniczne gazety i sami wyciągać wnioski, a przecież nie byli głupi. Rozumieli doskonale, że gra skończona. Wiedzieli, że komunizm się sypie. I dobrze się przygotowali na jego nieuchronny upadek. Stworzyli własną wersję demokracji, własną wersję kapitalizmu. Aparatczycy pokroju mojego ojca i jego kumpli na Kremlu dogadali się z jedynymi ludźmi, którzy robili „normalne” interesy w czasach komunizmu: bossami czarnego rynku, jedynymi, którzy w czasach, kiedy było to zabronione, wiedzieli, jak się zarabia pieniądze. Ustawili się też tak, by po upadku systemu razem spić całą śmietankę. I doskonale to rozegrali. Jak myślisz, kiedy tym gangsterom było lepiej? Wtedy, gdy uprzywilejowany status oznaczał jakąś gównianą limuzynę marki Wołga i daczę w lesie nad zamrzniętym jeziorem? Czy teraz, kiedy mają rezydencje w Londynie i jachty za setki miliony dolarów w Monako? Upadek Związku Radzieckiego to największy przekręt w dziejach. Przy tych gościach Al Capone czy Don Corleone to zwykli kieszonkowcy. Myślisz, że macie problem ze swoim „jednym procentem”? Przyjedź do Moskwy. Zobaczysz, jak żyje nasz „jeden procent”. I w jaki sposób tak naprawdę zarabia pieniądze.

– I chcesz doprowadzić do ich upadku?

Roześmiała się.

– Nie jestem w stanie. Nikt nie jest w stanie. Ale jeżeli mogę chociaż trochę coś zmienić, tu i tam odnieść swoje małe zwycięstwo... To przynajmniej coś robię.

Skinąłem głową. Zaczynałem ją lubić.

– Powiedz mi coś. Twoi ludzie i my, ta nasza ciągła walka... Skończymy z tym kiedykolwiek?

– Nie – odparła bez wahania.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Zawsze będziemy wam zazdrościć. Zazdrościć wam gospodarczych i technologicznych sukcesów, frustrować się ich brakiem w Rosji. Rozejrzyj się tylko. My dostarczamy wyłącznie podstawowe surowce naturalne, które wydobywać może pierwszy lepszy kraj Trzeciego Świata. Nie tworzymy niczego, z czego moglibyśmy być dumni na świecie. Samochody, samoloty, komputery, telefony komórkowe, zegarki i tak dalej – my tego nie wytwarzamy. Jedyne, w czym jesteśmy światowym liderem, to produkcja spamu. Spam, kradzieże i przekręty. To cali my.

– Brzmi obiecująco – skomentowałem.

– Nieprawda – zaprzeczyła ponuro. Nagle wokół jej oczu pojawiły się cieniutkie zmarszczki. – Masakra w Brighton Beach. To był Sokołow, prawda?

– Nie było go tam. Ale wywołał ją jego wynalazek. Jego urządzenie.

– Jak ono działa? – spytała.

Zdziwiła mnie.

– Nie wiesz?

– Nie.

– A kto wie?

– Nie mam pojęcia. Jasne, parę osób w Moskwie musi wiedzieć. Ci, którzy nadzorowali jego badania, zanim zwiął. Ale nie wiem, czy podzielili się szczegółami na ten temat z moim szefem.

– A co z Langley? – Miałem ogromną ochotę rzucić nazwisko Franka Fullertona albo Reeda Corrigan i obserwować jej reakcję, ale się powstrzymałem. Podawanie ich kryptonimów – jedynych nazwisk, jakimi dysponowałem – byłoby na tym etapie kardynalnym błędem.

– Niektórzy w Langley pewnie wiedzą więcej, niż mi mówią, ale jeśli się nie mylę, to na razie nikt tam nie ma pojęcia, co to jest i jak to działa. Wiemy tyle, że to paskudne ustrojstwo. – Przerwała, a potem spytała: – A ty jak sądzisz?

Zawahałem się. Nie byłem pewien, jak dużo mogę jej powiedzieć. Czy mogę jej ufać. Ale doszedłem do wniosku, że na tyle już się przede mną odsłoniła, że nie zaszkodzi, jeśli posunę się trochę dalej.

– Zamontował w swojej furgonetce jakieś urządzenie. Zdaje się, że jest w stanie manipulować ludzkim mózgiem za pomocą mikrofal. Właściwie to wszystko, co wiem.

– Nadszedł czas odłożyć na chwilę moją krucjatę przeciw Corriganowi, bo potrzebowałem jej pomocy w o wiele ważniejszej i pilniejszej sprawie. – Kim jest ten cały „Kościej”? Możesz mi coś o nim powiedzieć?

– Niewiele. Jest dobry.

– Tego mi nie musisz tłumaczyć.

Zmarszczyła brwi.

– Jest elitarnym agentem FSB. W randze podpułkownika. Pracuje sam. Rozkazy przyjmuje bezpośrednio od generała w Moskwie. Poinstruowano nas, że mamy mu

okazać wszelką pomoc, jakiej zażąda.

– Musimy go znaleźć, jeżeli chcemy odzyskać furgonetkę i Sokołowa. Kto jest jego kontaktem w konsulacie?

– Wrabinek. Sam konsul. Ale w tej chwili to ślepa uliczka. Kościej nie kontaktował się z nim od środy.

Poczułem ukłucie niepokoju.

– Czyli od dnia, kiedy zgarnął Sokołowa?

– Właśnie.

Nie wyglądało to najlepiej.

– Możliwe, że nie ma go już w kraju.

Jej ponura mina potwierdzała moje najgorsze przypuszczenia.

– Możliwe.

Wyglądało to na totalną klępkę. Tak jakbyśmy widzieli tylko czubek góry lodowej.

Wtedy zadzwonił mój telefon.

I wszystko się zmieniło.

Nie mogłem w to uwierzyć.

Anonimowy cynk.

Magazyn w Jamaica.

Larisa natychmiast połapała się, że chodzi o coś grubego.

– Co jest? – spytała. – Co się dzieje?

Powiedziałem Aparo, że spotkamy się przy jego samochodzie, i zakończyłem połączenie.

– Muszę lecieć.

– Co się stało?

– Muszę lecieć. Później do ciebie zadzwonię.

Złapała mnie za rękę.

– Powiedz mi! Nie możesz mnie teraz zbyć! Jesteśmy po tej samej stronie!

– No proszę, nagle jesteśmy po tej samej stronie?

– Daj spokój! – odparła, a jej oczy ciskały gromy. – Nie mogłam ci powiedzieć. I nie powiedziałabym, gdybyś sam się nie zorientował. Ale skoro już wiesz, to zdajesz sobie sprawę, że mogę się przydać. Pomóżmy sobie nawzajem. Żadne z nas nie może pozwolić, żeby ten gość wywiózł stąd Sokołowa z jego furgonetką.

Nie miałem na to czasu. Aparo właśnie pędził po schodach. Tuzin funkcjonariuszy jednostki SWAT pakował sprzęt i tyłki do samochodów. Liczyła się każda sekunda.

– Dobra. Idziesz ze mną.

– Co się stało? – powtórzyła pytanie, biegnąc już ulicą obok mnie.

Magazyn znajdował się na podupadłych terenach przemysłowych w pobliżu stacji kolejki LIRR, na południe od Liberty Avenue. Okolica była niemal wymarła – na wielu magazynach i budynkach wisiały tablice: „Wynajmę”. W starym jak świat cyklu wyraźnie przyszła kolej na gorszy okres, a sądząc po tutejszych pustych rampach załadunkowych, ten kryzys był szczególnie dotkliwy. Dzięki czemu miejsce idealnie nadawało się na kryjówkę, z której Kościej miał zamiar siać zamęt na świecie.

Anonimowe informacje, jakie otrzymaliśmy, były na tyle dokładne, że bez problemu zlokalizowaliśmy magazyn. Właśnie go obserwowaliśmy. Aparo, ja, Kanigher, Larisa i dwunastu wyszkolonych funkcjonariuszy z oddziału SWAT-u. Nasza czwórka miała już na sobie kamizelki kuloodporne, kurtki z wielkimi literami na plecach, słuchawki w uszach i broń w dłoniach. Byliśmy gotowi do ataku. Goście ze SWAT-u wyglądali, jakby mogli przypuścić szturm na samo piekło.

Skanner termograficzny pokazał, że w środku znajduje się tylko jedna osoba, nie widać było za to śladów ciepła po rozgrzanym silniku samochodowym. Interesujący nas człowiek pólsiedział na ziemi, dotykając plecami ściany i nie ruszał się, co oznaczało, że albo spał, albo był przywiązany. Nie dało się stwierdzić, czy żyje. Z tej

odległości kamera termowizyjna nie była w stanie dokładnie określić temperatury, a ciało ludzkie nie stygnie bardzo szybko.

Ponieważ nie wykryliśmy w środku żadnego ruchu, postanowiliśmy wchodzić.

Dowódca oddziału SWAT-u – był nim znowu Infantino, ten sam, który uczestniczył w strzelaninie w dokach – poprowadził swoich ludzi. Wyważyli drzwi i wpadli do środka z zapierającą dech w piersiach precyzją i płynnością, tak jakby szturmowanie starych magazynów było dyscypliną olimpijską w rodzaju gimnastyki synchronicznej. Biegliśmy tuż za nimi. Usłyszałem parokrotnie okrzyk: „Czysto!”, a potem w bębenkach eksplodował mi czyjś głos i prowadzony jego instrukcjami, minąłem szybko halę, docierając wkrótce do niewielkiego biura na tyłach, gdzie zobaczyłem doskonale mi znaną twarz, którą jednak dotąd oglądałem wyłącznie na zdjęciach.

Na podłodze siedział Sokołow. Ręce miał przywiązane od tyłu do kaloryfera.

Co najważniejsze, żył.

Uwolniliśmy go z więzów i kazałem trzem członkom drużyny SWAT-u zabrać go szybko stamtąd, podczas gdy pozostali przeszukiwali magazyn. Stała tam furgonetka; miała otwarte tylne drzwi, ale była pusta w środku. I tyle. Nic więcej.

– Wróci tu – ostrzegłem agentów. – Nie ma mowy, żeby zostawił Sokołowa. Zaraz tu będzie.

– W takim razie lepiej przygotujmy się, żeby go hucznie powitać – rzekł Infantino.

Zostawiłem Kanighera z funkcjonariuszami SWAT-u, poleciwszy mu pomóc im w obstawianiu magazynu, a sam razem z Aparo i Larisą poszedłem pogadać z Sokołowem.

Kościej, przyczajony ulicę dalej za rogiem budynku, skrzywił się, dostrzegłszy pojazdy FBI – dwie furgonetki SWAT-u i sedana.

Mieli Sokołowa. I przyczaili się, czekając na jego powrót.

„Czort wozmi!” – zaklął w duchu.

Był zły na siebie. Wściekły. Powinien był zabrać ze sobą Sokołowa. Zastanawiał się nawet nad tym, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że na otwartym terenie naukowiec byłby zbyt dużym obciążeniem. Sokołow wiedział, że Kościej ma zamiar go zabić. Nie miał nic do stracenia. A ludzi, którzy nie mają nic do stracenia, stać na brawurę.

Nie chciał też jeszcze wtedy go likwidować. Nie mógł tego zrobić, nie upewniwszy się, że urządzenie funkcjonuje prawidłowo. Nie był w sumie pewien, kiedy pociągnie za spust, jeżeli w ogóle to zrobi. Stary mógł się jeszcze okazać użyteczny, oczywiście pod warunkiem, że nie będzie zbyt dużym ciężarem. Teraz jednak były to rozważania czysto akademickie. Naukowca mieli w rękach Amerykanie. A było ich zbyt dużo, żeby Kościej mógł wkroczyć do akcji ze swoim arsenałem – zakładając, że nie wywieźli jeszcze Sokołowa w jakieś bezpieczne miejsce, co pewnie zrobili.

Obserwował ich jeszcze przez chwilę, czując w piersiach nieprzyjemne ukłucia –



a potem pomyślał o laptopie i wszelkie dolegliwości zniknęły jak ręką odjął, bo w głowie zaczął mu kielkować pewien pomysł. Nie taki sobie zwykły pomysł.

Cudownie ironiczny pomysł.

Sokołow leżał skulony w furgonetce SWAT-u przecznicę od magazynu. Pilnowało go czterech uzbrojonych ludzi Infantino.

Wstał, roztrzęsiony i zaniepokojony.

– Dafne nic się nie stało? Pytałem ich, ale nikt nie chce odpowiedzieć.

– Nic jej nie jest – uspokoiłem go. – Przebywa na komisariacie, czeka, aż wszystko się uspokoi.

Na jego twarzy wymalowała się bezgraniczna ulga.

– Wie już, że mnie znaleźliście? Kiedy ją zobaczę?

– Wkrótce, obiecuję.

Był kłębkim nerwów.

– A mogę z nią przynajmniej porozmawiać? Proszę...

– Jeszcze nie – rozczarowałem go. – Ale to nie potrwa długo. Musimy się tylko upewnić, że wszystko jest pod kontrolą. Chodzi zarówno o pana bezpieczeństwo, jak i jej.

Skinął głową i zamrugał nerwowo.

– Dobrze – wymamrotał. – Dobrze.

Był wstrząśnięty i wynędzniały, wyglądał na skrajnie wycieńczonego, ale przynajmniej wyszedł z tego wszystkiego bez szwanku. Podaliśmy mu butelkę wody wzbogaconej elektrolitem i kazaliśmy usiąść. Zapytałem, czy potrzebuje opieki medycznej, jedzenia albo czegokolwiek innego. Zapewnił, że nic mu nie jest. Następnie szybko wypytałem go, co wie o aktualnym miejscu pobytu Kościeja. Powiedział, że usunęli „to” z furgonetki i zamontowali w innym samochodzie, czarnej półterenówce. Chevym, jeżeli dobrze zapamiętał.

Miałem już przekazać te informacje Infantino, kiedy nagle coś mnie tknęło.

– Chwileczkę – zwróciłem się do Sokołowa. – To „coś”, ta maszyna... Twierdzi pan, że jest zamontowana w innym samochodzie i działa?

– Tak...

Zawahał się, nie bardzo pewien, do czego zmierzam.

– Spadajmy stąd! – krzyknąłem. – I to szybko! Gość może nas tym potraktować!

Wdusiłem przycisk krótkofalówki.

– Alfa Jeden, tu Reilly!

Usłyszałem głos Infantino.

– Jestem. Ciągłe go nie widać.

– Możemy mieć problem. Przygotuj ludzi, żeby w każdej chwili mogli się wycofać. Być może trzeba to będzie robić naprawdę szybko.

Wyraźnie mu się to nie spodobało.

– Co jest grane?

– Po prostu bądź gotów to zrobić na mój sygnał. – Odwróciłem się do Sokołowa, myśląc o tym, że w ciągu paru sekund możemy się znaleźć w porządnym tarapaty. – Ta pana maszyna... Działa na mózg, tak? Może sprawić, że rzucimy się na siebie nawzajem?

Na jego twarzy pojawiły się jednocześnie konsternacja i czyste przerażenie.

– Skąd pan wie? Czy wy... Czy ktoś jej użył?

– Tak. Musi mi pan powiedzieć, czy coś jest w stanie to zablokować. Czy możemy się jakoś przed tym ochronić?

Spojrzał spłoszonym wzrokiem najpierw w lewo, potem w prawo i zaczęły mu drżeć wargi. Spróbował się jednak uspokoić i skoncentrować na moim pytaniu.

– Tak, mam... Miałem w furgonetce ochraniacze na uszy, ale zabrał je do swojego samochodu.

– Ochraniacze na uszy?

– Tak, coś w rodzaju słuchawek. Takich jak te noszone przez robotników na budowach. Oczywiście wzmocniłem je. Drucianą siatką i powłoką z kevlaru.

Gorączkowo próbowałem coś wymyślić.

– Więc to coś wchodzi przez uszy? W ten sposób działa?

Nieznacznie skinął głową.

– Tak. Podnosi temperaturę ucha wewnętrznego i... – Zreflektował się. – Wchodzi przez kanaliki uszne – podsumował, zdając sobie sprawę, że mamy raczej mało czasu.

– A co z zatyczkami? – Wyciągnąłem mikrosluchawkę i pokazałem mu ją. – Co z tym?

Obrócił ją w palcach i przyjrzał się jej, a potem pokręcił głową.

– Nic z tego. Dadzą pewną ochronę, ale to nie wystarczy. W dodatku trzeba by je włożyć do obu uszu.

Niedobrze. Chłopaki ze SWAT-u raczej nie zabrali ze sobą tylu kompletów, żeby każdy z nas mógł otrzymać po dwa.

Niemal czułem, jak kurczy się nam czas. Było to cholernie frustrujące. Musieliśmy zostać na miejscu – tylko w ten sposób mogliśmy dopaść drania – ale jednocześnie

byliśmy zbyt łatwym celem.

– A co z hełmami? – spytałem, wskazując na siedzących z nami w furgonetce członków drużyny SWAT-u. Mieli na sobie zgniózielone mundury polowe, grube kamizelki kuloodporne z szerokim panelem na kroczu i paskiem z napisem FBI na piersi, gogle oraz hełmy. – Są z kevlaru – dodałem.

– To nie wystarczy. Dopiero siatka blokuje mikrofałe. Proszę to sobie wyobrazić jako sygnał telefoniczny. Przedostanie się. – Widząc, że marszczę brwi, dodał: – Jeżeli ciasno otaczają uszy, mogą do pewnego stopnia zapewnić ochronę. Ale do końca tego nie zablokują. Przykro mi.

Niewiele, ale lepsze to niż nic. Odwróciłem się do jednego z agentów.

– Macie w furgonetkach dodatkowe hełmy albo zestawy do komunikacji?

Pokręcił głową.

– Nie. Mamy tyle sprzętu, co na sobie.

Spojrzałem na Aparo, a potem na Larisę. Nasza trójka – oraz dodatkowo Sokołow – nie miała żadnej ochrony.

Pozostali właściwie też nie.

Kościej siedział już z powrotem w półterenówce. Na fotelu obok leżał otwarty laptop. Silnik był zapalony, a palec Rosjanina zawisł nad klawiaturą.

Może nadeszła pora ponownie przetestować maszynę Sokołowa?

Tym razem na dużo wdzięczniejszej publiczności?

Wbił przed siebie zamyślony wzrok, zastanawiając się, czy użyć wynalazku nauczyciela, żeby Amerykanie sami wykonali za niego robotę.

Wystarczy, że wciśnie jeden klawisz, a włączy urządzenie i zamieni magazyn w rzeźnię. Pozabijają się nawzajem. Zabijają też Sokołowa. Co było o wiele lepszym rozwiązaniem, niż pozwolić im go zgarnąć.

Jeden klawisz i po sprawie.

Zastanawiał się przez kolejną chwilę, wyobrażając sobie całą tę scenę, rozważając wszystkie za i przeciw.

Tak czy inaczej coś musiał zrobić.

Musieliśmy się stamtąd zwijać, i to szybko. Co oznaczało, że wszyscy musieli się zwijać. Nie miałem zamiaru zostawiać Infantino i reszty, żeby sami się z tym zmierzyli.

Włączyłem mikrofon.

– Alfa Jeden, nasz koleś ma w swoim wozie coś w rodzaju frytkownicy do mózgu. Działa to przez uszy. Sprawia, że zaczniemy strzelać do siebie nawzajem. Złagodzić efekt mogą tylko mikrośluchawki w obu uszach i hełmy, jeżeli dociśnie się je naprawdę mocno. Ale gwarancji nie ma. Co o tym sądzisz?

Minęło parę sekund, zanim to do niego dotarło.

– Mówisz serio? – spytał.

– Obawiam się, że tak – odparłem. – Posłuchaj, naprawdę chcemy dorwać tego

pacana, a to nasza ostatnia szansa, ale nie ma żadnej gwarancji, że hełmy nas ochronią, a jeżeli nie ochronią, to może się tu rozpętać niezła jatka.

– Jak skuteczne mogą być według ciebie hełmy? – spytał.

Przywołałem gestem najbliższego funkcjonariusza i przyjrzałem się podbiciu wokół uszu wewnątrz kasku. Powinno przylegać całkiem ciasno. A kevlar zaprojektowano po to, żeby powstrzymał kule. Ale nie było siatki.

Zastanawiałem się przez chwilę, świadomy upływającego czasu.

Nie sądziłem, żeby trafiła nam się jeszcze jedna okazja. Ale nie mogliśmy zostać wszyscy.

– No dobra – powiedziałem. – Nikogo do niczego nie zmuszam. Ale ja zostaję. Alfa Jeden?

– No jasne – rzekł bez wahania.

– Zaczekaj chwi... – zaczął Aparo, ale mu przerwałem.

– Wsiadaj do samochodu. Zabierz ich stąd oboje, i to zaraz – poleciłem, wskazując na Sokołowa i Larisę, a potem spojrzałem na członka SWAT-u. – Daj mi hełm. Zabierz swoich ludzi i jedną furgonetkę i eskortuj ich do Federal Plaza.

– Sean... – chciał zaprotestować Aparo, ale znowu go uciszyłem.

– Najważniejszy jest Sokołow. Zabierz go stąd. A my przy odrobinie szczęścia zgarniemy Kościeja i za chwilę was dogonimy.

Pokręcił głową, ale wiedział, że to jedyne wyjście.

– Chodźmy – powiedział do Larisy i Sokołowa.

Włożyłem hełm i zacisnąłem mocno pasek. Patrzyłem, jak się zbierają.

Larisa, zanim wsiadła do samochodu Aparo, zawiesiła na mnie na chwilę wzrok. Dostrzegłem w nim niepokój. Kiwnąłem jej leciutko głową. Zrobiła to samo, zawahała się, a potem zniknęła w wozie.

Oba pojazdy odjechały. Na miejscu zostałem tylko ja i ludzie Infantino. Czekaliśmy, choć właściwie nie wiedzieliśmy nawet na co.

To było dziwne, bardzo dziwne uczucie.

Siedziałem skulony za kontenerem na śmieci i patrzyłem wzdłuż alejki w stronę magazynu. Od czasu do czasu obrzucałem nerwowo wzrokiem funkcjonariuszy SWAT-u, którzy mnie otaczali. W każdej chwili spodziewałem się, że ktoś nas podgrzeje w mikrofali i zamieni w łaknące krwi zombie z palcami przyspawanymi do spustów karabinów.

Czekanie i zastanawianie się, czy ktoś przejmie kontrolę nad moim mózgiem, było naprawdę irytujące. W dodatku miałem mnóstwo czasu, żeby dokładnie przeanalizować w myślach sytuację. Mój umysł miał niezły ubaw, podsuwając mi przed oczy wszelkie możliwe obrazy zbliżającej się jatki. Pragnąłem z całego serca wierzyć, że będę ponad tym, że jakimś cudem dysponuję tak ogromną siłą charakteru, iż będę w stanie się temu oprzeć; mężnie podniosę się z mojej kryjówki i wpakuję Kościejowi kulkę prosto między zdumione oczy. Trudno mi było pogodzić się z myślą, że poddam się tak samo szybko jak facet obok, a świadomość, że coś może uzyskać nade mną władzę i zmusić do robienia rzeczy, nad którymi nie będę miał żadnej kontroli, była jeszcze bardziej niepokojąca. A właściwie przerażająca. Zdawałem też sobie doskonale sprawę, że dorwać Kościeja i zadbać o to, żeby już nikt nigdy nie użył wynalazku Sokołowa, to najważniejsze zadanie w całym moim życiu.

Co gorsza przez trzęsawisko, w które zapadał się mój umysł, przedzierał się jeszcze jeden niepokojący obraz. Nie mogłem przestać myśleć o Aleksie i o tym, jak bardzo nie chcę, żeby wychowywał się bez ojca. Przecież wystarczy już, że stracił matkę. Musiałem stanąć na głowie, żeby przy nim pozostać. Sam straciłem ojca w okolicznościach równie traumatycznych jak to, przez co przeszedł Alex, gdy zmarła Michelle. Miałem wtedy zaledwie dziesięć lat. Wróciłem ze szkoły i pobiegłem do gabinetu ojca, gdzie zastałem go rozpostartego w fotelu przy biurku – martwego. Nie chodziło jednak o atak serca. Wetknął sobie swojego smitha & wessona kaliber .38 w usta i pociągnął za spust. Byłem w takim szoku, że nawet się nie cofnąłem. Podszedłem do niego w stanie dziwnego oszołomienia wymieszanego z ciekawością. Zobaczyłem, że w tylnej części jego głowy ziele potworna dziura, a ściana za nim jest poplamiona krwią. Ten obraz miał mnie ścigać przez całe życie. Alex przeżył już wystarczająco dużo jak na swój wiek. Chciałem mu teraz zapewnić normalne i – no cóż – szczęśliwe dzieciństwo. Którego istotnym elementem jest żywy, pozostający w jednym kawałku tatuś.

Przez cały czas majaczyła mi przed oczami twarz Aleksa. Czas zwolnił, niemal się zatrzymał, a ja siedziałem i czekałem, zastanawiając się, czy Kościej w końcu przyjedzie i czy w ostatnich minutach mojego życia zachowam przynajmniej świadomość.

Kościej pieścił palcem klawisz „Enter” otwartego laptopa.

Czas uciekał. Musiał podjąć decyzję.

Byli tam, w zasięgu jego ręki. Zdani na jego łaskę.

Wystarczy nacisnąć.

Zawahał się – a potem, w duchu gotując się ze złości, postanowił, że tego nie zrobi.

Nie wiedział nawet, czy Sokołow ciągle tam jest. Ten argument przeważał. A nawet gdyby był, to z kolei Kościej nie miał pewności, czy sprzęt ochronny komandosów – hełmy i słuchawki – nie złagodzi działania urządzenia. Gdyby tak się stało, naraziłby się na poważne niebezpieczeństwo.

Nie mógł ryzykować. Czekają go pilniejsze zadanie.

Zabębnił palcami po obudowie laptopa i utwierdził się w podjętej decyzji. Bez wątpienia był to krok wstecz, ale fakt, że mieli Sokołowa, nie stanowił zagrożenia dla jego najbliższych planów. Nauczyciel nie mógł im zdradzić niczego ważnego. Tym razem go nie powstrzymają. Rzecz jasna nie podobało mu się, że Sokołow znalazł się w ręku Amerykanów. Dzięki temu poznają wszystkie sekrety i słabości tej technologii. Mogą też go zmusić, żeby poskładał im takie samo urządzenie. Ale to wymaga czasu.

Potem zobaczył coś, co potwierdziło słusność jego wyboru. Jedna z furgonetek oraz nieoznakowany sedan odjechały razem spod magazynu. Minęły bramę zjazdową, przemknęły obok niego i ruszyły w stronę miasta.

W jednym z nich pewnie siedział Sokołow. Pod wzmocnioną ochroną. W drodze na przepytawanko.

Kościej zastanawiał się, czy nie ruszyć za nimi. Mógł zaatakować ich swoim urządzeniem gdzieś na światłach. I znowu się powstrzymał. Zbyt wiele niewiadomych. Zbyt duże ryzyko.

Później odbije – albo zabije – Sokołowa.

Pilniejsze zadanie, przypomniał sobie. Czas ruszać w drogę.

Z wysiłkiem tłumiąc wściekłość, wrzucił bieg i odjechał.

Jakieś pół godziny później na miejsce dotarły kolejne dwie furgonetki SWAT-u. Do tego czasu wypociłem z siebie pewnie parę kilogramów.

Przywieźli dodatkowe słuchawki i hełmy. Postanowiłem zostawić Infantino, który z pomocą swoich ludzi obstawiał i odcinał cały teren, i kazałem jednemu z agentów zawieźć mnie z powrotem do Federal Plaza.

Kościej mocno mnie rozczarował tym, że się nie pojawił, ale z radością stamtąd odjeżdżałem. Miałem też nadzieję, że Sokołow wreszcie powie nam coś użytecznego. I że już nigdy nie będę się musiał tak pocić.

Po dwudziestu minutach siedziałem już z Aparo, Larisą i Sokołowem w pozbawionym okien pokoju przesłuchań w Federal Plaza.

– Nie jest dobrze – powiedział Aparo, gdy usiadłem, i ruchem głowy wskazał na Sokołowa. – Twierdzi, że zanim zaczęli z Kościejem majstrować przy półterenówce,

gość zasłonił tablice rejestracyjne.

– Po co miałyby to robić? – zdziwiłem się.

– Należy się zabezpieczyć na wypadek nieprzewidzianych wydarzeń – wyjaśniła Larisa. – Zwłaszcza jeżeli to takie proste.

Widać instruktorzy SWR znali się na swojej robocie.

Udzieliła mi się frustracja Aparo. Informacje były zbyt mało konkretne, żeby ogłosić kolejny alert, chociaż i tak warto je było przekazać ekipie SWAT-u pozostającej w magazynie.

Zadzwoiłem do Infantino. A potem zasiadłem do rozmowy z Sokołowem na temat jego przeszłości i „tego”.

– Wszystko zaczęło się od pamiętnika mojego dziadka – wyjaśnił Sokołow.

Opowiedział nam o swoim dzieciństwie; o tym, jak znalazł stare dzienniki w piwnicy w chacie, w której się wychowywał. Potrafił mówić zwięźle i nie rozwodził się nad szczegółami, co w naszej sytuacji było bardzo pożyteczne. Niemal słyszałem w głowie tykający zegarek; ciągle dręczyła mnie świadomość, że gdzieś tam czai się Kościej z urzędzeniem. Nagle Sokołow zrobił się małomówny, aż wreszcie zamilkł zupełnie. Zaproponowałem mu przekąskę i coś do picia, ale odmówił. W końcu, po długiej chwili, coś jakby w nim w środku pękło i zrezygnowanym tonem opowiedział nam, co było w dziennikach.

**DZIENNIK MISZY  
KAROWO, GUBERNIA KAŁUSKA  
GRUDZIEŃ 1926**

Tej nocy długo nie zapomnę. Ta noc zmieniła wszystko.

Nie tylko w moim życiu, ale i w życiu wszystkich mieszkańców imperium.

Po tym, co się wtedy wydarzyło, do końca moich dni będę się zastanawiał, czy powinienem był to powstrzymać.

Zima 1916 roku, dziesięć lat temu, była surowa i mroźna. Ciągłe trwała wojna z Niemcami, która swym krwawym uściskiem zdołała już objąć jedenaście milionów wiernych synów Mateczki Rosji. Każdego dnia rosły potworne straty, a zapasy broni dla wojska się kończyły. Cały kraj cierpiał niedostatek. Ponieważ pożywienie trafiało głównie na front, panował głód. Ludzie byli wściekli. Kłopoty wisiały w powietrzu.

W Piotrogradzie wszyscy balansowaliśmy na krawędzi. Rasputin, jak zwykle, był obojętny na narastające wokół nas gniewne wrzenie. Jego umysł wędrował już gdzie indziej, układał strategię naszej interwencji na froncie. Udawałem, że podzielam jego entuzjazm, ale rozpaczliwie poszukiwałem sposobu ucieczki z matni, w której się znalazłem.

Mój dawny mistrz obawiał się o własne życie, i nie bez powodu. Całe piotrogrodzkie towarzystwo, a może i całe imperium, ziało ku niemu nienawiścią. Szlachtę i burżuazję oburzało, że ten grzeszny chłop przynosi wstyd dworowi i że ma chyba nieograniczoną władzę nad cesarską parą, sterując nią niczym marionetkami. Winili go za niepowodzenia na froncie – to on przekonał cara, żeby odebrał dowództwo wielkiemu księciu Mikołajowi i sam przejął stery kampanii. Prowadziło to prostą drogą do rewolucji, w której członkowie elity mogli stracić wszystko.

To właśnie w tym burzliwym okresie, w pamiętny grudniowy dzień, Rasputin otrzymał nieoczekiwane zaproszenie. Książę Feliks Jusupow, młody dziedzic największej fortuny Rosji, zażyczył sobie, żeby Rasputin spotkał się z nim i paroma przyjaciółmi w jego pałacu. Jusupowie byli potomkami tatarskiego chana Jusufa, a w dalszej linii, jak twierdzili, samego proroka Mahometa. Przodkowie księcia rządząli Damaszkiem, Antiochią i Egiptem, aż w końcu w czasach Iwana Groźnego osiedli w Rosji, gdzie sto lat później przyjęli chrześcijaństwo. Ich pałac, wzniesiony nad rzeką Mojką, jeden z wielu, jakie posiadali w całym cesarstwie, był okazałym gmachem, który swoim przepychem mógł rywalizować z Pałacem Aleksandryjskim. Skrywał sale balowe, baseny kąpielowe oraz prywatny teatr, w którym koncerty dawali niegdyś Liszt i Chopin. Wiele lat później dobiegły mnie plotki, że kiedy rewolucja obaliła carat, a Jusupowie uciekli z Rosji na pokładzie brytyjskiego okrętu wojennego, w jednej z wielu tajemnych komnat pałacu odkryto ludzkie szczątki. Okazało się, że



należały do kochanki prababki Feliksa. Historia tej rodziny była doskonałym lustrem dziejów całej Rosji. Przy tej okazji miała na nie znacząco wpłynąć po raz ostatni.

Rasputin i Feliks w minionym roku stali się kimś więcej niż znajomymi, chociaż mój dawny mistrz nigdy wcześniej nie był w pałacu nad Mojką; nie znał też żony księcia, Iriny, siostrzenicy cara, która jak twierdził Feliks, źle się poczuła.

Prosił Rasputina, by zajrzał do pałacu i spróbował ją wyleczyć. Zaoferował, że przyśle po niego kierowcę.

Irina była młoda i atrakcyjna. Nie mogłem pozbyć się myśli, że biedaczka jest kolejną owieczką idącą na rzeź. Ale przypuszczałem też, że chodzi o coś więcej.

Rasputin wiedział, że Jusupow, najbogatszy człowiek w Rosji i czołowy przedstawiciel arystokracji, żywił ku niemu podobną nienawiść, jak jego pozostali wrogowie. Przypuszczał, że księżę i jego przyjaciele mają w stosunku do niego jakieś zamiary. Złe zamiary. Już sama forma zaproszenia była obraźliwa: Feliks nie chciał ryzykować, że ktoś zobaczy go z Rasputinem w świetle dnia, dlatego prosił go o przybycie do pałacu w środku nocy.

Mój dawny mistrz mimo wszystko zdecydował się tam pójść. Pragnął dowiedzieć się, co szykują.

„Skorzystamy z urzędnika” – powiedział mi. „Ustawisz je przed pałacem nad Mojką, zanim tam pójde. A kiedy dostaną się pod jego działanie, dowiem się, co tak naprawdę knują w stosunku do mnie”.

Żywiłem podobne podejrzenia co on, ale ułożyłem w głowie zupełnie inny plan. Postanowiłem najpierw dowiedzieć się wszystkiego samemu.

Problem polegał na tym, że nie znałem rozkładu pomieszczeń w pałacu. Nie miałem pojęcia, gdzie ustawić moje urządzenie, a przecież nie mogłem podjechać tam z wózkiem, na którym mógłbym umieścić jego większą wersję – tę, której użyliśmy w kopalni. Jedyным wyjściem było skorzystać z płaszcza z wszytymi w rękawy przekaźnikami – tego samego, który Rasputin miał na sobie, gdy po raz pierwszy wyleczył carewicza. Rzecz jasna, były teraz znacznie silniejsze niż wtedy. Minęło wiele lat, a ja przez cały ten czas intensywnie pracowałem nad swoim wynalazkiem. Mimo to sporo ryzykowałem, ale doszedłem do wniosku, że gra jest warta świeczki.

O ironio, to właściwie Rasputin zamienił mnie w amatora przygód.

Następnego dnia poszedłem do pałacu nad Mojką i starannie skrywając zdenerwowanie, przedstawiłem się jako osobisty wysłannik Rasputina i poprosiłem o spotkanie z księciem. Feliks, którego wielce zdumiała moja nieoczekiwana wizyta, zgodził się mnie przyjąć. Etiopski służący w liberii poprowadził mnie przez olśniewająco bogato urządzone pokoje oraz bibliotekę z regałami, na których stały chyba wszystkie książki, jakie kiedykolwiek napisano, i bardzo strome schody do prześlicznego pokoju w piwnicy. Miał kolebkowe sklepienie i był podzielony na dwie części. W pierwszej urządzono przytulną jadalnię, z trzaskającym żywo kominkiem.

W oczy rzucała się tam wspaniała szafa inkrustowana kością słoniową, która wyglądała tak, jakby zrobiono ją z tysięcy małych lusterek. Stał na niej równie piękny krucyfiks z kamieni i szkła. W drugiej części, służącej jako salonik, umieszczono sofę, przed którą leżało na podłodze ogromne futro z białego niedźwiedzia. Okna były małe i w jednej tylko ścianie, wysoko, tuż pod sufitem.

Po chwili dołączył do mnie książę. Był szczupły i dosyć brzydki; miał chudą, pociągłą twarz. Emanowały z niego elegancja i dobre wychowanie, ale w jego flegmatycznych ruchach wyczułem też pewną zniewieściałość. Kiedy studiował w Oksfordzie, podobno lubił przebierać się w damskie fatałaszkę i odwiedzać tak nocne kluby. Bez trudu wyobrażałem go sobie w takim stroju. Po mieście krążyły też plotki o jego romansie z wielkim księciem Dmitrijem Pawłowiczem, wysokim, surowym i przystojnym młodym kuzynem cara, mieszkającym zresztą niedaleko stąd.

Gdy zostaliśmy sami, natychmiast włączyłem urządzenie. Zaczekałem, aż zacnie działać na księcia, a potem wypytałem go o jego uczucia względem Rasputina.

„Ten łotr jest przyczyną całego zła i sprawcą naszych kłopotów” – syknął, przewracając wściekle oczami. „To on i tylko on odpowiada za nieszczęścia, które spadły na Rosję. Jeżeli nikt go nie powstrzyma, doprowadzi do upadku monarchii i nas wszystkich. Wiesz, co zrobił w zeszłym miesiącu?”

Chyba wiedziałem, ale na wszelki wypadek zaprzeczyłem głośno.

„Zaproponował mi wysokie stanowisko w rządzie” – wyjaśnił zjadliwym tonem. „Mnie, księciu Feliksowi Jusupowowi! Ten niepiśmienny chłop z jakiegoś grajdołu na Syberii zaoferował mi posadę! W rządzie mojego wuja!”

„I jak książę zareagował?” – spytałem.

„Przybrałem pokorną postawę i powiedziałem mu, że jestem zbyt młody i niedoświadczony, by piastować tak odpowiedzialne stanowisko, ale że czuję się mile połączony i schlebia mi, iż ktoś o tak przenikliwym umyśle jak on ma o mnie tak wysokie zdanie”.

Spojrzał na mnie, a potem wybuchł śmiechem.

Zaczekałem, aż się uspokoi, i spytałem:

„Co ma książę zamiar z nim zrobić?”

Wbił we mnie zadziwiająco lodowaty wzrok, odetchnął głęboko i w końcu powiedział niemal szeptem:

„Tylko całkowita eliminacja Rasputina może zbawić Matkę Rosję. Nie ma innego sposobu, by wyrwać cara spod jego zgubnego wpływu, żeby poprowadził nas do chwalebnej ostatecznej zwycięstwa nad Niemcami”.

A potem zdradził mi ze szczegółami, co planowali zrobić z Rasputinem.

Starannie wybrali datę – 16 grudnia – co wcześniej umknęło mojej uwadze.

„Tego dnia” – ciągnął lodowatym tonem – „przypada piąta rocznica nieudanej próby zabójstwa tego zdeprawowanego łotra. Pamiętasz? Beznosa prostytutka pchnęła

go wtedy nożem w Tobolsku”.

Pamiętałem aż za dobrze. To wtedy zaczął zbaczać w stronę mroku, choć jak przypuszczałem, nawet gdyby ta zarażona syfilisem kurwa nie zamierzyła się na niego nożem, trudno byłoby tego uniknąć.

Upewniwszy się, że urządzenie jest ustawione na wystarczającą moc, by Feliks o wszystkim zapomniał, zostawiłem go samego.

Rasputinowi nie napomknąłem nawet słowem o tej rozmowie.

Tej nocy, tak jak mi kazał Rasputin, schowałem się przed pałacem nad Mojką i czekałem na jego przybycie. Ale nie miałem zamiaru użyć maszyny. Nawet jej ze sobą nie zabrałem.

Było dosyć zimno, kilka stopni powyżej zera, i prószył mokry śnieżek. Około wpół do pierwszej wrócił znany mi automobil z płóciennym dachem. Zatrzymał się na podwórzu przed pałacem. Wiedziałem, że kierowcą jest doktor Łazowert, lekarz wojskowy, który często pełnił funkcję ksiązęcego szofera. Wsiadł pierwszy, ubrany w długi płaszcz i astrachańską czapkę z nausznikami. Otworzył tylne drzwi. Najpierw wysiadł książe Feliks, a potem Rasputin. Wyglądał po królewsku w futrze i bobrowej czapie.

Ruszył w stronę pałacu jak do własnego domu. Długą drogę przebył, pomyślałem. Długą drogę, odkąd spotykaliśmy się w surowych celach monasteru w Wierchoturii.

Zniknęli w drzwiach. Trzymałem dalej straż.

Przez godzinę nie działo się nic, a w każdym razie na to wyglądało z mojego punktu obserwacyjnego za dużym żywopłotem. W wyobraźni rysowałem sobie jednak, co mogło się dziać w piwnicy. Książę bardzo szczegółowo opisał mi swoje plany. Po latach trudno było odtworzyć, co dokładnie się stało. Wielu uczestników tych wydarzeń opisywało je w opublikowanych pamiętnikach, ale ich relacje przeczyły sobie nawzajem i wydawały się mocno pokolorowane, zwłaszcza dla kogoś, kto znał Rasputina tak dobrze jak ja.

Wiedziałem w każdym razie, że Feliks miał zamiar zaprosić Rasputina na kolację do jadalni w piwnicy. Służbie dano tego wieczoru wychodne. Pozostali spiskowcy czekali na górze w gabinecie księcia: jego przyjaciel i kochanek, wielki książę Dmitrij Pawłowicz, który wychował się w pałacu cara i nienawidził Rasputina za wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na jego rodzinę; Władimir Puryszkiewicz, monarchista i deputowany do Dumy, który wielokrotnie potępiał Rasputina; porucznik Suchotin, żołnierz, który odniósł rany w czasie wojny i uważał Rasputina za niemieckiego szpiega; doktor Łazowert, przyjaciel Puryszkiewicza; a także dwie kobiety: Wiera Karalli, balerina i kochanka wielkiego księcia, oraz Marianna Pistołkors, przyrodnia siostra Dmitrija. Feliks nie chciał, żeby była tam jego żona.

Wyobraziłem sobie, że Feliks z Rasputinem siedzą przy stole albo na sofie obok niedźwiedziej skóry i trzaskającego wesoło kominka. Rasputin ma pewnie na sobie

cenną jedwabną koszulę, haftowaną przez samą carycę, co tylko jeszcze bardziej rozjusza młodego księcia. Feliks proponuje mnichowi ciastka, które spiskowcy doprawili kryształkami cyjanku potasu, oraz wino, w którym rozpuścili tę samą truciznę. Zdecydowali się na to narzędzie zbrodni, ponieważ ze względu na hałas nie chcieli strzelać z pistoletu. Dokładnie naprzeciwko pałacu, po drugiej stronie Mojki, niecałe pięćdziesiąt metrów dalej, znajdował się posterunek policji. W środku nocy usłyszano by tam strzały, nawet oddane wewnątrz pałacu.

Wiedziałem, że Rasputin nie tknie ciastek. Ciągłe nie jadł słodczy. Ale wino wypije chętnie.

I faktycznie, wypił. Ale nic się nie wydarzyło. Przygotowali cztery kieliszki, w tym dwa zatrute. Rasputin opróżnił je i mówił dalej jak gdyby nigdy nic. Podali mu trzeci kieliszek z trucizną. Wychylił go. Potem uśmiechnął się do młodego księcia i nagle zmarszczył groźnie brwi, wbił w niego lodowatobłękitne oczy, a jego twarz wykrzywiła straszliwa nienawiść.

„Widzi księżę?” – zwrócił się do Feliksa. „Cokolwiek sobie zaplanowaliście, nie działa na mnie. Nic mi nie możecie zrobić, choćbyście nie wiem jak próbowali. A teraz księżę należy mi jeszcze jeden kieliszek, pić mi się chce. I niech usiądzie obok mnie. Mamy mnóstwo spraw do obgadania”.

Feliks nie posiadał się ze zdumienia. Rasputin wypił truciznę i wydawał się co najwyżej odrobinę senny; poza tym nic mu nie było! Pozostali spiskowcy zaczęli się niecierpliwić i hałasować na górze. Ojciec Grigorij usłyszał te odgłosy i przypomniał sobie, że przybył do pałacu wyleczyć Irinę.

„Co to za tumult?” – spytał.

„To moja żona i jej goście. Pewnie właśnie wychodzą. Zajrzę do nich”.

Feliks zostawił Rasputina i pobiegł na górę do gabinetu. Opowiedział pozostałym, co się wydarzyło.

„Co robimy?” – spytał spanikowanym głosem, ale zanim ktokolwiek odpowiedział, zobaczył leżącego na stole browninga należącego do Dmitrija i podniósł go.

Wrócił do piwnicy, gdzie Rasputin stał przy kominku i przyglądał się bogato inkrustowanej szafie.

„Podoba mi się” – rzekł.

„Lepiej przyjrzyj się stojącemu na niej krucyfiksowi i zacznij się modlić” – powiedział księżę. A potem uniósł pistolet.

Około wpół do trzeciej czaiłem się ciągle pod pałacem, trzęsąc się i drętwiejąc z zimna. Nagle usłyszałem pojedynczy strzał. Hałas podziałał na mnie jak policzek. Natychmiast się rozbudziłem i przyspieszył mi puls.

Czyżby już nie żył? Czy to koniec Rasputina? Jakoś mi to do niego nie pasowało. Trudno mi było sobie wyobrazić, że opuści ten świat w tak prozaiczny sposób.

Wkrótce okazało się, że jednak mnie nie zawiódł, zresztą jak zwykle.

Upadł ciężko na niedźwiedzią skórę. Jusupow stanął nad nim z pistoletem w dłoni. Wszyscy mężczyźni zbiegli na dół. Zsunęli Rasputina z futra na podłogę, a potem, zgasiwszy światła, zostawili go tam i poszli na górę oblewać sukces.

Niecałe pół godziny później obok mnie przeszedł oddział policji. Żandarmi zapukali do głównego wejścia do pałacu. Drzwi się otworzyły i zalała ich fala światła. Nie widziałem ich i nie słyszałem, co mówią, ale nie weszli do środka i wkrótce wrócili na posterunek. Po chwili przyjechał drugi automobil i zatrzymał się przy mostku nieopodal pałacu. Wsiadło z niego czterech mężczyzn. Automobil pojechał dalej. Kiedy mężczyźni mnie mijali, brnąc w śniegu w stronę bocznego wejścia, rozpoznałem dwóch z nich: Fiodora i Andrzeja, braci Iriny, żony Feliksa. Zniknęli w budynku.

Widząc ich, zrozumiałem, że już po wszystkim. Rasputin z pewnością już nie żył. Feliks pewnie wezwał młodych książąt, by chępić się przed nimi swoim triumfem i pozwolić im nasycić się widokiem trupa zniechęconego wroga, zanim pozbędą się ciała. Wiedziałem, że Feliks raczej nie będzie trzymał gęby na kłódkę; rozpowie wszystkim o swoim czynie, żeby uciąć wszelkie dyskusje na temat jego męskości i zyskać szacunek towarzyszy broni z Korpusu Paziów, czego rozpaczliwie pragnął.

Gdy Feliks zaprowadził przyjaciół do piwnicy, by zaprezentować im swe trofeum, odkryli ze zdumieniem, że Rasputin wciąż oddycha. Co więcej – próbuje usiąść. Mężczyźni rzucili się na niego i niemiłosiernie go pobili. Wiem to na pewno, bo usłyszawszy tumult, postanowiłem zaryzykować i na własne oczy zobaczyć, co się dzieje. Podkraǳłem się do jednego z okienek, które wystawały z murów na podwórzu tuż ponad poziomem gruntu, i zajrzałem do środka. Szyba była mocno zaparowana, ale udało mi się dostrzec przez nią mężczyzn – nie zdołałem policzyć ilu – którzy kopali go, bili pięściami, dźgali kandelabrami i okładali pałkami oraz kijami. Nie chciałem na to patrzeć, ale nie mogłem oderwać wzroku. Zdołałem nawet dojrzeć fragment twarzy Rasputina, kiedy w pewnym momencie przewrócili go na plecy. Jedno oko wyskoczyło mu z oczodołu, a naderwany kawałek ucha zwisał żałośnie z głowy. Zauważyłem też ogromną, ciemną plamę na jego białej koszuli, potwierdzającą, że – jak się domyślałem – został postrzelony.

Wreszcie miłosiernie przestali. Stali przez chwilę nad jego leżącym na wznak ciałem, a potem w radosnym, triumfalnym nastroju opuścili pokój.

Spojrzałem na niego po raz ostatni, po czym pobiegłem z powrotem do mojej kryjówki. Bałem się, że w każdej chwili mogą wyjść z pałacu. Ale niepotrzebnie. Przez najbliższych parę godzin nie wydarzyło się nic. Przemarzałem na kość i bardzo chciałem znaleźć się już w jakimś ciepłym miejscu, ale nie byłem w stanie się stamtąd ruszyć. Jeszcze nie. Chciałem tam być do samego końca.

Z każdą godziną coraz bardziej traciłem przytomność umysłu. Ogarniała mnie senność, a przecież nie mogłem zasnąć, nie przy tej temperaturze. Wydawało mi się, że

powieki mam z łożowiu, że zamykają się same i już prawie się poddałem, gdy nagle uchylły się boczne drzwi.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Z pałacu chwiejnym krokiem, ale o własnych siłach, wyszedł Rasputin. Pomyślałem, że to niemożliwe – ale przecież patrzyłem na niego, a on ciągle żył, oddychał. Nie miał już na sobie futra i zataczając się, człapiąc ciężko w brudnym, mokrym śniegu, usiłował dokuśtykać przez podwórze do bramy.

Poczułem chęć, by pobiec mu na ratunek. Przeszliśmy razem tak wiele i nie mogłem patrzeć na niego w tym stanie. Ale zanim zdążyłem zrobić choćby krok, zanim on pokonał choćby dziesięć metrów, drzwi otworzyły się gwałtownie i wypluły kilka męskich sylwetek, krzyczących: „Brać go!” i „Ucieka!”. Potem padły dwa strzały. Mężczyźni rzucili się na niego, powalając go na ziemię. Jeden z nich, którego nie rozpoznałem, w szarym wojskowym płaszczu, wyciągnął rewolwer i strzelił Rasputinowi prosto w czoło.

Zataszczyli go z powrotem do środka.

Pół godziny później na podwórze wjechał kolejny automobil. Z pałacu wyszło kilku mężczyzn, nieśli Rasputina. Dyszeli ciężko i wokół ich ust formowały się białe obłoczki pary. Wrzucili go do pojazdu. Trzech z nich wsiadło do środka i automobil odjechał. Cały kraj miał się później dowiedzieć, że zawieźli ciało na most i zepchnęli je do lodowatej wody.

Autopsja wykazała, że Rasputin wtedy jeszcze żył.

Mój mistrz nawet swą śmiercią zadziwił Rosję. Wokół jego zgonu szybko narosły legendy: otruty, pobity, kilkakrotnie postrzelony, ciągle trzymał się życia.

Naprawdę był wcielonym diabłem.

Musiałem zniknąć.

Najpierw zniszczyłem wszystko. Maszynę. Cały mój sprzęt. Notatki i książki. Wszystko spaliłem.

Całe moje życie. Poszło z dymem.

Ale nie mogłem zrobić nic innego.

Potem wyjechałem z Piotrogradu, w którym wkrótce miała wybuchnąć rewolucja, i przez wiele miesięcy wędrowałem po Rosji, aż w końcu osiadłem tutaj, w guberni kałuskiej, w małej wiosce Karowo. To zapomniana przez Boga i ludzi okolica, idylliczna wieś; wszędzie brzozowe lasy, malownicze skarpy, falujące łąki nad Oką.

Pracuję jako chłop, udając ledwie piśmiennego głupka, bez przeszłości i przyszłości.

Uprawiam ziemię i trzymam się w duchu nadziei, że kiedyś, pewnego dnia znajdę sposób, by odpokutować za swoje grzechy.

– Więc pana dziadek zniszczył maszynę? – spytałem Sokołowa.

– Tak – potwierdził. – Maszynę. Notatki. Wszystko. Zostawił tylko dzienniki.

Udało mu się mnie zaskoczyć.

– Więc nie wiedział pan, jak działa?

– Właściwie nie. Ale w jego zapiskach znalazłem pewne wskazówki. Wspominał na przykład, że była zasilana bateriami, pisał o przetworniku piezoelektrycznym...

– Chwileczkę, bateriami? – przerwał mu Aparo. – Rozmawiamy o początkach dwudziestego wieku, zgadza się? Używano już wtedy baterii?

– Baterii używa się od ponad dwustu lat – wyjaśnił Sokołow. – Weźmy te „przenośne latarki” Huberta, o których wspominał. Pierwsze pojawiły się w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. W Iraku z kolei znaleziono gliniane słoje sprzed ponad dwóch tysięcy lat, które mogły służyć jako prymitywne ogniwa elektryczne. – Machnął ręką. – Tak czy inaczej, mój dziadek wspominał, że przyglądał się bębnom i organom kościelnym oraz temu, jak na nas wpływa ich dźwięk. Pisał, że kiedy używał maszyny, aby na niego nie działała, musiał wkładać sobie do uszu woskowe zatyczki, podczas gdy Rasputin ich nie potrzebował, bo wytrenował w sobie odpowiednią odporność. Oznacza to, że oddziaływała na człowieka przez uszy. Wspominał o Heinrichu Wilhelmie Dove i jego „magii”. Dove nie był magikiem. Był pruskim naukowcem, a magia, o której pisał mój dziadek, to po prostu zjawisko odkryte przez niego w tysiąc osiemset trzydziestym dziewiątym roku: dudnienie różnicowe. Wszystko to elementy układanki. Które stopniowo złożyły się w całość. Domyśliłem się, jak udało mu się skonstruować maszynę. Przypuszczam, że duma naukowca nie pozwoliła mu nie zostawić ani śladu po swoim dziele, nie mógł nie drażnić się z czytelnikiem i nie czynić aluzji do swojego geniuszu. – Opuścił wzrok. – Wygląda na to, że ta duma jest dziedziczna.

Sokołow opowiedział nam o swoim życiu; o tym, jak z małej wioski trafił najpierw do technikum, do którego musiał dojeżdżać autobusem, a potem na Uniwersytet Leningradzki.

– Manipulowanie sieciami neuronalnymi należało wtedy do najważniejszych priorytetów – wspominał. – Ściągali najwybitniejsze umysły z uniwersytetów w całym Związku Radzieckim. Miałem szczęście, że zacząłem studia w momencie, gdy nowe technologie otwierały nieskończone wprost możliwości. Czasy były naprawdę ekscytujące. Przekaz podprogowy, niesłyszalne komendy, promieniowanie fal radiowych, infradźwięki, tony izochroniczne, przezczaszkowa stymulacja magnetyczna wybranych obszarów mózgu... Nowe podejście do sterowania psychicznego i psychokorekcji, ciągłe poszukiwanie naszego Świętego Graala: możliwości wpływania na myśli, percepcję, emocje i zachowanie. Kontrolowanie ludzi na

odległość.

– I panu się to udało.

Potwierdził skinieniem głowy.

– Kiedy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym przeniesiono mnie z Uniwersytetu Leningradzkiego do Departamentu Działań Informacyjno-Psychologicznych KGB, w ramach badań nad mikrofalami próbowano co najwyżej technik dezorientacji poprzez kierowanie na obiekt fal o różnej długości. Od tego właśnie zacząłem. I odkryłem inne częstotliwości i ustawienia, w których drzemały znacznie większe możliwości. – Westchnął ze smutkiem, po czym wyznał: – Pracowałem przez osiem lat, zanim w końcu zaczęliśmy przeprowadzać eksperymenty na ludziach. – Pokręcił głową, wyraźnie dręczony wspomnieniami. Potrzebował dłuższej chwili, żeby móc wrócić do opowieści. – Mudżahedini, bojownicy, których nasi żołnierze schwytali w Afganistanie. Nawet nie wiedzieli, czym ich potraktowano. W ciągu paru sekund zamieniali się w morderców. Patrzyliśmy, jak wyrzynają się nawzajem. Były ich dziesiątki.

Spojrzał na mnie, jakby oczekiwał ode mnie zrozumienia. Skinąłem mu zachęcająco głową. To było dziwne uczucie, siedzieć z nim w jednym pomieszczeniu. Odczuwałem osobliwą satysfakcję, że wreszcie słyszę to wszystko z ust Sokołowa, nawet jeśli jego opowieść była dosyć makabryczna.

– Więc uciekł pan? – spytałem. – Dlaczego?

– Zginęło tylu ludzi. Dzięki temu przejrzałem na oczy. Przedtem byłem naiwny. Za bardzo poddawałem się własnemu ego, nauce, podniecała mnie możliwość kontrolowania ludzkich emocji i pragnień. Często toczyliśmy z innymi badaczami długie filozoficzne dysputy na temat tego, jakim osiągnięciem będzie stworzenie całkowicie psychocywilizowanego społeczeństwa. Było to fascynujące i jednocześnie uzależniało jak narkotyk. Nie pomyślałem tylko o tym, że nasze badania umożliwią zarazem programowanie ludzi do zabijania na rozkaz. A kiedy to się stało... Było to dla mnie ogromnym szokiem. Rezultaty tego, co udało mi się stworzyć... Wiedziałem, że muszę coś zrobić. Nie mogłem pozwolić, by to się powtórzyło. Nie mogłem im tego przekazać. Nie po tym, co zrobili; nie ze świadomością, do czego są zdolni. Przecież właśnie próbowali zabić papieża. Papieża! Byli zdolni do wszystkiego!

– Papieża? – Przypomniało mi się natychmiast wszystko, co wiedziałem o próbie zabójstwa wielkiego polskiego papieża w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku. – Ma pan na myśli Jana Pawła?

Przytaknął.

– Słyszał pan o tym, prawda?

Do zamachu doszło dawno, ale wiedziałem, że CIA miało wtedy dosyć określone podejrzenia. Jego Świątobliwość stał się dla Kremla solą w oku. W kręgach inteligencji Jan Paweł słynął ze swojej niezłomnej odwagi. Jako ksiądz, jeszcze



w swojej ojczyźnie, walczył z nazistami, a potem z komunistami, a jako papież zdeterminowany był poprowadzić swój naród ku wolności. Na początku lat osiemdziesiątych Breżniew groził Polsce inwazją, która miała położyć kres ruchowi „Solidarności”, zdobywającemu coraz większe wpływy nad Wisłą. Jan Paweł otwarcie się temu sprzeciwił. Rok wcześniej, w sierpniu, wysłał rosyjskiemu przywódcy odręczny list. Pojedynczy arkusz papieru sygnowany papieskim herbem. Zwierzył się Breżniewowi, że coraz bardziej martwi się o los swojej ojczyzny. A potem napisał coś naprawdę niezwykłego: poinformował genseka, że jeśli Sowietci napadną na Polskę, złoży rezygnację z Tronu Piotrowego, porzuci Stolicę Apostolską i wróci do ojczyzny, by stanąć tam na czele ruchu oporu.

Dziewięć miesięcy później na placu Świętego Piotra, na oczach ćwierci miliona zszokowanych pielgrzymów, samotny zamachowiec postrzelił i poważnie ranił papieża. Nazywał się Mehmet Ali Ağca i był Turkiem. Od razu go schwytano. Został uznany za wariata, szaleńca działającego w pojedynkę. Prawda – w każdym razie w przekonaniu przedstawicieli branży wywiadowczej – wyglądała jednak cokolwiek inaczej. Okazało się, że w ramach przygotowań do zamachu współpracował z agentami bułgarskich tajnych służb. Lekarze – włoscy i pracujący dla CIA – którzy go badali, wykryli w jego krwi ślady amfetaminy. Doszli do wniosku, że do tego, co uważał za swoją misję, został przygotowany za pomocą technik medycznych – mówiąc wprost, przeszedł pranie mózgu. Zupełnie jak w powieści *Przeżyliśmy wojnę*.

Sokołow ze smutkiem pokiwał głową.

– Ułatwiło mi to podjęcie decyzji. Nie mogłem pozwolić, żeby to się znalazło w ich rękach. Rozwazałem zniszczenie urzędu oraz dokumentacji moich badań i samobójstwo. Ale to by było tchórzostwo. Postanowiłem więc uciec... Uprzednio niszcząc urządzenie i dokumentację. Beze mnie nie byli w stanie go zrekonstruować.

– Ale nie chciał pan go również przekazywać nam – zauważyłem.

– Doszedłem do wniosku, że najlepiej, jeżeli nikt go nie dostanie. Nikomu nie mogłem go powierzyć. Nikomu. – Spojrzał na mnie hardo i spytał: – Sądzi pan, że źle postąpiłem?

Wytrzymałem jego wzrok, a potem spojrzałem na Larisę. Jej twarz była nieprzenikniona, ale wiedziałem doskonale, że oboje znają odpowiedź. A przecież efektów działania urzędu nie widziałem nawet na własne oczy.

– Więc uspił pan naszych ludzi i uciekł?

– Zabrałem ze sobą pewien proszek wynaleziony przez naszych specjalistów – wyjaśnił. – O potężnym działaniu, ale pozbawiony smaku i ostatecznie nieszkodliwy. Kiedy dotarliśmy tutaj, postanowiliśmy oblać nasz sukces. Wtedy uciekłem. Przyjąłem inne nazwisko. Ożeniłem się. Resztę pan zna.

– Ale nie mógł pan o tym tak po prostu zapomnieć – wtrąciła Larisa.

Sokołow potarł sobie oczy. Wyglądał na zmęczonego.

– Próbowałem; oczywiście, że próbowałem. Na kilka lat nawet mi się udało. Ale potem przeczytałem artykuł na temat postępów w rozwoju technologii komórkowej. Nie spałem przez tydzień. To był idealny system przenoszenia. Po prostu musiałem się przekonać, czy potrafię skonstruować doskonalszą wersję tego, co zbudowałem w Moskwie. – Spojrzał na nas ze smutkiem. – Musiałem. Nie mogłem się powstrzymać.

– Ale pozostał pan w cieniu. Aż do tamtego protestu pod konsulatem sprzed tygodnia – zauważyłem. – Po co pan tam poszedł? Dlaczego zwrócił pan na siebie uwagę?

Leo pokiwał głową i posmutniał jeszcze bardziej.

– Kiedy uciekłem, zaczęli prześladować moich krewnych. Miałem trzech braci. Aresztowali ich i wysłali do obozów pracy. Dopiero po latach dowiedziałem się, że wszyscy trzej tam umarli. Do dziś żyłbym w błogiej nieświadomości, gdyby nie to, że syn jednego z moich braci został znanym działaczem politycznym i zaczęto pisać o nim oraz o jego rodzinie w zachodniej prasie.

– Ilja Szyslenko był pana bratankiem? – zdumiałem się.

Przytaknął.

– Kiedy go zabili... Kiedy go zamordowali, załamałem się. Dwóch moich braci nigdy się nie ożeniło, nie mieli też dzieci. Ilja był moim jedynym bratankiem, przynajmniej z tego, co mi wiadomo. Jego śmierć, i to z ich rąk... Tego już nie wytrzymałem. Straciłem nad sobą kontrolę.

– I w ten sposób wylądowaliśmy tutaj – rzekł Aparo.

– Właśnie – przyznał cicho Sokołow.

Przypatrywałem mu się przez chwilę.

– No więc, jak to działa?

Sokołow wypił łyk wody z butelki, którą mu wcześniej podałem.

– Wie pan, co to takiego stymulacja mózgu?

Streściłem mu, co czytałem na ten temat.

Skinął w zamyśleniu głową.

– Wszystko, co odczuwamy, wszystkie emocje, od poczucia szczęścia i euforii po depresję i agresję – wyjaśnił – wywoływane jest w naszym mózgu przez reakcje elektrochemiczne.

Dały o sobie znać lata spędzone w szkole w roli belfra i Sokołow zaczął cierpliwie tłumaczyć, w jaki sposób mózg w odpowiedzi na rytmiczne bodźce instynktownie uruchamia różnego rodzaju silne emocje.

– W tysiąc trzystu gramach między naszymi uszami mieści się sto miliardów neuronów – tłumaczył – połączonych setką bilionów synaps. To ogromna sieć o nieograniczonym potencjale, o której zresztą ciągle wiemy bardzo niewiele. Jedno jednak jest pewne: nasze mózgi postrzegają pewne rzeczy poniżej naszej zdolności do uświadamiania ich sobie albo identyfikowania. Tę właśnie cechę wykorzystuję w celu

manipulowania sieciami neuronalnymi, które zarządzają takimi stanami, jak euforia, zaufanie, strach, niepokój czy depresja, a nawet ich fizycznymi skutkami ubocznymi w rodzaju mdłości albo dezorientacji. Odkryłem też, że możemy je skutecznie i selektywnie wywoływać.

– Za pomocą mikrofal?

Rozmasował sobie dłońmi twarz.

– To bardzo skomplikowane i szczerze mówiąc, właściwie musiałby pan mieć doktorat z matematyki i inżynierii elektrycznej, żeby to zrozumieć. Ale w uproszczeniu: odkryłem, że jeśli połączyć efekty działania wielokrotnej alternacji przewodów dielektrycznych i wnękowych oraz silnie wzmocnionego, zmodyfikowanego magnetronu, to uzyska się określone pole mikrofal o stabilnej długości, które da się precyzyjnie dostroić w celu kontrolowania wibracji ucha wewnętrznego i w rezultacie stymulacji mózgu poprzez częstotliwości różnego zakresu.

To była „uproszczona” wersja.

Wzruszył ramionami.

– Pewien antropolog z Yale zaproponował ostatnio teorię, w myśl której podatność naszego mózgu na stymulację jest skutkiem doboru naturalnego – dodał. – Ci z naszych przodków, którzy potrafili osiągnąć stan, w jakim nie odczuwali strachu czy bólu, jednocząc się w zamian w poczuciu zbiorowej tożsamości... Ci właśnie mieli większą szansę przeżyć w konfrontacji z drapieżnikami lub członkami innych plemion.

– Trochę to trąci komunizmem – zauważyłem. – A wiemy, do czego ten doprowadził.

Sokołow uśmiechnął się ponuro, a potem dodał bez cienia dumy w głosie:

– Ale ta podatność na stymulację ma również minusy. Moja maszyna ma bardzo szerokie możliwości: od uspiania człowieka do zmuszenia go do zabicia własnych dzieci.

Poczułem na plecach zimny dreszcz.

Nie mógł tego wyrazić prościej.

Teraz już rozumiałem, dlaczego wszyscy się o niego bili. Dostęp do tego rodzaju technologii – zwłaszcza jeśli było się jej jedynym dysponentem – zapewniał praktycznie nieograniczoną władzę zarówno nad własnymi obywatelami, jak i nad siłami wroga.

– A co z tym facetem, który odwiedził pana w poniedziałek rano w mieszkaniu? – spytał Aparo. – Jak udało się panu go obezwładnić? Na nim też wypróbował pan któryś z trików z arsenału rycerza Jedi?

Sokołow nie bardzo zrozumiał, do czego pije. Na jego twarzy pojawiła się na chwilę konsternacja, ale zaraz pospieszył z wyjaśnieniem:

– Nagrałem sobie na płycie CD dudnienie monofoniczne. Proste, ale skuteczne. Trzymałem ją w odtwarzaczu na wypadek sytuacji awaryjnej, gdyby ktoś mnie naszedł.

– Jak to działa? – dopytywał Aparo.

– Wywołuje w człowieku dezorientację. Kręci mu się w głowie, czuje mdłości. Nie potrafi się skupić. Sprawia, że jest podatny na sugestie. I nie potrafi kłamać.

– A na pana to nie zadziałało? – spytałem.

– Jak już mówiłem, to bardzo prosty mechanizm. Dudnienie nie oddziałuje na człowieka tak silnie, jak urządzenie, które zamontowałem w furgonetce. A ponieważ wiem, do czego się sprowadza, wytrenowałem w sobie na nie odporność.

– Nieźle – pochwalił Aparo.

Przypomniałem sobie o sąsiedzie i jego psie, który nagle stał się agresywny.

– Pana sąsiad twierdzi, że mniej więcej w tym samym czasie zaatakował go jego własny pies. Podobno nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło.

– Zwierzęta reagują inaczej niż my. A kiedy są przerażone, mogą zaatakować.

Zastanawiałem się, ilu jeszcze sąsiadów na tym ucierpiało.

– A czy oprócz ochraniaczy na uszy – spytałem – można się jakoś inaczej obronić przed pana urządzeniem? Zablokować jego działanie?

– Raczej nie. Jeżeli znajdzie się pan bardzo blisko niego, a już zwłaszcza na wprost linii rażenia, to nawet ochraniacze nie obronią pana przed bardziej agresywnymi częstotliwościami. Jedynym sposobem jest oddzielić się od niego wystarczającą warstwą izolacji, która nie przepuści mikrofal. Na przykład żelazną ścianą o grubości przynajmniej trzech centymetrów albo betonowym murem, nie cieńszym niż półtora metra. Fale zakłóca również druciana siatka, tyle że bardzo drobna. Właściwie jest najbardziej skuteczna, ale musi być naprawdę drobna. Właśnie jej używa się dzisiaj w celu odcięcia sygnału telefonii komórkowej.

– A nie można tego zagłuszyć? – spytał Aparo. – Tak jak zagłusza się sieci komórkowe?

– Dałoby się pod warunkiem, że zagłuszarka miałaby właściwą moc oraz duży zakres, blokujący wszystkie częstotliwości – odparł Sokołow. – Różne ustawienia przekładają się na różne częstotliwości, więc żeby nic się nie przedostało, trzeba by tłumić wszystkie zakresy sygnału.

– A jaki te sygnały mają zasięg? – zainteresowałem się.

– Zależy od rodzaju zasilania. W odpowiednich warunkach sygnał o pełnej mocy promieniuje na jakieś osiemset metrów. Właściwie jednak należałoby stwierdzić, że jego zasięg jest nieograniczony. W końcu operatorzy sieci komórkowych pokrywają nimi praktycznie cały obszar, na którym ich klienci chcą się logować. Teoretycznie to samo można zrobić z moim urządzeniem. Skoro komórki łapią zasięg wszędzie, to i sygnał z niego może dotrzeć wszędzie.

Poczułem się tak, jakby ktoś położył mnie na łóżku z gwoździ.

– Twierdzi pan, że można je podłączyć do masztów telefonii komórkowej?

Sokołow skinął głową.

– Teoretycznie tak. Chociaż tej konkretnej wersji, którą skonstruowałem, nie można tak po prostu podnieść. Nie wiem, jak ustawione są centra kontroli sieci. Trzeba by trochę pokombinować, ale w zasadzie jest to możliwe.

– Jezus Maria!

Na samą myśl o tym, jakich szkód może narobić jeden psychopata dysponujący tą technologią, ugięły się przede mną nogi. Może wymordować całe miasto! Nawet więcej!

Rozejrzałem się po otaczających mnie twarzach i wypowiedziałem na głos najzupełniej oczywistą myśl:

– Musimy go powstrzymać.

Mój irytujący wewnętrzny panikarz ciskał mi się w głowie i wrzeszczał jak opętany, że pominęliśmy coś istotnego.

Spojrzałem na Larisę.

– Dlaczego nie kontaktuje się z waszymi ludźmi? Choćby tylko po to, żeby powiedzieć: „misja wykonana”? Dlaczego się ukrywa?

– Nie mam pojęcia – odparła. – Może doszedł do wniosku, że nie jesteśmy w stanie załatwić bezpiecznego przerzutu? Może woli sam wywieźć urządzenie z kraju?

– Może, ale... Po co najpierw je rozmontował, a potem kazał zainstalować w swoim samochodzie? – spytałem. – Dlaczego nie udokumentował jego demontażu, na przykład filmując Sokołowa smartfonem, i nie spakował maszynki do paru skrzyń, które mógłby bez większego problemu wyekspediować do Rosji? Tak byłoby chyba łatwiej, niż przemycać ją w samochodzie. I po co testował urządzenie? – Była tylko jedna odpowiedź na to pytanie, oczywista i bardzo niepokojąca. – Ma zamiar go użyć. Tutaj. Niebawem. – Pochwyciłem wzrok Sokołowa. – Czy dobrze zrozumiałem? Pytał pana o jego zasięg i moc.

Rosjanin skinął głową.

– Chciał wiedzieć, czy przebije się przez mury albo szkło, czy dotrze do piwnicy.

– I co pan odpowiedział?

Wzruszył ramionami.

– To mikrofałe. Jak wspominałem, jeżeli dociera dokądś sygnał komórki, to i urządzenie tam zadziała.

Nie podobał mi się kierunek, w którym to wszystko zmierzało. Moje obawy wydawały się coraz bardziej uzasadnione.

– Użyje go. Dlatego kazał je panu zamontować w swoim samochodzie. I dlatego pytał, czy sygnał przebije się przez różnego rodzaju przeszkody.

– Jego zadanie nie polegało na tym – zaprotestowała Larisa.

– Skąd wiesz?

– Weź, przestań. Nie jesteśmy na wojnie. A użycie tego byłoby... To terroryzm. Wypowiedzenie wojny.

– Może otrzymał to zadanie od jakiejś grupy na Kremlu albo szefów służb wywiadowczych, którzy mają na ten temat inne zdanie? – podpowiedziałem. – A może postanowił się uniezależnić i pracować jako freelancer? Przychodzi mi do głowy co najmniej kilka państw i organizacji, które z rozkoszą zrobiłyby coś takiego. I zapłaciłyby za to fortunę.

– To agent naszego rządu – upierała się.

– Chcesz mnie przekonać, że jest nieprzekupny?

Nie odpowiedziała.

– Zadzwoń do swoich ludzi – poleciłem jej. – Dowiedz się, czy przypadkiem się nie ujawnił. Jeżeli nie, to powiedz im, co podejrzewamy. Powiedz, że mają zrobić wszystko, żeby pomóc nam go zneutralizować. Ostrzeż ich przed konsekwencjami, jakie wynikną z użycia tego urządzenia. Zapytaj, czy naprawdę chcą wywołać wojnę.

Larisa wyciągnęła telefon i pacnęła ikonkę szybkiego wybierania.

Kościej wyjechał srebrnym dodge'em minivanem z parkingu wypożyczalni Hertz na lotnisku Newark. Po paru minutach był znowu na autostradzie I-95 i zmierzał na południe.

Szybko udało mu się przenieść nieporęczne urządzenie z suburbana do nowego wozu. Powiedział przepracowanemu i zbyt nisko opłacanemu facetowi z obsługi, że musi przerzucić parę rzeczy z jednego samochodu do drugiego i po chwili zrobił to w kącie parkingu, nie zwracając niczyjej uwagi. W oczach przypadkowego przechodnia wyglądałoby to tak, jakby producent płytowy majstrował przy sprzęcie studyjnym albo informatyk przenosił jakieś serwery.

Musiał jeszcze podłączyć kabel zasilania, ale postanowił zrobić to później. Czekał go też ostatni test, dzięki któremu upewni się, że niczego nie pokięłbaśił, ale to nie powinno stanowić problemu.

Po drodze mijał mnóstwo potencjalnych królików doświadczalnych.

Larisa rozłączyła się i spojrzała na mnie z ponurą miną.

– Kościej nadal się nie ujawnił – powiedziała. – Z nikim się nie kontaktował. Nawet z centralą.

– Z tego, co wiesz – zauważyłem.

– Coś mi mówi, że to prawda.

– A co by ci powiedzieli, gdyby planowali jakiś brzydki numer? – spytałem.

– A skąd właściwie mam wiedzieć?

Ze złości krew się we mnie zagotowała.

– Jeżeli wyjechał, to nic już nie możemy zrobić. Ale jeżeli nie, jeżeli ciągle jest w Stanach, to dam głowę, że chce tego użyć. – Spojrzałem na Larisę. – Zastanów się. Jesteś przekonana, że działa na własną rękę?

Skinęła głową.

– Tak.

– W takim razie później będziemy się zastanawiali nad konsekwencjami geopolitycznymi. Teraz musimy go znaleźć i powstrzymać.

– Jak? – spytał Aparo. – Co niby mamy zrobić? Kazać Departamentowi Bezpieczeństwa Wewnętrznego ogłosić czerwony alarm i sprawdzać każdą czarną półterenówkę w kraju? Zakładając, że nie przesiadł się do innego wozu. – Spojrzał na Sokołowa. – Przecież mógł to zrobić, zgadza się? Skoro przenosił z panem maszynkę, to chyba się nauczył, nie?

– Owszem – przytaknął Rosjanin. – Właściwie to o to nawet chodziło. Sprawdzić,

czy da się to zrobić szybko. No i się da. To tylko kwestia wetknięcia właściwych wtyczek w odpowiednie gniazda. Jedyne przewód, który trzeba podłączyć na stałe do samochodu, to kabel zasilania. Pojedynczy kabel.

– Co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że coś kombinuje – powiedziałem.

Nagle przyszło mi do głowy, że niełatwo będzie nakłonić inne agencje do reakcji.

– Mamy jeszcze jeden problem – dodałem. – Musimy jakoś przekonać facetów w czerni, że to się dzieje naprawdę. Co nie będzie proste.

– Moich szefów nie trzeba przekonywać – zauważyła Larisa. – Zadzwoń do swojego kontaktu w Langley. Pomogą nam wytropić Kościeja.

Właściwie uświadomiła mi jeszcze jeden problem.

– Jak myślisz, wiedzą, że mamy Sokołowa?

– Musiałam im powiedzieć.

Zesztywniałem.

– W takim razie dziwię się, że nie pojawili się tu jeszcze, żeby go zgarnąć.

– To tylko kwestia czasu – powiedziała, choć z tonu jej głosu wywnioskowałem, że ta perspektywa wcale jej nie cieszy. – Mogą tu być w każdej chwili.

Poczułem skurcz w jelitach.

Nie mogłem do tego dopuścić. Potrzebowaliśmy go. Nie chciałem też, żeby wylądował w jakiejś ich ciemnicy. Ale w tej chwili miałem ważniejsze rzeczy na głowie.

– Zagrożenie jest ciągle zbyt mgliste, żeby wszyscy wkroczyli do akcji – zauważył Aparo. – Musimy ograniczyć liczbę możliwości.

Sęk w tym, że możliwości były nieograniczone, a każda, która przychodziła mi do głowy, była bardziej przerażająca niż poprzednia.

– Może to odpalić gdziekolwiek – odparłem. – Na koncercie w parku. Imprezie sportowej na stadionie pełnym kibiców. W Centrum Rockefellera. Dzieje się w ten weekend coś ważnego?

– Może zaatakować Wall Street – zauważył Aparo. – Giełdę Nowojorską. Coś takiego wywołałoby załamanie na rynkach.

I wtedy pomyślałem, że skoro ma to być atak terrorystyczny, to przecież ma do wyboru wiele ciekawszych ze swojego punktu widzenia obiektów.

– Kapitol – wykrztusiłem. – Biały Dom.

Sokołow nagle się ożywił.

– Pytał mnie o szyby kuloodporne – powiedział.

– Słucham?

– Pytał mnie, czy sygnał przez nie przeniknie. Wspominał coś o trzycalowym szkłe.

– Wybuchoodpornym. Takiego właśnie używa się w budynkach rządowych w Waszyngtonie – wyjaśniłem.

Mogłem to sobie wyobrazić. Dajmy na to, obrady Kongresu – i nagle senatorowie



i kongresmeni zaczynają wydrapywać sobie oczy, a pilnujący ich funkcjonariusze strzelać beładnie, przy czym wszystko to jest transmitowane na żywo w telewizji.

Albo nawet gorzej.

Agent Secret Service dostaje szau w czasie konferencji prasowej na trawniku przed Białym Domem i serią z pistoletu maszynowego zabija wszystkich, którzy przebywają w zasięgu jego wzroku, w tym prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Muszę do kogoś zadzwonić – powiedziałem. – Nie możemy po prostu siedzieć na tyłkach.

– Do kogo? – spytał Aparo.

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Do Everetta.

Will Everett, agent specjalny w naszym biurze w Waszyngtonie, był szefem wydziału do walki z terroryzmem. Znaliśmy się od lat i dobrze nam się razem pracowało. W tej sprawie musiałem pogadać z kimś obdarzonym odrobiną wyobraźni. Kimś, kto mnie zna i wie, że raczej nie należę do paranoików. Kto nie pomyśli, kiedy mu powiem, o co chodzi, że się po prostu nawaliłem.

Sięgając po telefon, nie byłem nawet pewien, czy powinienem rozmawiać z Everettem otwarcie. Pomyślałem, że może lepiej najpierw go wysonduję. Powiem, że na coś trafiłem, może to nic takiego, a może i coś. I będę improwizował, w zależności od reakcji.

Rozmowa była krótsza, niż się spodziewałem. Everett miał pracowity dzień. Bezustannie konferował przez telefon z Secret Service i waszyngtońską policją.

Za niecałe trzy godziny zaczął się uroczysty bankiet Stowarzyszenia Korespondentów przy Białym Domu.

Psychopata, który chciałby zadać cios w samo serce amerykańskich wartości – wartości definiowanych przez wolność słowa, merytokrację oraz wolny dostęp prasy do przedstawicieli najwyższych władz – nie mógłby wybrać sobie lepszego obiektu ataku niż bankiet Stowarzyszenia Korespondentów przy Białym Domu. Zwłaszcza że ten obiekt ataku gwarantował maksymalne zainteresowanie mediów.

Nazywa się go balem naturalnym dla nerdów, czyli całkiem trafnie, pod warunkiem, że ktoś uważa George'a Clooneya czy Sofię Vergarę za nerdów. Ponad dwa i pół tysiąca najbardziej wpływowych osobistości w Ameryce – polityków, gwiazd Hollywood, dziennikarzy, biznesmenów, sędziów Sądu Najwyższego – miało zgromadzić się w sali balowej waszyngtońskiego Hiltona, żeby wziąć udział w pełnym splendoru wieczorze, który swoim blichtrzem dorównuje gali oscarowej, oszczędzając przy tym uczestnikom przydługawych zajawek filmowych, konieczności zachowania fałszywej skromności oraz upokorzeń związanych z ucinaniem w połowie mów z podziękowaniami.

W dodatku nawet wieczoru oscarowego nie zaszczyca swą obecnością jako honorowy gość prezydent Stanów Zjednoczonych.

Galę od lat transmituje na żywo telewizja kablowa C-SPAN, ale dopiero ostatnio, przy zauważalnej polaryzacji amerykańskiego życia politycznego oraz wyostrzaniu się politycznego humoru, stała się jednym z najważniejszych wydarzeń medialnych w roku. Prowadzi ją zawsze któryś z czołowych celebrytów, a Stowarzyszenie tak dobiera gości, by nie zabrakło wśród nich największych gwiazd, nic więc dziwnego, że cały wieczór jest szeroko relacjonowany i komentowany na wszystkich poświęconych rozrywce kanałach telewizyjnych i stronach internetowych.

Im dłużej o tym myślałem, tym większej nabierałem pewności, że Kościej nie przepuściłby takiej okazji, mimo że nie miał zbyt wiele czasu na przygotowania.

Oczywiście nie mógł narzekać na niedostatek innych atrakcji, w których miał wziąć udział prezydent. Mowy powitalne dla zagranicznych dyplomatów, wygłaszane na trawniku przed Białym Domem, wydarzenia kulturalne w Kennedy Center, ważniejsze przyjęcia państwowe – w stolicy co tydzień coś się działo. Ale ten wieczór przebijał wszystkie inne. Każdy zamach na prezydenta miałby katastrofalne skutki, ale atak wymierzony w samo serce nie tylko światowej prasy, ale i przemysłu rozrywkowego – w którym musiałyby w dodatku ucierpieć najbardziej wpływowe i znane osobowości Ameryki – to wprost marzenie każdego terrorysty. Nie wspominając już o tym, że mógłby być odebrany jako odwet za bankiet z roku 2011, na zawsze zapamiętany jako jeden z elementów ciągu wydarzeń, który dzień później doprowadził do likwidacji bin Ladena przez oddział SEAL.

Niełatwo byłoby przeprowadzić taki zamach, ale jeśli Kościej coś knuł, to należało

przypuszczać, że uderzy tej właśnie nocy.

– Musimy tam jechać – powiedziałem, po czym odwróciłem się do Larisy i wskazałem na Sokołowa. – A on jedzie z nami.

Nawet się nie zawahała.

– Ja też.

Nie byłem pewien, czy podoba mi się ten pomysł. Uniosłem ostrzegawczo palec.

– Ale ani się waż ostrzegać swoich kumpli. W Waszyngtonie nie będziemy mieli czasu na przepychanki z komitetem powitalnym.

– Nikt się nie dowie – obiecała. – Masz moje słowo.

Wyjrzałem przez okna śmigłowca FBI i z narastającym niepokojem patrzyłem na połykającą w popołudniowym blasku słońca Statuę Wolności.

Prezydent miał się pojawić w Hiltonie za dwie godziny z okładem, a my połowę tego czasu spędzimy przypięci pasami do siedzeń. Przypuszczałem, że Kościej działa według drobiazgowo opracowanego planu, tymczasem my nie mieliśmy nawet pojęcia, jak się do tego zabrać.

Choćby to: jak niby miałem powiedzieć o wszystkim chłopakom z Secret Service? Nawet referencje od Everetta niewiele mogły mi pomóc. Już siebie słyszę: „Mam przecucie, że grozi nam atak ze strony faceta, którego nie jesteśmy w stanie opisać, nie mamy jego odcisków palców ani nawet nazwiska. A, i jeszcze coś: gostek dysponuje mikrofalówką, za pomocą której zamieni was w urodzonych morderców, a jednego w zabójcę prezydenta”.

To byłaby ciekawa rozmowa.

Nie tylko nikt by mi nie uwierzył, ale zatrzymaliby mnie na przesłuchanie, zastanawiając się, w co też sobie pogrywam i jakie motywy każą mi występować z tak absurdalnymi podejrzeniami.

Nie byłem nawet pewien, czy powinniśmy im w ogóle mówić, co się dzieje, bo przecież bazowaliśmy wyłącznie na przecuciu. Z drugiej strony, nie mogliśmy im nie powiedzieć. Nie przy tej skali ryzyka. W najgorszym razie nic się nie stanie i wyślą mnie najpierw na zieloną trawkę, a potem do wariatkowa. W najlepszym – ocalimy przywódcę wolnego świata. Raczej nie było się nad czym zastanawiać. Ale im dłużej o tym myślałem, tym większej nabierałem pewności, że będziemy zdani na siebie. Naszych podejrzeń nikt nie potraktuje tak poważnie, jak na to zasługują.

W pewien perwersyjny sposób w głębi duszy miałem nadzieję, że Kościej się tam pojawi, że spróbuje to zrobić. Choć ryzyko było ogromne, choć obawiałem się, że cały ten wieczór zamieni się w katastrofę o niemożliwych do oszacowania skutkach dla całego kraju, w tym wypadku przynajmniej wiedzielibyśmy, co kombinuje, i mielibyśmy szansę mu w tym przeszkodzić. Jeżeli jednak się myliłem, jeżeli nie wynurzy się w Waszyngtonie, jeżeli nie planuje tego, co przypuszczamy, to znajdziemy się w punkcie wyjścia: nie będziemy mieli pojęcia, gdzie, kiedy i komu on, albo ktoś, sprzeda tę technologię, pojawi się nagle i jej użyje. Za parę dni, za tydzień, za rok... Kiedykolwiek i gdziekolwiek. Pozostalibyśmy zupełnie bez tropów. A zbrodniczy plan, który zostałby wprowadzony w życie w bliżej nieokreślonej przyszłości, miałby o wiele większe szanse powodzenia, ponieważ nie bylibyśmy w ogóle przygotowani na tego rodzaju atak i jego skutki mogłyby się okazać znacznie bardziej katastrofalne. O wiele bardziej, ponieważ mogłyby mieć o wiele większy zasięg. W wypadku bankietu w Białym Domu, Kościej przynajmniej nie będzie w stanie podłączyć się do

sieci telefonii komórkowej. W każdym razie taką mieliśmy nadzieję. Ale w niezbyt odległej przyszłości z czymś takim należało się liczyć, co potwierdził Sokołow. Dlatego właśnie lepiej byłoby sprzątnąć tego szaleńca już teraz.

Spojrzałem na Sokołowa. Miałem wyrzuty sumienia, że ciągle nie pozwoliliśmy mu spotkać się z żoną; zresztą niełatwo było go uspokoić i przekonać, że nie ma na to czasu. Zanim wsiedliśmy do helikoptera, pozwoliłem mu tylko do niej zadzwonić. Ciągle jednak wyglądał żałośnie, choć dzielnie majstrował właśnie przy hełmach, które przed odlotem zgarnęliśmy drużynie SWAT-u z magazynu. Nasi technicy ubierali nam też tyle siatki drucianej, ile tylko dało się znaleźć w tak krótkim czasie, i teraz Rosjanin montował ją we wnętrzu kevlarowych kasków. Ciągle dziwiło mnie, że ten sympatyczny staruszek zdołał skonstruować coś o tak morderczym potencjale. Bez problemu zrozumiałem za to, dlaczego ulotnił się naszym ludziom. Wspomnienie to sprawiło, że znowu wróciłem myślami do Corrigan. Był jednym z agentów, których Sokołow wystawił do wiatru. Aż mnie korciło, żeby zapytać o niego Rosjanina. Może powiedziałby mi o nim coś użytecznego? Może byłby w stanie go opisać, nawet po tych wszystkich latach? Niestety, nie miałem na to czasu. Musiałem poczekać.

Odwróciłem się od Sokołowa i zobaczyłem, że wpatruje się we mnie Larisa.

– W porządku? – zapytała. Jej głos usłyszałem w słuchawkach.

Wzruszyłem ramionami. Zdjęła słuchawki i gestem poprosiła, żebym zrobił to samo. Chciała chyba pogadać na osobności, tak żeby nie słyszeli nas Aparo, Sokołow i pilot. W helikopterach wszystkie słuchawki podłączone są do tego samego radia.

Nachyliła się i powiedziała mi prosto do ucha:

– Według Sokołowa nikt nie powinien tego posiadać. Co o tym sądzisz?

Zastanowiłem się, jaką odgrywa w tym wszystkim rolę. Nachyliłem się do jej ucha.

– Twoi kumple aż się palą, żeby go dorwać. Dlatego kazali ci za mną łązić. Chcieli być na bieżąco informowani o postępach w śledztwie, żeby we właściwym momencie wkroczyć do akcji i go zgarnąć.

Najwyraźniej nie była z tego szczególnie dumna.

– Taki był plan.

Nie odpowiedziałem i tylko spojrzałem na nią.

– Nie do końca odpowiada to twojemu planowi, co? – spytała.

– Powiedzmy, że wiem o paru rzeczach, do których są zdolni twoi kumple i z którymi nie mają większego problemu, więc myśl o tym, że Sokołow wylądjuje w ich łapskach, jakoś nie wzbudza we mnie entuzjazmu.

– Robimy, co musimy – odparła. – Walczymy na wielu wojnach. Czasem wygląda to brzydko.

– Jasne, ale mieszanie czterolatki w mózgu, żeby wypłoszyć jakiegoś meksykańskiego barona narkotykowego... To nie wojna. To po prostu chore.

Na jej twarzy pojawiła się konsternacja. Przypuszczam, że nie miała jeszcze okazji

zapoznać się z moimi aktami, ale chyba usłyszała mój ton, bo spojrzała na mnie tak, jakby domyśliła się, że chodzi o coś bardzo dla mnie ważnego.

– Czyżbym czegoś tutaj nie rozumiała?

Zastanawiałem się, czy Corrigan jeszcze żyje, czy to on ciągle pociąga za sznurki. Jeżeli to on załatwił mi przydział do sprawy Sokołowa, to wybrał i ją. Co oznaczało, że mogła go znać.

– Może pogadaj o tym ze swoim szefem z Langley? – zaproponowałem. Miałem już dodać: „I przekaz mu, że wkrótce się zobaczymy” – ale się powstrzymałem.

To musiało poczekać.

Kiedy siadaliśmy na lądowisku dla helikopterów na dachu budynku „Washington Post”, który znajdował się najbliżej Hiltona, zerknąłem na zegarek. Była osiemnasta piętnaście. Prezydent miał się pojawić za jakieś czterdzieści pięć minut.

Everett już czekał. Miał nas zabrać do hotelu, do którego samochodem jedzie się niecały kwadrans.

– Rozmawiałem z szefem Secret Service – powiedział, gdy ruszyliśmy. – Nie bardzo wiedział, co z tym zrobić.

– Wcale się nie dziwię – odparłem.

Niemal przefrunęliśmy przez Dupont Circle i Connecticut Avenue, ale wkrótce utknęliśmy w korku. Ulicami zderzak przy zderzaku jechały limuzyny – długi ciąg lincolnów, niczym promy dowożące wytwornych gości na wielką galę. Wzdłuż alei stały telewizyjne wozy transmisyjne, strasząc przechodniów talerzami anten satelitarnych. Pomyślałem przez chwilę, że idealnie nadawałyby się na narzędzie realizacji planów Kościeja i zacząłem się zastanawiać, czy dałoby się do nich podłączyć urządzenie Sokołowa, ale jeżeli wierzyć temu ostatniemu, to zamachowcowi zajęłoby to zbyt dużo czasu. Tymczasem jemu chodziło o to, żeby wykorzystać nadarżającą się okazję. To wymagało prostych działań. Co jednak ani trochę nie ułatwiało nam zadania.

– Na całe popołudnie zablokowaliśmy drogi we wszystkich kierunkach – powiedział Everett. – I to tuż przed vipowską imprezą. Masakra. Nie jest nam łatwo, zwłaszcza że gramy drugie skrzypce.

Wiedziałem, co ma na myśli. Sekretarz do spraw bezpieczeństwa narodowego uznał bankiet za wydarzenie o specjalnym znaczeniu, a to oznaczało, że za opracowanie planu ochrony imprezy i jego wdrożenie odpowiada Secret Service. Agencja musiała współpracować z miejscową policją oraz siłami specjalnymi na poziomie lokalnym, stanowym i federalnym, ale to jej agenci dowodzili i nie mieli zamiaru udawać, że jest inaczej.

Everett machnął odznaką i policjanci przepuścili nas przez blokadę. Wjechaliśmy na T Street i zatrzymaliśmy się za wielką szarą półciązarówką, w której – jakieś sto metrów od głównego wejścia do hotelu – znajdował się punkt dowodzenia.

Spojrzałem na gmach Hiltona. Był ogromny; jego zakrzywiona, ciągnąca się szeroko w obie strony bryła wznosiła się na dwanaście pięter. Dwa półokrągłe skrzydła i fasada z białych prostokątnych modułów idealnie wpisywały się w styl architektury lat sześćdziesiątych. Poprosiłem Larisę i Sokołowa, żeby zaczekali przy samochodzie Everetta, i wraz z Aparo ruszyłem za nim w stronę grupki wysokich rangą funkcjonariuszy, którzy dyskutowali zawzięcie.

Gdy się do nich zbliżaliśmy, potężny, ubrany w garnitur agent o krótkich

siwiejących włosach i ciele, na którym, zdaje się, nie było nawet grama tłuszczu, przechylił głowę i tonem silnie zaprawionym sarkazmem odpowiedział na zadane mu właśnie pytanie:

– Nie będę stał tutaj przez cały dzień i gadał o niewiadomych. Zaraz się przekonamy, czy federalni marnują nasz czas. Robota czeka!

Podniósł do ust nadgarstek – najpewniej wydając szereg instrukcji – i miał już odejść, kiedy podeszliśmy do niego we trójkę.

– Przyprowadziłem Reilly’ego i jego partnera – powiedział Everett, wskazując na nas kciukiem. Odwrócił się do mnie i skinąwszy w jego kierunku głową, przedstawił mi dyrektora Secret Service: – Gene Romita.

Ten uniósł brwi, po czym zmierzył mnie wzrokiem, jakbym był atrakcją w gabinecie osobliwości. Everett wymienił uścisk dłoni z drugim z mężczyzn – przysadzistym, siwobrodym twardzielem z wieczną pretensją wypisaną na twarzy, wzmocnioną dodatkowo tym, co usłyszał od Romity, kiedy podchodziliśmy – przedstawił mi go jako zastępcę komendanta Terry’ego Caniffa. Nie zazdrościłem mu; niełatwo dowodzić policją w mieście, gdzie każda wojskowa albo cywilna agencja sił porządkowych i wywiadu ma albo swoją siedzibę, albo silnie obsadzoną placówkę.

– Everett wspominał, że masz jakieś przecucie – rzucił opryskliwie Romita. – Słucham, o co chodzi, i radzę się streszczać. – Zerknął na zegarek. – Za czterdzieści minut POTUS wyjeżdża z Białego Domu.

POTUS oznaczał skrót od oficjalnego tytułu prezydenta – „President of The United States”. Opowiedziałem szybko o urzędzeniu Sokołowa, nie wdając się w szczegóły na temat jego działania. Następnie wyjaśniłem, że Kościej zamontował je w bliżej niezidentyfikowanym samochodzie i że moim zdaniem chce go użyć.

– Słyszałeś o tej wielkiej rozróbce w Brighton Beach? – dodał Aparo. – Czytałeś z niej raport?

Skinął głową.

– Wywołało ją to urządzenie.

– Jesteście pewni na sto procent?

– Tamtej nocy byliśmy o włos od jego przechwycenia – powiedziałem. – Ale się nie udało.

Romita zastanawiał się przez sekundę, po czym oświadczył:

– Wyjaśnię ci, na czym polega mój problem, Reilly. Nie wiem, co myśleć o twojej historyjce. Nie wiem, czy faktycznie w okolicy grasuje jakiś ruski myśliwy, uzbrojony w przerośnięty paralizator. Ale rozumiem, że nawet jeśli to prawda, to nie mamy stuprocentowej pewności, że zmierza tutaj, tak?

– Niestety, tego nie wiemy.

Chyba nawet nie oczekiwał, że potwierdzę jego słowa.

– Posłuchaj, traktujemy każde zagrożenie, każde zagrożenie – powtórzył,



podkreślając słowo „każde” – dla życia prezydenta bardzo poważnie. Ale jeżeli nie chcemy go trzymać dwadzieścia cztery godziny na dobę zamkniętego w Białym Domu, to musimy szacować skalę ryzyka. Ponieważ, jak pewnie się domyślasz, ciągle otrzymujemy sygnały o zagrożeniu. I musimy za każdym razem oceniać, czy i do jakiego stopnia jest realne. I mój problem polega na tym, że nic z tego, o czym mówisz, nie pozwala nam stwierdzić, że tym razem jest realne. Nie widzę tu żadnej realnej groźby, żadnego realnego zagrożenia dla bezpieczeństwa całej imprezy. A jeżeli za każdym razem, kiedy będziesz miał przeczucie, zamkniemy POTUS-a w bunkrze, moim skromnym zdaniem będzie to oznaczało, że wygrali. Rozumiesz mnie? Wygrają, jeżeli tak łatwo będą nas potrafili nastraszyć. I niech mnie szlag, jeśli dam im albo innym aspirantom do szczytowego miana terrorysty tę satysfakcję, żeby im się wydawało, że jedno ich słowo jest w stanie zmusić prezydenta Stanów Zjednoczonych do ucieczki z podkulonym ogonem. Daj mi coś konkretnego, a osobiście zagonię go do mysiej dziury. Ale to musi być coś więcej niż przeczucie.

Dziabnął ostro powietrze palcem, wskazując na hotel za swoimi plecami.

– Odcieiliśmy całą tę budę. Obstawiliśmy teren na kwartał w każdą stronę. Bez naszej zgody ani nikt się tu nie przedostanie, ani stąd nie wydostanie. Zarządziliśmy blokady drogowe i ustawiliśmy na dachach strzelców wyborowych. A ty mi mówisz, że ten koleś ma pilota do mózgu, którym nawet nie musi w nas celować i który ma bliżej nieokreślony zasięg? – Powiedział to tak, jakby nie wierzył w ani jedno swoje słowo, czemu się zresztą nie dziwiłem. – Co właściwie sugerujesz? Chcesz, żebyśmy zamknęli prezydenta w klatce do czasu, kiedy go złapiemy? Mówimy o tygodniu, miesiącu, a może roku? Ponieważ o to ci właśnie chodzi, tak? Może uderzyć kiedykolwiek i gdziekolwiek. Ze znacznej odległości. Co właściwie według ciebie mamy zrobić?

Właściwie to sam już nie byłem pewien.

– Wszystko to rozumiem – powiedziałem. – Proszę tylko, żebyście założyli, że mogę, po prostu mogę mieć rację. Zróbmy, co się da w takiej sytuacji, i spróbujmy przedsięwziąć odpowiednie środki ostrożności. Na wszelki wypadek.

– Na przykład? Twierdziłeś chyba, że bez specjalistycznego sprzętu nie da się tego zablokować?

Przytaknąłem skinieniem głowy.

– Ściągnijcie tu tyle mikrośłuchawek i hełmów, ile się da. Rozdajcie je i powiedzcie swoim ludziom, żeby je trzymali pod ręką. Jak tylko zaczną się dziać coś dziwnego, niech je jak najszybciej włożą. Bądźcie też w pobliżu POTUS-a, gotowi, żeby go w każdej chwili ewakuować do najgłębszej piwnicy w hotelu.

Rozłożyłem ręce w geście: „Nic więcej nie jesteśmy w stanie zrobić”. Ponieważ faktycznie nie byliśmy i – prawdę mówiąc – on miał rację. Nie mogliśmy sparaliżować całego kraju. A czy prezydent będzie obecny, czy nie, atak na tego rodzaju imprezę i tak musiał przynieść katastrofalne skutki. No i wcale nie oznaczałoby, że już nigdy więcej

nie usłyszymy o Kościeju.

Romita zmarszczył brwi. Był wściekły, że stawiamy go w takiej sytuacji.

– Niech ci będzie – powiedział w końcu, a zaraz potem zadrwił. – Załatwię też parę rolek folii aluminiowej. Może owiniemy nią sobie głowy dla lepszej ochrony.

Odszedł, ciągnąc za sobą kilka swoich klonów.

Jak mówiłem. Będziemy zdani na siebie.

Zerknąłem na zegarek. Zostało pół godziny.

– Nie mamy zbyt wiele czasu – powiedziałem do Everetta i Caniffa. – Oprowadźcie mnie.

Zaprowadzili mnie do Mobilnego Centrum Dowodzenia. Aparo, Larisa i Sokołow dołączyli do nas.

Przy poszczególnych stanowiskach siedzieli agenci patrzący w całe rzędy ekranów i łączący się przez radio z kolegami w terenie.

– Pokaż mi układ terenu – poprosiłem Everetta.

Kazał jednemu z techników pokazać na ekranie widok z lotu ptaka na hotel i jego najbliższą okolicę.

– Obraz jest nadawany na żywo? – spytałem.

– Nie – zaprzeczył technik. – Nie zamówiliśmy na dzisiaj ptaszka.

Z góry Hilton wyglądał jak mała litera „m”, nagryzmołona tak, jak Alex narysowałby ptaka w locie. Czubki skrzydeł były leciutko odchylone od osi wschód-zachód, a główne wejście znajdowało się w samym środku wklęsłej łychy z lewej strony. Na ogromnym owalnym trawniku, który wypełniał elipsę przed wejściem, znajdowały się cztery nierównomiernie rozmieszczone okrągłe kwietniki. Prawa łycha obejmowała nasłonecznione patio oraz ogrody. Samochody nie miały dostępu do hotelu z tej strony. Za czubkiem wschodniego skrzydła był sporych rozmiarów basen. Wzdłuż wypukłych krzywych północnej fasady biegła wąska droga dojazdowa, oddzielona od sąsiednich budynków szpalerem drzew.

Everett wskazał na ekran i zabrał mnie na wirtualną wycieczkę.

– Konwój pojedzie tą samą drogą co my, przez Connecticut. Prezydent wejdzie do środka głównym wejściem, a potem pójdzie prosto na dół, do sali balowej.

– Gdzie jest sala balowa? – spytał Sokołow.

Everett zawahał się, ale skinąłem lekko głową, uspokajając go, że Rosjanin jest w porządku.

– W piwnicy pod tym fragmentem terenu – wyjaśnił, wskazując na trawnik przed lewym skrzydłem.

– Jak pan sądzi? – zwróciłem się do Sokołowa. – Czy sygnał tam dotrze?

Wpatrzył się w ekran, a potem wzruszył ramionami.

– Piwnica ma tylko jeden poziom, a nad nią nie ma żadnych budynków. Moim zdaniem tak, jeżeli podkręci maksymalnie moc.

– A gdzie najlepiej byłoby ustawić urządzenie?

Przyjrzał się zdjęciu.

– Oczywiście na wprost budynku. Ale właściwie można je postawić wszędzie.

Kościej, rzecz jasna, nie dysponował tak zaawansowaną wiedzą techniczną, jak Sokołow – zresztą z tym ostatnim pod tym względem niewielu mogło się równać – ale bez wątplenia był bardzo inteligentny i potrafił szybko przyswajać bardzo złożone kwestie. Był też świetnie wyszkolonym zabójcą. Bez problemu mógł oszacować

idealny kierunek w terenie miejskim, rezerwując sobie również parę innych opcji.

– Odciełicie cały teren? – spytałem Everetta.

– Na drogach dojazdowych ustawiliśmy blokady. Nikt się nie przedostanie poza mieszkańcami, a tym najpierw kontrolujemy samochody.

Spojrzałem na ekran. Przed Hiltonem ciągnęło się sporo otwartej przestrzeni, co było dla nas korzystne, bo zapewniało naturalną barierę. Naprzeciw hotelu, za naszymi plecami, przy T Street znajdował się duży budynek. Na lewo był Marriott, biurowiec FedEx i kamienica. Wskazałem na budynek naprzeciwko czubka północnego skrzydła.

– Co to jest?

– Rosyjska Federacja Handlowa – wyjaśnił Everett.

Spojrzałem podejrzliwie na Larisę.

Zacisnęła wargi.

– Oczywiście, może mieć do niego dostęp. Z drugiej strony, gdyby zaatakował stamtąd, obciążałby Kreml.

– Może o to właśnie mu chodzi?

Wszystkie pozostałe budynki za hotelem i na wschód od niego, między Columbia Road a Dziewiętnastą Ulicą, wyglądały na mieszkalne. Za północno-wschodnim czubkiem hotelu stał jeszcze gmach szkoły. Znajdowało się przy nim boisko do koszykówki, plac zabaw i parking dla autobusów.

Całe mnóstwo miejsc, w których można by postawić samochód i zbombardować hotel mikrofalami.

– Działo się coś podejrzanego? – spytałem Everetta. – Wszystko idzie gładko?

Skinął głową.

– Jak po maśle.

Zerknąłem na zegarek. Zostało dwadzieścia minut.

– No dobra. Jedyne, co możemy teraz zrobić, to przeszukać teren na piechotę i mieć nadzieję, że się myliłem. – Spojrzałem na Aparo i Larisę. – Front, północny zachód, północny wschód. Wybierzcie sobie strefy.

– Biorę północny zachód i Rosyjską Federację Handlową – zaoferowała się Larisa.

– Front – rzekł Aparo.

– Okej – zgodziłem się. – Potrzebujemy nadajników radiowych i mikrośłuchawek – poprosiłem Everetta. Wydał szybko rozkaz i po paru sekundach jeden z techników wyposażył nas w kompletne zestawy.

Uniosłem znacząco hełm i mikrośłuchawkę, spoglądając na Aparo i Larisę.

– Jak tylko poczujecie dyskomfort...

Skinęli oboje głowami.

Odwróciłem się do Sokołowa.

– Proszę tu zostać, na wypadek, gdybyśmy pana potrzebowali. – Pochwyciłem wzrok Everetta. – Zaopiekujesz się naszym przyjacielem?

– Idźcie już – powiedział.

Z jedną mikrośłuchawką w uchu, a drugą – oraz kaskiem – w ręku ruszyłem wzdłuż T Street, oddalając się od wejścia do hotelu i zostawiając za sobą wozy telewizyjne. Na wprost mnie górowała masywna, zakrzywiona fasada, z lewej miałem wypielęgnowany ogród, a z prawej wysoki biurowiec.

Ulice oczyszczono z zaparkowanych samochodów i pomimo zgiełku za moimi plecami wydawały się dziwnie, upiornie puste. Minąłem biurowiec i skręciłem we Florida Avenue, gdzie natknąłem się na pierwszą blokadę policyjną. Drogę przecinały ustawione prostopadle do niej dwa radiowozy, a czterej funkcjonariusze kierowali nielicznych kierowców, którzy dotarli aż tutaj, w stronę objazdów. Rozejrzałem się po skrzyżowaniu, ale nie dostrzegłszy żadnego miejsca, w którym mógłby się przyczaić w swoim samochodzie Kościej, ruszyłem dalej.

Skręciłem z Florida w Dziewiętnastą Ulicę, mając ciągle hotel po lewej ręce. Pod obszerną, wznoszącą się na całe piętro w górę podstawą basenu znajdowały się bramki dla samochodów dostawczych. Sporo się tam działo. Przy kilku stanowiskach stały zaparkowane półciężarówki firm cateringowych i innych dostawców, a ich pracownicy uwijali się jak w ukropie. W hotelu było mnóstwo gąb do nakarmienia. Podeszło do mnie dwóch policjantów; pokazałem im legitymację.

– Coś ciekawego się działo? – spytałem.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiedział jeden z nich.

Po drodze przyglądałem się uważnie punktom załadunku, ale nie zauważyłem niczego niepokojącego. Zresztą kręciło się tam zbyt wiele osób, żeby Kościej ryzykował odpalenie sprzętu.

Wróciłem na ulicę i ruszyłem Dziewiętnastą na północ, oddalając się od tylnej części zakrzywionej elewacji hotelu. Ulica była urocza, wysadzana po obu stronach liściastymi drzewami. Nie parkowały tam ani nie przejeżdżały żadne samochody.

W uchu zabrzmiał mi głos Larisy.

– Reilly?

– Gdzie jesteś?

– Idę Columbia Road na północny wschód – powiedziała.

Przypomniałem sobie mapę. Szliśmy dwoma ulicami, które zbiegały się ze sobą kawałek za hotelem.

– Budynek Federacji czysty? – spytałem.

– Tak – odparła. – Rozmawiałam po rosyjsku ze strażnikiem przy bramie. Wszyscy wyszli wcześniej, żeby uniknąć korków. Przez całe popołudnie nikogo tam nie było.

– Okej. Nick?

– Na razie wszystko w porządku – zameldował Aparo.

– Przyjąłem.

Zacząłem się zastanawiać, czy faktycznie nie popełniłem błędu, choć z drugiej strony ciągle coś mi podpowiadało, że mam rację. Choć wszystko wydawało się temu przeczyć, czułem przez skórę, że Kościej gdzieś się tu kręci – i pragnąłem, żeby tak było. Chciałem go wyeliminować z rozgrywki i zamknąć maszynkę Sokołowa w jakimś pudle.

W oddali usłyszałem syreny. Spojrzałem na zegarek – za pięć. Prezydent miał być za chwilę na miejscu.

Dotarłem do skrzyżowania, od którego odchodziła na prawo Vernon Street. Blokował ją biały radiowóz, przy którym dwóch mundurowych rozmawiało z jakąś kobietą i dzieckiem. Na lewo ode mnie wznosił się dwupiętrowy gmach szkoły, postawiony na ceglanej podstawie, na którą prowadziły schody. Na szyldzie widniał napis: „Oyster/Adams Szkoła Dwujęzyczna”. Wyglądało na to, że nikogo tam nie ma.

– Sokół przybywa do Zajazdu! – ogłosił w moim uchu czyjś głos. – Powtarzam: Sokół przybywa do Zajazdu!

Everett obserwował przed wejściem do Hiltona, jak radiowozy eskorty odjeżdżają dalej Connecticut Avenue, a reszta konwoju wtacza się na półokrągłą drogę dojazdową do hotelu.

Agenci Secret Service szybko zajęli pozycje, a dwa potężne cadillaki zatrzymały się przed holem. Z samochodów w tylnej części konwoju wysypali się kolejni funkcjonariusze.

Everett zeszywniał, patrząc, jak prezydent wysiada z limuzyny. Tłum za kordonem zaczął dziko klaskać i wiwatować, a prezydent z małżonką, która przyjechała razem z nim, pomachali do niego i uśmiechnęli się uprzejmie. Everett nie mógł tego wytrzymać. Nerwy miał napięte do granic możliwości, ale nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko stać tam bezradnie, próbując telepatycznie zmusić prezydenta i jego małżonkę, by już poszli dalej, by weszli do środka, choć przecież doskonale zdawał sobie sprawę, że niekoniecznie będą tam bezpieczniejsi.

Zobaczył w tłumie Romitę. Jak zwykle był całkowicie skoncentrowany – nadzorował przejście prezydenta, wydawał krótkie rozkazy i odbierał meldunki. Spojrzał nagle w jego stronę i ich oczy się spotkały. Szef Secret Service wprost emanował pewnością siebie. Skinął nieznacznie Everettowi głową, tak jakby chciał powiedzieć: „Wszystko pod kontrolą”.

Everettowi jego pewność siebie jakoś nie chciała się udzielić.

Słyszając kryptonimy, którymi Secret Service opatrzyła prezydenta i hotel, poczułem skurcz w żołądku. Wyobraziłem sobie, jak wysiada z limuzyny, otoczony uzbrojonymi agentami, których wyszkolono na maszyny do zabijania.

Niedobrze. Nie w tych okolicznościach.

Usłyszałem w słuchawce głos Aparo.

– Skończyłem. U mnie czysto.

– Okej – odparłem. – Wracaj do punktu dowodzenia. Pilnuj Sokołowa.

– Przyjąłem.

Zmniejszyliśmy więc liczbę możliwości. Mógł zaatakować tylko od strony Larisy albo mojej.

Podszedłem do policjantów i pokazałem im legitymację.

– Wszystko u was w porządku? – spytałem.

– Nic, o czym należałoby zameldować – odparł jeden z nich.

– Nikogo nie przepuściliście? – dopytywałem dalej. – Żadnych czarnych suburbanów albo innych półterenówek?

Drugi gliniarz się roześmiał.

– Czarnych suburbanów? Żartujesz? Przecież wszędzie wokół jest ich pełno.

Zaniepokoiłem się.

– Przepuściliście któryś z nich?

Spojrzeli na siebie niepewnie, a potem pokręcili głową.

– Nie. Tylko kilku mieszkańców. Co najwyżej w kombikach. Żadnych półterenówek.

– Okej – powiedziałem, po czym dodałem, zresztą zupełnie niepotrzebnie: – Bądźcie czujni!

Ruszyłem w swoją stronę. Nagle usłyszałem, że kobieta, która stała obok policjantów, mówi do nich:

– A jeżeli znowu będą panowie potrzebowali proszków albo mieli ochotę na zupę, to niech się panowie nie krępują.

Nie wiem dlaczego, ale stanąłem jak wryty.

Odwróciłem się.

– Nic nam nie będzie – zapewnił policjant. – Ale bardzo dziękujemy. To miło z pani strony.

Wróciłem do nich.

– Przepraszam, ale o co chodzi?

Spojrzeli na mnie ze zdziwieniem.

– Tabletki? Zupa? Dobrze się czujecie?

Gapili się na mnie, jakby rozmawiali z kosmitą.

– O co chodzi? – powtórzyłem z naciskiem.

– Nic nam nie jest – rzekł gliniarz. – Po prostu jakąś godzinę temu obu nam zakręciło się trochę w głowie.

– I zrobiło niedobrze – dodał drugi z nich. – Czuję się, jakby czaszka miała mi się zapaść do środka.

– Pewnie stali panowie za długo na słońcu – zdiagnozowała ich stan kobieta. – I ty też, młody człowieku – dodała, mówiąc do swojego syna. Podniosła na mnie wzrok. – Sammy wywrócił się na rowerze.



– Mamo! – jęknął chłopiec, tak jakby narobiła mu straszego wstydu.

Ale ja myślałem już o czym innym.

– Kiedy to było? Godzinę temu?

– Mniej więcej – potwierdził jeden z policjantów.

– Czy obok przejeżdżał jakiś samochód? – spytałem, czując, że przyspiesza mi puls.

– Nie pamiętam – odparł. – Na chwilę jakby się wyłączyliśmy. Nie na długo, ale...

– Nie przejeżdżała może wtedy furgonetka?

– Nie pamiętam. – Uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Próbowałem doprowadzić się do porządku.

Zesztywniałem. Odwróciłem się od obu gliniarzy i włączyłem mikrofon.

– Leo? Jest pan tam? – syknąłem. – Leo?

Po kilku sekundach usłyszałem jego głos.

– Panie Reilly?

– Leo, wspominał pan o tym czymś, czym potraktował pan tego Rosjanina w pana mieszkaniu. Mówił pan, że zamuliło mu to w głowie i wywołało mdłości. Czy pana maszyna potrafi zrobić coś podobnego?

– Owszem – przyznał. – W laptopie zaprogramowałem pięć różnych ustawień. Jedno z nich powoduje właśnie taki stan.

Myślałem, że serce wyskoczy mi z piersi.

– Czy mówił pan Kościejowi o pozostałych ustawieniach? Czy on wie, do czego służą?

– Tak.

W tym momencie biegłem już Dziewiętnastą, z całej siły ściskając w rękach hełm.

– Jest tutaj! – zawołałem do mikrofonu. – Nick, słyszysz mnie? Kościej jest tutaj i ma zamiar tego użyć!

Pobiegłem dziewiętnastą, przyglądając się po drodze każdemu podjazdowi i każdej bramce załadunkowej, ale chyba już wiedziałem, gdzie jest Kościej.

W słuchawce usłyszałem głos Everetta.

– Widzisz go? Potwierdzasz, że go widzisz?

– Nie! – odkrzyknąłem. – Ale jest tutaj! Potraktował maszyną gliniarzy blokujących Dziewiętnastą Ulicę i się przedostał!

– Gdzie?! Jesteś pewien?!

To było bezcelowe. Wiedziałem, że Romita nie ruszy palcem, dopóki nie podam mu czegoś konkretnego. Poza tym mogło już być za późno. I tak nie mogli już nic zrobić. Wyprowadzenie stamtąd prezydenta tylko jeszcze bardziej naraziłoby go na niebezpieczeństwo ze strony otaczających go agentów, gotowych w każdej chwili sięgnąć po broń.

Podniosłem do ust mikrofon, zamocowany na nadgarstku.

– Nick! Gdzie jesteś?

– W punkcie dowodzenia – odparł. – Z Sokołowem.

– Znajdź Everetta. Pomóż mu przekonać Romitę, że zagrożenie jest realne. Muszą zabrać POTUS-a w bezpieczne miejsce.

– Dobra.

Po drugiej stronie budynku, w przerwie między drzewami, znalazłem wjazd na przyszkolny parking. Przeszedłem przez ulicę i ruszyłem w jego stronę.

Był tam. Musiał tam być.

Wcisnąłem sobie szybko drugą mikrosluchawkę do ucha, a potem nałożyłem hełm i zacisnąłem mocno pasek. Wyciągnąłem pistolet, odbezpieczyłem go i umieściłem w komorze nabój.

Trzymając się budynku, przesunąłem wzrokiem po widocznej za alejką otwartej przestrzeni, wychodzącej bezpośrednio na hotel. Po prawej zobaczyłem kilka szkolnych autobusów. Widok na lewo przesłaniał mi budynek.

W uchu rozbrzmiał mi głos Everetta.

– Reilly! Prezydent jest w środku. Powtarzam, prezydent jest w środku. Agenci federalni obstawili cały teren. Romita też jest w środku i koordynuje akcję z sali balowej.

– Przyjąłem – zameldowałem cicho do mikrofonu.

– Widzisz go już?

– Nie – odparłem. – Ale jak go zobaczę, to może być za późno.

– Czekam! – odpowiedział tylko.

Niech to szlag!

Podkradłem się do rogu budynku i wyjrzałem zza niego. Po lewej zobaczyłem plac

zabaw. Prowadził na boisko koszykówki. Po drugiej stronie, na samym skraju działki, tuż przy ścianie kompleksu niskich budynków mieszkalnych, dostrzegłem srebrnego minivana. Stał przodem w kierunku autobusów, tyłem do hotelu.

Jego tylne drzwi były otwarte.

Na fotelu kierowcy ktoś siedział.

Kościej.

Otaczała mnie martwa cisza, zakłócana tylko rozbrzmiewającymi w słuchawce komendami agentów, podających swoje pozycje i status.

– Everett! – wychrypiałem do mikrofonu. – Widzę go! Jest tutaj! Zabraliście już POTUS-a?

– Czekaj! – odparł Aparo. – Jest z Romitą.

Wyobraziłem sobie Everetta, kłócącego się z dyrektorem Secret Service, podczas gdy gala trwa w najlepsze, a prezydent i jego goście bawią się wyśmienicie i nikt z nich nawet nie podejrzewa, że za ułamek sekundy zamienią się w morderców; że zostaną ograbieni z człowieczeństwa i sprowadzeni do poziomu dzikich bestii, które tak długo będą się wyrzynały nawzajem, aż ostatni z nich padnie martwy na ziemię.

– Everett! – syknąłem. – Zabierajcie go, do kurwy nędzy! I nałóżcie hełmy!

– Robię, co mogę! – usłyszałem głos Everetta.

Rozważyłem szybko wszystkie opcje. Od minivana dzieliło mnie jakieś pięćdziesiąt metrów otwartej przestrzeni. Za daleko, żeby celnie strzelać, i za daleko, żeby rzucić się na niego. Kościej zdjąłby mnie, zanim przebiegłbym połowę dystansu.

Ale musiałem spróbować.

Wychyliłem się, szacując teren, rozglądając się za czymś, za czym mógłbym się po drodze schować. Nagle zauważyłem, że Kościej wysuwa dłoń z bocznego okna. Niemal natychmiast, zaledwie parę centymetrów od mojej twarzy, coś wbiło się w cegłę, zasypując mnie pyłem i odłamkami.

Zerwałem się, posłałem szybko w kierunku przedniej szyby wozu trzy pociski i schowałem się natychmiast z powrotem za ścianę, gdy...

Gdy nagle poczułem w głowie coś bardzo dziwnego.

Najpierw było to jak impuls elektryczny, który zatańczył mi w czaszce; coś jak gdyby małe paralizator przedostał mi się do ucha, brzdęknął w bębni i ruszył głębiej do środka. Potem zakręciło mi się w głowie, a świat najpierw rozmazał się przed moimi oczami, a potem z powrotem wyostrzył.

Kościej włączył urządzenie, a ja znajdowałem się zbyt blisko niego.

Prowizoryczne zabezpieczenia Sokołowa nie działały przy tej odległości.

Rosjanin nawet się nie wysilił, żeby ponownie strzelić; nie wybiegł też w moją stronę. Wiedziałem, że nie musi się spieszyć. Założył, że wkrótce urządzenie całkowicie mną zawładnie. Wywoła we mnie wściekły szal, irracjonalną agresję. I w tym stanie nie będę myślał logicznie. Wybiegnę po prostu zza ściany i bezmyślnie – dosłownie – rzucę się w jego kierunku, a on bez problemu mnie wtedy zdejmie. Po chwili sala balowa Hiltona zamieni się w strzelnicę, a przemawiający na podium prezydent – w główne trofeum.

Musiałem się skupić. Skoncentrować. Spróbować to zablokować. Ale nie mogłem. To było cholernie dziwne uczucie. Czułem, że tracę świadomość, że fale Sokołowa wypłukują ją ze mnie.

Jeszcze kilka sekund, a poddam się im całkowicie.

Pod ścianą sali balowej Hiltona Aparo poczuł mrowienie w uszach. Docisnął hełm, patrząc, jak Everett coraz gwałtowniej kłóci się z Romitą.

Reilly miał rację, pomyślał. Zaczęło się.

Rozejrzał się na lewo i prawo, rozpaczliwie próbując wymyślić, jak powstrzymać to, co nieuniknione. Wiedział, że Romita to twardy kutas i że Everettowi nie będzie łatwo przekonać go, żeby zrobił to, co powinien zrobić – a nawet jeśli, to i tak pewnie niewiele to pomoże. Zabójczy sygnał najprawdopodobniej i tak się przedostanie.

Musiał coś zrobić, i to szybko, bo jeżeli nie, to zarówno on, jak i wszyscy inni wokół wkrótce będą martwi.

Musiał pomóc Reilly'emu. Tylko to mogło coś dać. Musiał mu pomóc zabić Kościeja.

Wbiegł po schodach do recepcji, wypadł na zewnątrz i już miał wezwać przez radio Reilly'ego, żeby mu wskazał najkrótszą drogę do siebie, gdy nagle zobaczył coś, co przedtem zupełnie przeoczył.

Czarnego suburbana, jeden z samochodów prezydenckiego konwoju, stojącego tuż za dwoma cadillacami.

Nie był to jednak zwykły suburban.

Ten akurat miał zamontowane na dachu dwie ogromne anteny kolinearne.

Aparo rzucił się pędem w jego stronę.

Poczułem, że narasta we mnie gniew, pierwotny gniew nieskierowany ku niczemu

konkretnemu, a jednocześnie ku wszystkiemu. Walczyłem rozpaczliwie, żeby go stłumić, żeby utrzymać kontrolę nad własnymi zmysłami, ale byłem bezradny i mogłem tylko czekać, aż mój umysł uniezależni się ode mnie.

Wolałem nawet nie myśleć, co się dzieje w sali balowej.

Nadludzkim wysiłkiem woli skoncentrowałem się na bieżącej sytuacji, próbując znaleźć wyjście z matni. Nie mogłem rzucić się w jego kierunku – był zbyt dobrym strzelcem i miał taktyczną przewagę. Dowodził fortem, a ja byłem piechurem, chcącym się przedrzeć przez wrogie okopy. W ten sposób nie wygrywa się bitew. Musiałem wymyślić coś innego. Coś, co wyrównałoby szanse.

Rozejrzałem się, odliczając jednocześnie upływające sekundy.

Autobusy. Stały jakieś trzydzieści metrów ode mnie.

Mniej więcej w pół drogi do nich znajdował się niski murek oddzielający parking od placu zabaw. Chroniąc się za nim, mogłem podzielić drogę na dwa etapy.

Usłyszałem za plecami strzały i czyjś krzyk. A potem jeszcze jeden. Mikrofałe zaczynały działać.

Czas przestać się zastanawiać i przejść do czynów.

Zerwałem się i pomknąłem jak strzała przez wyasfaltowany placyk, ostrzeliwując się. Po chwili dotarłem do murku, gdzie natychmiast przykucnąłem. Dyszałem ciężko i już miałem ruszyć dalej, by pokonać drugą połowę drogi, gdy w murek obok mnie wbiło się kilka kul. Nie nadleciały jednak od strony Kościeja. Zdezorientowany odwróciłem się i uniosłem broń, celując w miejsce, w którym mógł się znajdować strzelec. I nagle zobaczyłem, że podjazdem prowadzącym od ulicy idzie w moją stronę Larisa. Trzymała w ręku pistolet – i ciągle strzelała.

Wprawdzie miała na głowie hełm, ale najwyraźniej nie działał. Zabezpieczenia, które pospiesznie zdejstrował w helikopterze Sokołow, nie blokowały sygnału, w każdym razie nie tak dobrze jak u mnie. Chyba że po prostu chciała mnie zabić.

– Co robisz? – wrzasnąłem.

W odpowiedzi strzeliła ponownie. Kula drasnęła mnie w rękę i poczułem ostry ból. Obok świsnęły jeszcze dwa pociski.

Wbiłem wzrok w Larisę, nie byłem w stanie go od niej oderwać – a coś we mnie, coś w środku zapragnęło ją zabić, tu i teraz. Chciałem rozwalić jej łeb, opróżnić cały magazynek w jej kierunku i tylko ogromnym wysiłkiem woli powstrzymałem się od pociągnięcia za spust. Miała nieobecny wyraz twarzy, jakby była w szoku. To sygnał wywołał w niej ten stan i nie mogłem jej tak po prostu zastrzelić.

Co gorsza wkrótce miała się znaleźć na otwartym terenie, gdzie mógł to zrobić Kościej.

Strzeliłem, celując w okolice jej stóp, mając nadzieję, że ją powstrzymam; zmuszę, by schowała się za murkiem. Ale nie reagowała, nie rzuciła się szukać schronienia. Wyglądało to tak, jakby straciła instynkt samozachowawczy. Szał przytłumił wszystko.

Myślała tylko o tym, zaprogramowana była tylko do tego, żeby zabijać.

Nie mogłem dłużej czekać. Musiałem rozwalić maszynę.

Powtarzając to sobie bez końca w myślach jak mantrę – w nadziei, że pomoże mi to nie stracić świadomości – uniosłem pistolet i opróżniłem magazynek w kierunku Kościeja, jednocześnie puszczając się biegiem w stronę najbliższego autobusu.

Powtarzałem swój wierszyk, otwierając drzwi od strony kierowcy i wskazując do środka. Miałem nadzieję, że Larisa żyje. W karoserii autobusu utkwilo kilka kul, z czego wywnioskowałem, że Kościej jej nie trafił. Wcisnąłem spluwę za pasek i wyrwałem przewody spod deski rozdzielczej, dziękując w duchu Bogu, że problemy budżetowe nie pozwalają szkołom na zakup nowych autobusów, a stare wyposażone są w zabytkową elektrykę, łatwą do ogarnięcia.

Trzy sekundy później wielki silnik diesla zawarczał groźnie, budząc się do życia.

– Rozwalić maszynę! Rozwalić maszynę! – wrzeszczałem na całe gardło.

Wyjrzałem przez boczne okno. Minivan Kościeja stał prawie bezpośrednio za mną.

Teraz albo nigdy!

Wrzuciłem wsteczny i wdepnąłem pedał gazu.

Potężny autobus rzucił się do tyłu i pomknął przez parking, rycząc silnikiem jak śmiertelnie ranna bestia. Skorygowałem lekko kurs kierownicą, przygotowując się na uderzenie, i sekundę później żółty potwór wyrzwał w minivana. Nie zatrzymał się, pchał minivana, przebijając nim druciane ogrodzenie otaczające boisko do koszykówki, aż w końcu wbił go w boczną ścianę budynku szkoły, wypełniając powietrze potwornym chrzęstem metalu miażdżonego o cegły.

Potem zaległa cisza.

Wyciągnąłem broń i zdjąłem hełm. Zaczekałem sekundę.

Urwało się brzęczenie, zniknął wewnętrzny paralizator. Spokój.

Pokuśtykałem w stronę tylnej części autobusu. Z minivana została kupka metalu, złożonego niczym harmonijka przy ścianie budynku. Przód wozu zgniótł na miazgę siedzenia w środku.

Ale Kościeja na nich nie było.

Usłyszałem za plecami szelest i odwróciłem się szybko, żeby zobaczyć, co jest grane, ale zanim to zrobiłem, na pustym szkolnym podwórku trzykrotnie rozległ się huk i świsnęły przez nie jedna po drugiej trzy kule.

Bok czaszki Kościeja eksplodował, a jego ciało upadło na asfalt boiska do koszykówki. Na samym skraju podwórza stała w pozycji strzeleckiej Larisa; w obu wyciągniętych dłoniach ścisnęła pewnie pistolet.

I celowała we mnie.

Natychmiast skierowałem na nią własną broń, nie wiedząc, czy w pełni odzyskała już zmysły. Gdyby strzeliła pierwsza, nie miałbym nawet szansy odpowiedzieć ogniem – wyglądało na to, że jest wystarczająco dobra, by zdjąć mnie jednym strzałem. Ale nie

mogłem jej uprzedzić. Właśnie ocaliła mi życie. Stałem więc tylko w miejscu, czując, że każde ściętno napina mi się do granic możliwości oraz że pot zalewa mi twarz. Parzyłem wzdłuż lufy swojego pistoletu na ten naprzeciw mnie, zastanawiając się, czy wyfrunie z niego kula, która wywierci we mnie dziurę. Rozpaczliwie próbowałem oszacować wyraz jej twarzy, mając nadzieję, że będę miał choć ułamek sekundy, żeby coś zrobić, zanim ona pociągnie za spust i rozwali mi czaszkę.

Sekundy wlokły się niemiłosiernie. Słyszałem uderzenia pulsu – każde trwało w nieskończoność, zanim ustępowało miejsca następnemu.

A ona stała sztywno w miejscu, jak wykuty w kamieniu cyborg – ale nie wypaliła. W końcu opuściła broń i nagle jej twarz wykrzywiło niedowierzanie.

Rozejrzała się, a potem powoli podeszła do mnie.

– Co się stało?

Uśmiechnąłem się.

– Właśnie uratowałaś mi życie – powiedziałem.

– Ale... A co z...? – Zauważyła, że jestem ranny w rękę. Jej ciągle zamulony mózg zaczął chyba sobie coś przypominać.

– Już po wszystkim – uspokoilem ją.

Wzięłem głęboki wdech. Larisa zdjęła hełm.

Podeszliśmy do miejsca, w którym upadł Kościej. Był martwy; dwie kule utkwily mu w piersi, a jedna w głowie. Larisa bez wątpienia była wyśmienitym strzelcem, dzięki czemu dusza Rosjanina – jeśli takową posiadał – właśnie wsiadała do kibitki, która miała ją zawieźć na dożywotnią katorgę gdzieś w gułagu na dalekiej Syberii.

– Nick! – zameldowałem do nadajnika. – Załatwione! Kościej nie żyje! Teren bezpieczny!

Nikt nie odpowiedział.

– Nick! Zgłoś się! – Nadal nic. – Everett? Jest tam kto?

Nic.

Spojrzałem na Larysę. Była równie przerażona jak ja.

Zacząłem mieć złe przeczucia.

Staliśmy przez jakąś minutę w milczeniu, zastanawiając się, co tam się stało. Spróbowałem ich znowu wywołać, ale radio ciągle nie odpowiadało.

Nagle usłyszałem odgłos zbliżających się ciężkich kroków. Zesztywniałem, uniosłem broń i wycelowałem w krawędź muru. Czekałem, kto się zza niego wyłoni. Maszyna była już unieszkodliwiona, jednak zastanawiałem się, czy przypadkiem efekt jej działania nie utrzymuje się przez jakiś czas nawet po wyłączeniu.

Za rogiem pojawił się Aparo. Biegł w naszą stronę z Everettem. Obaj mieli w rękach pistolety.

Wycelowałem w nich – a Aparo zawołał:

– Sean, ejże, to my! To my!

Po chwili wahania opuściłem broń.

– Co się stało? – spytał, dotarłszy do nas i zobaczywszy autobus oraz zmiażdżonego minivana.

– Nie żyje. Już po wszystkim – odparłem.

Poklepał mnie po plecach.

– Stary, dobrze cię widzieć w jednym kawałku. – Potem uśmiechnął się do Larisy.  
– Ciebie też. – I dodał z kretyńskim uśmieszkiem: – Zwłaszcza ciebie.

Głośno przełknąłem i zapytałem go:

– Co z POTUS-em? Nic mu nie jest?

– Nie, wszystko w porządku – uspokoił mnie, lakonicznie jak zawsze. – Trochę oszołomiony, ale poza tym okej. Zabrali go do magazynu w piwnicy.

Odetchnąłem z ulgą i po raz pierwszy od paru dni poczułem, że rozluźniają mi się mięśnie.

– A reszta?

– Było parę bójek – wyjaśnił Everett – a czterech agentów dostało po kulce w kamizelki, ale nic im nie jest.

Czyli wszystko skończyło się lepiej, niż się spodziewałem.

– Więc sygnał nie przedostał się do sali balowej?

– Jasne, że się przedostał – powiedział Aparo. – Usłyszeliśmy w słuchawkach strzały i sami go poczuliśmy, ale zanim ludzie stracili nad sobą kontrolę i wyciągnęli broń, zabawiłem się w Jamesa Bonda.

Pogubiłem się.

– Słucham?

– Wóz jednostki przeciwdziałania elektronicznego – wyjaśnił, szczerząc z radości zęby. – Nie wiem, czy to zadziałało, czy nie, ale jak zaczęło się robić dziwnie, kazałem im włączyć na full wszystkie zagłuszarki.

Uśmiechnąłem się z ulgą i pokiwałem głową. W prezydenckim konwoju nie mogło nigdy zabraknąć chevy'ego suburbana, którego zadaniem było przeciwdziałanie atakom przeprowadzanym za pomocą zdalnie sterowanych urządzeń. Wyposażony był w potężny sprzęt zagłuszający impulsy elektroniczne, mógł wyłączyć wszelkie sygnały telefoniczne, radiowe i elektromagnetyczne, za pomocą których dało się zdalnie odpalić na przykład bombę.

– A Sokołow? – spytałem.

– Cały i zdrowy. Chłopaki w punkcie dowodzenia właściwie niczego nie poczuły. Może za dużo tam mają sprzętu elektronicznego? – zastanowił się Aparo.

– Coś mi się zdaje, że czeka nas co najmniej tygodniowa odprawa – zarechotał Everett.

– Nie mogę się doczekać – odparłem, wyciągając z ucha słuchawkę.

Ale musiałem jeszcze czegoś dopilnować.



– Dajcie mi chwilę – poprosiłem, po czym spojrzałem na Larisę. Zrozumiała od razu.

Podszedłem znowu do zmiażdżonego minivana. Larisa ruszyła za mną.

Unieszkodliwiłem go dosyć skutecznie. Od przodu do tyłu miał już tylko niecały metr osiemdziesiąt. Znalazłem trzy elementy, które wydawały się właściwie nieuszkodzone. Rozmiarami przypominały wzmacniacze stereo. Wygrzebałem także laptopa, który leżał bliżej przedniego siedzenia i również nie był tak zniszczony, jak reszta sprzętu. Ocalała też niewielka torba podróżna. Zajrzałem do niej. W środku było trochę ubrań i męskich kosmetyków. Znalazłem w niej ukrytą kieszonkę, w której jak się okazało, Kościej trzymał kilka paszportów, kart kredytowych i przyzwoitej grubości plik banknotów studolarowych.

Położyłem wydobyte z wraku trzy części na asfalcie i rozejrzałem się wokół. Mój wzrok spoczął na mniej więcej całej cegle, która oderwała się od ściany.

Popatrzyłem na Larisę.

– Nie masz nic przeciwko?

Zmierzyła mnie wzrokiem, a potem pokiwała głową.

– Niegłupi pomysł.

Uniosłem rękę i zacząłem walić cegłówką w ocalałe części, rozbijając je w drobny mak. Potem wrzuciłem je z powrotem do wraku.

Podniosłem laptopa.

– Komputer trzeba zezłomować profesjonalnie.

– Może Sokołow da radę? – zaproponowała.

– No tak – zgodziłem się. – Sokołow powinien dać radę.

Niczego nie pragnąłem bardziej, niż wrócić po prostu do domu, puścić w tle Joss Stone i rozkoszować się widokiem zimnego piwa na stoliku oraz ciepłym dotykiem Tess w ramionach. Ale to musiało jeszcze trochę poczekać.

Najpierw trzeba było załatwić ważną sprawę, w dodatku szybko i skutecznie, chyba że chciałem wylądować w pomarańczowym wdzianku w ciemnym lochu.

Potrzebowałem pomocy, i to od kogoś szczególnego. Kogoś, komu mógłbym w stu procentach zaufać. Kogoś, kto dysponował środkami oraz siłą charakteru, by niemożliwe zamienić w rzeczywiste. Ponieważ to, co chciałem zrobić, było właśnie niemożliwe.

Mój problem na imię miał Leo Sokołow. Albo Kirył Szyslenko, do wyboru. Był to bardzo poważny problem.

Mieliśmy do wyboru trzy opcje. Opcja numer jeden: Leo ginie. Tylko w ten sposób uzyskalibyśmy gwarancję, że jego makabryczny wynalazek nie powstanie z martwych z podwórka szkoły dwujęzycznej Oyster/Adams i nie sprowadzi znowu na świat bólu i cierpienia. Niestety, Leo przeżył całą imprezkę, a ja nie bardzo paliłem się do tego, żeby mu wpakować kulę w łeb. Jakoś to do mnie nie pasowało, a poza tym przez ten krótki czas, jaki spędziliśmy razem, zacząłem go nawet lubić. Owszem, miał krew na rękach. Ale nie sądzę, żeby zasługiwał na komorę gazową albo miłosierny nabój wwiercający mu się w czaszkę z prędkością czterystu metrów na sekundę.

Opcja druga sprowadzała się do tego, by przekazać go kumplom Larisy z CIA. Już oni by się o niego zatroszczyli. Zdmuchiwaliby mu pyłek sprzed stóp w ramach swojego słynnego programu ochrony. Jest tylko jeden mały szkopuł. Pamiętacie, co mówiłem o bólu i cierpieniu? Opcja numer dwa gwarantowała właściwie, że maszynka Leo powróci – bez wątpienia jeszcze większa i paskudniejsza. A ja nigdy nie wybaczyłbym sobie tego, że sprowadziłem ją znowu na świat, w którym dorastać będą Kim i Alex. Świat był i tak wystarczająco popieprzony.

Opcja trzecia: Leo znika. Bardzo mi się podobała. Była też dosyć dobra dla Dafne, która przecież nie zasłużyła sobie na to, przez co musiała przejść. Problem polegał na tym, że jeśli Sokołow miał zniknąć, to musiał naprawdę zniknąć. Zniknąć ostatecznie. Zniknąć tak, żeby już nikt nigdy o nim nie usłyszał. A to z kolei, jak zaświadczyłyby chętnie Osama bin Laden czy którykolwiek z podobnych mu przyjemniaczków, gdyby tylko był w stanie, nie jest takie proste.

Znałem jednak chyba faceta, który sprawę mógłby łątwić.

Podarowaliśmy sobie obiecaną nam tygodniową odprawę i wyfrunęliśmy z gniazdka, ładując się natychmiast we czwórkę – Aparo, Larisa, Leo i ja – do helikoptera. W Nowym Jorku, na lądowisku przy Wschodniej Trzydziestej Czwartej, znaleźliśmy się o dziesiątej. Rumak Aparo czekał tam ciągle na nas, przebierając

kopytkami. Ale to, co wymyśliłem, musiałem przeprowadzić sam. Dla dobra Aparo i dla dobra Larisy.

– Wiecie, co robić? – upewniłem się.

Oboje skinęli głowami.

Leo podszedł do nich i podziękował gorąco. Musieliśmy się zwiijać.

– Widzimy się rano – powiedziałem, a potem pochwyciłem wzrok swojego partnera. – Zaopiekujesz się panną Czołmiczewą do jutra?

Prawie że widziałem, jak podskakuje mu ciśnienie; jak walczy ze sobą, by powściągnąć obleśny uśmieszek. Równie dobrze mogłem pomachać czerwoną płachtą na byka.

Larisa podeszła do mnie.

– Na pewno chcesz to zrobić sam? Ciągłe mi nie ufasz? – spytała. A potem, zanim zdążyłem odpowiedzieć, nachyliła się i pocałowała mnie w policzek. – Fajnie było patrzeć, jak się wijesz – powiedziała. Potem kiwnęła głową na Aparo, odwróciła się i odeszła. Mój partner ruszył za nią, pomachawszy mi dłonią.

Wsiedliśmy z Leo do jego wozu. Nawet nie zwolniliśmy przy Federal Plaza. Pojechałem prosto do Brooklynu, a potem na sto czternasty posterunek w Astorii, gdzie bez większych problemów wyswobodziliśmy Dafne spod opieki przepracowanego i źle opłacanego sierżanta policji.

Widok Leo i Dafne ze łzami w oczach rzucających się sobie w ramiona tylko utwierdził mnie w przekonaniu, że ci dwoje zasługują na to, by zostawić ich w spokoju i pozwolić im spędzić resztę życia razem. To, czy uda nam się to bezpiecznie zorganizować, było już inną kwestią. Ale pomyślałem, że warto zaryzykować. Bo dwie pozostałe opcje właściwie w ogóle nie wchodziły w grę.

Przyszła kolej na to, co najtrudniejsze. Gdzie ich schować.

Wyjaśniłem wszystko Dafne. Że jeśli nam się to uda, to nigdy, pod żadnym pozorem nie będzie mogła kontaktować się ze swoją rodziną. Nawet z siostrą, z którą była bardzo zżyta. Z nikim. Powiadomimy siostrzyczkę, że nic im nie jest. Ale musieli całkowicie zerwać z nią kontakt. Był to jedyny niepodlegający dyskusji warunek, na który musiała przystać.

Nigdy nie jest łatwo pogodzić się z czymś takim. Ale po paru chwilach, bardzo trudnych dla niej chwilach, wreszcie zrozumiała i wyraziła zgodę.

Wiedziałem, że to zrobi.

Była noc i włączyłem koguta, dzięki czemu dotarliśmy do granicy kanadyjskiej w pięć godzin.

Po drodze wiele rozmawialiśmy. Słuchałem, jak Leo opowiada Dafne swoją niesamowitą historię. Reagowała – po kolei – zdumieniem, fascynacją, szokiem, ale trzeba przyznać, że przyjęła to względnie dobrze. W sumie miał ciekawe życie. Cieszyło mnie, że najgorsze wkrótce będziemy mieli za sobą.

Oczywiście zapytałem go o Corrigan. Opisał mi jego wygląd, ale było to zbyt ogólne – facet nie miał żadnych cech charakterystycznych – i dotyczyło okresu sprzed trzydziestu lat. Żałowałem bardzo, że nie mogę usiąść w biurze z Leo oraz jednym z naszych rysowników, który naszkicowałby portret mojego szpiega. Moglibyśmy go następnie postarzyć komputerowo. Niestety, nie mogłem w tym wypadku skorzystać z narzędzi dostępnych w Biurze, zresztą nie było na to czasu. Musiałem wywieźć Leo i Dafne, i to jak najprędzej, zanim ktokolwiek się zorientuje, że wyparowali.

Dotarliśmy do granicy i dzięki mojej magicznej różdżce – odznace FBI – mineliśmy ją szybko. Po kilku minutach wjechaliśmy na parking hotelu Best Western w Saint-Bernard-de-Lacolle.

Kardynał Mauro dotrzymał obietnicy i jego ludzie już tam na nas czekali.

Nawet nie chciałem wiedzieć, gdzie Kościół ma zamiar ich ukryć. Tak było bezpieczniej dla wszystkich. Byłem za to pewien, że Watykan zatroszczy się o Sokołowów. I że nic im już nie zgrozi. Mauro zapewnił mnie o tym. Jako sekretarz stanu Watykanu, praktycznie prawa ręka papieża, miał taką władzę, że mógł załatwić właściwie wszystko. Wiedziałem też, że dotrzyma słowa. Przez ostatnie parę lat zetknęliśmy się ze sobą kilkakrotnie, między innymi pracując razem nad sprawą sekretu templariuszy. To właśnie wtedy porwana została Tess. On był mi coś dłużny, a ja jemu. Pomagaliśmy sobie nawzajem.

Dafne ścisnęła mnie długo i serdecznie – po grecku. Było to wspaniałe uczucie.

– Zawsze będę się za ciebie modliła – szepnęła mi do ucha.

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjąłem zwitek banknotów, który znalazłem w torbie Kościeja. Wręczyłem go Sokołowowi.

– Niech pan to zabierze. Pieniądze mogą się panu przydać.

Zarumienił się, ale pokiwał głową. Potem uściśnął oburącz moją dłoń – i przytulił mnie równie serdecznie jak przedtem jego żona, tyle że w stylu rosyjskim.

– Dziękuję – powiedział, nie wypuszczając mnie z objęć. – Bardzo dziękuję.

Skinąłem głową.

Odsunął się i mierzył mnie przez chwilę wzrokiem, tak jakby zastanawiał się, czy coś powiedzieć. W końcu się zdecydował.

– Wie pan, pana ludzie też nad tym pracują. I trudno ocenić... Może już to rozgryźli?

– Boże, mam nadzieję, że nie – wystraszyłem się.

– Mogą tego użyć na wiele sposobów, nawet pan sobie tego nie wyobraża – kontynuował. – Ta technologia... Zbliża się wiek umysłu. Technologia jest już gotowa. A te odkrycia... Dzięki nim będzie można albo wyzwolić nas, zgłębiając potencjał naszych umysłów i osiągając rzeczy, o których przedtem nawet nie marzyliśmy, albo... Albo nas zniewolą. A bardzo trudno będzie eksplorować to pierwsze, nie otwierając jednocześnie drzwi temu drugiemu. Życzę panu szczęścia w wysiłkach, by jednak

pozostały one zamknięte.

– Mogę go potrzebować – powiedziałem z uśmiechem. Patrzyłem, jak wsiadają do samochodu, a potem znikają w promieniach wschodzącego słońca.

Kiedy dołączyłem do Aparo i Larisy we francuskim bistro w Chelsea, było już prawie południe i oboje wyglądali na wykończonych.

Wszystko zgodnie z planem.

Wkrótce mieliśmy zamiar pojawić się w Federal Plaza, wyglądając tak, jakby ktoś nas potraktował naprawdę skutecznymi prochami. I właśnie do tego chcieliśmy przekonać szanownych kolegów. W końcu pozwoliliśmy, żeby wymknęło nam się z rąk jedno z najbardziej pożądaných przez rząd trofeów, jeżeli więc pragnęliśmy nadal robić kariery w swoich zawodach i uniknąć formalnego oskarżenia, to potrzebna nam była solidna wymówka. Wcześniej ustalona i opracowana bardzo szczegółowo, tak żeby żadne z nas nie dało się na niczym złapać w trakcie przesłuchania.

Okazało się, że nie jest to zbyt trudne. Gładko przełknęli naszą bajeczkę. Ostatecznie Sokołow wyciął już kiedyś ten sam numer. A my niby skąd mieliśmy o tym wiedzieć?

Zgodnie z przewidywaniami odprawy trochę potrwały, ale właściwie nikt nie miał do nas pretensji. Jasne, byli nieźle wkurzeni, że gość dał nogę. FBI, CIA, jeszcze parę agencji. Ale z drugiej strony, prezydent był cały i zdrowy, i chciał się z nami spotkać, żeby osobiście podziękować nam za to, czego dokonaliśmy. Co raczej nam nie zaszkodziło.

Około siódmej wieczorem udało mi się urwać z pierwszej sesji przesłuchań i godzinę później byłem już w domu, w Mamaroneck. Nie mogłem sobie wyobrazić niczego przyjemniejszego: z powrotem u siebie, z Tess w ramionach.

Pochłonałem resztki kurczaka, który przygotowała na kolację, i oboje patrzyliśmy ze śmiechem, jak Alex i Kim bawią się konsolą, podróżując z Super Mario po kosmosie. Potem zwaliliśmy się wszyscy do wyrek. Byłem wykończony i nie pamiętałem już nawet, kiedy ostatnio porządnie się wyspałem. Mój organizm domagał się odpoczynku i wreszcie mogłem spełnić jego żądanie.

Wziąłem prysznic, podłączyłem telefon do ładowarki i nagle o czymś sobie przypomniałem. Ciągle nie zdążyłem zajrzeć do wysłanych mi przez Kirby'ego akt trzeciej sprawy Corrigan. JPEG-i ciągle czekały w mojej poczcie.

Pokusa była zbyt silna i wygrała ze zmęczeniem. Nie mogłem się oprzeć, by nie zajrzeć do plików.

Poszedłem do gabinetu, zgrałem je i otworzyłem pierwsze zdjęcie.

Akta zostały bardzo mocno ocenzurowane. Więcej było w nich zaczerpionego tekstu niż zwykłego. Dotyczyły sprawy o kryptonimie ZIMNY STRUMIEN, oznaczonej klauzulą tajne specjalnego znaczenia. Chodziło o jakiś projekt AZORIAN. Padając ze zmęczenia, przebiegłem wzrokiem pierwszą stronę raportu, po czym przeszedłem do kolejnej, również pokreślonej, i następnej.

Miałem już wyłączyć komputer i wrócić do łóżka, gdy nagle moją uwagę przykuły dwie niezaczernione litery. CR. Coś mnie tknęło; coś na samej granicy świadomości; z czymś mi się kojarzyły.

CR.

Skrót można było rozwinąć na tysiące sposobów. Ale właściwie nie do końca chodziło o te literki. Raczej o kontekst. Chodziło o słowo, po którym przebiegłem przed chwilą znużonym wzrokiem. Azorian.

Widziałem je już wcześniej. Nagle sobie przypomniałem. Wydatnie pomogły mi w tym właśnie tamte literki. Przypomniałem sobie, gdzie je widziałem. I słyszałem. I pytałem o nie.

To było dawno temu. Kiedy miałem dziesięć lat.

Widziałem je na biurku CR. Słyszałem, jak je wypowiada. A kiedy o nie zapytałem, powiedział, że to ktoś, z kim pracuje i kto ma bardzo głupie nazwisko, z którego wszyscy ciągle się śmieją. Wielki Azorian. Żartowaliśmy sobie z niego, a potem machnął ręką i zmieniliśmy temat.

CR, czyli Colin Reilly.

Mój ojciec.

Ojciec, do którego gabinetu wszedłem kiedyś jako dziesięciolatek i zobaczyłem go przy biurku, w fotelu, obok zaś leżał pistolet, a na ścianie za jego głową była plama krwi.

Usiadłszy na krawędzi łóżka, ledwo żywy ze zmęczenia, znieruchomiałem na długą chwilę, a mój umysł krążył wokół dwóch pytań:

Czy Corrigan znał mojego ojca?

A biorąc pod uwagę to, że specjalizował się w brudnych sztuczkach, pozwalających kontrolować ludzkie umysły... Czy mój ojciec aby na pewno sam się zabił?

## Postowie

Dysponujemy tak ogromną ilością materiałów na temat Rasputina, że właściwie nie wiadomo, gdzie się zatrzymać. Co więcej, mnóstwo przekazów pochodzi z pierwszej ręki. Przetrawało wiele listów i pamiętników pisanych przez najważniejszych uczestników tamtych wydarzeń. Najbardziej poruszające są te nakreślone rękoma samego cara i carycy: ich listy i telegramy wysyłane do siebie, ich dzienniki ocalały, dzięki czemu mamy dziś niesamowicie szczegółowe i osobiste relacje z ich życia oraz stosunków z Rasputinem. Wszyscy spiskowcy zeznawali przed Nadzwyczajną Komisją zwołaną w 1917 roku, kilka miesięcy po śmierci „ojca Grigorija” i abdykacji cara. Mnich Iliodor, znalazłszy schronienie i nowy dom w Ameryce, napisał o Rasputinie książkę. Nawet jego mordercy, po ucieczce z Rosji, opublikowali pamiętniki, choć ich wersje wypadków, jakie miały miejsce tamtej niesławnej nocy, znacznie się od siebie różnią. Sam Rasputin także napisał – a raczej podyktował Oldze Łochtinie – kilka dzieł, z których najbardziej znane jest *Życie doświadczonego wędrowca*, wydane już po jego śmierci. Wszystko to pozwoliło mi bardzo głęboko wejść w ostatnie, burzliwe lata panowania dynastii Romanowów.

Co niezwykle, wszystkie wydarzenia opisane w „historycznych” rozdziałach tej książki faktycznie miały miejsce – z jednym zastrzeżeniem: Misza i jego wynalazek to produkt mojej wyobraźni. Rasputin naprawdę dokonał tego wszystkiego, o czym pisałem, ale z tego, co wiem, osiągnął to bez pomocy cienia o imieniu Misza. Co jest jeszcze bardziej zdumiewające. Faktycznie utrzymał carewicza przy życiu na tyle długo, że chłopiec na trzy tygodnie przed swymi czternastymi urodzinami stanął naprzeciw plutonu egzekucyjnego. Sypiał z niezliczonymi arystokratkami, które wybierał z najwyższych kręgów petersburskiej socjety. Jego wpływ na cara oraz sprawy państwowe był wprost zdumiewający, co faktycznie przyczyniło się do upadku monarchii i wybuchu rewolucji.

Jak udało mu się to osiągnąć? Bez wątpienia był niezwykle bezczelnym oszustem, który bezwzględnie wykorzystywał ludzką naiwność i przesady. Pod tym względem jego największą ofiarą była caryca. Dodajmy do tego elementy hipnozy (której skuteczność w obniżaniu stężenia czynnika odpowiedzialnego za krzepnięcie krwi, wymaganego, by hemofilitycy przestali krwawić, została dowiedziona medycznie) oraz młodego następcę tronu, który przez całe swe krótkie życie balansuje między życiem a śmiercią, a łatwiej będzie nam zrozumieć zdumiewający awans Rasputina.

Co do stymulacji mózgu, to naukowa podstawa maszyny Sokołowa jest faktem. Stymulacja mózgu to prawdziwe zjawisko. Prawdziwe były też klatki i pokoiki zombiaków oraz ogromna maszynka do mięsa w więzieniu Lefortowo. Naukowiec z Yale faktycznie potrafił zdalnie sterować bykiem. A w 2012 roku rosyjski minister obrony publicznie ogłosił, że zaawansowane badania nad oddziałującą na mózg



„bronią psychotroniczną”, która potrafi zamieniać ludzi w zombie, dostały zielone światło od prezydenta Putina. Zdolność do indukowania i kontrolowania stanów emocjonalnych osiągnięta została poprzez implantację elektrod do mózgów zwierząt oraz, jak głosi plotka, również ludzi. Czego nie udało się osiągnąć – jeszcze – to sterowanie nimi zdalnie.

    Nie zakładałbym się jednak, że nie będzie to możliwe w całkiem nieodległej przyszłości...

## Podziękowania

Pisanie tego typu książek składa się z dwóch etapów: pierwszy to samotny znój, a drugi – współpraca z wieloma ludźmi. Uwielbiam oba z nich – zarówno ten, podczas którego zostaję sam z moimi postaciami i zanurzam się w ich świecie, jak i ten, gdy wymieniam się pomysłami i wątkami z przyjaciółmi oraz kolegami. Oba są niezbędne, i uważam się za szczęściarza, że otacza mnie tyle fantastycznych osób, że możliwy jest drugi z nich.

Tym razem szczególnie chciałbym podziękować swoim redaktorom Jessice Horvarth, Jemimie Forrester oraz Jonowi Woodowi. Dziękuję również przyjaciołom oraz agentom, starym i nowym: Eugenie Furdniss, Jayowi Mandelowi, Michaelowi Carlisle'owi i Richardowi Pine'owi.